

Młyn na wzgórzu





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

KARL GJELLERUP

Młyn na wzgórzu

TŁUM. STANISŁAW SIEROSŁAWSKI

KSIĘGA I

I

Na piętrze żarnowym już się ściemniało.

Parobek młynarski zaledwie mógł dalej czytać. Siedział na worku, pochyliwszy zmarszczone czoło nad kartami książki, kiedy niekiedy podnosząc wytężone, mrugające oczy. Przypadkowy obserwator mógłby przypuścić, że ma przed sobą biednego geniusza, który musi wyzyskać każdą minutę, dającą się urwać z bezdusznej, najemnej pracy, aby zaspokoić wrodzone, palące pragnienie wiedzy. Ale nie tak to było. Pocziwy Jörgen nie był stworzony do księgi i pióra; dziełem, które studiował z tak wielkim wysiłkiem, był ilustrowany kalendarz ludowy.

To arcydzieło było najukochańszą własnością Jörgena, ponieważ otrzymał je na Boże Narodzenie w podarunku od Lizy, pięknej dziewczki służebnej. W świąteczny wieczór, kiedy właśnie mieli jeść pączki, wsunęła mu chyłkiem w rękę tę książkę. Ilekroć później dotykał książki, doznawał na nowo tego rozkosznego dreszczu, który wstrząsnął nim wówczas wobec takiego nieoczekiwanego dowodu życzliwości. Dlatego też często brał ją do ręki. W ciągu zimowych miesięcy studiował poważną i użyteczną część, gdzie znajdowało się dokładne zestawienie cen zboża z ostatnich trzech lat, co go przekonywało, że jeżeli tak dalej pójdzie, to niebawem nie opłaci się już być samodzielnym młynarzem i lepiej zadowolić się stanowiskiem pożytecznego pomocnika. Były tu również zapiski o pogodzie, które stwierdzały ponad wszelką wątpliwość, że młyn podczas wiosny i jesieni chwyta obficie wiatr śmigami, a natomiast podczas mroźnej pogody i kanikuly musi być przygotowany na brak wiatru, co zresztą ku radosnej dumie mógł Jörgen potwierdzić z własnego doświadczenia. Część rozrywkowa, złożona z anegdot i krótkich opowiadań, wystarczyła mu na wczesną wiosnę, teraz zaś, w połowie maja, zabrał się do opowieści *Czerwony Rycerz z Morskiego Zamku* — nie bez silnego bicia serca, ponieważ ten główny utwór wypełniał przeszło sześćdziesiąt wielkich, ciasno zadrukowanych stronic. Ale byłoby przecież grzechem nie przeczytać tak dużej części cennego dzieła!

Niebawem jednak jego odwaga została hojnie wynagrodzona. To, co wyczytał tutaj, było tak nadzwyczajne, że pragnął, aby było tego jeszcze raz tyle. Obcował tutaj z szlachetnymi rycerzami, którzy zawsze chadzali w żelaznych zbrojach niby żywe, okrągłe piece, którzy dokonywali najślawniejszych czynów, zwłaszcza we wschodnich krajach, gdzie mieli chwalebny zwyczaj rozłupywać Saracenom głowy aż po szczękę albo nawet rozcinać ich aż do siodła, jeżeli byli szczególnie dobrze usposobieni. Rozmawiali z sobą o tym bardzo poufale, opróżniając jednocześnie tyle złotych pucharów, że czytającemu wprost zasychało w gardle. A kiedy wypili ostatni puchar, kładli znów nogę w strzemię i wbijali złociste ostrogi w bok szlachetnych koni, z których najszlachetniejszy, łup wojenny krzyżowego rycerza, arabski rumak, grzebał w ziemi szczerozłotymi podkawkami. Jörgen nie przypuszczał nigdy, aby na świecie było tyle złota. Damy zaś chodziły, szeleszcząc jasnym jedwabiem lub strojne w barwne aksamity dosiadały konia, ale ani jedwab, ani aksamit nie mogły utaić śnieżnych wypukłości łona, dokoła którego skrzyły się drogie kamienie i perły niby krople w lesie po deszczu.

Jedna jedyna tylko okoliczność mąciła dzielnemu parobczakowi całkowitą rozkosz: były to bardzo proste, a nawet pospolite imiona. Cóż należało o tym sądzić, że główna bohaterka miała na imię Metta i że, co więcej, nazywano ją panienką Mettą? To budziło w nim pewną nieufność ku autorowi, nasuwało przypuszczenie, że nie był zbyt obeznany z epoką, jaką zamierzył przedstawić. Jörgen byłby z czystym sumieniem przysięgał, że arab miał złote podkowy — ale nic nie mogło go przekonać, że piękna córka rycerska nazywała się panną Mettą.

Pominąwszy to nieprzystojne imię, była to właśnie osoba, którą najbardziej się zajmował podczas lektury. Albowiem od razu można było poznać, że była ona zupełnie podobna do Lizy. Drobiazgowa krytyka mogłaby wprawdzie wtrącić swoje trzy grosze, że — według autentycznego opisu — rude włosy Metty, kiedy je czesała złotym grzebieniem, spływały jej na ramiona niby ognista fala płomieni, gdy natomiast Liza miała żółte włosy wpadające nieco w zielonkawy odcień — niby wymokła słoma. Podobnie ry-

cerska panna była posiadaczką „wdzięcznego, lecz energicznie wygiętego nosa”, podczas gdy tenże organ u młynarskiej dziewczki był szeroki i krótki, i raczej tym objawiał swą energię, że podciągał nieco w górę mięsistą wargę, dzięki czemu widać było parę dużych, białych zębów — a to znowu niezupełnie odpowiadało opisowi „małych ust o wąskich, zaciśniętych wargach”. Także oblicze bohaterki powieści było nazbyt szlachetne, by posiadało dołeczki, podczas gdy na policzkach Lizy widniały zawsze dwa przy najbliższym uśmiechu, trzeci zaś dołeczek ozdabiał stale brodę, nieco cofniętą w tył twarzy, jak gdyby naciśniętej zbyt silnie przy wygniataniu tego dołeczka.

Jörgen oczywiście musiałby przyznać, że te i inne jeszcze szczegóły niezupełnie zgadzały się z sobą; to jednak nie przeszkadzało bynajmniej, że nie mógł przeczytać ani jednego wiersza o Metcie, nie myśląc równocześnie o Lizie.

Najważniejsze było właśnie to, że jak wszyscy przedstawiciele męskiego rodu w książce kochali się w pannie Metcie, tak samo tutaj w młynie i majster, i on sam, i drugi parobek Chrystian, i nawet pędrak Lars, uczeń młynarski — wszyscy durzyli się w Lizie. Ale i to także zgadzało się, na Boga, że żaden z nich nie wiedział, jak ona odnosi się do niego, a cóż dopiero mówić o innych. Albowiem Jörgen nie mógłby w żadnym wypadku przysiąc, czy ów Lars, wokół którego dziecięcych ust rosły tak rzadkie włoski, że nawet mączny pył się ich nie czepiał, czy tenże Lars nie skradł przy nadarzającej się sposobności całusa, do którego on sam tak tęsknie składał swoje wargi, ozdobione wcale wspaniałym wąsem. A właśnie opowieść stwierdzała, że panna Metta, wyszedłszy na ciemny balkon, aby ochłonać nieco po tańcu, pocałowała w usta giermka z błękitnymi jak niezabudki oczyma, który przyniósł jej wino; uczyniła to zaś bezpośrednio po tym, kiedy swą oziębłością doprowadziła do rozpacy najświetniejszych rycerzy.

Cóż więc dziwnego, że Jörgen z prawdziwą namietnością śledził teraz podstępne drogi kobiece pięknej Metty, obsługując jednocześnie pracujące kamienie młyńskie — albo też zapominając o ich obsłudze. Ponieważ mógł przeczytać jednym ciągiem tylko parę stron, był jeszcze na długi czas zaopatrzonej, tym więcej że czytywał tylko na piętrze żarnowym. W chwilach wolnych od pracy zajmował się czym innym — śledził przede wszystkim podstępne drogi kobiece pięknej Lizy. Na dolnym piętrze zbyt wiele czynności przeszkadzało czytaniu: trzeba było windować i spuszczać worki, usuwać je po napełnieniu mąką i podsuwać nowe, ważyć i zapisywać do księgi. Tutaj, na górze było całkiem inaczej: wystarczyło kiedy niekiedy poruszyć ręką, a młyn sam pracował; a jeżeli nawet kiedyś zabrakło tej pomocnej ręki, to jedynym złym następstwem było tylko to, że kamienie przez jakiś czas meły powietrze — meły jednak w każdym wypadku.

Aczkolwiek to miejsce pobytu różniło się bardzo znacznie od wspaniałych sal, po których poruszała się pani Metta — to jednak zdawało się Jörgenowi, że przynależy do opowieści; w cikliwy, syjący zapach mąki wkradała się nieokreślona woń rycerskiej epoki i zamkowego życia. Dzięki właściwej symetrii sześciu pionowych walców, które wznosiły się do powały¹ niby smukłe kolumny, dzięki czworogu drzwiom, z których jedne były zawsze otwarte od strony ganku, dzięki spuszczonej kłapie przypominającej wejście do tajnych więzień, dzięki wreszcie otworom w powale, przez które spoglądało się po obu stronach niby przez dwie wieżycy w górę pod sam kaptur — dzięki temu wszystkiemu można było poniekąd porównywać to górne piętro z rycerskim zamczyskiem. Przestrzeń ta, wypełniona zakurzonymi drewnianymi belkami, pozbawiona wszelkiej ozdoby bardziej może przypominała średniowiecze, aniżeli przypuszczał „łaskawy czytelnik”. Liza, tak samo jak prawdopodobnie Jörgen, w swym codziennym stroju roboczym była podobniejsza do prawdziwej dziewczki Metty z okresu wojen krzyżowych, niż to można było sądzić na podstawie kwiecistego opisu autora.

Wiał lekki wiatr. Wszystkie trzy kamienie młyńskie wyłączono. Pracowały tylko łuszczarka i sortownica, której małe kółko warczało nieznużenie tuż przy otwartych drzwiach. Regularny szmer jakby trącej piły mieszał się z przypominającym łoskot wodospadu szumem zboża w łuszczarce, której oś hałasowała nieregularnymi uderzeniami i brzęczała żelazem okucia. Kiedy niekiedy rozlegał się ostry ton niby głos świerszcza. Głuchy poszum śmig i przytłumiony skrzyp kół na trzech górnych piętrach wtórowały tej przenikliwej muzyce piętra żarnowego.

¹powala — sufit. [przypis edytorski]

Jörgen siedział zamyślony i wsłuchiwał się w te dźwięki, nie mając lepszego zajęcia, bo czytanie musiał przerwać. Nadaremnie przesiadał się z jednego worka na drugi, oddalając się od miejsca pracy — dalekowzroczne oczy nie rozróżniały już liter w mdłym świetle wieczornym. Gniewało go to bardzo, przerwał bowiem czytanie w strasznie zajmującym miejscu: panią Metta wsypała właśnie truciznę do pucharu, który był przeznaczony dla narzeczonej Czerwonego Rycerza, cnotliwej panny Karen. Metta mianowicie pragnęła poślubić Czerwonego Rycerza; nie dlatego że go kochała, ale dlatego, że był on najbogatszym i najpotężniejszym rycerzem w całej okolicy. I można było przypuszczać, że bez wahania pozbędzie się również męża w ten sam sposób, skoro tylko utrwali swoje prawa pani na Morskim Zamku. Bardzo wyraźnie odgadywał to giermek Czerwonego Rycerza — właśnie ten sam, któremu polecono podać zabójczy napój tryskającej zdrowiem Karen.

Ten zbrodniczy klimat, który pojawił się niespodziewanie w opowiadaniu, sprawił Jörgena w silne podrażnienie, zwłaszcza dzięki porównaniu, jakie mimo woli ciągle przeprowadzał. Czy też Liza byłaby zdolna uczynić coś takiego? Przeczucie demonizmu kobiecej natury wstrząsnęło nim dreszczem trwogi, chociaż poniekąd działało także pociągająco. Szczególnie zastraszało go to, że sam uważał się za giermka z powieści. Już dawno przywłaszczył sobie w wyobraźni jego fałdziste, żółte buty ze srebrnymi ostrogami, jego jedwabny kaftan i krótki aksamitny płaszcz obszyty futrem kuny, a również jego pięknie brzmiące imię Hjalmar. Trwając w tej roli, podawał niedawno z drżeniem serca strzemię Lizie — to znaczy pannie Metcie, kiedy wsiadała na swoją śnieżnobiałą klacz. A kiedy po zachodzie słońca rozbito obóz w zielonym lesie i rozpalono ogień, aby upiec upolowaną zwierzynę, rycerz posłał go z pucharem wina do panny Karen, która zmęczona jazdą wypoczywała w gronie swych przyjaciółek na uboczu na posłaniu z liści. Wówczas to zdarzyło się, że od ciemnego bukowego pnia oderwała się jakaś postać i podeszła ku niemu — a postacią tą była Metta. I nie sprzeciwił się, gdy wsypała biały proszek do pucharu, „aby napój nabrał kojącej mocy” — i zrozumiał dobrze, co znaczą te słowa, i pojął jeszcze lepiej, co mu panią Metta przyrzeka, zapewniając, że nie poniesie szkody, kiedy ona zostanie panią na Morskim Zamku — pojął, dlaczego uśmiechnęła się tak dziwnie słodko i złowrogo w czerwonym blasku myśliwskich ognisk, przeświecającym między ciemnymi pniami drzew... Jakże chętnie czytałby dalej, aby się dowiedzieć, czy przypadkiem nie potknie się o korzenie i nie wyleje jadowitego napoju, zanim dojdzie do Karen. Nie odważał się rozmyślać nad tym — było to zbyt niesamowite.

A teraz siedział z książką w ręku i nasłuchiwał, jak młyn hałasuje i chrzęści, furczy i skrzypi, a te dobrze znane dźwięki mówiły do niego prozaiczną, ale kojącą mową o codziennej pracy, mówiły o tym, że lepiej jest trzymać się swego zawodu i nie pozwalać myślom, by beczynnym błędziły po bezdrożach.

Jörgen wstał i położył kalendarz na mącznicy, wytarłszy poprzednio rękawem skrzynię. Potem wydobyl z otworu w podłodze płaskie, żelazne wiadro, potrząsnął nim i uważnie obejrzał ziarno. Nie można było dojrzeć, czy jest już należycie oczyszczone, ale wydawało mu się, że pozostawało już chyba dość długo w łuszczarce.

Przesunął je ku sortownicy i wrzucił parę szufli do leja. Potem odszukał fajkę leżącą gdzieś na skrzyni i próbował zapalić zapalką przygnieciony palcem popiół w nadziei, że na dnie kryje się jeszcze reszta tytoniu. Przez niedomknięte drzwi poza sortownicą wlatywały i wylatywały wróble i ćwierkając wydziobywały rozsypane ziarna. Jörgenowi wydawało się niemal, że ptaki szydzą sobie z niego, ponieważ stoi tutaj i mozoli się, aby zgotować im biesiadę. Szczególnie zaś rozgniewał się, gdy w tej chwili os załomotała wściekle, koło skrzypnęło jak oszalałe, a z wszystkich szpar i otworów posypała się mąka, wirując białym tumanem ku drzwiom. Sprawiało to wrażenie, jak gdyby młyn mówił: „No, teraz dopiero zabieramy się ostro do pracy!”

Teraz! Do diabła! Przez calutki dzień harował jak koń, bo w tym czasie, kiedy młynarka chorowała, młynarz ani palcem nie ruszył, a roboty było tyle, że ledwie udało się kiedy niekiedy nabić fajkę w przerwie. Dopiero mniej więcej przed godziną mógł wziąć książkę do ręki na chwilę... Co prawda, do końca dnia roboczego brakowało jeszcze pół godziny, a także trzeba było właściwie wyluszczyć trochę więcej zboża — ale diabli wiedzą, jak tu jeszcze dalej pracować! Nie mógł po prostu zebrać myśli. Tak na przykład nie przypominał

sobie, czy kontrolował już ziarno w wiadrze. Zresztą i tak nic by już nie zobaczył, musiałby chyba wynieść wiadro na galeryjkę. Nie, to doprawdy nie ma celu tak się zaharowywać.

Natomiast celowe było pogawędzić trochę z Lizą, która właśnie o tej porze sprzątała izbę czeladną. Chrystian pojechał, a dla tego głupiego chłopaka, dla Larsa, znajdzie się już jakieś zajęcie.

To, że popiół w fajce uporczywie nie chciał się zatlić, a kopciuch z tytoniem przepadł bez śladu, to umacniało go jeszcze w przeświadczeniu, że napracował się dosyć w dniu dzisiejszym.

Więc Jörgen wyszedł leniwie na galeryjkę, aby sprawdzić, czy młynarz nie kręci się gdzieś w pobliżu i czy sytuacja jest na tyle pomyślna, by można młyn zatrzymać.

II

Pluca jego, oddychające tak długo przepojoną mącznym pyłem atmosferą młyna, wypełniły się nagle świeżym powietrzem morskim, które silny wiatr północno-wschodni napędzał od strony Sundu. Wiatr zmarszczył powierzchnię wody, tak że błyszcząca matowo niby zroszony metal, na niebie zaś rozpostarł wachlarzowato mgły i skłębione chmurki, które goniły się wzajemnie, jedne skąpane jeszcze w purpurze zachodu, inne już przygasłe, zielonawoszare, i wreszcie takie, których nie dosięgła jeszcze czerwień wieczoru i które słońce oświecało pełnym blaskiem. W miejscu, gdzie słońce zaszło, piętrzyła się fioletowa góra obłoków.

Ku temu niebu zwrócił się instynktownie młynarski wzrok Jörgena, aby stwierdzić, czy są jakieś oznaki, które by na podstawie doświadczenia, wzbogaconego teraz całą meteorologiczną mądrością kalendarza, umożliwiły wysnucie pewnych wniosków co do dnia jutrzejszego. Ale brakowało tych właśnie oznak, które by uradowały jego serce, zapowiadając ciszę i bezczynność. Przeciwnie, to niebo przyrzekało nie tylko „pełną czapkę wiatru”, ale pełny kaptur młyński. I oko młynarskie, oko nienależące do właściciela, odwróciło się z niechęcią.

Pomiędzy błyszczącym Sundem i jaśniejącym niebem rozciągało się wybrzeże Zelandii niby olbrzymie, daleko wysunięte wzgórze. Lasy i niwy zlewały się w jedno za gorącą purpurową zasłoną, która zacierała wszystkie szczegóły. Tylko jakiś kościół, wzniesiony na wzgórzu, sterczał białą plamą w tej masie. Wyglądał tak, jak gdyby jedna z licznych mew krążących nad Sundem zawisła w powietrzu i znieruchomiła w jednym punkcie. Z tej strony Sundu rozciągał się Falster. Tu widać było dokładnie szczegóły, ponieważ galeryjka młyna była najwyższym punktem w całym widzialnym okręgu, wyjąwszy szczyty drzew. Nie tych drzew, które tu przeważnie rosły — nie szczyty tych szerokolistnych topól, które w postaci kulistogłowych karłów ogradzały pola, aż wreszcie ostatnie ich szeregi przepelniały coraz to węższy zagon soczystozielonego żyta i oliwkowych zasiewów wiosennych i sprawiały wrażenie głów kapusty w olbrzymim ogrodzie warzywnym. Ponad takie drzewa człowiek wynosił się tutaj wysoko. Ale były także prawdziwe lasy: wszędzie wynurzały się spośród topolowych zarośli, najbliższe błyszcząły świeżą, miękką zielenią młodego bukowego listowia, dalsze miały coraz bledszą barwę, wpadającą w fioletowe odcienie.

Jörgen z zadowoleniem obserwował ten dobrze znany krajobraz, nieświadomie radując się jego rozległością po wyjściu z ciemnej klatki młyna, gdzie tak długo był uwięziony. Ale raz po raz spoglądał na podwórze, gdzie kryła się przynęta. Zaraz po wyjściu na galeryjkę Jörgen zauważył, że jednokonny powozik doktora stoi przed drzwiami domu; rozważał więc, czy wobec tego jest wskazane zatrzymać młyn. Doszedł do wniosku, że nie, i zaczął szukać jakichś śladów Lizy. Niebawem przekonał się, że nie znajdzie jej ani przy studni, ani w ogrodzie warzywnym, ani w kurniku. W domu, oczywiście, mógłby ją dostrzec tylko wtedy, gdyby stanęła przy oknach, ale były pewne niezawodne znaki: gdyby poszła do pokojów, zostawiłaby swoje drewniane trepy przy progu. Wprawdzie było sucho, ale musiała chodzić w trepach, bo trzewiki posłała do szewca; tego rodzaju drobiazgi Jörgen zawsze bacznie obserwował, mogły bowiem mieć swoje znaczenie.

Dalej zaś: w kuchni towarzyszył zawsze Lizie jej ulubieniec, biały kot Pilatus — kot zaś spacerował teraz wśród grządek ogródka, którego piękne białe sztachety zamykały z jednej strony wjazd na podwórze młyna. Pudel Karo, którym Pilatus najgłębiej po-

gardzał, położył się spokojnie na progu obory, czego z pewnością nie uczyniłby, gdyby Liza była wewnątrz, albowiem nie lubił zbliżać się ku niej, smutnie wspominając licznie otrzymywane kopnięcia.

Ale Liza mogła się jeszcze znajdować w piekarni, przybudowanej do kamiennej podstawy młyna. Aby przedsięwziąć przeszpiegi w tej części twierdzy, Jörgen musiał wcisnąć się poza śmigi, które obracały się przed nim z głuchym świstem, klaszcząc wesoło swymi luźnymi płaszczynami. Drzwi piekarni były zamknięte, a ponieważ Liza miała z opieszałości przyzwyczajenie przymykania ich tylko, więc i tam nie należało jej poszukiwać.

Kiedy Jörgen powrócił wzrokiem z tej wyprawy, dostrzegł doktora wdzwijającego płaszcz w sieni, a potem wychodzącego do powozika w towarzystwie młynarza. Wysoki ponad miarę młynarz pochylił się ku niskiemu, krępemu doktorowi i rozmawiał z nim żywo, doktor natomiast potrząsał ustawicznie głową i wyciągał ramiona, jak gdyby chcąc poprawić na sobie nieco przyciasny płaszcz.

Przed byстрыm wzrokiem młynarskiego parobka nie ukryło się wielkie podniecenie majstra. Jego ręka drżała i aby to utaić, szarpał krótko ostrzyżoną ciemną brodę lub klepał po karku żółtego konika. Z wielkim trudem zdołał przypiąć fartuch powozika, a kiedy tego dokonał, przystanął jeszcze, trzymając silnie prawą ręką oparcie, jak gdyby chcąc zatrzymać powozik i zadać jeszcze parę pytań.

Ale bardziej niż na młynarzu Jörgen skupił uwagę na jasnej dziewczęcej główce, która ukazała się obok w otwartym oknie: więc była w spiżarni, nie poszła jeszcze do izby czeladnej. Nic zatem nie stracił.

Dzięki temu mniej go rozgniewało niż w innych okolicznościach, że młynarz zostawszy się ostatecznie z doktorem, laził tu i tam po podwórzu. Na rogu białych sztachet zatrzymał się i spojrzął na drogę wiodącą z zewnątrz na podwórze między młynem i ogrodem.

Jörgen zamierzał właśnie wejść do wnętrza i jeszcze raz potrząsnąć zboże, gdy młynarz odwrócił się i zawołał:

— Jörgenie! Czy tam z góry nie widać wózka jadącego od strony Stinderup?

Parobek wzdrygnął się — nie przypuszczał, że młynarz go zauważy.

W oddali, gdzie tylko topole znaczyły drogę, posuwała się naprzód chmura z białym jądrem i wielkim ogonem jak u komety, który w górze ponad drzewami rozbłyskał złocistą mgłą.

— Tak, ktoś jedzie — meldował Jörgen — ale szybciej niż zazwyczaj chodzą nasze gniadosze².

Szybkim krokiem wrócił więc młynarz do domu.

Wtedy Jörgen uśmiechnął się zadowolony i spuścił łańcuch prasy — śmigi wnet przestały się poruszać. Kiedy jednak przechodził przez piętro żarnowe, żelazny pierścień na osi kręcił się jeszcze z wściekłym hałasem, jak gdyby protestował przeciwko temu przedwczesnemu zatrzymaniu młyna.

Na dolnym piętrze było już ciemno: brakowało tu drzwi wiodących na zewnątrz, a dwa małe okienka zniknęły poza barykadą worków. Całą tę przestrzeń wypełniały worki ustawione szeregiem, spiętrzone na sobie lub rozrzucone po podłodze; na jednym z worków leżał uczeń młynarski Lars, który zasnął przed półgodziną. Śniło mu się, że ulubieniec Lizy, biały kot Pilatus, który w ogóle nigdy nie zachodzi do młyna, wkradł się tym razem do wnętrza i zasiadł na środku komory, jak gdyby obejmując ją w posiadanie. Powoli kot urastał do wielkości pantery, jaką Lars widział kiedyś na jarmarku, a jednocześnie mruczał z odpowiednią siłą, tak że wreszcie zagłuszył całkowicie hałas młyna. Wpatrywał się w Larsa płomiennymi oczyma i oblizywał się. Lars był bardzo przerażony, ale doznawał uczucia, że pogładzenie ręką tego błyszczącego futra musi być niezwykłą rozkoszą. Nagle Pilatus przestał mruzczyć i ziewnął tak straszliwie, że aż szczęki mu głośno trzasnęły.

Lars ocknął się przestraszony i zauważył w tej chwili, że młyn stoi i że ktoś schodzi na dół po trzeszczących schodach. Zerwał się szybko i zdołał jeszcze naładować worek na taczkę, zanim zjawił się Jörgen. Parobek spojrzął na chłopca surowo i karząco — postę-

²gniadosz — koń maści *gniadej*, tj. mający sierść brązową, a grzywę, ogon i dolne odcinki kończyn czarne. [przypis edytorski]

pował tak zawsze, aby zaznaczyć dzielącą ich pozycję społeczną. Na szczęście ciemność skryła w sobie zakłopotane oblicze Larsa.

Jörgen podszedł ku oknu wychodzącemu na zachód. Poprzez brudne szybki padało jeszcze nieco wieczornego światła na księgę rachunkową leżącą na małym kantorku. Powoli odwracał kartki księgi — bynajmniej nie celem kontroli, ale z przyzwyczajenia, albowiem sądził, że takie postępowanie nadaje mu poniekąd cechę pryncypała. Prócz tego, tym razem szukał pozoru, by stanąć tu na posterunku. Pragnął się dowiedzieć, kogo Chrystian wiezie z takim pośpiechem, zależało mu także na tym, aby dosłyszeć, kiedy w przejściu rozlegnie się odgłos drewnianych trepów. Nie mogło to ująć jego uwagi, ponieważ zapadnia, służąca do windowania worków, znajdowała się tuż obok. Tylko ten głupi smarkacz niepotrzebnie hałasował taczkami, przesuając bez końca worki.

Toteż oświadczył Larsowi, że byłoby nader pożądane, aby zajął się pracą na wyższym piętrze. Na skromne zapytanie Larsa, czy nie można by tego odłożyć do jutra, odpowiedział ciętym zapytaniem: „A może do przyszłego roku, he?” — a kiedy chłopiec zauważył, że może najlepiej byłoby zrobić przede wszystkim tutaj porządek, poprosił go stanowczo, by słuchał tego, co mu każą, i nie wtrącał zawsze swoich trzech groszy. Posłuszny tej doskonałej radzie Lars zdjął z belki małą blaszaną lampkę bez szkła, zapalił ją i powędrował na górę.

W tej samej chwili przyjechał wózek.

Aha! Więc to proboszcza przywieziono!

W parę minut później usłyszał upragniony stuk drewnianych trepów, a gdy zerknął poprzez szeroką szparę zapadni, dojrzał przesuwany się niebieski skrawek sukienki.

Szybko zbiegł po ciemnych schodach, pchnął silnie drzwi z przeciwnej strony przejazdu i stanął na progu izby czeladnej.

III

Liza była tam istotnie.

Obejmowała ramionami potężną pierzynę i tylko wygięte plecy i kark rysowały się wyraźnie na tle słabego światła dziennego, wpadającego przez okno z wschodniej strony. W środku izby krzyżowało się ono z wieczornym blaskiem napływającym przez wrota; po obu stronach przestrzeń ginęła w głębokim mroku, a chociaż izba nie była duża, pobielone ściany wydawały się tylko siwą mgłą okalającą ciemne zarysy łóżek, szaf, wielkiej skrzyni i rozwieszonych ubrań.

— Ach, jesteś tutaj — zawołał Jörgen, stojąc jeszcze w drzwiach i usiłując udać zdziwienie.

Liza odwróciła głowę raczej dlatego, że pierzyna chciała jej opaść na nos, niż dlatego, aby spojrzeć na Jörgena.

— Tak, jestem tu — oświadczyła i nie zwracając dłużej na niego uwagi, cisnęła pierzynę na materac i poczęła ją obrabiać mocnymi uderzeniami dłoni.

Jörgen usiadł na stolku, który przesunęła na środek izby.

— Czy wiesz, kto przyjechał? — zapytał, kiedy pierzyna przybrała normalny kształt, a hałas ucichł.

— Nie, karmiłam świnię, gdy Chrystian przyszedł, a potem nie widziałam go wcale. Zapewne je wieczkę.

Jörgen wyraził życzenie, aby mu smakowała.

Liza poszła po poduszkę, którą cisnęła przedtem na drugie łóżko; idąc, zatrzymała się przy okienku i spojrzała w stronę domu mieszkalnego.

— Widziałam w stajni gniadosze, dymiło się z koni jak z kotła... musiał, widać, jechać galopem.

— Być może.

Liza położyła poduszkę na właściwym miejscu, rozciągnęła prześcieradło i obetkała je mocno dookoła; robiła to wszystko z pewną starannością, a jednocześnie czekała w milczeniu, co Jörgen powie dalej. Ale on milczał uporczywie niby ktoś, kto ma w ręku wysoki atut i nie chce go wygrać, zanim nadejdzie dobra sposobność.

— Czy wiesz, kogo przywiózł? — zapytała wreszcie.

— Tak... przyjechał proboszcz.

— Jezusie! — szepnęła przerażona i odwróciła się ku niemu.

Ozwało się ciche miauczenie, coś białego poruszyło się na podłodze w głębokim mroku. Był to Pilatus, kocur, którego Jörgen dotychczas nie zauważył. Otarł się o spódnicę i mruczając pieszczotliwie, wyciągnął szyję, tak że jego szeroka głowa, podobna w zmierzchu do łba ogromnej żmii, dotknęła niemal kolana Lizy. Wydawało się, że żółte źrenice powiększyły się i silniej świecą. Parobek doznał niesamowitego uczucia, widząc skradające się zwierzę, które niby atrybut jakiejś bogini ściśle wiązało się z Lizą. Wydawało się, jak gdyby kot przeczuyał tajemniczym instynktem, że jego pani zamierza wejść na wyższe szczeble społeczne i jak gdyby chciał z tego powodu z podwojonym zapalem wkraść się w jej łaski — w łaski tej, która stała teraz, dysząc szybko wskutek wewnętrznego podniecenia.

— Tak, w takim razie zapewne nie potrwa to już długo — rzekł Jörgen.

— Nie... zapewne nie potrwa już długo — powtórzyła, niemile dotknięta tym, że wyraził jej własną myśl.

— A cóż powiedział doktor?

Liza pochyliła się, jak gdyby poddając się pieścizocie kota i pogłaskała zwierzę.

— Tego nie wiem.

— Jak to?... Stałaś tam przecie i podsłuchiwałaś.

— Ja? Czyś ty stracił rozum?

— O tak, w spiżarni.

— Miałam tam robotę.

— Właśnie przy oknie?

— Tak, właśnie przy samym oknie. A ty musisz zawsze gdzieś stać i wypatrywać.

Jörgen roześmiał się drwiąco.

— Podsłuchiwałam? — mówiła dalej rozniewanym tonem. — Nie wiem tylko, dlaczego miałabym podsłuchiwać. Czy to może mnie obchodzić, czy pani będzie żyła, czy nie?

Ciągle jeszcze stała pochylona nad kotem, który rozkosznie przewrócił się na grzbiet i wpił się pazurami w jej rękaw, podczas gdy jej palce błądziły po gęstym futrze brzucha. Jasny węzeł włosów dotknął kolana Jörgena. On przechylił się teraz nieco i szepnął jej do ucha:

— Wszystko zależy od tego, jak to będziemy rozumieć, Lizo.

Dziewczyna wyprostowała się nagle i zaśmiała krótkim śmiechem.

„Czyż ja ją tak bardzo kocham?”

Nastąpiło milczenie. Słyszeć było tylko prychnięcie kota.

— A zatem cóż doktor powiedział? — pytał Jörgen z uporem.

— Ach! Powiedział, że nie ma wiele nadziei... ale nie trzeba rozpaczyc, bo wszystko jest w ręku Boga... powiedział to, co się zwykle mówi w takich wypadkach.

— Tak, tak przypuszczałem.

— A teraz także proboszcz przyjechał.

Liza nie zastanowiła się, że jeszcze przed odwiedzinami doktora posłano po proboszcza, że zatem nie świadczy to o niczym. Dla niej przybycie proboszcza stało się kropką nad i. Teraz młynarka musi w to uwierzyć.

— Zdaje się, że młynarz przejął się strasznie słowami doktora — mówił dalej Jörgen. — Widziałem, jak mu ręce drżały.

— Och, zaledwie zdołał powstrzymać łzy... a potem ustawicznie błagał: „Musiał ją uratować, doktorze! Nieprawdaż? Ona nie umrze?...”, zupełnie jak dziecko...

— Tak, to jednak szczególnie.

— No, przecież to jego żona.

— Zapewne, ale mnie się zdaje... że jeżeli ktoś ciągle ugania się za inną i jest jakby opętany... można by przypuszczać, że chyba życzy sobie, aby się jej pozbyć.

— Życzy sobie, aby się jej pozbyć? Co ty wygadujesz?

Moralne oburzenie, jakie miało się przejawiać w tych słowach, nie sprawiło bynajmniej wielkiego wrażenia na Jörgenie. Podniósł się, oparł kolano na stołku, a łokcie na poręczach i spojrział dziewczynie ostro w oczy.

— Słuchaj no, Lizo, jeżeli ona umrze, to ja dobrze wiem, kto zostanie żoną młynarza.

— Ach, wiesz, że pleciesz niedorzeczności!

— Być może... ale co wiem, to wiem i inni także wiedzą, a ty sama najlepiej.

— No, nie można nigdy przewidzieć, jak się wszystko ułoży — wtrąciła Liza. — Czy tak niechętnie widziałbyś mnie na stanowisku gospodyni?

— Nie wiem... to inna sprawa. Ale jeżeliby ona żyła albo jeżeliby inna przyszła na jej miejsce, to mogłaby się z tobą pokłócić i wywalić cię.

— A czy to sprawiłoby ci przykrość, Jörgenie?

Wypowiedziała to pytanie najczulszym głosem, a mimo zmroku Jörgen zauważył, że spogląda na niego bardzo życzliwie. Już sama myśl, że wydalono by ją z tego domu, zaparła mu niemal oddech w piersi; pod wpływem jej spojrzenia uczuł, że krew uderza mu do głowy.

— Tak, to byłoby najgorsze z wszystkiego, co mogłoby mnie spotkać — wyjąkał.

— No, w takim razie możesz być pewny, że gdyby tamta w domu wyzdrowiała, nie potrwa długo, a będę biegać z książeczką służbową.

Szepnęła te słowa bardzo dobitnym tonem, jak gdyby było niezmiernie ważne przekonać go o konieczności śmierci młynarki. Głos jej drżał, z trudem wypowiadała słowa; wydawała się jakby pełna obaw o to, że odmienne przekonanie parobka może jej zepsuć grę, albo też jakby takie czy inne pragnienie lub prośba mogły powrócić umierającą do życia. Albowiem nie było wykluczone, że zazdrość podsunęła mu takie niedorzeczne pragnienie. Czyż nie brzmiało ono w jego słowach: „Wiem ja dobrze, kto zostanie żoną młynarza”?

Jörgen zastanowił się przez chwilę.

— Tak, ale ja mogę zawsze stąd wylecieć, jeżeli się tak młynarzowi spodoba. A to byłoby takim samym złem... dla mnie.

— Nie, Jörgenie — odpowiedziała Liza, uspokajając go. — Skoro zostanę panią domu, to i ja chyba będę mogła coś powiedzieć i nie może być o tym mowy. Pozostaniesz tutaj, dopóki ci się samemu spodoba, a ja nie przestanę troszczyć się o ciebie. Zdaje mi się, że nam wszystkim będzie tutaj dobrze.

Ostatnie słowa wypowiedziała, przeciągając nieco i nagle schwyciła Pilatusa, który znowu zaczął ocierać się o nią, podniosła go w górę i jak dziecko przycisnęła do piersi.

— Może nam być tutaj dobrze wszystkim razem, nieprawdaż Pilatusie?

Szeptala te słowa na wpeł śpiewnym głosem, a kot odpowiadał jej radosnym pomrukiem, wciskając się z niewysłowionym zadowoleniem w gniazdo utworzone z miękkiego łona i ramion kobiety. Wielkie, żółte, demoniczne oczy przesywały Jörgena. A tuż ponad tym łbem widniała twarz Lizy; wystające kości policzkowe, krótki nos, błyszczące spod górnej wargi zęby i cofnięta w tył broda miały w sobie zawsze coś kociego, co teraz potęgowało się w tym zestawieniu. Co prawda, oczy jej nie były jasne, lecz przeciwnie — bardzo ciemne, a najczęściej prawie pozbawione blasku; w tej chwili jednak, jak zauważył, zapłonęły błyskawicami.

I Jörgen przypomniał sobie pannę Mettę i Hjalmarą, jak stali oboje w nocy w bukowym lesie, a blask myśliwskiego ogniska migotał na uśmiechniętych ustach młodej damy i polyskiwał na brzegu pucharu, do którego wsypywała truciznę.

Nagle podszedł całkiem blisko ku Lizie.

— Słuchaj no, a gdybym tak ja miał młyn... taki jak wiatrak kozłowy w Utterslev... czy i w takim razie młynarka musiałaby umierać?

Zaskoczona tym pytaniem, opuściła nagle ramiona. Pilatus, przywykły do takich nagłych odmian, osunął się na podłogę, otrząsnął się i oddalił o kilka kroków od tych zbyt niespokojnych ludzi.

— Znowu pleciesz niedorzeczności. Ja nie zabijam jej przecież!

— Nie, nie! Zastanawiałem się tylko, czy nie wolałabyś być w takim razie gospodynią w moim młynie?

— Gdybyś miał tylko wiatrak, to wolałabym wybrać raczej młyn holenderski.

Ta praktyczna uwaga niemal rozbroiła Jörgena.

— Nie... to znaczy... nie sądziłem, że tak bardzo lubisz młynarza.

— A któż ci powiada, że *ciebie* tak bardzo lubię?

Jörgen zamilkł i westchnął z rezygnacją.

Zdjął właśnie z gwoźdza swoją drewnianą fajkę i chciał otworzyć okno, aby ją wyściścić, gdy brzmiały wściekłością syk zmusił go do odwrócenia się.

W drzwiach stał Lars. U jego nóg leżał ciemny kłębek z parą świecących plamek, a pośrodku izby Pilatus przeżył grzbiet — dwaj wrogowie domowi spotkali się na spornym pasie granicznym.

Przybysz był chudy, o szarej sierści w pręgi. Przebywał prawie wyłącznie w młynie, gdzie znajdował pod dostatkiem myszy i gdzie niekiedy na górnych piętrach mógł także upolować ptaszka. Dawniej Pilatus zajmował tę intratną posadę, ale niebawem po przybyciu Lizy sprzeniewierzył się młynowi i zamieszkał w kuchni. Wzajemna sympatia związała go z dziewczyną; dzięki jej opiece stał się tłusty i leniwy, a mysz mogła mu przebiec przed nosem, nie narażając się na większe niebezpieczeństwo. Potem pewnego razu pojawił się w młynie szary kocur i zagarnął go w swe posiadanie. Nikt nie wiedział, skąd przyszedł. Miał trudny, wyjątkowo nieprzystępny charakter, nie jadł nigdy z ręki. Dlatego też nie nadano mu ludzkiego imienia, jakim się mógł chlubić Pilatus, ale wołano go powszechnym nazwaniem Kizia.

Żywił on wobec Pilatusa tę instynktowną nienawiść, jaką dzikie zwierzę, walczące o skromne pożywienie, okazuje oswojonemu, które poniża gatunek, otrzymując pokarm z ludzkiej łaski. A znowu Pilatus w poczuciu swego dostatku spoglądał z góry na Kizię, jak na marnego proletariusza, żyjącego z pracy rąk własnych. Zresztą spotykali się bardzo rzadko i tylko w tej izbie. Ponieważ mieściła się ona w młynie naprzeciw magazynu, gdzie Kizia miał swój najlepszy rewir łowiecki, i ponieważ także tutaj pokazywały się myszy, więc Kizia mógł zaliczać ją nie bez racji do swoich terytoriów. Ale pogląd Pilatusa był także poniekąd uzasadniony, gdyż mniemał on, że izba jako miejsce zamieszkane nie odpowiada pojęciu młyna, pojęciu, które zresztą najzupełniej szanował. Toteż gdy Liza niosła strawę młynarczykom do młyna, nie szedł za nią nigdy. Ale tutaj czuł się jeszcze u siebie w domu.

— Patrzaj, jak zabawne są te dwa zwierzaki!

Zaledwie Liza to wypowiedziała, koty skoczyły już na siebie. Liza wrzasnęła i zaczęła walić poduszką w rozszalałą parę — co było zgoła bezskuteczne. Nagle jednak Lars chwycił Kizię za kark i wyrzucił za drzwi, a gdy przeciwnik zniknął z widowni, Pilatus ukrył się pod łóżkiem.

— Na Boga, że też odważyłeś się na to? — zawołała Liza. — Mógłby cię przecież strasznie pokaleczyć!

— Kizia byłby wydrapał Pilatusowi oko, a ty gniewałabyś się na mnie z tego powodu — odpowiedział Lars dobrodusznie.

— Dzielnym jesteś chłopak... Pfe, ty paskudny Pilatusie, wstydź się!

— Czy skończyłeś robotę na górze? — spytał Jørgen.

— Tak.

— A na dole?

— Także.

— No, zobaczymy — burknął Jørgen niedowierzająco.

Lars jednak był tak dumny z tego, co uczynił, i z pochwały, jaką usłyszał z ust Lizy, że sposób traktowania go przez starszego parobka nie wywarł na nim zgoła żadnego wrażenia. Wsadził ręce do kieszeni i oparł się o ramę drzwi.

„Tak, bardzo chętnie byś się mnie pozbył, ale ja stoję tutaj. Wydaje ci się, że piękna Liza cię lubi, ale czyś narażał swoją skórę, aby rozłączyć walczące koty?” — myślał Lars. Jørgen zmierzył go wściekłym spojrzeniem, które jednak nie odniosłoby skutku, nawet gdyby po drodze nie zagubiło się w mroku. Natomiast spojrzenie, jakim Liza obdarowała chłopca poprzez ramię — tymczasem bowiem słała drugie łóżko — dotarło szczęśliwie do celu. „Teraz spogląda na mnie! «Jest odważny» myśli o mnie. A może myśli także: «Chętnie ucałowałabym go za to?»”. Poczul, że płoni się rumieńcem, i wzdrygnął się, gdy Liza przemówiła do niego.

— Larsie — rzekła — schowałam dla ciebie kawałek chleba z masłem i z serem i trochę piwa. Jeżeli masz na nie ochotę, znajdziesz je w czeladnej kuchni.

— Dziękuję ci, Lizo! — odparł Lars i wybiegł wzruszony do głębi tą troskliwością.

„A to się Jørgen rozłości! Do licha! Jestem u niej w wielkich łaskach!”

„W ten sposób pozbyliśmy się go — pomyślał uradowany w duchu Jørgen. — Jak ona to sprytnie wymyśliła, aby pozostać ze mną sam na sam”.

Ale mylili się obaj. Albowiem w rzeczywistości był to chleb z masłem, na który ona sama nie miała ochoty, a piwo zaczynało już kwaśnieć.

IV

Podczas gdy Lars w czeladnej kuchni spożywał z nabożeństwem tę ucztę będącą dowodem życzliwości i rozmawiał z Chrystianem, który zjadł już swoją polewkę, ale nie miał ochoty wstawać, Jörgen siedział przy oknie, palił fajkę i opowiadał Lizie te piękne historie, jakie wyczytał w kalendarzu. Liza usiadła na łóżku i przysłuchiwała się uważnie; kiedy niekiedy okrzykiem wyrażała zdziwienie, że potrafił przeczytać i zapamiętać wszystko.

— A cóż się dalej stało? — spytała z napięciem.

— Otóż dalej już nie przeczytałem, bo zapadł mrok.

— To była zła dziewczyna.

— O tak... ale poza tym jest bardzo sympatyczna, kiedy się o tym czyta.

„Sympatyczna” — to było słowo, jakie zapamiętał z czytania. Lizę zdziwiło to wyrażenie, ale wydało się jej bardzo ładne, albowiem mogłoby i do niej się stosować.

— Ale człowiek idzie za to do piekła.

— Ta... a... k.

Jörgen nie rozmyślał nigdy zbyt dokładnie o piekle, mimo woli jednak wyobrażał sobie kobiece jego mieszkanki jako brzydkie, stare baby, bez wyjątku brodate czarownice z bajki. Toteż zaniepokoiła go bardzo myśl, że tak wdzięczne stworzenie jak Metta mogłoby tam przebywać.

— Ale tak było kiedyś, że ludzie byli bardzo źli — oświadczyła Liza, bębniąc nogami w podłogę.

— O nie, Lizo, to zdarza się i teraz! Słyszałaś zapewne o *tej*, którą kat ściął w proboszczowskim lesie koło Tostrup? To przecież niedaleko od was.

— Tak, słyszałam o takiej, która tam pono³ straszy.

— O, to pewne. Mój ojciec widział ją kiedyś na własne oczy, gdy w jasną, księżycową noc musiał iść przez las.

— Musiał? — powtórzyła Liza drażniącym tonem zapytania i pochyliła się naprzód, aby mógł zauważyć jej wyzywający uśmiech. — Czyżby wybrał się na niedozwolone łowy?

— No tak — przyznał Jörgen — może i zdarzyło się, że ścigał jakiegoś rogacza... Nie będziesz chyba osądzać go zbyt surowo z tej przyczyny... Co, Lizo kłusowniczancko?

— Jörgenie! — krzyknęła dziewczyna tonem pełnym wyrzutu, marszcząc brwi.

— Nie gniewaj się, Lizo! Wiem, że nie lubisz tego, ale tak się jakoś złożyło przy tej sposobności, zrozum... U nas zdarzało się to zresztą tylko przypadkowo... ot, po prostu fuszerka⁴.

Liza skinęła głową, potwierdzając fakt, że bywają także przygodni złodzieje, a jednocześnie dziękując za kryjące się w tej uwadze pełne szacunku uznanie dla niej, córki rodziny Vibe, w której uprawiano kłusownictwo od szeregu pokoleń z zawodowym mistrzostwem. W słowach Jörgena brzmiało życzenie, by zaznaczyć pewien związek między obiema rodzinami, ale zarazem podkreślić skromnie nieporównaną wyższość rodziny Vibe. Ta delikatność zasługiwała na uznanie i została uznana.

— Tak, więc to ten fuszer wchodził nam w drogę... i to nawet w proboszczowskim lesie!... Bądź co bądź było to trochę bezczelne! Hm... I wtedy zobaczył ją naprawdę?

— Tak, najwyraźniej. Opisywał ją dokładnie, taką samą, jaką widział dziadek, kiedy ją tracono. Była tak piękna, że wszyscy płakali.

— A cóż ona właściwie uczyniła złego?

— Zamordowała swego narzeczonego, proboszcza, podawszy mu zatrute ciasto.

— W takim razie przypuszczasz może, że ja karmię tę tam zatrutym ciastem?

— Jezusie!... Nie mów tak, Lizo! Strach słuchać... zwłaszcza w ciemności.

Liza zaśmiała się. Śmiech jej brzmiał krótko, twardo.

Podniosła się, stanęła obok niego i wyjrzała przez okno. Okno było małe i nisko osadzone, więc aby tym wygodniej patrzeć, przechyliła się całkiem w kierunku Jörgena, tak że brodą dotykała prawie jego czoła, a ramię, wsparte dłonią na poręczu stoika, położyła mu na barkach. Nigdy jeszcze nie była tak blisko niego, ale za nic na świecie nie ośmieliłby się dotknąć jej swą pieszczotą. Czuł lęk przed nią, a ona wiedziała o tym — on zaś zdawał

³pono (gw.) — podobno. [przypis edytorski]

⁴fuszerka — tu: amatorstwo, nieprofesjonalna robota. [przypis edytorski]

sobie sprawę, że ona to wie. Spoglądali oboje ku domowi. W ogródku przed domem błyszczały nagle promienie światła, błędząc po gałęziach krzewów, kładąc się na ścieżkę i gubiąc się jako majaczący połysk w trawie. Promienie te wychodziły ze szczytowego okna, gdzie zasłona była zaciągnięta. Tam wewnątrz leżała umierająca chora.

Nie. Liza nie zabijała młynarki. Co prawda przed miesiącem, kiedy się wydawało, że chora wyzdrowieje, przeszła jej przez głowę myśl, czyby nie można dopomóc chorobie, dodając coś do herbaty. Ale było to zbyt niebezpieczne, więc nie uczyniła tego. Jedynym środkiem, jaki mogłaby zdobyć, była trucizna na szczury, którą tak łatwo umiano by wykryć! Nie uczyniła tego, Bogu dzięki!... albowiem nie było to potrzebne. Teraz i tak dokona się to z całą pewnością. Proboszcz przyjechał... młynarka leżała wewnątrz i żegnała się ze światem. Nie, nie otruła tej kobiety... Czy jednak nie zatrula jej życia i czy nie utorowała jej przez to drogi do śmierci?... Ech, któż by śmiał ją obwiniać? Za to zresztą nie idzie człowiek od razu do piekła.

Takie myśli krążyły w głowie Lizy, kiedy obserwowała nagle promienie światła, przy którym gasło życie młynarki.

Kiedy niekiedy, w regularnych odstępach, jakaś postać przesłaniała promienie, długi cień pełzał po trawie, to zbliżał się, to znowu oddalał. To młynarz, pełen niepokoju, chodził przed domem tam i z powrotem.

Lękliwa ciekawość ogarnęła Jörgena: chciał zobaczyć, jak wygląda pochylona nad nim dziewczyna. Potarł zapalną, udając, że zapala fajkę. Nagły blask uderzył w dolną część podbródka o gładkiej jak atlas skórze, rozbłysnął przelotnie na emalii zębów, purpurową czerwienią wdarł się do nosa i prześwietlił nozdrza, które drgały nerwowo podobnie jak u wietrzącego za śladem psa. Cień wystającej kości policzkowej pogłębił skroń, a oko cofnęło się do oczodołu, nad którym migotała niby złocisty płot zazwyczaj prawie niedostrzegalna brew. To oświetlenie z dołu, które wydobywało na jaw płaszczyzny zwykle ukryte, a przesłaniało cieniem inne, zazwyczaj najsilniej oświetlone, stwarzało poniekąd odwrotny obraz i pokazywało mu oblicze, w którym zaledwie mógł się doszukać znanych rysów i które dzięki tej na wpół poufalej obcości jednocześnie odpychało go i pociągało tajemniczo. A zwłaszcza teraz niepokoilo swą niesamowitością, gdy kolejno prawie całkiem znikало i znowu pojawiało się, coraz bardziej blade i upiorne — wyczarowywane i znowu przyćmiewane migocącym blaskiem zapalniczki, która upadła na podłogę, nie osiągnąwszy celu zapalenia fajki.

— Jörgenie — szepnęła Liza — czy sądzisz, że można stamtąd z pokoju zobaczyć, co się dzieje tutaj w młynie?

— Cóż przypuszczasz? Przecież oddzielają ściany.

— Albo też usłyszeć?

— Tak daleko?

— Młynarz powiada, że to możliwe.

— Zwariowałaś chyba, jeżeli w to wierzysz.

— A jednak!... Kiedy młynarz mnie pocałował, ona wiedziała o tym i omal nie umarła z tego powodu, że już się jej wiele nie należy.

— A więc młynarz całował cię?

— Tak. Raz.

— Czy to już dawno?

— Nie tak bardzo dawno.

— Mniej więcej przed miesiącem?

— Czy może chcesz zapisać w kalendarzu? — zaśmiała się.

Oboje milczeli przez parę chwil.

Myśl o tym pocałunku wzburzyła Jörgena, gniewał się na nią, że opowiada o tym tak szczerze. Ale wprost nieznośny był ten pogardliwy spokój, z jakim pochylała się nad nim, jak gdyby była starą kobietą lub jak gdyby on nie był młodym, kochającym ją chłopakiem. Dlaczego jemu miało być wzbudzone to, na co sobie młynarz pozwalał? I gasząc obcasem resztkę żaru nowej zapalniczki, postanowił otrząsnąć się z ciężącego na nim przymusu, otoczyć ją ramieniem i rozprawić się z nią energicznie, gdyby się broniła przeciwko jego pieszczotom.

W tej samej chwili zabrzmiał w ogrodzie głos dziecięcy: „Ojczel!”

Liza wzdrygnęła się, wyprostowała i odstąpiła parę kroków.

Sprzyjający moment przeminął nadaremnie, ale Jörgen nie doznawał rozczarowania, przeciwnie, czuł pewną ulgę. W ciemności ta bliskość pięknego, krzepkiego, kobiecego ciała, którego nie widział, lecz wyczuwał tylko niby ciśnienie powietrza, ciążyła na nim jak zhora; krew wrzała w żyłach. Teraz odetchnął. Ale jednocześnie ogarnął go nieokreślony lęk; wpełzł on do izby wraz z tym głosem dziecięcym, zbolalym i płaczącym, który brzmiał mu jeszcze w uszach i oddziaływał na jego nastrój podobnie jak nocny krzyk sowy przed burzą.

— Przecież to okropne dla dziecka — oświadczył nagle.

— Jak to, okropne?

— Myślę o tym, że straci matkę.

— No tak, mój Boże! Takie biedne dziecko popłacze parę dni, potem zapomni.

— To dziwne, Lizo, ale mnie się zdaje, że Janek cię nie cierpi.

— Dlaczego miałby mnie nie cierpieć? — odpowiedziała w gniewie Liza. — Nie uczyniłam mu przecież nic złego, Bogu wiadomo.

— Oczywiście, ale Janek jest właśnie niezwykłym dzieckiem. Czy wiesz, co zwróciło moją uwagę?

— No?

— Z początku, kiedy Karo się tu przybłąkał, Janek nie dbał wcale o niego. Ale pewnego dnia oblaś psa miotłą i wypędziłaś z kuchni, i wtedy chłopiec zaczął go pieścić, bawił się z nim przez cały dzień, a od tego czasu są nierozłącznymi towarzyszami.

— Bo obaj są głupimi stworzeniami.

— Dlaczego właściwie jesteś niezyczliwie usposobiona do Kara? To przecież całkiem porządny pies.

— Kundel! Przewraca wszystko i rozpuszcza chmarę pcheł.

— Tak, pcheł ma istotnie dużo — poświadczył Jörgen — ale to nie jego wina. A z czasem odczy się także przewracać naczynia.

— Nie, Pilatus i ja nie cierpimy Kara! Nie, nie cierpimy go... prawda, Pilatusie? — I ruchem nogi potoczyła po podłodze kota mruczącego przytwarzając.

Jörgen potarł znowu zapalkę, tym razem naprawdę dlatego, aby zapalić fajkę. Potem pograżył się w głębokim rozmyśleniu nad chaosem w młynarskim państwie, a myśli doprowadziły go do następującego wniosku:

„Tak, gdyby Janek miał szesnaście lat zamiast sześciu, nic by zapewne nie przeszkodziło, żeby Liza załatwiła się z nim tak samo jak z innymi. Ale tak jak jest, zdaje mi się, że nie bez powodu obawia się go trochę”.

V

Młynarz przestał już chodzić wzdłuż szczytowej ściany.

Usiadł na niskim kopcu w ogrodzie, a Janek, który przyzywał go tak trwoźnie, stał obok niego. Oparł łokcie na ramionach ojca i wpatrywał się w jego twarz. Młynarz starał się okazać mu oblicze niezachmurzone troską.

— Ojcie — pytał Janek — czy ludzie są bardzo chorzy, gdy proboszcz przychodzi do nich?

— Czemuż by tak miało być? Przecież proboszcz przychodził i dawniej do mamy.

— Czy mama nie była wówczas tak bardzo chora?

Przepojona czułością miłość rodzicielska, pragnąca możliwie najdłużej oddalać smutek od tego dziecięcego serca, była dość czujna, by nie wpaść w pułapkę, jaką zastawił Janek, zadając to pytanie z nieświadomą przebiegłością, podyktowaną niepokojem.

— Mama nie jest i teraz tak bardzo chora — odpowiedział. — Proboszcz lubi ją bardzo, ponieważ jest dobra i pobożna, dlatego też odwiedza ją tak często.

— Wówczas jednak przychodził piechotą lub przyjeżdżał własnym wózkiem — zauważył Janek po krótkiej chwili namysłu, porównując z uporem dawniejsze odwiedziny proboszcza z obecnymi.

Ojciec pogładził lekko główkę chłopca, nie znajdując odpowiedzi.

— Ojcie — mówił Janek dalej — gdy proboszcz będzie odchodził, poprośmy go, niech błaga Pana Boga, aby nie zabierał nam mamy.

— Proboszcz uczyni to jutro w kościele, a wtedy wszyscy obecni będą się modlić o to razem z nim.

— A czy zabierzesz mnie także do kościoła?

— Tak, moje dziecię.

Chłopak położył głowę na kolanach ojca i milczał długo. Tymczasem młynarz rozważał, czym mógłby najlepiej rozerwać i ucieszyć Janka.

— Słuchaj, Janku, po nabożeństwie w kościele pojedziemy przez las i odwiedzimy leśniczego... Oni z pewnością będą także w kościele, a w takim razie odwiedzimy ich do domu... Czy przypominasz sobie dobrą ciotkę Hannę? Kochałeś ją bardzo, kiedy była tutaj i bawiła się z tobą... Ona piecze takie smaczne małe pierniki. Zobaczysz także tę sarenkę, o której opowiadałem ci, że przybiega do ręki, gdy się na nią woła...

Janek nie objawiał wcale radości. Ojciec pochylił się nad nim. Chłopak zasnął.

Była ciepła, wiosenna noc. Wiatr ucichł, jak gdyby także ułożył się do spoczynku, ponieważ nie trzeba już było wprawiać w ruch młyna. Nieruchome śmigi sterczały jak olbrzymi cień na tle zachodniego nieba, gdzie żółtawe światło o zielonawym odcieniu rozplątało się w miękkim, przytłumionym błękitcie nocy. Tam, tuż nad najwyższym szczytem śmig, błyszczała gwiazda. Na dole, poza krzewami rozciągał się dom mieszkalny niby długi, ciemny wał. A całkiem nisko jaśniało także światło czerwieniejsze i silniejsze aniżeli na niebie. Jak samotna para promieni przedzierało się poprzez krzywe pnie drzew owocowych i przenikało ku niemu. Nie był to ten sam blask, który widzieli Jörgen i Liza, a który raz po raz ciemniał wskutek niespokojnych kroków młynarza w tę i tamtą stronę. Ale i ten promień wychodził z tego samego źródła: pokój chorej znajdował się w narożniku domu i zdawało się, że bez przerwy wpija w młynarza swe świetlne oczy bez względu na to, czy młynarz wędrował między małymi grządkami ogródka, obramowanymi muszelkami, czy też ukrywał się w gęstwinie sadu — zdawało się, że ściga go palącym, gorączkowym spojrzeniem podobnym temu spojrzeniu, które ugodziło w niego, kiedy wychodził z pokoju, aby zostawić żonę sam na sam z proboszczem, a które napędziło mu całą krew do głowy niemym zapytaniem: „Czy idziesz teraz do niej?”

Spojrzenie to splonilo go rumieńcem, chociaż nie zamyślał bynajmniej pójść do Lizy. Ach, gdyby to spojrzenie mogło przeniknąć w głąb jego serca, to ujrzałoby, jak daleka była w tej chwili myśl tęsknoty za tą dziewczyną. A jednak czyżby to było większą pociechą dla chorej, gdyby zobaczyła, że on się Lizy *obawia*? Czy w ogóle taka bojaźń mogła istnieć w sercu mężczyzny, którego żona prawdopodobnie nie przeżyje tej nocy? Tego był niemal pewny, ponieważ chora miała sama przecucie zbliżającej się śmierci. Czy to rozpacz miłości z powodu grożącej utraty wypędziła go z pokoju chorej i gnała tu i tam jak niespokojnego ducha? Czy z tego powodu trzęsły mu się ręce, drżał głos, a wargi powtarzały bezradne, dziecięce zapytania i okrzyki: „Nie może umrzeć! Prawda, panie doktorze? Ona nie umrze? Pan ją uratuje!”. Niewątpliwie tkwiła w tym miłość męża, ale jeszcze silniej działała skrucha, poczucie własnej winy, wspomnienie tych chwil, kiedy to pytające spojrzenie: „Czy idziesz teraz do niej?” nie było bezpodstawne. Tkwiła w tym myśl o cierpieniach zazdrości, jakie dręczyły ją coraz silniej i doprowadzały do przekonania, że on jest bardziej winien, niż był w istocie. Tkwiło w tym wreszcie straszne przypuszczenie, że to dręczące podniecenie ducha stało się niebezpiecznym sprzymierzeńcem jej sercowej choroby i może dopomogło chorobie do przedwczesnego zwycięstwa.

Ale przede wszystkim męczyła go obawa, co się z nim samym stanie. Wydawało mu się, że odchodzi od niego dobry domowy anioł stróż i że pozostawia go samego i bezbronno jako łatwą zdobycz na pastwę złego czaru. Albowiem wiedział aż nazbyt dobrze, jak mocny wpływ wywiera na niego Liza, a także odczuwał instynktem, że ten wpływ w żadnym razie nie prowadzi do dobrego. Dopóki żyła żona, istniało jeszcze coś, co go powstrzymywało: mógł popełniać błędy, nawet trudne do naprawienia, ale nie był jeszcze bezradny, nie pozostawał całkowicie w mocy losu. Więc w tej wątej życiowej nici, której włókna rwały się z minuty na minutę jedno po drugim, upatrywał jedyną linę kotwiczną. Ale z chwilą jej zerwania otwierało się nieznane, potężne morze, na którym groziły mu wszystkie burze namiętności.

Co prawda i wówczas jeszcze pozostawała kotwica ratunkowa, nazbyt słaba, niestety, by ocalić przed rzeczywistym orkanem, ale bądź co bądź wystarczająca, by dać tymczasowo pewne uspokojenie. Nawet gdyby utracił żonę, miał jeszcze swego chłopaka.

Umierająca pozostawiała mu część siebie samej, przypomnienie, że nie wyzbył się jeszcze obowiązków rodzinnych. I Jörgen wyczuł zupełnie trafnie, że Liza obawia się Janka, który dzięki niewinności swego dziecięcego wieku usuwał się spod jej mocy i mógłby także ojca wyzwolić spod tego wpływu. A młynarz, obawiający się Lizy, doznawał z tego powodu — nie zdając sobie z tego sprawy — dobroczynnej pewności siebie w obecności chłopca. Teraz ulegał także temu uczuciu, czuwając nad śpiącym dzieckiem.

Wtem Janek zaczął oddychać niespokojnie i kwilić. Ręka ojca przesunęła się pieszczośliwie po jego główce. Chłopak przetarł oczy, westchnął i spojrzął ku gwiazdom błyszczącym ponad wierzchołkami drzew.

— Co to, Jaśku? Płakałeś przez sen.

— Wielki pies chciał mnie ukąsić...

— Śniło ci się. Czas już do łóżka — rzekł młynarz, powstając. — Chodź, zawołamy Lizę, aby ci pomogła.

— Nie, nie chcę Lizy!

— Jesteś taki śpiący.

— Dam sobie sam radę, nie jestem wcale śpiący — bronił się Janek, prostując się i usiłując otrząsnąć się z senności. — Nie chcę Lizy — powtórzył z uporem.

Młynarz spojrzął na niego zadziwiony.

Po raz pierwszy zauważył tę niechęć dziecka do dziewczyny. I z pewną radością przeżuwał: oto mały, dzielny anioł stróż idący na pomoc trwogom.

Uniósł chłopca w ramionach i pocałował go.

— Ja sam zaniosę cię do łóżeczka, mój mały — oświadczył i ruszył ku domowi, pochylając się ostrożnie, by mokre od rosy liście nie uderzały w twarz śpiącego. Albowiem mała dziecięca główka spoczęła natychmiast na jego ramieniu ociążała snem, a spokojny oddech świadczył o głębokim śnie. Chłopak nie przebudził się nawet wówczas, gdy ojciec rozbierał go i układał w łóżku.

Dopiero gdy już to uczynił, zastanowił się, że było to właściwie zakłócenie domowego porządku i że Janek już od dawna powinien być leżeć w łóżku. Oto skutki, gdy nie ma w domu gospodyni.

Co teraz robi czeladź? Na górze w młynie było całkiem ciemno. Chrystian przygotowuje się zapewne, aby odwiedzić proboszcza do domu. Ale Jörgen?... i Liza?

Na dole młyna w izbie świeciło się.

Wahając się, młynarz przeszedł przez podwórze ku wjazdowi między ogrodem kwiatowym a młynem. Na chwilę zatrzymał się niezdeterminowany, a potem wyszedł na gościniec — aby zobaczyć, czy ciemność utrudni jazdę i czy chmury gromadzące się od zachodu zagrażają burzą; bądź co bądź postanowił dać proboszczowi parasol. A potem rozgniewał się sam na siebie z tego powodu, że się okłamuje! Istotnie, nic go nie pociągało ku Lizie, na pewno nie chciał iść do niej, najchętniej nie oglądałby jej zupełnie. Ale czyż mógł doprawdy pozwolić na to, aby siedziała razem z Jörgenem? Bo *ona* była na pewno w izbie, a *jego* nigdzie nie było widać.

Zapach kiepskiego chłopskiego tytoniu przewionął koło niego, zatruwając świeżą woń łąk. Chłodny wiatr wiał od bramy młyna, naprzeciw której właśnie stanął. W łukowatej ramie małego tunelu odcinała się na bladym tle północnego nieba sylweta pary koni stojących z przeciwnej strony podwórza przed stajnią, której brama, otwarta na ścieżaj, skrywała tył jednego ze zwierząt. Na środek drogi, wiodącej popod bramę, padał z prawej strony czerwony blask idący z izby — a blask ten wyglądał jak rozwiany dym.

Powziąwszy szybkie postanowienie, młynarz wszedł do wnętrza.

Łojowa świeczka stojąca na stolku rzucała nieforemny cień dziewczyny na brudnobiałą ścianę i rysowała barokowo wygiętą ciemną sylwetkę na niskiej powale. Liza położyła właśnie czyste prześcieradło na łóżko jeszcze niewyglądzone; cała przestrzeń była wypełniona wirującymi chmurami dymu. Jörgen stał obok dziewczyny, opierając się swobodnie o przednią poręcz łóżka i wypuszczał kłęby dymu. Gdy młynarz stanął w drzwiach, parobek wzdrzgnął się nieco — tak się przynajmniej młynarzowi wydawało.

— Lizo — rzekł — trzeba przygotować trochę herbaty dla proboszcza... Jak widzę, Chrystian zaprzęga już konie.

— Książd proboszcz nie pija przecież nigdy herbaty.

— Może właśnie dzisiaj się napije... jest już chłodno... a zawsze dobrze jest wypić coś gorącego. Tutaj zdążysz jeszcze zrobić porządek.

— Dobrze — odpowiedziała Liza obojętnie, porzuciła rozpoczętą pracę i wyszła.

Młynarz powędrował powoli za nią. Gniewał się sam na siebie. Przecież to było głupstwo, że nie kazał jej przedtem sprzątnąć w izbie — jedno łóżko było już posłane. Teraz, oczywiście, Liza musi tu powrócić, a wtedy on nie będzie mógł już obwąchiwać i pilnować, jak się zachowują oboje z Jörgenem. Tak jest — „obwąchiwać” to było właściwe określenie, którego mu nie oszczędza! To bowiem było najgorsze, że przejrzeni jego zamiary. Dlatego zawstydzil się i zająknął. Jörgen chrząknął, jak gdyby właśnie w tej chwili musiał zakrzuszyć się dymem w gardle. W obojętnej zgodliwości Lizy tkwiło również źle ukrywane lekceważenie. Nawet Pilatus, który zawsze szedł w ślady swojej pani — nawet on szydził z niego, kołysząc miękko ogonem na kształt wielkiego białego znaku zapytania widniejącego przed nim w mroku.

VI

Proboszcz odjechał, a młynarz stał jeszcze ciągle w bramie wjazdowej, spoglądając za wozem.

Zaledwie można go było dostrzec. Ale młynarz ciągle trwał w bramie i spoglądał na gościniec, chociaż deszcz padał coraz bardziej rześście: stukał w wielkie liście topoli, bębnił po ganku i ściekał miękko i monotonnie po gęstej strzesze młyna.

Młynarz wyczuwał jeszcze pocieszający uścisk dłoni proboszcza, widział jego zasmuczone spojrzenie.

„Co też Chrystyna mówiła o mnie? Ach, tak, było dość przyczyn, by skarżyć się na mnie. Nie byłem takim mężem, jak należało — zwłaszcza w ostatniej połowie roku! Liza opętała mnie całkowicie — nie wiem, jak się to stało... Poczuję się do ciężkiej winy względem Chrystyny, a teraz ona umiera i nie można już naprawić złego!”

Wreszcie odwrócił się i chwiejnym krokiem ruszył ku domowi. Obawiał się iść do żony, a jednak tęsknił za tym, by ją zobaczyć — troszczył się o nią naprawdę. Byleby tylko długa rozmowa z proboszczem nie oddziaływała niekorzystnie na jej zdrowie!

Drzwi z ciemnego pokoju mieszkalnego do sypialni chorej stały otworem. Widać było tylko pasek tapety — takiej niepokojącej tapety, jakby umyślnie dobranej po to, aby rozgorączkowany wzrok podczas długich godzin obłożnej choroby błędził po niej i odnajdywał kalejdoskopowe obrazy: fantastyczne głowy zwierzęce z brodą i rogami, potworne kwiaty, torsy ludzkie, figury geometryczne. Obawiał się spojrzenia żony, gdy odwróci się od tych pustych obrazów i skieruje się ku niemu z tym samym wiecznie zapytaniem: „Czy przychodzisz teraz od niej?”

I czyż mógł wytrzymać takie spojrzenie, nie potęgując podejrzeń i nie zatruwając żonie tych chwil... może już ostatnich?

Ale mylił się. Spojrzenie, jakim go powitała, było spokojne i bynajmniej nie badawcze. Łagodnie i szczerze spoglądały jasne oczy otoczone fioletowymi obwódkami. Oczy były ukryte w cieniu, lampę bowiem ustawiono poza wielkim dzbanem z wodą, aby światło nie raziło chorej.

Młynarz, uśmiechając się, skinął jej głową. Wielki ciężar spadł mu z serca. Usiadł obok niej i ujął jej lewą rękę spoczywającą na pierzynie, przeciwko której doktor nadaremnie protestował. Chociaż gorączkowała, a noce były już ciepłe, to jednak młynarka uważałaby to za lekceważenie, gdyby jej nie przykryto uczciwą pierzyną. Ręka jej była przed rokiem silna, nieco zaczerwieniona i spierzchnięta, teraz zaś była chuda i biała, pokryta gładką, niemal przezroczystą skórą — ręka nazbyt delikatna dla młynarki.

— Czy deszcz pada? — zapytała chora. — Twój surdut zupełnie wilgotny.

— Tak, wydaje się, że spadnie porządny deszcz. Dałem proboszczowi parasol.

— Teraz słyszę już... Niechaj pada, przyda się zasiewom.

Zasiewom się przyda! Zanim wczesne zboże się okłosi, zanim oziminy zakwitną, ciało jej zniknie w ziemi, z której kielkuje wszelakie ziarno. A jednak myślała jeszcze o zasiewach. O ileż bardziej musiała się troszczyć o tych, których pozostawiała! Zapewne rozmyślała nad tym, czy im będzie dobrze, kiedy jej już zabraknie! Uczuł, że lzy napły-

wają mu do oczu, i zaciął się w sobie, aby nie spłynęły po policzkach i nie zdradziły jego myśli.

— Jak się teraz czujesz Chrystyno? — zapytał.

— Dziękuję, teraz zupełnie dobrze.

— Obawiałem się, że tak długa rozmowa z proboszczem może cię zmęczyć — dodał, jak gdyby miał na myśli tylko fizyczne napięcie i jak gdyby treść tej rozmowy nie różniła się od zwyczajnej pogawędki z proboszczem.

— Ach nie, jestem bardzo rada, że rozmówiłam się z nim, bardzo mi to pomogło.

— W takim razie nie odczuwasz bólu?

— Ach tak, oczywiście, boli jeszcze trochę... Ale inaczej aniżeli poprzednio... wydaje się, jakby ból utracił moc nade mną... Jeżeli człowiek pożegna się ze światem i jeżeli całkowicie zwróci myśl ku dobremu Bogu i ku wspaniałości, jaką nam przygotowuje, nam wszystkim wierzącym w Chrystusa Pana i Jego słowa... wówczas nie bardzo już się troszczy o to, co się dzieje z ciałem... nieraz wydaje się nawet, że się już nie wyczuwa cielesności... A tak samo dzieje się i z życiem; wydaje się nic nieznaczące, a przynajmniej te smutki, które nas bolały, nie bolą już, kiedy się leży na łożu śmierci.

„To, co nas bolało” — młynarz wiedział aż nazbyt dobrze, co przez to rozumie. Nur-tująca go skrucha i tkliwość jej słów, które w swej prostocie wydawały się już czymś pozaziemskim, pozbawiły go panowania nad samym sobą. Rzucił się na łóżko, lzy try-snęły mu z oczu i zwilżyły jej ręce, które ściszał w swych dłoniach.

— Nie! Nie! Chrystyno! Ty nie umrzesz... Przekonasz się, że wyzdrowiejesz... Dlatego też nie odczuwasz już tak bardzo bólu... Zobaczysz, że stan zdrowia się polepszy, że będzie zupełnie dobrze... Przeżyjemy jeszcze wspólnie piękne dni!

Niemal wierzył sam we własne słowa. Przecież inni, złożeni znacznie gorszą niemocą, odzyskiwali zdrowie. To było przecież najważniejsze. Wszystko będzie jeszcze dobrze. Czym była dla niego Liza w tej chwili? Oddali ją niezwłocznie, skoro tylko znajdzie inną służącą. Pozostanie tu ze swą dobrą żoną i z Jaśkiem. Czegóż potrzeba więcej?

Chora potrzęsła głową.

— Nie należy się tak przejmować, Jakubie, rozpacz nic nie pomoże, wszystko jest wolą bożą, wiemy to przecież. Lepiej jest patrzeć na to oczyma rzeczywistości i spokojnie o tym rozmawiać.

Ale właśnie myśl, że można by mówić o tym, przerażała młynarza.

— Nie, nie powinnaś mówić właśnie o tym — zapalił się. Doktor zwracał także na to uwagę: „Byleby tylko nie wbijała sobie w głowę myśli, że musi umrzeć, to byłoby najgorsze w jej obecnym stanie. Taka *idée fixe* mogłaby ją zabić, chociażby nawet miała możliwość życia”. Tak powiedział. — Nie, nie powinnaś myśleć o śmierci... — ciągnął młynarz. — Nie sprzeciwiałem się bynajmniej twojej duchowej rozmowie z proboszczem, to było nawet słuszne i oddziało korzystnie na ciebie, jak sama powiadasz. Ale teraz nie należy już o tym rozmyślać. Pomyśl raczej, ile to będzie roboty, kiedy wyzdrowiejesz i będziesz mogła znowu jąć się pracy!

Chrystyna uśmiechnęła się pobłaźliwie, jak się śmieje ktoś z upartego dziecka, któremu jednak nie chce wyrządzić zbyt wielkiej przykrości.

— Mówmy więc tylko o tym, co się może zdarzyć, gdy mnie zabraknie, a ty ożenisz się powtórnie.

Młynarz wzdrygnął się... To był właśnie ten temat, którego się obawiał.

Jakiś król zawałał pono z płaczem w podobnej sytuacji: *Ah, non, non, jamais! Je prendrais une maditresse*⁵! Młynarz jednak zadowolił się wstrząśnięciem głową, przeczącym poruszeniem ręki i urywanym jękiem, dowodząc tym, jak daleki jest od myśli, by swemu młynarskiemu królestwu dać nową królową... Że kochanka — a w każdym razie także pani — znajduje się w pobliżu, o tym wiedział nazbyt dobrze. Jego żona wiedziała o tym również i dlatego z takim uporem wysuwała ten temat, obserwując go znowu tym badawczym spojrzeniem, w którym krył się jednak teraz błysk na wpół ironicznej troski.

— A jednak... ożenisz się powtórnie... jesteś jeszcze młody... a młyn potrzebuje gospodyni... W domu, gdzie brak kobiety, nie dzieje się dobrze... Tak stać się musi... Ale sądzę, że żeniąc się powtórnie powinieneś pomyśleć także i o tym, aby Janek dostał dobrą

⁵*Ah, non (...) maditresse* (fr.) — Ach nie, nigdy! Wezmę kochankę. [przypis tłumacza]

matkę... to bardzo ważne dla takiego biednego dzieciaka. I jeżeli znajdziesz dziewczynę, która ci się spodoba, ale zauważysz, że Janek jej nie znosi, to lepiej od razu wybij ją sobie z głowy. Jest dużo dziewcząt na świecie, które chętnie wyjdą za ciebie, a nie potrzebujesz przecież ubiegać się o pieniądze ani o to, co mogłaby ci wnieść w posagu. Wdowiec to co innego aniżeli kawaler, on ma już wszystko.

Młynarz potwierdził odruchowo. Nie wątpił w to, że Chrystyna zauważyła już dawno niechęć, jaką Janek widocznie żywił wobec Lizy, może nawet zaszczepiła mu ją sama albo też może niechęć tą drogą sympatii przeszła z matki na dziecko. Słowa te zwracały się zatem przeciwko Lizie. Chrystyna obawiała się, że mógłby się ożenić z tą dziewczyną; ta nowa perspektywa zdumiała go i przeraziła jednocześnie. Nigdy jeszcze — i to właśnie dziwne — nie pomyślał o możliwości poślubienia Lizy; uświadamiał sobie tylko, że coraz głębiej pograża się w namiętności, że dziewczyna ma go całkowicie w swojej mocy i że ona to będzie tą, która właściwie obejmie rządy w młynie — z czego jednak nie może wyniknąć ani zaszczytna, ani przyjemna sytuacja.

Ale właśnie chcąc zapobiec temu, Chrystyna zatroszczyła się o to, aby wprowadził w dom znaną kobietę. Mówiła bowiem dalej o jego powtórnym ożenku jakby o czymś już postanowionym i szczególnie polecała mu, aby zwrócił uwagę, czy dziewczyna, którą wybierze, ma pobożny, chrześcijański charakter i czy pilnie uczęszcza do kościoła. Albowiem taka będzie również troskliwie wypełniać domowe obowiązki. Nie zaszkodzi, jeżeliby nawet była zbyt religijna. Co prawda bywają i takie, które doprowadzają religijność do przesady i są nazbyt surowe. To oczywiście powoduje pewne niedogodności w życiu codziennym, ale lepsze już to niż brak religijności. A może nawet tacy ludzie mają słuszność, bo na świecie krzewi się grzech i niemoralność.

Gdy tak mówiła, mężowi jej wydawało się, że mówi o pewnej określonej i upatrzonej osobie, mianowicie o Hannie, siostrze leśniczego. Rodzeństwo należało do bractwa „wewnętrznego posłannictwa”, a u leśniczego, który był o parę lat młodszy od młynarza, przejawiał się dość wyraźnie fanatyczny pierwiastek tego kierunku duchowego. Z początku zrażało to nawet młynarza, kiedy poznał go przed paroma laty. Ale Chrystyna stała się od razu zwolenniczką tej „intelektualnej znajomości”.

Leśniczy Christensen był, co prawda, jeszcze mniej wykształcony książkowo aniżeli młynarz, ponieważ czytywał tylko umoralniające broszury, ale pietystyczna religijność, która łatwo może stać się wrogiem najwyższego wykształcenia umysłu, bywa zawsze podłożem duchowego kształcenia się i samą swoją istotą podnosi wyznawcę wysoko ponad tych ludzi, którzy gonią wyłącznie za materialnymi interesami i zmysłowymi przyjemnościami. Ostatecznie więc pocziwa młynarka nie błędziła tak bardzo w swym określeniu intelektualnego stosunku.

Natomiast siostra leśniczego podczas paroletniego pobytu u krewnych w Kopenhagdzie zasmakowała także w świeckich książkach, jeżeli ożywiały je dobry i szlachetny duch, nauczyła się również grać na fortepianie i potrafiła wykonywać na pianinie w leśniczówce nie tylko chorały i pobożne pieśni, ale także drobne świeckie utwory muzyczne. Tak, trudno byłoby temu zaprzeczyć. Hanna była najlepszą z dziewcząt, jakie mógłby poślubić — zwłaszcza że miała piękną twarzą, w której rysach odzwierciedlała się wyraźnie jej pobożna i radosna natura, i była ładnych, drobnych kształtów.

Kiedy więc Chrystyna zapytała wreszcie z natarczywą powagą: „Czy przyrzekasz mi to Jakubie?” — a on ściskając jej rękę, odpowiedział: „Tak jest, Chrystyno”, wydało mu się — chociaż nie padło wcale nazwisko — że nie tylko wyrzeka się Lizy, ale że jednocześnie zaręcza się z Hanną z leśniczówki. I mimo cichej, uroczystej chwili, mimo że cień śmierci padł już między nimi, młynarz doznał dziwnego niepokoju jak człowiek, przed którym otwarły się nagle całkiem nowe drogi życia.

Chora natomiast uspokoiła się widocznie. Opadła głębiej na poduszki i zamknęła oczy znużona rozmową. Potem poprosiła go, aby przeczytał jej z Nowego Testamentu kazanie na górze wedle Mateusza... Młynarz począł czytać, jak mógł najlepiej, ale jego myśli goniły z dala od świętych słów Ewangelii. Połączenie religijnej łagodności i religijnej surowości wyczarowało mu przed oczyma obraz Hanny, obraz, który i tak już unosił się w pobliżu... Ona powinna była to czytać — w jej ustach nabrałyby te słowa prawdziwego, serdecznego brzmienia, podczas gdy z jego warg wychodziły sucho jak lekcja wygłaszana w szkole.

Nagle, niespodziewanie słowa te zwróciły się przeciwko niemu samemu niby niedający się odeprzeć wyrok.

Czytał:

„Słyszeliście, iż powiedziano starym: Nie będziesz cudzołożyl. A ja powiadam wam, iż wszelki, który patrzy na niewiastę, aby jej pożądał, już ją scudzołożył w sercu swoim”.

Język mu skołczał. Nie mógł wypowiedzieć ani słowa więcej, chociaż bardzo pragnął. Czuł, że tym milczeniem sam się oskarża, a nie śmiał spojrzeć na żonę... Potem uczuł nagle chęć, aby szczerze rozmówić się z nią o tym, co tak troskliwie przemilczali — chciał wyznać jej, że słowa Pana potępiają go; chciał wyświadczyć się z swych niedorzecznych i grzesznych myśli i błagać ją o przebaczenie, którego by mu na pewno nie odmówiła. Umocnił się w postanowieniu, i spojrzął na nią, otwierając już wargi do wyznania. Ale jej oczy, które jak mniemał — wpatrują się w niego badawczo, były zamknięte; twarz była niemal bez wyrazu. Pochylił się nad nią i nasłuchiwał: oddech dowodził, że śpi spokojnie.

On zaś nie wiedział, czy cieszyć się z tej ulgi, czy też żałować, że korzystna sposobność przeminęła nadaremnie.

VII

Młynarz siedział bez ruchu i obserwował śpiącą.

Twarz jej obrzmiała nieco w następstwie wodnej puchliny. Ale przyćmione oświetlenie łagodziło tę chorobliwą okrągłość kształtów — przypominał sobie jej twarz z czasów dzieciństwa. Znali się oboje, jak daleko mógł sięgnąć pamięcią. Byli w równym wieku, razem chodzili do szkoły, razem przygotowywali się do konfirmacji. Okazały dwór jej rodziców był oddalony zaledwie o pięć minut drogi od młyna na wzgórzu. Nazywał się *Smoczym Dworem*. Bynajmniej nie dlatego, jakoby to miejsce lub sama budowla odznaczały się czymś fantastycznym lub straszynym. Nazywano go tak wedle miejscowego obyczaju, który bez żadnej słusznej przyczyny ochrzcił najbliższą posiadłość mianem *Lisiego Dworu*, a nieco dalszą mianem *Zajęczego Dworu*. Od niepamiętnych czasów właściciel nazywał się popularnie *Smokiem*, a dwór *Smoczym Dworem*. A pytanie, czy dwór nosił nazwę właściciela, czy właściciel nazwę dworu, równie trudno byłoby rozstrzygnąć jak problem, co było pierwej — czy kura, czy jajko.

Smok i młynarz ze wzgórza żyli w przyjaźni — od niepamiętnych czasów zawsze tak bywało, był to poniekąd związek dwóch dworów znacznie silniejszy niż przypadkowe osobiste uczucia. Oczywiście, dzieci żyły także w przyjaźni — mały Jakubek młynarza i Chrystyna Smoka. Każde z nich otwierało przed rówieśnikiem swój własny świat. Zwłaszcza młyn dzięki swym wielu pomieszczeniom i niezwykłym urządzeniom był dla małej Chrystyny prawdziwym światem cudów. Jakub musiał pokazywać jej i wyjaśniać wszystko, aż wreszcie dziewczynka знаła całe sześć pięter jak własny dom, poczynając od składów, gdzie tak miło było zanurzyć ręce w chłodny pył pszenicznej mąki, aż do kaptura, gdzie kręciła się ogromna oś dębowa, a połączone z nią koła wprawiały w ruch całe urządzenie młyna.

Najwyższe piętro było najmilszym miejscem pobytu dla dzieci. Wolały przebywać w tej niewielkiej, zamkniętej przestrzeni, gdzie zaledwie można było się poruszać, aniżeli na piętrze żarnowym, otoczonym galeriami; był to teren wesołych wyścigów, gdzie pomiędzy czterema mącznicami grało się także świetnie w chowanek. Tam na dole pracował zawsze któryś z czeladników młynarskich, tutaj dzieci były same z sobą, ukryte przed światem. Poza tym stąd nie było już dalej drogi, więc zawędrowawszy na górę, dzieci musiały pozostać w kapturze. Przypominał on olbrzymie przewrócone ptasie gniazdo, a dokoła w strzesze kryło się mnóstwo prawdziwych gniazd; ptaszki ćwierkały, piszczwały, wlatywały i wylatywały, a mała Chrystyna nieraz klaskała w dłonie z wielkiej radości.

Ale najbardziej może pociągała ich do kaptura słodycz zakazanego owocu; właściwie nie pozwalano im tam chodzić, ponieważ przebywanie w tym miejscu było poniekąd niebezpieczne. Ale parobek młynarski patrzył przez palce, a zresztą zawsze zwoływał dzieci na dół, kiedy przesuwano kaptur. Tylko raz — wyjątkowo — zezwolono im pozostać na górze w takiej chwili, lecz dzieci musiały święcie przyrzec, że nie poruszą się na krok z wyznaczonego im miejsca — chociaż właściwie z tej strony osi nie groziło im niebezpieczeństwo. Ale kto się nie naraża, temu tym pewniej nic nie grozi. Stali więc tam oboje

w wyczekującym napięciu, przytuleni do siebie. I nagle rozpoczęły się dziwy. Aż do wysokości ich głów wszystko pozostało nieruchome, natomiast powyżej kaptur obracał się — powoli, krótkimi posunięciami. Niesamowite wrażenie wywierało przede wszystkim potężne ściskadło, o którym Jakub już nieraz opowiadał Chrystynie. Gdy na dole na galerii rozluźniono łańcuch, pierścień ściskadła zaciskał koło kaptura i młyn zatrzymywał się. Ta potężna belka posuwała się teraz groźnym ruchem, przed którym nie było obrony.

— Gdybyśmy stali po tamtej stronie, zostalibyśmy zgnieceni — oświadczyła Chrystyna.

— Ach, moglibyśmy uciec. To tylko Jens udaje mądrą i dlatego przykazał nam nie ruszać się z miejsca.

— Ale gdybyśmy nie mogli uciec, belka przygniotłaby nas tam do ściany — upierała się Chrystyna, drżąc rozkoszą okropności właściwą dziecku i kobiecie.

Niebawem znowu kaptur znieruchomiał. Dokonano tylko nieznacznego obrotu. Bądź co bądź wyglądając przez otwór kaptura, można było to zauważyć; poprzednio okienko było zwrócone ku rodzinnemu domowi Chrystyny, widać było przez nie wydmy pól, teraz otwierało się ku posiadłości Larsa Peersena.

To okienko, przez które widniał najszerszy horyzont na całą okolicę, polubiły dzieci ogromnie. Co prawda, widok ograniczał się zawsze tylko do jednego odcinka horyzontu, ale odmiana bywała częsta. Jednego dnia spoglądało się w głąb łądu i można było naliczyć osiem kościołów i dwanaście młynów. Następnego dnia, gdy wiał wiatr od strony łądu, przed oczyma rozpościerał się po obu stronach Sund, wypełniony posuwającymi się powoli naprzód tratwami z owocem i statkami, a daleko poza zwierciadłem wody wzrok przenikał w pagórkowatą Zelandię niby w inną część świata o odmiennym charakterze. Był to niejako olbrzymi stereoskop należący wyłącznie do nich.

Pewnego dnia Chrystyna zadała mu zagadkę:

„Co to za okno, które zawsze stoi otworem, a przez które wiatr nigdy nie wieje?”

Nadaremnie silił się odgadnąć, a ona drażniła go szyderstwem: jest widocznie za głupi, bo każdy inny człowiek odgadłby natychmiast. I kiedy wreszcie powiedziała rozwiązanie, zdumiewał się i długo nie chciał wierzyć, że sama wymyśliła tę zagadkę. Potem zaś — po raz pierwszy — zrozumiał, że jest mądrzejsza od niego...

Dwór wiejski nie jest bynajmniej takim skarbem wspaniałości jak młyn. Ale rodzinne miejsce Chrystyny imponowało młynarczykowi niejednym, zwłaszcza że młyn na wzgórzu nie posiadał ani skrawka roli. Jazda na chwiejącym się wozie naładowanym sianem, wiązanie snopów, znoszenie żniwiarzom posiłku i wspólne spożywanie z nimi darów bożych, plectenie gniazd ze złotych źdźbeł niwy — to były radości, jakimi przyjaciółka płaciła mu za przyjemności przeżywane na piętrze żarnowym pod kapturem.

Po konfirmacji rzadziej nadarzała się sposobność do spotkań. Kiedy jednak został pomocnikiem młynarskim, widywali się regularnie, chociaż tylko przelotnie. Dwa razy w ciągu tygodnia zajeżdżał wozem pod Smoczy Dwór i zawsze ona odbierała gorące jeszcze, pachnące razowe chleby. Przy sposobności zapytywała, jak mu się powodzi, czy rodzice są zdrowi; zdarzało się, że on opowiedział jej jakąś godną uwagi nowinę z młyna, na przykład, że pytle pszeniczne pokryto nową siatką jedwabną, którą sporządzono daleko we Włoszech i która kosztowała czterdzieści koron. Niewiele było tematu do rozmowy; na pogawędkę nie było czasu, bo oboje mieli pracy z okładem.

Kiedy Jakub miał dwadzieścia pięć lat, zmarł jego ojciec, a on odziedziczył młyn. Wówczas złożyło się tak samo przez się, że oświadczył się o rękę Chrystyny i otrzymał ją. Trudno było rozstrzygnąć, kiedy ich dziecięca przyjaźń przemieniła się w uczucie miłości i czy w ogóle ta przemiana się dokonała. Ale nikt z krewnych i sąsiadów nie wątpił, że powinni się pobrać, a oni sami również w to nie wątpili. Sytuacja upodabniała się może najbardziej do sytuacji księcia i księżniczki w dwóch sąsiednich państwach, których polityka i tradycje zalecają rodzinny związek, zwłaszcza gdy wzajemna skłonność młodych ku sobie sprzyja połączeniu się. Młyn był piękny i posag Chrystyny był piękny; młyn i dwór były wygodnie położone obok siebie jakby na wypadek, gdyby miały się stać dziedzictwem jednego spadkobiercy. Jakub był ładnym chłopcem, a trudno byłoby znaleźć w całej okolicy bardziej rzetelnego — to uznawano powszechnie. Co do Chrystyny, to nie była ona wprawdzie piękną, ale była dobrze zbudowaną dziewczyną o milej twarzyczce. Wszyscy mówili o niej dobrze, była też zręczna w gospodarstwie. Czegóż więcej można

żądać? On nie żądał więcej i ona także. I tak jak ich małżeństwo było najbardziej naturalnym wynikiem, tak i wspólne pożycie płynęło naturalnym i dobrym torem. Córeczka zmarła im po paru latach, potem przyszedł na świat Janek, który się dobrze chował. Ale kiedy młynarka doszła do trzydziestki, poczęły ją dręczyć zadyszka, mdłości i nagłe bicie serca. Ciało jej zwątlalo, a cera, dotąd zupełnie świeża, poszarzała, tu i ówdzie pojawiły się fioletowe cienie.

Może przyczyniło się do tego i to także, że Jakub Clausen stał się szczególnie wrażliwy na kwitnącą młodość Lizy Vibe, *vulgo* Lizy kłusowniczan, kiedy ubiegłej jesieni wstąpiła na służbę do młyna. Rodzinny dom kłusowników na bagnach Virket, skąd pochodziła, nie cieszył się dobrą sławą w oczach młynarzy, toteż oboje żywili wątpliwości. Ale dziewczyna służąca w młynie odeszła nagle, wychodząc za męża, wybór był na razie bardzo nieduży, każdej z kandydatek można było coś zarzucić, a Liza miała dobre świadectwo z folwarku związkowego, gdzie służyła rok z górą. Zdecydowali się zatem przyjąć ją na służbę.

Jakub nie przypominał sobie zresztą, aby początkowo wywierała na nim szczególniejsze wrażenie. Całe przedpołudnie spędzali razem w piekarni. Chrystian stał pomiędzy nimi, wyrabiał ciasto, które Liza odważała, a młynarz nadawał chlebom ostateczny kształt. Nie zerkano na boki ani nie gawędzono, a jednak praca odbywała się nieco weselej aniżeli wówczas, kiedy pomagała przy niej dawniejsza służąca, ordynarna dziewczka z Lolandii. Bezpośrednio stykali się z sobą, kiedy odbierała chleb, który młynarz wydobywał z pieca. Wtedy też zauważył, że ma piękne ramiona i szczególny wdzięk we wszystkich ruchach.

Większe wrażenie wywarła na nim po raz pierwszy w wieczór Bożego Narodzenia. Spostrzegł, że właśnie kiedy już zasiadali do stołu, skinęła na Jörgena, przechodzącego koło drzwi kuchni, i po kryjomu podała mu jakiś zeszyt czy książkę — był to ów kalendarz, który jeszcze ciągle przyprawiał parobka o tak silne wzruszenie duchowe. Myśl, że oboje są w porozumieniu, dręczyła go. Był surowym i uważającym panem domu, w jego młynie panowała zawsze bojaźń boża i przystojność obyczajów, nie mógł ścierpieć ukrywającej się przed światłem lekkomyślności. A trudno byłoby zaprzeczyć, że z Lizy promieniowało coś nieuchwytnego, co budziło podejrzenie, że wnosi w dom coś niewłaściwego... Czy jednak te troski pana domu wystarczały, aby wyjaśnić jego niezadowolenie? To pewne, że trwał w złym humorze zupełnie nieodpowiadającym nastrojowi świątecznego dnia.

Jakże dziwne bywają nasze nastroje i ich przyczyny! Gdyby mógł być przeczuwać, że to jest ostatni wieczór Bożego Narodzenia, jaki spędza wspólnie ze swą dobrą, wierną żoną, to, oczywiście, powód taki wystarczałby do smutku. A jednak istotną przyczyną było tylko to, że dziewczucha podarowała parobkowi ludowy kalendarz...

Zaledwie parę tygodni nowego roku przeminęło, kiedy Chrystyna poczuła się chora, a niebawem dzielna jej natura zmuszona była ulec. Rozpoczęła się obłożna, długotrwała choroba. Należało pomyśleć o przyjęciu do służby drugiej dziewczyny — wszędzie brakowało ręki gospodyni domu. Ale Liza podjęła się tego zadania, oświadczając, że sama załatwi wszystko. Prócz tego, że pomagała w piekarni, gotowała także stawę i sprzątała izby. Jadano nieco później, strawa była może mniej dobra, a także sprzątanie mogłoby być dokładniejsze — ale bądź co bądź wszystko było wykonane. Młynarz patrzył pełen podziwu i rozplýwał się w pochwałach, a Chrystyna rozumiejąca doskonale jako dzielna gospodyni, ile potrzeba wysiłku, aby wszystkiego dokonać, nie mogła również odmówić uznania. Co prawda, chwaliła skąpo i niechętnie, ponieważ nie lubiła Lizy. Przede wszystkim raziło ją to „coś” w istocie dziewczyny. Niedługo potrwa, mawiała, a między Liza i parobkiem zawiąże się bliższy stosunek. Poza tym zwróciła uwagę, że Liza ma próżniackie skłonności i niezbyt sumiennie wypełniała swoje obowiązki.

Tym bardziej też dziwiła się, że Liza w tym okresie pracuje więcej, niż jej nakazywał obowiązek, że nie żąda większego wynagrodzenia, a nawet nie chce o nim słyszeć: „Trzeba sobie nawzajem pomagać, gdy choroba w domu zagości, więc czemu tyle gadać o tym?” Ta wspaniałomyślność była zagadką dla młynarki, aż wreszcie zastanowiła się, czy przypadkiem Liza nie chce się stać niezbędną; zauważyła ona z pewnością, że gospodyni domu nie jest z niej zadowolona i pragnęłaby się jej pozbyć przy sposobności — a teraz z góry udaremniła wszelką próbę tego rodzaju. Bo istotnie udało się jej dopiąć celu: na razie nie można było wyzbywać się jej pomocy. Zanimby można było pomyśleć o tym,

Chrystyna musiałaby się tak skrzepić⁶, aby nie groziła jej recydywa⁷ choroby — a do tego było jeszcze daleko.

Niecierpliwe pragnienie zepchnięcia Lizy z przodującego stanowiska skłoniło Chrystynę do tego, że skróciła okres swej rekonwalescencji i wcześniej, niż to było wskazane, zabrała się do pracy. Obserwowała teraz wszystko wyostrozonymi zmysłami i niebawem wydało się jej, że dostrzega pewne zmiany u swego męża. W jego zachowaniu pojawiło się coś niepokojącego, często bywał roztargniony. W stosunku do niej okazywał jak zwykle wielką troskliwość, ale w jego tkliwość wkradał się jakiś obcy pierwiastek. Czasem znowu, jak się wydawało, zapominał, że nie jest jeszcze zupełnie zdrowa. Zwróciła też uwagę, jak wesoły powracał w południe z piekarni.

Ten właśnie szczegół przede wszystkim nasunął młynarce myśl wiążącą te wszystkie objawy z osobą Lizy. Czemu bywał tak gwałtowny, kiedy wytykała Lizie coś niewłaściwego? „To dziwne, że zawsze wygadujesz na tę biedną dziewczynę”. Chrystyna rozumiała dobrze, że jest to poniekąd prawdą, ale właśnie dlatego, że jej własne ataki, skierowane przeciwko Lizie, wynikały raczej z niechęci niż z rzeczowych przyczyn, właśnie dlatego wyczuwała też, że i jego gorliwa obrona dziewczyny nie była podyktowana szczerą, zimną sprawiedliwością. Zaczęła czynić aluzje, niekiedy dosyć ostre, co do jego sympatii dla Lizy i osiągnęła dzięki temu zgoła niepożądany skutek.

Mianowicie dopiero skutkiem tych aluzji młynarz począł uświadamiać sobie swój własny stan. Chrystyna miała słusność; ta dziewczyna wniosła coś nowego, nieznanego w jego życie i podczas gdy stawała się niezbędna i niezastąpiona w gospodarstwie, zdołała również doprowadzić do tego, że stała się niezbędna w jego uczuciowym życiu. Tak jest, żona jego miała istotne przyczyny, by jej nienawidzić, albowiem — słusznie czy bez powodu — on kochał tę dziewczynę.

Zwrócenie uwagi na niebezpieczeństwo jest nie zawsze najwłaściwszą drogą wiodącą do uniknięcia niebezpieczeństwa — niekiedy można osiągnąć w ten sposób wręcz odwrotny skutek. Tak jak śpiący budzi się pod magnetycznym wpływem utkwionego w nim spojrzenia, tak samo niekiedy drzemiące jeszcze niebezpieczeństwo budzi się skutkiem zwrócenia nań uwagi i raptownie spada na zagrożoną ofiarę, zanim ta zdoła przed nim uciec. Uczucie młynarza do Lizy — które aż do tej chwili było w jego podświadomym życiu nieuchwytnym nastrojem, przejawem wesołego charakteru, niejako lekkim, drażniącym upojeniem — przemieniło się w dręczącą go, nieprzepartą namiętność.

Po niedługim czasie zdrowie jego żony znowu zaczęło się pogarszać — groziła najwidoczniej recydywa. Młynarka walczyła przeciwko temu heroicznie, całą siłą woli; nie chciała wypuścić z rąk żadnej pracy. Błagał ją, aby oszczędzała swoje siły. „Tak, tobie podobałoby się najbardziej, gdyby Liza zastąpiła mnie we wszystkim” — odpowiedziała. A on spostrzegł z przerażeniem, że ten jasny wgląd w stosunki umacnia jej upór, grożąc zagładą.

Wreszcie musiała się poddać. Kiedy leżała tak, przykuta do łoża chorobą — jakąż dręcząca trwoga nurtowała jej serce! „Co się tam teraz dzieje, gdy mnie nie ma?”... I w tej bezradności rozwinęła w sobie nowe zdolności, nadnaturalne zmysły, z pomocą których ścigała tych dwoje w najdalsze zakątki. Wyczuciem chorej, która już sama w sobie posiada zarodki somnambulicznej telepatii, gromadziła nieznużenie materiał, który następnie zazdrość, dzięki swej genialnej sile kombinacyjnej, kształtowała i wypełniała barwami — to znowu maligna podchwytowała te obrazy, rozwijała je w potworne kształty, ożywiła je i wyolbrzymiała w jaskrawym blasku czarodziejskiej latarni gorączkowych majaczyń. Ale nawet w tym zniekształceniu i przesadzie tkwiło pewne jądro prawdy, chociaż prawda ta posiadała raczej cechy symboliczne i prorocze.

Albowiem to, co w tym okresie wydarzyło się istotnie między zainteresowanymi osobami, było tak mało znaczące, że trzeźwa obserwacja nie znalazłaby w tym chyba motywów do malowania takich obrazów. Szybkość działania nie była cechą natury młynarza. Ani jednym słowem nie zdradził się przed Lizą, co się w nim dzieje, aczkolwiek nie wątpił, że dziewczyna domyśla się tego, i chociaż wie, że jest dlań życzliwa — z wyjątkiem tych momentów, kiedy dręczyły go dyktowane zazdrością podejrzenia, że przedkłada ponad

⁶skrzepić się — wzmocnić się, nabrać sił. [przypis edytorski]

⁷recydywa — tu: nawrót. [przypis edytorski]

niego Jörgena albo nawet Chrystiana. Cień śmierci, który coraz głębiej i głębiej chylił się nad młynem, odejmował jego namiętności wszelką zmysłową radość życia i przemieniał ją raczej w niespokojną trwogę, w fatalną nieśmiałość. A jeśli nawet kiedyś namiętność się wzburzyła, wnet nakładła jej cugle mistyczna świadomość, że jest obserwowany — obserwowany na każdym kroku. To spojrzenie, które biegło w ślad za nim z pokoju chorej i które witało go, kiedy wchodził z powrotem — ciążyło mu, gdziekolwiek poszedł lub stanął, a zwłaszcza gdy spotykał się z Lizą.

I był przekonany, że nie jest to tylko jego własne, bezpodstawne urojenie.

Teraz już wargi chorej nie wypowiadały ani docinków, ani gorzkich uwag. Pytania jej były podyktowane, jak by można sądzić, wyłącznie zainteresowaniem gospodyni domu: chciała wiedzieć o wszystkim, aby się uspokoić, że wszystko idzie porządnie, ustalonym torem. Ze zdumieniem jednak przekonywał się na podstawie jej zapytań, że niejednokrotnie bywała w tajemniczy sposób powiadomiona o tym, co się dzieje. Tak na przykład wiedziała kiedyś, że pomagał dziewczynie w zbieraniu płótna wyłożonego do bielienia, aczkolwiek było wykluczone, aby do pokoju chorej doszły echa rozmowy z miejsca, gdzie to robiono, i aczkolwiek Janek, który mógłby to zobaczyć, nie był wcale u niej.

Przy pewnej sposobności przekonał się najzupełniej dowodnie o tej tajemniczej zdolności swej chorej żony, a mianowicie w chwili, kiedy się zapomniał po raz pierwszy.

Był w magazynie i zamierzał wejść na górę do młyna, gdy właśnie Liza schodziła po stromych szczeblach; wracała, zaniósłszy parobkom strawę. Kiedy dostrzegła go na dole, odwróciła się, nie chcąc schodzić tyłem, jak to zazwyczaj czyniła. Prawą ręką opierała się o mur, a nie chcąc zaczepić spódnicą o szczeble, podniosła ją lewą ręką w górę, przy czym ukazała się silna, ładnie ukształtowana noga, odkryta prawie aż po kolano. Stopa w wełnianej pończosze szukała najpierw szczebla, a potem zakrzywiła się na nim jak ręka; całe jej ciało, dążące do utrzymania równowagi, było ożywione łagodnym, kocim, giętkim ruchem. Niby trwożny, a pełen wdzięku uśmiech oczarował do reszty młynarza. Gdy wreszcie zeskoczyła z ostatnich paru szczebli, pochwycił ją w ramiona i ucałował — usiłując nadać temu erotycznemu porywowi cechę zwykłego wiejskiego flirtu, jednakże bez powodzenia, bo śmiech jego brzmiał wymuszenie. Młoda zwodnica spojrzała na niego dziwnym wzrokiem, wyrwała się szybko z uścisku i wymknęła za drzwi.

Młynarz udał się na górne piętra, zabawił tam mniej więcej kwadrans, a potem wrócił do mieszkania. Teściowa przywitała go rozpaczą: przed kwadransem córka zerwała się nagle, miotana gwałtownym atakiem duszności, i wpatrzyła się nieruchomo przed siebie, nie poznając wcale matki. Aż do tej chwili leżała spokojnie, zwłaszcza że w ostatnich dniach nastąpiło pewne polepszenie. W ciągu całego wieczoru majaczyła, a z poszczególnych jej słów młynarz wywnioskował, że musiała być chyba naocznym świadkiem sceny, jaka rozegrała się we młynie. Nie wydawało mu się to bardziej niepojęte aniżeli inne, wprawdzie mniej znaczące objawy telepatii, jakie już poprzednio u niej zaobserwował.

Od tego dnia jednak rozpoczął się bardzo niespokojny zwrot w jej chorobie.

VIII

Młynarz siedział jeszcze ciągle nieruchomy i rozmyślał o tym wszystkim. Wspomnienia otaczały go kołem — żadne nie było odleglejsze aniżeli inne. Wydawało mu się, że to wczoraj jeździł do Smoczego Dworu, a ona wyszła przed bramę i odbierała dymiące jeszcze chleby; wydawało mu się, że niedawno jeszcze stali razem w kapturze młyna, gdy śmigły nastawiono pod wiatr; właśnie wczoraj przypomniał sobie o tym, kiedy chora wśród gorączkowego snu zakrzyknęła nagle: „Ach, zgniecie ich... zatrzymajcie obrót... ścisnąć ich zgniecie!”. Widział wszystko wyraźnie: jej dziecięcą twarzyczkę z owego czasu, okoloną jedwabistym włosiem spadającym na policzki, duże, osłupiałe oczy i skrzywione przerażeniem usta. I kiedy teraz wpatrywał się w to oblicze wsparte na poduszkach, odnajdywał w nim bardzo dużo z tamtego dawnego — zwłaszcza to samo skrzywienie ust, których jeden kącik unosił się nieco w górę. Nie mógł uwierzyć, aby ta istota, której widzialny kształt nie zatracił jeszcze całkowicie dawnych dziecięcych rysów, dosięgła już swego kresu i aby ich współzycie, rozpostarte przed jego oczyma jakby jeden jedyny dzień, już było skazane na śmierć.

Przypomniawszy sobie jej słowa: „Kiedy człowiek umiera, życie wydaje mu się takie krótkie”. Czyżby już i on sam przyswajał sobie poglądy umierającej?...

Nagle zachciało mu się pić. Nie znalazłszy wody w dzbanku, poszedł przez świetlicę do swej sypialni. Drzwi pokoju chorej pozostawił niedomknięte.

W sypialni świeciło się. Liza stała przy jego łóżku.

— Czemu jeszcze nie śpisz?

— Miałam tyle roboty.

— Niepotrzebnie słałaś moje łóżko.

— Sądziłam, że może pan zechce przespać się trochę tej nocy.

W tym okresie młynarz sypiał po parę godzin podczas dnia, pozostawiając chorą pod opieką teściowej, a w nocy sam czuwał przy łóżku żony.

— Gdybym przespała parę godzin, mogłabym także posiedzieć przy pani — dodała Liza.

— Nie, nie! Co za pomysł! — odpowiedział niemal szorstko.

Ogarnęło go wprost przerażenie na myśl, że chora mogłaby się przebudzić i ujrzeć Lizę siedzącą przy łóżku.

Liza odwrócona tyłem do niego, uśmiechnęła się podstępnie.

W tej chwili Janek zajęczał przez sen i poruszył się w łóżeczku. Ojciec podszedł ku niemu, poprawił poduszkę i kołdrę i lekko pogłaskał głowę chłopca. Dziecko uspokoiło się natychmiast, wydawało się, że zapada w głębszy sen, jak gdyby pod wpływem magnetycznego pociągnięcia.

Młynarz rozejrzył się wkoło, wahając się. Nie mógł sobie przypomnieć, po co tu przyszedł... Ach, prawda. Po wodę!

Podszedł do umywalni i nalał sobie z dzbanka pełną szklankę wody.

— Woda jest świeża, właśnie przyniosłam ją ze studni — zauważyła Liza.

Wypił duszkiem. Chłodny płyn pokrzepił go — duchowo i cieleśnie. Wydawało się, że ta woda sflukuje atmosferę pokoju chorej i niesie mu wzmacniające pozdrowienie z żywych, świeżych źródeł przyrody.

Poprzez szkło szklanki spojrzął na Lizę.

Wydało mu się to tak niezwykle: tam wewnątrz leżała chora, a tutaj stała zdrowa, ściskając mu łóżko. Liza wyglądała jak samo zdrowie, a pęd powietrza — wzbudzony jej silnymi ruchami podczas układania materaców, prześcieradła, poduszek i kołdry — owiewał go niejako życiodajną atmosferą.

Właśnie w tej chwili, kiedy odstawiał szklankę, Liza cofnęła się o krok w bok, ale stąpnęła nierówno — skręciła nogę w kostce i byłaby upadła, gdyby jej nie pochwycił. Cichy okrzyk świadczył o bólu, a zarazem o panowaniu nad sobą — obawiała się obudzić chorą. Ociężałe i bezradnie zawisło mu na ręku jej ciało, głowa wsparła się na jego ramieniu, wyczuwał uderzenia bijącego przestrachem serca.

Nie było to dla niego nieprzyjemne, że przez parę chwil wspierał ją a raczej dźwigał.

Potem stanęła na prawej nodze, odwróciła głowę ku niemu i szepnęła:

— Dziękuję!

Twarz jej wyrażała wdzięczność i jak gdyby dziecięcą ufność.

— Nie zwichnęłaś chyba nogi? — zapytał troskliwie.

— O, nie! Już mogę stąpać.

— Zaniechaj tego! Usiądź tutaj na łóżku.

— Szkoda tylko, że znowu je rozburzę — zauważyła, uśmiechając się i sadowiąc na brzeжку łóżka.

— Pst! — szepnął nagle przerażony.

Usłyszał dziwny, niesamowity dźwięk dochodzący z oddali.

Drzwi do świetlicy były przymknięte. Zbliżył się ku nim.

Liza powstała z wysiłkiem i kulejąc postąpiła naprzód, chcąc mu towarzyszyć i ewentualnie dopomóc, gdyby zachodziła potrzeba. On gwałtownym skinieniem zatrzymał ją w miejscu i poszedł do pokoju chorej.

Chrystyna siedziała na łóżku, przyciskając lewą rękę do piersi, jęcząc i łapiąc chciwie powietrze. Szeroko rozwarte oczy nie widziały go wcale, nie zwróciła też uwagi na niego, gdy podtrzymywał jej drgające ciało.

Powoli spazm przeminął, górna część ciała zwiotczała i opadła w jego ramiona, głowa pochyliła się na piersi.

— Chrystyno! — zawołał parokrotnie z rozpaczą, układając ją na poduszkach.

Ale nic nie wskazywało, by ludzki głos mógł dotrzeć do jej świadomości.

Oddech słabł wśród silnego rżenia.

I ten odgłos posłyszała Liza, stojąca w sypialni w odległości paru kroków od na wpół otwartych drzwi.

Na jej ustach pojawił się uśmiech tryumfu.

KSIĘGA II

I

W następną środę odbył się pogrzeb.

Oprócz najbliższych krewnych, matki i brata, byli obecni tylko leśniczy z siostrą, proboszcz, nauczyciel i kilka rodzin chłopskich — byli to po części sąsiedzi, po części dalecy krewni mieszkający w odległości paru mil, których nie chciano puścić do domów, nie ugościwszy poprzednio.

Dla Lizy był to dzień ciężkiej pracy, ale także dzień chwały, albowiem mogła przedstawić swą dzielność w najlepszym świetle i miała doskonałą sposobność, by wystąpić wobec gości w roli gospodyni domu. Najważniejsze było, aby ci goście — szkoda, że nie przyjechało ich więcej — wracali do domów, rozplywając się w pochwałach: to istotnie dziewczyna, z której młynarz powinien być zadowolony! Byłoby bezwstydem zauważyć, że w młynie odczuwa się brak gospodyni.

Bądźcie spokojni, kochani ludzie! Znajdzie się jeszcze i pani domu! Wszystko we właściwym czasie! W tym dniu miała Liza przed oczyma inny cel i doprawdy warto było napocić się nieco. Dlatego też nie zgodziła się na propozycję młynarza, aby podać zimną wieczerzę. Ładnie by to wyglądało, gdyby ludzie rozgadywali, że Liza nie ugościła ich gorącą pieczęnią.

Skoro więc kawa pokrzepiła na początek umysły, uroczyste przygnębione pogrzebem, wspomniana pieczeń — olbrzymia cielęcina — skoncentrowała despotycznie wszystkie wysiłki, a Liza była zadowolona, że Hanna z leśniczówki, pomagająca już przy kawie, zapytała, czy nie mogłaby jeszcze w czymś dopomóc. Do siekania szpinaku pomoc jej okazała się pożądana.

Natomiast nie zgadzało się to z planami Lizy, że nieco później pani Andersen, matka Chrystyny, wtoczyła się do kuchni z całą bezceremonialnością otyłej, bogatej chłopki i zapytała łaskawie:

— Ano, Lizko... co słyhać?... Czy tylko dasz sobie radę?

„Co cię to obchodzi, ty stara purchawko?” — pomyślała Liza, mruczając jednocześnie jakieś słowa, mogące uchodzić za uprzejmą podziękę w odpowiedzi na łaskawą troskę.

Stała właśnie przy piecu i wyjęła pieczeń, aby ją posolić. Olbrzymi kawał mięsa wzbudził podziw chłopki; pochyliła się nad dziewczyną.

— No, trzeba przyznać, że dzisiaj nie pomrzemy z głodu.

— Nie zdaje mi się, aby na stole u dziedzica pojawiła się lepsza pieczeń.

Dziedzic! To był jej syn, Henryk, o którym powszechnie mówiono, że nie obchodzi go nic, prócz rozkoszy jedzenia. Aluzja była dyskretna, ale nie chybiała celu.

— Tak, miałas istotnie szczęście — oświadczyła pani Andersen zaczepnym tonem. — Taki kawał można upiec porządnie.

— Jak to... szczęście? Nie spadł nam przecież z nieba!

— Hm, pozostajesz widoczną w dobrych stosunkach z rzeźnikiem... Fredriksen ugania zawsze za dziewczętami.

To był strzał z ciężkiego działa. Liza jednak strzeliła jeszcze dalej.

— Fredriksen? — odpowiedziała z poczuciem wyższości. — Nie, posłałam Chrystiana do miasta.

Słowa „posłałam Chrystiana do miasta” miały przedziwnie słodki smak, zwłaszcza że nie były przesadą. Młynarz pozostawił jej swobodę działania, a więc kierowała wszystkimi przygotowaniami do przyjęcia gości wedle własnej woli.

Na starą chłopkę uwaga ta podziałała zgodnie z zamierzeniem Lizy: „Aha! Więc już się zaczyna? Już gra rolę gospodyni tu w młynie?... No, zaczekaj! Trzeba zawczasu uderzyć cię po palcach!”

Otyła kobieta okręciła się na obcasie, a odziedziczony stuletni jedwab zaszeleścił na niezbyt czystych flizach podłogi, podczas gdy wielmożna posiadaczka sukni gotowała się obejrzeć wszystko, co stało na stołach i półkach lub wisiało na ścianach. Liza posłała jej przez ramię wymowne spojrzenie: „Tak, tak, przyjrzyj się swojej gębie na wszystkich kotłach i garnkach — nie będzie i tak piękniejsza!” — I istotnie, nie stała się piękniejsza

ta twarz, która już od urodzenia nie wyróżniała się urodą. Tam maszynka do herbaty odportretowała jej minę idiotycznego rozczarowania, gdzie indziej brzuch miedzianego kotła tak ją poszerzył, jak gdyby z całych sił ciągnięto ją z obu stron za uszy. Pomijając zniekształcenia w odbiciu, zwierciadlane obrazy nie grzeszyły też zbyt jasnością. Ale pani Andersen nie należała do osób, które oburzają się odrobiną brudu, więc niestety, nie znalazła nic, czemu można by przyganić.

Jeszcze nie osiągnęła tego niepożądanego wyniku, kiedy drzwi wiodące do izby czeladnej, obok których stała, rozwarły się z taką siłą, że klamka niezbyt łagodnie zetknęła się z jej szerokimi plecami.

— No Lizo! Teraz będziemy...

Wpadający do kuchni Jörgen nie dokończył swego przemówienia, ponieważ karzące spojrzenie Lizy, poparte własnym spostrzeżeniem, że drzwi uderzyły o coś, skłoniło go do obejrzenia się. Najpierw dostrzegł Hannę, co już przytłumiło jego zbyt głośne zachowanie się, a potem ujrzał dziedziczkę, której obrażona mina z powodu uderzenia zgasła całkowicie jego młodzieńczy zapal. Wyjął przeproszenie, niezbyt łaskawie przyjęte, a potem przypomniał sobie, że właściwie przyszedł po ogień do fajki, ponieważ w izbie czeladnej brakło zapalek.

Zaradzono temu brakowi. Ale Jörgen był jeszcze ciągle tak zakłopotany, że wychodząc, nie zamknął porządnie drzwi za sobą. I słychać było, jak w izbie czeladnej pędrak Lars sobie folgował:

— Niech mnie diabli wezmą, jeżeli młynarz nie ożeni się prędko powtórnie. I wiem, do kogo się zaleca!

— Do diabła! — burknął Chrystian.

— A tak! I niedługo poczekamy na to.

Liza pospieszyła domknąć drzwi, objaśniając:

— Ten paskudny dym tytoniowy zasmrodzi całą kuchnię!

Potem szybko spojrzała w bok, chcąc się upewnić czy owe słowa z izby czeladnej doszły tutaj. Dziedziczka wpatrywała się z przejęciem w jedno z humorystycznych odbić jej twarzy i skierowała właśnie jakieś obojętne pytanie do Hanny, która zrazu nie dosłyszała go wcale, a po powtórzeniu zapytania odpowiedziała z widocznym pomieszaniem. To zwróciło uwagę Lizy: wydało się jej, że „pobożna siostra” stała się ofiarą świeckich wzruszeń, a jeden z tych nagłych, wyjaśniających sytuację błysków, jakie fosfor kobiecego mózgu tak zręcznie zapala, powiązał te świeckie wzruszenia z głosami dochodzącymi spoza drzwi izby czeladnej, bo, na szczęście, nie można już było dosłyszeć słów. Zdecydowała się szybko, schwyła miskę z ciastem, które pozostało po wypiciu kawy, i poszła do izby czeladnej.

Nie zapomniała zamknąć drzwi za sobą.

— ...i jak szczególnie młynarz patrzył na nią przy drzwiach cmentarza, kiedy...

Pędrak Lars urwał w środku zdania, gdy ujrzał Lizę. Miał minę uczeniaka, którego nauczyciel złapał podczas płatania figli. Czerwony ze strachu bębnił palcami po stole i udawał, że obojętnie wygląda na podwórzu. Chrystian uśmiechał się zakłopotany, Jörgen zaś palił spokojnie dalej, trzymając fajkę w prawym, pogardliwie skrzywionym kąciku warg. Było to zabawne widzieć, jak inni idą za fałszywym tropem, i mieć poczucie własnej świadomości rzeczy. Toteż zerkając, chytrze uśmiechał się do Lizy.

Liza była zadowolona: weszła w najkorzystniejszej chwili. Sama miała nazbyt dużo roboty i nie mogła pójść na cmentarz. Na kogoż to innego patrzyłby młynarz „tak szczególnie”, jeżeli nie na Hannę? A więc to dlatego!...

— Dobrzy jesteście chłopcy, nie ma co mówić — rzekła, stawiając miskę na stole. — Przynoszę wam tutaj ciasto, które dla was schowałam, a wy przemyślicie tylko nad tym, aby dostać nową panią domu. Nie zadowalacie się widocznie tym, co jest?

— Ależ na Boga, jesteśmy zadowoleni — zapewniał Lars ze łzami w oczach, ponieważ ubóstwiana Liza skierowała ten pogardliwy zarzut przeciwko niemu jako mówcy. — Co ty gadasz... wcale nie mówiliśmy o tym...

— Czy przysięgniesz na to, mały Larsie? — przerwał mu groźnie Jörgen.

Mały Lars nie mógł przysiąc, zamilkł zmiażdżony, odwrócił głowę i nieznacznie otarł łzę.

Ale niebawem uwaga odwróciła się od niego, ponieważ Chrystian oświadczył flegmatycznie, że on istotnie nie jest zadowolony i życzy sobie gorąco, aby znowu była w młynie gospodyni — im prędzej, tym lepiej!

Oniemiała Liza wpatrywała się w piegowatą twarz rudego parobczaka — przeraził ją niemal ten jawny bunt. Spojrzenie Lizy atakowało Chrystiana z przodu, na flankach ostrzeliwał go krzyżowy ogień z głupkowato wybałuszonych oczu Larsa i z ust Jörgena. „To szalony człowiek!” Zuchwały parobek nie przerażał się groźną sytuacją, rozstawił jeszcze szerzej nogi i zapuścił pięści jeszcze głębiej w kieszenie portek.

— Takie to już jest moje przekonanie — przemówił wreszcie, przeciągając słowa. — Czy to stosownie, abyś gospodarowała tutaj w kuchni? Inaczej było wówczas z początku, kiedy mieliśmy cię tam w piekarni... nieprawda, Lizo? Ja wyrabiałem ciasto, ty ważyłaś je. To mi się podobało.

Jörgen pochylał się i zawzięcie pykał fajkę, osłaniając swój gniew kłębami dymu. Te poranne godziny, kiedy Chrystian stał przy boku Lizy i ciągle się z nią stykał, od dawna już kłuły go w oczy.

— Oczywiście, i mnie się także podobało — odpowiedziała Liza, prześlądana zupełnie jego wyjaśnieniem. — Było to weselsze, aniżeli siedzieć tutaj samotnie w kuchni... z jednym jedynym Pilatusem, który przecież jest tylko zwierzęciem.

— No tak, ale to doskonały kot — wtrącił Lars pospiesznie — nieporównanie lepszy aniżeli Kizia.

Liza nagrodziła tę lojalną manifestację łaskawym skinieniem.

— Zresztą i teraz zachodzę często na górę — zauważyła, aby pocieszyć Chrystiana, a zwłaszcza aby podrażnić Jörgena.

— No tak, kiedy niekiedy, właśnie podczas najgorętszej roboty, tak że i mowy nie ma o prawdziwej serdeczności... Nie, wówczas było inaczej... Napijmy się, aby wróciło to, co było.

Wlał do szklanki resztki wina z flaszki przesłanej życzliwie przez Lizę do izby czeladnej, wypił połowę i podał potem dziewczynie, która wypróżniła ją, obdarzając wszystkich trzech uśmiechem i skinieniem głową.

— Obyśmy wszyscy żyli dobrze i zgodnie z sobą! A jeżeli młynarz chce się żenić... daję mu moje błogosławieństwo!

Jörgen, który uroczyście wznosił szklankę — nie zapominając o złocistych, wypełnionych rozkoszną małmazją⁸ kielichach, z jakich pili za zdrowie swych dam rycerze z kalendarza — uczuł znowu swoją wyższość nad Chrystianem jako jedyny powiernik i sojusznik Lizy. Chrystian natomiast dosłuchał się w tym błogosławieństwie jej tęsknoty za wspólnym codziennym obcowaniem w piekarni. A Lars znowu pamiętał, jak czule spojrzała na niego, mówiąc o „wszystkich”, i był przekonany, że dziewczyna nie dba bynajmniej o tych obu wielkich zarozumiałców.

II

Kiedy Liza wróciła do kuchni, przekonała się, ku swej wielkiej radości, że pani Andersen już odeszła. Była sam na sam z Hanną i z nowym zupełnie zainteresowaniem obserwowała tę domniemaną rywalkę, która stała poufale przy oknie i siekała dla niej szpinak. W tej chwili bardzo nie podobało się Lizie, że widzi „panienkę” przy tej gospodarskiej pracy; wyglądało to, jak gdyby już była u siebie w domu! Grała już rolę gospodyni!

W ostrym wiosennym świetle, wpływającym przez okno, postać dziewczęcia wydawała się delikatniejsza i smuklejsza niż zwykle, zwłaszcza dzięki czarnej wełnianej sukni mieniającej się błękitnawym odcieniem. Ciemne włosy były gładko zaczesane z czoła w tył głowy, a uczesanie to budziło lekceważenie u Lizy, ponieważ ona sama dwa razy tygodniowo rurkowała grzywkę żelazkiem. Rzut oka w najbliższy rondel przekonał ją, że grzywa marszczy się tak pięknie jak u mieszczanek. Pod tym względem była świadoma swej wyższości. Jednakże tajemny, wewnętrzny głos mówił jej, że gdyby nawet przejrzała

⁸małmazja — słodkie, aromatyczne, czerwone wino z krajów śródziemnomorskich; pierwotnie wyrabiane ze szczepu winogron malvasia w okolicach miasta Malvasia na Peloponezie, potem również w innych miejscach, w tym na Wyspach Kanaryjskich i na Maderze; w Polsce ceniono małmazję z Krety; nazwa wina stanowiła synonim luksusowego trunku. [przypis edytorski]

się w czarodziejskim upiększającym lustrze, a nie w kuchennym zniekształcającym obraz naczyniu — to i tak twarz jej mimo uśmiechu zadowolenia uległaby we współzawodnictwie z tamtą drugą twarzą, która spokojnie i bez pretensji pochylała się nad codzienną pracą. Nawet przy najszcześniejszym wyidealizowaniu jej własnego ładnego oblicza brakowałoby jeszcze czegoś — brakowałoby wdzięku, którego nie zdoła nadać zewnętrzny blask najbardziej czarownego oszlifowania — brakowałoby refleksu tego *wewnętrznego* ognia, który raczej można przeczucić, niż zobaczyć.

Głuche wyczucie takiego stanu rzeczy nie wprowadzało jej bynajmniej w najlepszy humor, i niewiele brakowało, by przepelniająca ją gorycz wylała się na ulubieńca Pilatusa. „Doskonały kot” ukrywał się skulony w kącie za piecem, dopóki dziedziczka gospodarowała w kuchni. Teraz chciał znowu przypomnieć o swym istnieniu; podkrał się ku Lizie i potarł łbem jej ramię, kiedy kłęczała koło pieca i oblewała sosem ogromną cielęcinę. Ale Liza parokrotnie z niechęcią odsunęła go na bok. Hanna chciała pocieszyć kota kawałkiem słoniny, ale Pilatus nie raczył zwrócić uwagi na przysmak, a natomiast ponownie zbliżył się do swej kapryśnej pani, kręcąc pieszczotliwie ogonem. Wtedy Liza doznała nagle wzruszenia, patrząc na wierne zwierzę i myśląc o przywiązaniu, jakie jej okazuje: „Tak, ty jesteś dobrym, poczciwym przyjacielem, zupełnie mi oddanym! Ciebie ona nie zwabi, chociażby zapragnęła, ty nic nie przyjmiesz od niej, prawda, Pilatusie? A jeżeli ona się tu osiedli i wypędzi mnie, wówczas nie zostaniesz tutaj, nie będziesz żebrał jej łask, ale pójdiesz ze mną, stary Pilatusie!”

Łzy zakręciły jej się w oczach. Widziała już wyraźnie, jak wypędzają ją z domu i z obejścia — z tego młyna, do którego pracą rąk własnych zdobyła sobie prawa! Jak wypędza ją obca, zmuszając do wędrówki po mroźnych drogach w daleki świat z węzelkiem pod pachą. A kiedy Pilatus odpowiedział parokrotnie na tę niedosłyszalną przemowę czułym „miau”, Liza znalazła jeszcze parę kropli kawy w dzbanku, wylała ją na duży spodek i doprawiła gęstą śmietanką. Potem usiadła na drewnianym podnóżku i postawiła spodek na kolanach. Kot wygiął grzbiet, wspiął się przednimi łapami na jej kolana i chlpał końcem różowego języka napój, spoglądając na nią kiedy niekiedy bursztynowożółtymi ślepiami. Ona zaś patrzyła na kota z nie mniejszą miłością poprzez łzy, które wycisnęła jej z oczu litość nad samą sobą i wściekłość — w spojrzeniu jej błyszczało jakieś przesądne nabożeństwo niby ku wyższej, ochraniającej ją istocie, ku dobremu geniuszowi, towarzyszącemu jej na ścieżkach życia w tej zwierzęcej postaci. Można było niemal przypuścić, że jest to jakieś święte zwierzę, któremu kapłanka składała codzienną ofiarę.

— Czy lubisz zwierzęta? — zapytała przyjaźnie Hanna.

— Lubię Pilatusa — odpowiedziała Liza wymijająco, prawowierna kapłanka, nieoddająca czci cudzym bogom.

— Pilatusa? Ten kot tak się nazywa?

— Tak jest... czy pani nie wiedziała o tym? — spytała Liza, szczerze zdumiona tą nieświadomością.

— Któż go tak nazwał?

— Albo ja wiem? Zawsze nazywał się Pilatus.

— Dałabym mu inne imię. Nie należy nazywać zwierząt imionami z Pisma Świętego⁹.

Liza uśmiechnęła się pogardliwie.

— Mój brat ma bardzo pięknego psa myśliwskiego, który nazywa się Hektor, a ja mam sarenkę... kochane zwierzątko... na które wołamy: Jenny.

— Nie cierpię psów, a sarny bardzo lubię na rożnie... Byłoby pięknie, gdyby brat pani przysłał nam w jesieni zwierzynę.

— Chętnie by to uczynił, ale zwierzyna nie do niego należy.

„No, jedna sarna mniej czy więcej, tego właściciele lasu z pewnością nie zauważą” — chciała już wybuchnąć Liza, ale powstrzymała się w porę. O, jakże była wściekła z powodu Hanny! Taka obłudnica! W leśniczówce pojawia się, oczywiście, ciągle comber sarni na stole!

⁹Pilatus (...) imionami z Pisma Świętego — imię rzymskiego prefekta Judei, Poncjusza Pilata (łac. *Pontius Pilatus*) w czasach Jezusa. [przypis edytorski]

— Ach tak? Nie rozumiem dobrze tych spraw — odpowiedziała swobodnie, okrywając zasłoną niewinności przyzwyczajenia zakorzenione od młodych lat w córce starej rodziny kłusowników.

Rozmowa się przerwała. To było głupie. Może jej niechęć wobec Hanny ujawniła się zbyt widocznie, a w każdym razie panienska nie odczuła zachęty do dalszej pogawędki. I cóż osiągnęła przez to? Byłoby znacznie mądrzej nakłonić ją do mówienia, a może nawet do wygadania się — należało przede wszystkim wy badać, czy istotnie łączy ją coś z młynarzem. Nie było to, oczywiście, nic groźnego, skoro udawała taką świętoszkę.

Liza stanęła obok Hanny i czyszcząc noże, rozpoczęła na nowo pogawędkę zapytaniem, jak się odbyły uroczystości na cmentarzu. Hanna opowiadała bardzo życzliwie i wyczerpująco, pragnąc, aby pocziwa dziewczyna, która zapewne chętnie odprowadziłaby swoją gospodynię na miejsce wiecznego spoczynku, w ten sposób przynajmniej dowiedziała się o szczegółach pogrzebowej ceremonii. Potem sama poczęła wypytywać, a Liza opowiadała jej o ostatnich dniach choroby. Tak, młynarz przeżył bez wątpienia bardzo ciężki okres. Ale ponieważ choroba była nieuleczalna, więc lepiej się stało, że młynarka umarła, niżby miała cierpieć przez długie lata. I dla młynarza lepiej, bo jest on mężczyzną w pełni wieku i będzie miał możliwość, przebolawszy obecną stratę, rozejrzeć się jeszcze za drugą żoną. W młynie musi być przecież gospodyni.

Ten zwrot rozmowy był niemiły dla Hanny. Zaledwie biedna kobieta spoczęła pod ziemią, już przemyślają o tym, aby wypełnić jej miejsce! A cóż dopiero te niby niecierpiące zwłoki kwestie gospodarstwa — jakże małostkowe, jak materialistyczne! Ale nie tylko to. Dosłyszała poprzednio powiedzenie Larsa, że niedaleko znajduje się ta, którą młynarz pojmie za żonę — i powiedzenie to zastosowała do siebie. Prócz niej były tu tylko zamężne kobiety; o Lizie nie pomyślała wcale. Czyżby młynarz istotnie ją lubił? I czyżby inni już to dostrzegli? A ona sama? Czy w jej sercu mogło się zbudzić jakieś uczucie dla tego poważnego, trochę ociężałego mężczyzny? W ogóle było grzechem nawet myśleć o czymś podobnym w takim dniu!

Wobec bezpośredniości jej natury niezadowolone z powodu tego tematu rozmowy przejawiało się wyraźnie w zwięzłości odpowiedzi, w wyrazie twarzy, nawet w ruchach. Nie przeczuwała przecież, że ta, z którą rozmawia, czyha na każdą taką oznakę i pilnie obserwuje wszystko, udając na pozór niewinną gadatliwość.

— Młynarz — dowodziła Liza — nie jest bynajmniej za stary do żeniaczki, byleby nie chciał się ożenić z młodą dziewczyną. Ale jakaś wdowa, to byłoby ostatecznie najlepsze wyjście i ze względu na gospodarstwo, i dlatego że mogłaby być dobrą macochą dla Janka, jeśliby oczywiście sama nie miała dzieci... Jest na przykład w miasteczku wdowa po siodlarzu, młynarz ją zna i nieraz ją wspominał.

Liza uznała taki obrót rozmowy za nadzwyczaj korzystny; radowała się wprost własnym sprytem. Po pierwsze: odsuwała wszelkie podejrzenia od siebie samej. Panienska była przecież tak łatwowierna! Bo chociaż Liza, gdy o to chodziło, zarzucała niejedno paniencie z leśniczówki, chociaż uważała ją za wykwit obłudy, za „udającą świętoszkę”, to jednak nie przeszkadzało to wcale, że równocześnie patrzyła na nią z dziwną niekonsekwencją jako na głuptaska, któremu można wmówić najniemożliwsze rzeczy. Gdyby więc kiedyś rozeszły się pogłoski, że Liza dąży ku temu, by wyjść za młynarza, to panienska z leśniczówki zaprzeczyłaby temu kategorycznie. To była korzyść, i to duża. Po wtóre...

— Wdowa?... nie, a to dlaczego? Młynarz nie jest przecież bynajmniej za stary, by poślubić młodą dziewczynę... jeżeli w ogóle zechce się ożenić.

Aha! Wylazło szydło z worka! Właśnie dlatego zastawiła chytrze pułapkę.

Hanna nie potrafiłaby może wyjaśnić ani sobie, ani komuś innemu, dlaczego z taką niechęcią pomyślała o tym, że młynarz mógłby poślubić wdowę. Może tylko dlatego, że jako przyjacielowi swego brata życzyła mu jak najlepiej, życzyła mu czegoś pięknego, bezpośredniego, świeżego, gorącej, szczerej miłości — a dzięki swemu naiwnemu pogładowi na świat przypuszczała, że właśnie tego nie znajdzie u wdowy. Na pewno nie podsunął jej tych słów własny interes, toteż nie przeszło jej przez myśl, by ukrywać swe mniemanie — wszak zawsze miała na języku to samo co w sercu.

— Ach tak? Więc tak pani sądzi? — zapytała Liza ze zdziwieniem. — Doprawdy?

— Tak, czemuż by nie?

— Młynarz ma już siwe włosy na skroniach.
— Bardzo mu z tym do twarzy, jak mi się zdaje.
— A niekiedy miewa też głębokie zmarszczki na czole i wtedy wygląda naprawdę bardzo staro.

— To tylko dlatego, ponieważ jest poważnym mężczyzną i dręczy się różnymi myślami. Cóż to zresztą szkodzi?

— O nie. Może ma pani słuszość. Mógłby oczywiście poślubić i młodą dziewczynę... Ale mnie się wydaje, że wdowa byłaby odpowiedniejsza dla niego, a wdowa po siodlarzu posiada pono ładny grosz!...

Liza osiągnęła wszystko, co zamierzała. Gdy więc teraz Hanna zgarnęła posiekany już szpinak i zapytała, czy mogłaby jeszcze w czymś dopomóc, Liza odpowiedziała, że bardzo panience dziękuje i że teraz sama już da sobie radę, zresztą nie chciałyby zatrzymywać panienki dłużej z dala od towarzystwa, gdzie zapewne odczuwają jej nieobecność. Miała szaloną ochotę dodać: „Młynarz odczuwa na pewno nieobecność panienki”. Ale zapanowała nad sobą; nie należy niepotrzebnie szczyrzyć zębów jak głupi pies, lecz w rozstrzygającej chwili mocno wbić pazury — prawda, Pilatusie?

III

Kiedy Hanna weszła do świetlicy, towarzystwo było podzielone na grupy. Młynarz był nieobecny w izbie. Rozmawiał on w ogrodzie przed domem z leśniczym, nauczycielem i jedną z chłopek, wszyscy wyszli na dwór — oprócz pani Andersen, którą proboszcz pocieszał w małym narożnym pokoju, gdzie umarła jej córka. Wszystkie ślady choroby zostały już usunięte, tylko komoda, stół i parę krzeseł stało w tej izbie, zazwyczaj nieużywanej. Drzwi stały otworem do świetlicy, gdzie chłopcy rozsiedli się przy stole. Całą przestrzeń wypełniały błękitne kłęby tytoniowego dymu, który wijąc się krętymi warstwami, to podążał ku otwartym drzwiom do ogrodu, to płynął z powrotem.

Nad wszystkim ciążył jakby wewnętrzny kontrast: było to towarzyskie zebranie, a więc jako takie powinno być ożywione i wesołe; z drugiej strony powodem zebrania były śmierć i pogrzeb, więc należało trwać w smutnym i uroczystym nastroju. Mieszkańcy wsi umieją zazwyczaj doskonale rozwiązać to przeciwieństwo na korzyść wesołości; tutaj jednak w postawie gospodarza przejawiało się jakieś przygnębienie i niepokój, co utrudniało przejście do normalnego w takich okolicznościach nastroju. Najbardziej cierpiał wskutek tego rozstroju brat zmarłej, dziedzic Henryk — *alias* Smok. Był to jasnowłosy mężczyzna, trzydziestoletni, z czerwonymi, pełnymi policzkami, z bródką, skłaniający się ku otyłości. On sam bynajmniej nie patrzył na uroczystość z najczarniejszej strony. W ostatnim czasie widywał swoją siostrę zaledwie dwa razy na kwartał, a chociaż teraz w ogóle już nie miał doznawać tego szczęścia, to nie uważał tego wcale za wystarczający powód, aby zwiesić głowę.

W dodatku kawa i ciasto, portwein i cygaro bardzo mu smakowały, a ożywiała go także miła nadzieja wieczery, wzbudzona słowami o doskonałej pieczeni cielęcej, które padły z ust przechodzącej mimo matki. Zresztą podzielał w znacznej mierze zdanie, jakie przede wszystkim wyznawała grupa o bardzo przyziemnych poglądach, a mianowicie: skoro się już oddało śmierci to, co się jej należało, trzeba także życiu oddać jego należność. A takie zapatrywanie potęgowała jeszcze świadomość kontrastu, że człowiek żyje, jest zdrow i sam nie daje jeszcze na razie okazji do pogrzebowej stypy. Ale jednocześnie nie zapominał także, że jest jednym z „dotkniętych żałobą”. Wynikały stąd dosyć nagle zmiany w jego sposobie zachowania się. Właśnie w tej chwili wypił jeszcze jeden kieliszek portweinu i z zadowoleniem mlasnął wilgotnymi, szeroko śmiejącymi się wargami. Gdy jednak Hanna weszła do pokoju, skrzywił lewy, zwrócony do niej kąt ust, zmarszczył czoło, a pełne błogości „ahm”, które drżało już na wargach jako pochwała doskonałego napoju, zmieniło się w ciężkie westchnienie człowieka pozostającego w głębokiej żałobie.

I jak gdyby nie wystarczyło, że jeden z tych pozostałych zwrócił już na siebie uwagę, zabrzmiał jednocześnie z bocznego pokoju płaczliwy głos, który niebawem doszedł do najwyższego napięcia skargi.

Zaledwie pani Andersen, która w kuchni tak zdrowo przejawiała praktyczne myśli, znalazła się przy boku proboszcza, doznała drgawek twarzy i poczuła szybko wzbiera-

Pogrzeb, Żałoba, Obyczaje

jąca wilgoć w oczach i w nosie, co spowodowało gwałtowną potrzebę użycia batystowej chusteczki. Te refleksy uczuciowe wywołało wspomnienie rozczulającej chwili, kiedy proboszcz zwrócił uwagę uczestników pogrzebu na matkę pozostałą w głębokiej żałobie.

Kiedy teraz dobry proboszcz, powodując się szlachetnym zamiarem pocieszenia jej parama serdecznymi słowy, zawiódł ją do bocznej izby, miejsce to przypomniało jej liczne godziny przepędzone przy łożu chorej i wzbudziło żal w sercu. A chociaż izba zmieniła wygląd, to jednak widok z okien pozostał ten sam: przez jedno okno widać było wąski ogródek przed domem z grządką obramioną muszlami, pozbawioną świetności, bo kwiaty padły wczoraj ofiarą nożyc, aby przyozdobić grób; widać było przycięty żywopłot cierniowy, prześwietlający u podstawy, a dalej pola tu i ówdzie podzielone niskimi szeregami topoli — przed drugim oknem roztaczał się sad z konarzystymi gałęziami i omszonymi pniami. Jak często przez długie godziny spoglądała na ten obraz! I zaczęła głośno płakać częściowo pod wpływem istotnego wzruszenia, częściowo dlatego, że wedle jej mniemania tak wypadło.

Pastor Schmidt, okragławy mężczyzna z grubymi wargami świadczącymi wybitnie o miłowaniu dobrych rzeczy, z krótkim, szerokim nosem i z siwiejącymi, kędzierzawymi włosami, wypowiadał niejedno słowo pocieszenia. Kiedy to nic nie pomagało, a raczej przeciwnie, wskutek rozczulającego oddziaływania potęgowało jeszcze głośnie wybuchy łez i jęków, przemówił do niej nieco surowiej mocą swego urzędu. Nie jest to słuszne, nie jest po chrześcijańsku, aby w ten sposób oddawać się rozpacz nad otwartym grobem ukochanych zmarłych! Czyż nie śpiewamy tak pięknie: „Zachowujmy miarę w płaczu i żałobie”?! Czyż nie powinniśmy raczej zazdrościć tym, którzy odeszli już ze świata, ponieważ zasnęli w Panu i radują się teraz Jego szczęśliwością? Dzięki takiemu pogładowi i on sam przebolewał utratę nieboszczki żony, a teraz modli się codziennie, by rychło mógł się z nią znowu połączyć. Dlatego też pierwsi chrześcijanie święcili nie dzień urodzin, kiedy człowiek wchodzi na tę dolinę łez, ale przeciwnie — dzień zgonu jako chwilę prawdziwych narodzin duszy. Nawet wśród starożytnych pogan niektóre narody hołdowały takiemu przeczuciu przyszłego życia i odnaleziono w ich dziejach ten piękny obyczaj.

— Ach tak, ach tak, to prawda... proboszcz mówi zupełnie sprawiedliwie — westchnęła dziedziczka — tutaj przez całe życie trzeba znosić same tylko trudy i udręczenia... Bogu wiadomo!

Przeszli z powrotem do świetlicy.

Tam przy stole hojnie zastawionym trunkami Smok opowiadał szeroko swemu sąsiadowi o ostatniej wycieczce do Kopenhagi. Bowiem ten północno-falsterski magnat ku wielkiemu niezadowoleniu swej pani matki przyzwyczał się przynajmniej raz na kwartał, a zazwyczaj i częściej, przedsiębrać „podróż w celach handlowych” do stolicy i rezydencji. Spotykał się tam zawsze z dwoma przyjaciółmi: byłym handlarzem zboża, pędzącym już od dawna spokojny żywot rentiera, oraz z handlarzem koni jeszcze uprawiającym ten zawód (od którego jednak nie kupiłby nigdy konia). W ich towarzystwie przepędzał trzy dni i trzy noce, grając na „kręgielni życia”, jak się metaforycznie wyrażał.

Dobrze dobrał sobie słuchacza; był to starszy już chłopina, który nigdy nie wyjeżdżał z rodzinnej wyspy i nie bywał w żadnej kręgielni tego czy innego rodzaju, ale o którym opowiadano, że posiada ładny grosz złożony w kasie oszczędności w Nykjöbing. Z szerokich barów — jakby bezpośrednio, z pominięciem szyi — wyrastała czworokątna głowa o gładko wygolonej, szarej twarzy, zamiast oczu widniały dwie szczeliny, zamiast nosa — para dziurek, zamiast ust — wygięta szpara, łącząca nieomal jedno ucho z drugim. Twarz ta sprawiała wrażenie glinianego dzbanu z nader uproszczonymi, naturalistycznymi rysunkami. W ten dzban wlewał Smok smakowity, mocno przyprawiony napój swego opowiadania o rozmaitych rodzajach uciechy, jakie (aż do „wszystkich dziewięciu”) przeżywał na wspomnianej kręgielni. Podczas tej operacji szczeliny zmieniały się w kreski, szpara ust coraz skuteczniej usiłowała zlać się w jedno z uszami, raz po raz słychać było dziwny dźwięk, jak gdyby dzban pękał z naprężenia.

Te dowody chciwej uwagi pobudzały Smoka do coraz soczystszych wynurzeń, aż wreszcie doszedł do koronującego opowieść momentu, że trzy dni i noce — wraz z podróżą tam i z powrotem — kosztowały go około stu marek. W chwili tego wyznania dzban trzasnął wprost podejrzenie; można się było obawiać, że lada chwila rozleci się na dwie połowy i spadnie ze swej czarnej podstawy.

— To prawie nie do wiary, Hoyerze! — wołał Smok, kładąc swą łapę z potężną siłą na ramię słuchacza. — Ale nie będziesz chyba wątpił. Zapewniam cię, że taki błękitny banknot rozłazi się tam jak głupkowaty... sto marek było i nie było... i dam ci to na piśmie... to znaczy... he, he! nie sto marek... nie czek... ha, ha... „sto marek na piśmie” można by źle zrozumieć... nie, nie... nie czek, Hoyerze, chociaż zapewne nie pogniewałbyś się o to? Nie, nie, rozumiałem to inaczej... ha, ha, ha!

Nie co dzień udawał się Smokowi taki doskonały, jego zdaniem, dowcip (i to jeszcze osobiście wymyślony i na własnych zamiłowaniach oparty dowcip!). Toteż fatalnie się złożyło, że całkowity sukces śmiechu zawiódł, ponieważ właśnie w tej samej chwili weszła z bocznego pokoju matka z proboszczem. Ale Smok bez okazania niezadowolenia poddał się sytuacji i uroczyście powitał szanowną parę, skrzywiając prawy kąt warg i marszcząc czoło — albowiem mimiczna jego gra nie ujawniała się w zbyt licznych odmianach. Jednocześnie westchnął głęboko (tak, że raczej mogło to świadczyć o bólu żołądka niż serca) i wpatrzył się melancholijnie w cygaro, jak gdyby tytoń był jedyną pociechą, jaka mu jeszcze pozostała.

A błazeńsko-dobroduszny dzban, siedzący obok, przemienił się równocześnie z dziwną szybkością w stylową urnę z prochami.

Pastor Schmidt pochwalił sympatycznym skinieniem okrągłej główki odpowiednie zachowanie się Smoka, który, zachęcony tym, westchnął jeszcze głębiej, zaciągnął się dymem niosącego pociechę cygara, wydmuchnął powoli kłęb dymu i śledził go niewymownie skupionym spojrzeniem, jak gdyby przeglądając na wskroś mgliste właściwości „wszystkiego co istnieje”.

— Niech pani wypije kroplę wina, droga pani Andersen — rzekł proboszcz, klepiąc pocieszająco i zachęcająco swą tłustą, białą ręką stuletni jedwab pokrywający otyły grzbiet towarzyszy — to pani posłuży... tylko kroplę!

— No, no, dwie także nie zaszkodzą, panie pastorze — oświadczył Smok, spostrzegając z prawdziwą radością serca, że hasłem jest „rozweselenie”. — Tak, mateczko! Łyk wina to najwłaściwsze dla człowieka, którego oblewała woda, ha, ha!... Dar boży, panie pastorze... raduje ludzkie serce... święte słowo, prawda?... Lej pan śmiało... — dodał, widząc, że kapłańska ręka, która rozważnie zawładnęła fiaszką, zanim Smok zaofiarował swe usługi, napełniła kieliszek tylko do połowy. — Dobry towar, ten portwein... sam przywiozłem go z miasta... bo ten pocziwy Jakub... na ogół jest on smakoszem... zawsze to powiadam, że Jakub jest smakoszem, i dam mu to na piśmie... ale w tych dniach, mój Boże!...

Pełne troskliwości wstrząśnięcie głową i współczujące spojrzenie w stronę ogrodu, gdzie widać było wysoką postać młynarza, stojącego w odległości paru kroków od drzwi, dokończyły wymownie przerwane zdanie.

Pastor Schmidt skinął potwierdzająco i podał matce Smoka napełniony do połowy kieliszek, sam zaś na własny użytek nalał sobie więcej aniżeli skromną ilość brunatnego płynu — podzielał bowiem tylko częściowo korzystne mniemanie Smoka o portweinie.

— Trąćmy się zatem wszyscy z sobą — odezwał się sakramentalnym głosem, zwracając się dokoła skinieniem ręki — i wychylmy nasze kielichy z tym życzeniem, aby nasz drogi przyjaciel tu w młynie, dzięki łasce bożej i czystości serca, znalazł ulgę i pocieszenie w tym ciężkim smutku!

Chłopi podnieśli kieliszki i niby chór przyświadczyli głuchym pomrukiem. Ale Henryk jako przywódca chóru zapragnął nadać temu pomrukowi bardziej zdecydowany wyraz, a jednocześnie uzupełnić nieco kościelne zakończenie toastu czymś bardziej energicznym, toteż odezwał się następującymi dobranymi słowami:

— Słusznie pan powiedział, pastorze! Pociechę w smutku, zawsze to mówię... Do licha, Jakub jest przecież jędrnym chłopem... nie może tak wiecznie chodzić ze zwieszoną głową... Były to smutne czasy... Żyć tak z chorą kobietą... Biedna Chrystyna... niech ją Bóg przyjmie do swojej łaski!... Ale teraz leży już w ziemi... więc teraz i on musi podnieść głowę... dlatego wypijmy: niech nam ży...!

Prerażony wzrok, jakim matka powitała to jego wylewne krasomówstwo, powstrzymał połowę słowa w radośnie otwartych ustach, druga połowa ugrzęzła w gardle, wywołując coś niby chrząknięcie. Dzięki jednak właściwemu uzdolnieniu muzycznemu mówcy

nieszczęsny kres toastu niezbyt się różnił od tonu mowy, toteż nietrudno było do tego nawiązać.

— Hm... niech żyje... czystym sercem... jak powiada proboszcz... otóż to właśnie... i niech znajdzie pociechę... prawdziwą pociechę... he, prawda...

Tym razem mówca przerwał sam sobie, aby podczas tej krótkiej, retorycznej pauzy, która wszystkich prócz niego nieco zaniepokoiła, wykonać trudne mimiczne ćwiczenie twarzy. Najpierw przymknął lewe oko i lypnął prawym, potem na odwrót, a kiedy już w ten pomysłowy sposób dostatecznie przygotował zebranych, że teraz należy oczekiwać rodzinna, mówił dalej:

— Nie taką pociechę, jaką może dać miła Liza... he... zresztą ładna, tęga dziewczucha...

— Henryku!

Matka Smoka znieruchomiała ze zgrozy, pojawiwszy, że pogorszyła tylko sytuację, przeskadzając poprzednio wygłoszeniu toastu. Teraz nareszcie odzyskała mowę, skoro wszelkie ostrzegawcze spojrzenia nie wystarczyły:

— Henryku!

Smok umilkł zakłopotany, skrzywił się dziwnym grymasem, którym prawdopodobnie chciał się uniewinnić, machnął ręką obojętnym gestem i dokończył:

— Hm... tak... jak powiedziano, pociechę w smutku... zawsze wesoło... jakoś to będzie... z bożą pomocą... jakoś to będzie, panie pastorze, *skaal!*

Wyczuwał zapewne, że nie osiągnął w zupełności tego wzniesłego końcowego efektu, o jakim myślał. Ale, do diabła, jakże wóz może się rozpędzić, jeżeli co chwila ktoś ciągnie hamulec?!

Aby poniekąd uzupełnić ten brak, wznosił teraz uroczyście swój pełny kieliszek, z którego wino przelewało się przez brzegi, i trącił się bardzo serdecznie z prawie pustym szklanym kielichem, który biała ręka proboszcza wysunęła ostrożnie naprzeciw.

Kielich wydał smutny, prawie bezdźwięczny ton, zakłócony niezwykle ciekim odgłosem — odgłosem niemal niesamowitym, jak gdyby małe kobold coś przełykał.

I gdyby naprawdę tak było, na obliczu pani Andersen nie malowałoby się z pewnością wielkie przerażenie. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała się w pęknięty kieliszek proboszcza. Cały chór spojrział również w tamtą stronę i zapomniał o picciu.

Nagle w tym kole rozległ się chichoczący trzask, jak gdyby dzban pękł wskutek sympatii do kieliszka — jeżeli nie było to złudzenie słuchu. Albowiem każdy, kto zerknął w tym kierunku, spostrzegł, zamiast zapowiadanego tym tonem błazeńskiego ornamentowanego dzbana, stylową urnę z prochami na czarnej podstawie.

I proboszcz zapomniał o picciu, i on wlepił wzrok w kieliszek, który trzymał przed sobą w wyciągniętej ręce. Od brzegu aż do nóżki widniało błyszczące pęknięcie. Zwykle czerwona, tryskająca zdrowiem twarz pastora pokryła się ziemistą bladością, ręka jego drżała, tak że szrama pękniętego szkła zataczała w powietrzu świetliste arabeski.

Wreszcie zapanował nad sobą, przełknął wino z taka miną, jak gdyby wypijał truciznę — co oczywiście nie miało nic wspólnego z jakością szlachetnego napoju — uśmiechając się niepewnie, rozejrzął się dokoła i oświadczył ciekim, suchym głosem, pozbawionym zwykłego namaszczenia:

— No... nie hołdujemy przecież przesądom.

Naprawdę jednak należał pastor Schmidt do rodziny, w której, dokąd sięgała kronika rodu, wszelkie znaki tajemne i przecucia grały doniosłą rolę, w której wydarzały się nawet przypadki rozdwojenia osobowości i która potajemnie przyznawała się do wiary w prorocze przywidzenia. Toteż pastor był przekonany w tej chwili, że owa wieczysta szczęśliwość na łonie Abrahama, której rychłe osiągnięcie sławił dopiero co jako najgodniejszy cel życia, już teraz sygnalizuje mu swoje nadejście i że już niebawem będzie mu dane zostać obywatelem lepszego świata, dzięki czemu wypełni się jego codzienna modlitewna prośba i jeszcze przed końcem roku połączy się ze swoją nieboszczką żoną. Wszak w ostatnie jej urodziny zasiedli do stołu w liczbie trzynastu osób!

Podczas tego wstrząsającego przeżycia wyczuł raczej, niż pojął zmysłami, że spoczęło na nim niezwykłe spojrzenie kogoś nienależącego do tego koła.

Oczywiście, nie mógł zauważyć, że leśniczy Christensen, który jeszcze niedawno, kiedy Smok wspominał o „biednym Jakubie”, rozmawiał w ogrodzie z gospodarzem domu, wszedł właśnie do izby i zbliżył się do stołu, aby wziąć cygaro.

Zabobony, Omen

Ten leśny człowiek — podobnie jak prawie wszyscy obcujący ustawicznie z przyrodą — miał żyły nabrzmiałe mistycyzmem. Wierzył może bardziej niż wszyscy inni w przepowiednie i znaki, toteż niebawem pojął sytuację. Kiedy więc teraz proboszcz obejrzał się pod wpływem doznanego uczucia, spotkał się z przenikającym go spojrzeniem jasnych i zimnych oczu leśniczego. Wiedział, że ten pobożniś, ten apostoł „wewnętrznego posłannictwa” posądzał go o światowość, a nawet często nazywał go proboszczem do *l'hombre*¹⁰ — jak gdyby to było grzechem zagrać w karty parę razy w tygodniu (nie mówiąc już o tym, że proboszcz hołdował wytwornemu wistowi, nie zaś pocziwemu, plebejzowskiemu *l'hombre*). Czuł, że ten przeciwnik przejrzał go w bardzo niepożądany sposób; czytał w jego spojrzeniu bezlitosną pogardę dla obawy przed śmiercią, której to obawy zwiastun bożego słowa nie zdołał całkowicie ukryć.

„Gdyby ten fanatyk — myślał — słyszał przedtem rozmowę, jaką prowadziłem w narożnej izbie z panią Andersen, uważałby mnie za skończonego obłudnika! A jednak powinien by pamiętać, co mówi Pismo Święte, że duch ci wprawdzie jest ochoczy, ale ciało mdłe”.

Jego ciało było w tej chwili istotnie bardzo mdłe; czuł się nieswojo w tym wiedzącym kole, a przede wszystkim w towarzystwie tego człowieka. Przez otwarte drzwi wyszedł do ogrodu.

Ach! Jakże rozkosznie oddychało się — po gęstym dymie z tytoniu, który bynajmniej nie był produktem Hawany — łagodnym, wilgotnym wiosennym powietrzem, w którym mieszał się brzemienny urodzajem zapach pól ze słoną świeżością morza. Chociażby nawet był tchórzliwym człowiekiem — żył jeszcze i wdychał pełną piersią powietrze tej doliny leż!

Jego wielebność rozejrzał się dokoła z uśmiechem pełnym błogosławieństwa. Chłopki, które rozsiały się z prawej strony na długiej ławie jak kury na grzędzie, zobaczywszy go, umilkły nagle. To skłoniło proboszcza, że podszedł ku nim i zagłębił się w praktyczną, doskonale oddziaływającą na równowagę umysłu rozmowę, zasięgając dokładnie informacji o gospodarce w rozmaitych sadybach, rozwodząc się szeroko nad przypuszczalnymi widokami wiosennych zasiewów i opowiadając o dzierżawie gruntów probostwa. Obecna dzierżawa dobiegała końca, nie chciał więc pominąć tej korzystnej sposobności, by wyjaśnić tej i owej wieśniaczce, jak zyskowne byłoby, gdyby właśnie ona objęła dzierżawę. Dla tej sadyby położenie gruntów proboszczowskich było wyjątkowo dogodnie, dla drugiej oddalenie — z tych i innych dziwnych przyczyn — nie odgrywało wcale roli, a natomiast śliczny szmat łąki zapewniał dzierżawcy wyjątkowe korzyści przy hodowli koni — był prawdziwym rajem dla źrebiąt! A znowu dla innego chłopca, znanego jako Nemrod, las przedstawiał nieocenioną wartość.

Dzielne wieśniaczki nie ukrywały także swego rozumu; wytaczały wszelakie zarzuty, podnosiły te lub owe wątpliwości, a niektóre wyraziły nawet przypuszczenie, że czynsz dzierżawny będzie obniżony ze względu na złe czasy. Wywiązała się ożywiona pogawędka, w której nie brakło także żartobliwych poufałości i drwinek. Ktoś przysłuchujący się nie przypuszczałby chyba, że otyły proboszcz, tak gorliwie, zarazem tak dobrodusznie broniący swoich interesów, przemyśliwa już o rozstaniu się z doczesnością. On sam z przykrością przypomniał sobie o tym na chwilę, kiedy leśniczy wyszedł z domu i przechodząc mimo niego, obrzucił go przelotnym spojrzeniem. Ale niebawem przyłączył się do swej siostry i do młynarza i wszyscy troje zapuścili się w głąb sadu ku wielkiemu uspokojeniu proboszcza. Na ławce, stojącej z lewej strony koło drzwi, pozostał jeszcze tylko nauczyciel i mały Janek — istoty tak samo nieszkodliwe jak pudel Karo, który siedział przed nimi, wtykał pomiędzy nich nos i kolejno spoglądał to na jednego, to na drugiego.

Na cmentarzu chłopak zalewał się gorącymi łzami. Ale serdeczna życzliwość wielu obcych ludzi, jaką mu okazywano, rozproszyła powoli jego smutek, a kawa i ciasto przyczyniły się również do rozweselenia chłopięcej duszy. Teraz znajdował się w lepszych rękach aniżeli poprzednio, kiedy kobiety skakały dokoła niego i wyprzedzały się w pieszczotach. Nauczyciel wyswobodził energicznie chłopca z tej niewoli babskich kiecek.

Był to młody, błady człowiek, przyjaciel dzieci raczej z wyrozumowania niż z natury, przepełniony nieosłabioną jeszcze miłością swego „powołania”, zbrojny naiwną wiarą

¹⁰*l'hombre* — stara gra francuska, popularna w Skandynawii. [przypis tłumacza]

w wszechpotęgę wykształcenia. Starał się rzetelnie, by umocnić tę małą roślinkę, która wyraźnie opuszczała liście. Toteż z niezwykłym zapałem kreślił obraz pięknej przyszłości, kiedy to Janeczek już w najbliższym roku zacznie chodzić codziennie do szkoły, aby tam nauczyć się czytania liter i wypisywania ich rysikiem na tabliczce. A ponieważ wspaniałość tych zajęć nie od razu przemówiła do dziecięcego umysłu, dodał jeszcze, że Janeczek będzie się także wdrapywał po słupie, stojącym prosto jak maszt sztandaru, i że w szkole jest jeszcze inny, poprzeczny drążek, na który chłopcy drapią się rękami i nogami jak małpy.

Ta myśl tak rozweseliła chłopca, że pobiegł natychmiast do domu, aby przynieść książkę z obrazkami i pokazać nauczycielowi figlarne małpy na drzewie. Dzięki temu lody zostały przełamane, a kiedy chłopiec uświadomił sobie, że do szkoły uczęszcza wielu innych chłopców i dziewcząt, z którymi wolno się bawić, okazał zadowolenie i zadając wyczerpujące zapytania, wzywał się już w tę piękną przyszłość.

IV

Tymczasem młynarz, leśniczy i jego siostra przeszli parokrotnie przez sad, rozmawiając swobodnie o tym i owym. Wreszcie zatrzymali się jakby bezwolnie w najdalszym zakątku, gdzie krzaki bżów, pokryte gęstym liściem, zwieszały się nad małym stawem. Dwie białe kaczki jaśniały w cieniu, pływając; ciemna woda rozblyskiwała szeregiem falistych kręgów — tu i tam kołysał się łukowato wygięty, drobny puch niby okręt elfów.

Rozmowa rwała się; młynarz był zbyt niespokojny, aby jej tok podtrzymać. Rodzeństwo także widocznie czymś się dręczyło, nie mając dotychczas czy sposobności, czy odwagi wypowiedzenia się.

Miejsce było odległe, a czarnozielona woda szklila się jakimś mistycznym blaskiem.

— Jakubie — przemówił leśniczy cicho głosem inaczej brzmiącym niż zazwyczaj — czy wiesz dokładnie, o której godzinie Chrystyna umarła?

— O tak, pamiętam dobrze... Słyszałem, jak biła dwunasta, gdy jeszcze trzymałem ją w ramionach.

Hanna i jej brat wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

— Tak, tak właśnie przypuszczaliśmy.

Młynarz spojrzał na nich zdziwiony.

— Jak to rozumiesz?

— No, otrzymaliśmy jednocześnie sygnał. Zresztą Hanna lepiej ci to opowie.

Siostra zarumieniała się i zwróciła w bok oczy, chcąc uniknąć tego dziwnego, trochę zaniepokojonego, pytającego spojrzenia, jakie utkwiał w niej młynarz.

— Cóż się to stało, panno Hanno? W jaki sposób otrzymaliście sygnał?

Splotła nerwowo ręce i uporczywie wpatrywała się w białe puchy żeglujące po ciemnym stawie.

— Otóż... tej samej nocy położyłam się do łóżka o zwykłej porze, o godzinie dziewiątej... nagle przebudziłam się zupełnie czujna i wtedy to zapukało w szybę.

— Kto zapukał?

Młynarz zbladł i uchwycił ją za ramię, natychmiast jednak wypuścił je z uścisku bardzo zakłopotany.

— Nikt nie pukał; doznałam tylko takiego wrażenia.

— Jak gdyby ktoś pukał kością w szybę — dodał jej brat.

— Czy nie wyjrzała pani przez okno?

— Nie od razu... Najpierw przestraszyłam się, a potem odwróciłam się na łóżku i próbowałam znów zasnąć... byłam przekonana, że to jedynie złudzenie zmysłów... Potem jednak posłyszałam jeszcze raz wyraźne pukanie — tak samo jak poprzednio. Zerwałam się z łóżka i podbiegłam do okna, ale na dworze nie było nikogo. Księżyc wznosił się wysoko nad szczytami jodeł i świecił dosyć jasno, można było rozróżnić wyraźnie cień drzew, ale nie dojrzałam nikogo.

— Nikogo? Ale chyba przestraszyła się pani bardzo?

— Bynajmniej, doznałam tylko jakiegoś podniosłego wrażenia. Szybko narzuciłam ubranie i poszłam do pokoju Wilhelma.

— Ja zaś właśnie w owym dniu kończyłem obrachunki, które należało odesłać nazajutrz. I właśnie spojrzalem na zegar, a zobaczywszy, że jest już dwunasta godzina, zmar-twiłem się, że muszę jeszcze tak późno pracować... Wtem weszła Hanna... nie była wcale przestraszona, na twarzy jej malował się uroczysty nastrój, jak to sama powiada... Skoro zaś opowiedziała mi o tym, oświadczyłem bez zastanowienia, jakby pod przymusem; „Nie ulega wątpliwości, to młynarzowa umarła!”... Tak powiedziałem.

— A szczególne było i to także, iż kiedy Wilhelm wyrzekł te słowa, wydało się, że wypowiedział właśnie moje myśli... aczkolwiek poprzednio, jak sobie przypominam, nie zastanawiałam się wcale, co by to oznaczało.

— Potem złożyliśmy ręce i pomodliliśmy się cicho za jej duszę.

— Bardzo to ładnie, że modliliście się za nią — rzekł młynarz silnie wzruszony.

— Wreszcie zapaliliśmy latarnię i wyszliśmy na dwór, aby się upewnić... I to jest pewne, że nikt nie zbliżył się do okna: nie było śladów, chociaż ziemia była tak miękka, że każdy nasz krok pozostawiał wyraźne odciski.

Młynarz wpatrzył się przed siebie nieruchomym wzrokiem i potrząsnął głową... był to raczej ruch namysłu niż powątpiewania. Ale leśniczy widocznie inaczej go zrozumiał.

— Któż mógłby przypuścić coś podobnego? — zauważył po krótkiej chwili milczenia. — Nie, to na pewno nie ręka ludzka pukała w okno, Jakubie.

Hanna, obrażona nieco tym pozornym powątpiewaniem w jej telepatyczne zdolności, zwróciła się ku młynarzowi z rumieńcem na twarzy i z płonącymi oczyma.

— Od dawna już wiadomo, że dusza ludzka posiada tajemne siły, zwłaszcza gdy roz-łącza się z ciałem... w chwili śmierci...

— Tak jest — rzekł młynarz — zresztą Chrystyna przejawiała takie tajemne siły jeszcze za życia.

— Jak to? Doprawdy? — zapytało rodzeństwo z ogromnym przejęciem.

— Właściwie, prawdę mówiąc, przejawiało się to dopiero w czasie choroby.

— Tak, kiedy ciało chyli się ku zagładzie, duch rozwija skrzydła, nieśmiertelność du-szy objawia się dowodnie — oświadczyła Hanna z płonącym spojrzeniem, nieświadomie powtarzając frazes z jakiejś sekciarskiej broszury.

— Jakież to były siły, Jakubie?

— Wiedziała i słyszała to, czego cielesnym okiem i uchem dostrzec nie mogła... to było bezwarunkowo niemożliwe... wiedziała wszystko, co się dzieje w młynie.

— Hm... W takim razie i to pukanie nie było czymś zgoła nadzwyczajnym — oświad-czył leśniczy.

— Może myślała o przyjaciółach w chwili śmierci, więc i o nas także.

— Tak, tak było istotnie. A nawet myślała specjalnie o pani... inaczej aniżeli o in-nych... z pewnym celem... jakby to powiedzieć... dlatego duch jej mógł powędrować ku pani, aby jednocześnie z ostatnią wolą przekazać pani niejako pewną spuściznę.

Młynarz wypowiedział te słowa w wielkim podnieceniu, równocześnie spojrzął jej dziwnie w oczy — było to to samo spojrzenie, jakim obrzucił ją przy wrotach cmentar-nych, tylko jeszcze bardziej pogłębione mistycznie. Słowa młynarza wydały się jej dziwnie niezrozumiałe, a spojrzenie zaniepokoiło ją.

— A więc wspominała o Hannie? — pytał leśniczy.

— Prawdę mówiąc, nie bezpośrednio... nie wymieniła jej imienia... ale na pewno myślała wówczas o twojej siostrze. Wydawało się, że wprost uczepiła się tej myśli...

— Hm... więc cóż powiedziała?

— Tęgo właśnie nie mogę wam wyjaśnić... to znaczy, nie teraz... dowiecie się wszyst-kiego, gdy nadejdzie właściwa chwila.

Pełne tajemniczości zachowanie się młynarza podziało na dziewczynę. Odwróciła się i poszła ku domowi; obaj mężczyźni powoli, w milczeniu postępowali za nią. Młynarz nie mógł oderwać spojrzenia od młodocianej postaci. Doznawał wrażenia, że pociąga go ku niej nie tylko przyrzeczenie, jakie dał nieboszczce, ale że oboje zostali tajemniczo połączeni ręką ducha.

Kiedy zbliżyli się ku ławce przed domem, podbiegł z naprzeciwka Janek uradowany, że może się pozbyć nauczyciela, którego szlachetne usiłowania, by rozbawić i rozweselić chłopca opowiadaniem o życiu w szkole, osiągnęły wręcz przeciwny skutek i znudziły

dzieciaka. Janek przypominał ojcu obietnicę, że niebawem odwiedzą w lesie wuja Wilhelma i ciocię Hannę. Ale zapewne nieświadomie przypominał sobie również dzień śmierci matki, kiedy właśnie ojciec na wzgórzu w ogrodzie mówił o tych odwiedzinach. Toteż nagle wybuchnął płaczem. Hanna usiadła na ławce, wzięła chłopca na kolana i niebawem udało się jej uciszyć jego płacz. Opowiadała mu malowniczo o wspaniałościach lasu, osładzając je jeszcze obrazem poziomek i jagód, mówiła o psie Hektorze, o obu kucykach i o Jenny, sarence z bajki.

Z rosnącym zadowoleniem przyglądał się młynarz, jak dziewczyna instynktownie wchodzi w rolę matki, w rolę, którą narzucało jej przeznaczenie; choć nie mniej cieszył się i tym, że chłopiec z własnej woli okazuje jej dziecięce przywiązanie.

Natomiast nauczyciel objawiał niezadowolenie, że chłopiec popadł znowu w płacziwy nastrój, skoro tylko dostał się w ręce kobiet. Usiłował z pomocą książki i rysika zwalczyć przygnębienie duchowe młodego człowieka obrazem męskich zajęć, mówił głośno o rozkoszach szkoły, a wreszcie wezwał na ratunek proboszcza, który stał jeszcze przy drugiej ławce, rozmawiając swobodnie z wieśniaczkami.

— Prawda, pastorze, że Janek za rok...

Proboszcz wzdrygnął się, posłyszał znowu głuchy, nieczysty brzęk szkła, cienki niesamowity odgłos, jak gdyby maleńki kobold coś przełykał... „za rok?”

W tej samej chwili wyszła z domu Liza, aby zebrać talerze i filiżanki stojące na stole w ogrodzie.

Aha! Chłopiec siedzi już na kolanach! Ta wstrętna obłudnica umie, bądź co bądź, dochodzić do celu najprostszymi drogami! I jak on się do niej tuli, ten mrukliwy łobuz, którego ona sama daremnie usiłowała przynęcić i oswoić! A młynarz stoi obok! Więc to *tak* na nią spoglądał... o czym Lars wspominał. Jakież wzruszający obraz rodzinny! Nie brak nawet proboszcza i nauczyciela... można by ich od razu pożenić!

Całe ciało Lizy zatrzęsało się wściekłością. Piękna, pozłacana filiżanka potoczyła się po piasku i rozbiła się o kamienny stopień.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku Lizie.

Zanim jeszcze przybrała zasmuconą minę służącej, której wydarzyło się nieszczęście, że zniszczyła cenną pamiątkę rodzinną, z oczu jej strzeliło spojrzenie. Podchwycił je tylko jeden jedyny młynarz.

Twarz jego zachmurzyła się cieniem, który trudno byłoby przypisać na konto stłuczonej filiżanki.

V

Historia pani Metty i giermka Hjalmara kończyła się przerażająco.

Była połowa sierpnia. Młyn albo stał nieruchomy, albo pracował ospale tylko jednym przewodem. Na dworze powietrze błękitniało i drgało ponad żółtawobiałymi łanami żyta. Na przekór grubemu, słomianemu płaszczowi, okrywającemu młyn, wewnątrz żarnowego piętra panował ustawicznie parny upał. Tutaj Jörgen w pocie czoła brnął poprzez zakończenie kalendarzowego romansu, kiedy niekiedy zasypiał też na worku, a wówczas dręczyły go złe sny, złożone z fragmentów okropności, o jakich czytał.

Historia zaś rozwijała się jak następuje:

Panna Metta osiągnęła swój cel: poślubiła Czerwonego Rycerza, zasiadła jako pani na Morskim Zamku i — gdy małżonek był nieobecny — zażywała występnej miłości w ramionach giermka Hjalmara. Już uplanowali oboje, jak usunąć z drogi rycerza, by śmierć jego wydała się nieszczęśliwym wypadkiem, gdy niespodziewanie nadjechał wuj Metty, zacny biskup Otto. Temu to pobożnemu mężowi objawiła się zdradziecko zamordowana dziewczica Karen, bynajmniej nie dlatego, by pomścić własną śmierć, ale by uchronić ukochanego przed tym samym losem, który przedwcześnie przeciął nić jej młodego życia. Przeszukano skrzynie i schowki pani Metty, znaleziono w nich rozmaite podejrzane proszki oraz tajemnicze, kabalistyczne napisy. Skutą łańcuchem z giermkim przywieziono drabiniastym wozem do miasta i wrzucono do wieży. A gdy oboje nie chcieli dobrowolnie wyznać swej zbrodni, oddano ich w ręce kata, poddano ich kolejno, wedle wszelkich prawideł surowego trybunału, najsroższym torturom, a wreszcie stracono.

Autor powieści zwiedzał prawdopodobnie kiedyś izbę tortur w Norymberdze albo też

Ciało, Cierpienie

inną podobną zbrojownię ludzkiego okrucieństwa. Z szczegółową dokładnością opowiadał o przebiegu rozprawy, z nietościwą wyrazistością rysował każde narzędzie tortury i przedstawiał jego działanie w zastosowaniu do mniej lub więcej obnażonego pięknego ciała. W poprzednich rozdziałach powieści przyzwoitość kalendarzowego powieściopisarza nie pozwalała mu obnażać najtajniejszych wdzięków pani Metty rękami niewidzialnych amorków. Ale doszedł do przekonania, że dzicy oprawcy mogą to uczynić bez zawstyżenia; tortura stała się łóżem, na którym pokazał czytelnikowi nagą bohaterkę.

Na naiwną, ale właśnie dzięki temu silną i łatwo pobudliwą wyobraźnię Jörgena oddziaływało to tak potężnie, że podczas całej tej lektury doznawał wrażenia, jak gdyby to on sam był smagany i łamany kołem. Nawet wówczas, kiedy odkładał książkę, pozostawał pod władzą katowskiej zmory — zagnieździła się ona tajemniczo w jego codziennym otoczeniu.

Młyn, który na początku opowiadania wyobrażał zamek, zmienił się teraz całkowicie w wieżę udręczeń, z piętra na piętro przechodziło się ku coraz sroższym torturom. Dzięki swemu ciężkiemu, pokrytemu grubą warstwą kurzu, obwieszonemu pajęczynami belkowanemu każde z tych pięter — zwłaszcza w godzinie zmierzchu — upodabniało się do niesamowitych, ponurych izb wieżowych, o których czytał. Zwłaszcza późno wieczorem, kiedy nikła latarka, zawieszona na gwoźdźniku wbitym w belkę, roztaczała słaby krąg światła, poza którym ciemność tym groźniej się skupiała — zwłaszcza wówczas wydawało się, że wszystko jest przygotowane do strasznego przesłuchania, a niewyraźnie majacząca w cieniu maszyna do sortowania zmieniała się w najprawdziwszą ławę tortur oczekującą na ofiarę.

Kiedy na górze winda poczynała skrzypieć i zgrzytać i wyciągano worek w górę, Jörgen musiał myśleć o swoim drugim romantycznym *ja*, o nieszczęsnym Hjalmarze, ciągnionym w górę za palce. Kiedy dotknął ręką obrotnicy, aby nastawić śmigły pod wiatr, wzdrygał się na myśl o „żelaznej dziewicy”, która zamykała się dokoła ofiary, dziurawiąc ją i miażdżąc. Ale najstraszniejsze wrażenie budził sam mechanizm młyna kręcący się ustawicznie wśród nieregularnego, zjadliwego zgrzytu. Wydawał się on Jörgenowi olbrzymią, niezmiernie skomplikowaną machiną do tortur: były tam koła, w które „wplataną” skazańca — Jörgen miał, co prawda, dość chaotyczne wyobrażenie o tym, ale przypuszczał, i słusznie, że nie było to bynajmniej przyjemne — były tam zębate koła, których zęby rozdzierały ciało, były koła do łamania, których każdy ruch kruszył kości. Niewiele brakowało, by Jörgen widział spływanie kropli krwi z piętra na piętro.

W tej samej mierze jednak, w jakiej młyn zmieniał się w ponurą wieżę udręczeń, zmieniał się jednocześnie także w jasną świątynię erotyzmu. Spośród ohydnych cieni narzędzi tortury rozbłyskał blask obnażonego kobiecego piękna — w uczucie grozy mieszał się lubieżny dreszcz przecucia tego dumnego i grzesznego ciała, które oddawano na pastwę tortury. Było to, oczywiście, tylko nieokreślone i nieświadomione przecucie, jakiego doznaje młody chłopak, który wskutek wychowania na wsi nie oglądał nigdy statuy ani obrazu pięknej nagości. Wyobrażnia Jörgena, która już dawno narzuciła Lizie rolę Metty, wyczarowywała mu w leniwe, parne popołudnia rozmaite współczujące sny; serce jego przepęniało się bolesną słodyczą, puls uderzał gwałtownie, z oczu nieraz tryskały łzy, chociaż nie wiedział właściwie, czemu płacze; ogarniało go uczucie złości na nic i na wszystko, uczucie bezbrzeżnej nudy. Niekiedy zaś rodziła się w sercu gorączkowa tęsknota za Lizą.

Tęsknota — albowiem wydawało mu się, że Liza jest daleko. Od owej wieczornej godziny w czeladnej izbie — w noc, kiedy młynarka umarła — nie zbliżyła się już nigdy tak bardzo ku niemu; co więcej, po raz ostatni siedzieli wówczas sam na sam, rozmawiając poufale ze sobą. Jörgen nieraz zamykał oczy, aby jeszcze raz ujrzeć jej dziwną twarz, jaką zobaczył wtedy, oświetliwszy ją z dołu zapalką. A gdy udało mu się wywołać ten obraz, wpadał w silne i trwałe podniecenie.

Tak podniecony był właśnie owego wieczora, kiedy Liza przyniosła mu wieczerzę do młyna. Zazwyczaj przysyłała na górę Larsa, a poczciwy chłopiec wykonywał to polecenie ze szczególnym zadowoleniem, albowiem upatrywał w tym dowód, jak mało Liza dba o tego zarozumialca Jörgena. Zresztą nie było to niczym nadzwyczajnym, że sama przynosiła jedzenie. Prawie zawsze jednak oddalała się niezwłocznie. Dzisiaj nieproszona usiadła na worku, stęknęła z gorącą i spojrzała na Jörgena, zdumionego tym nieoczekiwanym

szczęściem. Niebawem Jörgen zrozumiał; gdy niedawno wyszedł na galeryjkę, ujrzał, że młynarz i Janek idą do Smoczego Dworu. To była niezwykła okazja! Teraz nieprędko wypuści Lizę!

— Nie pożeraj mnie oczyma! Jedz raczej zupę!

Jörgen zabrał się do jedzenia.

— Bardzo to ładnie, że trochę odpoczywasz — zaczął rozmowę, mając pełne usta — zazwyczaj tak bardzo się spieszysz!

— No tak, zdaje się, że nie brakuje tu chyba roboty w młynie... trzeba się ostro krzątać... Ale dzisiaj wieczorem ogarnie mnie lenistwo... zresztą dzisiaj za gorąco!

Ziewnęła serdecznie.

Jörgen podszedł ku zapadni i otworzył ją ostrożnie, chcąc zajrzeć na dolne piętro.

— Nie — zauważyła Liza. — Posłałam Larsa do ogrodu, aby narwał agrestu.

— Lizo!

— No, cóż znowu...

Nie dokończyła. Uszczęśliwiony myślą, że Liza sama przygotowała w ten sposób spotkanie bez przeszkody, Jörgen otoczył ją już ramieniem. Zrazu dzielnie stawiała opór, ale niebawem przestała się wrywać. Zaledwie jednak wąsy Jörgena dotknęły jej twarzy, wymknęła się w niepojęty sposób z jego objęcia, odtrąciła go, tak że runął na worek — i stanęła obok schodów.

— Nie, coś takiego! — oświadczyła ze złością. — Przychodzę tu, aby trochę pogawędzić z tobą... całkiem przystojnie, a tymczasem... fe, wstydz się!

Jörgen istotnie się zawstydził, ale tylko dlatego, że nie potrafił wyzyskać sytuacji.

— O, nie bądź no tak harda! Nie jesteś jeszcze młynarką!

— Właśnie dlatego.

Spojrzała na niego tak dziwnie, że się stropił.

— Jak to rozumiesz?

— Rozumiem tak, że jesteś głuptasem i że słusznie należy ci się kara.

Odwróciła się ku wyjściu.

— Opowiadałaś mi sama, że młynarz cię całował — rzekł Jörgen mrukliwie.

— Młynarz, no tak... to co innego.

— Czemu?

— Wiesz przecież. Młynarz będzie moim mężem.

— Wówczas nie było o tym mowy. Wówczas młynarka jeszcze żyła.

— Ach tak, biedaczka! Przecież każdy mógł spostrzec, że ona nie pociągnie już długo. A wobec tego wolno mężczyźnie zawczasu upatrywać inną.

— Czy powiedział ci, że się ożeni z tobą? — pytał już innym tonem, pełnym zainteresowania.

— No tak, uważasz... właśnie o tym należałoby pogadać, gdybyś był rozsądny... dlatego przyszedłam tutaj... a tymczasem ty zaraz robisz głupstwa!

— No, więc siadajże... niech tam... niech będzie tak, jak chcesz.

Liza usiadła znowu na worku.

— Polewka całkiem wystygnie... Dużo pomogło, że się tak spieszyłam!

— Nie jest jeszcze zimna, a lepiej, że nie parzy gęby — odpowiedział Jörgen, zjadając smacznie.

— Otóż do tego nie doszliśmy jeszcze — oświadczyła Liza po krótkim milczeniu — wyobrażasz sobie, że to można tak raz, dwa, trzy.

— No, nie zapominaj, że już kawał czasu upłynął, odkąd pochowaliśm młynarkę.

— Czy przypominasz sobie jeszcze, co gadaliście wówczas... w izbie czeladnej... o siostrze leśniczego?

— To ten dureń Lars!

— Dureń?... Mnie się zdaje, że on był wtedy mędrszy od was.

— Jakże to? — zawołał Jörgen, wpatrując się w nią z przestachem... — Przecież majster nie zamierza chyba ożenić się z tą...?

— No, nie są jeszcze po słowie, ale z pewnością nie ona będzie winna, jeżeli to nie nastąpi prędko.

— Ależ, Lizo, gadajże wyraźnie, co wiesz o tym?

— Tak, on jest myślą ciągle tam w lesie u nich... A potem wstydzi się... wobec mnie... ale bachor gada wszystko o cioci Hannie... i o Jenny.... o „słodkiej Jenny”!

— Któż to Jenny?

— Oswojona sarna... Jak ja nienawidzę tego bydłęcia! A dzieciak naprzykrza się ciągle; teraz już od pół miesiąca tam nie byli... I ona także niegłupia, ta bestia! Od razu przyhołubiła chłopca!

— Otóż i ja nieraz myślałem, że Janek stanie ci na przeszkodzie, bo cię nie cierpi.

Liza zmierzyla go nieżyczliwym spojrzeniem; przypomnienie tego przeciwnika nie było jej miłe.

— Ale cóż młynarz?

— Ej... spaceruje z nią i z jej bratem po lesie, potem siedzi w świetlicy, a ona wygrywa mu na fortepianie, bo i to umie... ej, to wielka dama, panna Christensen.

— Ale on... czy zakochany w niej?

Liza zaśmiała się szyderczo.

— Zakochany?... Nie, co to, to nie... Ale mimo to chętnie się z nią ożeni... przynajmniej chciałby się ożenić, bo w takim razie... jak sędzę... pozbyłby się mnie.

Jörgen wpatrzył się w nią osłupiałym wzrokiem.

— Pozbyłby się ciebie? Ale ja sądziłem... czy on już przestał... czyż on już nie chce...

— No tak, chciałby miłostek i jeszcze coś... ale żenić się, żenić się... Ze względu na chłopca, który mnie nie lubi, przypuszcza zapewne, że nie byłabym dobrą matką dla niego... A i poza tym... przecież w leśniczówce znajdzie coś lepszego...! Taka panna, która gra na fortepianie... a tutaj biedna dziewczyna, nadająca się tylko do szorowania kuchni i zmywania talerzy!...

Zamilkła i wpatrzyła się przed siebie, wgryzając przednie zęby w dolną wargę i litując się sama nad sobą. Nieraz ogarniało ją to uczucie i świadczyło, że nie była pozbawiona wyobraźni.

Oboje milczeli.

Słychać było tylko stukanie drewnianej łyżki po talerzu i głuchy hałas obracającej się osi. Jörgen powstał i nasypał zboża w koryto.

— Hm... więc tak!... Cóż stąd wyniknie, Lizo?

Zuchwale odrzuciła głowę w tył i zaśmiała się, błyskając bielą zębów.

— Oho, jeszcze ja go trzymam za kołnierz!

Potem znowu spuściła oczy i zaczęła kciukiem rysować coś na mącznym pyle.

— Najgorsza przeszkoda to chłopak... Jak gdyby się diabeł zawziął, ten brzdąc nie opuszcza ojca ani na chwilę, tak że ani rusz się dobrać do niego. I wiecznie gapi się na człowieka swymi wielkimi, niechętnymi ślepiami... Kupiłam mu przecież ślazowych cukierków, wycerowałam mu pończochy, kupiwszy za własny grosz wełny... Kiedy piekę pączki, przywołuję go zawsze i daję mu jeden lub dwa jeszcze gorące, wprost z rondla... Cóż robić, na Boga, żeby mnie polubił?

Jörgen rzucił szufłę na wielką kupę zboża, wpakował ręce do kieszeni i przybrał ważną i nauczającą postawę, zamierzając wytoczyć głębokie, świadczące o niezwykłej znajomości ludzkiej natury argumenty.

— Nie, Lizo, to się psu na budę nie zda. Oto, co ci powiem: gdyby był starszy o dziesięć lat, mogłabyś go, mówmy otwarcie, owinąć naokoło palca, tak jak nas wszystkich... Ale w takim wypadku nie tędy droga.

Liza potrząsnęła głową, uśmiechając się lekko i przytwierdzając słusność uwagi Jörgena. A do złości wywołanej tym, że chłopiec nie poddawał się jej wpływowi, przymieszała się pełna zadowolenia duma, że tak bezwzględnie przyznają jej panowanie nad wszystkim, co osiągnęło męską dojrzałość.

— Głupie gadanie! Pomógłbyś mi raczej i spróbowałbyś coś wymyślić... Bo coś trzeba wymyślić... — dodała gwałtownie, przepojona świadomością, że każdego człowieka można kupić za jego cenę, jeżeli się tylko zna tę cenę.

Jörgen podrapał się za uchem.

— Nie wiem... ale może byłoby najlepiej... nie, to na pewno głupie.

— Tak, prawdopodobnie — zaśmiała się Liza, opierając się na dłoniach, unosząc się na worku i machając nogami w niebieskich pończochach. — Będzie to na pewno głupie, ale mimo to gadaj.

Jörgen zerknął na piękne nogi gnące się miękko i pieszczotliwie. Bardzo chętnie dałby jej dobrą radę.

— To tylko... przyszło mi na myśl... że Janek bardzo lubi Kara...

— Ach tak! I sądzisz, że powinna bym okazywać życzliwość temu kundlowi?

— Tak sądziłem... ale to oczywiście bardzo głupie...

— Nie, na Boga, wcale niegłupie... to dobra droga!

Parokrotnie skinęła głową z namysłem.

Jörgen, zaskoczony tym uznaniem, przysiadł na worku i pogwizdując, zabrał się do czyszczenia i nabicia fajeczki.

— Nie gwizdź! Siedź spokojnie! — zawołała niechętnie Liza. Zaciśnęła wargi i zmarszczyła czoło. Wyglądała bardzo zabawnie, pogrążona tak w głębokim namyśle. — A oprócz tego, Jörgenie — oświadczyła wreszcie swobodnym głosem jak ktoś, kto rozwiązał pomyslnie trudny problem — a prócz tego namówię mego brata, Peera, aby zastrzelił Jenny.

Jörgen wpatrzył się w nią wielkimi, głupawymi oczami, a potem wybuchnął głośnym śmiechem, sądził bowiem, że jest to bez wątpienia tylko dobry żart.

— Czemu się śmiejesz głupio?

— No, bo co to właściwie znaczy? — pytał zakłopotany. — Cóż ci pomoże, jeżeli to zwierzę przestanie żyć?

Liza spojrzała przelotnie na niego, spojrzała ku drzwiom i wydeła pogardliwie usta. Nie zaszczyciła go inną odpowiedzią, tym więcej, że trudno było odpowiedzieć cokolwiek. Jakże wytłumaczyć temu tumanowi, że w jej dzikiej, pierwotnej wyobraźni kobiecej, niepowstrzymywanej żadną zaporą rozumu, niekrepowanej żadnym łańcuchem logicznego myślenia, wytworzyło się z jakąś elementarną siłą wyobrażenie o istnieniu tajemniczej łączności między oswojoną lanią i jej właścicielką. Stąd zrodziła się myśl, że zabicie zwierzęcia ugodzi w jego panią i przełamie władną moc, jaką posiada nad młynarzem. Albowiem nie było to całkiem tak, jak powiedziała Jörgenowi, mianowicie że wedle jej przekonania młynarz chce tylko dlatego posłubić Hanne, aby się pozbyć jej samej. Chociaż nie wierzyła, że młynarz jest w tamtej naprawdę zakochany, to jednak obawiała się poważnie swej rywalki i sądziła, że młynarz podlega jej wpływom; wietrzyła w tym czary wręcz przeciwne jej własnym, coś niby białą magię, jak to określano niegdyś, podczas gdy ona sama była niejako przedstawicielką czarnej magii, mając krwawookiego kocura jako swego *spiritus familiaris*¹¹. Teraz dobry duch, obrońca Hanny, pokorne, trwożliwe zwierzątko, którego sierść pachniała trawami łąk i w którego spojrzeniu odzwierciedlały się cieniste stawy — teraz ten pomocnik czarów został skazany na zagładę, a wówczas... okaże się... i może jednak!...

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Liza pogrążyła się w myślach, których nie potrafiłaby wyrazić słowami. Jörgen dręczył swój biedny mózg, aby odgadnąć, jaką korzyść osiągnie Liza dzięki zastrzeleniu Jenny. Zapomniał całkiem o zapaleniu fajki i przez długą chwilę nie było nic słychać, prócz szumu młyna, dzisiaj tak przygłuszonego, że nie potrzebowali rozmawiać zbyt głośno, aby się zrozumieć.

— Jenny ma obrózkę... z srebrnym okuciem... które błyszczą w blaskach księżyca... dzwoneczki dzwonią...

Jörgen zerknął ku niej; niesamowity wydawał mu się ten krąg wyobrażeń, w którym tak długo z uporem się pogrążyła, a którego on zgoła nie rozumiał. Widział, że była piękna. Nie tak jak zwykle: coś obcego i nienaturalnego promieniowało z jej istoty. Twarz miała uduchowiony wyraz, przede wszystkim zaś malowały się na niej złe zamysły — panienska Metta!

Nie mógł odwrócić od niej oczu.

Czerwona zorza wieczorna zalewała coraz bardziej i bardziej wewnątrz; przerywały ją cienie regularnie obracających się skrzydeł, a cienie te przebiegały również po twarzy Lizy. Twarz jej w pełnym blasku nabierała ciepłych i pociągających barw, w cieniu wydawała się coraz groźniejsza. Małeńki skrawek nieba, widoczny przez otwarte drzwi, był ołowianoszary. Na zapyłonej mąką galeryjce ukazały się ciemne plamki, słychać było lekkie stukanie, jak gdyby chrząszcze obijały się o deski.

¹¹*spiritus familiaris* (łac.) — duch służebny; występująca w rozmaitych wierzeniach istota sprowadzona poprzez działanie magiczne i służąca swemu panu (pani) do uzyskania konkretnych nadnaturalnych umiejętności. [przypis edytorski]

Liza rozglądnęła się i wstała.

— Byłam przekonana, że deszcz będzie dzisiaj padać... Spójrz tylko, jak mnie urządziłeś! — dodała, spoglądając po sobie. — Jeżeli tak wyjdę na deszcz, suknią zniszczę.

Jörgen podskoczył ku niej i zaczął oczyszczać rękami jej suknię. Uderzyła go po palcach.

— Dużo to pomoże! Trzeba wziąć szczotkę.

— Szczotka jest na dole w izbie.

— No, to chodź!

Wzięła talerz stojący na skrzyni i zeszła po schodach w towarzystwie Jörgena.

W izbie czeladnej Jörgen bardzo starannie oczyścił jej suknię i badawczo obejrzał swoje dzieło, by się przekonać, czy nie pozostał gdzie mączny ślad jego zuchwałego uścisku. Nagle głowa jej pochyliła się naprzód, poczuł na wargach pocałunek.

Jörgen stał bez ruchu. Był zdumiony, a jednocześnie nie śmiał objąć jej ramionami, aby nie powalać jej mąką i nie narazić się na jej niezadowolenie.

— Tak! Teraz nie będziesz już zazdrościł młynarzowi... dostałeś więcej niż on! — powiedziała i skoczyła prosto w bramę, gdzie omal nie przejechał jej wóz nadjeżdżający kłusem.

Chrystian z trudem zatrzymał konie, gdy Liza wypadła nagle jak z armaty i wrzeszcząc, przycisnęła się do muru, przytrzymując silnie suknię, by ją uchronić przed rozdarciem, bo orczyk niemal otarł się o nią.

— Hola! A to ci się spieszy! — zawołał Chrystian.

— Zawsze się spieszę... I gdybym była woźnicą, to te grube gniadosze inaczej by chodziły.

— Teraz szły chyba całkiem dobrze?

— Ha, nie mogłeś ich utrzymać, bo poczuły stajnię... Ładny woźnica!

— Ładny... oczywiście! Dobrze gadasz... ale czy całkiem szczerze, Lizko?

Liza zagryzła wargi i wpatrzyła się hardo w rumianą, piegawatą twarz śmiejącą się do niej z wozu. Wiedziała, że Chrystian kocha się w niej bez pamięci, tak samo jak młynarz i Jörgen. Ale zuchwały parobek udawał zawsze z powodzeniem przewagę, dawał do zrozumienia, że to ona właściwie za nim ugania. To złościło ją, zwłaszcza w tej chwili, kiedy Jörgen stał w pobliżu i słyszał każde słowo.

— Zarozumialec! Przepuść mnie teraz!

Stała rzeczywiście jak uwięziona. Konie wysunęły się naprzód, tak że orczyk dotykał prawie muru. Co prawda przejście w tył było swobodne, ale czy wypadało zawracać, wchodzić w deszcz i błoto?

Tupnęła nogą.

— Cofnijże konie! Chcę przejść!

On zaśmiał się tylko i rzekł:

— Pomóż mi raczej wywindować kilka worków.

— Ja? Czy sądzisz, że nie mam nic innego do roboty?

— To pójdzie raz, dwa, trzy... Będziesz przymocowywać hak do worków, a to chyba, na Boga, nieciężka praca.

— No tak... ale prędko.

Oparła nogę na kole i z kocią zręcznością wdrapała się na wóz, nie przyjmując pomocy wyciągniętej ręki Chrystiana, który usłyszawszy jej zniecierpliwione słowa: „Dalej do roboty!” — zeskoczył z drugiej strony wozu.

Zaledwie zamknęły się za nim drzwi młyna, Liza uchwyciła cugle i zacięła biczem konie, tak że jednym skokiem wypadły z przejazdu, kierując się ku stajni. Ona jednak z całej siły skróciła cugle i przymusiła je do przeciwnego nieco sztuce powożenia zwrotu, pojechała na prawo pod drzwi kuchenne i zeskoczyła na ziemię.

Chrystian pobiegł na schody tak gorliwie, że nie słyszał nic. Toteż niemało się zdumiał, gdy otworzywszy lukę i spuściwszy linę — ujrzał nagle na dole tylko gołe kamienie.

— Tam do diabła!

Pochylił się ku otworowi, ale nie dojrzał ani wozu, ani Lizy. Zobaczył natomiast Jörgena, który szeroko rozstawiając nogi, stał przed izbą czeladną i uśmiechał się ironicznie.

— Wracaj, Chrystianie, i podjedź tu wozem. Pomogę ci wciągać worki. Dla nas ta praca jest bardziej odpowiednia.

— Dzięki za przejażdżkę, Chrystianie! — zawołała Liza z kuchennych drzwi.

Chrystian spłoszył jak indyk — ponieważ tak niecznie zadrwiono z niego, a głównie z tej przyczyny, że, jak się przekonał, Jörgen tkwił w izbie, skąd Liza wyskoczyła na łeb na szyję. Najwidoczniej coś zaszło między nimi!

VI

W tym samym czasie młynarz wraz z Jankiem siedzieli przy zastawionym stole w rodzinnym domu Chrystyny.

Świetlica — jak zazwyczaj w dworach Falsteru — nie przypominała niczym izby chłopskiej, przeciwnie, sprawiała wrażenie dużego, szablonowo urządzonego, małomiasteczkowego pokoju. Otyła gospodyni domu nie przynosiła mu również ujmę strojem, który nie miał bynajmniej wiejskiego charakteru i który mógł równie dobrze okrywać wdzięki jakiejś żony kupca. Co się tyczy pana domu, Smoka, to i on także ani myślał upodabniać się do chłopca, ubranie jego było najzupełniej odpowiednie dla proprietera¹², którym to tytułem niejedyn człowiek starał się pozyskać jego łaski. Miał na szyi biały, lecz brudny kołnierzyk i niebieski krawat, zamierzał nawet przyozdobić przeguby rąk parą mankietów, ale niebawem zrezygnował z tych krępujących ruchy obroży. Jedyna obca w tym rodzinnym gronie osoba, chłopka mieszkająca w sąsiedztwie, była ustrojona nie mniej nowocześnie: nawet głowę ozdobiła barwną grzędą sztucznych kwiatów. Nie zdjęła wcale kapelusza, bądź dlatego, że ta nowa ozdoba głowy szczególnie się jej podobała i nie chciała się z nią rozstać, bądź też dlatego, że obawiała się wbrew wszelkim namowom zachować się zbyt poufale, siedząc z gołą głową. Toteż zadowolili się tylko rozwiązaniem wstążek, wyzwalając podwójny podbródek, na którym widniały jeszcze wyraźnie ślady skrzepowania. Mimo tej obfitości ciała w dolnej części głowy, twarz jej była raczej chuda i pomarszczona, z cienkim nosem pośrodku. Tę małą, niepozorną chłopkę nazywano powszechnie Zajęczą Wdową, ponieważ osada, gdzie mieszkała, miała od niepamiętnych czasów nazwę Zajęczego Dworu.

Już od paru godzin Zajęcza Wdowa bawiła w gościnie u pani Andersen; chciała ona zasięgnąć u dziewcziczki porady ze względu na to, że jej córka, Ana, poszukiwała właśnie służby. Czy też pani Andersen słyszała może, że służąca proboszcza wypowiedziała miejsce od października?

Pytanie to wydało się dziewczęcej wskazówką opatrności. Ana była roztropną dziewczyną, pochodziła z dobrej rodziny. Czemuż by więc nie mogła przyjąć służby w młynie u jej zięcia? Od dawna już pani Andersen dążyła do tego, by ukrócić wszechwładzę Lizy w młynie; zdawała sobie bowiem jasno sprawę z tego, że zupełne załamanie władzy Lizy i wypędzenie jej jest na razie niemożliwe. Nieraz też namawiała Jakuba, by przyjął drugą służącą. Ale zazwyczaj kończyło się wszystko częstą gadaniną, nie mogła bowiem podsunąć mu od razu odpowiedniej kandydatki. Ale Zajęcza Ana była niewątpliwie bardzo odpowiednią osobą! I natychmiast zaczęła zachwalać służbę w młynie jako nieporównanie korzystniejszą niż w probostwie.

O tak, gdyby Ana znalazła służbę w młynie, to byłoby bardzo dobrze! Ale Zajęcza Wdowa słyszała, że Liza kłusowniczanica wypełnia tam wszystkie posługi, zajmuje się porządkami domowymi, kuchnią, a nawet piekarnią.

Tak, to prawda, niestety. Ale musi się to raz nareszcie skończyć, bo ta cała gospodarka Lizy nie prowadzi, Bóg świadkiem, ku dobremu.

Zajęcza Wdowa zmarszczyła czoło, tak że włosy niemal je zakryły, i nacisnęła głowę tak mocno podbródek, że dolna jego warstwa wysunęła się naprzód niby poduszka. Poruszyła niecierpliwie wargami, a gdyby miała ruchome uszy, to z pewnością lewe ucho przechyliłoby się daleko ku pani Andersen, która kiwała głową i mrugała oczyma bardzo znacząco.

Na ogół dziewczeczka nie była zbyt rozmowna, a zwłaszcza w sprawach rodzinnych trzymała język za zębami. Ale od młodości odnosiła się do Zajęczej Wdowy z pewną lekceważącą poufałością, teraz zaś, gdy wchodziły w grę tak doniosłe sprawy, nie krępowała się wcale i bez ogródek piętnowała podstępna rolę, jaką Liza gra w młynie i jaką

¹²*proprieter* — proprieterem nazywa się w Danii właściciela majątku średniej wielkości, w odróżnieniu od małorolnego wieśniaka. [przypis tłumacza]

grała wówczas, gdy nieboszczka jej córka jeszcze żyła. Gdyby nie biedny chłopiec, sierota, skusiłaby już może Jakuba, by się z nią ożenił! Na szczęście młynarz poczuwa się do odpowiedzialności i wstydzi się dać chłopcu taką matkę. Tak, tak, to zgoła dziwne: nieraz wydaje się, jakoby młynarz szukał ochrony w towarzystwie dziecka. Zwłaszcza w ostatnim czasie nie rozstaje się z nim prawie — stąd wniosek, że sytuacja jest poważna. Dlatego zgłoszenie się Any jest wprost szczęśliwym zrzędzeniem opatrności. Pani Andersen nie chciałaby bowiem wprowadzać w te stosunki pierwszej lepszej obcej osoby. Ana zaś jest dobrym, roztropnym dziewczęciem. A skoro tylko Liza przestanie tam wszechwładnie rządzić, wszystko, oczywiście, odmieni się na lepsze.

Zajęcza Wdowa słuchała ze współczującym chrząkaniem opowieści o tej gospodarce w młynie i wyraziła najzupełniej zgodę. Aby więc kuć żelazo, póki gorące, wysłano sztafetę do młyna za pośrednictwem pastucha, a niebawem przyszedł młynarz, prowadząc za rękę małego Janka...

Siedzieli zatem przy stole; kiedy zaś zaspokoiłi apetyt, dziedziczka wytoczyła swój projekt i poleciła Anę jako dziewczynę, która na pewno zadowoli młynarza. Smok, trawiący jeszcze jedzenie, przytakiwał głuchym pomrukiem, a Zajęcza Wdowa zaręczała płaczącym głosem, że Ana wypełni wszystkie obowiązki jak najlepiej.

Młynarz kiwał głową, kiedy niekiedy dorzucał jakieś słowo i wyrażał w ten sposób uznanie dla doskonałości Zajęczej Any. Ale nie wydawało się, by z entuzjazmem witał propozycję. Pozwalał innym mówić, co tylko chcieli, a nawet i więcej, sam natomiast milczał, uporczywie wpatrywał się w talerz i z bezmyślną dokładnością dzielił na drobne kąski kawałek chleba z masłem.

Wszystko sprawiało mu wielką przykrość. Był to atak przeciwko Lizie. Wprawdzie już dawniej zdarzały się często drobne zaczepki, teraz jednak był to rozstrzygający, dobrze uplanowany atak. Gdyby uległ, w dom jego weszłaby obca osoba, szpiegująca jego i Lizę. Już sama ta myśl burzyła krew w żyłach. Z drugiej strony żywił głęboki szacunek dla głównej atakującej: była ona matką Chrystyny i babką Janka, miała niewątpliwie prawo wypowiedzieć swe zdanie, zwłaszcza że podejrzenia jej były poniekąd uzasadnione.

Nastała chwila milczenia. Przerwał ją wreszcie Janek, wodząc rozradowanym spojrzeniem po obecnych.

— No, to Liza pójdzie sobie, gdy przyjdzie Ana?

Pani Andersen i Zajęcza Wdowa porozumiały się szybkim spojrzeniem, co jeszcze bardziej zaniepokoiło młynarza. Smok, który jak zazwyczaj trwał w błogim stanie tępoty trawienia, nie zorientował się w sytuacji i z dobroduszną miną począł w dobrej wierze pocieszać chłopca: niechaj się nie martwi, Liza na pewno pozostanie na miejscu. Ana nie zdoła sama prowadzić całego gospodarstwa w młynie. Potwierdziła to również Zajęcza Wdowa, oświadczając, że, przynajmniej na razie, jej Ana nie sprostałaby wszystkiemu.

Janek wpatrywał się w mówiących rozszerzonymi oczyma, w których wnet zaświeciły łezki rozczarowania.

— Na miłość boską, nie beczże Janeczku! — pocieszał w dalszym ciągu Smok. — Wszak słyszysz, że zostanie! Liza nie odejdzie, pozostanie u was... czyż nie słyszysz?

Janek istotnie słyszał. Już nie beczał teraz, ale wyl.

— Ja nie chcę wcale, żeby została! Niech przyjdzie Ana na jej miejsce!

Ten nieoczekiwany protest tak zdumiał wujaszka, że rozparł się na fotelu i spoglądał na siostrzeńca rozszerzonymi oczyma.

— Ale to najdziwniejsze dziecko pod słońcem! Teraz nagle nie chce słyszeć o Lizie, a dopiero co płakał dlatego, że odchodzi! Szczególny chłopak! Ach, matko, daj mu trochę słodkiej kaszy... może go to uspokoi.

Podczas gdy zastosowano ten środek kojący bóle z jak najlepszym wynikiem, młynarz oświadczył wreszcie, że nie widzi właściwie powodu, dlaczego należałoby dawać wikt i pensję dwom dziewczuchom, skoro jest już jedna, która wszystko doskonale załatwia.

Ta uwaga wydała się szwagrowi młynarza tak trafna, że zdziwił się tylko, czemu sam od razu nie wpadł na ten pomysł. Odłożył nóż i uderzył dłonią w stół!

— Zupełnie słusznie, Jakubie! Nie jesteś chyba wariat!

Matka spojrzała natychmiast na niego karcącym wzrokiem, który uświadomił mu, że powiedział głupstwo i że w ogóle jak zazwyczaj nie rozumie całkiem, o co chodzi. Smok zakropił swe zakłopotanie kieliszkiem wódki i nakłonił też młynarza do wypicia: nie ma

nic lepszego na świecie aniżeli łyk żytniówki, takiej z fuzlem, który piecze w gardle — niech diabli porwą wszelakie akwawity! A do tego na przekąskę kawałek czarnego chleba i ser z kminkiem. Już to nikt nie zagnia takiego sera z kminkiem jak matka!

— Tak, powiadasz, że teraz wszystko robi jedna służąca — zaczęła pani Andersen nawiązywać do sprawy — ale pytanie, czy nie można by zrobić tego lepiej. Wówczas, kiedy jeszcze nieboszczka Chrystyna przykładła rękę do wszystkiego — tutaj Smok westchnął, a Zajęcza Wdowa pokiwała głową — wówczas gospodarka była może nieco inna. Nie ma też nikogo, kto by się zajął dzieckiem... bo do Lizy nie mam zaufania, a ty także nie możesz go ciągle pilnować. Ta odrobina stawy i drobna zapłata, dziękować Bogu, nie zubożą cię chyba, a gdy wszystko pójdzie tak jak należy, ten mały wydatek przyniesie sowite zyski.

— Tak, to prawda! — przytwardził Henryk Smok, pragnąc naprawić swoją nieopatrzność. — To bardzo ważne, co matka powiada. Zastanów się nad tym, Jakubie! Jak Boga Kocham, zastanów się!

— Teraz nadarza się sposobność — mówiła matka dalej — jakiej nie znajdziesz co dzień. Zgłasza się do służby dziewczyna, z której będziesz zadowolony.

— Tak, moja Ana nie zawiedzie zaufania — pisnęła Zajęcza Wdowa.

— Oczywiście, oczywiście! Dzisiaj trudno o dobrą służbę i trzeba chwycić rękami i nogami, jeżeli się nadarza coś dobrego — przytwardził syn.

— Więc dobrze, pomówię o tym z Lizą. Być może, że sama przyjmie chętnie pomoc, jeżeli jej zaofiaruję.

— Nie rozumiem, dlaczego należałoby zapytywać Lizę o jej zdanie — wtrąciła jadowicie pani Andersen. — Wiemy wszyscy aż nadto dobrze, co by Lizie dogadzało.

Ta bezpośrednia aluzja pokryła rumieńcem twarz młynarza. Ukradkiem przyjrzał się otoczeniu. Zajęcza Wdowa okazywała dyskretne, nic niemówiące oblicze. Szwagier kiwał potakująco i poważnie głową: „Tak, tak, wiemy wszyscy!” — rozmyślając jednocześnie tępo i beznadziejnie nad tym, co znaczą właściwie słowa matki i co by, do diabła, dogadzało tej Lizie! Albowiem pani Andersen uważała syna za tak niepewnego głupca, że nie zwierzyła mu swych trosk z powodu sytuacji w młynie. Smok zaś własnym konceptem nie wpadłby nigdy na ten bajkowy pomysł, że mała Liza kłusowniczanica ze złodziejskiego gniazda na moczarach chce zostać młynarką w młynie na wzgórzu. Nie domyśliliby się tego, gdyby nawet przez sto lat zastanawiał się nad problemem, o czym wszyscy wiemy, co by Lizie dogadzało. Tam do diabła! Czego by ona chciała? Czy podwyżki płacy? No, w takim razie kosztowałyby to Jakuba taniej, aniżeli gdyby przyjął drugą służącą.

Dziedziczka przedsięwzięła jeszcze jeden atak, ale młynarz trwał przy swoim; najpierw pomówi o tym z Lizą, a jeżeli ona będzie wołała pracować dalej bez pomocy, w takim razie nie przyjmie drugiej służącej.

Smok powstał, podszedł ku oknu i chrząkał z zadowoleniem — teraz zrozumiał już wszystko! Tak to jest, a nie inaczej: chce być sama w młynie i otrzymać podwyżkę płacy — oto, co by dogadzało Lizie kłusowniczanice!

Jakub wstał także; chciał wracać do domu.

Niebo było zachmurzone, krople deszczu bębniły w okna.

Pani Andersen dowodziła, że nie potrzeba się spieszyć. Ale młynarz nie chciał czekać. Musi wstać wcześniej rano, roboty w bród; zresztą czekanie jest bezcelowe, bo deszcz nieprędko przestanie padać.

— To prawda! — zawołał Smok, który stał pochylony przy oknie, wyglądając na podwórze, a teraz energicznie się odwrócił. — To prawda! Deszcz nieprędko przestanie padać, dam ci to na piśmie... Widzisz, matko, jak to dobrze, że sprzątnęliśmy dziś resztę żyta... upierałem się przy tym, i słusznie, bardzo słusznie... Czulem to w kościach, że będzie lało... „Zwozić to gałganstwo!” mówiłem... i jak widzisz, dobrze się stało.

Zacierał ręce, zachwycony własną energią, aczkolwiek nikt ani pomyślał o tym, by żyto pozostawić na polu.

Chłopiec zasnął, położywszy główkę na łonie babki.

— W takim razie zostaw tu Janka — prosiła. — Dziecko śpi tak smacznie.

— Nie, wolę zabrać chłopca.

— Na taką ulewę, rozspanego?

— Ach, głupstwo. Nie jest z cukru, nie roztopi się, droga niedaleka... Janku!

Chłopiec, który na wpół się przebudził i posłyszał ostatnie słowa, przetarł oczy i powiedział, że chętnie pozostałby u babki. Młynarz targnął nerwowo brodę i wziął swój kapelusz i czapkę chłopca, które leżały obok na krześle.

— Nie, Janku, chodź! To lepiej, że pójdziesz ze mną do domu!

Wszyscy troje stali przy oknie, przyglądając się, jak ojciec i syn szli przez aleję czerwonej jarzębiny. Wysoka postać młynarza chwiała się nieco, w postawie i w ruchach przejawiał się jakiś brak woli; trzymał chłopca za rękę, ale wydawało się, że to raczej chłopiec go prowadzi, niż on dziecko. W pewnej chwili odciągnął go na bok, gdy chciał wejść w dużą kałużę. Powoli postaci ich zatarły się w deszczowej zasłonie.

Dziedziczka pokiwała znacząco głową.

— Oto widzieliście sami. Nie odważył się... Musi mieć chłopca przy sobie!

— Tak jest, nie inaczej. Widocznie się boi — odpowiedziała Zajączka Wdowa, potakując ruchem głowy, a jednocześnie krępując podbródek wstążkami kapelusza.

— Ach tak! Jakub był zawsze nieco bojaźliwy, wiemy to wszyscy — wtrącił Smok, chociaż niedorzeczna gadanina obu bab wydawała mu się najtrudniejszą do rozwiązania zagadką.

Ale obie baby bynajmniej nie plotły niedorzeczności; mówiły po prostu prawdę. Jakub istotnie obawiał się Lizy, a jeszcze bardziej samego siebie: obawiał się niepokoju namiętności i tego wciąż czujnego pożądanego, które niby magnetyczną siłą ciągnęło go ku dziewczynie. A przecież mógł być przypuszczać, że wszystko się już zakończyło, że przebył szczęśliwie tę chorobę. Od czasu swej rozmowy z leśniczym w dniu pogrzebu miał nieustannie przed oczyma przyszłe małżeństwo z Hanną — to małżeństwo, które nie ulegało wątpliwości. Związek ten był niejako już zawarty dzięki przyrzeczeniu, jakie dał zmarłej, co więcej, był pobłogosławiony ręką ducha. Czyż duch Chrystyny nie przemówił już za nim w leśniczówce? Co prawda, leśniczy i jego siostra mogli zaledwie przeczuwać tajemnicze znaczenie posłannictwa śmierci; powiedział im, że Chrystyna myślała o Hannie z leśniczówki w ostatniej chwili swego życia, ale nie powiedział im, co myślała. I wyczuwał, że Hanna jest mu przychylna, był przekonany, że brat i siostra uznają ten związek za coś rozumiejącego się samo przez się, chociaż najprawdopodobniej nie rozmawiali jeszcze o tym, a może nawet pomysł taki nie stanął im wyraźnie przed oczyma.

Dlatego też doznawał zawsze w tym cichym domu wśród lasu jakiegoś dobroczynnego uczucia spokoju, świątecznej ciszy; dawało ono duchowi wypoczynek, dawało pomyślną zapowiedź niby nienaruszalne prawo posiadania, niby dobrze nabyty grunt, na którym mógł zbudować solidny gmach dla samego siebie, który mógł rozbudować w owocodajną spuściznę dla syna. Niestety, była to tylko gra wyobraźni, i to gra wyczarowana największym napięciem woli, zapoczątkowana poczuciem obowiązku i przyuczonym do ścisłości rozumem! I gdy ta bardzo świadoma wola z pracowitą pilnością snuła wciąż na nowo jednobarwną idyllę skromnego życia rodzinnego, jednocześnie jego najbardziej wewnętrzna, przyrodzona wola śniła dzięki i bynajmniej nieświęte sny o burzliwym życiu i miłości, wahającym się wciąż między zwątpieniem a nadzieją, pełnym brutalnych rozczarowań i tryumfujących radości, śniła sny o bezspokojnym wypoczynku w najsłodszy oszołomieniu namiętności. Głęboko bowiem w jego istocie krył się nieużyty jeszcze i dopiero się rozbudzający mocny pęd erotyczny, który buntował się przeciw nakarmieniu go ponownie tą samą strawą: uporządkowanym szczęściem małżeńskim, które wygodne było w codziennym życiu niby dobrze dopasowany szlafrok, ale jakże się różniło od błyszczących, świetnych skrzydeł, jakich pożądał, by ważyć się na niebezpieczny, ale rozkoszny lot.

I młyn zaczął się buntować przeciw leśniczówce.

Leśniczówka leżała w nizinie, otoczona ochronnym wałem wielkiego lasu, który z trzech stron zamykał ją nieprzebitą ścianą listowia, a z czwartej, północnej strony wysunął ku brzegowi sękatę buki, niby szereg czujnych placówek. I ta woda błyszcząca pomiędzy pniami — to nie było kapryśne, otwarte morze, ale cichy Sund, gdzie nigdy jeszcze nie rozbił się okręt, gdzie zaledwie jakaś żaglowa łódź mogła osiąść na mieliźnie. Wszystko na zewnątrz wydawało się milsze: zima bardziej skrząca się kryształkami lodu, wiosna bardziej zielona, jesień bujniejsza w barwy, a słoneczny zachód — przeświecający poprzez pnie, żarzący się poprzez listowie, odzwierciedlający się w wodzie —

bardziej wyzłocony i błyszczący. Ale gdy burza szalała nad krajem, tutaj wypowiadała się tylko melancholijnym poszumem nieskończoności wierzchołków drzew i monotonnym wrzieniem wodnych pian na wybrzeżu.

Taka była leśniczówka.

A tutaj stał młyn na szeroko otwartej przestrzeni, i to jeszcze na najwyższym jej wzniesieniu, ku któremu wspinał się gościec, aby potem znów opaść ku dołowi — zwał się dumnie „młynem na wzgórzu”. Wynosił się ponad drzewa, wyciągał w przestwór swoich czworo ramion. Jednego tylko poządał: wichru! Jednego tylko się obawiał: ciszy! A młyn — to była Liza. Przenikała ona na wskroś młyn na wzgórzu, poczynając od swej własnej izdebki na poddaszu mieszkalnego domu aż do kaptura, w którym nigdy nie postawiła nogi, lecz który myślą także objęła już w posiadanie. Albowiem nie tylko te wszystkie drobne wspomnienia — rozproszone w domu, w młynie, w piekarni, na podwórzu i w ogrodzie — spajały ją z młynem. Nie, to była raczej jej wola, by posiadać to wszystko i nie ścierpieć obok siebie innej kobiety, chociażby trzeba było urobić sobie ręce, chociażby trzeba było dokonać pracy cięższej aniżeli ta, jaką pełniły kamienie i osie, i koła, i śmigi — i ta właśnie wola ożywiała młyn, ona sprawiała, że młyn stał się niejako częścią samej Lizy.

I kiedy młynarz wracał późnym wieczorem z gościny w leśniczówce, kiedy młyn wynurzał się z ciemności, tak jak w tej chwili z deszczowej zasłony — wówczas wydawało mu się, że młyn i Liza czekają nań groźni i ponurzy, jak się oczekuje na kogoś, kto błądzi po zakazanych drogach.

Wówczas było zawsze rozkoszą czuć we własnej dłoni rękę dziecka niby żywy amulet. Ręka ta była z krwi i kości tej, którą uścisnął, składając uroczyste przyrzeczenie, że Liza nie będzie macochą dla jego syna; ręka ta była materializacją tej bezcielesnej ręki, która ostrzegawczo pukała w okno leśniczówki. Młynarz uścisnął tak silnie tę rękę, że Janek spojrział na niego ze zdziwieniem i byłby krzyknął z bólu, gdyby nie chłopięca duma.

Zadziwił go wyraz twarzy ojca, chciał już zapytać: „co ci się stało ojcze?”. Ale milczał, ogarnięty wewnętrznym niepokojem.

Tak, dzisiaj wieczorem młynarz był szczególnie podniecony, bardziej niż kiedykolwiek potrzebował swego amuletu. Czy istotnie zachodziła potrzeba przyjęcia drugiej służącej? W takim razie zakończyłoby się poufale, niemączone obcym wzrokiem jego współżycie z Lizą. Troskliwie czuwał nad tym, by nie użyć na złe tej swobody.

Kiedy dzisiaj teściowa zaproponowała, by Janek pozostał na noc w Smoczym Dworze, pokusa stanęła przed nim z taką mocą, że całe ciało wstrząsnęło się dreszczem jak w gorączce. Nie mógłby sam wrócić do domu, nie mógłby spędzić nocy pod tym samym dachem, oddzielony od niej tylko ścianą, oddzielony od niej tylko drzwiami.

VII

Kiedy weszli do sieni, ujrzeli w kuchni Lizę zajętą gorliwie myciem Kara, który cierpliwie poddając się losowi, nie protestował przeciw mydłu, szczotce i grzebieniowi gospodarującym na jego biednej skórce. Nie śmiał poruszyć ani szczeknąc, zerkał tylko szczerwie naokół i merdał ostrożnie ogonem. Dziewczyna była tak zajęta pracą, że jak się wydawało, zauważyła ich dopiero wówczas, gdy z ciemnej sieni weszli do kuchni, oświetlonej małą blaszaną lampką.

— Cóż się to stało? — zapytał młynarz ze zdziwieniem.

— Ach, nic... już dawno postanowiłam wykąpać psa... pchły tak dręczą to biedne stworzenie.

— To naprawdę niepotrzebne... I bez tego nie brakuje ci roboty... no, ale o tym pogadamy później.

— Znajdzie się czas na wszystko — oświadczyła Liza.

Janek zbliżył się i zaciekawiony spoglądał w kubel, w którym brudna woda, uczerniona jeszcze wieloma żywymi punktami — dowodziła, że dzieło miłosierdzia wydało owoce. Mały człowieczek zadziwił się bardzo: dlaczego on sam nie pomyślał o tym nigdy? Praca nie była tak ciężka, by jej nie potrafił dokonać. Kochał tak bardzo Kara, a Karo jego. Liza właściwie nie cierpiała psa, a przecież uczyniła to! Była także względem niego

coraz bardziej życzliwa, robiła wszystko, aby mu dogodzić, chociaż okazywał jej murkliwą niechęć i chociaż jej nie cierpiał... Dlaczego to właściwie?

Nagle Liza odrzuciła szczotkę i załamała rękę.

— Jezusie! Jak ty wyglądasz, chłopcze? Toż woda leje się z ciebie strumieniem!

Zerwała się, wybiegła i wróciła niebawem, przynosząc ubranie do zmiany. Młynarz poszedł do pokoju, ale zostawił otworem drzwi do sieni. Liza sama zdjęła chłopcu bluzę i sprawdziła, że rękawy koszuli nie przemokły... inaczej mógłby się przeziębic!...

— Czy nie byłoby dobrze ugotować herbaty?

— Nie, nie trzeba — osądził młynarz. — Janek niech natychmiast kładzie się do łóżka.

— Spójrzj no, jak wygląda twoja ładna, nowa bluza!

Teraz dopiero chłopiec uświadomił sobie, że jest to jego świąteczne ubranie, które przywdział dotąd zaledwie parę razy. Istotnie, bluza wyglądała smętnie, zwłaszcza zewnętrzna strona prawego rękawa szerniała, przemoczona wodą. Spodenki były również ubabrane błotem. Janek rozplakał się, a Liza pocieszała go; rozwiesi bluzę na kuchennym stołku, tak że mokre fałdy nie będą się stykać, a jutro będą wyglądały jakby świeżo wyprasowane; gdy spodenki przeschną, wyczyści je szczotką tak dokładnie, że nikt nie znajdzie ani jednej plamki.

Pocieszony taką nadzieją Janek istotnie przestał głośno płakać, ale ciągle jeszcze szlochał, albowiem gnębiło go sumienie, że nie zasłużył na tak życzliwe współczucie. Niewiele pomogło, że Karo odzyskawszy po szczęśliwie przebytej operacji swoją psią wesołość, skakał koło niego i lizał mu ręce, a nawet twarz — przeciwnie: wilgotny po kąpieli pies przypomniał dowodnie, co obaj są winni Lizie.

Nareszcie kiedy gniewny głos ojca dochodzący z izby wezwał go do spoczynku, Janek opanował się i zdecydował iść spać. Owego pamiętnego wieczoru nie tylko nie sprzeciwiał się, by Liza pomogła mu przy rozbieraniu się, ale był jej nawet wdzięczny za to. A kiedy już ułożyła go w ciepłym łóżku i pobożnie przypomniała mu, że należy zmówić *Ojciec nasz* przed spaniem, ogarnął ramieniem jej szyję i pocałunkiem powiedział jej „dobranoc”.

Tymczasem młynarz siedział w izbie, dokąd poprzez sieni przenikał drobny promyk światła z kuchni.

Wsparł głowę na rękach i rozmyślał. Czegóż to nie dokonywała ta dziwna dziewczyna! Ta kąpiel Kara była po prostu kropeczką nad i. Czyżby przeczuwała, co knowano przeciwko niej w Smoczym Dworze, czyżby chciała dowieść, że zrobi nieporównanie więcej, aniżeli można by od niej żądać? I nie starała się bynajmniej zwrócić na siebie uwagi! Robiła wszystko swobodnie, wesoło, jak gdyby to była igraszka. Więc czy mimo to zachodziła potrzeba przyjęcia jeszcze jednej służącej i wprowadzenia niesnasek w gospodarstwo? Nie ulegało bowiem wątpliwości, że obie będą się nienawidzić — zresztą za Zajęczą Aną tkwić będzie teściowa. Ale było też, oczywiście, możliwe, że Liza bierze na swe barki większy ciężar, niż zdoła stale udźwignąć, za co odpowiedzialność spadłaby na niego jako na pana domu. W takim wypadku byłoby jego obowiązkiem postarać się o pomocnicę dla Lizy.

Nie ulega wątpliwości, że młynarz ze wzgórza okazałby się dzielnym żołnierzem, gdyby postawiono go na szafcu i dano sprecyzowane rozkazy. Ale nie był on bynajmniej bohaterem, gdy szło o niemiłe wyjaśnienia, tym mniej zaś, gdy przeciwnikiem była kobieta, a bronią nie tylko gorzkie poufałości, ale w pierwszym rzędzie pełne wyrzutu spojrzania, westchnienia i jękliwe tony, gdy należało oczekiwać nawet wybuchowych min histerycznego ataku.

Szedł do teściowej ze zdecydowaną niechęcią, przeczuwał bowiem, że ma ona jakieś zamiary grożące jego spokojowi. A teraz znowu należało stanąć do walki!

Bardzo przezornie podkreślił na wstępie swoją odpowiedzialność gospodarza domu: obawia się, że z czasem Liza się przemęczy, kieruje się względami jej zdrowia, teraz zaś nadarza się korzystna sposobność, ponieważ Zajęcza Ana zgodziłaby się chętnie służyć w młynie.

Mówiąc to, oczekiwał, że Liza przejrzy obłudną grę i odpowie mu gorzkimi uwagami. Ale Liza odpowiedziała swobodnie, że sam pan młynarz wie chyba najlepiej, jak należy postąpić.

— No tak, nic nas nie przymusza do niezwłocznej decyzji. Chciałem tylko powiedzieć ci o tym. Może się namyślisz.

— Ano niech pan tak zrobi, jak uzna za słuszne — odpowiedziała Liza, szorując dalej rundle.

— Tak... jak mówiłem, nie spieszy się... możemy pomyśleć... dobranoc, Lizo.

Młynarz poszedł do sypialni, wytrącony z równowagi tą uległością Lizy. To było najgorsze, czego mógł oczekiwać: musiał rozstrzygać sam, on jeden. A skoro Liza się nie sprzeciwiała, cóż odpowiedzieć teściowej? Potem¹³ weszłaby w dom obca dziewczyna: okropność!

Minęło kilka dni; ani Liza, ani młynarz nie poruszali tego tematu. Co wieczór młynarz oczekiwał, że teściowa zjedzie do jego domu; co wieczór kładł się spać z westchnieniem ulgi, że i ten dzień dobiegł kresu w spokoju.

Potem, pewnego dnia zwierzył się przed nim Janek, pełen troski, że biedna Liza cierpi pewnie na ból zębów, ponieważ zauważył, że ciągle zakrywa twarz chusteczką. Młynarz poszedł niezwłocznie do ogrodu, gdzie Liza zbierała porzeczki, i zapytał, czy ją bolą zęby, oraz doradził, aby zasięgnęła porady lekarskiej, zanim się pogorszy.

Nie, nic ją nie boli, odpowiedziała, smuci się tylko. Była przekonana, że wypełnia dobrze przyjęte na się obowiązki, a teraz widzi, że młynarz nie jest z niej zadowolony, bo chce przyjąć drugą służącą.

Nadaremnie usiłował młynarz wyjaśnić, że nie czyni jej żadnego zarzutu, że przeciwnie, chodzi wyłącznie o nią samą, że ona powinna to rozstrzygnąć, zastanowiwszy się, czy nie pracuje ponad siły.

Liza lamentowała dalej w tym samym tonie: oczywiście, skoro pan młynarz sądzi, że tak będzie lepiej, trzeba przyjąć drugą służącą. Ale to, co było najcięższe, już odrobione; w jesieni i w zimie jest mniej roboty w piekarni; skoro zaś dotychczas starczyło jej siły, to chyba i w zimie zrobi, co należy. Ale oczywiście...

— Bądźże rozsądna, Lizo! — zawołał zniecierpliwiony młynarz. — Mówię przecież, że sama wiesz chyba o tym najlepiej. Jeżeli naprawdę mniemasz, że siły...

— Siły?!

Liza zaśmiała się nagle wesoło, szybkim ruchem odgarnęła rękawy poza łokcie i wyciągnęła ramiona.

— Jak się zdaje, jest czym chwycić!

Była to para mocnych ramion kobiecych, których miękkie zaokrąglenie jaśniało bielą w sierpniowym słońcu. Cienie owocowego drzewa kładły się niewyraźną w konturach, zielonkawą plamą na młodą twarz, mieniającą się błyskiem oczu i bielą zębów, śmiejącą się dołeczkami policzków i brody.

— Czyż ja wyglądam jak przepracowana? Czy pan sądzi, że schudłam? Czy źle mi się wiedzie tutaj we młynie na wzgórzu?

Jeszcze ciągle wyciągała przed siebie ramiona, dzięki czemu postać jej rysowała się swobodnie żywymi liniami, a oddychanie wprawilo ją w rytmiczne, faliste ruchy. Z całej jej istoty płynęła zdrowa świeżość, na twarzy jej jaśniała radosna świadomość zwycięskiej siły.

Młynarz uczył, jak ta fala młodości i zdrowia przenika w niego samego i budzi w nim najtajniejsze pragnienia drżące przecuciem nowej, górującej ponad wszystkim radości życia. Zawstydzony spuścił oczy pod naporem fascynującego spojrzenia jej czarnych źrenic. Albowiem w tym radosnym świetle tliła skra ironii: nie ważysz się! Wszystko to jest niedorzeczne! Nie ważysz się sprowadzić innej i nie ważysz się także wziąć mnie, tak jak tu stoję i oszalamiam twoje zmysły... Nie ważysz się na nic. Ale ja się ważę, bo tak chcę!..

— Więc dobrze. Nie będziemy już mówić o tym, Lizo — bąknął młynarz i odszedł szybko do domu.

Tego samego wieczora zawinęła pani Andersen do młynarskiego domu. Przybyła za późno. Kandydatura Zajęcej Any przepadła z kretesem.

¹³potem — tu: poza tym. [przypis edytorski]

KSIĘGA III

I

Jenny! Jenny! Jenny... Malutka!

To Hanna nawoływała swą ulubienicę.

Stała z młynarzem na skraju wysokopiennego świerkowego lasu, w oddaleniu mniej więcej pięćdziesięciu kroków od leśniczówki. Obok domu przy korycie studni Janek poił parę kuców z krótko przystrzyżonymi grzywami; z gniadych grzbietów dymiała się w słonecznych blaskach złocista para, a z jednego z pysków końskich, wzniesionego ponad koryto, kapwały krople wody jak iskry. Wśród głębokich cieni stajni, mieszczącej się pod jednym dachem z domem mieszkalnym, bielily się rękawy koszuli leśniczego, który wiesział tuż przy wrotach koński popręg. Między szczytową ścianą domu a zagajnikiem młodej, strzelającej wysoko w górę dąbrowy wiodła droga ku niedalekiemu wybrzeżu wzdłuż małego pólka, którego przednia część miała ciemną aksamitną barwę po świeżej orce; pozostawiony w skibie pług wskazywał, gdzie małe koniki przerwały niedawno pracę. Parę jaśniejszych obłoków rzucało długie białe pasy na rozsloneczniony Sund. W brunatnawych wierzchołkach buków ponad omszonym dachem igrały, skrząc się figlarnie, promienie wrześniejszego słońca, natomiast między pniami świerków światło przenikało spokojnymi snopami.

— Jenny! Jenny!

Nawoływanie Hanny brzmiało w szczególniejszy sposób, niby skomponowana melodia. Pierwsze trzy, cztery „Jenny” odzywały się *crescendo* w szybkim następstwie, w tym samym tonie, potem — po krótkiej pauzie — głos przeskakiwał o oktawę wyżej i półtonami zniżał się do finału „malutka”, którego rozdzielone pauzowaniem zgłoski wydobywały się z melodii szczególnie zaakcentowane, dzięki czemu rozlegały się szeroko w lesie. W tym nawoływaniu kryło się coś niesłychanie wnikliwego, pieścizotliwego, kuszącego, a młynarz lubił się mu przysłuchiwać niby muzyce przepojonej tajemniczym czarem lasu.

— Dzisiaj widocznie nie przyjdzie wcale — rzekł młynarz, pragnąc, by Hanna jeszcze dalej nawoływała.

— O, przyjdzie z pewnością, skoro tylko posłyszysz mój głos. Ale może odpędzono ją gdzieś daleko.

— Odpędzono? Któż by to uczynił?

— Inne sarny. Wiele spośród nich nie cierpi Jenny za to, że obcuje z nami, a może i dzięki temu, że nosi obrózkę.

Przeszli powoli przez świerkowy lasek i stanęli na skraju łąki, spowitej niemal całkowicie w cieniu.

Przed nimi piętrzył się las bukowy. Silne światło słońca kładło się cienką, delikatną pozlota na wierzchołki pozielieniałego brązu; tu i ówdzie jaśniał biały obłoczek. Poniżej zarysowały się smukłe kontury szarych pni, a jeszcze niżej poszycie leśne, złożone z leszczyny, ciernistych krzewów i bukowych pędów, nietknięte jeszcze porą roku, zieleniło się w słonecznych blaskach letnią świeżością i bujnością.

Ponad ich głowami szumiały cicho świerkowe igły; ożywczy, pachnący żywicą podmuch wiatru muskał im twarze, zwiewając parę błyszczących, jedwabistych włosów na oblicze Hanny. Była ubrana w niebieską sukienkę, spływającą swobodnie luźnymi fałdami podtrzymywanymi paskiem. Głowę jej przykrywała z fantazją nałożona płaska czapeczka z wełnianej przędzy, a to na wpół chłopięce okrycie głowy nadawało zazwyczaj tak spokojnej twarzyczce jakiś łobuzerski wdzięk. Wyglądała bardzo zabawnie, zwłaszcza teraz, gdy przyłożyła dłonie do ust, aby głos rozchodził się silniej i dalej.

Poza nimi rozległ się tupot szybkich kroków — to nadbiegał Janek w towarzystwie Hektora, biało i czarno nakrapianego legawca¹⁴, który powitał młynarza, swego przyjaciela, dzikimi skokami.

— Czy Jenny nie przyjdzie? — pytał Janek zdyszany.

— Pst!

¹⁴legawiec — typ psa myśliwskiego używanych do wystawiania zwierzyny na polowaniu. [przypis edytorski]

Hektor podniósł łeb i zaszczekał krótko i twardo. Wszyscy nasłuchiwali uważnie i niebawem też posłyszeli z daleka cichy odgłos dzwoneczka, który szybko się przybliżał. Nagle naprzeciwko nich wynurzyło się coś spośród listowia: czerwonawobrunatna sarenka przebiegła wielkimi, zgrabnymi skokami poprzez łąkę, kierując się wprost ku Hannie, która znowu zawołała głośno „Jenny!”, klasnęła w dłonie i promieniowała dziecięcą radością. Sarenka dobiegłszy pędem do celu, wsunęła swą ostrą mordkę między ręce dziewczyny, otarła się łbem o jej kolana i poddała się jej pieszczotom.

Wobec innych okazywała jednak Jenny wielką powściągliwość, a zwłaszcza, gdy Janek chciał poklepać ją po grzbiecie, przycupnęła i wysliznęła się. Na Hektora, który figlarnie biegał dookoła niej, nie zwracała wcale uwagi.

Powrócili przez lasek ku domowi, gdzie leśniczy przed stajnią wycierał swe kuce wiechciem słomy. Na jodle obok domu wisiał zastrzelony rogacz. Między korzeniami drzewa widniała plama skrzepłej krwi. Młynarz doznał szczególnego wrażenia, widząc, że Jenny przebiega beztrąsko obok nieżywego towarzysza, podczas gdy Hektor zatrzymał się, węsząc krew.

— Czy to nie sprawia pani przykrości, gdy brat idzie na polowanie i zabija zwierzynę?

— Ach, oczywiście! Zrazu nie mogłam się z tym wcale pogodzić... Teraz pragnę tylko, by dobrze trafił i by zwierzę natychmiast zginęło. Jest on zresztą dobrym strzelcem. Prócz tego nie strzela nigdy na zbyt wielką odległość. Woli wyjść powtórnie na polowanie, aniżeli strzelić niepewnie.

— No tak, ostatecznie zwierzę musi zginąć tak czy inaczej wskutek starości lub choroby. Więc może lepiej nawet, zginie szybko i niepodziewanie... to wprost budzi zazdrość.

— O nie, to dobre dla zwierzęcia, ale nie dla człowieka.

— Czemu nie dla człowieka także?

— Nie, nie chciałabym tak schodzić ze świata. Chciałabym mieć czas, by przygotować się na śmierć, by pożegnać się ze swoimi i z życiem... a przede wszystkim przygotować duszę do tej wędrówki w wieczność.

— To prawda. Tak samo umierała i Chrystyna błogosławioną śmiercią.

Młynarz zatrzymał się, gdy rozmowa zeszała na te poważne tony i z podziwem spoglądał na dziewczynę. „Jaka ona mądra — zastanawiał się — ktoś inny ani nie pomyśli o czymś takim, a to jednak słuszne — i ja nie chciałbym umierać nagłą śmiercią, może obciążony grzesznymi myślami... Jest pobożna i mądra. Doprawdy, współżycie z nią może człowieka zrobić lepszym. Jak słusznie przewidziała to Chrystyna i jakie to szczęście dla mnie, że umarła spokojną śmiercią i utorowała mi tę drogę!”

Milczenie zaciążyło dziewczynie. Przeraziła się, że wspomnienie śmierci Chrystyny pograży gościa w smutku, i dlatego zdecydowała się zaniechać tego tematu rozmowy. Nagłym ruchem zwróciła się ku bratu.

— I cóż, Wilhelmie, czy praca na dzisiaj już skończona?

— Nie, niezupełnie.

— Mam nadzieję, że nasze przybycie nie przeszkodziło ci w pracy — wtrącił młynarz.

— O, bynajmniej, konie były już pomęczzone. Niełatwe to zadanie dla tych malców ciągnąć pług. Zwłaszcza lewy, młodszy, męczy się.

— Ale za to kłusują, że czasem ledwie można je utrzymać — rzekła Hanna.

Lewy kuc wyglądał istotnie nieco smętnie, zwiesił głowę na kark towarzysza, przechylił grzbiet na bok. Hanna pogłaskała go po pysku mokrym jeszcze od czasu pojenia i szepnęła mu w chrapy, jak gdyby to były uszy:

— No cóż, niedźwiadku? Jesteśmy zmęczeni? Zjedlibyśmy kawałek chleba? Co?

Niedźwiadek zerknął chytrze, drgnął krótko ostrzyżoną głową, jak gdyby go polaskotano, i machnął krótkim ogonem.

— Rozpuszczasz go zupełnie — przyganił brat, ale uśmiech zadowolenia na ustach dowodził, że te pedagogiczne troski nie sięgają zbyt głęboko. — Niezadługo i on także zechce jeść pierniki jak Jenny... spojrzysz, co wyrabia to zwierzę!

Jenny rzuciła się tak gwałtownie na Hannę, że omal nie przewróciła jej. Hektor siadł na zadzie, skrobał ziemię przednimi łapami i skomlał z wyrzutem, ponieważ nikt się nim nie zajmował.

— Ach, prawda — rzekł leśniczy, odrzucając słomiany wiecheć — zamierzałem jeszcze pogadać ze starym Ole.

— W takim razie będę ci towarzyszył, chętnie się przejdę — wtrącił młynarz.

— Ale idźcie zaraz, by się nie spóźnić na wieczerzę. Ja tu już zajmę się malcami.

Otworzyła szeroko wrota stajni, a malcy bez oporu wbiegli do wnętrza. Młynarz chciał jej dopomóc, ale oddaliła go żartobliwie: czyżby nie dowierzał nawet temu, że sama poradzi sobie z kucami?

Właściwie nie był niezadowolony z tego. Mógł stać spokojnie oparty o dolną połowę wrót i patrzeć, jak postać jej uwija się zręcznie w półcieniu, gdzie niekiedy jawiła się tylko kochana twarzyczka w miękko zatartych konturach, podczas gdy Hanna nakładała uździenicę na niespokojną głowę konia, w czym niby pomagał, a raczej przeszkadzał pełen gorliwości Janek. A już nastraszyła się naprawdę, gdy chłopiec wpełzł pod brzuch niedźwiadka i począł go ciągnąć za przednią nogę, zaplątaną w postronek.

Koniki nie są wprawdzie złośliwe, ale bądź co bądź są to nierozumne stworzenia, które nie zastanawiają się, co robią, gdy kopią nogą, więc zawsze wskazana jest ostrożność.

Kiedy już nasypała do żłobów siewkę i weszła z owsem do przegrody konia, zwierzę tak łakomie sięgnęło ku skrzynce z ziarnem, że musiała zebrać wszystkie siły, by odsunąć na bok natarczywy łeb. Ale podczas tej walki niedźwiadek wetknął nagle swój łeb poza dzielącą ściankę i parszającymi chrapami dotknął jej karku, tak że przerażona krzyknęła głośno. Teraz wszyscy troje zaśmiali się serdecznie przy akompaniamencie rżenia koni i wesołego naszczekiwania Hektora, który siedział na progu i przyglądał się, jak pan jego przygotowuje się do wędrówki w las. Wreszcie Hanna, rozdawszy kucom kilka mocnych kulaków i serdecznych klapsów w krzyże, ocaliła się z niebezpieczeństwa, tracąc jedynie czapeczkę i unosząc na plecach strzępy piany. Nie zasmuciła się tym bardzo, bo sukienka, chociaż nowa, nie doznała zbyt dotkliwej szkody, czapeczkę zaś wywojował Janek bez trudności, gdy niedźwiadek się przekonał, że pod względem smakowitości nie zastąpi owsa.

Już dawno młynarz nie śmiał się tak szczerze. Był to naprawdę serdeczny śmiech, tryskający ożywczo z urodzajnej gleby uczucia. Śmiejąc się jeszcze aż do łez, wziął sękaty dąbczak, który podał mu leśniczy. Ten wsadził w usta drewnianą fajkę i przewiesił strzelbę przez ramię. Młynarz odmówił przyjęcia cygara, chciał odetchnąć leśnym powietrzem. Obaj przyjaciele poszli różno naprzód, najpierw koło dąbrowy, wzdłuż błyszczącego Sundu, potem zбочyli w prawo na drogę zagłębiającą się w chłodny, wilgotny cień lasu.

Hektor biegł jak dobrze wychowany pies myśliwski za nogą swego pana.

Młynarz zsunął kapelusz na tył głowy, machnął laską ze świstem, przecinając powietrze i zagwizdał piosenkę. W duszy grała mu dziwna radość. Ten las kochał całą siłą swej, bynajmniej nie małej, miłości przyrody — bezpośredniej, w zwykłych okolicznościach życia niemal nieświadomej, jaką przejawiają zamknięte w sobie natury ludzkie, nieposiadające literackiego wykształcenia. Podobnie jak staw chmurzy się pod stropem burzliwego nieba, a śmieje się, gdy zawisną nad nim rozslonecznione obłoki, tak i uczuciowość młynarza przybierała łatwo barwę otoczenia.

Już przed paroma godzinami, gdy wszedł w las, wiodąc Janka za rękę, pierwsze oznaki wspaniałej jesieni, jej bujność, rozświetliły jego serce niby uroczyste powitanie; potem zgromadziło się w sercu tyle innych dobrych i miłych wrażeń aż do tej zabawnej i wesołej sceny w stajni, sceny, której echo śmiało się jeszcze w jego duszy, że miał wrażenie, jak gdyby zabłądził w labiryncie i nie mógł znaleźć wyjścia.

Wśród tej swobody, jaką tchnął las, dusza jego promieniowała teraz tym większą radością, ponieważ długo pozostawała pod uciskiem, który w chwili obecnej był niby wymazany z pamięci. Wprawdzie pomiędzy Lizą a nim nie zaszło nic nowego, odkąd pokonana Zajączka Ana ustąpiła z placu boju, ale nastrój w młynarskim domostwie był ciągle przygnębiający niby długi szereg bezsłonecznych, pochmurnych dni, które zakończyły się dopiero dzisiaj jasnym porankiem.

Dlatego też postanowił odwiedzić swych przyjaciół z lasu.

I tu także odczuwał radosną chęć, by nie tylko cieszyć się tym szczęśliwym nastrojem, ale utrwalić go, zmienić z przelotnego gościa w stałego serdecznego towarzysza. Gdyby ten dom stał się jego rodzinnym domem! Gdyby dzięki łasce boskiej mógł rozstać się na zawsze z tą całą gospodarką w młynie! Niechajby Jörgen i Liza gospodarowali sobie w starym młynie na wzgórzu, a on by zamieszkał jako leśniczy z Hanną i małym Jankiem

w domku na lesistym wybrzeżu... Wilhelma mianowałby, mocą człowieka pragnącego niemożliwości, królewskim leśniczym i osadził go w pobliżu...

To były jednak nieziszczalne pragnienia — natomiast istniało coś innego, co można było i należało uczynić.

Zrazu prowadził bardzo ożywioną rozmowę z przyjacielem: o wyrębach, o nowej, małej szkółce drzewek, o jesiennych przetargach i o tej całej pracy, czekającej tu na Wilhelma. Potem stawał się coraz mniej rozmowny: tylko oderwane i niewiele mówiące uwagi świadczyły, że idzie za tokiem myśli leśniczego, który z oburzeniem rozwodził się szeroko o proboszczu z sąsiedztwa. Proboszcz tutejszego kościoła, który abonuje „Politykę”, ateistyczne pismo! Co też młynarz sądzi o tym?

Młynarz, jak się wydawało, niewiele o tym sądził.

— W ogóle ci wszyscy proboszczowie tutaj w Falsterze warci są tego samego! — ciągnął dalej surowy cenzor. — No tak, jest oczywiście proboszcz Magnussen w Tostrup.

— Religijny „grosista”, jak go nazywają chłopci.

— O, łatwo szydzić.

— Nie, oni mówią poważnie. Ponieważ zajmuje się tak żywo misjami w Indiach, więc powiadają, że eksportuje religię. A czy wiesz, co rzekła o nim niedawno jedna starsza kobieta? „Tak, proboszcz jest bardzo osławiony — powiedziała — ale też, co prawda, bardzo się puszcza”.

— Puszcza się! — zawołał leśniczy ze zgrozą. — O tym nie słyszałem!

— Otóż wyraziła się w ten sposób dlatego, że proboszcz jeździ ciągle z jednego misyjnego zgromadzenia na drugie. Wyrażenia „osławiony” użyła zamiast „sławny”... Była to zatem gorąca pochwała! „Osławiony dlatego, że się puszcza!”... Ha, ha!

Młynarz zaśmiał się tak głośno, że las odpowiedział echem; jego dobry humor wylądował się przy tej sposobności. A ponieważ i leśniczy miał poniekąd skłonność do wesołości, więc i on przywodził śmiechowi, chociaż doznawał pewnego wyrzutu, czy to wypada, choćby nawet pośrednio, weselić się kosztem filara misji.

Niebawem też spoważniał znowu i podjął ten sam temat rozmowy:

— Albo nasz własny proboszcz, pastor Schmidt. I on nie jest również bohaterem wiary. Widziałem w dzień pogrzebu Chrystyny, jak zbladł z przerażenia, ponieważ jego kieliszek pękł podczas trącania się.

— Czyżby był tak przesądny? — zapytał młynarz, który nie zwrócił uwagi na wydźwięk tej opowieści.

— No, nie powiedziałbym przesądny. Z dawna jest to fakt stwierdzony, że pęknięcie szkła w chwili trącania się wróży śmierć, sam widziałem naocznie taki wypadek. Ale czy proboszcz powinien się obawiać śmierci? Czy powinien tak czepiać się ziemskiego życia?

Młynarz odpowiedział tylko potakującym pomrukiem. Nastręczała się właśnie pomyslna sposobność — był to niejako most do rozmowy, którą zdecydował się przeprowadzić. I on chciał mówić o tym dniu pogrzebu, przypomnieć słowa, jakie wypowiedział, kiedy rozmawiali nad stawem. Teraz wystarczyło tylko nawiązać: „Wspomniałeś o pogrzebie, a to właśnie przypomina mi” — słowa te zawisły mu już na ustach. Natychmiast jednak przelął się rozstrzygającego kroku — nie wypowiedział słów we właściwej chwili i pozwolił przyjacielowi rozwodzić się dalej nad rozszerzaniem się światowego i niechrześcijańskiego ducha.

Leśniczy przypisał tę zwracającą uwagę małomówność Jakuba niedostatecznie rozwiniętej religijnej wrażliwości. Należało go „obudzić”. Taka przycięzka, zamknięta w sobie natura, a w dodatku boleśnie wstrząśnięta wielką stratą, jest szczególnie czuła i czeka tylko w nieświadomym półśnie na budzące dotknięcie.

Leśniczy szukał jeszcze ciągle stosownego wstępu do takiego dotknięcia, tymczasem jednak doszli już tak blisko do celu wędrówki, że zmuszony był tymczasem odłożyć tę doniosłą akcję.

II

Na skraju lasu, gdzie droga wychodziła między ścianami wysokich, próchniejących buków na otwartą przestrzeń żółtawych ściernisk, wznosiła się strażnica leśna, ukryta poza wysokim i szerokim cierniowym płotem.

Religia, Zabobony, Ksiądz,
Omen, Śmierć

Z daleka już dostrzegli obaj przyjaciele poszukiwanego starego Ole, który kopał w głębi ogrodu. I on także, obdarzony bystrym słuchem jak wszyscy leśni ludzie, posłyszał już ciche skrzypnięcie ogrodowej furtki. Wyprostował swą olbrzymią postać, wbił rydel w ziemię, idąc naprzód wytarł prawą rękę o spodnie, przyglądał grzbietem ręki siwy wąs, zwisający na nieogolonym policzku, aby się możliwie przygotować na przyjęcie, i powitał gości serdecznym uściskiem dłoni. Znał dobrze młynarza ze wzgórza jako najlepszego przyjaciela leśniczego.

— Otóż, mój Ole — rzekł leśniczy, udzieliwszy staremu kilku wskazówek co do zamierzonego przetargu drzewa — będzie to zapewne ostatni przetarg w twojej obecności. Bogu wiadomo, że zasłużyłeś sobie rzetelnie na spokojną starość i będzie ona twoim udziałem. Tam u pana szambelana będziesz wygodnie spacerował i kopał jak tutaj we własnym ogrodzie.

— Święta prawda. Tak, człowiek się starzeje, a to myszkowanie po wilgotnym lesie w jesieni wchodzi człowiekowi w kości... inaczej być nie może, nie potrafimy tego odmienić. A u pana szambelana praca lekka, utrzymanie bardzo dobre... odkąd umarła moja stara i muszę sam kłopotać się o siebie, nie dzieje mi się tu dobrze... chociaż jestem trochę przywiązany do starego domostwa, czemu nie przeczę... Ale na ogół bardzo by mi to dogadzało... Tylko niech mnie dia...! Wybacz pan, panie leśniczy, wiem, że pan tego nie znosi... i słusznie... zła nawyczka... stara, żołnierska nawyczka... ale niech mnie ten czy ów porwie w tej świętej chwili ze skórą i włosami, jak stoję i chodzę!...

Było widoczne, że pocziwy starowina szuka w wyczerpujących, dobitnych wyrażeniach pewnej satysfakcji za chodzenie po manowcach, by ominąć nazwę diabła w tym towarzystwie. Jednocześnie spoglądał tak srogo, że młynarz roześmiał się i zaręczył, iż musiałby to być zuchwały diabeł, który by się odważył wziąć go za słowo.

— Nie, nie... nie będę się bronił, niech mnie spokojnie bierze — uśmiechnął się stary, uradowany żartem młynarza. A potem, gdy już zmienił uśmiech na wojowniczy wyraz twarzy, poparty jeszcze szarpaniem wąsów, kończył:

— Niech mnie spokojnie bierze, jeżelibym wytrwał tutaj na szafku do ostatniej kropli krwi... stary żołnierz... gdybym był przeczuwał, komu ustępuję miejsca.

— No, no, Ole! Cóż to możesz zarzucić Janowi Jensenowi?

— Janowi Jensenowi nic... albo bardzo niewiele.

— A przecież to już postanowione, że właśnie Jan Jensen obejmie twój posterunek i zamieszka w tym domu.

— Zgoda... dotąd wszystko dobrze, panie leśniczy. Ale któż przyjdzie na miejsce Jana Jensena?

— To jeszcze nie wiadomo.

— Ale ja wiem, o kim myśli pan szambelan.

— Któż to taki?

— Peer Vibe.

— Peer Vibe?!

Dwoje ust powtórzyło to nazwisko, a głos młynarza zdradzał nie mniej zdziwienia niż głos leśniczego.

— Tak, właśnie on — przytwierdził starzec. — „Nie byłoby to wcale głupio posadzić tutaj Peera Vibe”, mówił szambelan, „inaczej wystrzela nam wszystką zwierzynę”. Mówił wprawdzie na wpół żartem, ale ja wiem, co to znaczy, skoro szambelan tak żartuje... znam go od pięćdziesięciu lat... to także stary żołnierz... Dowodził pod Düppel... Tak, tak, panie leśniczy, zobaczy pan, że żart przemieni się w prawdę.

— No to niech go...

Wilhelm połknął przekleństwo, ale kasek był tak twardy, że z powodu wysiłku poczerwieniał.

Ole uśmiechnął się i zerknął ku młynarzowi.

— Ma pan słuszność, panie leśniczy... sam anioł nie wytrzymałby i kląłby... i ja tak sądzę, chociaż nie powiedziałem ani słowa, ale to z szacunku... karność przede wszystkim, zwłaszcza u starego żołnierza...

— Ale to znaczy wprowadzić kozła do ogrodu — oświadczył młynarz.

— No, niezupełnie — rzekł leśniczy, który nareszcie przełknął całkiem kąsek. — *Naszej zwierzyny* nie będzie w takim razie niepokoił.

— Oczywiście, prawda co do joty — potakiwał Ole. — A chociaż nie porzuci swego złodziejskiego zawodu, to istnieją przecie inne lasy, gdzie może chodzić w wolne, księżycowe noce... są lasy koło Skötterup i dalej ku północy lasy królewskie, dokąd wygodnie dotrzeć można.

— Wygodnie! — krzyknął leśniczy. — Tak jest, będzie wygodnie siedział i tu, i tam! A tymczasem niejedyn pocziwy biedak chodzi świątami i szuka posady... choćby skromnej, bo czasy są ciężkie i każdy się cieszy, znalazłszy grunt pod nogami... i nikt z tych biedaków nie dostanie posady, bo ludzie boją się złoczyńcy i chcą go obłaskawić! A potem jeszcze ktoś powie, że to ja popierałem tego łajdaka, o którym krąży pogłoska, że maczał palce w zamordowaniu mojego poprzednika.

Ole przytakiwał z uznaniem i zachęcająco, a jednocześnie zagryzał wąsy i znowu zerknął jednym okiem ku młynarzowi, jak gdyby mówiąc: „No, ten już wypowie wszystko, co mu leży na wątrobie, ten już da bobu szambelanowi! Ani pomyśli o dyscyplinie wojskowej!”.

— I ja miałbym grzecznie milczeć w tym wypadku? — mówił dalej leśniczy (który zupełnie trafnie wytłumaczył sobie to zerknięcie) jeszcze bardziej podrażnionym tonem:

— To moja powinność i mój obowiązek zaprotestować przeciwko takiej niesprawiedliwości.

— Otóż to, panie leśniczy, otóż to... pański obowiązek... nie trzeba pana o tym pouczać, wszyscy to wiemy.

— Nie, nie, Ole, opuścisz ten dom ze spokojnym sumieniem, bo z tego nic nie będzie, póki i ja mam prawo powiedzieć jakieś słówko. Ale uczyniłeś dobrze, donosząc mi o tym, dzięki temu będę przygotowany. No, dobranoc, Ole! Już czas wracać do domu.

Ruszyli z powrotem przez las, nie bacząc na drogi i ścieżki, nieraz torując sobie przejście przez zarośla i młody zagajnik. Wobec tego z trudem podtrzymywana rozmowa rwała się. Ale żaden z nich nie był w tej chwili usposobiony do rozmowy. Na czole leśniczego pozostały zmarszczki; twardy kąsek, jaki przełknął, gniótł go w żołądku. Na twarzy młynarza nie błyszczała już także niedawna radość. Wydawało mu się, że cięć jakiś legł na jesiennym lesie, jeszcze niedawno tak radosnym.

Ten las nie był tylko idyllicznym terenem rozkosznej leśniczówki — był również rewirem kłusownika Peera Vibe, brata Lizy; wydawało się, że jej władza aż tutaj dociera i grozi mu.

Cięć, który legł na lesie, był cieniem młyna na wzgórzu.

Ale tylko podczas zachodu słońca cięć młyna tak się wydłużył, że może kłaść się daleko na las. Czyżby jego słońce już zniżało się ku zachodowi? Czyżby już tak niedaleko była noc, podczas której władają moce ciemności?

Młynarz rozsunął kilka gałęzi i wyszedł na leśną polanę. W odległości mniej więcej stu kroków wznosił się przepojony słonecznym blaskiem gaj świerkowy, pomiędzy pniami drzew migotała niebieskawo ściana domu. Młynarz nie przypuszczał, że doszli już niemal do leśniczówki; tu właśnie było miejsce, gdzie po raz pierwszy ukazała się Jenny. Już wyskoczył naprzeciwko Hektor, głośno naszczekując i obwieszczając ich przybycie. Młynarz, uśmiechając się, odczepił kilka nici pajęczyny ze swej kędzierzawej, ciemnej brody, zdjął czapkę i otarł rękawem parę kropel potu z czoła.

— No, widzisz, bardzo szybko dotarliśmy do domu. — Młynarz wbił głęboko łaskę w miękką ziemię łąki i po chwili rzekł niezwykle uroczystym głosem: — Wilhelmie, czy przypominasz sobie jeszcze tę chwilę w dniu pogrzebu, kiedy wraz z twoją siostrą staliśmy nad małym stawem?

— Oczywiście... pamiętam nawet każde słowo, które powiedziałeś wtedy.

— Dobrze. Otóż wiesz także, co wam powiedziałem o mojej żonie, że moja nieboszczka żona w ostatniej godzinie swego życia myślała o twojej siostrze, myślała z wielkim skupieniem ducha.

— Tak jest, ale nie mówiła o niej.

— Przeciwnie... mówiła, chociaż nie wymieniła dokładnie jej imienia. A potem powiedziałem ci także, że zawiadomię cię, co mówiła o Hannie... skoro nadejdzie właściwa chwila.

— Teraz przypominam sobie dokładnie. A więc... czy ta chwila teraz nadeszła?

— Tak sądzę.

Leśniczy spojrział na niego wyczekująco. Ale zdawało się, że wzrok młynarza grzebie się w miękkiej łące, walcząc z laską o pierwszeństwo.

— Otóż moja biedna Chrystyna pożegnała się już wówczas ze światem. To znaczy, nie myślała już więcej o sobie samej, ale wszystkie myśli poświęciła nam, którzyśmy pozostawali przy życiu. A potem mówiła, że gdybym się ożenił powtórnie... a mniemała, że powinienem to uczynić, albowiem będzie to pod każdym względem najlepiej, zwłaszcza dla dziecka... I gorąco przemawiała mi do serca... takimi pięknymi słowami... że przede wszystkim należy dbać o to, by wziąć za żonę religijną, chrześcijańską dziewczynę...

— Hm... tak... i sądzisz, że myślała o Hannie?

Jakub skinął głową.

— Hm... tak... być może... chociaż tu i ówdzie dokoła nas w niejednej rodzinie, jak sądzę, można znaleźć chrześcijańskiego ducha... co prawda, najczęściej trochę rozrzedzonego pod wpływem tych biorących górę światowych zamięłowań, o jakich mówiliśmy... ale Chrystyna zapewne nie kładła nacisku na tę surowość przekonań... Otóż, jak mówię, tu i ówdzie... więc na przykład rodzina Pawła Jensena w Alslev to naprawdę bogobojna rodzina, a są tam dwie córki w stosownym wieku... także dzierżawca probostwa w Skibby ma bardzo pobożną córkę, która bywa na wszystkich religijnych zebraniach... no, reszta rodziny niewiele warta.

— Nie, nie! — przerwał mu Jakub — nie było to tak nieokreślone, albowiem Chrystyna powiedziała także, że bywają ludzie, którzy okazują w przekonaniach pewną surowość i zbytnią gorliwość, a mówiąc to, miała was na myśli.

— Cóż to znaczy: zbytnią gorliwość? — uniósł się leśniczy. — Czyż my grzeszni ludzie możemy w ogóle...?

— Nie, nie, otóż chciała to powiedzieć, że ja nie powinienem się tym zrażać, ponieważ ci ludzie, jej zdaniem, postępują słusznie.

— Ach tak!

— I w godzinę później usłyszeliście pukanie w okno, właśnie w chwili, kiedy konała w moich ramionach... tego nie można rozmaicie tłumaczyć.

Leśniczy pokiwał poważnie głową i w milczeniu spoglądał przed siebie. To, co mu teraz opowiadał młynarz, stało się niezwykłym potwierdzeniem tego, co on sam przemyślał o duchowym obudzeniu Jakuba. Jeżeli przedwczesny zgon Chrystyny był tą pobudką konieczną, by natura młynarza utraciła swą zbyt ziemską równowagę — to czyż w takim razie właśnie Hanna nie była wybrana widocznie do tego celu, by ostatecznie skierować tę naturę ku dającemu zbawienie przyszłemu życiu i by zaprowadzić jego przyjaciela do stóp Zbawiciela, którego dotychczas tylko ustami wyznawał?

— Jakubie — zapytał wreszcie — czy chcesz, abym powtórzył to Hannie?

— O nie... jeszcze nie teraz... może później. A zresztą uczyn tak, jak uważasz, że najlepiej... Zapytam tylko o jedno... jak sądzisz... czy ona mnie zechce?

— Czemuż by nie? Ceni cię bardzo, a twego Janka także kocha.

— Hm... przyszło mi na myśl... tak w Kopenhadze... tam musiała poznać wielu ludzi bardziej wykształconych aniżeli ja... a ubiegłej zimy bawiła tam znowu...

— Nie, nie... bądź spokojny. Dotąd nie żywi jeszcze zamiarów zamążpójścia. A przecież niebawem już nadejdzie chwila, że odda rękę mężczyźnie, takie już jest przeznaczenie kobiety. A zresztą, widzisz, jeżeli taka jest wola boska, to i ona ją odczuje, ta wola bowiem nie prowadzi na manowce tak jak nasza własna, grzeszna wola, zwłaszcza gdy namiętność ją zaślepi.

Młynarz patrzył w ziemię zawstydzony głęboko. Wiedział aż nadto dobrze, gdzie by zablądziła jego własna, grzeszna wola, zaślepiona namiętnością, i był zadowolony, że leśniczy nie może czytać w jego myśli.

— Tak, w takim razie zostalibyśmy szwagrami, Wilhelmie — odezwał się, nie chcąc zwracać na siebie uwagi milczeniem.

— I nie byłoby to źle, jak sądzę — zaśmiał się leśniczy.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie serdecznie dłonie i szybkim krokiem poszli przez polanę ku gajowi świerków. Tutaj, wśród cienia brunatnych szpilek, płonęły jeszcze ostatnie promienie słońca. Nieprzeliczone suche gałązeczki, tu i tam sterczące z pni drzew, żarzyły się niby szklane druciki, a poprzez utkaną z nich świetlaną siatkę ujrzał młynarz wdzięczną postać Hanny, która wyszła właśnie z drzwi domu, aby się przekonać, czemu mężczyźni nie wracają, skoro Hektor już dawno oznajmił ich nadejście.

III

W czeladnej izbie panowało ożywienie w ten dżdżysty wieczór w środku października. Na końcu stołu naprzeciwko Lizy siedział gość: jej brat, Peer Vibe. Ten mężczyzna, osławiony jako kłusownik w obrębie paru mil (albo też sławny, zależnie od środowiska), nie wyróżniał się bynajmniej sportowym wyglądem. Niskiego wzrostu, nie wydawał się, zwłaszcza gdy siedział, wyższy od siostry. Maska, pod którą ukrywał swój awanturniczy, zuchwały temperament, była dość pospolitą chłopską twarzą, obramioną — wedle miejscowego zwyczaju — brodą, która krótko przystrzyżona poczyniała się od czarnych, przyproszonych już siwizną włosów na skroniach i czerniała gęstszym pęczkiem pod wystającym podbródkiem. Tylko uważny obserwator mógł dostrzec, że w małych, ciemnych oczach, kryjących się pod kępą krzaczastych brwi, kiedy niekiedy migotał nagle ostry, przenikliwy błysk i przygasał natychmiast... błysk, jakiego nie widuje się w oku rozważnie działającego, zwykłego poczciwego wieśniaka. Skóra była ciemna i zniszczona od wiatru. Peer Vibe był tylko o dziesięć lat starszy od siostry, wyglądał jednak raczej na pięćdziesiątkę.

W kącie ust trzymał drewnianą fajkę, ozdobioną wielką rzeźbioną głową i srebrnym okuciem; dym jej mieszał się z dymem „uboższych krewnych”, które dymiły w ustach Jörgena i Chrystiana, rywalizując z sobą, a także z chmurami, które wypuszczał wiejski pyszczek Larsa, kopącego niemal całkiem zetlały ogarek.

„Głupi łobuz” oparł łokcie na stole, a głowę podtrzymywał rękami, jak gdyby się obawiał, że mu się stoczy z karku. Wpatrywał się całą zdolnością widzenia swoich wodnistoniebieskich oczu w tego niezwykłego człowieka, który siedział naprzeciwko w aureoli awanturniczości, niemal rozbójnictwa dokoła zgoła niepozornej, pochylonej głowy — aureoli, która teraz właśnie stawała się prawie widzialna w mdłym blasku tytoniowych chmur, rozświetlonych kuchenną lampą. Albowiem obaj młodzieńcy tak długo błagali go, aż wreszcie opowiedział im parę swych najlepszych przygód. Mówił językiem soczystym, przypieprzonym należycie nie tylko zwykłą myśliwską łaciną, ale również autentyczną kłusowniczą greczyzną.

Dokonawszy tego, Peer wyjął fajkę z ust, splunął w bok przez zęby na podłogę i zwilżył wysuszone mówieniem gardło potężnym łykiem z glinianego dzbana, stojącego przed nim na stole.

— Nie ma lepszego piwa, Lizo, aniżeli to, które ty sama uwarzysz — oświadczył, wycierając usta grzbietem dłoni. — Ono całkiem inaczej pachnie. Chmielem.

— Tak, ale teraz nie mam na to czasu — odpowiedziała Liza, nie przerywając robienia pończochy.

— No, myślę. Kręcisz się tutaj i zamęczasz się od świtu do nocy... Na co się to przyda? Gdybyś chociaż w zamian za to upuściła młynarzowi trochę krwi z kieszeni.

— To nikogo nic nie obchodzi, Peerze.

— Bogu wiadomo! — wtrącił Chrystian. — I tak by nie przepłacił, choćby ci dodał jeszcze połowę płacy. Ale on był zawsze sknerą.

— A jeżeli ja sama nie domagam się więcej, ty plotkarzu! — mruknęła Liza. — Ciebie to przecie nie dotyka.

— Wiesz chyba, że zawsze życzę ci jak najlepiej, Lizko — uśmiechnął się rudy parobek.

Jörgen milczał i ćmił spokojnie fajkę, bębniąc obojętnie palcami w stół i tylko czasem zerkając skrycie ku Lizie: „już ja wiem, dlaczego”.

Ale mały Lars był najwidoczniej rozczarowany, że rozmowa zawraca na praktyczne i codzienne tory, bo palnął niespodziewanie:

— Czy to prawda, że był pan przy tym, kiedy zabito poprzedniego leśniczego?

Jeden z owych szybkich błysków wystrzelił spod gęstych brwi i ugodził chłopca za niewczesną ciekawość tak mocno, że ogarek papierosa wypadł mu z ust. Powędrował za nim pod stół, a potem musiał jeszcze strzepać żarzący się popiół ze spodni, gdzie już wytłala mała dziurka. Czerwony jak rak wynurzył się wreszcie spod stołu; zacerwienił się jeszcze bardziej, gdy obaj parobcy przywitali go głośnym śmiechem; był bliski płaczu, gdy Liza spojrzała nań karcącym wzrokiem.

Peer Vibe udał, że nie zauważył wcale tego epizodu. Jego przygasłe spojrzenie pomknęło ku niskiej powale i zatrzymało się tam z roztargnieniem, jak gdyby zainteresowane współśrodkowym systemem kół świetlnych, jakie lampa rzucała na pobrudzone wapno.

— Ach tak, stary leśniczy! — odezwał się, jakby rozmawiał z powalą i drżącymi kołami światła. — Czego też ludzie nie wymyślą... Pocziwy, stary Michelsen, niech Bóg będzie łaskaw jego duszy, umarł całkiem spokojnie na własnym łóżku... o tym proboszcz wie najlepiej... Pastor Schmidt był zbudowany jego śmiercią, chociaż Michelsen bynajmniej nie odznaczał się taką świątobliwością jak obecny leśniczy... „Błogosławiona śmierć” powiedział proboszcz, a on zna się na tym.

Jörgen zachichotał, jak gdyby w tych słowach krył się szczególnie udany koncept. Nie zakłopotał się też wcale, chociaż Liza zmarszczyła czoło.

— To prawda, Peerze... Michelsen umarł we własnym łóżku. Ale umarł po... jakby to powiedzieć... po zderzeniu się.

Peer Vibe potrząsnął z powątpiewaniem głową, dokoła której czarnych włosów zaświeciła rozbójnicza aureola, a potem wpatrując się jeszcze ciągle w drgający blask lampy na powale, mówił łagodnym głosem:

— Tak, tak, czas leci! Taki stary człowiek! I po co to biegać w nocy po lesie? I to jeszcze w mglistą, jesienną noc... to nigdy nie wychodzi na zdrowie... nie, nie... to szkodzi nawet nam, a cóż dopiero takiemu staremu człowiekowi.

— I to zapewne także mgła grzotnęła go w kark kolbą strzelby? — spytał Chrystian szydyczko i przycesał rude włosy palcami, chcąc nadać sobie naiwny wygląd po tym zuchwałym ataku, którym sam się trochę nastraszył.

— O nie... mgła podstawiła mu tylko nogę i rozbił sobie głowę o pień drzewa — powiedział Lars, który znowu nabrał odwagi i łaknął zemsty: „teraz zapędziłem go w koki róg... teraz dostanie za swoje z nawiązką!”

— Ano, skoro lepiej znać tę historię! — mruknął Peer zgryźliwie. — Ja tam nic nie wiem... Nie maczałem w tym palców... myślałem jedynie o ukryciu kozła. — I zaczął wypukiwać popiół z fajki.

— Tak, niejedno się przeżywa w ciągu roku w pańskim... fachu — wtrącił ostrożnie Jörgen, widząc, że Peer kłusownik nie chce się dalej rozwodzić na ten temat.

— He, he... nie można się skarżyć — przyświadczył przedstawiciel wątpliwego fachu, zachłystując się lekko śmiechem. — Wydarza się to i owo.

Wypowiedziawszy tę zaciekawiającą zapowiedź, naładował na nowo z drobiazgową dokładnością fajkę tytoniem z małego skórzanego woreczka. Potem jeszcze odpoczął przez chwilę, zapalił należycie fajkę i zaczął mówić, pykając:

— Na przykład... he, he... kiedyś... nie tak dawno... pyk... może przed trzema tygodniami... tak, tak, przed trzema tygodniami... kiedy... pyk, pyk... kiedy pełniłem mój fach... — wyrzekł to słowo, kiwając głową ku Jörgenowi jakby z uznaniem za użycie dyskretnego i chlubnego określenia. — ...He, he... jak sądzicie... co wykryłem?... Tak, tak, to dotyczy was wszystkich... pyk, pyk... Otóż wykryłem, kto tu będzie młynarową!

Liza i Jörgen porozumieli się szybkim spojrzeniem.

— Do diabła! — wybuchnął Chrystian.

— He, he, cóż mi dacie za wyjawienie sekretu?

— Co damy?! — zakrzyknął Lars, który zerwał się z płonącymi policzkami i zaledwie zdołał panować nad sobą, bo teraz istotnie nadeszła jego wielka godzina, chwila tryumfu i odplaty za lekceważenie: — Co damy za to?... Nic nie damy!... Wiemy już sami: Hanna leśniczanka! Dawno to już mówiłem... w dzień pogrzebu powiedziałem: „Młynarz spoglądał na nią tak dziwnie w bramie cementarnej, on się z nią ożeni!”. Powiedziałem! Wszyscyście to słyszeli!

— Tak jest! — potwierdzili wezwani na świadków.

— No, no!... A ja sądziłem, że to wielka nowina.

— Widział ich pan zapewne oboje w lesie?

Peer skinął głową.

— Zgadza się znakomicie... Zwłaszcza, że raczej las jest moim terenem obserwacyjnym aniżeli cmentarz... gdzie człek i tak na czas się dostanie... Więc widziałem ich w lesie... Była to bardzo piękna noc księżycowa w trzecim tygodniu września... wymarzona pogoda dla kłusowników i dla zakochanych.

To zestawienie wzbudziło grzmiący śmiech. Tylko Liza nie brała udziału w hałaśliwej wesołości, podobnie jak Pilatus, który spał na jej łonie i którego łaskotała drutem.

— Czy się całowali? — zapytała.

— Niewątpliwie tak było, ale nie mógłbym twierdzić, że widziałem to, aczkolwiek znajdowałem się dosyć blisko. Przez chwilę stali obok miejsca, gdzie leżałem w rowie pod krzakami jeżyny... cicho jak mysz, albowiem nie życzyłem sobie spotkać się z nimi.

— Łatwo zrozumieć! — zaśmiał się Chrystian.

— No, nie groziło mi właściwie niebezpieczeństwo. W owym momencie nazbyt zajmowali się sami sobą, aby zwrócić na mnie uwagę! Zresztą zachowywali się strasznie przyzwoicie i uroczyście. Dziewczyna mówiła o Bogu i o grzeszności ludzkiej woli... niby proboszcz z kazalnicy... a on odpowiadał „tak” i „amen”... niby zakrystian. Prosił ją także, aby po powrocie do domu zagrała mu znowu ten piękny psalm, który przygrywała mu już poprzednio... tak, tak... po prostu nabożeństwo, bardzo budujące dla mnie, ponieważ tak rzadko chodzę do kościoła.

— To bardzo głupi sposób zachowania się... zwłaszcza w noc księżycową! — zaśmiała się szyderczo Liza, ale w głębiach tego śmiechu drżała ostrym dźwiękiem tajemna złość, a metalowe druty do pończoch dzwoniły w jej rękach.

— Znałem również weselsze sposoby wyrażania miłości — przytwierdził jej brat.

Ogólny śmiech nagrodził to powiedzenie.

— Słuchaj no, Peerze — zapytała Liza po krótkiej przerwie — czy ta oswojona sarna była z nimi?

— A jakżeby nie! Szła drózką i szczypała trawę. Niekiedy podchodziła do mnie tak blisko, że mógłbym ją szturchnąć lufą strzelby.

— Znam takiego, którego świerzbiałały palce — zażartował Chrystian.

Zaczęli się śmiać bez końca. Ten obraz był niesłychanie komiczny: kłusownik, obok którego pasie się sarna całkiem bezpiecznie, i para zakochanych, rozprawiająca o grzeszności ludzkiej woli.

Ale szczerze i serdecznie śmiali się właściwie tylko obaj parobcy i chłopak. Peer niebawem przestał się śmiać, doznał bowiem niemiłego uczucia, że ta głośnie wesołość odbywa się jego kosztem. Liza prawie w ogóle się nie śmiała. Zaczerwieniła się i zmarszczyła czoło. To było przecież najkrwawsze szyderstwo losu. Brat ukryty w rowie, pełen śmiertelnej trwogi, że Jenny zdradzi jego obecność — czyż ten obraz nie był doskonałym symbolem zwycięstwa leśniczówki i porażki kłusowniczej rodziny Vibe?

— No, zbliża się czas, by pomyśleć o powrocie. — Peer przerwał wreszcie wesoły nastrój.

Owinął trzykrotnie szyję długim wełnianym szalem i zapiał kubrak. Potem na nowo zapalił fajkę, wziął czapkę i sękatą lagę i pożegnał się.

— Dobranoc wam wszystkim!

Liza wyszła z nim przez kuchnię do małej, zupełnie ciemnej sionki.

— Czy pamiętasz, Peerze, co mi przyrzekłeś?

— Tak jest. Ale przy *tej* okazji nie mogłem tego uczynić.

— Oczywiście... ale skoro tylko będzie można.

— Tak, tak... chociaż, co prawda, bardzo źle wybrałaś porę, Lizo! Teraz trudno dostać zwierzę przed lufę; w jesieni przebywa ciągle w pobliżu domu. Zresztą niech mnie diabli porwą zaraz tutaj, na tym miejscu, jeżeli rozumiem...

— Mówiłam ci przecie, że chcę dostać obrózkę.

— Ach, czyż taka obróżka jest dużo warta? Odrobina chińskiego srebra... może dzwonek jest z prawdziwego srebra, bo tak ładnie dzwoni... ale do kata...

— Ale ja *chcę* ją mieć!

— Dobrze! Gdy się babie czegoś zachce, wszyscy diabli nic nie pomogą, znamy się na tym.

— Zrobię ci trzy pary skarpetek z najlepszej wełny.

— No, przydadzą mi się niedługo. Tak, tak, rób skarpetki! Dobranoc!

— I jeszcze jedno, Peerze — Liza przytrzymała go za rękaw — proszę cię, byś i nadal zwracał uwagę na tę parę. Najczęściej w niedzielę chodzi do nich... nie w każdą niedzielę, ale rzadko w dzień powszedni.

— Owszem, jeżeli ci to sprawi przyjemność.

— Wielką przyjemność, Peerze. Teraz niebawem znowu będzie pełnia... a nie jest jeszcze zbyt zimno...

— Dobrze... będę ich śledził, jeśli się uda. Dobranoc, Lizo!

— Dobranoc, Peerze.

Liza poszła do swej izby, zapaliła łojówkę (bo na zbytek stearynowej świecy sama sobie nie pozwalała) i usiadła na łóżku.

Przemyślała nad tą *idée fixe*, która dzięki odwiedzinom brata odżyła w niej na nowo. Ale w tej chwili istotnym celem było już nie mistyczne wyobrażenie siły, którą chciała odebrać swej rywalce, zadając śmierć biednej Jenny — nie, teraz ożywiało ją na wskroś realistyczne pragnienie, by zadać dotkliwy ból tej, której nienawidziła. Albowiem w głębi jej duszy szalała wściekła nienawiść ku tej pozornie świętej czarownicy, która siedziała w swej leśnej samotni i kusila ku sobie młynarza Lizy, przyciągała go pobożnymi słowami, spływającymi z jej wyćwiczonych w powtarzaniu Biblii warg niby słodka trucizna w ucho, pętała go miękkimi melodiami psalmów, wyczarowując je biegłymi palcami z fortepianu. Ten instrument i sztuka grania na nim wydawały się Lizie jakimś na wpół magicznym zaklęciem.

Zauważyła to dobrze, że młynarz w ciągu ostatnich dwóch miesięcy coraz bardziej i bardziej wymykał się spod jej wpływu... Ta scena w lesie i ta podsłuchana przez jej brata rozmowa rozpały swym księżycowym promieniem i blaskiem pobożnego marzycielstwa nowe światło, które rozświetliło nagle długi, ciemny okres między jej ostatnim wałnym zwycięstwem, gdy odparła ukryty atak matki Smoka, a chwilą obecną, między ową chwilą tryumfu, kiedy stała w rozświetlonym sadzie i radośnie czuła, jak z jej pełnych, wystawionych na pokaz kształtów przepływa ku niemu niby jakiś fluid i przenika go dreszczem, tak że musiał odwrócić od niej oczy i szybko się oddalić, by nie paść natychmiast w jej otwarte ramiona — od owej chwili aż do obecnej, kiedy wymknął się jej zupełnie, gdy rozdzieliła ich jakaś niewidzialna ściana, tak że nie mogła już zajrzeć ani w głąb jego istoty, ani pobudzić w nim uczucia.

Wskutek tego oddalenia młynarz stanął jakby w wabiącym blasku niedosiężnego ideału; w podnieconej wyobraźni Lizy zrodziła się poniekąd iluzja miłości. Naprawdę była to tylko obawa, że nie zdoła zdobyć tego gorąco upragnionego miejsca młynarki, oraz gniew, że wyrwano spod jej władzy człowieka, którego uważała już za swego więźnia — oba te uczucia przybrały w jej oczach kształt zakochania się. W równaniu swej tęsknoty podstawiała „młynarza” w miejsce „młyna” i oto po drugiej stronie znaku równania pojawił się rezultat: nieszczęśliwa miłość. I kiedy siedziała tak w mdłym świetle łojówki, a lzy zawodu kapały jej na łono, była zupełnie podobna do nieszczęśliwej, opuszczonej dziewczyny, której własnego młynarza porwała chytra pannica, biegła w wyszukany kunszt uwodzenia — w kunsztu całkiem nieznanym jej prostemu, chłopskiemu rozumowi.

Czyż ta pannica nie zasłużyła na najgłębszą nienawiść? — Pragnęła ugodzić leśniczkę w najbardziej bolesny punkt, w małą, ulubioną Jenny, a myśl o łzach Hanny z tego powodu dała jej takie zadowolenie, jakie daje krzepiący napój człowiekowi w gorączce.

Ale Liza była nazbyt praktyczną naturą, by się tym zadowolić i poić się jedynie bezpłodnym wyobrażeniem zaspokojonej żądzy zemsty. Kiedy zgasła światło i zwinęła się pod pierzyną, długo nie mogła zasnąć, grzebiąc się w rozmaitych mniej lub więcej określonych pomysłach, jak by rozpałić jasnym płomieniem żar, który zapewne tlił się jeszcze pod popiołami w fałszywym sercu młynarskim.

IV

Było południe.

Przez małe, brudne szybki październikowe słońce wdzierało się jaskrawym światłem na najniższe piętro młyna. Ciasna przestrzeń była naokół zapchana workami. Żłocisty pył mączny, drgający w promieniach słonecznych, wirował ciągle na nowo gwałtownym ruchem, ilekroć Jörgen odstawiał napelniony worek spod drewnianej rynny zbiegającej z góry. Wiózł on worek na taczce po zakurzonej na biało podłodze ku wielkiej, niezgrabnej wadze, stojącej obok słonecznego okna, i tam wyładowywał go. Po zapisaniu ciężaru w księdze, przesuwając worek energicznym ruchem ku linie, zwisającej poprzeczną się w powale zapadnię. Wszystkie te czynności wprawiały obficie rozprószony naokół pył mączny w szybkie drganie, a oprócz tego zwiększały ciągle ilość drgających cząstek. Zwłaszcza gdy Jörgen zawieszał na żelaznym haku pod rynną pusty worek, mąka sypała się, rozkurzała i rozpylała z wszystkich szczelin i kącików rynny; wydawało się, że poprzez skośny świetlany słup, wpadającego oknem słonecznego blasku, przelewa się chaos błyszczących, żłocistych atomów i wiruje gdzieś w dal, w jasność, ku samemu słońcu.

Jörgen pracował samotnie. Lars był zajęty na wyższym piętrze, gdzie obsługiwał żarna i odbierał worki ekspediowane na górę przez Jörgena. Majster dozorował jego pracę, ostrząc jednocześnie kamień młyński z pomocą młotka.

Jörgen samotnie poruszał się wśród worków, nosząc w sercu swą nieszczęśliwą miłość. Albowiem nie posunął się ani o krok naprzód od owego pięknego sierpniowego wieczoru, kiedy to sądził, że już dociera do celu. Liza była nieprzystępna od owego czasu. Zawsze przysyłała wieczere przez Larsa, podczas gdy dawniej często przynosiła ją sama na górę. Wbrew dawniejszym zwyczajom sprzątała teraz izbę młynarskich parobków w tych godzinach dnia, kiedy Jörgen pracował na piętrze żarnowym i bezwarunkowo nie mógł zejść na dół. A jeśli nawet udało mu się niekiedy spotkać ją samą, nie pozwalała się dotknąć i cedziła słowa jak sylaby z elementarza.

Dwa miesiące — i ani kroku naprzód! Czemuż nie przeczuł tego wówczas, kiedy pocałowała go tam, na piętrze żarnowym, a on stał jak poczciwy głupiec, przyjmując łaskawie pocałunek, nie ośmielając się przycisnąć jej do piersi, nawet potem niczego nie przeczuwał, gdy troskliwie szczotką czyściła ślady mąki, nie biorąc tego za dowód obojętności. Widocznie chciała ukryć mączne ślady zuchwałości? Ten szacunek został, oczywiście, błędnie zrozumiany. Liza wytłumaczyła mu, że takie to już są kobiety: zabraniają czegoś, a jednocześnie pragną tego samego!

To powszechnie prawo kobiecej psychologii wydedukował już Jörgen ze swego kalendarzowego romansu. Ale czyż wyczytał z tej skarbnicy życiowej mądrości, żeby Hjalmar stał nieruchomo jak ołowiany żołnierz i żeby pozwalał się całować, ani drgnąwszy z obawy, by nie poplamieć sukni panny Metty? No tak, Hjalmar ubierał się zawsze w aksamity i jedwabie, nosił rękawiczki z bawolej skóry — tak, pod tym względem nie obawiał się utrudnień!

Te głębokie rozważania coraz natarczywiej zakłócała prozaiczna myśl, że byłby już czas zająć się jedzeniem. Czy młynarz nie zejdzie nigdy stamtąd z góry?

Ale jeszcze ciągle brzmiał głuchy chrzęst żaren, a nieustający, miarowy stuk młotka o kamień rozlegał się ze spotęgowaną wyrazistością, kiedy zapadnia w powale otwierała się, by przepuścić wędrujący w górę worek.

Potem zaskrzypiały schody wiodące z magazynu na najniższe piętro. Czy to może Chrystian szedł zawołać ich do stołu?... Albo może...

Jörgen stojący przy kantorku obok okna i zapisujący do książki wagę worka, spojrzawszy z natężoną uwagą w ciemny kąt, gdzie znajdowały się schody.

Ponad wałem worków wynurzyła się głowa Lizy. Niosła na tacy trzy talerze, a widok pieczonej szperki i pięknych, rozpękniętych jak pąki kartofli byłby uradował oczy Jörgena, gdyby nie to, że cała jego uwaga ześrodkowała się na niosącej te dary boże postaci. Z rozkoszą tylko wdychał zapach tłuszczu, który bardzo mile mieszał się z wonią mąki.

— Jak to? Nie zejdziemy dzisiaj na obiad?

Podszedł ku niej i mimo woli mówił szeptem.

— Młynarz powiedział, że ma dużo roboty i że woli zjeść obiad w młynie... Wobec tego i wy także nie możecie grymasić.

— O, mnie się to bardzo podoba, skoro ty sama tak uprzejmie tu przychodzisz — odpowiedział Jörgen i ujął ją pod brodę, wciskając kciuk w głęboki dołek.

Liza nie mogła się sprzeciwić, ponieważ trzymała tacę w obu rękach, a stłoczone worki nie pozwalały uskoczyć w bok.

— Trzymaj łapy przy sobie! — warknęła i zmarszczyła czoło, ale raczej figlarnie niż gniewnie. A oczy jej śmiały się tak łajdacko, że młodzieniec przypomniał sobie żywo prawidła psychologii kobiecej.

I ona przemawiała szeptem, nie chcąc, by posłyszano jej słowa na piętrze żarnowym, gdzie ciągle odzywał się nieustanny stuk młotka.

Jörgen napawał się rozkoszą tej sytuacji właśnie dlatego, że gospodarz był tak blisko i ciągle dawał znaki swej obecności.

— Nie, nie Lizko! — odpowiedział i jeszcze serdeczniejszą pieszczotą dłoni ogarnął cały miękki policzek — to byłoby trochę nudne.

— No, a to nie byłoby nudne, kiedy niedawno pocałowałam cię dobrodusznie, a ty stałeś jak grzeczne dziecko, bojąc się ruszyć palcem?... Ilekroć o tym pomyślę, śmiech mnie porywa i przez pół godziny kolki kłują mnie w boku... Ale czemu zabierasz tacę? Czy nie wystarczy ci twoja własna porcja?

— Nie, dzisiaj mi nie wystarczy — odparł Jörgen i odebrawszy z jej rąk tacę, postawił ją na najbliższej górze worków.

Potem, aby zilustrować swoje słowa, pochwyił wpół udającą przestרח dziewczynę, przycisnął mocno do siebie i wycałował ostro.

Liza, chętnie czy niechętnie, przyjęła to w każdym razie bez głośnej demonstracji, ponieważ nie chciała zdradzić swego postępku górnym sferom.

Podczas gdy Jörgen upajał się tymi pocałunkami, które dla jego budzącej się męskości były potwierdzeniem prawdy słów, że rozkoszniej jest dawać aniżeli brać, stuk młotka rozbrzmiewał ciągle z równomiernością beznamiętnej pracy. I parobek błogosławił tę bliską obecność majstra, której zawdzięczał swoje zwycięstwo.

— Tak — rzekł Jörgen, wypuściwszy ją wreszcie z uścisku i łapiąc chciwie powietrze w płuca — teraz odpłaciłem ci, chociaż długo trzeba było na to czekać.

— Jesteś po prostu potworem — boczyła się Liza. — Oto skutki zbliżania się do ciebie!

I spojrzała wzrokiem pełnym wyrzutu najpierw na Jörgena, a potem na swoją suknię.

— Przyniosę prędko szczotkę.

— Nie, nie! Nie szkodzi... dzisiaj nie pada.

— Ależ... zaczekaj... przecie tak nie można... Lizo... słuchajże!...

Ale Liza, która weszła już na kilka schodów, odwróciła się tylko i gwałtownym ruchem dała mu znak, aby milczał.

Patrzył na nią przerażony... Tak przerażony, że nawet widok jej łydek nie sprawiał na nim wrażenia.

Czy diabeł opętał tę dziewczynę? Co się z nią dzieje? Czy wycałowałem jej cały rozum z głowy?... Chce stanąć przed majstrem w *tym* stroju... Ależ wypędzi nas oboje... a przynajmniej mnie, co byłoby jeszcze ładniej! Bo ona oczywiście wyłga się... kobiecym sprytem (było to trafne wyrażenie z kalendarzowego romansu). Ona zwali na *mnie* całą winę, chociaż i sama okazywała wielką ochotę...

Podczas gdy takie myśli wywoływały gorące poty na czoło zuchwałego złodzieja całusów, Liza stanęła przed młynarzem, który siedział na kamieniu młyńskim wewnątrz żarnowego piętra. W prawej ręce trzymał duży młot zakończony szerokim, ostrym dziobem. Młotkiem tym uderzał w wyżłobienia, które od środkowego otworu osiowego rozbiegały się krzywymi drózkami ku brzegom kamienia. Z twardej masy piaskowca odpryskiwały drobne kawałeczki. Nie przerwał swej pracy ani nie obejrzał się, gdy Liza postawiła obok niego na kamieniu talerz i odezwała się: „Życzę dobrego apetytu!” Podziękował jej tylko opieszalym skinieniem głowy.

— To nadzwyczajne! Czyż kamień młyński tak wygląda? To wydaje się jak gdyby sztucznie¹⁵ wyrobionym wzorem... Patrząc na te kręte wyżłobienia, doznaje się wrażenia, że wszystko obraca się dokoła, po prostu mąci się w głowie.

Młynarz uśmiechnął się i spojrział na Lizę. Natychmiast spojrzenie jego stało się twarde i nieruchome, a twarz zarumieniła się gniewem.

¹⁵sztucznie — tu w daw. znaczeniu: artystycznie; zgodnie z regułami którejs z sztuki. [przypis edytorski]

Liza, idąc w ślad za jego spojrzeniem, popatrzyła na swoją suknię.

— Ach, mój Boże! Jak ja wyglądam!... To straszne! Człowiek potyka się o te worki na każdym kroku. Ile razy tam wejść, muszę potem przez pięć minut czyścić ubranie.

Obejrzała się w stronę Larsa i odnalazła go niebawem obok żaren. Wspinając się na palcach, wydłużając komicznie swoją postać i wytężając ostatek sił, wysypywał do komory na ziarno zawartość worka.

— Larsie, masz tutaj jedzenie! — zawołała zuchwale.

Potem bez zakłopotania powtórzyła przyjaznym tonem: „Życzę dobrego apetytu, panie majstrze!” — i zeskoczyła zręcznie nogami okrytymi niebieskimi pończochami po stromych schodach na dolne piętro, gdzie czekał na nią Jörgen.

— Czy powiedział coś?

Chociaż szeptał bardzo trwożliwie, położyła mu rękę na ustach, potrząsnęła głową z szyderczym uśmiechem i wymknęła się.

Że jednak majster, chociaż nic nie powiedział, zobaczył i zrozumiał wszystko — to sobie Jörgen uświadomił, kiedy młynarz w parę godzin później zeszedł na dół. Najpierw zganił niezręczne i nieporządne ułożenie worków: można by tu umieścić jeszcze dużo worków bez trudności i nie trzeba by tak szybko windować ich na górę. Jeszcze gwałtowniej zabrzmiały słowa, gdy młynarz zauważył szparę w rynnie doprowadzającej mękę: dokładnie widać, że deska pękła nie dzisiaj ani wczoraj, należało już dawno naprawić to uszkodzenie. Jest obowiązkiem Jörgena zwracać na to uwagę, ale jego oczywiście to nic nie obchodzi!

Potem młynarz podszedł do kantorka, przerzucił kartki księgi i oświadczył, że pismo jest nieczytelne.

— A cóż to tutaj leży?

Jörgen, który markotnie stał z boku i milcząc znosił przeciągającą nad jego głowę burzę, obejrzał się leniwie. Tym przedmiotem, który młynarz już trzymał w ręku, był — o rety! — jego ukochany kalendarz, otwarty właśnie na okrutnym obrazie, przedstawiającym panią Mettę w wieży tortur, rozebraną przez brutalnych katów celem bolesnego przesłuchania. „Stała w jaskrawym blasku pochodni, usiłując nadaremnie zakryć dumną nagłość swymi kruczoczarnymi włosami” — objaśniał tekst. Ilustrator widocznie starał się podkreślić szczególnie tę daremność usiłowań, a kruczona czerni włosów uwidaczniała się doskonale dzięki farbie drukarskiej znacznie lepiej niżeli ognistoczerwona fala włosów na innych obrazach, albowiem Metta zmieniała barwę włosów w toku opowiadania z niewiadomych przyczyn, a może dlatego, by ponura barwa symbolizowała zwrot w biegu wypadków.

— Otóż to: romans kolportażowy... świństwa... i dlatego zaniedbuje się pracę!

— To mój kalendarz, panie majstrze... Chciałem zobaczyć zeszłoroczne ceny zboża i porównać je z tegorocznymi.

Młynarz spojrział szybko na okładkę. Był to istotnie kalendarz i zawierał ceny zbóż z ostatnich lat, co obwieszczały tłuste zgłoski w spisie rzeczy. Oczywiście, był to tylko kłamliwy wykręt Jörgena, ale cóż można by na to odpowiedzieć?

Ale...

Kalendarz Jörgena! Ale jakież to bolesne wspomnienie zbudziły te słowa, a bardziej jeszcze widok okładki kalendarza, gdzie na ciemnoniebieskim tle widniał noworoczny anioł w wieńcu złotych gwiazd? Czyż nie zauważył w wigilijny wieczór, że Liza wetknęła w rękę uszczęśliwionemu Jörgenowi jakąś książkę? I czyż to nie był właśnie ten kalendarz, nie coś innego?

I właśnie dzisiaj znalazł go tutaj!

Jörgen wspomniawszy również ową chwilę, kiedy otrzymał ten cenny dar. Czy majster zauważył to wówczas? Prawdopodobnie. On także myśli teraz o tym! Że też kalendarz właśnie dzisiaj wlaź mu w oczy! Teraz będzie wściekły!

Opierając się o kantorek, młynarz studiował ceny zboża, to znaczy otworzył tę stronicę, gdzie była zamieszczona tabela, co Jörgen dostrzegł bez trudności. Ale jeszcze łatwiej dostrzegł, że młynarz wcale nie czyta.

Kantorek stał w okiennej niszy, a słońce świeciło Jakubowi Clausenowi prosto w twarz, tak że musiał przysłonić oczy ręką. W tym oświetleniu ze szczególną wyrazistością malo-

wało się zaczerwienione gniewem jego oblicze, a przyczyną tego gniewu był niewątpliwie kalendarz, nie zaś ceny zboża.

Wściekłym ruchem cisnął Jakub kalendarz na kantorek. Ale zdraziecka książka miała dobrze znaną Jörgenowi nawyczkę: otwierała się właśnie na stronicy z owym okrutnym obrazem. Tak stało się i teraz. Czy to wskutek złośliwości losu, czy wskutek dziwnych asocjacji myślowych artysta tworząc ten ulubiony obraz Jörgena, wyposażył kobiecą bohaterkę rysami, w których można było dopatrzeć się pewnego podobieństwa do Lizy. Jörgen dopatrywał się go zawsze. Teraz wyobraźnia jego zdobyła potwierdzenie: i młynarz zauważył to podobieństwo, wpatrzył się w ilustrację raz i drugi, czerwieniąc się coraz bardziej.

Jörgen zdawał sobie z tego dokładnie sprawę; teraz i on widzi także, że jest podobna do Lizy... nie może oderwać oczu... pragnąłby Lizę taką zobaczyć... („usiłującą nadaremnie zakryć dumną nagość” itd.).

Majster i czeladnik zmierzyl się i przesyli spojzeniem.

— Czemu stoisz z założonymi rękami i gapisz się?! — wrzasnął młynarz na Jörgena.
— Roboty chyba nie brak!

— Wydawało mi się, że chce mi pan jeszcze coś powiedzieć — odparł mrukliwie Jörgen, nie cofając wzroku.

Na ustach młynarza zawisły słowa: „Chcę ci to powiedzieć, abys spakował swoje matki i wyniósł się stąd... im prędzej, tym lepiej. Zapłacę ci wszystko, co ci się należy, ale nie chcę cię jutro widzieć w moim młynie!”

Jörgen czytał te słowa na drżących złością wargach swego majstra. „Teraz wybuchnie, teraz wyrzuci mnie za drzwi!”

Nie dosłyszał wewnętrznego głosu, zaklinającego szeptu z owych głębin życia duszy, którego nie mać codzienna myśl — nie dosłyszał ostrzegawczego wołania z owej jasnovidzącej strażnicy ducha, który wznosi się wysoko ponad prąd czasu — nie dosłyszał głosu napominającego go, aby się nie obawiał tych słów młynarza, aby pragnął ich, wyzwiał je i wyrwał, gdyby utknęły w gardle, aby dziękował swemu Bogu za to, że młynarz wypędza go z młyna, gdzie słyszał już kapanie krwi z piętra na piętro, z tego młyna, skąd o własnej sile nie potrafiłby się wyrwać...

Nie dosłyszał takiego głosu. Nie!

A młynarz zastanawiał się: „Jeżeli go teraz wypędzę, to będzie wszędzie rozgadawał o Lizie i o mnie, dojdzie wieść i do leśniczówki... naopowiada o nas najprzeróżniejszych paskudztw... narażę siebie i ją na plotki...”

I nie dosłyszał mądrego głosu wewnętrznego jasnovidztwa, który doradzał mu, aby się naraził na każdą obmowę, aby skorzystał z tej okazji i wypędził czeladnika z młyna, zanim stanie się coś, czego słowa nie zdołają już odwrócić... aby wypowiedział słowo, dopóki słowo jeszcze wystarcza...

Nie dosłyszał takiego głosu.

Nie!

Jörgen odwrócił się już i przymocował pusty worek do żelaznego haka rynny.

Jakub Clausen zwilżył językiem wyschłe wargi. Słowa, jakie wyrzekł, nie były tymi, których się Jörgen obawiał, dotyczyły one tylko koniecznej naprawy rynny, którą należało zreperować niezwłocznie. Gdy Jörgen skończy robotę, niech pójdzie do Jana Olsena w Aslev i zamówi go na rano; trzeba to zrobić porządnie, a nie po partacku. Jan Olsen zrobi to najlepiej.

Potem młynarz ruszył po schodach ciężkimi, tupiącymi krokami, tak że schody trzeszczały, jakby miały pęknąć. Inne to były kroki aniżeli lekkie stąpnięcia dziewczęcych nóg, które przedtem tamtędy przebiegły.

Jörgen usiadł na worku i potrząsnął głową z niezadowoleniem.

Otóż to, Chrystian dobrze gada: młynarz jest sknera, co się zowie. I to wszystko. Nie chce wypłacić pensji, póki nie odrobię wszystkiego... Dlatego nie wypędził mnie teraz... Ale wypowie mi służbę od terminu, to jasne... Ach, że też ta Liza była tak nierozważna!

Pod jego nogami otwierała się szczelina zapadni. Widział przez nią brukowe kamienie podjazdu. Przebiegło coś szybko: Pilatus! Zapewne Liza była teraz w jego pokoju. Ale teraz nie pójdzie tam, nie ma głupich. Czy też majster jest z nią razem? Nie, słychać jego ciężkie kroki na dole, w magazynie.

Przewraca teraz wszystko do góry nogami, byleby znaleźć jakiś powód i przyczepić się do mnie... teraz ogląda pytle, czy tam wszystko w porządku. Szuka tylko powodu, aby się mnie pozbyć, nie wypłacając mi tego, co się należy... paskudny sknera!

Ponad sobą, przez podobną szczelinę w podłodze żarnowego piętra, mógł dojrzeć część wielkiego koła rozpędowego i brzeg kamienia; oba koła obracały się powoli, a cichy odgłos zazębających się trybów dobiegał aż tutaj. Tuż nad obu kołami widniało coś niby ogromne oko spoglądające życzliwie — była to poprzeczna belka pobielona mącznym pyłem, po której ustawicznie przemykał cień śmig.

Od brukowca podjazdu oko biegło aż na górę do śmig — to spojrzenie poprzez cały młyn rozczuliło go jeszcze bardziej. Był bliski płaczu: przecież zrósł się niemal z tym młynem! I dokądże teraz pójdzie? Czy może do nędznego młyna kozłowego, gdzie nie ma pięter, gdzie wszystko tkwi w jednej jedynej skrzyni niby mechanizm zegara? Tak, będzie musiał wziąć to, co los nastreczy. Zresztą to najzupełniej obojętne! Dokądkolwiek pójdzie, nie znajdzie tam Lizy!... Ach, to nierozważna dziewczyna! Widocznie bardzo go kocha, była oszołomiona jego pocałunkami, to jedyna pociecha!... I właśnie w takiej chwili trzeba się z nią rozstać!...

Łzy popłynęły mu ciurkiem z oczu.

Ale i nastrój umysłu jego tyrańskiego pana i majstra w zaszczytnej i szanowanej sztuce mielenia nie był bynajmniej godny pozazdroszczenia. I wówczas gdy przez długie godziny obrabiał młotem młyński kamień, i gdy jadł, i gdy błędził po ogrodzie, wypuszczając w wieczorną zorzę kłęby dymu ze swej fajeczki, i gdy bezsennie przewracał się na łóżku: wszędzie i ciągle stawał mu przed oczyma obraz Lizy z białymi, mącznymi plamami na piersi i na plecach szaroniebieskiej, codziennej sukienki. Nadaremnie wysiłał wyobraźnię, by rozstrzygnąć trudny problem, czy istnieje możliwość otarcia się o worki w taki sposób, że powstaną właśnie takie plamy. Co prawda, mówiła o tym bez zakłopotania... ale czy było to możliwe?

A jeżeli nawet nie było możliwe, jeżeli parobek istotnie wycisnął na niej swe piętno, jeżeli Liza pozwalała Jörgenowi, by ją obejmował — by ją obejmował ku jej większej lub mniejszej rozkoszy (bo inaczej byłaby się przecież poskarżyła majstrowi za zuchwałość parobka), to dlaczego on się tym interesuje, on, który w niedalekiej przyszłości poślubi Hannę z leśniczówki, on, który milcząco już się niemal z nią zaręczył? Tak, interesował się tym, bo powinno go to *radować*, bo dowodziło mu, że lekkomyślny szał zmysłów, jaki zbudziły wdzięki Lizy, a którego on sam nie potrafił, niestety, przed nią ukrywać, że ten szał nie wywołał trwałych, złych skutków, że nie udzielił się jej także i że jej serce nie buduje na tej podstawie złudnych nadziei — co byłoby prawdziwym nieszczęściem dla poczciwej dziewczyny.

A więc jeżeliby jego najgorsze podejrzenia opierały się na prawdzie, powinien by się radować — to był paradoksalny wynik zdrowych, nieodpartych argumentów.

Ale nadaremnie usiłował wywołać przed sobą wdzięczny obraz Hanny — nadaremnie usiłował widzieć ją, jak wabi ku sobie leśną Jenny, jak w stajni obrządza kucyki, jak siedzi przy fortepianie — zaledwie zarysowany obraz rozpraszał się znowu, a na tym miejscu stawała postać Lizy, uśmiechającej się tajemniczo mięsistymi wargami i wycierającej podejrzane plamy na piersiach i plecach.

Zwłaszcza te mączne plamy pojawiały się ustawicznie z powrotem tak jak krwawe plamy w ludowej baśni.

V

Oszaliamiający, wonny żar płynął z otwartych drzwiczek piekarskiego pieca, w którego czarnej jaskini oczekiwało wyzwolenia siedemdziesiąt wielkich chlebów razowych. Z pomocą długiej tyki zakończonej drewnianą łopatą, młynarz wyjmował je z pieca po dwa naraz, a Liza odbierała je i niosła do sieni, gdzie Chrystian, oczekujący na nią, układał każdą parę na maszynie do mieszania ciasta, aby tam należycie ochłodziła w towarzystwie swych poprzedniczek. Te liczne, krótkie spotkania dawały zazwyczaj zuchwałemu rudowłosemu chłopakowi upragnioną okazję do rozmaitych poufałych żarcików, i do przelotnych fragmentów wiejskiej sztuki flirtu. Dzisiaj jednak widniał na obliczu Lizy jakiś wyraz

skamieniałości, co skłoniło chłopaka, że wyjątkowo trzymał język za zębami, a palce przy sobie.

Tęsknym spojrzeniem wodziła Liza po małej, dobrze jej znanej przestrzeni, w której jedynymi sprzętami były: olbrzymi piec piekarski, stojący przy tylnej ścianie, i długi stół z desek, umieszczony naprzeciwko pod oknami. Stół ten pokrywały całkowicie gotowe już, pięknie zarumienione chlebki. W rogu izby stała waga, na której Liza odważała ciasto na liczne — setki chyba już chlebów; w dzieży w resztkach ciasta tkwiła szufelka, którą władała tak pewnie, że niemal zawsze kładła od razu na szali wagi potrzebną ilość.

Znowu ukazała się para chlebów. Zniosła je Chrystianowi do sieni, skąd przez otwarte drzwi płynął chłód podwórza do żarem wypełnionej piekarni. Szybkim spojrzeniem objęła podwórze skąpane w jaskrawym blasku październikowego słońca, które złociło bieloną ścianę domu i migotało w kałużach deszczowych. Na kuchennym oknie leżał jej ukochany Pilatus, kąpiąc się w słońcu; w oknach izby mieszkalnej żarzyły się kwiaty geranium — tam właściwie byłoby jej miejsce jako pani domu! W bocznych zabudowaniach gospodarczych stały otworem drzwi obory, wewnątrz migał w promieniu słonecznym kołyszący się ogon krowi: nie musiałaby w przyszłości chodzić tam codziennie, posyłałaby dziewczkę do dojenia krów. Na przedzie, po prawej stronie, wirowały cienie młyńskich śmig — potężny ich szum przy akompaniamencie uderzeń żaglowego płótna i poświstów wiatru śpiewał jej piękną pieśń o olbrzymiej maszynie z kół i kamieni, nieznużenie pracującej wyłącznie na jej korzyść. Dostrzegła również część galeryjki i Jörgena, który właśnie przestawiał śmig pod wiatr: i on także był jej własnością — przygodną rozrywką. Ale Chrystian, który odbierał od niej chleby i teraz odważył się znacząco chrząknąć, zauważywszy jej wahanie — Chrystian był tylko sługą; on w niedzielę będzie wkładał lśniąca uprząż na konie, zaprzęgając je do pięknego pojazdu, którym Liza pojedzie ze swoim mężem na wizytę lub do kościoła.

Ze swoim mężem! Stanęła znowu przy boku młynarza i przyglądała mu się; stał pochylony przed piecem, bez surduta i kamizelki, z koszulą rozchełstaną na piersiach, z rękawami zawiniętymi powyżej łokci, i manewrował długą żerdzią trzymaną w silnych włochatych ramionach. Ze skroni, pokrytych kędzierzawym, przyprószonym siwizną włosem, spływały mu krople potu aż na brodę, na szczupłej twarzy malował się wyraz skupienia — oddał się pracy duszą i ciałem, nie obchodziło go teraz zgoła nic, czy stoi obok niego niezgrabna, wiecznie zaspana Lollandka, jej poprzedniczka, czy też ona sama, o miękkich kuszących kształtach, z ogniem w spojrzeniu. A może się tylko tak wydawało, może właśnie to skupienie było wyrazem wewnętrznego przymusu, jaki nałożył sobie, by nie zwracać na nią uwagi? Co do jednego nie myliła się na pewno: kiedy przed paroma dniami, gdy siedział na kamieniu młyńskim, dostrzegł na jej sukni mączne plamy, wówczas obudziła się zazdrość i roznieciła w jego sercu tlejące żary, tak że odbłyśk ich pokrył oblicze luną!

Ach nie! Takie było już przeznaczenie. Utraci to wszystko — ten młyn, do którego zapracowała sobie prawo i z którym się zrosła, i tego pięknego mężczyznę, którego tak kocha (czyż można go nie kochać?) i który już tak jej ulegał, że dość było tylko palec wyciągnąć. Tak, oczywiście, gdyby nie była porządną i uczciwą dziewczyną! A ot spotyka ją nagroda! Dlatego wybił ją sobie z głowy i ugania za tamtą obłudnicą, która w lesie darzy go pieszczołami.

W wyobraźni jej odżyły wspomnienia owego dnia pogrzebu, kiedy to tamta gospodarowała w jej kuchni. Na pewno wypędzi ją z obejścia, z domu bez słowa podziękki za wszystko, co tu zrobiła! I już widziała oczyma wyobraźni, jak wędruje w deszcz i zawieruchę po błotnistych drogach w daleki, szeroki świat z węzłkiem pod pachą i wiernym Pilatusem na rękę. O, Pilatus nie opuści jej na pewno, nie zostanie tutaj po to, aby tamta kopnięciem nogi wygoniła go z kuchni i aby dziki Kizia wydrapał mu oczy, gdyby się odważył powrócić do młyna. A ona także nie opuści swego wiernego przyjaciela!

Uczuła, że wzruszenie bierze nad nią górę, ale nie starała się go powstrzymać, wędrując dalej między Chrystianem i młynarzem. Czemuż miałyby ukrywać swoje łzy? Czyż można wymagać od biednej dziewczyny, aby miała w piersi kamienne serce?

Młynarzowi wydało się, że raz i drugi słyszy westchnienia i jakieś pociąganie nosem. Podniósł głowę. Oczy Lizy były pełne łez, a wielkie krople padały jej na łono, na wpół obnażone z powodu gorąca.

— Cóż to, Lizo, czy jesteś chora? — zapytał i przestał wygarniać łopatą chleby.

— O, nie...

Młynarz wyprostował się i położył łopatę na płycie pieca.

— Ty jesteś zapewne chora, boję się, że natężasz za bardzo swoje siły.

Potrząsnęła głową i ruchem ramienia zwróciła jego uwagę na Chrystiana, który nie spotkawszy Lizy w sieni, stanął w drzwiach i patrzył na nią wylupiastymi oczami dorsza.

Młynarz pochylił się znowu, sięgając w półmrok pieca. Ale ręce jego drżały i nie od razu udało mu się wyłowić oporną chlebową parę z jej bezpiecznej i ciepłej kryjówki w głębi pieca.

Wędrówka tam i z powrotem od młynarza do Chrystiana rozpoczęła się znowu i trwała bez przerwy, póki wszystkie siedemdziesiąt chlebów nie spoczęło w chłodnej sieni. Wtedy Chrystian powlókł się do młyna, majster zaś skinął na Lizę, by pozostała.

Rękawem koszuli wytarł pot z czoła i oparł się lewą ręką o stół poza sobą, odwracając się plecami do okna, tak że twarz jego pozostała w cieniu, a światło padało wprost na Lizę. Stała tam i wyglądała tak, jak gdyby miała wielką ochotę zemknąć za drzwi — przypominała wyglądem uczennicę, która na pewno nie z powodu dobrego uczynku pozostała na rozmowie w cztery oczy z nauczycielem, gdy koleżanki już odeszły.

— No, Lizo! Cóż to znaczy?

— Ach, to nic, nic... Zmogło mnie wzruszenie, bo jestem tu już z górą rok w młynie i przywiązałam się bardzo do tego domu, a teraz... niedługo muszę odejść.

Mrugnęła oczyma, wydawało się, że znowu zacznie płakać. Młynarz wzdrygnął się.

— Odejść? Dlaczego?

— Ano, nie może być inaczej, skoro pan majster się żeni.

Młynarz oparł się obiema rękami o brzeg stołu, wyprężył ramiona i cofnął się nieco wstecz korpusem.

— Jakaż znowu niedorzeczność? Któż powiada, że się żenię?

— To obojętne, kto powiada; ja wiem na pewno, że się pan żeni... z siostrą leśniczego... to się rozumie samo przez się.

Młynarz milczał przez chwilę. Nie miał odwagi odpowiedzieć na ten zarzut bezpośrednim przeczeniem.

— Głupie plotki! — zawołał. — Jak się okazuje, nie można bywać w domu, gdzie jest młoda dziewczyna, bo od razu wszystkie stare baby rozpuszczą języki!... Zresztą nie rozmawialiśmy z sobą dotychczas o małżeństwie.

— Być może, być może, skoro pan tak powiada... Zresztą nie mam prawa żądać rachunku od pana... i gdyby pan chciał się żenić...

— Nie wiem nawet tego, czy ona by mnie zechciała.

— Jezusie! To się przecie samo przez się rozumie!

Był to okrzyk na wskroś szczery i towarzyszyło mu spojrzenie pełne przekonania; nie mogło podlegać wątpliwości, że każda dziewczyna przy zdrowych zmysłach uważałaby się za najszcześniejszą, gdyby młynarz się z nią ożenił. Ten zaś tak gorąco i powszechnie pożądanym, wpatrywał się w końce swoich butów i czuł, że się rumieni — nie tyle skutkiem podrażnionej próżności, jak raczej dlatego, że to naiwne wotum zaufania Lizy świadczyło o jej własnej skłonności.

— No nie, tylko tego by brakowało, aby dała panu kosza — zagadnęła Liza. — Jeżeli się pan chce żenić...

— Ale słuchajże, co powiadam: dotąd nie było o tym mowy... między nią a mną... — dodał to z trwożliwym pośpiechem, aby wyznanie najzupełniej zgadzało się z prawdą. — Poza tym nie przejmuj się tym wcale!... Gdyby w ogóle kiedyś do tego doszło... to jeszcze nieprędko. A i w takim razie nie byłoby konieczne, abyś odeszła... Bez służącej młyn się nie obejdzie...

— Czy pan naprawdę wierzy, że mogłabym tu pozostać, gdyby pani domu weszła do młyna?

Przystąpiła o krok bliżej, a młynarz wzdrygnął się. Chociaż z uporem patrzył w ziemię, czuł jej zuchwałe spojrzenie, widział, że jej usta się śmieją i że na twarzy widnieje odwrotność zadanego pytania: „Czy ja jestem zwyczajną służącą?... Czy nas nic nie wiąże? I czy więzy nie zacisną się między nami jeszcze silniej — wcześniej czy później — jeżeli tu

pozostanę?”. On sam niejednokrotnie już zadawał sobie to pytanie i dawno już odpowiedział na nie energicznie: „Liza musi odejść!”. Byłoby to zbyt nietaktownym postąpieniem względem Hanny zatrzymać Lizę tylko dlatego, że słowo wyrwało mu się z ust. Ale dotychczas jeszcze decyzja nie zapadła!... Więc czemuż Liza nachodzi go i dręczy już teraz?

A ponieważ nie mógł odpowiedzieć na jej zapytanie, więc począł zagadywać gniewnym, niecierpliwym tonem:

— Mój Boże! Czegóż chcesz właściwie? Skoro sądzisz, że lepiej będzie jeżeli odejdziesz... Ale powiadam ci przecie, że dotychczas wcale nie było mowy o tym... jak się zdaje, powinno cię to uspokoić! Nie będziesz chyba wymagać, abym się zobowiązał, że nie ożenię się nigdy ani z tą, ani z inną.

— Wymagać?! Czyż ja biedna dziewczyna, ośmieliłabym się wymagać czegokolwiek?! Tylko smutno pomyśleć o tym! Pragnęłabym, aby wszystko pozostało po dawnemu, abym nie opuszczała mojej służby i troszczyła się nadal o wszystko, jak potrafię... oto jedyne moje życzenie... ale czyż ośmieliłabym się wymagać?

Zakryła oczy fartuchem i wyszła, lejąc szczerę łzy w poczuciu własnej bezsilności. A zdumiony młynarz, pozostawszy sam, odczuwał zakłopotanie, wzruszenie i wątpliwości.

Biedna dziewczyna! Niewątpliwie, przykro byłoby jej odejść po tej całej pracy, jakiej tu dokonała. I jak bardzo przywiązała się do niego! A jednak nie żądała nic, pragnęła tylko pracować dalej od świtu do nocy, aby mu dogodzić, aby utrzymać ład w tym ulubionym młynie na wzgórzu.

A ostatecznie... cóż go przymuszało, by niezwłocznie poślubić Hannę?

Oczywiście, najlepiej czekać, aż sam los wszystko ułoży.

Nie należy nic czynić na łeb, na szyję. Na razie wszystko działa się dobrze, zwłaszcza, odkąd między Lizą i Jankiem wywiązał się serdeczniejszy wzajemny stosunek.

Pochylił się i wyjrzał przez niskie okienko na podwórze. Chłopiec biegł właśnie naprzeciw Lizy i podawał jej swój łuk, w którym widocznie coś się zepsuło. A poczciwa Liza zajęła się natychmiast naprawieniem zabawki, chociaż czekało na nią tyle ciężkiej pracy. Ale z pewnością nie zaniedba niczego. Te silne, krągłe ramiona potrafią wszystkiemu zaradzić!...

I młynarz z uśmiechem na ustach pokiwał głową, bawiąc się bezmyślnie małą szufelką, której Liza używała do odważania ciasta.

VI

W tę szarą niedzielę listopadową, kiedy młynarz poszedł z Jankiem do leśniczówki, groźna burza zawisła nad młynem na wzgórzu, a Liza była czarownicą, która spowiła go w taką atmosferę.

Nawet Pilatus, który jak wszystkie koty był bardzo wrażliwy na oznaki burzy, nie odważył się zbliżyć do niej. Karo nie pokazywał się wcale. Jörgen — chociaż Liza trzymała go krótko od czasu owych pocałunków — próbował, czy nie udałoby się mile spędzić czasu w jej towarzystwie, ale szybko cofnął się rażony piorunem jej spojrzenia. Markotny szukał pociechy w swej bibliotece: wydobyl kalendarz dla ludu i rozpoczął odczytywać go od początku, od wiadomości meteorologicznych, gdzie niestety, nie były przepowiedziane burze tego rodzaju. Jednocześnie puścił w ruch łuszczarkę w młynie.

Czarownica z młyna postanowiła odwiedzić swą rodzinę na bagnach Virket. Nie była tam już od trzech tygodni; tęskniła za matką, za siostrami i za krową imieniem Blis, chciała też rozmówić się poważnie z Peerem. Ale droga była daleka, zwłaszcza droga w tamtą stronę z ciężkim, ładownym koszem na ramieniu. Albowiem matka leżała chora na reumatyzm, a Liza pragnęła jej zanieść marynaty, świeży chleb i małą wędzoną szynkę. Ogarnęło ją dziwne uczucie słabości i przygnębienia, nie była pewna, czy starczy jej sił na tę wyprawę. Może nieco później będzie raźniejsza. A ponieważ tymczasem pożądała jakiejś złośliwej uciechy, przywołała Chrystiana i żartowała z nim. Chłopak śmiał się na całe gardło. Ugotowała kawę dla niego i dla siebie, do jego filiżanki wlała nawet rumu.

Parobek ledwie wierzył swoim zmysłom, że naprawdę okazuje mu taką łaskawość, ale kawę z rumem wypił ochotnie, a pod wpływem trunku piegi na jego twarzy rozkwitły nową czerwienią. Wtedy oświadczyła, że mogliby oboje pojechać na spacer, co go zupełnie rozśmieszyło. Kiedy jednak zażądała poważnie, aby poszedł do stajni i zaprzągnął.

Chrystian spojrział na nią z przerażeniem. Nie może tego robić bez pozwolenia majstra! Konie powinny dzisiaj wypocząć. Ale Liza oświadczyła, że przyjmie na siebie odpowiedzialność! — pracuje tu przecież tak dzielnie, Bogu wiadomo, że majster nie zgani jej za tę drobną przyjemność, a jego, Chrystiana, tylko pochwali.

Chrystian niezdecydowany poszedł do stajni i wzdychając, nałożył gniaszom platerowaną uprząż — rozumiał, że nie wypadało wyjeżdżać na spacer w roboczej uprzęży; wśród głośnych kłatw wyciągnął z szopy ładny wózek, bo ze zgrozą myślał o błotnistej drodze. Kiedy jednak zaprzągnął, przygoda ta wydała mu się niezmiernie interesująca. Głośno trzaskając odświętnym biczem, zajechał przed drzwiami domu.

Drzwi te pozostały zamknięte, natomiast z tyłu poza nim otworzyły się drzwi kuchenne, a na progu pojawiła się Liza w fartuchu ze ścierką w garści i zapytała, udając zdziwienie, gdzie się, do diabła, wybiera. Rozumie chyba, co jest żartem, a co prawdą, bo nie wczoraj dopiero się narodził!

Mówiąc to, roześmiała się głośno, zadając tym Chrystianowi dotkliwy ból. Ale głośniejsze jeszcze zabrzmiał ku tym większej boleści szyderczy śmiech Jörgena, który usłyszawszy turkot kół i trzask bicza, wyszedł na galeryjkę i z tego wysokiego punktu obserwacyjnego przyglądał się sytuacji, pojawiając się szybko, o co chodzi.

Ale nawet ten drugi głos — chociaż wysiłał się na największą złośliwość — był jeszcze niczym w porównaniu z trzecim, który dopełniając trio, odczwał się teraz przy bramie wjazdowej.

Stał tam Smok we własnej osobie. Rozstawiwszy szeroko nogi, by znaleźć dostatecznie silną podstawę podczas gwałtownych drgnień otyłego ciała, Smok ryczał formalnie ze śmiechu.

To uwieńczyło klęskę Chrystiana. Zdruzgotany doszczętnie, zawrócił powoli do stajni zdumione tym, ale zadowolone z powrotu konie. Gdyby był przyjrzał się przybyszowi, zachowując choć trochę spokoju, byłby oczywiście dostrzegł zarówno on, jak i tamci, że Smok nie wiedział wcale, z czego się właściwie śmieje. To jednak nie przeszkadzało bynajmniej poczciwcowi w jego towarzyskich instynktach. Zawsze gotowy weselić się z wesołymi, śmiał się dalej, parskał i tupał nogami nawet wówczas jeszcze, kiedy jego towarzysze wesołości już się uspokoili — potwierdzał żywym przykładem przysłowie, że najlepiej się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Kiedy zauważył wreszcie, że w pełni ten cel osiągnął i że Liza kłania mu się bardzo grzecznie, zakończył gamę śmiechu westchnieniem znużenia i nieco zadyszonym głosem wyraził radość, że przybywa właśnie w sam czas, zanim Jakub odjechał. Po czym zdumiał się niepomiernie, dowiedziawszy się z ust Lizy, że młynarz jest nieobecny, a Chrystian zaprzągnął konie na jej rozkaz, albowiem zgniewała ją bezczelność parobka.

— Ale może pan dziedzic raczy wejść i odpocząć po podróży — zaprosiła go wreszcie, wypełniając wszystkie dołki swej twarzy najbardziej czarującym uśmiechem.

Podróż, odbywana najpowolniejszym krokiem i z najczęstszymi przystankami, nie trwała dłużej niż dziesięć minut. Ale Smok uznał, że wypoczynek byłby pożądanym, skoro zaś Liza w dodatku oświadczyła, że młynarz zgniewałby się na nią, gdyby nie podała panu dziedzicowi przed odejściem jakiejś ochłody, uniósł się dobroduszością i nie chciał narazić poczciwej dziewczyny na przykrości.

„Umie się zachować wobec ludzi ta Liza kłusowniczaneczka” — pomyślał Smok, idąc za nią do małego pokoiku na prawo od sieni, którego okna wychodziły na podwórze i w którym to pokoiku młynarz zazwyczaj przesiadywał.

— Ten pokój — oświadczyła Liza tonem niejako pokornego usprawiedliwienia się, że nie prowadzi tak zacnego gościa do świetlicy — jest znacznie miłszy podczas tej pory roku i bardziej przytulny aniżeli sala od strony ogrodu. Czy pan dziedzic nie zechce zapalić?

Postawiła przed nim na stoliku pudełko cygar, popielniczkę i przybór z zapalkami, po czym poprosiła go, by się rozgościł, zanim ugotuje kawę i przyniesie obwarzanki. — Własnego wypieku, jeżeli pan dziedzic raczy popróbować.

Umie się doskonale zachować — zdecydował Smok, rozsiadając się wygodnie na kanapie i wypuszczając kłęb dymu. Zapowiedź kawy i pieczywa sprowadzała ślinkę do ust, a stale powtarzane słowo „dziedzic” mile łechtalo przewody uszu, dźwięcząc w nich ciągle. Ma dobre maniere, to najprawdziwsza prawda, umie się wyrażać! Dziwne, gdzie taka Liza

z bagien nauczyła się wytwornej sztuki obcowania z ludźmi... i ładna, kusząca dziewczucha, to trzeba powiedzieć... Tak, tak. Jakub jest smakoszem, otóż to właśnie — smakoszem.

Doszedłszy do tego mądrego wniosku. Smok zerknął jednym okiem na cygaro, drugim zaś z lubością ku drzwiom, które Liza zamknęła za sobą.

Ale natychmiast padł cień na jego szeroko roześmiane oblicze. Dopiero teraz uświadomił sobie, że właśnie nieobecność Jakuba jest diabelnie nieprzyjemnym zbiegiem okoliczności, ponieważ on, Smok, musi się z nim koniecznie rozmówić. Oczywiście, Jakub powróci do domu, a skoro Chrystian zamierzał właśnie pojechać po niego, nie potrwa to zbyt długo. Dzięki gazecie, którą przygotowała mu myśląca o wszystkim Liza, dzięki dobrym cygarom czas nie będzie się dłużyć. Ostatecznie nie ma potrzeby natężyć nóg — i to jeszcze w niedzielę, którą sam dobry Pan Bóg przeznaczył na dzień wypoczynku. To się układało szczęśliwie. A jednak Smok doznawał głuchego, niepokojącego uczucia, że nie wszystko przedstawia się tak, jak należało. Ta jazda Chrystiana do leśniczówki — to był sęk. W tej historii z zaprzęgnięciem wózka kryło się coś zagadkowego. Było to zabawne, bardzo zabawne — mój Boże, a tośmy się uśmiali (zarechotał znowu na samo wspomnienie) — ale mimo wszystko kryła się w tym jakaś zagadka. Nie zrozumiał dokładnie słów Lizy, bo mówiła bardzo prędko i niezbyt jasno — kobiety w ogóle nigdy nie wyrażają się jasno. Uświadomił sobie, że właściwie było jeszcze za wcześnie, aby już posyłać konie po młynarza. Bądź co bądź — coś szwankowało w tym wszystkim...

Myślowy aparat Smoka nie funkcjonował nigdy zbyt sprawnie, a zwłaszcza dzisiaj, w tym dniu, który Bóg przeznaczył na odpoczynek. Toteż Smok dopiero po dłuższej chwili doszedł do tego niepokojącego wniosku. Radosny dźwięk młynka mielącego kawę, dochodził z kuchni, zrazu bardzo przyjemnie wzmagał i ożywił czynność jego umysłu, ale teraz już dawno umilkł; także cygaro, rodzące nowe myśli, wypaliło się do końca. Smok doszedł właśnie do wniosku, że za długo czeka na kawę, gdy wtem Liza wniosła oczekiwany z utęsknieniem napój i usprawiedliwiała się, potwierdzając jego niewypowiedzianą myśl: wprawdzie już wcześniej mogła była podać kawę panu dziedzicowi, ale wolała zaparzyć świeżo zmielone ziarna.

Była to świetna obrona, a Smok przyznał jej słuszność pełnym zadowolenia błyskiem oczu, mruganiem i mlaskaniem, podczas gdy jednocześnie popijał drobnymi łyżkami brunatny napój i zjadał ze smakiem chrupiące obwarzanki.

Gdy podczas nalewania drugiej filiżanki nastąpiła krótka przerwa w gastronomicznej pracy, Smok wykorzystał wyzwolenie szczęk, by wyrazić przypuszczenie, że Chrystian zapewne niebawem przywiezie z leśniczówki młynarza i małego Janka. Ku niezmiernemu rozczarowaniu dowiedział się jednak, że Chrystian nie zamierza bynajmniej jechać do leśniczówki i że wyjazd wózka był jedynie żartem. Tym razem wyjaśnienia Lizy były równie jasne jak przekonywujące, albowiem uświadomiła sobie ona z przykrością, że sytuacja, w jakiej Smok zaskoczył ją i obu parobków, była nieco drażliwa. Mogłaby ona obudzić mniemanie, że tutaj w młynie na wzgórzu „myszy tańczą po stole, kiedy kota nie ma w domu”. Lizie zależało bardzo na tym, aby sprawozdanie Smoka nie było w ten sposób rozumiane tam, w Smoczym Dworze, przez starego kobiecego potwora, jej śmiertelnego wroga. A ponieważ słusznie osądzała umysłowość Smoka na poziomie własnego myślowego aparatu, więc dokładała trudu, aby wysławiać się zrozumiale, co też udało się jej tak doskonale, że Smok wreszcie wlepił w nią oczy z nieklamany podziwem i kilkakrotnie klasnął dłonią w kolano.

— Co powiadasz?!... Kazałaś mu zaprząć, ponieważ leniuch zbijał bąki?... Kazałaś wycesać zgrzeblem konie, aby sierść się lśniła... i wyczyścić uprzęż, by błyszcząca... i zaprzęgać?... Czy słyszał kto coś podobnego?... A to zuch dziewczyna!... Tak, tak, zuch dziewczyna, i dam ci to na piśmie... w twojej służbowej księżce... co?!

Liza opuściła oczy zawstydzona i dumna. Smok rzadko przemawiał tak gorąco. A chociaż nie była pierwszą i jedyną osobą, której przyrzekał tę żmudną dla siebie pisemną pracę, to jednak bądź co bądź ona, dziewczyna na służbie, musiała poczytać to za odznaczenie, które należało cenić.

Ale natychmiast nastąpiła reakcja. Wzdychając głęboko, Smok opadł na kanapę i oświadczył, że musi — niech to diabli porwą! — musi jeszcze dzisiaj rozmówić się z Jakubem w sprawie niezmiernie pilnej, bo przyrzekł to swojej matce, którą łamie podagra i która wskutek tego nie może się ruszyć z łóżka.

„Oby stara potwora pozostała tam przez całe życie!” — pomyślała Liza i nie podnosząc opuszczonych z zawstydzeniem oczu, a raczej opuszczając je jeszcze niżej, by nie zdradzić swej ciekawości, zapytała pokornym głosem, czy nie przydałaby się jej pomoc. Wprawdzie młynarz powróci do domu dopiero późno, ale ona mimo to mogłaby przecież pobiec z wiadomością do Smoczego Dworu.

Zuch dziewczyna! — To jedyna dobra nazwa! Że też od razu wpadła na ten pomysł! Ależ oczywiście, pomoc jej bardzo się przyda! Sprawa jest całkiem prosta — i Smok rozpoczął nieco rozwlekle i ciężko przedstawiać tę całkiem prostą sprawę.

— Mianowicie już w lecie, w sierpniu, tak, było to w połowie sierpnia, zwozili właśnie ostatek żyta, Jakub zaszedł kiedyś wieczorem. Wtedy mówiono o tym, że Zajęcza Ana...

Liza podniosła ciemne oczy i przytwardziła spojrzeniem, że wie wszystko o Zajęczej Anie.

— Tak, tak! Oczywiście! No, więc Zajęcza Ana już dawno znalazła służbę... ale stara... hm... dręczy się ciągle myślą, że tutaj... hm... wszystko jest doskonale i ty dajesz sobie radę... ale może roboty za dużo... tak sądzi matka... hm... a właśnie teraz Karen Peersen w Alslev...

Liza skinęła głową. Znała ją (tym razem była to piękna, młoda dziewczyna) i nienawidziła jej. Wypowiedziała tylko pierwszą część myśli, drugą przemilczała.

— Tak, otóż widzisz... Karen może właśnie otrzymać nową, dobrą służbę... ale jej rodzinie bardziej by dogadzało, gdyby służyła tu w młynie na wzgórzu... moja stara trzymała Karen do chrztu i sądzi... a oni sądzą tak samo... to znaczy rodzice... że tu w pobliżu... że chrześnica... dobre, poczciwe dziecko...

Liza potwierdziła skinieniem głowy, myśląc jednocześnie: „Stare ścierwo obliczyło bardzo sprytnie! Niech ją cholera...!!!”.

— Prawda? Pojmujesz to... Więc... ale ona... Karen Peersen... jak mówię, może otrzymać służbę... dobrą służbę... i musi już jutro się zdecydować... dlatego sprawa jest bardzo pilna...

— Dobrze, panie dziedzicu, ja to załatwię, jeszcze dzisiaj wieczorem dam państwu odpowiedź. Zresztą wydaje mi się, że majster jest całkiem zadowolony z obecnego stanu rzeczy... twierdzi on, że dopóki mogę zrobić wszystko sama, nie należy wydawać drogich pieniędzy na drugą służącą.

— Oczywiście! Moje własne słowa! Mówiłem to samo, kiedy proponowano Zajęczą Anę... diabeł by go chyba kusił... moje własne, autentyczne słowa... Nie... nie... nie takie to czasy, aby wydawać na gospodarstwo więcej, aniżeli potrzeba... Ale uważasz, stara... moja stara nie wie, jaki tu ład panuje, i martwi się... sądzi, że jeśli się przepracujesz, ludzie wytkną to Jakubowi... powiedzą, że jest sknera... a moja stara zawsze dbała oto, aby ludzie nie gadali źle... i słusznie!... Więc mnie wszystko jedno, tak czy owak, skoro ty to załatwisz. Tak, nie mówię nic, mogę wypić jeszcze trzecią filiżankę... Co? To już czwarta? Ano, trójkąt niewiele wart, pokój ma cztery kąty. Ha, ha!

I na drugie cygaro zgodził się Smok bez zbyt gwałtownego protestu. Obracał je w ustach, aby zwilżyć należycie zewnętrzny liść, i ukończył te przygotowania właśnie w chwili, gdy Liza podała mu płonąca zapalną. Smok, obsłużony w ten sposób piękną rączką, wypuścił z zadowoleniem potężny kłęb dymu, popił kawę, otarł grzbietem ręki zwilżone sumiaste wąsy, rozparł się na kanapie i powędrował myślą w ślad za nieobecny-mi.

— A więc są w leśniczówce! Tak, Jakub ma tam dobrych przyjaciół... moja stara powtarza zawsze: „Dobrze, że Jakub obcuje z tym rodzeństwem z leśniczówki”... Tak powiada... Obcowanie z nimi jest bardzo pożyteczne, jak sądzi... Tak, tak, stara się ucieszy, skoro się dowie, że są w leśniczówce.

Liza przytaknęła z pobożnym uśmiechem, ale myśli jej szły inną drogą.

— Ale wytłumacz mi, Lizo, dlaczego właściwie młynarz odesłał wózek do domu? Takie wędrowki tam i z powrotem! Czemuż wózek nie czekał na nich? Chrystian byłby tam zbijał bąki równie dobrze jak tutaj, gdzie tylko naraża cię na kłopot, bo musisz mu wyszukiwać zajęcia... he! Ale Jakub był zawsze dziwakiem.

— Nie, nie, panie dziedzicu... wózek nie wyjeżdżał wcale... poszli piechotą.

— Co?! — zawołał Smok z przerażeniem. — Co? Poszli piechotą?... Do leśniczówki?... Ale moja kochana... to przecie... to przecie prawie mila drogi... a teraz takie błota,

trzeba ostrożnie chodzić brzegiem... Mój Boże, człowiek się zmęczy, gdy idzie tylko przez kwadrans... No, ale leśniczy odwiezie ich chyba do domu.

— Eh, nie, panie dziedzicu! Młynarz nie zgodziłby się na to. Nie, powrócą także piechotą.

Tym razem Smok nie znalazł słów, by wyrazić swoje przerażenie. Potrząsnął powątpiewająco głową, jęknął głęboko i potarł rękami uda, jak gdyby sama tylko myśl o takich trudach wywołała zmęczenie jego nóg.

— Tak, panie dziedzicu, majster twierdzi, że konie napracują się dosyć przez cały tydzień i że w niedzielę powinny wypocząć.

— Wypocząć — przytwierdził Smok — i ja tak sądzę... z wyjątkiem okresu żniw... Tak jest, dobry Pan Bóg sam nazaczył niedzielę jako dzień wypoczynku. Ale czyż dlatego trzeba sobie łamać nogi? Niechże zresztą Jakub spaceruje, skoro ma ochotę, ale Janek, mały biedaczek... czemuż i on musi dreptać tam i z powrotem?... Skoro moja stara dowie się o tym!... Zresztą jeżeli już chciał oszczędzić gnadosze, to dlaczego nie przysłał do mnie, dałbym mu jednokonny wózek i mojego szweda, który, Bogu wiadomo, nie napracuje się chyba dużo w tym czasie... stoi ciągle w stajni i tyje!

— O, skoro szwed potrzebuje ruchu... — zaczęła Liza, lecz umilkła natychmiast, uśmiechając się na wpół figlarnie, na wpół wstydliwie, jak gdyby obawiała się przemówić zbyt zuchwale. Jednocześnie wygładzała ręką niebieski fartuszek, jaki przywdziała na cześć dziedzica.

Ale jego dostojna osoba chciała bezwarunkowo wiedzieć, jakie to słowa zawisły jej na języku. I im bardziej Liza się ociągała, wyrażając obawy, że to, co powie, będzie głupie lub w ogóle niestosowne, tym energiczniej domagał się Smok, aby nie ukrywała nic pod korcem. Aż wreszcie, płoniąc się rumieńcem, nie śmiejąc podnieść oczu, wśród licznych uniewinniań się i z licznymi zastrzeżeniami, Liza wypowiedziała się ze swoich występnych myśli.

Jest to mianowicie tylko taka przelotna myśl, jaka się jej nasunęła, kiedy dziedzic mówił o chłopcu i o swej chorej matce. Mianowicie, jej własna matka leży także chora tam w domu na bagniskach i także ma podagrę, jak matka pana dziedzica, a ona, Liza zamierzała właśnie odwiedzić ją i zanieść jej w koszyku trochę marynat i innych produktów, ale teraz wizyta dziedzica stanęła na przeszkodzie, jest za późno. Więc pomyślała, kiedy dziedzic wspomniał o szwedzie, że gdyby skorzystała z wózka, mogłaby w powrotnej drodze z bagnisk pojechać przez las, zboczyć do leśniczówki, zapytać majstra o zdanie i przywieźć zaraz odpowiedź, a Janek pojechałby z nią i nie naraziłby się na zmęczenie...

Smok słuchał z otwartą gębą, a wreszcie palnął pięścią w stół tak mocno, że filiżanki podskoczyły.

— Niech mnie diabli porwą, jeżeli ty nie jesteś zuch dziewczyna!... Od razu coś wymyślisz... raz, dwa, trzy!... To po prostu bajeczne!... Ale... do licha! Właśnie dzisiaj nie ma nikogo z parobków... tylko ten smyk Sören, któremu także pozwoliłem pójść do domu... on mógłby cię odwiedzić...

— O, jeżeli tylko to stoi na przeszkodzie... gdyby pan dziedzic chciał mi zawierzyć... umiem powozić... służyłam przecie w spółdzielczej mleczarni, zanim przyszłam tutaj do młyna, a tam nieraz sama odwoziłam mleko.

— Więc i to także umiesz?... Oczywiście... zuch dziewczyna!... No, szwed jest taki łagodny jak baranek... Dostaniesz wózek, Lizko, jesteś dobrą dziewczyną, bo nie zapominasz o matce... dostaniesz wózek... Sören pojedzie z tobą do Kirkeby... tam twoja droga skręca w bok... więc i on coś niecoś skorzysta... a my otrzymamy wcześniej wiadomość. To doskonale. Bo moja stara jest trochę niecierpliwa... gotowa w końcu zażądać, bym ja sam pojechał... a dla ciebie będzie to rozrywka... prawda? I Janek pojedzie do domu, zamiast męczyć swoje małe nóżki. To dobrze, bardzo dobrze! Moja stara będzie też zadowolona, bo bardzo się troszczy o tego małego brzdąca... No, zaraz pomyślimy o tym.

Smok zerwał się z niezwykłym ożywieniem, co naraziło stolik i zastawę do kawy na poważne niebezpieczeństwo.

Liza wyprostowała się. Twarz jej zaczerwieniła się wskutek podniecenia. Nie przypuszczała bowiem, aby ten nagły, i, jak się jej wydawało, nieco fantastyczny pomysł urzeczywistnił się tak szybko i gładko. Już sam fakt, że otrzyma piękny wózek ze Smoczego

Dworu i że będzie sama powozić, jadąc w odwiedzin, był niejako wywyższeniem jej socjalnej pozycji. Wyjąkała kilka niewyraźnych słów podziękowania, a głos jej brzmiał tym większym zakłopotaniem, gdy zauważyła, że Smok, stojący naprzeciwko niej, wprost póżera ją oczyma.

Aczkolwiek skłaniał się on głównie ku rozkoszom kulinarnym, był również wrażliwy na wdzięki płci pięknej. Jego poprzednie wrażenie, że Liza, posiadająca umiejętność obcowania z ludźmi, nie została bynajmniej przez matkę przyrodę potraktowana po macoszemu, lecz jest piękną, kuszącą dziewczuchą i że Jakub nie tylko pod względem kawy i cygar jest smakoszem — to wrażenie nabrało w tej chwili żywszego wyrazu. Wdzięcząc się do niej, dowodził, że nie warto o tym mówić, bo takiej ładnej osobce chętnie wyświadcza się przysługę, jednocześnie zaś jego wskazujący palec, jak gdyby magnetycznie pociągany, przybliżał się do dołka w jej brodzie, aż wreszcie ostrożnie dotknął tego kuszącego wgłębienia, przy czym w ustach jego zabrzmiał niezwykle chichot. Potem cała wielka, tłusta łapa Smoka objęła podbródek dziewczyny i podniosła ku górze schyloną zawstydzieniem głowę, a niezwykle chichot zmienił się równocześnie w jeszcze bardziej niezwykle brzmiące, głośnie łkanie śliny.

— Czegóż się nie robi... czego się nie robi z ochotą... dla ładnej osoby... He! he!... Ale jeśli poczuwasz się do wdzięczności... he, he... wdzięczność jest piękną rzeczą, bardzo piękną rzeczą... to co otrzymam za tę przejażdżkę?

Zadając to delikatne pytanie, Smok odsunął sumiasty wąs z górnej mięsistej wargi, która ukazała się teraz w całej okazałości podobna jakiemuś bajkowemu zwierzęciu z trąbą, wynurzającemu się z gęstwiny po długim zimowym śnie. Jednocześnie małe bezbarwne oczka niemal całkowicie wpadły mu w głowę, a grymas ten mówił wyraźniej niż słowa: „Dość patrzania, teraz trzeba posmakować”.

Liza cofnęła głowę tak daleko, jak mogła to uczynić, nie ruszając się z miejsca. Za bardzo panowała nad sobą, by w tej spotęgowanej poufalości dziedzica upatrywać dla siebie jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Najchętniej wybuchnęłaby śmiechem, albowiem Smok w tych przejawach kochliwości wyglądał niesłychanie zabawnie. Ale za żadną cenę nie odepchnęłaby go teraz od siebie, ta zdobycz była nazbyt cenna — któż potrafiłby przewidzieć, na co się jej jeszcze przyda? Zdawała sobie również jasno sprawę, że w obecnej chwili musi okazać surową, cnotliwą powagę. Ponieważ słowa w takich wypadkach bywają niebezpieczne, jako że można je rozmaicie tłumaczyć, potrząsała tylko głową tak długo i tak silnie, aż wyswobodziła brodę z uścisku łapy Smoka. Jednocześnie wpiła się znieruchomiałym spojrzeniem swych pozbawionych blasku, wielkich oczu w sprawcę zamachu na jej cnotę i zagryzła mocno wargi błyszczącymi zębami.

Smok, zazwyczaj dosyć ciężko pojmujący, tym razem zrozumiał natychmiast, że nic tu nie uzyska, sądził nawet, że wie, dlaczego — odczuł pewne zawstydzenie, a nawet pewne uznanie dla dziewczyny za to, że tak wyraźnie oznaczyła granicę i przeszkodziła mu polować w rewirze jego szwagra. Roześmiał się dobrodusznie i poklepał Lizę po ramieniu:

— Aj! Aj! A to dopiero surowość!... O, już rozumiem... nie wczoraj na świat przyszedłem... Wszystko zachowujemy dla młynarza... i słusznie... jesteś dzielna dziewczyna... i wierna majstrowi, dam ci to na piśmie!

Przyrzekłszy to, chwycił laskę i kapelusz i chwiejąc się na nogach, wybiegł.

Na połowie drogi między młynem a Smoczym Dworem przystanął, aby ochłonać z zadyszenia i pofilozofować trochę. Był zawsze zwolennikiem myślenia. Toteż jednym okiem spoglądał na młyn na wzgórzu, gdzie przebywała Liza, drugim zaś na rodzinny dom, gdzie matka oczekiwała go teraz z niecierpliwością. Zerkając tak w obie strony, wyraził swe myśli z wyrozumiałym humorem życiowego mędrca w następujących słowach:

„Stara nie utrzyma się na widowni... he, he... nadaremno wysuwa swą Zajęczą Anę i swą chrześnicę, tę małą Karen Peersen!... Mój Boże!... Liza wspaniale daje sobie radę. Jakub byłby chyba naprawdę wariatem, gdyby przyjął jeszcze jedną dziewczynę, która by kosztowała ciężkie pieniądze, a oprócz tego kręciła się wszędzie, podglądała i plotkowała... Nie, to by wcale nie dogadzało Jakubowi! O nie! Mądra szelma... Znacznie lepiej mu się wiedzie, aniżeli gdyby się ożenił!”

Smok nie był poplecznikiem świętego stanu małżeńskiego. To właśnie było ustawiczną przyczyną domowych kłótni pomiędzy nim i matką — kłótni, które właściwie tylko matka prowadziła w zaczepnej formie aluzji, wyrzutów, kazań, a nawet bezpo-

średnich małżeńskich propozycji. Odbijało się to bezskutecznie o grubą skórę Smoka, który niekiedy tylko doznawał uczucia niemiłego swędzenia. Dziedziczka coraz bardziej się gniewała z tego powodu, że Henryk, chociaż przekroczył już trzydziestkę, nie myślał o tym, by się odmienić i zapewnić Smoczemu Dworowi prawowitego dziedzica. Podczas każdego takiego ataku Smok wspominał swoje ulubione wycieczki do stolicy i owe sto marek, wydane „ni na to, ni na owo”. Żywił zaś usprawiedliwione poniekąd wątpliwości, czy pani domu nie sprzeciwiłaby się poważnie takim wyprawom ze Smoczego Dworu do Kopenhagi. Przecie już z matką musiał stoczyć niejeden bój, zanim uznała konieczność tych „podróży handlowych”.

I filozofujący Smok mruknął z westchnieniem, ruszając ociężałym krokiem w dalszą drogę.

— Znacznie lepiej, aniżeli gdyby się ożenił... i dam mu to na piśmie!

VII

Koło kuźni w Kirkeby, gdzie droga, wiodąca ku północy do lasu na Sundzie i w kierunku bagnisk Virket, skręcała od głównego gościńca, Liza zatrzymała konia, ściągając w swej ambicji woźnicy znacznie silniej cugłę, niż należało. Kazała tu wysiąść gamoniowatemu chłopakowi, którego podwiozła kawałek drogi od Smoczego Dworu ku jego rodzinnemu domowi.

Liza nie szczędziła starań, by wyzyskać praktycznie te dwadzieścia minut, które musiała spędzić w jego towarzystwie. Zadawała mu rozmaite pytania, odnoszące się do wewnętrznych stosunków panujących w Smoczym Dworze — zadawała je rozważnie, na pozór przypadkowo, nawiązując ciągle do niego samego i okazując jawnie życzliwe zainteresowanie się jego własnym losem. Nie chciała, by smyk opowiadał nazajutrz, że Liza kłusowniczancka wzięła go na spytki. Niebawem jednak okazało się, że z głupawego chłopaka niewiele więcej można wycisnąć taką dyplomatyczną metodą, aniżeli na przykład ze zwyczajnej podwórzowej studni przez delikatne poruszanie dźwigni. Toteż odetchnęła swobodniej, gdy nareszcie odbiegł truchtem, i skręciwszy z gościńca, popędziła po miękkiej drodze, głośno trzaskając biczem. Teraz dopiero rozpoczynała własną przejażdżkę.

Tępy ucisk złego humoru, który gnębił ją przez cały przedpołudnia, zniknął teraz zupełnie, jak gdyby był jedynie skutkiem zaduchu w izbie; świeży, chłodny listopadowy wiatr, rumieniący jej policzki, zwał go doszczętnie.

Podczas samotnego pobytu w młynie czuła się opuszczona. Młynarz umknął do panny z leśniczówki. Siedziała *bezczyinnie*, poddając się losowi. Teraz natomiast *działała!* Jechała do niego, do owej leśniczówki, o której tyle słyszała, nie widząc jej jeszcze nigdy, a którą teraz zamierzała pilnie obejrzeć z zewnątrz i wewnątrz. Leśniczówka wydawała się jej zawsze czymś bardzo odległym, niedostępnym i tajemniczo groźnym. Pomyśl, by skorzystać z nadarzającej się okazji i wdrzeć się do wnętrza, powzięła błyskawicznie, kiedy Smok wspomniał o stojącym bezużytecznie wózku i o szwedzie próżnującym w stajni i z dnia na dzień pokrywającym się grubszą warstwą tłuszczu.

„Gdybym ja zaprzęła szkapę do wozu — pomyślała — to by konisko wypociło z siebie trochę niepotrzebnego tłuszczu”. W ślad za tym nasunęła się natychmiast druga owocna myśl: czemuż by nie zaprząć go do wózka i nie pojechać do matki, a potem do leśniczówki? I tak się też stało — jechała. Doznawała jakiegoś niejasnego wrażenia, że dzięki temu zamierzonemu wtargnięciu do nieznannej leśniczówki uzyska istotną korzyść; już to samo, że zabrałaby chłopca i uprowadziła z leśniczówki, byłoby niejako zadatkem zwycięstwa; a wiedziała również z całą pewnością, jaką odpowiedź zawiezie do Smoczego Dworu: młynarz nie potrzebuje drugiej służącej, a chrześnica jego teściowej, piękna Karen Peersen, może objąć tę inną proponowaną jej służbę — w młynie na wzgórzu nie ma dla niej miejsca!

Roześmiała się głośno, pomyślawszy, jak to szczęśliwie los zrzędził, że atak podagry rzucił panią Andersen na łożo boleści właśnie w chwili, kiedy swobodne używanie członków było jej najbardziej potrzebne. Albowiem ten nowy, podstępny zamach wprowadzenia do młyna młodziutki, ładnej dziewczyny, i to jeszcze własnej chrześnicy, kiedy próba z brzydką Zajęczą Aną zawiodła, był niewątpliwie planem, który dziedziczka wypie-

ściła w myślach i w którym pokładała wielkie nadzieje, licząc, że w ten sposób podwójnie odegra to, co utraciła.

He, he, widocznie dobrze lamało ją w kościach, skoro musiała wreszcie położyć się do łóżka — taki potwór jest wytrzymały i niełatwo ulega cierpieniu — doznawała zapewne piekielnych bólów, a Liza życzyła jej tego z całego serca! I niewątpliwie dręczyły ją złe przecucia, kiedy powierzała tę delikatną misję swemu tępemu synalkowi! Te złe przecucia sprawdziły się całkowicie, albowiem Smok wysypał się doszczętnie. Bo oto ona właśnie, znienawidzona Liza kłusowniczanica, przeciwko której wymierzono ten sprytny cios, ona właśnie jechała teraz jako wysłanniczka Smoczego Dworu, by przeprowadzić tę całą sprawę. A tam w Smoczym Dworze stara potwora wie już o tym i leży na obolałym grzbiecie, i ściga ją podczas tej drogi myślami, które są bardziej bolesne niż łamanie w kościach. W tym tkwił niesłychany komizm, który lechtał Lizę i wywoływał wesoly śmiech na jej ustach.

— Hej... hej... thusty szwedzie! Dalej! Naprzód! Jedziemy do leśniczówki, aby dogodzić dziedzicze, jak się patrzy!

Ale najpierw na prawo, na bagniska — do starego gniazda, siedziby rodu Vibe! Zmęczona i przygnębiona, jeszcze niedawno mniemała, że musi zaniechać tej dalekiej wędrówki, wtem jak zesłany z nieba zjawił się Smok, doskonały wózek, przyjemne sprężynowe poduszki, lejce i bicz. Tuż przed nią kłusował konik, którego kształtny korpus, rozwiana grzywa i kołyszący się ogon pieściły oko, który wydawał się niejako ładną zabawką i który, przynajmniej tymczasem, był niejako jej własnością. Z tyłu poza nią stały upakowane troskliwie w wymoszczonym słomą wózku słoje z konserwami, leżały wielkie chleby, parę koszyków z jabłkami i śliwkami — wystarczający na całą zimę zapas dla gniazda Vibów — dziesięćkroć tyle, ile mogłaby udźwignąć z największym wysiłkiem, gdyby szła pieszo. Tu zaś siedziała ona sama, powożąc, jak gdyby wózek i koń do niej należały, jak gdyby już była młynarką! O, skoro nią zostanie, kupi sobie także taki zgrabny wózek i często będzie jeździć na bagniska, wożąc liczne smaczne kąski do domu, gdzie spędziła dziecinne lata. Dzięki podnieceniu wyobraźni wydawało się jej, że jest to już naprawdę początek, pierwsza z tych niezliczonych dobroczynnych jazd.

Jadąc w ten sposób, wyglądała na młynarkę ze wzgórze. I musi nią zostać — tak dalek trwać nie może! Wszak ostatnie, uszczypliwe słowa Smoka mówiły wyraźnie, czym jest jej obecne stanowisko w młynie dla oczu świata. Co pomoże cnotliwość? Uważano ją po prostu za nałożnicę młynarza. Ale poczekajcie! — Pokażę wam, kim jestem, pokażę wam, że potrafię rządzić... nawet tobą, ty leniwy szwedzie!... Co? Nie chce ci się ruszać nogami?! Szwed zjechał z widoczną niechęcią z drogi wiodącej do lasu na Sundzie. Nie podobała mu się ta podróż zaułkami w nieznanym całkiem kierunku, a jeszcze bardziej raziło go coraz większe pogarszanie się drogi. Już przed chwilą jechało się gorzej i bardziej miękko aniżeli po gościńcu, ale ta boczna dróżka, przecinająca zagajnik i kierująca się ku bagniskom, była już chyba najgorsza. Była to nie droga, lecz wyżłobiona koleina, wijąca się z trudem przez zeschnięte trawy i brunatne, przekwitłe wrzosa, między kępami wikliny i brzozowym zagajnikiem, koleina dzieląca się tu i ówdzie na odnogi zupełnie podobne do siebie, tak że każda jechało się równie źle. Wydawało się, że wszystkie są jednakowej szerokości, że wszystkie gdzieś się nagle urywają i że żadna z nich nie wiedzie do jakiejś ludzkiej siedziby, gdzie by biedne konisko mogło odpocząć po zdjęciu uprzęży. Z każdym krokiem naprzód ziemia była coraz bardziej rozmiękła, koła wrzynały się coraz głębiej. Właściwie należało tu jechać stępą i tylko energiczny trzask bicia w rękę Lizy przymuszał szweda do szybkiego biegu.

Nagle jednak z miłą radością uczuł ściągnięcie lejców, właśnie gdy dogonił obdartego chłopaka, który toczył przed sobą beczkę na taczce. Przy każdym ruchu taczki w starej, brudnej beczce chlupotała jakaś płynna, gęsta masa, wydająca ostry zapach, który szczególnie drażnił nozdrza szweda. Parskając, wstrząsnął łbem i chciał biec dalej, ale wobec ponownego ściągnięcia cugli musiał iść powoli, krok za krokiem, wyprzedzając nieprzyjemną beczkę na długość szyi.

— Ach, to ty, Lizo — zawołał pchający taczkę mniej więcej dwunastoletni, czarniawy chłopiec, z wystającymi kośćmi policzkowymi, mięsistymi wargami i zwisającymi dużymi uszami. — Ho, ho... na wózku!... To coś nowego! Czy to koń młynarza?

— Nie — odpowiedziała Liza trochę gniewnym tonem. — Bądź co bądź, jestem tutaj.

— Hm, jaka elegantka! — rzekł chłopiec, gapiąc się na nią z podziwem.

Liza miała na sobie dosyć jeszcze nowy czarny żakiet i modny kapelusz filcowy z piórem i brązową wstążką, na rękach rękawiczki — słowem, wyglądała jak prawdziwa dama.

— Nie mogę przecie jechać w odwiedziny w tym stroju, który noszę w kuchni — odpowiedziała wyniośle. — Co słyhać w domu, Jens?

— Ach, matka leży i jęczy... po jednej stronie ciała utrzymują się reumatyczne bóle.

— Biedaczka! No, przywiozłam trochę przysmaków i owoców, aby jej zrobić przyjemność.

— O, już to samo, że tu jesteś, bardzo ją uraduje. Leżąc, wspomina ciągle o tobie.

— Doprawdy? Pocziwie matczysko!... I musi tak leżeć bez ruchu. Podczas lata mogła jeszcze wywlec się z domu, nakarmić świnię, a nawet zaprowadzić Blis na pastwisko.

Chłopiec odstawił taczkę, aby odsapnąć. Liza zatrzymała konia.

— Tak, tak — przygadawał brat — znacznie wygodniej kołysać się tak na wózku, aniżeli wozić się z tą świńską beczką.

— Robiłam to samo, kiedy byłam w twoim wieku — odpowiedziała siostra.

Robiła istotnie to samo, a zapach, tak niemile drażniący nozdrza szweda, budził w umyśle Lizy dawne wspomnienia z lat dziecińczych. Oczywiście wyobraźni widziała siebie samą w wieku ośmiu czy dziewięciu lat: odziana w lachmany obwoziła tę samą taczkę całymi milami, aby zebrać w osiedlach pomyje i odpadki kuchenne na pokarm dla poczciwej świni, która znów swym mięsem żywiła rodzinę Vibe podczas zimy. Wszystko, co Peer ustrzelił, niesiono szybko do pasera handlarza i wymieniano na gotówkę. W lecie, kiedy biegła na bosaka, dokuczalo jej bardzo gorąco, zwłaszcza podczas powrotu; koło wrzynało się głęboko w bagnistą ziemię, a pot spływający z włosów zalewał oczy, trzymając bowiem obiema rękami mocno rękojeści taczki, nie mogła otrzeć go z czoła; późną jesienią niezgrabne drewniane chodaki uciskały jej nogi, a pięści, zaciśnięte na rękojeści, stawały się fioletowe z zimna.

— Tak, tak — powtórzyła, kiwając głową — wtedy byłam nawet jeszcze młodsza i mniej silna niżeli ty. Dokąd chodziłeś dzisiaj, Jens?

Brat wyliczył rozmaite osiedla, napluł w garści i podźwignął taczkę.

— Porządna wędrownka! — przyświadczyła Liza i zakrzyknąwszy: — No, jazda, dalej! — ruszyła z miejsca.

O tak! Znała dobrze tę drogę, widziała osiedla wyraźnie, jak gdyby dopiero wczoraj objeżdżała je z beczką na świńskie pomyje — zresztą przeważnie nie była w nich nigdy później — oczywiście wyobraźni oglądała jeszcze raz ich właściwości i osobliwości, a jednocześnie drżącymi nozdrzami wciągała ciężarny wspomnieniem zapach z tej samej beczki. Ogarnęło ją niezwykle, pełne tęsknoty wzruszenie, jakie nieraz ogarnia ludzi, kiedy wyraziście i żywo staną im przed oczyma wspomnienia z owych spokojnych lat dzieciństwa, z tych dni szczęśliwych, które, radosne terazniejszą chwilą, płyną bez troski o przyszłość, o zdobywanie, o karierę. Siedząc dumnie na wózku, spoglądała zazdrosnym okiem na samą siebie z owego czasu, na dziecko pchające taczkę, dziecko zawsze wesołe, jeśli tylko głód i chłód mu nie doskwierały.

Ale nie wyraziła słowami tej sentymentalnej tęsknoty. Raczej oświadczyła rozważnie, kiwając głową:

— Otóż widzisz, Jens! Tak wędrowałam niegdyś, a tak jeżdżę teraz. Oto, do czego doprowadza człowiek, jeżeli wyteży siłę i wolę... Jakże tam w szkole? Uczysz się pilnie?

Jens oświadczył niezbyt pewnym głosem, że dokłada starań.

— Zwłaszcza pilnij rachunków! Czytanie i pisanie jest także ważne... wszystko inne głupstwo... co nas obchodzą te historie o Abrahamie i Mojżeszu, i Dawidzie, i jak się tam jeszcze nazywają!

Brat roześmiał się uradowany — przytakiwał jej z całego serca.

— Tak, ale rachunki: to najważniejsze. Czy umiesz dobrze tabliczkę mnożenia? Gadaj! Jens zdał egzamin dosyć szczęśliwie.

— Nie najgorzej — osądziła Liza. — Ale potrzeba jeszcze większej pewności siebie! Więc ucz się pilnie! Zrobię ci parę rękawiczek, aby ci nie marzły ręce... już coraz chłodniej... Ale teraz trzeba jechać... no, jazda, szwedzie!

VIII

Rodzinnym gniazdem Vibów była bardzo nędzna chałupa. Wydawało się, że tylko dlatego jeszcze stoi, ponieważ przygięła się zupełnie do ziemi i trudno jej było się przewrócić: a może nie wiedziała też, w którą stronę się walić.

Z krzywych, jakby rozpuchłych ścian sterczały zmurszałe belki, pogniłe sitowie i spękana glina, zaledwie tu i ówdzie widniał brudny kawałek odpadającego tynku; maleńkie, bojące się światła okienka, pokrywał przeważnie papier natłuszczony olejem, gdzie zaś pozostały jeszcze szybki, tam były one tak podobne do najzwyczajszego szkła jak gnijąca kałuża do powierzchni dobrze utrzymanego stawu; drzwi, ledwie wiszące na zardzewiałych zawiasach, kołysały się, skrzypiąc przeraźliwie pod wpływem każdego podmuchu wiatru; zapadnięta, omszała strzecha świeciła latami wszelakich kolorów, od jasnożółtego do matowobrazowego, na narożniku zaś sterczało przez dziurę belkowanie dachu i przypominało swym wyglądem szkielec — cała chata sprawiała przykre wrażenie ruiny, ale nie posiadała nic malowniczego, nie mówiąc już o romantycznych pierwiastkach, jakie często dojrzeć można w niszczejących budowlach.

Jednak Liza od lat najmłodszych przyzwyczała się do tego widoku, więc nie oczekiwała nic innego — i raczej byłaby niemile zdumiona, gdyby na miejscu gniazda ujrziała przyzwoicie odbudowany dom.

I dom rodzinny taki, jaki był, zgotował jej gorące powitanie, tak gorące, że chwijającym się na zawiasach drzwiom groziło poważne niebezpieczeństwo. Zaledwie wózek się zatrzymał, wypadło z domu troje dziewcząt różnego wieku, ale wszystkie wyglądające na podlotki z tego okresu dojrzewania, kiedy rozrost ciała ściga wybujale nad miarę kończyny. Wszystkie były czarnowłose, blade, miały wystające kości policzkowe i mięsiste, odstające wargi, wszystkie były ubrane w poplamione, dziurawe i łatane sukienki w każdym kierunku za krótkie. I wszystkie wrzeszczały jak dzicy Indianie:

Czy to naprawdę ona? Skąd przybywa? Czemu nie odwiedzała ich tak dawno? Czy pozostanie aż do wieczora? Skąd wzięła wózek? Czy to koń młynarza? Czy takie bydlę dobrze ciągnie? Czy pozwoli im przejechać się? Co leży tam w tyle wózka? Czy to wszystko dla nich?

Wszystkie te zapytania zagłuszał tryumfujący okrzyk najmłodszej:

— Wygrałam zakład, Lono! Będę dzisiaj spać w łóżku, a ty na podłodze, aha!

— Uciszcie się nareszcie, przeklęte diablisko! A to można oszaleć, słuchając waszych pytań i wrzasków! — zawołała wesoło Liza i zeskoczyła z wózka.

Natychmiast zniknęła w potrójnym uścisku, a pocałunki zamknęły jej usta. Tymczasem w drzwiach ukazała się twarz Peera, również rozjaśniona powitalnym grymasem, o ile pozwalała na to wisząca w zębach fajka. Ale musiał ją szybko wyjąć z ust, aby podać wiadomość do izby znajdującej się obok kuchni. Odziedziczony po przodkach, wyostrzony słuch pozwolił Lizie dosłyszeć podniecony głos matki.

Istotnie, gdyby gniazdo na bagnisku było naprawdę zbójcekim gniazdem i gdyby Liza powróciła z rozbójniczej wyprawy, zdobywając w niej konia i wózek, i wszystko, co się w nim znajdowało, i przewożąc następnie cały łup do domu wśród tysięcznych niebezpieczeństw — z pewnością nie witano by jej bardziej radośnie. Wśród Vibów panowała gorąca miłość rodzinna, właściwa drapieżnym zwierzętom.

— Uf! Do diaska! — zawołała najmłodsza psotnica, podnosząc w górę dłoń, którą poklepała zad koński. — No, przeszedł dobrą łaźnię parową!

— Lepiej wzięłabyś garść siana i wytarła go porządnie... a ty Lono, podaj derkę leżącą z tyłu na wózku i nakryj go, aby się nie przeziębził... jest tam również worek z obrokiem... bydlę musi podjeść, bo czeka nas jeszcze daleka droga... ale, oczywiście najpierw trzeba go napoić... dajcie wody... nie, nie mogą pozostać... najdłużej godzinę... najdłużej!... Nie ruszaj, Mario, tych prowiantów, wypakujemy je zaraz, przyniesiesz tylko prędko wody!

Liza ściągnęła szybko rękawiczki. Rozluźniła i wyjęła uździenicę z pyska konia i zręcznym ruchem przesunęła w tył kantar. Szwed pochylił łeb, dmuchnął nozdrzami w otwarty worek z obrokiem, leżący przed nim, tak że sieczka i suche liście brzoźowe zatańczyły na ziemi, a potem potrząsnął grzywą, gdy Liza poklepała go ręką po mokrym karku.

— Tak, to wystarczy — zawołała Liza na najmłodszą siostrę, która obrabiała wiechciem siana tył konia tak mocno, jak gdyby szorowała kocioł. — Teraz spuść postronki

i przelóż je pod pas na grzbiecie, aby koń nie nastąpił na nie... I prędko przynosicie wodę, wy małpie ogony, a nie rozleście wszystkiego po drodze!

Obie starsze siostry wyciągnęły żurawiem wiadro wody ze studni. Ponieważ przybycie Lizy wprawiło je w doskonały humor, więc ostrzeżenie wypowiedziane przez Lizę nie było bynajmniej zbyteczne. W każdym razie wiadro było jeszcze napełnione do połowy, gdy podstawiono je szwedowi.

— Patrzcie tylko, jakie to grymaśne bydlę! Widocznie nie jest zadowolony z tego cośmy mu podały — zawołała z wielkim oburzeniem najstarsza, Maria.

Istotnie, szwedowi nie podobał się napój. Dzięki wrodzonemu całej końskiej rodzinie zamiłowaniu do czystości i wybrednemu smakowi zauważył od razu, skoro tylko wsadził pysk w wiadro, że ta woda nie umywa się wcale do napoju ze studni w Smoczym Dworze i jest naprawdę bardzo niedobra. Toteż podniósł szybko łeb, zaledwie zwilżywszy sierść wokół nozdrzy.

I Liza obraziła się teraz. Był to despekt dla jej rodzicielskiego domu.

— Pij albo nie pij, jak ci się podoba — zawołała. — Nie dostaniesz nic innego!

Było to niepotrzebne zgoła zapewnienie. Szwed sam doszedł już do tego przekonania, chciało mu się pić, i to bardzo. Więc zdecydował się nareszcie, wsadził ponownie głowę w wiadro i chleptał ostrożnie wyciągniętym ozorem taką ilość pogardzanej cieczy, jak była niezbędna, by zaspokoić pragnienie. Kiedy podniósł ociekającą kroplami mordę, w wiadrze pozostało jeszcze dużo wody.

Tymczasem przyniesiono z kuchni niską ławeczkę, odstawiono na bok wiadro i na tej podstawie umieszczono torbę z obrokiem. Czworo dziewcząt wykonywało to wszystko przy akompaniamencie rozmaitych nieartykułowanych, nieuprzejmym, gniewnym odgłosów pogardy; cztery pary ciemnych oczu spoglądały ze złością na konia, błyskawicznie gniewu zmąciły ich matowość. Przedmiot tej wrogiej demonstracji zerkał cichutko, udając, iż nic nie dostrzega, aczkolwiek rozumiał dobrze, że się na niego gniewają.

— Jedz, szwedzie, skoro nie chcesz pić! Sieczka i owies pochodzą ze Smoczego Dworu, więc dogodzą chyba twemu podniebieniu!

Powiedziawszy to, Liza naciągnęła pofałdowaną derkę na grzbiecie grzesznika, aby go możliwie zabezpieczyć przed zimnym wiatrem, i zwróciła się ku Marii, która właśnie wyjęła z wózka szynkę i wykrzywiając się, i wrzeszcząc, wywijając ją w powietrzu jak dzikus maczugą.

— A cóż się dzieje z naszą szynką? Czy rośnie? Muszę przecie zobaczyć!

Uniosła nieco spódnicę i pobiegła ku drewnianej zagrodzie, z której otworu wysuwał się różowy świński ryj. Pochyliła się ponad niską ścianą i zapewniała chrząkającą obywatelkę świńską, że Jens przybędzie niebawem, wioząc całą beczkę doskonałych, bardzo smakowitych pomyj.

— Okazowa sztuka! — oświadczyła. — A Blis? Gdzież ona?... Ach, tutaj!... Blis! Blis!

Spoglądała teraz ku niedalekim zaroślom brzoźowym, pokrytym jeszcze przeważnie ozdobą listowia. Poza tą złotawej barwy zasłoną ruszało się wielkie, czerwone cielsko, a jednocześnie ozwało się głębokie: „Muu! Muu!”

— Poznała mnie! Czy słyszycie? Blis poznała mój głos! — zawołała Liza z zachwytem i wzruszeniem i pobiegła ku krzakom.

Nie dziw zresztą, że pragnęła odwiedzić Blis. Krowa ta była nie tylko dumą domu Vibów, ale także, obok świni, ich żywicielką. Ale świni zmieniały się ustawicznie, a Blis pozostawała. Więc Blis była niemal jak święta, jak krowa chodząca dostojnie w hinduskiej świątyni wśród tysiąca kolumn.

Kiedy Liza wróciła wreszcie z tej niemal rytualnej wędrówki do pocziwego bydlęcia, sprawdziła przede wszystkim, czy szwed zajada chętnie obrok, a stwierdziwszy to, uspokoiła się, albowiem — jak wyznała Marii — żywiła obawę, czy przypadkiem nie zajeżdża konia i czy nie to jest powodem, że nie chce pić. Potem poprosiła siostry, aby pomogły jej przenieść przywiezione prowianty, wzięła sama niewielką paczkę z siedzenia wózka i weszła do domu.

W przedniej izbie, w kuchni, zastała Peera, który palił spokojnie fajkę z dużą rzeźbioną drewnianą głową i wyplatał koszyk z wikliny, pokrywającej wysokim stosem połowę podłogi. Tak bowiem jak św. Paweł, będąc właściwie apostołem, zajmował się w mieszczkańskim życiu wyrobem namiotów, podobnie Peer Vibe, właściwie kłusownik, poświęcał

się w mieszczańskim charakterze wyplataniu koszyków. Gęste zarośla wikliny, krzewiące się niemal wszędzie na bagniskach Virket, sprawiały, że zajęcie to zyskało w rodzinie Vibów niemal takie same prawo obywatelstwa jak tradycyjne kłusownictwo w lasach otaczających bagna. Nie wiadomo, czy współcześni św. Pawłowi koczownicy cenili bardzo jego namioty, natomiast pewne jest, że koszyki Peera nie cieszyły się zbytnim powodzeniem, a najlepszym tego dowodem było, że Liza nie zaspokajała nigdy w warsztacie brata gospodarczych potrzeb młyna w tym zakresie.

Mimo to Liza przyjrzała się uważnie jego pracy, zapytała, czy wiklina w tym roku jest giętka i elastyczna, pochwaliła brata za pilność, a wreszcie rzuciła mu na kolana przyniesioną paczkę.

— Oto są twoje skarpetki... chociaż, co prawda, nie zasłużyłeś na nie... Zresztą pojedź ze mną i odprowadź mnie... muszę jeszcze zboczyć do lasu na Sundzie, bo młynarz jest w leśniczówce, a ja wiozę wiadomość do niego... Pojedziesz ze mną! Chciałabym pomówić z tobą.

Peer skinął głową, a Liza przeszła do następnej izby, skąd już wołała ją matka zniecierpliwionym głosem.

Izba ta, która wraz z kuchnią wypełniała cały domek, wyglądała jak kazamata¹⁶. Tutaj sypiała stara i trzy córki, z których jedna musiała się zadowalać siennikiem ze słomą, a dwie inne dzieliły się łóżkiem. Peer nocował w kuchni, skąd wygodniej mógł wyruszać na swoje nocne wyprawy. Jens miał legowisko na górcie pod dachem. Wszystko w domu Vibów było należycie uregulowane i przystojnie podzielone.

Ponieważ w kuchni obie połowy drzwi wiodących na zewnątrz stały otworem, powietrze i światło dochodziły tu bez trudu. Natomiast w kazamacie czuć było stęchłą, przez maleńkie, zaklejone częściowo papierem okno wkradało się tak niewiele światła, że Liza, wszedłszy do wnętrza, niewyraźnie tylko dojrzała w półmroku tak dobrze znajome jej oblicze, które wzniosło się w kącie ponad poduszki i wychylając się z cieni, wyglądało niesamowicie blade i trupio — kości policzkowe i podbródek bieleły się, oczodoły i usta tworzyły czarne plamy, a wszystko otaczała szara rama posiwiałych kosmyków włosów. Twarz ta kryła w sobie zawsze, a zwłaszcza w tym oświetleniu coś niereczywistego, coś wiedźmowatego, a w każdym razie coś, co nie godziło się ani z charakterem Danii, ani z charakterem współczesnej epoki. Twarz ta pochodziła z jeszcze bardziej nędznego i bardziej odległego gniazda w południowej części wyspy. Można by przypuścić, że w tych dalekich stronach uchowały się pod warstwą naszej kultury resztki jakiejś zaginionej, a jeszcze krzewiącej się rasy — epigoni jakiegoś nigdy niewidzianego i tylko przeczuwanego ludu, który żywił się ostrygami, otwierając je nieszlifowanym krzemienym nożem, i który pozostawił badaczom te ławice niezliczonych skorup zwanych *Kjökken-möddinger*, ludu, którego wodzowie śpią snem wiecznym pod dolmenami. I jak taki śpiący, który obudził się ze snu kamiennej epoki, odsunął na bok dolmen i wychodzi straszyc ludzi, tak wyglądała chora, kiedy wyprostowała się pod ciężką pierzyną na powitanie wchodzącej.

Liza krzyknęła cicho, bo w pierwszej chwili wydało się jej, że matka umiera. Potem objęła uściskiem ramion wychudłe ciało, wycalowała zbielałą twarz, pieściła matkę rękami i słowami:

— Gdzie boli? Tutaj?... Biedne plecy!

Zaczęła masować ostrożnie, lecz silnie ręką zbolące miejsce, czyniąc to wprawnie i bardzo zręcznie.

— O jak dobrze... jak dobrze — szeptała chora. — Tamte nie potrafią mi ulżyć... Nawet Maria naciera zbyt twardo... Wyglądasz świeżo i zdrowo! Jak gdyby orzeźwiający powiew wszedł do izby... twoje włosy pachną jesiennym liściem... o piękne, jasne włosy!

Otarła łagodnie zwiędły policzek o warkocz córki.

Liza jedyna spośród całej rodziny miała jasne włosy, a matka, której posiwiałe kosmyki były niegdyś kruczoczarne, kochała ją właśnie dlatego najbardziej, jak gdyby wskutek jakiejś perwersji smaku.

— Nie byłaś już od tak dawna... obawiałam się, że i dzisiaj nie przyjdiesz.

¹⁶kazamata — schron a. twierdza w daw. fortyfikacjach; pot. więzienie (także w formie lm: *kazamaty*). [przypis edytorski]

— Mam bardzo dużo roboty, matko... Nieraz trzeba popracować i w niedzielę, jeżeli w ciągu tygodnia nie uradzę wszystkiemu.

— Tak, tak, dużo roboty... jesteś pracowitym dzieckiem! O, trzeba baczyć pilnie, aby w młynie dobrze się działo... to dobry młyn!

— Istotnie, dobry młyn — zaśmiała się Liza. — Zobacz tylko co ci przysła!

Liza przebiegła przez kuchnię i zakrzyknęła na siostry.

Natychmiast pojawiła się procesja z Marią na czele, która kanibalskimi ruchami wywijala szynką. Na ostatku szedł Jens, który przybywszy niedawno, zapomniał o beczce pomoy i o chrząkaniu niecierpliwiejszej się świni, a zajął się koszykami, w których znajdowały się jabłka i śliwki.

Liza wzięła poduszki z drugiego łóżka i podłożyła je matce pod plecy, by mogła usiąść bardziej wyprostowana i godnie powitać uroczystą procesję. Chciwym spojrzeniem pochłaniała stara wszystkie przysmaki. Oczy jej fosforyzowały, wydawało się, że ponad ciemnymi źrenicami, matowymi jak ziemia bagniska, migają ogniki, podobne do błędnych ogników, które tańczą w ludowych baśniach ponad grobami i ukrytymi skarbami. Teraz migotały one nad rzeczywistym skarbem, nad rozłożoną przed nią daniną, jaką młyn na wzgórzu składał kłusownikemu gniazdu na bagnisku!

Liza zdjęła papierowe przykrycie ze słoja z konfiturami, siostry przyniosły z kuchni spodek i łyżeczkę. Stara pochłaniała łapczywie świeżą marmoladę z jabłek, smakowała wargami, gładziła się po brzuchu i powtarzała bez przerwy:

— O, to naprawdę dobre!

— Prawda? Młynarz jada ją również ze smakiem, nauczyłam się przyrządzać ją wedle jego gustu.

Liza była bardzo szczęśliwa, mogąc uraczyć matkę. Opowiadała, że młynarz bardzo życzliwie pozwolił jej narobić konfitur także dla matki, a kiedy dowiedział się o jej chorobie, dał bez proszenia ćwierć funta kawy, jaką sam pija przed południem; opowiadała, że kupiła szynkę za pieniądze, które wmusił jej przy tej czy innej okazji jako dodatek do płacy.

Stara słuchała z zadowoleniem, kiwała z ożywieniem głową i uśmiechała się na wpół sprytnie, na wpół naiwnie. Nie wątpiła ani przez chwilę, że Liza zwędziła te wszystkie przysmaki poza plecami swego pracodawcy — dzięki czemu zresztą stawały się jeszcze smaczniejsze i cenniejsze. Liza zauważyła i zgniewało ją to. Ale im usilniej starała się przekonać matkę o swej wielkiej uczciwości, tym szczywaniej zerknęły ciemne jak bagnisko oczy, tym pełniejsze zrozumienia były skinienia głową, tym bardziej naiwnie uśmiechały się wargi. Stara rozumiała koncept i podziwiała córkę: ta umie łączyć jak się patrzy, a wypowiada wszystko, jak gdyby to była najprawdziwsza prawda. O, taka spryciarka zajdzie daleko!

— O tak, moje dziecko... podziękuj serdecznie młynarzowi... temu dobremu młynarzowi.

Powtórzyła ostatnie słowa pieszczotliwym, dziecięcym tonem, jak gdyby przeżuwała najsmaczniejszy kąsek i pragnęła wycisnąć zeń całą słodycz. A jednocześnie zachichotała i przymrużyła figlarnie oczy.

— A czy dobry młynarz... nie pożąda także dobrej młynarki?... He? Czy nie zamierza niebawem osadzić mojej Lizki jako pani w młynie?

— Ach, czyż ja wiem? Nie zwracaj sobie tym głowy, matko! — szepnęła Liza, bardzo zdziwiona, że matka przemyśliwa o tym. Albowiem Jörgen był dotąd jedynym człowiekiem, przed którym nie ukrywała swoich planów.

Szczęście przynajmniej, że psotnice nie były przy tym obecne!

— A czemuż by nie? Byłabyś ładną młynarką... tamta, która umarła, nie była ładna... teraz poszuka sobie ładnej... a gdzież znajdzie ładniejszą?... Takie włosy jak jedwab, jak złoto... skąd się to wzięło?... Tamte mają włos twardy i gruby jak końskie włosie... wszyscyśmy mieli takie włosy... i to czarne... Twoje są miękkie i jasne... A dobry młynarz... jak mówią ludzie... jest pono przystojnym mężczyzną, okazałym mężczyzną... Czy i on jest blondynem?

— Nie matko, ma ciemne włosy i takąż brodę.

— Tak jak twój ojciec... ty pamiętasz go tylko siwym, ale dawniej był szatynem... i miał kuzyna... ten był blondynem... Zastrzelili go tam na Alsen... wyglądał jak bohater! Jasnowłosy był jak ty!

Oczy starej rozbłysły w oczodołach; ten błędny ogień tańczył nad grobem — nad grobem jasnowłosego bohatera, tam na Alsen. Historiozof dosłyszałby może w tym tanim patosie starej wiedźmy o spłowiejącej, czarnej grzywie, o niskim cofniętym w tył czole i o silnych kościach policzkowych — dosłyszałby może ton uwielbienia, jakie niższe rasy mimo woli okazują wyższemu typowi człowieka.

Liza nie była historiozofem, a jednak dziwiła się. Nie po raz pierwszy słyszała o tym stryju. Ale po raz pierwszy dopiero zapytała się, czy może ten jasnowłosy bohater był naprawdę jej ojcem lub czy urodziła się blondynką wskutek zapatrzenia. Czy tak, czy inaczej, była niezwykle istotą, dzieckiem miłości — tej niecodziennej miłości, o jakiej czyta się w książkach z wierszami i w kalendarzowych powieściach. A skoro zawsze wyróżniała się jako jedyny biały kruk w tym czarnym gnieździe, to widocznie w związku z tą niezwykłością oczekiwał ją także niezwykle los. Powiedziała sobie w tej chwili, że przeznaczeniem jej jest wznieść się wyżej aniżeli inne, zapewnić honor i szczęście staremu, rodzinnemu gniazdu na bagnisku.

I znowu uradowała się, że siostry diabllice nie były w tej chwili obecne w izbie.

Trzy te dorastające czarowniczki wybiegły istotnie zaraz po złożeniu darów z młyna z powrotem na dwór, aby zakrzętać się koło konia, tego tak niezwykle czworonoga na bagnach Virket. Wytrząsnęły torbę z obrokiem, naciągnęły derkę, osuwającą się z jednego boku a równocześnie klóciły się zawzięcie z sobą; klepały konia to po szyi, to po zadzie, wdrapywały się na wózek i strzelały z bicia, najmłodsza zaś stanęła naprzeciw konia z brzozową witką w garści i wywijiała nią nieustannie koło uszu swej ofiary pod błahym pozorem odpędzania kilku nieszkodliwych much. Gniewało to i niepokoiło szweda, który serdecznie wzdychał i gdyby mógł, powtórzyłby ulubione szwedzkie przysłowie: „Niech cię wszyscy diabli porwą!”. Nie mógł przewidzieć, czy w pewnej chwili te istoty w spodnicach nie pogonią go, krzycząc i bijąc, poprzez bagnisko, aż do śmiertelnego zmęczenia. Z pewnym uradowaniem też powitał Jensa, który obrządziwszy świnię, przyłączył się do siostr. Co prawda i ten młodzieniec narażał go na nieprzyjemności, bo najpierw usiłował obejrzyć jego zęby, aby na tej podstawie określić i to fałszywie — jego wiek, potem zaś obmacywał i szczypał narośl na jego przedniej nodze. Ale mimo wszystko zachowywał się spokojniej aniżeli jego siostry, bo przyzwyczał się ciągnąć równo i powoli taczkę.

Oczywiście szwedowi nie podobała się cała ta gospodarka na bagnisku, gdzie dano mu brudną wodę do picia. Toteż zarżał radośnie na widok Lizy, która wyszła z domu i widocznie przygotowywała się do odjazdu. Podczas gdy siostry z Jensem ściągały derkę i zakładały orczyki. Liza własnoręcznie nałożyła mu kantar i wsadziła w pysk uździeniec. Szwed protestował przeciwko temu, dopóki mógł, kręcąc głową i zacinając zęby.

Pozornie tylko klócił się ten zacięty upór z jego pragnieniem odjazdu z tych miejsc. Szwed chciał zademonstrować, że nie pozwala obcym rządzić sobą tak łatwo jak czeladzi ze Smoczego Dworu.

IX

— Do jakiego celu ma posłużyć ta stara prochowa rura? — zapytała Liza, rozgorączkowana jeszcze swą zwycięsko zakończoną walką z koniem.

Peer wyszedł właśnie z drzwi i rozejrzawszy się — zgodnie z przyzwyczajeniem — badawczo na prawo i na lewo, zbliżał się do wózka, niosąc w ręku dosyć starą strzelbę, w lufie której tkwiła korkowa zatyczka.

— Nie zamierzasz chyba zabierać jej na wózek?

— Otóż to właśnie. Spójrz, spocznie tu w sianie tak wygodnie jak dziecko w kołysce.

— Ależ Peerze — upomniała Liza, przełożywszy wreszcie szczęśliwie niezbyt giętką uździeniec przez sprzączkę — nie wybierasz się chyba w jasny dzień na polowanie jako właściciel dóbr?

— Krótko, ale dobrze powiedziane! — odparł Peer, okrywając strzelbę sianem z miłością i troskliwością. — Tak — mruknął z zadowoleniem — teraz leży sobie tam jak ów stary Szwed... nie ten — wskazując palcem konia poprzez ramię — ale jak ów zuch,

o którym opowiadał nam niegdyś nauczyciel. Chłop wioził żołnierza ukrytego w wozie z sianem, a chociaż dragoni kłuli szablami ze wszystkich stron, dzielny wojak ani pisnął. Jak sądzę i moja strzelbina także ani piśnie.

Zaczął się wspinać na koło, a stamtąd na siedzenie wózka, powoli i ociężale jak starzejący się chłop. Kto by patrzył na jego poruszenia, nie przypuściłby, że Peer skoro zachodziła potrzeba, wdrapywał się na drzewa jak małpa. Ale dokazywał tych sztuk tylko z konieczności.

— Otóż — wyjaśniał w dalszym ciągu po tej krótkiej dygresji w dzieje Gustawa Wazy — otóż ponieważ bynajmniej mi nie dogadza włóczyć się piechotą po gościńcach ze strzelbą na ramieniu... dlatego jadę. — Te ostatnie słowa podkreślił z emfazą przez to, że opadł na siedzenie wózka tak ciężko jak worek z mąką. — Mianowicie w południowych okolicach lasu na Sundzie... no, czemu stoicie tu i gapicie się, głupie skrzaty... raczej pomóżcie... okryjcie mi nogi porządnie derką i zapnijcie skórzany fartuch wózka!... Otóż znalazłem tam wypróchniały buk... o, otwór nieduży i tylko z góry można się dostać do niego, ale dostatecznie wielki, by ukryć w nim strzelbę. Czy teraz już zwęszyłaś, Lizo?... Dzięki temu będę spokojnie spacerował, a jeżeli nawet spotkam kogoś po drodze, nie ośmieli się mnie podejrzewać.

— Ale to przecie nie jest twoja nowa angielska strzelba, Peerze!

— „Mr. Green”? Nie, nie Lizo... takiego wytwornego dżentelmena nie lokuje się w wypróchniałych drzewach. Niekiedy może on zamieszkać w twojej szafie... tacy wytworni dżentelmeni lubią się ukrywać w szafie u pięknej dziewczyny... he, he, he... Ale stara strzelba także się przyda niekiedy... więc niech będzie przygotowana w tej kryjówce... Czy wszystko pozapinane?... Porządnie?... No, to jazda!

Ale trzy siostry zaczęły krzyczeć co sił. I one także chciały pojechać do lasu.

I zaczęły już wdrapywać się z tyłu na wózek.

— Nie, nie — zawołała Liza. — Muszę pomówić z Peerem... a nie przypuszczacie chyba, by do tego były potrzebne aż trzy pary niepowołanych uszu?... Następnym razem pojedziecie ze mną... Mario, czy słyszysz?... Uważaj!

Popędziła konia, a tym razem szwed nie lenił się. Maria, stojąca na sprychach tylnego koła spadła tak gwałtownie, że wywinęła kozła. Natychmiast jednak zerwała się i dogoniła siostry biegnące za wózkiem.

— Następnym razem? Kiedyż to będzie?... Następnym razem?!

To „następnym razem” — powtarzane piskliwie i trójgłosowo: piskliwie, pytająco z zawodem, ironicznie, prawie groźnie — brzmiało w uszach Lizy niby krakanie złowróżbnego ptaka. Świadomość, że ten następny raz nie pozostaje w naszej mocy, że nie wiemy, czy następnym razem znajdziemy się na ziemi, w niebie lub w piekle — świadomość ta, tak niechętnie przyjmowana przez młodość, nagle zmroziła krew w jej żyłach.

— Następnym razem niech diabli wezmą... niech diabli wezmą... niech wezmą! — darły się za nią trzy małe diablące, wytężając resztki głosu, gdy zmęczone, bez tchu musiały wreszcie zaniechać pościgu.

— Dziewczęta naprawdę dziczeją — zauważyła Liza z niezadowoleniem, pragnąc dzięki rozmowie stłumić ogarniającą ją lodowatą grozę, jaką ten bezbożny okrzyk zbudził, nie wiadomo czemu, w jej bynajmniej niebogobojnym duchu.

— Istotnie — przytwierdził Peer — dobre wychowanie szwankuje nieco tutaj na bagnisku... chociaż wierzbowych różeg wcale nie brakuje.

Kostyczny humor brata rozproszył od razu jej niesamowity nastrój. Roześmiała się wesoło i odwróciła się, aby jeszcze raz zobaczyć siostry, które tak niewiele skorzystały z tej dogodnej sytuacji, że w pobliżu rosło tyle różeg wierzbowych.

Trzy obiecujące czarowniczkę z bagniska ujęły się za ręce i wiodły zawrotny tan, miotając się górną częścią ciała, zadzierając nosy ku niebu. Krótkie spódniczki powiewały około chudych łydek, sześć czarnych warkoczy fruwało w powietrzu. Rodzinny dom w tyle wydawał się maleńki, do połowy jakby przysłonięty mokradłami. Obok w brzozowych zaroślach mignęła łąciasta plama, a przeciągłe „muuu!” zabrzmiało jak pożegnanie.

I właśnie ten odgłos padł znowu niby czarny cień na jej duszę. Była to niewątpliwie głupia myśl, ale jednak Lizie wydawało się, że po raz ostatni usłyszała ryczenie krowy. Blis...

Dróżka, wijąca się między krzakami i chwastami, była niemal jeszcze gorsza aniżeli ta, którą przyjechała do gniazda na bagnisku, a wózek dzięki obciążeniu ciałem Peera nie stał się bynajmniej lżejszy. Szwed zmienił początkowy ożywiony trucht na spokojniejszy, potem zaczął iść stępą i zwalniał coraz bardziej, aż wreszcie włókł się noga za nogą.

Powoząca dziewczyna, która podczas jazdy w tamtą stronę ciągle zagrażała mu biczem, teraz pozwalała na to ze spokojem. Liza przygotowywała się do poważnej rozmowy.

— Czy to ty, Peerze — przerwała nagle milczenie — nawsadzałeś matce w głowę te rodzynki?

— Jakie znowu rodzynki?

— Wspomniała o tym, że mogę wyjść za młynarza.

— Mój Boże, staruszka leży bez ruchu i rozmyśla nad tym i owym, ponieważ nic lepszego robić nie może. Ja nic nie mówiłem. Znasz chyba *moją* opinię o tym młynarstwie.

— Tak jest. Czy widziałeś kiedyś potem tych dwoje?

— No tak, widziałem ich raz... było to w najbliższą niedzielę po mojej bytności w młynie na wzgórzu... Ale stali tak blisko domu, że nie mogłem podsłuchać, o czym mówią. Ale śmiali się.

— Tak... śmiali się! — powtórzyła Liza z miną człowieka, który postanowił śmiać się na ostatku.

Uznała, że śmiech jest mniej niebezpieczny aniżeli wspólne zastanawianie się nad grzesznością ludzkiej natury: śmiech znała dobrze i wiedziała, jaką ma wartość.

— Czy grała coś, kiedy powrócili do domu?

— Nie słyszałem, a pozostawałem dość długo w pobliżu.

Liza skinęła głową z zadowoleniem i podcięła biczyskiem czarny chwast rosnący na skraju drogi.

— Z tego nic nie będzie... stanie się tak, jak przewiduje matka.

Peer odwrócił się ociężałe połową ciała, by spojrzeć na nią z zadziwieniem i badawczo. Odwrócenie samej głowy było niewygodne z tego powodu, że szyję okręcił trzykrotnie wełnianym szalem.

— Więc gadajże nareszcie dziewczyno, jak daleko z nim zaszłaś?

Liza roześmiała się.

— Jeżeli tylko o to chodzi, to mogę go zaprowadzić, dokąd zechcę... Nie dawniej jak wczoraj przed południem zaścielałam właśnie łóżko młynarza, kiedy nagle ogarnęło mnie straszne znużenie... zdarza się to niekiedy w ostatnim czasie... Usiadłam na łóżku. Wtem usłyszałam, że młynarz nadchodzi. Chciałam się zerwać, ale potem rozmyślałam się, położyłam się, zamknęłam oczy i udałam, że mnie sen zmorzył wskutek zmęczenia. Wszedł do izby, stanął obok mnie... stał długo... mogłam dosłyszeć jego oddech... pochylił się nade mną, poczułam na czole jego gorące tchnienie, wydawało mi się, że widzę poprzez zamknięte powieki, jak pochłania mnie spojrzeniem, wydawało mi się, Peer, że jego oczy niby macki suwają się wzdłuż mojego ciała... wystarczyłoby podnieść się, aby go uchwycić.

— A więc do wszystkich diabłów, czemuż nie zrobiłaś tego dziewczyno?! — zawołał Peer. Był sam zrównoważonym i zimnokrwistym człowiekiem, ale takie panowanie nad sobą wydało mu się jednak bezcelowe.

Liza potrząsnęła głową i odpowiedziała z ironicznym uśmiechem i przemądrzałym wyrazem twarzy:

— To nie była właściwa droga, Peerze.

— Hm. Nie wydaje mi się to tak pewne.

— Nie, Peerze, tą drogą nie doszłabym z nim do celu.

— Naprawdę?... Bądź co bądź pokrzyżowałyby to przynajmniej plany tej z leśniczówki. Nie mogą się pobrać tak prędko... ze względu na przyzwoitość... a taka świętoszka dba bardzo o zachowanie pozorów. Rok musi upłynąć... Kiedy to młynarka umarła?... W maju?... No więc: gdybyś była w ciąży, to cały plan panny z leśniczówki, by się wydać za młynarza, wzięłby w łeb od razu.

— A potem? Czy myślisz, że potem ożeniłby się ze mną?

— Ożeniłby się, albo i nie... ale przynajmniej trzymałabyś go mocno w garści... A że jakiś tam mały bękart będzie się płątał u nas w domu, to nie ma znaczenia, kapka mleka

zawsze się znajdzie. A z młynarza, słabego dobrodusznego chłopca, wyciągnęłabyś ładny grosz...

— Słuchaj no, Peerze! — przerwała z oburzeniem Liza. — Czy dopomagałam wam uczciwie moimi drobnymi oszczędnościami, czy nie? Kiedyście kupowali Blis, kto wysupłał ostatni grosz, aby starczyło na kupno rasowej krowy? A potem, kiedy nabyłeś angielską strzelbę... nie zaprzeczam bynajmniej, że zasługujesz na najlepszą strzelbę, jaka istnieje na świecie, ponieważ umiesz jej używać, ale ta zasługa jeszcze nie wystarczy na kupienie... więc zapytuję: kto znowu dał pieniądze?...

— Tak, tak. Lizo! To wszystko prawda... wiemy o tym, cenimy twą dobroć...

— A więc czy wobec tego macie prawo żądać ode mnie, bym złożyła ofiarę z siebie dla waszej korzyści, bym poniżyła się, zmieszała z błotem?...

— Ależ nie myślałem o tym wcale... radziłem ze względu na twoje własne dobro.

— O tym pomyślę już sama; nie jestem już chyba dzieckiem, Peerze.

Jeżeli wargi Lizy po jakimś powiedzeniu zamykały się w ten sposób, że nie można było dostrzec najmniejszego błysku wielkich, białych przednich zębów, to — jak Peer wiedział już z długiego doświadczenia — lepiej było na razie nie poruszać dalej tego tematu.

Liza zmarszczyła czoło. Pograżyła się w natężonym rozmyślaniu. Plany i zamysły, nadzieje i obawy przesuwają się przez jej umysł, a ona badała je, wytężając wolę z postanowieniem urzeczywistnienia projektów. Roztargnionym spojrzeniem patrzyła na dobrze wypaszonego konia, który równym krokiem biegł między dyszlami, wyrzucając tylne nogi, machając ogonem; luźno zwisające cugle uderzały go falującym ruchem po bokach i po udach.

Nagle rozległ się gwałtowny szmer i szelest w zaroślach na skraju drogi i spłoszony kozioł przebiegł nieregularnymi, elastycznymi skokami przez krzaki malin i buczyny, wyrzucając kopytami kupę zeschniętych liści.

Szwed przeląkł się i poniósł, a Liza szybko ściągnęła cugle, usiłując nie bez trudu zahamować ten dziki galop. Peer wychylił się i spoglądał za uciekającą sarną, której jasny zad migotał jeszcze tu i ówdzie wśród zagajnika.

— Ha, ha! — zaśmiał się. — Ta zwierzyna znalazła się bliżej mojej strzelby, aniżeli sama przypuszczała!... Ale nie groziło jej niebezpieczeństwo... tak jak Jenny we wrześniu... pamiętasz?

Ale Liza nie śmiała się.

Przestała zwracać uwagę na drogę i na okolicę; jakby obudzony się ze snu, wpatrywała się w wielką, powikłaną kratę cienkich, smukłych buków, poza którą otwierał się szary horyzont i poźółkłe rżyska pól, a w dali widniała duża, biała, o spadzistym dachu wieża wiejskiego kościółka.

Tostrup. Proboszczowski las!

O tym, że droga ku Sundowi prowadzi przez proboszczowski las w Tostrup, Liza oczywiście wiedziała — wiedziała tak dawno, że wprost nie pomyślała o tym. A teraz, gdy nagle stanęła pośrodku tego lasu, który był zresztą tak niewielki, że ze wszystkich stron prześwieślały okoliczne niwy, teraz jednak doznała jakiegoś nerwowego wstrząsu. Przypomniała sobie rozmowę, którą prowadziła w mrocznej izdebce z Jörgenem na kilka godzin przed śmiercią młynarki.

— Czy i ty widziałeś ją kiedykolwiek? — spytała zupełnie nieoczekiwanie.

— Kogo? Kogoż to i ja miałem widzieć?

— Ją!

Liza wskazała biczem niewielki wzgórek po prawej stronie, porośnięty młodszą wiekiem buczyną i wyglądający tak, jak gdyby dawniej była w tym miejscu polana.

— Ach tak! Hm... tak, pewnego wieczora widziałem coś podobnego.

— Kiedy to było?

— Na wiosnę... w maju... Powiem ci nawet dokładnie: było to owego wieczoru, kiedy młynarka umarła. Myślałem właśnie wówczas, że już niedługo pociągnie; dlatego zapamiętałem to, kiedy dowiedziałem się następnego dnia, że wyzionęła ducha.

Peer zerknął w bok badawczym spojrzeniem. Nie uszły jego uwagi ziemista bledość siostry, na wpół przymknięte oczy, drżenie w kątach ust. Wytłumaczył to na swój sposób.

— Jakież to straszne! — wyszeptała wreszcie jakby sama do siebie.

— No tak, nie było to przyjemne; nie przeczę bynajmniej, że mróz przeszedł mi po kościach. Dlatego też nie zachodziłem tu później, chociaż nie braknie tu sarenek, jak widzieliśmy dopiero co.

— Nie o tym myślałam. Jest to jednakże straszna myśl, że taka kobieta... po śmierci... musi się błąkać...

Zazwyczaj Liza nie zastanawiała się wcale nad tym, co czeka człowieka po śmierci. Nie była wprawdzie niedowiarkiem. Zbyt mało zajmowała się tym wszystkim, czego nauczyła się podczas przygotowań do konfirmacji, by wątpiła we wpojone jej zasady. Trwały one w niej do tej chwili, ale nie roztrząsała ich nigdy. Niebo było gdzieś daleko w górze, piekło — gdzieś w dole. Nie wyobrażała sobie jasno ani ognia piekielnego, ani radosnego „alleluja” w niebiesiech. To było dobre dla innych, którzy mieli dość grzechów na sumieniu, by się dostać do piekła, lub dość pokory, by zdobyć sobie niebieską nagrodę. Takich głębokości i wyżyn nie pojmowała swym umysłem. Natomiast taki fakt jak upiorne błąkanie się po tym lasku z uciętą głową, kołyszącą się na barkach, rozumiała dobrze, i to ją obchodziło. Oczywiście, jej własna głowa siedziała mocno na karku, tej nikt nie mógł jej odciąć. Ale lada przypadek groził śmiercią w każdej chwili: nużby koń poniósł, przewrócił wózek, a ona strzaskałaby sobie głowę o drzewo. Poprzednio nie rozmyślała nad tym nigdy, ale teraz — może jako oddźwięk owego okrzyku siostr-wiedźm z bagna: „Następnym razem niech diabli wezmą!” — dręczyła ją ta myśl, a prócz tego jeszcze inna myśl, nieporównanie wyrazistsza, nierozłącznie związana z myślą o śmierci: „a gdybym po śmierci, tak jak *ta* tutaj w lesie, została zamknięta na zawsze w tym młynie, który całym sercem pragnę posiąść — gdybym została skazana na wieczne błąkanie się z dołu na górę, ze spichrza aż pod kaptur, gdybym się stała upiorem młyna, nie jego panią...”.

Opadła na poduszki wózka, tracąc niemal zmysły.

Klusownik strzelił znowu wzrokiem w bok, błyskawicznie się zorientował, po czym oczy jego ściemniały znowu i straciły swój blask.

— Tak, oczywiście, nie przysiągłbym na to, że ona musi się błąkać po śmierci. Widziałem coś niby białą postać w zgrzebnej, pokutniczej koszuli, ale może było to tylko przywidzenie, mgła leżała naokół, a mrok właśnie zgęstniał...

— Właśnie w owej chwili kiedy mówiliśmy o niej — szepnęła Liza.

— Kto mówił o niej?

— Jörgen i ja. Opowiadał mi, że jego ojciec widział ją kiedyś... w noc księżycową... gdy zaczął się tu na zwierzyne... Wyglądała pono właśnie tak, jak ją opisywał dziadek Jörgena. On bowiem był obecny przy egzekucji... a od tej chwili widmo jej krąży tu... jeszcze ciągle... jak gdyby...

Głos jej załamał się, a ręka trzymająca lejce zadrżała.

— No, no... niech się błąka! Czemu się tym tak przejmujesz? — zapytał brat mrukliwie. — Przecież wówczas, kiedy młynarka umarła, nie jadł nikt zatrutego ciasta.

— Peer!!

— Wiadomo, wiadomo... Pani Clausen umarła zdrowo i jak należy, wskutek uczciwej choroby, tak samo jak leśniczy, nieboszczyk Michelsen.

Porównanie to nie przyczyniło się bynajmniej do uspokojenia siostry.

— Przysięgam ci, Peer...

— Dobrze, dobrze, Lizo... umarła, pochowano ją i nikt nie zamierza dobywać jej z grobu. A jeżeli uda ci się zająć jej miejsce, to z góry daję ci błogosławieństwo.

— Uda mi się, uda... wio!

Szarpnęła lejcami i trzasnęła biczem.

— Zasiądę przy jej stole, położę się w jej łóżku, zaręczam ci, niepotrzebne mi do tego twoje błogosławieństwo. Ale mógłbyś mi nieco dopomóc, gdybyś zastrzelił Jenny.

Proboszczowski lasek pozostał już w tyle, przed nimi widniały lasy Sundu. Liza pobyła się zmory i znowu zbudziła się w niej energia.

— Aha! To w tym kierunku się posuwamy! — zaśmiał się Peer kwakającym śmiechem. — Czy ci to naprawdę pomoże?

Liza zaśmiała się szyderczo.

— Ach, czyż nie możesz tego zrozumieć... Wprawdzie powiedziałam poprzednio Jensowi, że ci wszyscy starzy głupcy, jak Mojżesz, Dawid, nic mnie nie obchodzą. Ale był

tam również taki mocny człowiek... nazywał się Samson. I kiedy mu dziewczka obcięła włosy, utracił od razu swoją wielką siłę.

— No tak, i ja się tego uczyłem.

— Czy więc jego siła nie tkwiła we włosach? Tak było istotnie. A skoro leśniczanka wywiera na niego taki wpływ...

Przerwała i wstrząsnęła głową, zauważyła bowiem, że nie potrafi wbić w ten zakuty łeb mistycznego pojmowania związku wypadków, związku, którego rozum nie dostrzegł.

— Nie, ty nie pojmiesz tego Peerze! — dodała na zakończenie.

— Nie — przytwierdził Peer tonem zawodowca, który był wprawdzie kłusownikiem, ale nie „wolnym strzelcem¹⁷”, który chciał widzieć cel przed muszką swej strzelby, a gwizdał na zaczarowane kule i na diabelskie sztuczki. — Za to pojmuję dobrze, że nie bardzo kochasz siostrę leśniczego i że chciałabyś jej dogodzić.

— I jeszcze jak! — zakrzyknęła Liza. Doznała wewnętrznej ulgi, że dzięki praktycznemu zmysłowi brata schodzi znowu na twardej grunt rzeczywistości. Krew trysnęła jej znów na blade policzki, w oczach zalsnił niesamowity, fosforyzujący blask, taki sam, jaki rozświetlał kiedy niekiedy całkiem już prawie przygasłe oczy jej matki.

— Czy chciałabym jej dogodzić?! Tej przekłętej obłudnicy, która przywołuje ciągle Pana Boga i wszystkich jego aniołów, aby mi popsuć moją grę? I książki z wierszami daje mi do czytania... a jakże, leży tam taki śmieć w pozłacanej oprawie... dostała go zapewne od jakiegoś kochanka w Kopenhadze. Wiersze jakiegoś Chrystiana Winthera¹⁸... w których ciągle mówi się o miłości... na tym i ja się rozumiem. Oczywiście głupstwa, że przykro słuchać. Nazywa się ta książka *Drzeworyty*, a nie ma w niej wcale obrazków... W kalendarzu Jörgena było ich dużo, tu nie znajdzie ani jednego! Wszystko kłamstwa i bzdury! Ale oczywiście, wystarczy to, aby głupiemu chłopu zabić ćwieka w głowę. I jak mi się narzuca... ta bezwstydnica!... No! Czy umiesz stawiać nogi? Jedziesz, czy nie?

Szwed, do którego skierowała to zapytanie, podkreślając je kilkoma cięciami bicz, umiał stawiać nogi i udowodnił to teraz, kiedy wreszcie wyjechał z kolein bagniska i lasu i stanął na porządnym gościńcu. Podkowy uderzyły z pluskiem w kałuże, błoto rozbrzydziwało się na kołach, sprężynowe poduszki wózka kołysały tak silnie oboje siedzących, że częstokroć objali się o siebie.

Peer trząsał się na wózku, ale jeszcze bardziej trząsał nim wewnętrzny śmiech.

— Brawo Lizo! — zawołał, uderzając ją dłonią w plecy jakby dla zachęty. — Wypowiedziałaś wszystko, co masz na wątrobie. To czyści żółć. Rozumiem cię, moja mała, i żywię podobne uczucia! Tobie nie wiedzie się z siostrą, mnie z bratem. Staje mi wprost na drodze, chciałby mi pomieszać szyki swoim Panem Bogiem. Bo ja także rozgrywam swoją gierkę. Oho! Nie odgadłabyś nigdy. Otóż widzisz, kłusownictwo staje się złym interesem, kiedy lata poczynają ciążyć na grzbiecie. Trzeba poszukać stałej posady, a ja chcę ją znaleźć w tym pięknym lesie — wjechali właśnie w las Sundu — jak ci się to podoba? Chcę zostać tutaj *dozorcą leśnym!* Ha, ha! Otwierasz szeroko oczy, dziewczyno! Ale to prawda. Pan szambelan nie jest bynajmniej tak głupi, jakby się wydawało, chce mi dać posadę, abym mu nie sprzątał zwierzyny sprzed nosa... tak, mam wszędzie przyjaciół i wiem, jak trawa rośnie... słyszałem już także, co sądzi o tym leśniczy Christensen. Trzeba pracować gorliwie: im więcej zwierzyny ustrzelę im w ciągu tej jesieni, tym rychlej otrzymam posadę. Zwróć na to uwagę, Lizo; czy tak, czy inaczej zawsze odnoszę korzyść: tak jest dobrze, a tak jeszcze lepiej. Jeżeli nie dostanę posady, to w imię boże! Będzie to dla mnie ostrogą do działania: upoluję więcej niż zazwyczaj i wyciągnę stąd dobry zysk. Oto, co nazywam rzetelnym obrachunkiem.

Liza pojęła dobrze, o co mu chodzi. I ona powinna także zrobić swój rzetelny obrachunek. Słowa brata otwarły jej niespodziewanie drogę do poparcia jej własnych pragnień.

¹⁷*Wolny strzelec* — opera Carla Webera z 1821 r. (tytuł oryg. *Der Freischütz*), która zapoczątkowała przełom romantyczny w muzyce niem., wykorzystując w warstwie muzycznej ludowe melodie oraz wprowadzając na scenę jako temat: ludowe wierzenia, potęgę natury, a także niesamowitość; w *Wolnym strzelcu* jednym z kluczowych bohaterów jest diabeł, Samiel, który bezpośrednio wpływa na losy i postępowanie ludzi, zaś jednym z rekwizytów są czarodziejskie, nigdy niechybiające celu srebrne kule, odlewane w nocy w lesie. [przypis edytorski]

¹⁸*Christian Winther* (1796–1876) — klasyczny liryk duński. Jego zbiór poezji *Drzeworyty* jest w Danii nadzwyczaj popularny. [przypis tłumacza]

— W takim razie zastrzel najprzód Jenny; to przymusi leśniczego, by rozważył sprawę. Skoro jego własna zwierzyna będzie narażona na niebezpieczeństwo, stanie się bardziej uległy, choćby dlatego, aby siostrzyczka nie obawiała się o zdrowie i uszczerbek jakiejś nowej Jenny, którą zacznie chować.

— To, co mówisz. Lizo... nie jest wcale głupie. Ano, zobaczymy... Prr... r! Jesteśmy na miejscu!

Liza zatrzymała konia. Peer wysiadł. Zbadawszy bystrym spojrzeniem leśną samotnię we wszystkich kierunkach, wyjął szybkim ruchem strzelbę z wózka i podszedł ku średnio wielkiemu bukowi, rosnącemu w odległości kilkudziesięciu kroków. Zniknął poza jego pnem, niebawem ukazał się w rozgałęzieniu najniższych konarów i ukrył tam swoją strzelbę.

Potem powrócił do wózka. Liza, nie ruszając się z miejsca, śledziła każde jego poruszenie z naprężoną uwagą. Już od lat najwcześniejszego dzieciństwa zawsze interesowało ją wszystko, co było związane z procederem jej brata.

Z umiejętną troskliwością, jak gdyby był stajennym od urodzenia, otulił Peer, stojąc z lewej strony wózka, nogi Lizy pleciem i zapiął skórzany fartuch.

— A więc dziękuję ci za przejażdżkę. A teraz wysłuchaj jeszcze ostatniej rady. Niejeden chybił do łani, bo chciał koniecznie upolować kozła, i wrócił do domu z próżnymi rękoma, chociaż mógł przynieść dobrą pieczeń. Bardzo to może pięknie: przeskoczyć, ale nie należy również pogardzać sprytnym podlezieniem. Więc bądź rozsądną dziewczyną i bierz, co możesz i *póki* możesz, to ci radzi Peer Vibe, a słyszałaś już w życiu niejedną gorszą radę, zaręczam ci. Smok zaś dałby ci to na piśmie... Dobranoc, Lizo!

Co powiedziawszy, zawrócił i powolnym krokiem powędrował ku domowi.

X

Zaciszna i przytulna była niska świetlica w leśniczówce, gdzie młynarz ze wzgórza i Janek siedzieli na kanapie, przy nakrytym do kawy stole, w towarzystwie pocziwego rodzeństwa. Z zewnątrz dochodził głuchy szum lasu i regularnie powtarzające się odgłosy fali uderzających z łomotem w nabrzeżne piaski. Te zharmonizowane dźwięki przyrody mieszały się mile z dobrodusznym syczeniem kociółka, którego błyszczący miedziany kadłub wznosił się na środku żelaznego pieca. Na dole w otworze popielnika migotał blask płomienia, a rozkoszne ciepło rozchodziło się w pokoju. Hanna zdjęła właśnie kociólek z pieca i nalała wodę do maszynki z kawą, którą jej Janek podał. Obaj mężczyźni zapalili fajki, aczkolwiek Hanna dowodziła, że lepiej byłoby jeszcze zaczekać i wydać pierwszej opinii o babce, jaką upiekła.

Arcydzieło to stało na środku białego obrusa w otoczeniu talerzyków i filiżanek. Młynarz, siedząc wygodnie w rogu kanapy, wydmuchiwał gęste chmury dymu i rozkoszował się tym spokojem ducha, jaki znajdował na krótko tylko w tym leśnym domku. Ruchliwy leśniczy, który nie umiał ani chwili siedzieć beczynnie, porządkował duży stos dziwnie pokrzywionych i odartych z kory gałązek dębowych i korzeni, ułożony przed nim na podłodze. Wyszukiwał i zestawiał poszczególne kawałki oraz znaczył te, które najlepiej sobie odpowiadały. Było to ulubione jego zajęcie w chwilach wypoczynku; z materiału tego sporządzał kwietniki podobne do tego, który obstawiony kwiatami mieścił się w narożniku pomiędzy kanapą i oknem. Tym razem pracował szczególnie gorliwie, aby nowy kwietnik — składający się z głównego stoliczka i z bocznych rozgałęzień w kształcie ramion lichtarza, mających mieścić poszczególne doniczki — był naprawdę ozdobą świetlicy w młynie na wzgórzu, dokąd go przeznaczał.

— To będzie moje arcydzieło — odezwał się żartobliwie.

— Nie wątpię — rzekł młynarz. — Obawiam się tylko, czy starczy kwiatów, aby go zapelnąć. Kiedy Chrystyna jeszcze żyła, było ich zawsze dużo, bo miała szczęśliwą rękę.

— Tak, to prawda, kwiaty rozwijają się pomyślnie tam, gdzie czuwa nad nimi kobieta; nas mężczyźni nie kochają widocznie... chyba, że ktoś jest ogrodnikiem! Tak samo i tutaj rozwijają się pięknie tylko dzięki Hannie... spójrz, jak to wszystko rośnie.

Wskazał cybuchem fajki stolik z kwiatami i zaśmiał się oczyma do młynarza, jak gdyby porozumiewając się z nim w zaufaniu i w tajemnicy: „Nie kłopot się, i u ciebie także wszystko rozkwitnie!”. Młynarz odpowiedział wprawdzie przytwierdzającym spojrzeniem,

ale jego uśmiech był blady i roztargniony — wcisnął się głębiej w róg kanapy i wypuścił parę gęstszych kłębow dymu.

Teraz nadeszła uroczysta chwila: pokrajano babkę piaskową, kawa parowała już w filiżankach. Gdy pokrajane kawałki położono na talerzu, zapanowała rozpacz: ciasto nie udało się, miało, jak to mówią, zakalec. Wprawdzie młynarz zapewniał, że najbardziej lubi właśnie takie, albowiem zakalec smakuje odświeżająco, ale Hanna była przekonana, że mówi on to tylko dlatego, aby ją pocieszyć. Chociaż i ona sama doznawała podobnego smakowego wrażenia. Na szczęście apetyt Janka nie budził podejrzeń pochlebstwa, a Jenny zjadła także ochotnie kawałek ciasta otrzymany z rąk Hanny. Od niej tylko przyjmowała pożywienie. Wielką wesołość wywołała gonitwa chłopca za sarną po całym pokoju. Janek chciał ją przymusić, by przyjęła od niego smaczny kasek; zwinna sarenka wymykała się ustawicznie, nierzadko przebiegając popod stołem i niemal czolgając się na brzuchu po podłodze zwyczajem zwierząt, które mają wrażliwy grzbiet i ochraniają go przed naciskiem.

— Teraz mieszasz zapewne nieraz ciężką pracę, Wilhelmie — zauważył młynarz, spojrzawszy mimo woli w okno, gdy las rozbrzmiał głośniejszym westchnieniem szumu.

Leśniczy spojrział również w tym kierunku. Ponad falującymi wierzchołkami jodeł skręcał się księżyc na nowiu niby wydęty żagielek.

— Teraz jeszcze ujdzie! Dopiero za jakieś osiem dni, kiedy księżyc się wypełni, rozpoczną się naprawdę kłusownicze noce.

— Ach, wówczas dręczy mnie zawsze obawa, gdy Wilhelm wyrusza w nocy na obchód lasu.

— No, nie ma szczególnego powodu, by się obawiać. Musiałby chyba wyniknąć jakiś ostry zatarg, żeby aż zaczęli się dobierać do mojej skóry. Ale nie jest to ani przyjemne zajęcie, ani urozmaicone, ponieważ nigdy nie można nikogo złapać. Taki łajdak wdrapie się tylko na drzewo i szukaj wiatru w polu!

— A czyż pies nie wywęszyłby ich śladów?

— Ach, psa nie mogę wcale zabierać. Ustrzeliliby go niezwłocznie.

Hektor zrozumiałwszy, że o nim mówią, stuknął ogonem w podłogę.

— Najgorszy jest ten Peer Vibe — wtrąciła Hanna — cieszy się bardzo złą sławą. Był on podobno przy tym, kiedy mordowano starego leśniczego.

— Tak, tak, to bardzo niebezpieczny gość, nie ulega wątpliwości. Gdybym się jego pozbył, łatwiej dałbym sobie radę.

— Czy to prawda, że dziewczyna, która służy u pana jest jego siostrą? — zapytała Hanna młynarza.

— Tak jest.

— Jak się zdaje, jest ona mimo to bardzo dzielną istotą. Ale nie lubię jej twarzy, chociaż jest właściwie wcale przystojna.

— Och, Liza jest bardzo dzielną dziewczyną. Niech mi ktoś pokaże drugą, która by zrobiła tyle co ona.

— Ach tak? Mimo to, Jakubie — mówił leśniczy — powinieneś być ostrożny, inaczej będziesz kiedyś żałował. To „ładna” rodzinka. Brat, najbardziej osławiony kłusownik, może nawet poniekąd morderca... ojciec i dziadek także nie lepsi... zapowietrzona dziura to gniazdo na bagnisku, stamtąd nie wyjdzie na pewno nic dobrego. Ja nie dowierzałbym jej tak bardzo.

— A więc mam jej okazywać nieufność? — zapytał młynarz.

Hanna zganiała także zbyt surowy wyrok brata. Dziewczyna nie może odpowiadać za to, co zawinili członkowie jej rodziny.

Młynarz doznawał szczególnego uczucia, gdy niespodziewanie Liza stała się tematem rozmowy. Głównie dlatego, że uświadomił sobie, iż właściwie w ciągu całego czasu ustawicznie myślał o niej najskrytszą myślą i tęsknił za nią. Była ona obecna tutaj duchem jako kontrast wdzięcznej postaci Hanny — była obecna jak ta osoba, której obrazu szuka się w czarodziejskim zwierciadle, była osią wszystkiego. Jakże wyraźnie uświadamiał sobie podczas tej rozmowy, że Lizę — córkę kłusownika — dzieli nieprzebyta przepaść przeciwieństwa od jego przyjaciół, tych z leśniczówki. Uśmiechnął się na myśl, że Liza mogłaby go okradać, ona, która wszystko trzymała w garści i która niechętnie i pod przymusem przyjmowała sprawiedliwie zapracowany dodatek do płacy. W gospodarstwie była

wierna jak szczerze złoto — to nie ulegało wątpliwości! Ale czy była mu wierna także pod innym względem? Co łączyło ją z Jörgenem? Jakub wiedział, że była zazdrosna o Hannę, że najbardziej obawiała się małżeństwa z Hanną. Jakże gwałtownie oburzała się zapewne teraz z powodu jego wizyty w leśniczówce, dokąd poszedł dzisiaj po raz pierwszy od czasu owej rozmowy w piekarni! A jeżeli powodując się rozpaczą lub może nawet chęcią zemsty, okaże się laskawsza dla Jörgena?

Ta myśl wzburzyła gwałtownie jego zmysły. Przypomniał sobie Lizę taką, jaką ujrzał wczoraj przed południem, podczas snu — widział silne, harmonijnie spływające linie jej dojrzałego dziewczęcego ciała, leżące na zasłanym do połowy łóżku, na którym spoczęła, ulegając nagłemu znużeniu wskutek pracy. Zapomniał o otaczającym go zacisznym pokoju i jego zrównoważonych, pobożnych mieszkańcach, o wiernym przyjacielu i o istocie wybranej na towarzyszkę życia — wszystkie jego myśli ześrodkowały się około tej, która najmniej nadawała się do tego właśnie otoczenia, około obrazu niemal rażącego tutaj, a odbijającego się w czarodziejskim zwierciadle.

W tym stanie ducha nie dosłyszał turkotu zajeżdżającego przed dom wózka, turkotu przygłuszonego zresztą szumem lasu i zatoki. Ale Hektor podniósł łeb i zawarczał; Janek podbiegł ku oknu i oznajmił, że przyjechała Liza.

Młynarz natychmiast ocknął się ze swoich marzeń i zerwał się na równe nogi — jak gdyby nagle w zacisznym pokoju wybuchnęła bomba. Wydało mu się, że jego zdradliwe myśli ściągnęły tu Lizę czarodziejską nicią.

— Niespodziewane odwiedziny — rzekł leśniczy, odpowiadając na zionące pustką spojrzenie swego przyjaciela. Odłożył dębowe gałęzie, które dopasowywał, i pospieszył za Jankiem, który wybiegł już z domu.

— Nie stało się chyba nic złego? — szepnęła Hanna. Niesamowity nastrój młynarza udzielił się i jej także.

— Na Boga! Czyżby pożar w młynie!

Młynarz skoczył ku drzwiom.

— Czy coś się stało Lizo?

— O, nie, proszę pana! Przywożę tylko polecenia od teściowej pana — odpowiedziała Liza. Wyskoczyła już z wózka i zajęła się gorliwie okryciem szweda derką oraz wyprzęgnięciem go, w czym pomagali jej Janek i leśniczy.

Hanna uszczęśliwiona, że jej ukochanemu młynowi na wzgórzu nie grozi niebezpieczeństwo, stanęła również w otwartych drzwiach i zaprosiła Lizę, aby ogrzała się w ciepłym pokoju — brat zajmie się już koniem. Liza niezwłocznie skorzystała z zaproszenia.

Z odpowiadającą swej roli skromnością usiadła na samym krajezku podanego jej krzesła i opuściwszy oczy, zdawała sprawę ze swego posłannictwa, podczas gdy Hanna nalewała dla niej filiżankę kawy i podawała jej parę grubych kawałków babki.

Hektor obwąchiwał nowego gościa, a Liza spróbowała pogłaskać go pieszczotliwie ręką. Ale pies zwietrzył natychmiast niechęć, jaką Liza żywiła ku myśliwskim psom — odwiecznym wrogom swej rodziny — i podwinąwszy ogon, wycofał się na legowisko pod piecem. Zaledwie ochłonęła po tym drobnym niepowodzeniu, gdy nagle coś zimnego dotknęło jej lewej, zwieszanej w dół ręki. Wstrząsnąwszy się lekkim dreszczem, spojrzała ku ziemi; spod brzegu obrusa wysuwała się długa, ostra, szarobrunatna mordka. Wielkie liliowobrunatne oczy skierowały się ku niej, a w głębokim cieniu zaśniła srebrna obróżka, dźwięcząc łagodnie i miło dzwoneczkiem.

Podczas jazdy do leśniczówki Liza rozglądała się pilnie na wszystkie strony i wyęzła ostro słuch, spodziewając się, że ujrzy gdzieś w pobliżu lub usłyszy tę sławną Jenny. Kiedy teraz nagle i niespodziewanie znalazła się oko w oko ze zwierzęciem, do którego zagłady tak namiętnie dążyła, przestraszyła się tak gwałtownie, że cofnęła się w tył wraz z krzesłem i omal nie przewróciła się na ziemię ku wielkiej ucieście Janka, który wszedł właśnie z leśniczym.

— Ależ Lizo! To tylko Jenny... ona nie gryzie!

— To moja sarenka. Opowiadałam ci o Jenny... pamiętasz... wówczas w kuchni.

— Tak jest, panienko... przepraszam bardzo za moją głupotę... bardzo miłe zwierzątko... czarujące!

Liza przemogła się i chciała także Jenny przywitać pieszczotliwym dotknięciem, ale głowa sarny zniknęła tak samo szybko, jak się ukazała, i tylko odzywający się kiedy nie-

kiedy srebrzysty dźwięk dzwonka, za każdym razem wprawiający Lizę w zakłopotanie i dławiący jej głos w krtani, wskazywał, gdzie się Jenny ukrywa.

Młynarz siedział najbliżej niej w rogu kanapy i nie patrząc na nią, targnął nerwowo brodę. Jeszcze ciągle wydawało mu się to niemal snem, że ona siedzi obok — że Liza kłusowniczanica, złodziejska córka, siedzi w tej leśniczówce, gdzie zawsze szukał przed nią schronienia i gdzie je znajdował. Podczas każdego, najdrobniejszego jej poruszenia emanował z jej włosów, z jej ubrania, z jej całej istoty jakiś szczególny wiew świeżości — surowy chłód listopadowego wichru, woń lasu, łąki i bagniska, zwiędłych liści i słonego jeziora, a wszystko przepajał zwierzęcy, zdrowy zapach jej oddechu. Ta atmosfera izolowała go w środku zacisznego, przepełnionego nieco ciężkim powietrzem pokoju, wprawiała go jak gdyby w lekkie oszołomienie. Rozumiał zaledwie najważniejsze szczegóły z tego, co Liza opowiadała.

Teraz umilkła i wypijała kawę skromnymi łyżkami.

— Tak, Lizo — odezwał się nieco przymglonym głosem — nie wiem doprawdy, co powiedzieć. Bardzo być może, że jesteś przeciążona pracą. Wczoraj przed południem zasnąłaś podczas roboty wskutek znużenia... Tak, tak... nie wiesz o tym nawet...

— O, tak, zdrzemnąłam się przez chwilę.

— Ale nie wiesz wcale o tym, że wszedłem do izby... tak twardo spałaś. Nie chciałem cię budzić... Ale teraz należy się zastanowić nad tym, nie mogę wymagać od ciebie tak wiele, ponad siły...

Filiżanka zadzwęczała na spodku, gdy Liza odstawiła ją na stół.

— Ach, nie, proszę pana, niech się pan z tym nie liczy, bardzo proszę! Był pan tak dobry i powiększył mi płacę... więc jeżeli będę otrzymywać ten dodatek... to wypadnie panu taniej aniżeli brać drugą dziewczynę. A teraz byłam właśnie tam na bagnach... zawiozłam matce konfitury, ciasto i owoce, które otrzymałam łaskawie od pana dla niej i za które ona bardzo pięknie dziękuje... i ja także dziękuję panu... A matka była bardzo chora i musi teraz ciągle leżeć... potrzeba bardzo dużo pieniędzy, więc muszę zarabiać jak najwięcej. A skoro pan zechce dać mi po temu sposobność... Ja jestem tak młoda i silna, chociaż zmęczę się trochę niekiedy, nie zaszkodzi mi to wcale i z pomocą bożą potrafię wszystkiemu podołać...

Liza rzadko uciekała się do pomocy Pana Boga, ale atmosfera domu zachęciła ją do tego i zauważyła też, że wywarło to doskonale wrażenie. Również lży dziecięcej miłości, które napłynęły jej do oczu zupełnie mimo woli, gdy wspomniała o chorej matce, przemówiły bardzo na jej korzyść w opinii dobrodusznego rodzeństwa z leśniczówki.

— Tak, tak, Lizo, skoro takie jest twoje mniemanie, to pozostawimy wszystko po staremu... mnie to zupełnie dogadza. A teraz powinnaś wracać do domu, zanim się ściemni. Więc powiedz tam w Smoczym Dworze, że dziękuję im bardzo, ale nie skorzystam z tej propozycji.

Liza powstała. Wszyscy widzieli jej pokorę i pełne wdzięczności uradowanie; nikt nie dojrzał w jej sercu tryumfującego śmiechu. Jak doskonale załatwiła zlecenie otrzymane ze Smoczego Dworu! Kto wie, jaki byłby ostateczny wynik, gdyby zamiast niej sama Smocza matka patronowała tej sprawie?

I jeszcze jedną kwestię związała ze swym odjazdem.

Czy Janek nie pojechałby z nią razem? Dziedzic martwi się bardzo o niego, ponieważ dla małego chłopca jest to daleka droga; uspokoiła go więc bardzo myśl, że chłopiec oszczędzi sobie powrotnej drogi. Dziedzic sądził także, że i babka będzie zadowolona, skoro się dowie, że Janek nie odbywał drogi w obie strony piechotą.

Ale Janek objawił energicznie niechęć, by już teraz wracać do domu — niechęć, w którą wmięsały się nawet pewne echa jego dawnej antypatii ku Lizie. Skutkiem tego przyjacielska rada Smoka nie mogła zostać uwzględniona... chyba gdyby zgodzono się na ofiarną propozycję Lizy, że pójdzie do domu piechotą. Ale młynarz o tym nie chciał słyszeć.

Stał obok dziewczyny i z przyjemnością spoglądał na jej białą szyję, wychylającą się z czarnego kołnierza płaszcza. Szyja była biała, krągła, tylko nazbyt obnażona, co nie było wskazane podczas jazdy w chłodny, wieczór listopadowy. Czy nie ma szalika, aby owinać szyję? Nie, nie ma, ale nie odczuwała bynajmniej zimna. Młynarz dowodził, że pod wieczór będzie znacznie chłodniej i że podczas powrotnej drogi wicher będzie dął wprost w jej

twarz. Na wpeł żartobliwie przypomniał, że całe gospodarstwo w młynie spoczywa na jej barkach i że nie wolno jej zaziębić się. Było to zatem zgodne z jego własnym interesem, gdy przyniósł swój wełniany szalik i uparł się, że Liza musi się nim owinąć. On sam nie odczuje braku, ponieważ byłoby za gorąco wędrować pieszo z szalikiem na szyi. Wprawdzie Hanna ofiarowała się chętnie pożyczyć własny szalik, ale nie znalazł on łaski w oczach młynarza jako nazbyt cienki. Jego szalik jest w sam raz dobry do wieczornej podróży.

I nie znosząc dalszego oporu, owinął jej własnoręcznie szyję.

XI

Już podczas sprawozdania Lizy zaświecono lampę. Gdy teraz wrócono do pokoju po jej odjeździe, mężczyźni znowu zapalili fajki. Hanna wspomniała jeszcze o niedawnym gościu, podkreślając, że Liza, jak się zdaje, jest dobrą córką i że wzmacnianie się świętych węzłów rodzinnej miłości nawet wśród takich ludzi jest nader pocieszającym objawem. Była to najwidoczniej pewnego rodzaju rewokacja, ponieważ i ona, i zwłaszcza jej brat wyrażali się niezbyt życzliwie o rodzinie Vibe. Młynarz przytwardził z ożywieniem, ale natychmiast odbiegł od tego tematu i wszczął polityczną dyskusję z Wilhelmem.

Obaj przyjaciele często i chętnie wchodzili w tę dziedzinę. Istniała pomiędzy nimi różnica przekonań, konieczna do wymiany myśli i spostrzeżeń, ale nie była ona tak głęboka, by aż wywoływała rozdzźwięki. Clausen był poniekąd „dzikim”, ale głosował z lewicą — głównie dla świętego spokoju w rodzinnym kole, ponieważ Smok był politykusem, co się zowie, gotowym zawsze dawać każdemu na piśmie, że Estrup¹⁹ będzie obalony przy najbliższej okazji: „zwali się, że aż będzie trzeszczeć, wie pan”, i nasz Alberti, szczwana sztuka, zaleje tego sadła za skórę wszystkim junkrom i profesorom, a w razie potrzeby da im to na piśmie. Natomiast leśniczy Christensen należał do prawicy — raczej z religijnych niż politycznych względów, ponieważ oburzał go niemoralny, wątpliwej wartości sojusz chłopskiej partii z bezbożnymi „Europejczykami²⁰”.

Tym razem polityczna rozmowa obu przyjaciół przybrała ostrzejszy charakter. Młynarz starał się zmóc w sobie dręczące go myśli o Lizie przez zapal, z jakim bronił sprawy lewicy: nareszcie trzeba skończyć z tym rządem, który gospodaruje tak długo bez parlamentarnego budżetu, z rządem, który jest naśladownictwem pruskich gabinetów junkierskich, lecz który nie jest odpowiedni w Danii. A mówiąc to, rozmyślał jednocześnie, dokąd też już zajechała Liza i jak dobrze się stało, że owinęła szyję jego wełnianym szalikiem.

Wbrew twierdzeniom młynarza leśniczy przepowiadał rychłą zagładę starej Danii, jeżeli chłopci nie pozbędą się energicznie tego zgubnego sojusznika, jakim są bezbożni „literaci” — ba, to już nie sojusznicy, to raczej prowodyrzy!

Ze zdziwieniem i z troską spostrzegła Hanna ten zwrot rozmowy ku poważnym, a nawet roznamiętniającym tematom, groźny dla harmonii wieczoru, i nadaremnie przemyślała, jakim by sposobem najrzęcznie wyprowadzić zaciętrzewionych mężczyzn z tej zdradliwej dziedziny.

Młynarz zauważył jej niepokój i niepewne spojrzenia, błędzące między robótką ręczną a fortepianem. Przekonał się już dostatecznie, że polityczny diabeł, choćby się najgroźniej srożył, nie zdoła wyprzeć diablika, który rozgościł się w jego istocie. Więc też ochotnie przerwał tę rozmowę.

— Słuchaj, Wilhelmie, zaniechajmy tej nudnej polityki i poprośmy raczej siostrę, aby nam coś zagrała.

— Bardzo chętnie — rzekła Hanna, podchodząc do instrumentu. Zapaliła świece, rozłożyła cienki zeszyt na pulpicie i zaczęła grać. Była to pieśń Papagena²¹.

— I cóż? — spytała, skończywszy grać i spoglądając wyczekująco na młynarza.

— Bardzo ładny kawałek.

— Tak, ale czy nie zna pan tego utworu? — pytała z dźwiękiem rozczarowania w głosie.

¹⁹Estrup — ówczesny prezydent gabinetu, stojący przez długi czas na czele parlamentarnego rządu. [przypis tłumacza]

²⁰Europejczy — nazwa literackiego odłamu ówczesnej opozycji. [przypis tłumacza]

²¹pieśń Papagena — jedna z arii z opery *Zaczarowany flet* Wolfganga Amadeusza Mozarta. [przypis edytorski]

— Nie przypominam sobie.

— A ja sądziłam, że to jest właśnie ten utwór, który pragnął pan usłyszeć jeszcze kiedyś.

— *Zaczarowany flet*? Wydaje mi się wprawdzie, że istnieje pewne podobieństwo... ale widocznie już zapomniałem.

Jeszcze jako chłopiec Jakub Clausen był pewnego razu gościem na plebani, gdy jakaś dama grała na fortepianie. Melodia, która pozostała w jego wspomnieniu pod nazwą *Zaczarowany flet*, wywarła na nim silne, długotrwałe wrażenie. Kiedy Hanna przegrywała mu to lub owo, nieraz doznawał nieokiełznanej tęsknoty, by jeszcze raz posłyszeć tę muzykę, której echo pozostało mu w duszy jako dźwiękowy cud, jako drobne objawienie z innego zupełnie świata.

Niejednokrotnie wspominał o tym w rozmowach z Hanną. Otóż Hanna przypomniała sobie przed paroma dniami, że wśród jej nut znajduje się stary rocznik muzycznego czasopisma. Wyszukała go i zaraz w pierwszym zeszycie, który wpadł jej w rękę, wyczytała tytuł *Zaczarowany flet*. Wyuczyła się porządnie tego utworu i cieszyła się bardzo na efekt, jaki wywoła. Niestety, nadzieja zawiodła.

— Ot, to zapewne ten sam kawałek — dowodził młynarz, chcąc ją pocieszyć — nie potrafiłem go tylko rozpoznać. Tyle czasu już minęło.

— Nie, czekaj pan — rzekła Hanna, przeglądając tylną okładkę zeszytu. — Widzę tu jeszcze coś innego z takim samym tytułem... Jest to utwór Mozarta, jednego z największych kompozytorów. Ma pan dobry smak.

Wydawało się niemal, że jest dumna z jego dobrego smaku.

Wyjęła z małej szafy bibliotecznego stosu nut, wyszukała wśród nich jeden zeszyt i zaczęła grać: „Jakież rozkoszne, jakie słodkie dźwięki...”

— To jest właśnie to samo! — zakrzyknął młynarz, a oblicze jego rozpromieniało dziecięcą radością. Teraz nie myślał już o Lizie; podmuch wielkiej sztuki oczyścił jego serce.

Także leśniczy, który znowu zajął się dopasowywaniem dębowych gałęzi, uśmiechnął się i z uznaniem kiwał głową, gdy tony umilkły.

— Tak, to i mnie się podoba! Wesoła melodia, brzmiąca niemal jak taneczna muzyka... a jednak słychać w niej... nie wiem, jak się wyrazić... a jednak brzmi ona, powiedziałbym, prawie jak pobożna pieśń. Z prawdziwą przyjemnością słucham takiej muzyki.

— O, mam tu jeszcze dużo takich samych utworów i gram dzisiaj z ochotą, bo palce chodzą dziwnie łatwo, chociaż po raz pierwszy dopiero czytam te nuty.

— Niestety, jest już trochę późno — wtrącił młynarz — my dwaj musimy już myśleć o powrocie.

— Szkoda, bardzo miłe jest nasze dzisiejsze spotkanie — zauważył leśniczy. — Ale oczywiście, masz słuszość, zwłaszcza ze względu na chłopca jest już nawet za późno.

— Dam dobrą radę — odezwała się Hanna, odwracając od fortepianu. — Zostaw pan Janka tutaj u nas. A gdyby pan jutro przysłał przez parobka jego rzeczy, mógłby od razu pozostać tutaj parę dni... przyrzekłam mu mianowicie, że poproszę pana o pozwolenie. Pogoda będzie nie najgorsza, bo, jak się zdaje, niebo już się wyjaśnia.

— O tak, wypogadza się — przytwierdził leśniczy, spojrzawszy przez okno.

Gdyby oboje obserwowali w tej chwili bystro młynarza, dostrzegliby ku swemu zdumieniu na jego twarzy wyraz niedającej się wytłumaczyć trwogi. Przypomniał sobie żywo ten wieczór spędzony u szwagra, kiedy taka sama propozycja stanęła przed nim jak pokuśsa. Wówczas nie zgodziłby się za żadną cenę wypuścić dziecka z rąk i pójść samotnie do domu, do Lizy. Ta niewinna istota, żyjąca spuścizna po nieboszczce żonie, była dla niego niejako anielską strażą, broniącą go w jego pokoju przed złymi duchami. Jakże inaczej niż obecnie, kiedy ten projekt obudził w nim niecierpliwe pragnienie, aby chłopca jako głos sumienia pozostawić tutaj u pobożnych przyjaciół. Zrazu przeraziło go to odkrycie, nie miał odwagi ucześcić się energicznie tej nieoczekiwanej propozycji, nie śmiał wprost podnieść oczu. Nazbyt się wstydził tej czystej duszy, która nie przeczuwając nic złego, pracowała ręką w rękę z szatanem-kusicielem i która nieświadomie popychała ku wiarołomstwu swego przyjaciela, chociaż pragnęła być jego duchem opiekuńczym.

— No, Janku, a ty co powiesz? Czy chcesz zostać u wuja Wilhelma i cioci Hanny? — zapytał bezdźwięcznie, wpatrując się w chłopca pełnym oczekiwania wzrokiem.

„Może nie objawi wielkiej ochoty — pomyślał — a w takim razie nie będę go namawiał”.

Janek jednak skakał z radości i przyrzekał, że będzie bardzo grzeczny.

— A zatem, jeżeli chłopiec nie będzie dla was ciężarem... — mruknął ojciec.

— Ach, cóż znowu, przeciwnie, bardzo nas to cieszy!

Młynarz powstał i podszedł do stojącego w rogu stolika z przyborami do palenia, aby na nowo nabić fajkę tytoniem. Hanna grała dalej. Pieśń Sarastra i uroczysta muzyka w świątyni zachwyciły rodzeństwo jeszcze bardziej niż poprzednie ustępy z opery. Umysł młynarza był nazbyt zmaćony gwałtownym podnieceniem, by niebiańskie piękno muzyki znalazło w nim oddźwięk.

XII

Liza siedziała przy oknie w swym pokoiku i pracowała z takim ponurym wyglądem twarzy, jak gdyby sporządzała jakąś zdradziecką, czarodziejską sieć. Była to jednak tylko szara, wełniana skarpetka, która wydłużała się szybko wśród migotania drutów, pracowicie poruszanych rękami. Zmierzch gęstniał.

Na dworze nocny wicher obdzierał ostatnie liście z drzew owocowych, których kontury zaledwie rysowały się jeszcze na tle nieba. Raz po raz bezlistna gałązka dzikiego wina uderzała w szyby, to znowu odzywał się jęczący krzyk sowy. Liza zaledwie dostrzegła swoje ręce. Ale to światło wystarczało jej do poruszania drutami, tak jak wystarczało Pilatusowi do mruczenia.

Kiedy czuła, że oczy jej zmęczyły się, kiedy doznawała potrzeby spojrzenia w światło, opuszczała wzrok i napotykała dwa światelka, dwie żółte źrenice, błyszczące sympatycznym dla niej blaskiem — oczy Pilatusa.

Ten wierny *spiritus familiaris* zauważył natychmiast po jej powrocie, że jego pani nie jest już tak nieprzystępna jak poprzednio; wobec tego ukazał się na widowni, co bynajmniej nie wywołało sprzeciwu, lecz rozumiało się samo przez się. Ale widocznie podczas przedpołudnia, kiedy cichutko jak mysz krył się w kąciuku, spotęgował się w nim niezwykle silnie popęd do mruczenia. Może zresztą działała jakaś inna, nieznana pobudka. Bądź co bądź mruczał teraz tak głośno, że nikt by nie uwierzył, jakoby te dźwięki wydawał kot domowy, zwykły okaz *felis domestica*. Raczej przypuszczałby, że słyszy głos panteiry, upojonej krwią po pożarciu sarny. A tej ulubionej muzyce wtórowała Liza ostrym, przenikliwym brzękiem stalowych drutów — pracując na zgubę biednej Jenny.

Albowiem Liza i teraz jeszcze, po powrocie z zakończonej tak pomyślnym wynikiem wyprawy, nie była bynajmniej w lepszym humorze aniżeli przed południem, kiedy drżał przed nią cały młyn. Niezadowolenie zmieniło jedynie charakter: wyzwoliła się z nastroju zniechęcenia. Przez zetknięcie się z rodzinnym bagniskiem Liza, jak Anteusz, spotęgowała swoje siły, zwiększyła dziesięciokrotnie swoją żywotność. Złość nie przygniatała już tak mglistą niemocą jej umysłu, skondensowała się i skierowała energicznie na zewnątrz, skutkiem czego nie zagrażała już najbliższemu otoczeniu. Nie tylko Pilatus, ale nawet Karo mógłby się zbliżyć ku niej bez obawy.

Złość Lizy wyemanowała z jej ciała.

Opowiadają o pewnym świętym buddyście, że skupiał całą siłę swego ducha, wyteżał całe napięcie i przenikał pewną określoną okolicę świata swym dobroczynnym wpływem i kojącym cierpienia współczuciem. Podobnie Liza skierowała teraz swą wolę ku północnemu zachodowi (jako dziecko kłusownicze, jako córka mokradeł i lasu miała w głowie naturalny kompas) i wpatrywała się po przekątnej, poprzez izbę i najbliższy róg kanapy w nienawistną jej stronę świata, przenikając ją swym gniewem, pogardą i pragnieniem zemsty. A potem jej wypromieniowany z ciała duch ześrodkował się w jednym jedynym punkcie i przepelnił go najintensywniejszą, rozżarzoną wściekłością: punktem tym była leśniczówka.

Teraz, kiedy znała jej wnętrze — oglądała je własnymi oczyma — pobiegła duchem tam, gdzie oni wszyscy siedzieli przy stole. Na środku stołu stała babka. Jak żółć przenika w krew i zatrzuwa mleko matki, tak jej nienawiść przepajając ciasto, zmieniłaby je w śmiertelną truciznę, gdyby niosła w tę drogę także materialne pierwiastki, a nie tylko duchową nagość. Nie zatrułaby jedynie tego kawałka, który spożywał młynarz! O,

nie! W jego ustach każdy kęs przemieniałby się na podobieństwo owych potraw i napojów, o jakich powiadał Jörgen, wtajemniczony w dzieje średniowiecza. Wówczas mądrzy ludzie, jak na przykład panna Metta, umieli je tak przyrządzać, że ktokolwiek je spożył, ulegał obłudnej i nieprzepartej namiętności. Czemuż by nie? Wszak istniały zioła, oddziaływające w taki sposób na bydło, czemuż by nie miało być ziół dla ludzi? Tamte bydłce znała — ale te inne? Dlaczego matka nie wtajemniczyła jej w to tam na bagniskach?

Tak, dla niego słodki szal zmysłów, szal bez granic, który by przygnał go tu do niej poprzez las i noc — dla wszystkich innych śmiertelna trucizna.

Dla wszystkich! Najpierw dla *tej*, której nienawidziła, jak tylko kobieta nienawidzić może rywalkę. Potem dla brata, przyrodzonego wroga jej rodziny. I dla chłopca, którego oblaśkawiła wprawdzie z wielkim trudem, ale w którego spojrzeniu czaił się jeszcze i dzisiaj ślad dawnej niechęci. Dla Hektora i dla Jenny — Peer oszczędziłby dzięki temu kulę! Nie zapomniała o nikim, nawet o obu kucykach (wrota stajni znajdowały się z prawej strony), które w tej chwili nie przeczuwając nic złego, stały w ciepłej stajni i chrupały zatruty owies. Nie zaszkodził on, oczywiście, ich silnym organizmom, tak jak w islandzkiej baśni nie zaszkodziło Sigmundowi Welsingowi zatrute piwo.

Siedziała tak, nie licząc godzin, nie zważając, że czas upływa; nie nudziła się, rozmyślając jak dziki drapieżnik nad zaspokojeniem głodu. Ręce jej mechanicznie poruszały drutami, skarpetka rosła na długość. Była już dosyć duża, by okryć męską nogę, była dość gęsta, by ogrzać ją w wysmarowanych tranem butach, zmuszonych kroczyć po bagnisku w czas jesiennej sloty. Skarpetka zwisała już tak nisko w dół, że kiedy Pilatus otarł się o nogę Lizy i podniósł łeb do góry, dotknął nosem brzegu skarpetki. Połaskotało go to tak, że kichnął.

Dopiero wówczas Liza powstała wreszcie, rozebrała się, nie zapalając światła, i położyła się do łóżka.

Nie było to trudne: trudniej było zasnąć. Rzuciła się po łóżku, tak że trzeszczało. Pilatus, który ułożył się do snu w najcieplejszym zakątku, pomiędzy komodą a kuchenną ścianą, ziewnął głośno parę razy, jak gdyby wyuszczał swoje przekonanie z wyższego punktu widzenia zwierzęcej równowagi umysłu: uspokójże się nareszcie, głupia ludzka istota, i nie przeszkadzaj mi! Czyż nie widzisz, że chce mi się spać?

Ale Liza nie uspokoiła się. Palila ją gorączka, więc odrzuciła koldrę na bok — zaczęła marznąć i przykryła się znowu. Wszak było już bardzo późno! Czy nie powrócą wcale do domu? Ach, gdyby miała tę świadomość, że młynarz leży tu obok, za ścianą, a nie przebywa u *tamtej*! Ale niełatwo wyrwać się z jej szponów! Zapewne siedzi teraz przy fortepianie i wygrywa. Liza widziała wyraźnie ten obraz oczyma duszy, chociaż bowiem siedziała tam ze skromnie opuszczonymi oczami, to jednak przyjrzała się dobrze tej czarodziejskiej skrzyni. Wtedy stała ona niema i głucha; teraz dźwięczała zapewne tonami pod dotknięciem palców tamtej.

Uczepiła się tej myśli, nie znajdując innej, okrutniejszej podniety do samoudręki. Tajemnica tej całkiem niepojętej dla niej sztuki gry na fortepianie przyczyniła się do tego, że Liza wyolbrzymiała skromną umiejętność swej rywalki do bajecznych rozmiarów — to, co nam wydawałoby się niemal czarodziejską sztuką jakiegoś Liszta, było niczym w porównaniu z potęgą, w jaką wyobraźnia Lizy wyposażyla wirtuozostwo Hanny Christensen. Pod tym względem nienawiść nieuka ku wykształceniu pogłębiała i tak już bynajmniej nie powierzchowną nienawiść Lizy ku Hannie w prawdziwą przepaść. I wpatrywała się w tę przepaść, upajając się zawrotem głowy.

Przewracała się na łóżku, gryzła poduszkę i płakała nad sobą samą, nad nieszczęśliwym, opuszczonym dzieckiem, które wyparła w cień istota nieporównanie hojniej obdarzona przez los, które odpędzono i oszukano, zabierając mu to, co mu się należało po sprawiedliwości! Jak długo jeszcze pozwolą jej sypiać na tym łóżku, zanim wygnają ją jak parszywego psa?

Ale to się nie stanie, to się nie może stać! Czyż nie doznawała podczas swego pobytu u matki uczucia przenikającego ją tak żywo, że właśnie ona, jasnowłosa córka czarnego torfowiska, jest wybrana, by wznieść się wysoko? Czyż to zetknięcie się z rodzinną ziemią nie dało jej poczucia siły i nieomyślnej pewności, że leśniczanka zawiedzie się w swych planach, o czym też zapewniała brata z całym wewnętrznym przekonaniem? Więc skądże to nagle zwątpienie? Czy wydarzyło się coś nowego od owej chwili? Czyż nie przeprowa-

dziła w leśniczówce swojej woli? Czyż nie była posłanniczką do Smoczego Dworu, niosąc z radością wieść, że młynarz nie potrzebuje drugiej służącej?

Dzięki tym rozmyśleniom odzyskała spokój — spokój, ale nie sen. Nie chciała spać. Chciała wiedzieć, kiedy młynarz z synem powrócą do domu, chociażby nawet musiały w tym celu czuwać do białego dnia.

Nie trwało to w nieskończoność, ale bądź co bądź długo.

Drzwi domu otwarły się. Nareszcie!

Słyszała, jak młynarz wszedł do sieni, a potem udał się do kuchni, gdzie zaświcił światło. Ale — nasłuchiwała, podniósłszy się na łóżku z zapartym oddechem — nie? Nie dosłyszała drobno dreptających²² kroczków Janka.

Teraz wszedł do swej sypialni obok niej — *sam!*

Serce jej uderzyło gwałtownie — oczekiwaniem, a poniekąd także trwogą.

Młynarz chodził po pokoju i widocznie nie rozbierał się. Kroki jego świadczyły o wahanii się, parokrotnie przybliżyły się ku jej drzwiom. Teraz przystanął i długo stał cicho. Wydało się jej, że słyszy westchnienie. Niewątpliwie stał tuż przy drzwiach!

Zastukał.

Przeraziła się. Nie wiedziała, czy odpowiedzieć, czy też raczej udawać mądrze, że śpi.

Drzwi otwarły się po cichu.

— Lizo, czy już śpisz?

— Tak, panie, jest już późno, jak się zdaje, dochodzi dwunasta godzina.

— Doprawdy? — Młynarz spojrział na zegarek. — Tak, niebawem wpół do dwunastej.

Stał niezdecydowany w drzwiach. Z prawej strony, nieco z tyłu, na umywalni w jego pokoju paliła się świeca, a promień światła muskał jego policzek, który wyglądał bardzo czerwono. Trzymał jeszcze ciągle w ręku zegarek i nie wiedział widocznie, co uczynić.

— Czy pan życzy sobie czegoś? Może wstać i ugotować panu herbaty?

— O nie, dziękuję.

— No więc o cóż chodzi?

Słyszając to bezpośrednie zapytanie i zniecierpliwiony ton głosu, uprzytomnił sobie z przykrością, że prawdę mówiąc, nie powinien niczego szukać w jej izbie, zwłaszcza w nocy, skoro nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Szybko schował zegarek do kieszeni, jak gdyby obudził się nagle z głębokiego zamyślenia.

— Ach... właściwie... Czy słyszałaś grzmoty?

— Nie.

— Tak, grzmi, burza nadciąga. Może lepiej, abyś wstała.

— Jeżeli pan sobie tego życzy...

— No... cóż się tu działo dzisiaj? Wesóło spędziliście dzień? — spytał młynarz, wyzbywając się niepewności w głosie, a może tylko pokrywając ją żartobliwym, życzliwym tonem.

— Ach, cóż miałoby się dziać?... To co zawsze — odpowiedziała Liza mrukliwie.

— Tak, tak... Lizo... no... ale może przecie...

Roześmiał się dobrodusznie, jak gdyby chcąc zaznaczyć, że mogłaby nastąpić pewna odmiana w codzienności życia i że można by powetować to, co dotąd zaniedbano.

— Teraz musi pan wyjść, bo chcę się ubrać — oświadczyła Liza.

Rozmawiając, uniosła się nieco, oparła się na łokciu i zakryła kołdrą piersi. Teraz poczuła mróz na plecach.

— Oczywiście, oczywiście! Już wychodzę!

Cofnął się do swego pokoju, pozostawiając drzwi na wpół otwarte.

Liza zerwała się z łóżka, narzuciła szybko na siebie najniezbędniejszy strój i podeszła ku oknu. Ponad tysiami wierzchołkami drzew niebo skrzyło się gwiazdami. Burza przeszła widocznie inną stroną. Liza uśmiechnęła się, ponieważ w ogóle nie bardzo wierzyła w tę burzę. Młynarz wpadł zapewne na ten pomysł w chwili, gdy stanął wobec konieczności wyszukania jakiegoś pozorów, bo i teraz tak jak zawsze nie potrafiłby energicznie i brutalnie zabrać się do dzieła. Ale ta rzekoma burza oddała i jej usługę, pozwoliła jej zyskać na czasie, nie tyle celem rozważgi, ile raczej celem skupienia się. Dawno już zdecydowała się,

²²dreptający — dziś: drepczący. [przypis edytorski]

jak postępować — nie trzeba było teraz namyślać się nad tym. Natomiast należało zebrać siły, by wytrwać przy powziętym postanowieniu: nie ulec.

Bez względu na rady, jakie dawał Peer, nie ulec! Jego natrętne napomnienia spotęgowały tylko jej decyzję: nie ulec, gdyby wytworzyła się taka sytuacja, jaka teraz musiała nadejść.

Oto już nadchodziła!

Drzwi skrzypaneły cicho — coraz bliżej stukwały wahające się kroki — młynarz stał obok niej. Poglaskał ją — dość ostrożnie — po twarzy. Płonęła ogniem, natomiast jego ręka była chłodna i wilgotna.

— Biedna Lizo! Jesteś zapewne bardzo śpiąca.

— Nie, wcale nie jestem śpiąca — odpowiedziała, ziewając dyskretnie.

— Nie? To dobrze, bo i mnie się spać nie chce.

— Doskonale się składa, skoro chcemy przeczekać burzę, ponieważ dotąd nie słyszałam jeszcze grzmotów.

— Nie słyszałaś?... Ha, ha, ha?

Młynarz zaśmiał się do rozpuku i poklepał ją po plecach.

— Cóż w tym śmiesznego? — zapytała Liza naiwnie.

— Ha, ha!... A to świetne!... Ha, ha, ha!... A to szelmecka!... Nie przypuszczałem tego Lizo! A to figlarz z ciebie!

— Ależ... proszę pana!

— Jak to? Czy nie wiesz tak samo dobrze jak ja, że burza wcale nie grozi?

— Nie, skądże bym wiedziała? A dlaczego pan mówił, że burza nadciąga?

— Dlaczego?... he... może dlatego, ponieważ nie chciałem, abyś znowu zasnęła. Nie chciało mi się spać i sądziłem, że moglibyśmy oboje... pogawędzić nieco... prawda? Bo tak bardzo stęskniłem się za tobą.

— Doprawdy?

— Tak, zaręczam ci, Lizo!

— Nie wmówi mi pan tego... przecież był pan tam... u tej panny.

Odwróciła się — jak gdyby opanowana zazdrością.

— Tak, właśnie u niej... w ciągu całego tego czasu myślałem o tobie... jeszcze zanim przybyłaś. A coś dopiero potem! Nie wytrzymałem dłużej. Skoro tylko nadarzyła się sposobność, pognałem do domu... i oto mnie masz teraz.

Chciał otoczyć ją ramieniem, ale ona szybko umknęła w bok.

— Gdzie Janek? — zapytała, łapiąc oddech, jak gdyby przeraziła ją myśl, że chłopiec wejdzie tu lada chwila.

— W leśniczówce. Zostawiłem go tam, bo chciałem być tu z tobą sam na sam.

Przyciągnął ją ku sobie. Dziewczyna wzbraniała się, wpierając łokcie w jego pierś.

— Lizo!!

— Nie, nie!... Czego chce pan ode mnie?

Głos jej dygotał trwogą. Było to zupełnie nieznanne jej dotąd uczucie trwogi, które nagle zrodziło się w prażródłach dziewictwa... jako nieoczekiwany sprzymierzeniec, popierający jej cnotliwe postanowienie.

— Ależ Lizo! Nie bądźże śmieszna! Wiesz przecie, że cię kocham, a ty kochasz mnie troszeczkę... prawda?

Przycisnął ją do piersi i ucałował parokrotnie.

— Panie! — błagała.

W jej błagalnym głosie brzmiała jeszcze ciągle owa elementarna trwoga; młynarz wyczuwał drżenie jej całego ciała. I ona to odczuwała... i jeszcze coś więcej. Nie jest dobrze zawierać sojusze z nieznanymi, podziemnymi mocami. Ten nowy element, który nagle przyszedł jej na pomoc, wydał się jej teraz zdradliwym sprzymierzeńcem, gotowym w każdej chwili wydać ją na łup wroga.

— Ty mały głuptasku! — szeptał młynarz.

— Nie, nie! Nie chcę... *nie chcę!* — krzyczała, wrywając się rozpaczliwym wysiłkiem z jego uścisku.

Młynarz stał oglupiały, a ona tymczasem skoczyła ku drzwiom, zabezpieczając sobie odwrót. Ale nie skorzystała z tej drogi ucieczki, zatrzymała się w rogu obok komody.

Tu nie była osamotniona: Pilatus ocierał się o jej nogę, dotrzymywał jej towarzystwa i uspokajał ją swą obecnością.

— Cóż to wszystko znaczy? — zawołał Jakub gniewnie. — Zaprzestań wreszcie tych głupstw.

I zaczął iść ku niej.

Czy Pilatus poczuwał się do obrony swej pani, czy też mniemał, że jemu samemu grożą te ciężkie kroki, nie wiadomo — bądź co bądź skoczył w przód, wygiął grzbiet, najeżył sierść i syknął z demoniczną niemal wściekłością.

Ta niespodziewana przeszkoda zatrzymała młynarza. Nie przeczuwał, że kot jest w izbie, a nagłe pojawienie się zwierzęcia niemal tak go przeraziło, jak gdyby ujrzał przed sobą kobolda, wyskakującego spod podłogi. Młynarz utkwiał wzrok w kocie, kot w nim; kot syczał, a on burknął:

— Przekłête bydlę!

Kopnięcie nogą odrzuciło „przekłête bydlę” ku drzwiom.

Liza, pozbawiona teraz ochrony swego opiekuńczego ducha i narażona bezpośrednio na atak mężczyzny, wydała przeraźliwy, donośny okrzyk, a młynarz zamiast pójść naprzód, jak zamierzał, zatoczył się prawie aż pod okno, skąd właśnie wyszedł. Nie był bynajmniej przygotowany na tak zacięty opór, a ucho jego nie dosłyszało, że ten krzyk wydarł się z jej gardła nie tyle ze strachu przed nim, ile raczej ze strachu przed sobą samą, albowiem ten niepewny sprzymierzeniec, którego nie wzięła w rachubę, przechodził teraz na stronę wroga z rozwiniętymi sztandarami przy dźwięku muzyki pożądania.

— Nie krzycz tak — burknął wreszcie młynarz, odzyskawszy władanie głosem, co prawda jeszcze trochę zachrypłym. — Nie masz powodu obawiać się mnie.

Istotnie, Liza nie obawiała się go już teraz. W tonie jego głosu dosłyszała przyznanie się, że wzięła nad nim górę, i zupełnie jasno zdawała sobie sprawę z tego, że obecna pozycja jej jest bardzo korzystna.

— To niegodnie ze strony pana wykorzystywać to, że jestem biedną dziewczyną i muszę służyć... Do tamtej panny nie zbliżałby się pan w taki sposób... Tamtą chciałby pan poślubić... ale ze mną można sobie przecie na wszystko pozwolić... nie jestem nic więcej warta, zdaniem pana!... Tak, to jest pańskie przekonanie i przekonanie innych ludzi, a szwagier pana powiedział mi to prosto w oczy...

— Henryk? Co on...?!

— Tak jest, ponieważ nie pozwoliłam się obmacać, powiedział, że wszystkie moje wdzięki chowam dla pana. Tak, jak gdyby służąca nie mogła być uczciwą dziewczyną!

Szczere oburzenie wybuchnęło łzami... jeżeli nie w oczach, to przejawiało się bądź co bądź w głosie, gdy wypowiadała te i tym podobne skargi. Równocześnie wyciągnęła szufladę komody i zaczęła w niej grzebać.

Młynarz, ogłuszony lawiną słów, stał bezradnie. Przedsiębrał słabe usiłowania, by powstrzymać ten wylew, wtrącał parokrotnie pokorne usprawiedliwienie, ale rezultatem było tylko to, że potok słów spieniał się coraz gwałtowniej, roztrącając wszystkie zapory.

Och, ona wie doskonale, że nie może się równać z tamtą, nie jest przecie panią! Ale chociaż ktoś nie umie grać na fortepianie i nie wypożycza książek z wierszami w złocistych oprawkach, to jednak niekoniecznie jest od razu „taką”. Tak, ona jest tylko biednym dzieckiem z trzęsawiska... nie pochodzi z leśniczowskiej rodziny... jej ojciec i brat są kłusownikami, ale strzelają tak samo celnie, a może i celniej niż leśniczy... co zresztą nie jest zbrodnią... właściciel lasu ma dosyć zwierzyny dla siebie... chociaż przezywają ją Lizą kłusowniczką, to jednak ma ona swój honor i uczciwość... a chociaż nie biega na misyjne zebrania, zna dobrze dziesięcioro przykazań i nie jest bynajmniej (jeszcze raz) „taką”!

Tutaj potok został na chwilę powstrzymany tamą: nie zamierzał jej bynajmniej obrazić... ani myślał o tym... ale przypuszczał, że ona go lubi... że może... w pewnym wypadku...

Tutaj tama runęła, a potok, przerawszy ją, unosił teraz wraz z sobą szalonym pędem słowa.

Tak jest, lubi go, nie przeczy temu i nie jest to wcale grzechem. Ale wie aż nazbyt dobrze, że nic nie wyniknie z tej miłości... jest tylko biedną dziewczyną, zmuszoną służyć u obcych... jednym jej życzeniem jest, by wszystko pozostało po dawnemu. Oczywiście-

ście, nie oczekiwała takiego postępu z jego strony — a teraz wszystko się skończyło — wszystko się skończyło!

Podczas tej przemowy Liza wyjęła równocześnie z szuflady kapelusz i szal. Teraz — gdy „wszystko się skończyło” — schyliła się i wyciągnęła spod komody parę trzewików.

— Co to znaczy? Po co ten kapelusz i szal? — zapytał młynarz, który z rosnącym zdumieniem i zaniepokojeniem obserwował jej ruchy przy słabym blasku świecy, wpadającym do izby przez na w pół otwarte drzwi.

— Odchodzę.

— Co?!

— Wracam do domu.

Myśl o odejściu była zarówno wzruszająca, jak smutna. Jeszcze bardziej smutny i wzruszający był wywołany wyobraźnią obraz nędznej chałupy, którą odwiedziła przed niewielu godzinami jako hojna dobrodziejka, a pod której strzechę musiała teraz powracać jako naga wygnanka, okryta tylko dostojnością swej cnoty. Ale najbardziej upokarzająca była myśl, że Peer powita ją sarkastycznie, dając jej odczuć swoją wyższość: „No tak, gdybyś była posłuchała mojej rady!”. Pod wpływem tego potrójnego oddziaływania odtajali zamarznięte źródło łez. Liza zawyla przeraźliwie, wbijając jednocześnie stopy w trzewiki i rozdzierającym szlochom powtórzyła parokrotnie:

— Wracam do domu!

Ale młynarz przerwał jej gniewnie — a może też trochę przelękniony.

— Czyś oszalała, Lizo?... Do domu... teraz... o północy!

— To obojętne dla mnie, że noc i północ... niech nawet szaleje burza grzmotami i błyskawicami — powtórzyła teraz mimo woli kłamstwo młynarza, ponieważ wobec zmienionych stosunków było to bardzo efektowne. — Nie mogę tu pozostać... jestem uczciwą dziewczyną.

— Ależ bądźże rozumna, Lizo! Nie mogę pozwolić, abyś tak uciekła! Cóż by ludzie powiedzieli?

Liza nie kłopotowała się tym, co ludzie powiedzą. Nie prosiła ich wcale, aby coś mówili, a i tak strzępią już sobie na niej języki — jak na przykład Smok — dlatego musi odejść! Jest uczciwą dziewczyną (jeszcze raz), a bynajmniej nie „taką” (po raz trzeci), i prosi tylko, by jej pozwolono odejść w spokoju.

— Słuchaj no, Lizo — rzekł młynarz — udobruchaj się! Pogódźmy się! Z domu nie odejdziesz... w każdym razie nie teraz. Ja wracam do swego pokoju, a jeżeli chcesz, zamknij drzwi na klucz.

Na tej podstawie zawarto tymczasowy rozejm. Liza była jednak tak pełna względów, że nie zaryglowała swoich drzwi.

Młynarz nie położył się do łóżka. Siedział na krześle, mimo że świeca już się dopalała. Z zawstydzeniem rozmyślał o tym, że nazbyt przybliżył się do dziewczyny. Wprawdzie niejednokrotnie wydawało mu się, że cała jej istota dyszy czymś wyzywającym go. Ale może to tylko on sam wmawiał w siebie, że dziewczyna kusi go spojrzeniem, uśmiechem, ruchami? Niewątpliwie on sam zawinił! A ona — ona kochała go — wszak powiedziała to otwarcie!

Z drugiej strony ściany leżała na łóżku Liza śmiertelnie znużona. I ona przebiegała myślą wszystko, co zaszło, ale nie zakończyła swych rozmyślań samooskarżeniem. Przeciwnie, była dosyć zadowolona z samej siebie.

I kiedy wreszcie nad ranem po ciężarnym burzą dniu sen skleił oczy czarownicy z młyna, zasnęła z błogą świadomością, że posunęła się o duży krok naprzód ku wytkniętemu celowi.

KSIĘGA IV

I

Kiedy Liza, przewracając się z boku na bok na łóżku, przetarła wreszcie oczy i rozejrzała się wkoło, izbę wypełniał chorobliwy, blady brzask, tak mdły, że zatonąłby w ciemności, gdyby białe pobielone ściany nie dopomogły mu do zwycięstwa i utrwalenia się.

Okno nie było zasłonięte — mimo to jednak wydawało się, że wisi w nim zasłona ciemnoszarej, beznadziejnej barwy, tak gęsta mgła leżała na podwórzu. Smutny dzień listopadowy wstawał bez śladu blasków słońca; szarości nieba nie mąciła najmniejsza barwna smuga lub plama. Wrzask kawek, które obsiadły owocowe drzewa, brzmiał tak samo bezbarwnie, jak bezbarwny był świt. A nawet kiedy zaczęły pisać koguty — kogut z młyna i kogut ze Smoczego Dworu odpowiadały sobie nawzajem — poranna ich pieśń nie dźwięczała jak pobudka, ale raczej wydawało się, że oba połknęły podczas nocy niesłychaną ilość mgły i że teraz buntują się przeciwko temu, usiłując z trudem wykrztusić ją i wypluć.

Przebudzenie się Lizy nie było bynajmniej weselsze aniżeli przebudzenie się dnia.

Przede wszystkim pomyślała i o tym, jaki jest dzień tygodnia. Był to piątek. Cztery dni przeminęły od owej pamiętnej niedzielnej nocy, a w ciągu tego całego czasu nic się nie zmieniło w jej stosunku do młynarza. Wydawało się, że ani na krok nie przybliżyła się do celu. Jeszcze tylko parę dni, potem Janek powróci do domu, a korzystna sposobność będzie bezpowrotnie stracona. Z każdym dniem wzmagaly się jej wątpliwości, czy też istotnie postąpiła dobrze, stawiając młynarzowi tak stanowczy opór. W każdą bezsenną noc słyszała coraz wyraźniej przestrożę Peera. Czyż naprawdę wypuściła z rąk łanię, chcąc uchwycić kozła, którego jednak dosięgnąć nie mogła?

Raz po raz nazywała się sama głupią lalką, która — dzięki swojej przesadnej uczciwości — nic nie uzyska, podobnie jak nazbyt grzeczne dzieci.

Wieczorem, zanim zasnęła — aby nazajutrz zbudzić się z ociężałą głową i z większym jeszcze ciężarem ugniatającym serce — leżała cichutko jak myszka i nasłuchiwała, czy się obok coś porusza. Niekiedy podnosiła się na łóżku i zerknęła poprzez cienką ściankę, czy na progu drzwi widać jeszcze smugę światła. Ach, gdyby zechciał znowu zapukać albo wprost wejść, bo drzwi nie były zaryglowane! Ale Bóg odmawiał wypełnienia tych życzeń — widocznie nie zasłużyła sobie na łaskę tak jak pewna osoba, która „biegała na wszystkie misyjne zebrania!”...

Ach, gdyby tak naprawdę rozszalała burza! — rozmyślała mała czarownica. Musielibyśmy oboje wstać, ja przestraszyłabym się okropnie, zresztą i tak lękam się zawsze, kiedy się błyska i grzmi... on pocieszałby mnie, rozczuliłby się, a jeden silny grzmot dopomógłby do zakończenia. Dostyc już długo okazywałam, że jestem uczciwą dziewczyną... nikt zaś nie może wymagać, abym naprawdę była tak nieczuła, jak nieczułe jest drzewo lub kamień...

Ale ciężarne burzą chmury nie nadciągały w tych dniach, a czarownica z młyna nie rozporządzała tak tajemną sztuką, by je na zawołanie sprowadzić.

Zaczęła niemal rozpaczać. Każdy przemijający dzień częściowo rabował związane z nim nadzieje. I dzisiaj wstawał znowu taki szary, ohydny dzień, beznadziejnie wkładał się do izby i napominał, aby nie traciła czasu. Ach, gdyby to można było wiedzieć, co czynić! Doznawała wrażenia, że i ten dzień przeminie bezowocnie jak poprzednie.

Wtem wydało się jej, że ktoś puka w okno.

Już przedtem nieraz uderzały w okno obwisłe pędy dzikiego wina, co dowodziło, że mimo pozornej nieruchomości mgły pogoda jest wietrzna. Ale tym razem pukanie brzmiało inaczej — nie głośniej wprawdzie, ale bardziej zdecydowanie; natychmiast zaważyła różnicę.

Podniosła głowę z poduszek i wpatrzyła się w zaslonę mgieł.

Niedługo czekała na wyjaśnienie. Nie pukała tutaj w okno jak tam u jej rywalki misticzna, astralna ręka — nie, ponad dolną ramą okna ukazała się całkiem rzeczywista pięść uczerniona prochem strzelniczym i poplamiona krwią; poniżej błyszczał jakiś przedmiot,

częściowo ukryty poza ramą. Ale to, co można było dojrzeć, błyszczało niezwykle, jak gdyby ta pięść wycisnęła z mgły wielkie, świetlane krople.

Szybkim, kocim ruchem Liza wyskoczyła z łóżka i stanęła przy oknie.

Poniżej uczernionej prochem i poplamionej krwią pięści widniała — w należywym z nią anatomicznym związku — postać Peera Vibe. Na głowie miał futrzaną czapkę, a z każdego jej odstającego włoska zwisała błyszcząca kropelka wody; dookoła krótkiej szyi owinał kilkakrotnie duży wełniany szal, który zakrywał również dolną część ciemnej, nieogolonej brody; sponad ramienia wyzierała strzelba; nogi tkwiły, jak się wydawało, nie w butach natłuszczonych tranem, lecz w berłaczach²³ z wilgotnej, lepkiej gliny, zmieszanej ze zwiędłym listowiem i połamanymi gałązkami. Ale najciekawszy był przedmiot, jaki Peer Vibe dzierzył w swej wyciągniętej ku górze prawej pięści: obróżka z nowego srebra, ozdobiona ładnym dzwonkiem.

Cichutko przemknęła Liza ku komodzie i wyjęła z szuflady parę wełnianych skarpetek. Cichutko otworzyła okno i dała Peerowi skarpetki w zamian za obróżkę, a biorąc ją, wsadziła mały palec w otwór dzwonka, aby zapobiec dźwięczeniu.

Potem ostrożnie wysunęła głowę przez okno, spodziewając się, że ujrzy na ziemi zabita Jenny.

Z krtani Peera wydobyło się prawie bezgłośnie, wesołe czkanie.

— Czy sądzisz może, że będę ją nosił na plecach w jasny, biały dzień?... Nie, nie... było już bardzo późno, kiedy nareszcie wylazła mi na strzał. Nie mogłem jej zabrać, musiałem pozostawić ją w lesie... ale w doskonałej kryjówce. Byłby chyba z diabłem w zмовie ten, kto by tam sarnę wywęszył. Dzisiaj wieczorem ją zabiorę. Jak to dobrze mieć wszędzie swoje schowki! Tym właśnie różni się stary, doświadczony kłusownik od nowicjusza.

Zdjął strzelbę z ramienia i podał jej.

— Najlepiej będzie, Lizo, jeżeli udzielisz „Mr. Greenowi” gościny na dzień dzisiejszy. Nie lubi on spacerów przy świetle dziennym. Wieczorem go odbiorę, kiedy pójde po zwierzynę.

I pożegnał ją skinieniem głowy.

Takie to było pukanie w okienko.

Rzadko kiedy jakaś dziewczyna była szczęśliwsza i weselsza po takim „puk, puk w okieneczko”.

Liza umieściła strzelbę w szafie z ubraniami. Nie po raz pierwszy korzystał „Mr. Green” z tej gościny, gdy jasny dzień zaskoczył dżentelmena podczas wędrówki. Przez długą chwilę wpatrywała się z radością zwycięstwa w spuszczną po biednej Jenny; serce jak młotem waliło w jej piersi.

Ta obróżka była talizmanem szczęścia, który nie mógł zawieść. Połysk srebra rozjaśniał wesoło ołowianą szarzyznę dnia, a dzwoneczek dzwonił tryumfalnie. Obróżkę Jenny trzymała nareszcie w swoim ręku! To był tryumf nad rywalką. Dzień rozpoczynający się tak pomyślnie zapowiadał coś dobrego.

Zagrzebała kosztowny skarb w najgłębszym kąciuku dolnej szuflady w komodzie i nakryła go z wielką troskliwością.

Obudziła się późno, a roboty było dzisiaj dużo: należało przede wszystkim upiec obwarzanki. Ale cóż szkodziło opóźnienie? Robota szła jak z płatka.

Lars wsadził głowę przez drzwi, aby się z nią pożegnać. Jego matka leżała ciężko chora, a poczciwy młynarz zwolnił chłopca na kilka dni, by dopomagał w obsłudze chorej. Liza, zajęta całkowicie własnymi sprawami, zapomniała o tym. Gdy jednak Lars przypomniał: „Jak wiesz, moja matka...” — Liza pomyślała o własnej matce i poddała się wzruszeniu.

— Chodź tutaj, mój chłopcze!

Rozwiązała pospiesznie jego tobolek, wysypała w papierową torbę wszystkie obwarzanki, które leżały już upieczone, trzeszczące świeżością na gorącej płycie pieca, i zapakowała je do zawiniątka.

— To dla twojej matki... Pozdrów ją pięknie ode mnie, życzę jej, aby wyzdrowiała jak najprędzej! No, szczęśliwej drogi!

²³berłacze — walonki; osłony na stopy, plecione techniką spiralną ze słomy, często nakładane na skórzane obuwie. [przypis edytorski]

I w nadmiarze przepelniającego ją szczęścia ucałowała go w chłopięce usta, tak że Lars otworzył je szeroko, zdumiewając się tej dobroci. Potem Liza wypchnęła go lekko za drzwi i po tym *intermezzo* z podwójną energią zabrała się do pracy.

Nie przeszkadzało to bynajmniej zręcznym ręką, że myśli bląkały się daleko w lesie. Tamta stała już teraz zapewne razem z Jankiem przed domem i nawoływała „Jenny! Jenny!”, budząc w lesie stokratne echa. Ale z gęstwiny nie odpowiadał srebrny dźwięk dzwonka, nie pojawiła się przywoływana Jenny. I wieczorem będzie znowu nadaremnie wołać i w ciągu następnych dni, coraz bardziej beznadziejnie. Będzie wylewać gorzkie łzy, posiada bowiem miękkie, współczujące serce, a płacz z pewnością nie przyczyni piękności jej obliczu — a wreszcie musi uwierzyć, że jej Jenny już nigdy nie powróci. I nigdy już nie będzie się rozlegać w lesie to pieszczotliwe nawoływanie.

Takie idylliczne fantazje obudziły świetny humor w tym dziecku przyrody, w Lizie kłusowniczanke, dziecięciu z mokradel Virket. I bynajmniej nie sama uciecha z cudzego nieszczęścia krzyczała w niej radością. Mistyczne, niedające się ująć słowami uczucie, że moc tamtej została złamana przez pozbawienie jej talizmanu władzy, uczucie, że nie potrafi teraz zwabić do siebie młynarza, tak jak nie przywoła Jenny — to uczucie przepelniało jej mięśnie siłą i sprężystością, rozpalalo w oczach iskrzące się ustawiczne fosforyczne blaski. I z tryumfem pieściło to płonące spojrzenie jej *własne* zwierzę, wiernego Pilatusa, który kręcił się dokoła niej opasły, lśniący błyszczącą sierścią, pomrukując radośnie, wywijając ogonem i oblizując się z zadowoleniem. Tak dumnie stąpał mały kot na świetle. A tymczasem ukochane zwierzątko tamtej leżało pogrzebane gdzieś w rowie leśnym pod kupą suchych liści, z zagasłymi ślepiami, z zakrwawionym pyszczkiem.

II

Młynarz, siedzący w izbie, postyszał jej wesoły śpiew...

Dźwięk kojarzył się z zapachem świeżo palonej kawy, a to połączenie rozradowało bardziej młynarza, niżby go ucieszyła najpiękniejsza pogoda i najbardziej rozslonecznione niebo.

Jakub Clausen miał to wybredne przyzwyczajenie, że — około godziny dziesiątej lub wpół do jedenastej — po powrocie z piekarni wypijał dwie filiżanki kawy, i to doskonałej kawy. Przy pierwszej zjadał kawałek białego chleba lub ciasta; przy drugiej zapalał fajkę, nabitą bynajmniej nie chłopską machorką, ale dobrym, holenderskim tytoniem; był on, jak mu to słusznie dawał Smok na piśmie, poniekąd smakoszem. W to piątkowe przedpołudnie zapalił jednak cygaro, gdy usiadł, oczekując na kawę. Wdział świeżą koszulę i porządny, szary surdut; na jego twarzy malowało się jakieś uroczyste postanowienie, z którym ten staranny strój doskonale harmonizował.

I Liza także odczuła potrzebę dostosowania swego zewnętrznego wyglądu do radosnego nastroju, w jakim się znajdowała. Odświeżyła żelazkiem loki nad czołem, a chociaż nie miała czasu przewdziać sukienki, to jednak zasłoniła niemal całkiem ordynarny materiał roboczego ubrania szerokim fartuchem kremowej barwy, z haftowaną wstawką na piersi, który pospiesznie narzuciła na siebie. Gdy weszła w tym stroju, uśmiechając się radośnie i niosąc kawę na tacy, zakasowała całkiem nawet tę *la belle chocolatière*²⁴, która na reklamowych obrazkach dotarła aż do falsterskiego młyna.

Młynarz zauważył natychmiast to promieniowanie jej istoty i przyjemnie nim zdziwiony uśmiechnął się do niej życzliwie.

— Weź filiżankę dla siebie, siadaj i pij.

Podziękowała uradowana i usłuchała.

— Będziemy często tak siadywać razem! Czy podoba ci się ta myśl, Lizo?

Spoglądał na nią bardzo życzliwie. Liza okazała skromny i pokornie wdzięczny wyraz twarzy. Ale gdyby młynarz obserwował bardziej badawczo, dostrzegłby czające się w głębi, pełne napięcia oczekiwanie.

— Ach tak, czy mogłaby mi się nie podobać?

Młynarz wziął obwarzanek i umaczał go w kawie. Kiedy i ten pierwszy kęs, i następne rozpuściły się smacznie i przyjemnie w ustach, na twarzy jego pojawił się uśmiech zadowolenia. Wargi mimo woli wypowiedziały spostrzeżenie, że tym razem obwarzanki udały

²⁴*la belle chocolatière* (fr.) — piękna panienska z czekolady. [przypis tłumacza]

się doskonale. Mimo swojej udanej skromności Liza nie zaprzeczyła wcale, że zadała sobie wiele trudu i że cieszy się bardzo, jeżeli potrafiła mu dogodzić.

Młynarz oświadczył, że byłoby niewdzięcznością okazywać jakiegokolwiek niezadowolenie. Jest nadzwyczajnie gorliwa i wszystko jej się udaje — kawa, na przykład, jest również doskonała. Przyznaje szczerze, że nigdy nie pił tak dobrej kawy i wątpi — dodał żartobliwie — czy nawet sam sułtan pija lepszą.

Jest to bardzo możliwe, że kawa poprawiła się ostatnimi czasy — przyznała Liza — ponieważ pali ją na bardzo wolnym ogniu. Wprawdzie trwa to znacznie dłużej, ale wie przecie, jak bardzo majster lubi filiżankę dobrej kawy.

Uśmiechając się wesoło, młynarz przyznał się do tej i do podobnych ludzkich słabostek.

Teraz Liza zauważyła, że jego filiżanka jest już pusta, i powstała, aby nalać kawy. Gdy przechylała się ponad stołem, wzrok młynarza ślizgał się po jej pełnej, a jednak zgrabnej postaci, która w tym prostym stroju sprawiała szczególnie korzystne wrażenie.

Ładna, mała kobietka — każdy to przyzna!

Dostrzegła, oczywiście, że ją obserwuje. Albowiem gdy usiadła z powrotem, zarumieniła się, a ten rumieniec upięknszył jeszcze jej twarz. Okazując pełne wdzięku zakłopotanie, gładziła ręką włosy, a zwłaszcza kręte loki, miała zaś świadomość, że przynajmniej pod tym względem wygląda bardziej dystyngowanie aniżeli tamta z gładko zaczesanymi włosami.

Czy ta różnica zwróciła może uwagę młynarza? Czy może dzięki temu zjawilo się przed nim tamto oblicze i spoglądało nań z bolesnym wyrzutem? Czy może jakiś wewnętrzny głos ostrzegął go, że zamierza odrzucić chleb życia, skuszony łakomym przysmakiem? Czy to taką wizję i takie myśli odpędzał od siebie, przesuwając nerwowym ruchem rękę ponad oczami, po nagle zmarszczonym czole?

— Nalej i sobie jeszcze jedną filiżankę, Lizo — odezwał się i potarł zapalkę, by zapalić cygaro.

Nalala sobie pół filiżanki.

— Dziękuję... Ale pan mnie psuje.

— Psuje?... Co też gadasz!?

Rozparł się na kanapie i przez parę chwil milczał, wypuszczając dym to ustami, to nosem i spowijając Lizę i siebie gęstą, mglistą chmurą. Naprzeciwko niego siedziała Liza na krajuszkach krzesła, jak przystoi służącej, i drobnymi łyżkami piła kawę z trzymanej w rękę filiżanki. Wreszcie opróżniła filiżankę, odstawiła ją na stół i poruszyła się, jakby chciała wstać.

Młynarz podniósł oczy.

— Właściwie należałoby często tak zasiadać wspólnie i przyjacielsko do śniadania — zauważył. — Czy podobałoby ci się to, Lizo?

— Ach, oczywiście, bardzo by mi się podobało. Dobra kawa smakuje jeszcze lepiej, gdy się pije w takim ładnym pokoju i nie samotnie. Ale ponieważ muszę gotować obiady, niezbyt często mogłabym tu siedzieć o tej porze. Dzisiaj jest prędko obiad, więc jeszcze zdążę.

— Hm, co się tyczy gotowania obiadu — oświadczył młynarz — to znalazłaby się droga wyjścia.

— Czyżby pan zamierzał może przyjąć na służbę Karen Peersen? — spytała Liza, udając wielką trwogę.

— Albo ją, albo kogoś innego... tak, wiem dobrze, że ci to nie dogadza...

— O, to zależy tylko od pana... oczywiście, skoro pan sądzi, że potrzeba.

— Istotnie, tak sądzę. Mówiłem już od dawna, że pracujesz ponad siły; nie minął jeszcze tydzień od owej chwili, kiedy zasnąłś wskutek przemęczenia na moim łóżku w jasny dzień. Wtedy to wspomniałaś także, że zapewne się ożenię i że ci się to nie podoba.

Liza hołdowała w tej chwili mniemaniu, że podobałoby się jej to bardzo, ale nie opowiadała swemu panu.

— Pragnęłabyś, aby wszystko tutaj w młynie pozostało po dawnemu, prawda, Lizo?

Liza bynajmniej nie pragnęła tego i zadokumentowała swoje przekonania westchnieniem, opuszczeniem oczu i mrugnięciem powiek. Nie wzięła w rachubę, że młynarz może sobie wytłumaczyć całkiem na odwrót te objawy.

— Tak, to jest niemożliwe — oświadczył — *zupełnie* po dawnemu pozostać nie może... Z tym musimy się pogodzić.

Liza zgadzała się najzupełniej z jego mniemaniem; z prawdziwą kobiecą pokorą nie wnosila protestu, westchnęła tylko ponownie i silniej mrugnęła oczyma.

Młynarz odłożył cygaro na spodek, splótł ręce na brzuchu i obracał wielkie palce dokoła siebie.

— Z drugiej strony... hm... co się tyczy twojego odejścia stąd...

Liza prędko wyjęła czystą chusteczkę do nosa z kieszonki — przyszytej kokieteryjnie modą pokojówek na przodzie fartucha — i podniosła ją ku oczom.

— Co się tyczy tego... hm... to jest po prostu niemożliwe ponieważ... hm... młyn przyzwyczał się już do ciebie i młynarz także... Sądzę zatem, że gdybyśmy się pobrali, wszystkie trudności zostałyby dzięki temu usunięte.

Oto padły nareszcie te słowa, których nadzieją karmiła się tak długo i których długo wyczekiwała, znosząc śmiertelne męki ciągłego zawodu! Kiedy je teraz rzeczywiście usłyszała i kiedy ujrzała nagle, że stoi u celu, ogarnęło ją wzruszenie, mające pozór błogiego zadowolenia i miłosnej pokory. Ręce jej drżały, zapomniała zakryć czystą chusteczką oczy, w których błysnęły perły łez.

— Tak, nie widzę lepszego wyjścia — mówił dalej młynarz, przechylając się ku niej poprzez stół — a jakie jest twoje mniemanie, Lizo?

Liza — powstawszy z miejsca i kierując się ku drzwiom — oświadczyła, że nie jest to ładnie tak szydzić z biednej dziewczyny, albowiem to, o czym pan majster mówi, jest przecież niemożliwe...

Tyle tylko zdołała wypowiedzieć, zanim głos uwiązał jej w krtani. A ponieważ chusteczka rozmiarami swymi nie odpowiadała sytuacji, zakryła rozpaloną twarz swoim zgrabnym fartuszkiem i podeszła ku drzwiom.

Ta pokora wzruszyła głęboko młynarza. Chciał podejść ku Lizie, aby uspokoić ją i przekonać czułymi słowy i pieśczętą — istotnie, wypowiedział może swój zamiar nabyt figlarnym, niebudzącym wiary tonem. Wtem uwagę jego zwrócił turkot kół, wobec tego odmienił postanowienie.

— Ach, że też właśnie w tej chwili ktoś przyjeżdża i przeszkadza nam — mruknął zgryźliwie, ale jednocześnie zaśmiał się półgębkiem.

Liza, stojąca bliżej i mogąca dzięki temu szybciej dojrzeć nadjeżdżający wóz, pochyliła się ku oknu.

— To jednokonny wózek pańskiego szwagra — rzekła z uczuciem niemilego zdziwienia. — Sören powozi, ale nie przywiózł nikogo — dodała uspokojona. Obawiała się bowiem, że to nadjeżdża teściowa jej zalotnika, a już chyba nic gorszego nie mogłoby się wydarzyć w tej rozstrzygającej chwili. Nie oczekiwała niczego dobrego ze Smoczego Dworu, toteż nienawistny jej był w tej chwili nawet widok tego nieco tępego i zresztą Bogu ducha winnego parobka i znajomego jej szweda. Po co tu przybyli? Czy chcieli może zawieźć gdzieś jej kochanego młynarza, właśnie teraz, gdy już prawie zapadła, a w każdym razie powinna by zapaść decyzja?

— Ach tak! Omal nie zapomniałem — odezwał się młynarz, podszedł do okna, otworzył je i zawołał: — Wyprzęgnij konia, Sörenie, i zczekaj, pojedę dopiero później!

Potem zamknął okno i odwrócił się do Lizy, która doznawała uczucia, że uniknęła wielkiego, grożącego jej niebezpieczeństwa.

— Zapomniałem ci powiedzieć, że zaraz po obiedzie pojedę i wrócę dopiero jutro w południe. Muszę załatwić w mieście interesy z handlarzem zboża, a oprócz tego chcę pójść do sędziego okręgowego, aby się wystarać o „list królewski”²⁵.

Jadąc do miasta, rozmówię się z proboszczem nie tylko w sprawie dziesięciny, której nie uiściłem jeszcze, ale także poproszę go, by przygotował ładną ślubną mowę. Poczciwy pastor Schmidt będzie się, oczywiście, zżymał, będzie dowodził, że postępuję niewłaściwie, wchodząc za wcześnie w powtórne związki małżeńskie, ale to wszystko mu nie pomoże. Nie myślę czekać aż do czasu, kiedy jemu to będzie dogadzało. A więc, Lizo — zakończył, podchodząc ku niej — czy ciągle jeszcze mniemasz, że to tylko kiepski żart?

²⁵aby się wystarać o „list królewski” — „List królewski” jest w Danii dyspensą, pozwalającą na niezwłoczne zawarcie ślubu. Inaczej muszą być ogłaszane zapowiedzi przez trzy kolejne niedziele. [przypis tłumacza]

Bo oczywiście, gdyby ci to nie przypadło do gustu, to Sören może zaprząć i pojechać z powrotem. Do handlarza zbożem wcale się nie spieszę.

Zabrzmiał głośny, szczery, serdeczny okrzyk i w tej chwili Liza leżała już na piersi wybranego małżonka.

III

Młynarz stał w swojej sypialni i wyjmował z małego sekretarzyka pieniądze potrzebne na drogę. Wdział już płaszcz, kapelusz, a wielkie skórzane rękawice leżały obok na krześle. Z podwórza rozlegało się nawoływanie Lizy, niebawem zaturkotały koła. Sören, parobek ze Smoczego Dworu, podjeżdżał powoli ze stajni przed drzwiami.

Potrzebne pieniądze były w portfelu. Młynarz schował je, zapiał surdut i wyciągnął rękę po kapelusz i rękawiczki. Ale gdzie się podział wełniany szalik? Należało owinąć szyję. Gdzież on się podział? Nie znalazł go na wieszadle w sieni... Ach prawda! W niedzielę wieczorem dał go przecież poczciwej Lizie. Szalik leży jeszcze zapewne w jej pokoju.

Otworzył drzwi i spojrzał do wnętrza. Ani śladu. Bądź co bądź nie poniewierał się. Liza nazbyt dbała o porządek!

Tuż obok, po lewej stronie stała szafa. Jakub nazbyt szanował prawo własności swojej czeladzi, zasadniczo nie odważyłby się otworzyć szafy w jej pokoju. Ale wobec tego, co zaszło między nim i Lizą, nie namyślał się wcale.

Istotnie, wisiał tam długi, szary, wełniany szal. Młynarz pociągnął go. Równocześnie jednak zachrobotał jakiś ciężki przedmiot i wypadł z hałasem na podłogę.

Strzelba — myśliwska strzelba o dwóch lufach...

Strzelba w szafie Lizy?! Krew nabiegła Jakubowi do głowy. Wszystkie dawne wątpliwości o uczciwości Lizy obudziły się znowu na widok tego wymownego świadectwa obecności mężczyzny w jej sypialni.

W tej samej chwili weszła do jego sypialni Liza, która szukała młynarza, aby mu donieść, że wózek już czeka. Poprzez otwarte drzwi ujrzała w swoim pokoju narzeczonego, trzymającego w jednej ręce wełniany szal, w drugiej zaś strzelbę.

Widok ten poraził ją jak piorun.

Teraz, kiedy już wszystko ułożyło się pomyślnie, teraz właśnie musiało się to wydarzyć!

I właśnie w tym dniu, a nie kiedy indziej, Peer powierzył jej swą strzelbę do przechowania! I właśnie w tym dniu, a nie kiedy indziej, młynarz otworzył jej szafę! Jedno i drugie było jej własnym dziełem! Naganiała Peera do czynu, który tak długo zatrzymał go w lesie; pojechała do leśniczówki, gdzie młynarz owinął jej szyję wełnianym szalem. Czy losy sprzysięgły się przeciwko niej?

Nie umiała przewidzieć następstw tego odkrycia. Bo można było przebaczyć służącej z młyna — chociaż było i to bądź co bądź godne nagany — że utrzymuje bliskie stosunki z osławionym kłusownikiem. Ale gdy ten sam zarzut obciążał narzeczoną młynarza Jakuba Clausea, serdecznego przyjaciela leśniczego, to równało się to niemal naruszeniu wiary...

Dostrzegła szybko niebezpieczeństwo — w niedokładnych, groźnie niezdecydowanych zarysach, tak jak widzi się podczas nocy nieznaną okolicę w świetle błyskawicy.

Nagle wydała cichy okrzyk.

Jakub obejrzał się i spojrzał na nią dziwnie zionącymi pustką oczyma.

— Dzięki Bogu, nie była nabita! — wołała Liza, opanowując się. — Peer przyrzekł mi, że jej nie nabije.

— Peer? Twój brat?

— Tak jest. Któż by inny?

— No, tak... oczywiście... twój brat.

Że też nie wpadłem na tę myśl! Jej brat, kłusownik — to było całkiem niewinne rozwiązanie strasznego problemu. Nie ulegało wątpliwości, że było prawdziwe. Obracając bezmyślnie strzelbę w rękę, wyczytał napis marki fabrycznej „Green — London” i przypomniał sobie zaszyszaną niegdyś pogłoskę, że Peer Vibe posiada świetną broń angielskiej fabrykacji.

Liza z łatwością odczytywała jego myśli. Ku radosnemu zdumieniu zrozumiała, że i z tego niesłusznego podejrzenia może wyciągnąć korzyść.

Zakryła twarz rękami.

— Och, Jakubie! Ty przypuszczałeś...
— Nie przypuszczałem nic — mruknął młynarz, nie podnosząc oczu — nie pojmo-
wałem tylko, jak strzelba dostała się do twojej szafy.
— Tak, tak... przypuszczałeś, że bywa tu u mnie jakiś mężczyzna.
Osunęła się na krzesło niby zdruzgotana.
— Zapomniałem całkiem o twoim bracie.
Słowa te brzmiały usprawiedliwiającym się tonem — to było przyznanie się do winy.
— Och, jak mogłeś...?! Jak mogłeś tak źle o mnie myśleć?!
— Nie myślałem wcale tak źle — protestował jej narzeczony. — Nie wiedziałem
tylko, co o tym sądzić. Skądże bierze się tutaj strzelba twojego brata? Czy już dawno tu
leży?

— Od paru dni.

Skłamała bez namysłu, pod wpływem samozachowawczego instynktu, aby przynaj-
mniej od siebie, a w miarę możliwości także od brata oddalić podejrzenia, jakie niewątpli-
wie wzbudzi zniknięcie Jenny.

— Było to przedwczoraj. Zapukał wcześniej rano do mojego okna i prosił, abym prze-
chowała u siebie strzelbę, ponieważ już był jasny dzień. Peer nie jest właścicielem dóbr
i nie może spacerować w dzień ze strzelbą bez obawy, by go nie zapytano o pozwolenie na
broń. Tak, nie może, chociaż bardziej niż ktokolwiek inny zasługuje na prawo używania
broni.

Liza mówiła bez ogródek i otwarcie. Wszak wszystko — pomijając drobne przesun-
nięcie daty — było szczerą prawdą. A w głosie i w słowach jej brzmiała dumna pogarda
dla tych małostkowych, społecznych prawideł, które pozostają w sprzeczności z rzetelną
dzielnością. Niechby tak panowie właściciele dóbr spróbowali kiedyś strzelać o zakład
i zmierzyć się z jej bratem, wówczas okazałoby się dowodnie, kto jest najbardziej godny
nosić strzelbę na ramieniu! Ale ponieważ prawo to przysługuje ludziom nie dzięki zas-
łudze, lecz dzięki odziedziczonym majątkom, więc oczywiście, Peer Vibe musi ukrywać
swoją strzelbę u siostry. Tak jest! Nie zapiera się wcale, że jest jego siostrą! Czyż z tego
powodu zasługuje na karę?

Twarz młynarza rozjaśniła się wprawdzie, ale bynajmniej nie była jeszcze zupełnie
pogodna.

Aczkolwiek wiarygodne wyjaśnienie Lizy zepchnęło olbrzymi ciężar udręczenia z serca
zakochanego, to jednak równocześnie położyło się nowym, wielkim ciężarem na poczuciu
godności przyszłego małżonka. Klusownicza strzelba w szafie uprzytomniła mu doraźnie
nowe związki pokrewieństwa; poza tym szwagrem, który — z całym szacunkiem dla jego
„dzielności” — był bądź co bądź niezbyt godną osobą, czaiło się jeszcze całe gniazdo
w bagnach Virket, o którym młynarz miał niezbyt dokładne wyobrażenie, ale właśnie
tym bardziej budzące lęk.

Zamruczał więc nie nazbyt przyjacielskim tonem gorące życzenie, aby jej brat, skoro
nie może paradować ze strzelbą na ramieniu, poszukał sobie innego miejsca do przecho-
wywania broni.

Ze łzami w oczach zapewniła Liza, że to się już nigdy nie powtórzy. Zresztą może już
w niezbyt odległej przyszłości będzie Peer spokojnie i jawnie chodził ze strzelbą, ponieważ
szambelan chce mu dać stanowisko gajowego w lesie na Sundzie, uznając, że jest on
najlepszym strzelcem w całej bliższej i dalszej okolicy.

Kiedy zaś młynarz — wyrażając uznanie, że Peer zamierza wreszcie zająć uczciwe sta-
nowisko — podkreślił żal, że dotąd jeszcze nie uczynił tego, Liza przyznała szczerze, że
to, co zrobiła, byłoby niestosowne dla niej jako dla młynarki. Więc niech się nie obawia,
by się to powtórzyło. I mówiąc o tym, zapomniała poniekąd o swej dawniejszej upo-
rczywej pogardzie dla społecznej klasyfikacji. Co więcej, dodała, że nawet jako służąca
w jego domu nie powinna była tego uczynić. Ale to tak ciężko okazywać twarde serce
swojej własnej krwi. No, trudno, raczej postąpi tak — chociaż będzie ją to kosztowało
dużo wysiłku — byleby nie narzucać mu swej rodziny, bardzo biednej i nędznej. Prosi
tylko, by pozwolił jej odwiedzić kiedy niekiedy biedną, chorą matkę i zawieźć jej trochę
drobiazgów...

Sytuacja stała się nader wzruszająca, nikt nie poczytałby Lizie za złe, że słowa coraz
częściej więzły jej w gardle i że wreszcie wybuchnęła płaczem. Wszak zawsze skłaniała

się ku litowaniu się nad sobą samą, a w ciągu ostatnich dni przeżywała szczególniejsze wzruszenia. A ponieważ, jak wiadomo, młynarz Clausen nie miał w piersiach kamiennego serca, trudno byłoby się dziwić temu, że wziął w ramiona płaczącą narzeczoną, pocieszał ją, pieścił i wycalowując jej mokre policzki, zapewniał, że bynajmniej nie chce jej przeskadzać pójść za głosem serca córki. Dobra córka bywa dobrą żoną, nie należy więc wyrzekać się rodzinnego domu, chociaż jest nędzny i biedny. Młynarz doznawał wstydu, że przejrzała jego myśli, gdy zapewniała, że nie chce mu narzucać swej rodziny. Dlatego też zaręczał, że jej chorej matce nie zabraknie niczego. Posunął się wreszcie aż do oświadczenia — przy czym miał wrażenie zdrady popełnionej względem swych przyjaciół z leśniczówki — że nie poczytuje znów za tak wielki występek kłusowniczych zamiłowań jej brata. Skoro biedaczysko, mający żyłkę myśliwską we krwi, nie rozporządzał własnymi terenami do polowania, musiał posługiwać się cudzymi. Nie wypadło tylko, aby tutaj, w młynie na wzgórzu, szukał w ten czy ów sposób kryjówki podczas swych nocnych wypraw. Ale ponieważ i sama Liza to uznaje, więc nie warto więcej o tym mówić!

Istotnie, nie było już czasu na rozmowy. Stary zegar, spóźniający się z zasady więcej lub mniej, wydzwonił dwunastą godzinę. Spóźniona pora nawoływała do jazdy i do czynu, skoro młynarz zamierzał załatwić jeszcze dzisiaj ważne interesy.

Odłożyli więc nieszczęsną strzelbę, a zajęli się wełnianym szalem, który Liza z czułością własnoręcznie zawiązała narzeczonemu na szyi, odpłacając mu jego serdeczną usługę w leśniczówce. A kiedy Jakub siadł już w wózku, jakże gorliwie obetkała mu pędem kolana, by nie przenikał go ten ohydny wicher; z jakąż miłosną troskliwością upychała starą, wełnianą derkę, by przypadkiem nie zaziębił się, mając zimne nogi! I jakże serdecznie poklepała wreszcie szweda na pożegnanie, napominając go, by się sprawował dzielnie i dobrze w drodze, by się nie spłoszył jak ongiś w proboszczowskim lesie i by możliwie jak najszybciej przywiózł z powrotem jej młynarza w dobrym zdrowiu!

IV

Zegar stojący na komodzie pod szklanym kloszem wybił godzinę trzecią. Niemal trzy godziny minęły, odkąd młynarz odjechał, a Liza przepędziła ten czas bardzo mile, obejmując niejako cały dom w posiadanie. Odwiedzała kolejno każdą izbę w swojej nowej roli gospodyni domu. Niejedno postanowiła przemienić. Rozstała się ze swoim małym pokojkiem — tam zamieszka teraz nowa służąca. Jeszcze tego samego wieczora każe Jørgenowi przenieść swe łóżko do niewielkiego narożnego pokoju po prawej stronie — gdzie umarła młynarka — i tam rozgości się aż do dnia wesela. Ten pokój był większy i znacznie ładniejszy — przede wszystkim zaś był porządnie wytapetowany, a nie bielony; prócz tego wisiało tam lustro. Zresztą było nawet przystojniej tam zamieszkać, ponieważ dzięki temu świetlica całą swoją uroczą pustką będzie oddzielać jej sypialnię od sypialni młynarza. Strachów nie obawiała się, zwłaszcza że wedle jej mniemania młynarka nie zaliczała się bynajmniej do takich istot, które po swej śmierci dręczą inne stworzenia. Później Janek przeprowadzi się do tego narożnego pokoju.

Także w innych izbach niejedno nadawało się do zmiany. Zwłaszcza świetlica sprawiała wrażenie pewnego opustoszenia: jeden z kątów był z konieczności zastawiony tylko zwykłymi krzesłami.

Przypomniała sobie, że w probostwie odległym mniej więcej o milę odbędzie się licytacja sprzętów; jeszcze dziś wyczytała to przypadkiem w gazecie. Kto wie, czy nie udałoby się kupić tam taniego fortepianu, który doskonale by się pomieścił w tym właśnie kącie. Na fortepianie wygrywałaby im kiedy niekiedy leśniczanka różne kawałki. Teraz bowiem Liza nie obawiała się już panny z lasu i odniósłszy zwycięstwo, pragnęła okazać się wspaniałomyślną. Przeczynała też niejasno, że niezbyt mądrze postępuje kobieta, chcąc natychmiast poróżnić męża z jego przyjaciółmi. Był jeszcze inny rozstrzygający moment: pochlebiała jej próżności w najwyższym stopniu myśl, że będzie gościć leśniczego w swoim własnym domu, ona Liza kłusowniczanica.

Siedziała właśnie przy oknie, rozmyślając nad tym, kiedy zegar wybił trzecią godzinę. Życzliwie spojrzała na zegar. Była to mahoniowa skrzynka z dwiema czarnymi, ozdobionymi złotem kolumnkami — na dole siedział anioł, na szczycie leżał lew, oba grubo

pozłoczone. Ileż to razy ścierała kurz z tego przedmiotu! Dzisiaj dopiero po raz pierwszy zauważyła, że jest to bardzo ładny przedmiot, albowiem był to *jej* zegar.

Spojrzała poprzez podwórze ku piekarni. Tam to przed miesiącem stała w sieni, stamtąd spoglądała na dom mieszkalny, w którego oknach paliły się czerwienią kwiaty geranium, i rozmyślała, że powinna by siedzieć w tym domu sama jako gospodyni. I oto siedzi tutaj właśnie! Wprawdzie geranie przekwitły, ale dzięki temu można tym wyraźniej dostrzec w oknie gospodynię domu. Przypatrz no się, Lizo piekarko! Czy widzisz mnie?...

— Panią Lizę Clausen z młyna na wzgórzu? No i cóż? Czy jesteś zadowolona?

Liza wstała, podeszła ku drzwiom, zaczęła nawoływać kury i gołębie i rzuciła im garść pośladu²⁶. Ujrawszy Kara, wylegającego się przy studni, zawołała go także, a kiedy zbliżył się z trwogą i wahaniem, podstawiła mu miskę pełną okruchów chleba i kości, pokrytych obficie resztkami mięsa. I bynajmniej nie uczyniła tego z wyrachowania — ze względu na Janka — jak to bywało dawniej, ale powodowała się szczerą życzliwością, bowiem psisko było już teraz własnością jej młyna. Potem przeszła się trochę po ogrodzie, gdzie teraz wiatr potrząsał tylko kilkoma spóźnionymi astrami, odbyła jeszcze raz wędrówkę przez pokoje, nie znajdując już nowych pomysłów i usiadła z powrotem przy oknie. Czas poczynął się dłużyć. Parokrotnie spojrzała na piękny zegar, podejrzewając, że stanął — upłynęło zaledwie pół godziny. Kilkakrotnie pomyślała o tym, by pobiec do rodziny na bagniskach. Boże! Toż byłaby uciecha? Peer wytrzeszczyłby oczy ze zdumienia... I to tego samego dnia, kiedy przyniósł obrózkę Jenny! Myśl ta omal nie pognała jej w drogę. Ale odczuwała trochę zmęczenia... pragnęła jeszcze nieco wypocząć... a zresztą lepiej będzie poczekać parę dni, zanim tam *pojedzie*. No, dziewczęta dowiedzą się jeszcze o tym na czas, te diablątka, które żegnały ją wołaniem: „Następnym razem!”.

Właściwie należałoby się zabrać do roboty — ale nie, napracowała się dosyć. Bogu wiadomo. Teraz był czas wypoczynku! Niestety, nudziła się trochę, wypoczywając tak samotnie.

Wtem przypomniała sobie Jörgena — on był również samotny tam wewnątrz młyna. Lars poszedł do rodzinnego domu, a Chrystian, jak zwykle o tej porze, objeżdżał okolicę. Jörgen był samotny, ale bynajmniej się nie lenił, albowiem wiał burzliwy wiatr, jak to bywa w listopadzie, śmigi, do połowy tylko pokryte żaglowym płótnem, kręciły się z hałasem, w takich chwilach na piętrze żarnowym było dużo roboty. Właściwie mogłaby mu nieco dopomóc: byłaby to raczej zabawa niż praca dzięki swej odmienności od codziennego życia. Poza tym było to przecież głupie, że oboje pozostawszy samotnie w młynie, siedzieli każdy w swoim kącie.

Pocziwy Jörgen! Interesował się tak gorąco jej losem, a nie przeczuwał jeszcze wcale, jak bardzo posunęła się ku upragnionemu szczęściu. Tak, powinien dowiedzieć się o tym niezwłocznie z jej własnych ust. Z pewnością bardzo się ucieszy, zwłaszcza że ostatnimi czasy boczyli się z majstrem na sobie. Jörgen zachowywał się mrukliwie, a młynarz kilkakrotnie uskarżał się na jego opieszałość i lenistwo. Jörgen obawiał się zapewne, że mu w najbliższej przyszłości wypowiedzą służbę. A wszystko wynikło z tego powodu, że w ciągu ostatniego krytycznego czasu, kiedy rozgrywały się tak doniosłe dla niej sprawy, musiała trzymać Jörgena bardzo krótko, a nawet prawie nie myślała o nim, zajęta całkowicie swoją walką. Postanowiła pocieszyć go nieco; skoro się dowie, że *ona* jest panią domu, będzie już siedział bezpiecznie i bez obaw w siodle.

Poszła do swojej pogardzonej izdebki, wyjęła z komody obrózkę Jenny i pod wpływem nagłego kaprysu przywiesiła ją u swej szyi. Przechodząc przez kuchnię, zawołała Pilatusa, który do tej chwili bez przeszkody wylegiwał się na ulubionym ciepłym miejscu za piecem. Kot poszedł za nią chętnie przez podwórze. W pobliżu bramy młyna zawrócił w lewo, przypuszczając widocznie, że Liza dąży jak zazwyczaj do izby czeladnej. Ona jednak otworzyła drzwi do młyna i zatrzymała się, oczekując, by wszedł do wnętrza. Kocur spojrział na nią ze zdumieniem — dziewczyna powinna by wiedzieć, że on w ogóle nie uczęszcza do młyna!

— No, idziesz? Prędej!

Pilatus przeciągnął się, ziewnął i powoli, z godnością cofnął się na podwórze, nie zwracając uwagi na jej niedorzeczne nawoływanie. Liza, która ubrdała sobie, by tym razem

²⁶poślad — ziarno na paszę. [przypis edytorski]

zabrać z sobą ulubieńca do młyna, pobiegła za nim. Nie próbował uciekać, ale kiedy doścignęła go, położył się na ziemi i przymknął oczy. Liza chwyciła go i wzięła na rękę.

— Cóż ty wyrabiasz, głupie bydlę?! Czy nie pojąłeś jeszcze, że jestem młynarką? Teraz bezpiecznie możesz chodzić ze mną wszędzie! Czy obawiasz się Kizi? Niech no się pilnuje, abym go nie wygoniła... Co prawda, potrzebny też kot do łowienia myszy.

Z trudem przecisnęła się przez drzwi, które przeciąg natychmiast za nią zatrzasnął. Powitał ją ogłuszający hałas, a schody drżały pod jej nogami, gdy wchodziła na górę. Stanąwszy na niższym piętrze, zsadziła Pilatusa na podłogę. Kot kilkakrotnie kichnął gwałtownie, wdychając dobrze znany, ale tak długo niedostępny zapach mącznego pyłu. Kichnięcie to można było tylko zobaczyć, bo w piekielnym zgiełku nic w ogóle nie było słychać. Kot doznawał widocznie niemiłych wrażeń, ponieważ zakręcił się w kółko, upartywał, czy nie udałoby się wymknąć pomiędzy workami, potem zaś podniósł błagalnie szkliste oczy ku Lizie zamykającej mu drogę, i poruszył mordkę niedosłyszalnym miauczeniem. Najwidoczniej demon nawoływał do odwrotu. Ale rozzuchwalona czarownica nie słuchała mądrej rady:

— Dalejże, głupie bydlę! Maszeruj naprzód! — I kopnęła go nogą.

Obraz zmienił się z błyskawiczną szybkością: kocur wygiął grzbiet, zjeżył włosy jak gdyby przebiegał przez nie prąd elektryczny, i z wściekłością syknął na Lizę. Zaledwie dosłyszała krzyk, który mimo woli wyrwał się z jej własnej krtani — przeraziła się tak gwałtownie, że omal nie spadła ze schodów.

Lecz nie ozwał się wewnętrzny głos, który by ją zmusił, by posłuchała swego opiekuńczego ducha i nie starała się wchodzić tam przemocą, skoro on ją wyraźnie ostrzegł: „Nie wchodź!”.

A jednak wyczuła takie ostrzeżenie. Dreszcz, jaki przebiegł jej ciało, to nie była tylko obawa przed pazurami zwierzęcia. Zadrżała jakimś upiornym przestraszonym, podobnym temu, który chwycił ją za gardło w proboszczowskim lesie — ujrzała cień owego obrazu, że została jako upiór zamknięta w młynie i nie może się zeń wydostać. Złowieszczy okrzyk trzech młodych czarownic z bagniska zabrzmiał tak wyraźnie w zgiełku młyna, że Liza powiedziała sobie: „Nie, pobiegnę raczej do sióstr, jeszcze czas, zdążę przed zapadnięciem mroku”.

Ale nie mogła się cofnąć ani zawrócić, bo obawiała się, że kocur, który się może wściekł, skoczy na nią, jeżeli odwróci od niego spojrzenie.

I już przeminęła nadaremnie rozstrzygająca chwila.

Mogłoby się wydawać, że Pilatus pod wpływem tego nieoczekiwanego wybuchu odzyskał swą naturę kota z młyna. Albowiem bez żadnej przyczyny odwrócił się i figlarnymi skokami pobiegł po schodach na piętro żarnowe.

Liza poszła za nim z bijącym sercem.

V

Tutaj, w centrum młyna, rozszalały wszystkie demony hałasu: szum, zgrzyt, brzęk, świst, to znów szmer jakby podziemnego wodospadu, to silne uderzenia, jak gdyby ptak zamknięty w klatce trzepotał się o jej ściany i chciał ją zdruzgotać.

Przez dłuższą chwilę dziewczyna stała na schodach oszołomiona i przestraszona. Wreszcie postąpiła parę kroków naprzód i ujrzała Jörgena siedzącego na worku, pochylonego naprzód i opierającego głowę na rękach. Podeszła tuż do niego, on tego jednak nie zauważył, nie poruszył się nawet wtedy, gdy głośno wymówiła jego imię. Wówczas pochyliła się nad nim i zadzwoniła mu w ucho dzwoneczkiem obroży. Pod wpływem dotknięcia wzdrygnął się.

— Ach, to ty, Lizo! Sądziłem, że to młynarz, który teraz ciągle depcze mi po piętach.

Wśród hałasu dosłyszała tylko jedno słowo „młynarz”.

— Mój mąż pojechał! — zawołała.

— Kto?

— Mój mąż... mój mąż! — wrzasnęła mu w ucho.

Cofnął się o krok i wytrzeszczył oczy.

— Ślub?!

— Niebawem... pojechał do miasta... postarać się o list królewski... rozmówić się z proboszczem!

Jörgen ciągle wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

— To szczerza prawda! — krzyknęła przez rękę zwinętą w trąbkę i parokrotnie przytwierdziła energicznie głowę.

Zdumiony Jörgen nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać.

Pojmował, że wszelkie rozumowe argumenty kazały mu się radować, ale jednocześnie doznawał wrażenia, jakby cios ugodził go w samo serce. I wpatrywał się w nią, nie wyrażając swych uczuć.

— Jak to? Nic nie mówisz? Nie cieszysz się?

Jörgen nie odpowiedział, natychmiast wskazał palcem obrózkę, którą teraz zauważył.

— Jenny... brat... zastrzelił!

Skinął głową na znak zrozumienia. Przypomniał sobie ów wieczór sierpniowy, kiedy siedzieli tam razem, a ona zwierzała mu się, że chce podmówić brata, aby zastrzelił sarenkę. A więc wszystko stało się tak, jak zapowiadała! Wydawało się to jakąś upiorną bajką.

— A Janek? — zawołał nagle, wyciągając rękę ku otwartym drzwiom, przez które widać było las na Sundzie.

Przytaknęła.

— Sama?

— Sama! — przytwierdziła z uśmiechem.

— Młynarz... wróci?

— Jutro.

Pobiegł na galerię. Poszła za nim i ujrzała, że rozluźnia żelazny łańcuch. Potem wróciła do wnętrza i przeraziła się niemal nagłą, nieoczekiwaną ciszą. Tylko z góry dochodziły jeszcze nieregularne zgrzyty — wały obracały się powoli, ale i one niebawem stanęły nieruchomo. Wszystko ucichło. Po poprzednim, ogłuszającym hałasie ta śmiertelna cisza oddziaływała wprost przynębiająco. Liza nie była na to przygotowana. Chociaż już prawie rok służyła w młynie, to jednak nie znała wcale jego wewnętrznych urządzeń. W ogóle nie dręczyła się nigdy niepotrzebną ciekawością, a zwracała uwagę tylko na to, co bezpośrednio mogło służyć jej własnym interesom, ale tym właśnie zajmowała się z jeszcze większą, niepodzielną energią.

— Czemu to uczyniłeś? — zapytała Jörgena, gdy wszedł do wnętrza.

— Nie chce mi się pracować.

— Właśnie powinieneś pracować... Przyszłam tu w tym celu, aby ci dopomóc.

— Ty? — zaśmiał się. — Nie znasz się przecie na tym!

— No, to ty mnie nauczysz.

— Pracować?... Teraz!... Co za pomysł?!

— Oczywiście, trzeba pracować! Inaczej jest nudno... tak jak w izbie. Ten hałas poprzednio był znacznie weselszy.... to mi się podobało.

— Ale w ten sposób nie można przemówić do ciebie ani słowa.

— Także nieszczęście! A na cóż cała ta gadanina?! Słyszałeś już... że ożeni się ze mną i że pojechał do miasta, by uregulować tę sprawę.

— Tak jest... ale...

— No, zabieraj się do pracy, inaczej odchodzę.

Jörgen skierował się niechętnie ku drzwiom.

— Słuchaj no, Jörgenie!

Odwrócił się.

— Powiedz mi, o czym ty właściwie myślałeś, kiedy przyszłam i kiedy siedziałeś tak?

— Naśladowała jego poprzednią pozycję.

— Myślałem o tobie i o tym, że mnie teraz nie cierpisz.

— Głupstwo!

— Jak to głupstwo? To, że mnie nie cierpisz?

— Ej, głupstwem jest wszystko, co gadasz. Lepiej nie słuchać wcale. No, marsz!

Zniknął w galeryjce.

Niebawem zatrzeszczało w górze, wały zaczęły się obracać — w parę chwil później młyn hałasował i szumił niemal głośniejsze niż kiedykolwiek.

Jörgen zbliżył się do wielkiego drewnianego leja łuszczarki i pociągnął rękojęść otwierając zastawę. Liza wzdrygnęła się, ponieważ szum i hałas wzrósł nagle w dwójnasób, wydawało się wprost, że lej wszystko pochłonie. Jörgen roześmiał się całą gębą. Ona oznajmiła gestem, że chciałaby także coś zrobić. Wskazał jej górę zboża, wypełniającą cały kąt poza drewnianym przepierzeniem łokciowej wysokości. Liza wzięła małą szufłę i ładowała zboże do leja, póki Jörgen na to pozwalał.

Teraz wskoczył na rusztowanie nad złożeniem kamiennym, odwrócił się ku niej i odpowiadając na jej pytające spojrzenie, wskazał stos worków, a potem linę z hakiem, zwisającą z góry w pobliżu. Umocowała worek na haku, a potem pociągnęła inną linę, którą pokazał jej nauczyciel. Worek natychmiast wzniósł się w powietrze i bez najmniejszego z jej strony wysiłku wędrował w górę o własnej mocy, póki Jörgen nie uchwycił go i nie pociągnął w bok. Wówczas odruchowo puściła linę, a worek legł poprzecznie nad brzegiem zbiornika.

Ta cudowna sztuczka tak się jej spodobała, że miała ochotę powtórzyć ją niezwłocznie. A jednocześnie przypomniała sobie coś, złożyła ręce w trąbkę i krzyknęła, ile tchu w piersi: „Chrystian?” Jörgen, wysypujący zawartość worka do zbiornika, odwrócił się na wprost. „Chrystian?” — krzyknęła znowu. Teraz i Jörgen przypomniał sobie ową chwilę, kiedy Liza przyrzekła Chrystianowi w przejeździe bramy, że dopomoże mu windować worki na górę, a potem, gdy parobek powędrował na piętro, odjechała wozem. Przytakiwał gorliwie, dumny, że ją zrozumiał; oboje śmiali się tak głośno, że mogli niemal ten śmiech dosłyszeć.

Kiedy już nasycili mlewem²⁷ to złożenie kamienne, Jörgen zawrócił do łuszczarki. Z czarnego otworu w tarcicach wydobyl płaskie żelazne korytko, potrząsnął nim umiejętnie i uznawszy, że ziarno jest wystarczająco oczyszczone, wysypał je do sortownicy. Potem stanął na fundamencie drugiego złożenia kamiennego, a Liza powtórzyła sztukę z workami. Kiedy zaś napełniał zbiornik, zajęła się szuflowaniem zboża do łuszczarki i otwieraniem zastawy, spełniając — ku wielkiej radości — zupełnie dobrze swoje zadanie według mimicznych wskazówek Jörgena.

Jörgen odczuwał radosną dumę, kierując w ten sposób jej poruszeniami. Ona sama zaś cieszyła się na razie tą pracą, która dzięki swojej zupełnej odmienności od jej codziennych zajęć stawała się wprost ucieśzną zabawą. Teraz wstydziła się swej nieznajomości urządzeń młyna, chociaż przedtem nie pomyślała o tym nigdy. A kiedy wykonywana praca straciła już urok nowości, poczuła wielką ochotę, by obejrzeć także górne piętra, gdzie nigdy dotąd nie zachodziła. Młynarka powinna bowiem obracać się w swoim młynie jak we własnym domu.

Ale niebawem okazało się, że nie może absolutnie wytłumaczyć tego życzenia swemu współpracownikowi czy towarzyszowi zabawy. Chwyliła go zatem za rękaw koszuli i wyciągnęła na galeryjkę, gdzie łatwiej można było porozumieć się z sobą, chociaż i tutaj trzeba było krzyczeć głośno, że aż rozlegało się po całym podwórzu. Jörgen pojął, o co chodzi, i okazał gotowość zostania przewodnikiem. Zaopatrzyli więc obficie strawą wszystkie maszyny na piętrze żarnowym, a potem weszli na schody drgające jak schody okrętowe.

Najbliższe, trzecie piętro było tak niskie, że człowiek nie mógł stanąć wyprostowany, i tak ciasne, że Jörgen ostrzegał Lizę i trwożnie tulił do siebie, obawiając się, by koła nie przychwyciły jej sukni. Przeważną część komory zajmowało ogromne koło gwiazdowe, które obracało się z oszałamiającą szybkością. Spośród sześciu małych zębatych kół, wieńczących wały sterzące z podłogi, kręciły się tylko cztery, ale z jeszcze większą szybkością niż wielkie koło, które je w ruch wprawiało. Dwa inne, niestykające się z środkowym, trwały w nieruchomości. Jörgen wsunął jednego z tych leniwców w orbitę koła gwiazdowego; skoro tylko zaażubiło się z nim, zaczęło również wirować z szaloną szybkością niby tancerz, który dumnie stał na uboczu, lecz który uległ wreszcie powszechnemu szaleństwu tańca.

Liza poruszyła się.

— Uwważ! — zawołał Jörgen i przytrzymał ją za rękaw. — Uwważ, bo inaczej spotka cię los Metty!

²⁷ mlewo — zboże przeznaczone do przemiału, w trakcie mielenia albo po mieleniu. [przypis edytorski]

Hałas był tutaj znacznie mniejszy aniżeli na piętrze żarnowym, dzięki czemu uszy ich, wytrenowane już na dole, chwytaly częściowo głośno wykrzykiwane zdania.

— A cóż się z nią stało?

— Skazano ją na łamanie kołem w wieży tortur, no, rozumiesz: zmiażdżono ją wielkimi kołami i poszarpano na kawałki.

— Ohydne!

Jej ciemne, pozbawione blasku oczy wpatrywały się w niego z badawczym niepokojem.

A jego ciałem wstrząsnął również dreszcz grozy. Ożyło dawne wyobrażenie młyna jako wieży tortur.

— I nie mogła już wyjść z wieży?

— Ależ pozbawiono ją życia!

— Tak, ale ja zapytuję, czy potem... kiedy już nie żyła... nie mogła wyjść?

Jörgen potrząsnął głową.

— Nie wiem. O tym nie pisało²⁸...

— A mnie się zdaje... że nie mogła już wyjść... musiała się tam błąkać na wieki... tak jak tamta w lasku proboszczowskim, którą widział twój ojciec... Peer widział ją także...

— To może być, ale nic o tym nie napisano — odpowiedział Jörgen, który nie czuł zdolności, by wykraczać poza swoje źródła i opowiadać historie z własnej fantazji.

Wyłączył znowu piąte koło. Ciasne i niskie piętro nie zapowiadało innej rozrywki, toteż weszli na schody wiodące na następne piętro.

Komora ta była zamknięta u góry drewnianą powalą, jednak nieszczelną; przez szerokie szpary można było dojrzeć, że ponad nią obraca się szybko coś wielkiego. Ponieważ młyn, poczynając od galerii, zwęzał się ku górze, piętro to było znacznie mniejsze i zajmowało powierzchnię zaledwie połowy piętra żarnowego. Na środku wirowało małe kółko ze skośnymi bokami, obok na poziomych osiach tkwiły jeszcze mniejsze, podobne kółka; wydawało się, że czekają one tylko na to, by zetknąć się z pracowitym, ale tymczasem bezużytecznie pracującym towarzyszem, oddalonym zaledwie na szerokość dłoni. Jörgen pociągnął sznur, zwisający przez otwór w podłodze na dolne piętro — jedno z kółek bocznych przybliżyło się do środkowego, a na jego wał nawinęła się lina.

— W ten sposób winduje się worki w górę — objaśnił Jörgen.

Liza zaśmiała się mądrze. Zaświtało jej w głowie. Więc to za ten sznur ciągnęła poprzędno, gdy pomagała Jörgenowi na piętrze żarnowym. Wydawało się jej to tak zabawne, że chwyciwszy się najbliższej belki, wychyliła się, aby przez boczny otwór obserwować ruch liny na dolnym piętrze. Tam jednak inny szczegół skupił jej uwagę.

— Nie! Pilatus złowił mysz, musimy się temu przyjrzeć z bliska.

Zbiegła na dół po schodach. Jörgen zaś chwyciwszy za jedną ze zwisających lin, zsunął się po niej tak szybko, że mógł po rycersku przyjąć Lizę u stóp schodów.

Przysłowiowa okrutna igraszka była w pełnym toku: Pilatus wypuszczał nieszczęsną mysz i łapał z powrotem. Liza, przegiąwszy się podobnie jak kot, z płomieniem w oczach biegała za nim i podniecała go. Wreszcie mysz przestała się ruszać, a kocur zawłókł swój łup do kąta, by go tam pożreć spokojnie.

— Nie podoba mi się to bardzo, że mój Pilatus znowu zasmakował w myszach i zdziaczał! Obawiam się, że nie zechce już wyjść z młyna.

— Tym lepiej! W takim razie ty będziesz tu częściej przychodzić. Bo *jego* nie potrafisz się wyrzec. Na nas innych nie zwracasz, oczywiście, uwagi!

— Aha? I sądzisz, że źle robię?

— Igrasz z nami jak kot z myszą. Młynarza już pożarłaś!

— Więc miej się na baczności! *Ciebie* pożrę także.

Śmiejąc się pokazała białe zęby i szczęknęła nimi żarłocznie.

— Dobrego apetytu!

Uszy ich przywykły już do hałasu, mogli więc rozmawiać z sobą. Oczywiście, nie mogli oszczędzać gardła, a mówiąc zbliżali usta prawie do samego ucha słuchającego. Ten system rozmowy dawał najnaturalniejszą okazję do całowania się, z czego też korzystali. Jörgen rozpoczął, a ona oddawała uczciwie każdy pocałunek.

— O, widzisz! Zaczynam już żreć!

²⁸o tym nie pisało — popr.: o tym nie było napisane. [przypis edytorski]

— Smakuje?
— Ma się ochotę na więcej.
— Więc masz!
— No! Zachowuj się przecie przyzwoicie! Słyszałeś? Jörgenie! Nie byłam jeszcze na samej górze.
— Tam jest tylko kaptur.
— Otóż chcę go zobaczyć!... No? Czemu się tak wykrzywasz?
Istotnie, cała jego twarz wykrzywiła się dziwnym grymasem. W mózgu jego zrodził się concept, co się zdarza każdemu człowiekowi chociaż raz w życiu. I chcąc błysnąć dowcipem, huknął grzmiącym głosem:
— Przecież i tak niedługo wejdiesz pod kaptur! Ha, ha! Bo kaptur i czepiec to prawie to samo.
Oboje śmiali się jak szaleni.
— Chcę zaraz pod czepiec! — wołała Liza.
I pospiesznymi krokami pobiegli po schodach na górę.

VI

Wchód do tej najwyższej komory był nieco utrudniony, ponieważ ściskadło było przesunięte w poprzek przed schodami — jak zawsze, kiedy wiał wiatr z północy.

— Do czego służy ta brudna belka? — zapytała Liza.
— Ej, to jest ściskadło. Z jego pomocą unieruchamia się cały młyn. Widziałaś przecież poprzednio, jak rozluźniłem łańcuch na dole na galeryjce. Otóż, czy widzisz tę długą sztabę, która wystaje tam przez otwór w kapturze? Teraz jest ona przegięta ku dołowi, ponieważ łańcuch ją jeszcze trzyma. Ale gdybym odczepił łańcuch, w takim razie sztaba poszłaby w górę. O, patrzaj, w tej skrzyni są wielkie kamienie, które ugniatają koniec ściskadła, a wtedy dolny jego koniec zaciska drewniany pierścień na wielkie koło, tak że nie może się poruszać, cały młyn staje wtedy nieruchomo.
— To sprytne. Ty nie wymyśliłbyś niczego podobnego.
Jörgen podrapał się w głowę.
— Nie. Nie wymyśliłbym.
— Zabawnie to wszystko wygląda — zawołała Liza, rozglądając się po niewielkiej komorze, podobnej nieco do pszczelego ula: jajowaty słomiany pułap wznosił się na rusztowaniu z belek, które sięgało jej zaledwie do ramion; wszystko było szare, poczynając od kurzu a kończąc na złocistych niegdyś kłosach, wystających wszędzie ze strzechy; wszystko pokrywały jedwabiste pajęczyny, które, podane na wielkie strzępy, zwisały naokół niby stare sztandary w świątyni zwycięstwa i kołysały się lekko, poruszane przewiewem. Wróble i jaskółki wlatywały do wnętrza i wylatywały, ćwierkając i piszcząc. Niemal wszędzie, gdzie drewniane wiązanie strzechy tworzyło kąty, kryły się ptasie gniazda. Hałasujący łoskot młyna dochodził tu bardzo przytłumiony, tym głośniejsze rozlegał się stuk i świst śmig.

— A więc skrzydła są przytwierdzone tutaj na zewnątrz? — zapytała Liza, wskazując palcem poza wielkie koło, gdzie olbrzymi, nieco skośnie umieszczony wał przechodził poprzez ścianę. Obracał się gwałtownie; wydawało się, że właśnie tym ruchem wświdrowuje się w ścianę.

— Tak jest — odparł Jörgen. I pokazał jej, jak wielkie koło kapturowe, umieszczone na tej skośnej osi, zazębia się dolnym brzegiem o tryby znajdującego się pod nim poziomego koła koronnego, nadając mu swój własny ruch, skutkiem czego znowu porusza się cały mechanizm młyna, znajdujący się na wszystkich rozmaitych piętrach.

Liza potakiwała, zrozumiałwszy, o co chodzi.

— Tylko wielkie młyny holenderskie są urządzone w ten sposób — pouczał ją Jörgen. — W młynie kozłowym wszystko tkwi w jednej skrzyni jak mechanizm zegara. Ale w takim młynie jest tylko parę złożów kamiennych i jedna łuszczarka i na wszystko brak miejsca.

Liza zaśmiała się.

— I taki kiepski młyn chciałeś mi ofiarować?!

— Ja? Jak to? — pytał Jörgen, rozdziawiając usta.

— Czy już zapomniałeś? Było to przecie owego wieczora, kiedy *ona* umarła... W twojej izbie. Zapytywałeś, czy gdybyś posiadał młyn koźłowy taki jak w Utterslev, czy nie wolałabym raczej być tam młynarką aniżeli tutaj.

— Tak, przypominam sobie teraz! A ty odpowiedziałaś, że mając do wyboru, wybrałabyś holenderski.

Liza śmiała się tryumfująco, wszystkie dołeczki na jej twarzy rysowały się rozkosznie w tym śmiechu.

— Tak, tak!

— Oczywiście — burknął Jörgen. — I w dodatku wzięłabyś męża!

— O... bardzo okazałego mężczyznę, wszyscy to mówią. Moja matka też słyszała taką opinię. Kiedy byłam u niej w niedzielę, powiedziała wyraźnie, że wszyscy nazywają młynarza okazałym mężczyzną.

— Okazałym?... Hm... niech i tak będzie! Bądź co bądź jest wysoki jak tyka.

— Co prawda, jest on trochę za poważny. Ale jeżeli przyjdzie mi ochota do figłów, będę mieć ciebie... i Chrystiana.

Jörgen nie nazbyt się zachwycił wydzieloną mu w ten sposób rolą.

Liza zagryzła wielkimi przednimi zębami dolną wargę i wpatrywała się uporczywie w Jörgena. To niesłychanie drażniące spojrzenie jej ciemnych, pozbawionych blasku oczu upajało się chciwie wciąż wzrastającym, mrukliwym zakłopotaniem biednego czeladnika i przenikało go tak nielitościwie, że wreszcie nie mógł dłużej patrzeć w jej oczy i odwrócił głowę.

Całe jej ciało drgało, wstrząsane falami cichego wewnętrznego śmiechu.

— No, nie bocz się tak głupio, Jörgenie! Opowiedz raczej jeszcze coś o takim młynie koźłowym... którego nie dostanę.

— Co tu opowiadać wiele? To znaczy, zasadnicza różnica okazuje się wtedy, gdy trzeba nastawić skrzydła pod wiatr. Otóż w młynie koźłowym jest to głupia robota. Mianowicie trzeba obrócić cały młyn... i diablo się napocić.

— A czy tutaj skrzydła obracają się same?

— Jak to? Skrzydła? Kaptur się obraca. W tym tkwi cały koncept.

— Ale przecież ty stoisz tam na galeryjce i obracasz kierownicę?

— Nie! To paradne! — zakrzyknął Jörgen, uderzając obiema rękami w uda. — I takie stworzenie chce być młynarką!

— A więc pokaż mi! Nie chcę, aby mój mąż czy też inni ludzie wysmiewali się ze mnie.

— No, to chodź tutaj!

Pociągnął ją ku małym, trzeszczącym schodkom, wiodącym z tej ciasnej przestrzeni do otworu w kapturze. Nagle Liza zatrzymała się, krzyknęła przeraźliwie i machnęła rękami w powietrzu.

— Co się stało?

— Pająk!... Paskudny pająk!

Jörgen roześmiał się głośno.

— Zabawna jesteś dziewczyna! Pająk nie wyrządzi ci przecie krzywdy.

— Strasznie się boję pajaków... chyba wiesz o tym — odpowiedziała Liza, bocząc się. I spojrzeniem, bynajmniej zresztą niegroźnym, dała mu do zrozumienia, że jest jego psim obowiązkiem pamiętać o jej drobnych przyzwyczajeniach.

— Tak, tak, już wiem... to tak jak wszystkie wytworne damy... i tak jak panienka Metta. Nie obawiała się natrzeć na rozjuszonego odyńca... ale przed myszą lub pajakiem uciekała z przerażeniem.

Liza przytaknęła, zadowolona z tego porównania. A ponieważ intruz-akrobata zniknął tymczasem w pokrytych pyłem wyżynach i pozostawił jej wolną drogę, poszła teraz chętnie za Jörgenem, który zaprowadził ją do otworu kaptura, i usiadł obok niego na krzyżowej belce.

— Teraz mianowicie siedzimy na krótkiej krzyżowej belce — pouczał ją z profesorską powagą. — Długa krzyżowa belka przechodzi również przez kaptur, ale z przodu, obok śmig i jeszcze dalej na boki.

— To zapewne dlatego nazywa się długa — zauważyła i uśmiechnęła się figlarnie, przyglądając prawą ręką włosy na czole, zmierzwiłone podczas walki z pajakiem.

— Tak sądzisz? Jesteś bardzo mądra!... A więc uważaj. Prościutko stąd aż do galeryjki idzie *steert*... tak nazywamy tę wielką belkę — mówiąc to, kopnął ją rozbujaną nogą — a na końcu *steertu* znajduje się kierownica; skośne sztaby, złożone z obiema krzyżowymi belkami, wiążą wszystko. Jeżeli teraz obrócimy na dole kierownicę i przesuniemy naprzód, *steert* wykonuje taki sam ruch, a skutek tego i kaptur się obraca. Zrozumiałas?

Liza słuchała bardzo uważnie wykładu i przytwardziła teraz po namyśle.

— Tak, rozumiem doskonale... Ale chciałabym naocznie to zobaczyć... To znaczy, zostanę tutaj, a ty pójdziesz na dół i obrócisz kaptur... razem ze mną.

— Możemy to zrobić. Mały obrót jest zresztą i tak wskazany. Niech diabeł porwie ten wiatr! Coraz bardziej zmienia kierunek ku wschodowi... i wieje coraz silniej. Słyszysz, jak wyje?... Całe szczęście, że rozprężyłem trochę żagle... właśnie zanim ty przyszłaś.

Poza ich plecami śmigły świszczwały regularnymi poruszeniami.

— Dobrze więc... obrócimy kaptur... Ale przedtem musisz mi świąć przyrzec, Lizo...

— No, co?

— Że pozostaniesz na tym miejscu i nie ruszysz się stąd.

— Czy to grozi niebezpieczeństwem?

— No... nie jest to niebezpieczeństwem dla człowieka, który umie sobie poradzić. W tej części kaptura nic właściwie nie grozi. Podłoga i dolna część ściany pozostają nieruchome. Ale poczynając od tej linii w górę obraca się już wszystko... obraca się także ściskadło... szur, szur, szur... posuwa się naprzód właśnie w tym miejscu tuż przy ścianie. Nie życzyłbym nikomu dostać się pomiędzy ścianę i ściskadło. A na koła trzeba także uważać... bo gdybyś się nagle przeleżała i uskokczyła na bok, tryby mogą łatwo pochwycić taką przekłętą babską kieckę. Najlepiej będzie, jeżeli pozostaniesz w tym miejscu... skąd możesz widzieć mnie na dole przy kierownicy i możesz też przyglądać się temu, co się obraca i co stoi w miejscu... Jestem przekonany, że cię to zabawi!

Liza skinęła głową.

— Jaki stąd ładny i daleki widok!

— Prawda? Niby na karcie geograficznej w szkole... z tą różnicą, że tutaj wszystko rzeczywiście istnieje.

Z niewysłowioną radością rozglądała się Liza po całej posiadłości, która miała się stać jej własnością, a teraz rozciągała się u jej stóp. Niestety, posiadłość nie sięgała zbyt daleko; poza obrębem budynków i ogrodu należał do niej tylko wąski pas roli zaledwie wystarczający, by zapewnić paszę dwom krowom i koniom. Wszędzie naokół rozciągały się uprawne niwy: tam orano, tutaj ładowano buraki na wozy. Smoczy Dwór, skąd wyjeżdżał teraz na buraczysko pusty wóz, zaprzężony w duże, tłuste konie, leżał jak na dłoni przed oczyma: wysokie gontowe dachy piętrzyły się nad pomalowanymi na żółto zabudowaniami gospodarczymi, w jednym rogu sterczała ogromna góra nawozu, w przeciwnym złocono się sześć wysokich stert, piękna jarzębinowa aleja wiodła do gościńca; tuż obok na wielkim stawie pluskały się kaczki, mącąc zwierciadło wody błyszczącymi kręgami, a jeszcze dalej, na żółtym ściernisku, pasło się całe stado białych gęsi.

Czy to nie dziedziczka szła tam przez podwórze? — A kuku, pani Andersen! Ej, pošlijże mi pani całusa, przecież zawsze kochałyśmy się tak bardzo, a teraz przynależę już poniekąd do rodziny. Smok da mi to na piśmie!

Tak jest, przynależała już do rodziny i dlatego warto było napaść oczy widokiem całej posiadłości. Dobra pani Andersen nie może żyć wiecznie, a Smok wcześniej czy później zginie skutkiem obżarstwa. Wówczas spadkobiercą będzie jej pasierb, a jeżeliby się okazało, że odziedziczył po matce chorowity organizm — oho, postara się już o to, aby nie ożenił się młodo — w takim razie osiadłyby tam kiedyś jej własne dzieci!

Nadzwyczaj uszczęśliwiona przeglądem rzeczywistego i przypuszczalnego majątku — bo osiągnąwszy jeden cel, wytyczyła sobie już nowe — odwróciła głowę i skierowała spojrzenie ku północy, dokąd tylko mogła sięgnąć wzrokiem, wychyliwszy się nieco. Ujrzała szmat lasu na Sundzie; reszta lasu ukrywała się poza kapturem. Ale i to jej wystarczyło: brzmiały tam zapewne jak co wieczór nawoływania, brzmiały dzisiaj bezskutecznie — mała Jenny nie przychodziła. Ach, gdyby to można mieć tak długie uszy, by aż tam dosięgły! Pragnęła znajdować się teraz w tym miejscu, gdzie gościniec obok chatki gajowego wciskał się niby szara nitka w czerwonawe gąszcze. Po gościńcu, tuż pod lasem, toczył się

małeńki punkcik — zapewne wóz. Liza pomyślała o swoim młynarzu, który także jedzie jakąś drogą. Ach, głupstwo! Niewątpliwie już dawno zajechał do miasta, może ma już „królewski list” w kieszeni.

Uśmiechnęła się dumnie i skierowała spojrzenie niemal wprost przed siebie, odrobinię na prawo — i jeszcze trochę dalej, szukała widocznie czegoś określonego i dalekiego. I jak gdyby ze swej siedzącej pozycji nie mogła wypatrzeć tego celu, wstała, ostrożnie uchwyciła się ręką dolnego brzegu otworu w kapturze, wyprostowała się, stojąc na krzyżowej belce, gdzie podtrzymał ją Jörgen, i wychyliła głowę w przestrzeń. Spoglądała daleko w głąb kraju, w głąb bezbrzeżnej, monotonnej wyspy, której powierzchnia kąpała się w złocistoczerwonym blasku. Albowiem słońce ukazało się w tej chwili na widnokręgu i oświetliło niebo od dołu, skutkiem czego zniknęła szara powłoka mgieł, a niebo pokryło się nagle żółtoczerwonymi chmurami, wiszącymi na prześwietlającym między nimi bladoniebieskim tle. Na równinie żółciły się tylko sterczące szeregami wierzchołki bezlistnych już topoli, to znowu zbijały się w kępę dokoła szczytów dworu lub potężnej wieży kościelnej; w głębi wynurzały się purpurowoczerwone, odarte z liści bukowe lasy.

Ale wzrok Lizy nie gubił się w całokształcie tego pięknego wieczornego obrazu, odychającego spokojem i ciszą. Szukał on jakichś szczegółów, błędził tu i tam, świetlisty pejzaż ułatwiał mu tylko dotarcie do celu. Inaczej Liza nie zdołałaby może dostrzec kościoła i tamtego młyna; teraz rozróżniała także oba lasy, z których jeden był niskopienny z jedynym wysokim drzewem pośrodku — nie można się było pomylić. A między obu tymi lasami bystre oko Lizy dostrzegło grupę niskich, nieregularnie rosnących drzew, różniących się od zwykłych topoli — tam rozciągały się mokradła. Ale chata była zbyt niska, by można było ją zobaczyć. Liza zresztą nie pragnęła tego. Dzięki troskliwemu rozpatrzeniu się w sytuacji odnalazła miejsce, gdzie stała chata; mogłaby oznaczyć je szpilką na tej geograficznej karcie.

Tak, niski był rodzicielski dom i odległy. Musiała stamtąd odbyć daleką drogę, ale wspięła się wysoko w górę, ona, Liza kłusowniczaneczka. I niby ktoś, kto odbył w ciągu dnia wielką podróż, była zmęczona, fizycznie zmęczona. To rozleniwiające, przygnębiające znużenie, które gromadziło się w ciągu ostatnich dni, ogarnęło teraz wszystkie jej członki. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności znużenie to kojarzyło się z wewnętrznym niepokojem, który jak ogień przepływał przez żyły i kiedy niekiedy wywoływał lekki zawrót głowy, zwłaszcza tutaj, gdy stała tak wysoko. I ten zawrót głowy ściągał ją w dół — bynajmniej nie w przepaść, rozwierającą się przed nią, lecz w przeciwną stronę, grożąc jej łagodniejszym upadkiem... w ramiona Jörgena...

Gdy osuwając się, przechyliła głowę w bok, ujrzała znowu drogę wiodącą od młyna do lasu, zauważyła tam powtórnie ów czarny punkt, który teraz znacznie się przybliżył i istotnie okazał się zaprzężonym w jednego konia wózkiem. W tym wieczornym oświetleniu gościniec, z jednej tylko strony wysadzony rzędem topól, wydawał się nicią rozciągniętą między lasem i ogrodem przy młynie, a po tej nici poruszał się naprzód wózek niby pająk, skradający się — prosto ku niej. Widok ten zachmurzył cieniem niezadowolenia radosny dotąd nastrój ducha: Liza doznała niedorzecznego strachu, jakiego doznawała zawsze, zobaczywszy pająka.

Ale uwagę jej odwróciło natychmiast zachowanie się Jörgena.

Ten — wierny sługa swojej pani — mimo romantycznych zamiłowań nie wczuwał się tak głęboko w pejzaż jak jego rozkazodawczyni i byłby się zapewne serdecznie wynudził, gdyby nie to, że zamiast obejmować krajobraz, obejmował ożywiającą go figurę, i to obejmował w dosłownym znaczeniu. Musiał bowiem otoczyć silnie jej biodra prawym ramieniem, by przypadkiem nie utraciła równowagi i nie upadła w przeciwną stronę. Przestrzeń była jednak tak niska i ciasna, że klęczał na kolanach wciśnięty pomiędzy jej ciało a słomiany pułap kaptura. Była to pozycja bardzo niewygodna dla członków, ale niezwykle miła. Przypomniała mu się żywo ta scena z romansu, kiedy to Hjalmar i pani Metta stali razem wysoko przy strzelnicy zamkowej i żegnali spojrzeniem wyruszającego na wojnę Czerwonego Rycerza — życząc mu z całego serca, by nigdy nie powrócił!

Kiedy więc ta figura nagle wyrwała się z ram obrazu i osuwając się, stała się żywą całością w jego ramionach, zeskoczył z nią energicznie na podłogę, nie bacząc na krzyki ani na skargę, że suknia jej może się poplamieć mazią obracającego się szybko wału.

Nie uległ też jej natarczywemu żądaniu, by ją natychmiast puścić. Przeciwnie, stał w tej ciasnej przestrzeni między kołami i ściskadłem, kołysał ją w ramionach i tulił serdecznie do piersi.

— Co ty wyrabiasz, nicponiu? — wołała Liza. — Czy tak należy postępować z panią majstrową?!

— Tak mi się zdaje, a i ty tak samo sądzisz.

— Co?... Jesteś w dodatku bezwstydnym! — wołała, szarpiąc jego kędzierzawą czuprynę opyloną mąką.

— Co dostanę, jeżeli dowiodę tego, co powiedziałem?

— W każdym razie weźmiesz cięgi... No, a więc?...

— Kiedyś powiedziałem, że niepotrzebnie jesteś taka nieprzystępna, bo nie jesteś jeszcze młynarką. Ty uśmiechnęłaś się... jak to ty umiesz... bardzo podstępnie i odpowiedziałaś: „Właśnie dlatego”.

Zaśmiała się figlarnie.

— Nie należałoby rozmawiać z tobą o poważnych rzeczach, masz nazbyt dobrą pamięć.

— Czemu wcześniej nie pomyślałaś o tym!? A mówiłaś przecie i to, że gdy zostaniesz wreszcie młynarką...

— Zamknijże nareszcie gębę! Powinieneś...

— Więc na przykład...

— Nie, nie... nie chcę słuchać — przerwała, zatykając sobie uszy.

— ...powiedziałaś, że będzie nam dobrze razem.

— Ty paskudny gałganie...! Puść mnie zaraz! Nie zniesiesz mnie chyba ze schodów.

— Czemuż by nie?

— Nie, nie!... Puszczaj mnie! Zgniewam się... naprawdę!

— Więc dotychczas nie gniewałaś się naprawdę?

Posadził ją po przeciwnej stronie ściskadła, ale przedtem wyczałował porządnie, biorąc w ten sposób zapłatę za noszenie.

— No, więc pójdziemy! — zawołała Liza.

Zapomniała całkiem, że postanowiła pozostać na górze, aby zobaczyć naocznie obrót kaptura. Jörgen pamiętał o tym, ale nie miał bynajmniej ochoty odchodzić od niej.

Zeszedł po paru stopniach. Wtem z tyłu zabrzmiał cichy okrzyk. Odwrócił się — Liza chciała właśnie zejść na dół, gdy nagle spódnica jej zaczepiła się o drzazgę ściskadła.

— Przekłeta stara belka! — mruknęła.

Przebiegła się i schyliła, by odzepić spódnicę; ten ruch jej ciała spotęgował pożądanie Jörgena aż do szału. Skoczył ku niej — oboje upadli na najwyższy stopień, on uderzył głową o ściskadło, tak że czarne płatki przeleciały mu przed oczyma, mimo to nie wypuścił jej z uścisku. Liza wpierała wyciągnięte ramiona w jego pierś i wpatrywała się w niego bez słowa. Nagle zniknęło z jej twarzy ożywienie, zniknął wszelki ślad dziewczęcej figlarności. Z jej pozbawionych blasku oczu wyglądała zwierzęca żądza, oczy cofnęły się w głąb orbit, jak gdyby chciały wciągnąć za sobą przedmiot pożądania.

I nie zwróciła nawet uwagi na wielkiego pajaka, który spuszczał się tuż przed jej rzesami, kołysząc się na swej elastycznej linie. Wydawało się, że ten mistrz tkacki rozpatruje zawodowym spojrzeniem sytuację i zastanawia się, skąd rozpocząć swą pracę, by tę ludzką parę oprząść najbardziej gęstą i nierozzerwalną siecią.

VII

Młynarz spojrzął na zegarek, gdy obok kuźni w Kirkeby skręcił z gościńca na boczną drogę, tę samą, którą przejeżdżała Liza ubiegłej niedzieli.

Była godzina trzecia.

Spodziewał się, oczywiście, że o tej porze będzie już całkiem gdzie indziej — może przy młynie w Windstrup, gdzie już rozciągała się przed oczyma panorama miasteczka z czerwonymi dachami i spiczastą wieżą kościoła i skąd, po uciążliwym wspinaniu się w górę, można już było lekkim kłusem zdążyć w dół do celu.

Teraz zaś jechał drogą ku lasowi na Sundzie — jechał do leśniczówki.

Najpierw udał się do probostwa nie bez pewnej trwogi w sercu. Wiedział dobrze, że pastor Schmidt będzie się dziwił temu nagłemu i nazbyt szybko po zgonie pierwszej

żony zamierzonemu małżeństwu, że będzie zadawał mu nieprzyjemne pytania, będzie go namawiał, aby zaczekał, będzie napominał, by poprzednio omówił poważnie ten zamiar ze swoją rodziną. Cała ta rozmowa przejmowała go zgrozą. Chętnie zapłaciłby proboszczowi podwójną opłatę, gdyby ten zechciał krótko, urzędowo i sucho przyjąć zapowiedź i omówić najważniejsze szczegóły aktu zaślubin. Doznał pewnej ulgi, nie zastawszy w domu sługi bożego — było to wprawdzie tylko odroczenie rozmowy, której się obawiał, ale i to było w tej chwili miłe. Zapłacił dziesięcinę najstarszej córce pastora i pojechał dalej do miasta.

W odległości bitej mili od probostwa zjechał zgodnie z przyzwyczajeniem do młyna przy gościńcu, gdzie mieściła się również gospoda i stajnia dla koni. Podczas gdy konik żuł obrok, młynarz spożył także przekąskę w izbie gospody i rozmawiał z właścicielem, swoim dawnym znajomym, który dla kompanii wypił wraz z nim jeden czy dwa kieliszki. Gdy gospodarz usłyszał, że młynarz wybiera się do miasta, by załatwić interesy z zaprzyjaźnionym z nim handlarzem zboża, zawiadomił go, że kupiec zbożowy wyjechał na razie w interesach do Bogö²⁹, ale że już jutro wieczorem powróci na pewno do domu.

Cóż lepszego mógł młynarz uczynić, aniżeli zawrócić i odłożyć podróż do miasta na poniedziałek? Jechał więc do domu. Ale gdy koło kuźni w Kirkeby ujrzał boczną drogę, skracającą w las na Sundzie, zdecydował się pojechać tą bardziej okrężną drogą, aby rozmówić się z rodzeństwem z leśniczówki. W ostatniej chwili zawrócił konia, który niechętnie zjechał z prostego gościńca.

Szwed przeczuł zresztą od razu, że jadą teraz do leśniczówki. Z początku ogarnęły go niemiłe wątpliwości, wspominał bowiem bardzo nieżyczliwie podróż na bagniska. Ale gdy młynarz nie pociągnął powtórnie prawego lejca, szwed przestał się obawiać, nabrał pewności siebie i ruszył żywszym krokiem. Szwed orientował się doskonale w topografii. Przed rokiem odbył z młynarzem tę samą podróż. Wówczas ciężiej było jechać tą boczną drogą, albowiem młynarzowi towarzyszyła żona, która bądź co bądź coś ważyła, chociaż ciężar ten nie mógł się nawet równać z ciężarem Smoka i pani Andersen.

Myśli młynarza zbiegły się z dumaniem konia — on także wspominał tę przejażdżkę.

Gdy tak jechał, kołysany łagodnym, pobudzającym do zadumy ruchem, jakim toczy się lekki wózek na resorach po miękkiej wiejskiej drodze, gdy tak jechał, powożąc bez wysiłku, trzymając luźno lejce w lewym ręku, w prawym bat, którym ścinał na skraju drogi to liść ostu, to kwiatek mlecza — gdy tak jechał, wgłębiony w poduszki siedzenia, w twardej oponie starego płaszcza, z derką owiniętą wkoło nóg i z wyprężonym na wierzchu skórzanym fartuchem, z podniesionym w górę kołnierzem płaszcza, którego klapy przysłaniały z obu stron widok i zmuszały niemal hipnotycznie, by patrzył na krągły, żółty zad konia i na brązowy pas popręgu, gdy tak jechał, czyż można było dostrzec jakąś różnicę między chwilą obecną a ówczesną? Sytuacja była całkiem ta sama!

Wówczas wiatr wiał z nie mniejszą siłą niż obecnie. Gwizdał koło uszu, zwłaszcza tutaj, gdzie droga biegła równoległe do Sundu, którego podłużna, ciemna, szaroniebieska smuga z mnóstwem białych kreseczek widniała niby dach łupkowy, przyprószony śniegiem, poza opustoszałymi niwami, obramowanymi niskim żywopłotem. Stamtąd dął wicher, niosąc zapach gnijącej morskiej trawy. Wiatr wyginał lejce wielkim łukiem na lewo, że wprost zawisały w powietrzu, to znowu rzucał się na krótki koński ogon, zdmuchiwał włosy i obnażał szarą, gumowatą nasadę, albo też zwijał sierść na grzbiecie w małe kłębki. Właśnie te wszystkie szczegóły, identycznie takie same, potęgowały złudzenie do tego stopnia, że Jakub ledwie mógł się obronić przed fizycznym niemal wrażeniem: oto Chrystyna siedzi obok niego po lewej stronie i lada chwila przemówi:

— Jakubie, ściągnij lejce nieco krócej, szwed mógłby się tutaj potknąć.

Wydawało się, że wszystko było tak jak wówczas! A jednak jakaż zasadnicza odmiana! Wówczas — nie spotkał jeszcze Lizy.

Liza! Czemuż nie spieszy wprost do niej? Teraz żałował niemal, że oddalił się od młyna — od młyna na wzgórzu, który mógł jeszcze dostrzec daleko na horyzoncie po lewej stronie. Rysował się ciemną plamą na tle nieba niby otyła, gruba postać; obracające się śmigły przyzywały młynarza wytrwałymi skinieniami.

I czegoż właściwie szukał w leśniczówce? Prawda, nie widział Janka niemal od ośmiu dni. Pragnął się dowiedzieć, jak się chłopcu powodzi, czy przyjaciele są zadowoleni z niego

²⁹ Bogö — mała wysepka między Zelandią i Falsterem. [przypis tłumacza]

i z jego pobytu — czy nie dogadzałoby może wszystkim, by ten pobyt skrócić. Nie mógł zaprzeczyć, że jemu osobiście bynajmniej by to nie dogadzało, gdyby mały, kochany łobuz już jutro — a może jeszcze dzisiaj wieczorem — powrócił do domu tylko dlatego, że — zdaniem dobrych ludzi — ojcu nazbyt dokucza jego nieobecność. Zamierzona pojutrze podróż do miasta, prawdopodobnie na przeciąg dwóch dni, była doskonałym pretekstem, by na razie pozostawić go jeszcze w leśniczówce — im dłużej, tym lepiej. Obawiał się powrotu chłopca, który niewątpliwie zauważyłby od razu, że stosunki w rodzinnym domu się zmieniły.

Poza tym jednak ogarnęła go także nagle tęsknota, aby raz jeszcze ujrzeć leśniczówkę — pożegnać się z nią i ze wspomnieniami z nią się wiążącymi. Kto wie, czy jeszcze kiedyś wstąpi w te progi. A bądź co bądź, wszystko ulegnie odmianie, nie powrócą już dawne poufale stosunki...

Tak więc młynarz wjechał o godzinie wpół do czwartej w las na Sundzie, a młyn, który dostrzegał w ciągu swej całej okrężnej wędrówki, zniknął teraz poza drzewami. Były to wyłącznie buki, niezbyt wysokie, ale o bardzo grubych pniach. Wszystkie były niezwykle sękaty, jak gdyby powykrzywiane kalectwem — zwłaszcza przy nasadzie konarów; nie pokrywały ich ani mech, ani porosty; pnie były jakby odarte z kory, gładkie, bez zmarszczek, szaroszary, szaroszary. Z prawej strony przeświecała szarzejąca powierzchnia Sundu, rozbłyskująca grzebieniami fal, które na płaskim brzegu pozostawiały szerokie, bulgocące smugi piany. Z lewej strony drzewa, coraz smuklejsze, zlewały się w czerwono-szarą, mglistą plamę. Tylko tu i ówdzie wystrzelał dumnie wysoki dąb spośród otaczającej go armii wrogów i złożył się w górze zwiędłym listowiem, podczas gdy wszystko poniżej było monotonnie szare, gdzieniegdzie tylko ożywione kępami miedzianoczerwonych liści. Wicher szumiał głucho i groźnie, chłoszcząc swymi uderzeniami przyrodę. Nie budził wesołego, pełnego świeżości nastroju jak wtedy, gdy szumiał liśćmi podczas pierwszych burz jesiennych.

A tam na wybrzeżu syczały i pieniały się fale niby brodate morską trawą wargi jakiegoś potwornego mięczaka, który leżał na brzuchu i wyzywał las swym szyderstwem. A te obelgi działały. Bo jakby w odpowiedzi na nie kiedy niekiedy groźny poszum lasu przemieniał się w jakiś szaleńczy hałas, który zagłuszał turkot kół i skrzyp resorów; zwiędłe liście chmurami przelatywały przez rów i szeleściły na drodze...

W górze, wysoko ponad wierzchołkami drzew krążyły dwa sokoły błotne, krzycząc nieustannie.

Ponury nastrój lasu spowił umysł młynarza. Poprzednio czuł w sobie energię i radość czynu; teraz, skoro nie mógł już dojrzeć młyna i był otoczony drzewami, wydawało mu się niemal, jakby z jednego kręgu czarów dostał się w drugi, inny. Wprawdzie nie była to część lasu na Sundzie, otaczająca leśniczówkę — może Hanna nie zachodziła tutaj nigdy, prawdopodobnie nawet jej lekkonogi dobry duch nie błąkał się tutaj, te konarzyste, grubopienne buki, o gładkiej korze nie słyszały zapewne jeszcze nigdy dzwoneczka Jenny. Ale te drzewa były zupełnie podobne do tamtych, które rosły na północ od leśniczówki nad wybrzeżem; do tamtych, wśród których tak często przechadzał się z nią razem, słuchając jej serdecznych słów; do tamtych buków, które dzięki swemu wiekowemu doświadczeniu i głęboko zakorzenionej mądrości przytakiwały z uznaniem słowom Hanny swoim poważnym szumem.

Już raz kiedyś podążał tą samą drogą do leśniczówki — właśnie wówczas z Chrystyną. Było to z górą rok temu. Pojechali w odwiedzinach do sąsiadów i wracali potem tą leśną drogą, siedząc w tym samym wózku, ciągnionym przez szweda, ponieważ konie młynarskie były zajęte pracą, a szwagier chętnie ofiarował swój pojazd. Prawda, tutaj z prawej strony przy drodze stał ten sam wysoki dąb, a na jego szczycie siedział bocian w gnieździe; Chrystyna zwróciła mu na to uwagę. Teraz gniazdo było, oczywiście, puste. Ale młynarz doznał wrażenia, że Chrystyna siedzi po jego lewej stronie i potwierdza z uznaniem:

— Tak jest, Jakubie! Teraz jedziesz właściwą drogą! Śmiało do celu! Bo przedtem, niestety, błądziłeś.

Z pewnością tak by powiedziała. Nie! Powiedziała tak istotnie, ponieważ była obok niego, aczkolwiek niewidzialna.

— Ależ ja nie w tym celu tam jadę!... Chcę się tylko pożegnać...

— Czyż nie przyrzekłeś mi tego, Jakubie? Czemuż tam jedziesz z pożegnaniem? Czy dlatego, że chcesz poślubić Lizę? Przyrzekłeś mi przecie, że nie uczynisz tego! Dwukrotnie chcesz złamać słowo, które dałeś umierającej żonie.

— Nie mogę inaczej postąpić, Chrystyno... nie mogę!... Walczyłem z sobą, wiesz o tym... Nie mogę już dłużej opierać się. Uległem. To się musi skończyć, już się kończy...

— Jeszcze nie, Jakubie! Jeszcze jest czas!

Dokoła brzmiał tajemniczy, ponury szum, jak gdyby drzewa zrozumiały tę rozmowę duchów i przestrzegały go, by pozostał wierny lasowi. Natomiast zwierzęca dusza małego szweda nie była widocznie wrażliwa na mistyczne głosy. Konik nie objawiał bynajmniej podniecenia, przeciwnie, uspokoił się. A kiedy obwisłe lejce uderzyły go po nogach, a trzask biczem ucichł zupełnie, szwed przeszedł ostrożnie w powolniejszy kłus, a potem w jeszcze wygodniejszą jazdę stępa i dopiero dotknięcie bicza podziałało nań ostrzegawczo.

Młynarz pogrążył się jednak niebawem ponownie w rozmyślaniach; nie zwrócił nawet uwagi na rozdroże, skąd droga do leśniczówki zbaczała na prawo. Szwed natomiast zauważył to. Samowolnie wybrał tę drogę i skręcił tak raptownie, że tylne koło zawadziło o przydrożny słupek kamienny.

Jakub ocknął się nagle. Zastanawiał się właśnie, czy nie uczyniłby lepiej, jadąc prosto do młyna, dokąd droga skręcała mniej więcej w odległości paruset kroków. Teraz ujrzał już przed sobą dobrze znaną leśną drogę, ciemniejszą między jasnoszarymi ścianami pni bukowych, które potem ustępowały miejsca żywej zieleni jodeł; biały dom zamykał perspektywę.

Droga ta zawsze bardzo się podobała młynarzowi, ponieważ urywała się przed domem, jak gdyby był to kraniec świata. Tylko parę drożyn biegło na boki, ale te przejścia były stale zamknięte płotami. Z tej drogi nie można było się już cofnąć. Ta świadomość uspokoiła poniekąd Jakuba. Pytanie: „dokąd?” rozstrzygnął za niego rezolutny szwed. Przyjął ze spokojem tę decyzję, jak był gotów teraz przyjąć wszystko, co nastąpi.

Ponieważ ta boczna droga nie była wysypana żwirem, przejazdy zrujnowały ją bardzo. Koła grzęzły głęboko w wilgotnych koleinach, koń włókł się krok za krokiem, opuściwszy łeb i rozstawiając szeroko tylne nogi. Młynarz byłby bardziej zadowolony, gdyby podróż trwała jeszcze dłużej. Im bardziej zbliżał się do celu, tym bardziej tracił otuchę. Czego tam szukał? Co w ogóle chciał powiedzieć? Prawda, przyjeżdżał, by zobaczyć Janka... A potem? Zauważa niewątpliwie jego niezwykle nastrój, będą go dręczyć pytaniami. Właściwie należałoby im powiedzieć, co zamierza uczynić... to byłoby najodpowiedniejsze. Był obowiązany zawiadomić ich o tym, przynajmniej Wilhelma. Nie, nie! I po co? I tak dowiedzą się jeszcze na czas.

Jakże inaczej kroczył zazwyczaj tą drogą, z energią, swobodny tutaj od trosk, które go gdzie indziej dręczyły. A teraz!

Wzdrygnął się, nasłuchując.

VIII

— Jenny, Jenny, Jenny, Jenny... małeńka! — rozlegało się wśród jodeł.

Jeszcze parę chwil, i oto Janek i Hanna przeskoczyli przez rów, witając go radośnie.

— Przybywa pan zapewne, aby mi zabrać Janka?

— Istotnie, myślałem o tym. Jeżeli chce się go pani pozbyć, pojedzie ze mną do domu.

— O nie, bynajmniej nie chcemy się go pozbyć.

— Więc niech zostanie. Zresztą i tak muszę pojutrze wyjechać na kilka dni.

— O, w takim razie pozostanę tutaj jeszcze przez cały tydzień! — wołał Janek.

— Nieładnie okazywać takie nieumiarkowanie.

Lekkim trąceniem cugli popędził konia naprzód. Hanna i Janek szli obok wózka.

— Czy Wilhelm w domu?

— Nie. Sądziłam, że rozmawiał pan już z bratem. Poszedł przecież właśnie tą drogą.

— Przyjechałem z innej strony... Właściwie wybrałem się, by załatwić interesy. W powrotnej drodze wstąpiłem tutaj, by się dowiedzieć, co słyhać.

— Ale pozostanie pan chyba na wieczery?

— Nie, dziękuję bardzo, to niemożliwe.

— Szkoda... Wilhelmowi będzie także przykro.

Doznała najwidoczniej uczucia zawodu i nie ukrywała tego.

Młynarz był tym niemiłe dotknięty — prawdopodobnie polubiła go już... i źle się stało... to nie doprowadzi do niczego... nie można już odmienić tego, co zaszło! Z piersi jego wydarło się głębokie westchnienie; Hanna spojrzała nań ze zdumieniem, opanował się jednak szybko i zapytał o Jenny.

— Ach, nie pokazuje się wcale. Przywoływałam ją dzisiaj rano i w południe, i teraz. Wczoraj była tu jeszcze. Jestem zaniepokojona, bo nad ranem słyszałam wystrzały, i to niezbyt daleko domu.

— Być może, że Jenny spłoszona tym odbiegła gdzieś dalej — uspokajał Jakub.

— Ale posłuchaj, tatku! Wuj Wilhelm sądzi, że to brat Lizy strzelał.

Młynarz ucieszył się w tej chwili bardzo usłyszaną rano wiadomością, że strzelba Peera Vibe znajdowała się od paru dni i nocy w bezpiecznym ukryciu, w szafie Lizy.

Podeszli do domu. Młynarz rzucił lejce na grzbiet konia, zwolnił popręg i odwrócił się.

— Jak to? Nie wyprzęga pan?

— Szkoda trudu.

— A jednak! Koń będzie tu stał osowiały, a zagrzał się porządnie... W stajni jest ciepło, a jednocześnie nakarmi się wraz z kucykami.

— Słusznie, nie zabierze to wiele czasu.

Sześć rąk pracowało nad wyprzężeniem szweda. Odprowadzono go do stajni i zaopatrzone hojnie w owies i siewkę.

— Wypije pan chyba filiżankę kawy? — zapytała Hanna, kiedy weszli do pokoju, a młynarz usiadł ciężko na kanapie. Wyglądał jak człowiek bardzo wyczerpany.

— Nie, nie... dziękuję — odmówił niemal z przestachem, wspominając tę chwilę, kiedy po raz ostatni pił tutaj kawę.

— Więc czymże poczęstować pana? Może przynajmniej szklanką piwa?

— O tak, bardzo proszę, wypiję chętnie szklankę piwa.

Hanna wyszła z pokoju. Janek wdrapał się na kanapę obok niego i gawędził o wszystkim, co przeżył podczas tych dni spędzonych w lesie. Młynarz słuchał tylko jednym uchem, głaskał główkę, zapytywał o to i owo — a jednocześnie rozglądał się po izbie. Tam stał stolik z kwiatami, które pielęgnowane jej ręką rozwijały się tak pięknie — tam przy oknie stała jej maszyna do szycia — tam znów mały błyszczący piecyk z blaszanym imbrykiem — między nim zaś a drzwiami stała szafa z książkami, gdzie uszeregowane pięknie za szybami widniały nie tylko pisma propagandowe, ale także wspaniałe dzieła poetyckie, które gromadziła powoli. W jednym z szeregów brakowało książki: tom, zajmujący zwykle to miejsce, miał teraz młynarz u siebie w domu.

Na fortepianie był rozłożony zeszyt nut. Młynarz zbliżył się ku niemu właśnie w chwili, kiedy Hanna weszła z powrotem i postawiła na stole tacę z butelką i szklanką.

— Tak, jak pan widzi... uczę się teraz tych wszystkich utworów i niebawem będę umiała je zagrać bardzo dobrze.

— Proszę bardzo, niech pani zaraz coś zagra... tylko ten mały kawałek... pani już wie, który.

Usiadła niezwłocznie przy fortepianie i zagrała kawałek, który „tak słodko, tak rozkosznie brzmi”, a potem *Wśród tych świętych, cichych murów*, co mu się najbardziej podobało. Młynarz siedział pogrążony w zadumie. Oczywiście, nie znał słów pieśni. Ale same dźwięki opowiadały mu dość wyraźnie o „szczęśliwej krainie”, ku której dążył „radosny, bo wiedziony przyjacielską ręką” — a do której, niestety, już nigdy nie dotrze. Z niezawodną pewnością uświadamiał sobie, że owe chwile minionej niedzieli, kiedy ten drobny cud zasłyszanych w dzieciństwie dźwięków ponownie się urzeczywistnił, był nieodwołalnie ostatnim nieskalanym i naprawdę szczęśliwym momentem całego jego życia.

Hanna skończyła grać i spojrzała na niego, wyczekując jakiegokolwiek wykrzyknika lub kilku słów podziękowań i pochwał. On jednak milczał i pochylił się, umykając przed nią spojrzeniem. Oko jego załśniło, poruszył mimowolnie ręką, jak gdyby chcąc odpędzić muchę — ale nic nie pomogło: wielka ła stoczyła się po policzku.

— Nie wstydź się pan swoich łez — odezwała się Hanna, powstając. — To naprawdę tak piękne dzieło, że może wycisnąć łzy z oczu, i ja płakałam także, kiedy grałam ten utwór dla siebie samej.

— Tak, nazbyt piękny i nazbyt dobry dla mnie. Wówczas, kiedy słyszałem go po raz pierwszy jako dziecko, wówczas byłem całkiem inny, a teraz jakże się zmieniłem! Ta myśl mnie przygnębiła, kiedy słuchałem tej muzyki, i ta myśl wycisnęła mi łzy z oczu. Pani nie potrafi tego odczuć, bo pani jest jeszcze dobra i czysta.

— Och, odczuwam doskonale — odpowiedziała Hanna i usiadła obok niego. — Dziecięca niewinność jest niewątpliwie czymś bardzo pięknym. Ale nie pozostaje ona wiecznie w duszy... zdobywamy świadomość i powinniśmy poznać tkwiące w nas grzechy. Czymże inaczej byłaby skrucha i nawrócenie się?

— Zbawiciel mówi jednak, że nie wejdzie do królestwa niebieskiego, kto nie będzie jako owe dzieciątka.

Młynarz wyobrażał sobie, że potrafi ją — biegłą w Piśmie Świętym — pokonać słowem z niego zaczerpniętym.

— Tak jest, Zbawiciel powiada, że musimy się stać jako dzieciątka. Jego łaska nam to ułatwia... Ale nie powinniśmy pozostać dziećmi, nawet gdyby to było możliwe. Gdyby to wystarczyło, czyż byłoby potrzebne odkupienie takiej niewinnej istoty... na cóż by była potrzebna śmierć Chrystusa Pana na krzyżu? Tacy ludzie nie istnieją. Wszyscy urodziliśmy się w grzechu i musimy sobie uświadomić, że jesteśmy grzeszni.

Jeśli Jakub doznał poprzednio przedwczesnej dumy, okazując swą znajomość Pisma Świętego, to teraz doznał upokorzenia. Ale upokorzenie to powitał radośnie. Przede wszystkim podziwiał pewność siebie, z jaką wywinęła się z sidła, które na nią zastawił. Wydawało mu się w tej chwili, że Hanna jest prawdziwym cudem mądrości i teologicznej bystrości.

— Doprawdy, panno Christensen, sądzę, że przemawiałaby pani z kazalnicy znacznie lepiej aniżeli nasz proboszcz.

Hanna z niechęcią wstrząsnęła ramionami.

— Czemu pan kpi? To nie tak łatwo wypowiedzieć trafnie swoje przekonanie... a ja miałam w każdym razie najlepsze zamiary.

Była bliska płaczu i chciała się oddalić. Młynarz uchwycił ją za rękę i przytrzymał.

— Czemu ma pani o mnie tak złe mniemanie, panno Hanno? I ja mogę powtórzyć to samo? Trudno jest wyrazić swoje zdanie, ale w każdym razie miałam najlepsze zamiary. Chciałem powiedzieć, że wszystko, co pani wygłasza, jest bardzo dobre i piękne i że zawsze chętnie słuchałbym słów pani.

— No, jak mi się zdaje, słucha ich pan dosyć często — odpowiedziała Hanna, rumieniąc się lekko — i obawiam się, że nieraz mogę pana znudzić.

— Znudzić?! Co też pani mówi, panno Hanno?!

Młynarz powiedział to nieco trwożliwym tonem. Jeszcze ciągle wskutek nieuwagi trzymał jej rękę w swej dłoni. „Mój Boże! — pomyślał — co ja gadam? Musi nieomal uwierzyć, że skrycie zabiegam o jej względy, zwłaszcza jeżeli Wilhelm już jej coś powiedział”.

Janek po cichu popłakał trochę, widząc łzy na obliczu ojca, co się nie zdarzyło od dnia pogrzebu matki. Dziwił się również bardzo, czemu ojciec i ciotka Hanna, których z przyzwyczajenia uważał za serdecznych przyjaciół, rozmawiają z sobą w ten sposób, że się nawzajem zasmucają. Wypełnił teraz ze swego kącika na kanapie i przytulił się do ciotki w taki sposób, że mogło się wydawać, jakoby popychał ją ku młynarzowi — niby mały Amor na rokokowym obrazku. Jednocześnie zerkał na ojca pytającym wzrokiem. Jego wielkie, szare oczy przypominały bardzo oczy matki, zwłaszcza gdy patrzyły z takim wyrazem — i młynarz doznał niesamowitego uczucia. A kiedy wreszcie te oczy roześmiały się do niego, przeniknęło go to samo wrażenie co poprzednio, gdy siedział na wózku — tylko ze znacznie większą natarczywością: to była ona, Chrystyna; ona spoglądała nań poprzez te oczy i uśmiechała się życzliwie: tak, teraz dobrze uczyniłeś, Jakubie! Uchwyciłeś właściwą rękę; dzisiaj przed południem, oczywiście, popełniłeś fatalną omyłkę.

Zauważył też dopiero teraz, że ciągle trzyma jej rękę, i wypuścił ją niemal z przestrachem: nie miał bynajmniej zamiaru z nią się wiązać — to było niemożliwe, nawet gdyby wypadło złamać święte przyrzeczenie — to było niemożliwe!

Hanna skorzystała z tego, że wypuścił jej rękę, położyła ją na główce Janka, pieściła się z nim, żartobliwie popychała go w tę i w tamtą stronę, a równocześnie drażniła się z nim, że zapewne dlatego tak się do niej czuli, ponieważ prosi, aby ojciec zabrał go do domu. Był to i dla niej bardzo pożądany zwrot, albowiem i ona doznawała zakłopotania bynajmniej nie w mniejszej mierze aniżeli młynarz.

Istotnie, pojęła jego słowa w ten sposób, jakoby podyktowała je miłość i pragnienie przejawienia tego uczucia. Ponieważ i w jej sercu wznosiła ustawicznie cicha skłonność ku poważnemu przyjacielowi domu, więc słowa młynarza zbudziły w niej radosny, spokojny oddźwięk, zwłaszcza że nie były one podniecającą niespodzianką. Wprawdzie brat nie wspominał nic o swej rozmowie z młynarzem podczas przechadzki po lesie, ale w niej samej już dawno zrodziło się przecucie, jaka była przyczyna owego mistycznego pukania w jej okno; z wielu powiedzeń brata, chociaż nie były zbyt jasne, wywnioskowała, że obaj przyjaciele omawiali już ten projekt małżeństwa. Ale właśnie dlatego nie chciała się zapuszczać zbyt daleko w rozmowę z droгим przyjacielem na ten temat; wedle jej mniemania powinien by przeminąć jeszcze pewien czas, zanimby obojgu przystało rozmawiać z sobą o miłości i małżeństwie. Niełatwo jednak było wybrnąć z tego tonu i rozpocząć rozmowę na obojętny, codzienny temat: na szczęście Janek przyszedł jej na pomoc.

Młynarz wypił szklankę piwa, pochwalił je — było bowiem uwarzone w domu — i powstał, chcąc się pożegnać.

— Ach, prawda — odezwał się, spojrzawszy na szereg książek, w którym brakowało jednego tomu — mam jeszcze u siebie poezje Chrystiana Winthera. Nie wiedziałem, wyjeżdżając z domu, że zawadzę o leśniczówkę, inaczej byłbym zabrał książkę.

— O, nic pilnego!

Ufnosć, dźwięcząca w tych prostych słowach, sprawiła młynarzowi większy ból aniżeli wszystkie inne szczegóły jego odwiedzin; dotąd nie odczuwał jeszcze z tak gorzkim smutkiem, że przecież stoi tutaj, żegnając się z nią na zawsze. Oczywiście, ona nie przeczuwała, że oddanie książki jest tak pilne. Czyż naprawdę te dobre i piękne chwile przeminęły już na zawsze? Wprost nie mógł tego pojąć, ale czuł, że już wszystko skończone!

— Czy tak? Przypuszczałem, że odczuwa pani brak tej książki — rzekł, podchodząc ku drzwiom.

— Nie... wprawdzie czytuję ją chętnie, ale oczywiście życzę i panu tej przyjemności.

Powiedziała te słowa, spoglądając na niego bardzo serdecznie. Odczuwała, że byłoby poniekąd przezorniej nie patrzeć w ten sposób — ale jeżeli się komuś życzy czegoś dobrego, czyż można jednocześnie spoglądać nań niechętnie? Zresztą słowa, jakie powiedziała, były tylko prostym zaprzeczeniem. Co prawda, książka mówiła dużo o miłości, a nawet — jak uświadomiła sobie — nie było tam innego tematu prócz miłości, i to sielskiej miłości w zielonym lesie, wśród pól i wsi; o młynie nie było mowy — chociaż jeden z poematów wspominał o młynie wodnym... Żałowała nieraz, że nie ma tam utworu poświęconego wiatrakowi. I myśląc o tym, uśmiechnęła się.

— Czy książka podoba się panu?

— Oczywiście, bardzo.

— To mnie cieszy. Czytywałam i Wilhelmowi ustępy, wieczorem, kiedy zajmuje się swymi drzewnymi robotami, lecz ta poezja nie przemawia do niego. Lubi tylko takie wiersze, które są wydrukowane w kościelnym śpiewniku. Ale w przyszłości powoli ucylizujemy go, prawda?

Młynarz usiłował uśmiechnąć się, niby radując się przeszłością, i mruknął coś, co mogło się wydawać potakiwaniem. Ale jednocześnie otworzył drzwi, aby wyjść, a głośny poszum lasu zagłuszył jego słowa.

Szybko zaprzężono szweda. Janek wdrapał się na wózek — nie chciał, oczywiście, pominąć tej sposobności, by odbyć małą przejażdżkę. A Hanna oświadczyła, że pozwala mu pozostać w lesie z wujem i razem z nim powrócić, albowiem na pewno spotkają się w drodze.

— Pozdrów go pan ode mnie — zawołała Hanna — i powiedz mu pan, aby się nie spóźnił na wieczerzę! A gdybyście spotkali Jenny, przyslijcie do domu to niegodziwe stworzenie.

Mały konik znowu pomknął naprzód, opuściwszy głowę i wyrzucając energicznie nogi przed siebie; koła, zgrzytając, toczyły się w głębokich, wilgotnych koleinach. Niekiedy koło wpadło na wyboje — a Janek bawił się wybornie, podskakując przy tym w górę. W ogóle zachowywał się niespokojnie i odwracał się bez przerwy. To samo zresztą czynił młynarz, gdyż ciotka Hanna stała przed domem i przytrzymując jedną ręką na głowie małą zabawną czapkę, powiewała chusteczką trzymaną w drugiej ręce. Niewątpliwie chciała w ten sposób uradować kochanego dzieciaka. Ale okazywała w tej życzliwości tak wielką wytrwałość, że dostrzegali jej czarną postać na tle białego domostwa jeszcze wtedy, kiedy skręcali już na gościniec, gdzie szwed pomknął naprzód energicznym klusem.

IX

Ten ruch rozbudził młynarza z jego tęsknej zadumy i podniecił w nim energię. Teraz więc jechał do leśniczego. Czy nie należałoby mu o tym powiedzieć? To byłoby niewątpliwie najwłaściwsze, było wprost obowiązkiem. Nie musiał, oczywiście, opowiadać, że chce poślubić Lizę, natomiast należało oświadczyć, że przyjaciel nie powinien przywiązywać wagi do słów, jakie padły niegdyś w rozmowie, ponieważ nie ożeni się z jego siostrą. Tak, ale jeżeli tamten zapyta o przyczynę, jeżeli zapyta, dlaczego odmienił swe zamiary — co wówczas odpowiedzieć? Najlepiej wyznać wszystko otwarcie i szczerze... Jednakże towarzyszył mu chłopiec. W jego obecności nie mógł poruszać tego tematu. Nie chciał umyślnie oddalać Janka, bo w takim razie wypaplałby przed Hanną, że ojciec i wujek naradzali się potajemnie. Ale gdyby chłopiec oddalił się sam dobrowolnie, wówczas powie leśniczemu wszystko — niezawodnie.

Zaledwie skręcili w lewo — na drogę, która poprzez las wiodła wprost do młyna — posłyszeli rozlegające się głośnym echem uderzenia siekier i ostry zgrzyt pił. Niebawem błysnęło na ziemi coś białego — był to powalony buk, którego długi pień już rozpiłowano. Wysoko w górze chwiały się wierzchołek drugiego buka, przytrzymywanego jeszcze sznurami w pionowej pozycji. Długie, bezlistne gałęzie trzepotały smętnie w powietrzu, jak gdyby spodziewając się, że znajdą gdzieś punkt oparcia. Obok szumiały wesoło zeschnięte liście dwa ogromne dęby, rozumiejąc zapewne, że powalono ich wrogów, aby im samym zapewnić światło, powietrze i przestrzeń. Unoszone wiatrem liście biegnęły niby gońcy, niosąc radosną wieść innym dębom, również udręczonym wskutek natłoku drzew.

Głos Wilhelma brzmiał wyraźniej niż inne głosy, niebawem dostrzegli jego postać. Był odwrócony tyłem do nich, spoglądał w górę i laską kierował ruchami robotników. Nie zauważył jeszcze nadjeżdżającego wózka, ale Hektor pospieszył już na powitanie. Naszczekując wesoło, skakał bez przerwy w górę tuż pod nosem szweda, który potrząsał głową i ostrzegająco parskał, wyrażając swe niezadowolenie z powodu obecności tego niespokojnego, niemilego i hałaśliwego stworzenia.

Wózek zatrzymał się, a Janek zeskoczył na ziemię. Młynarz także wysiadł, owinął lejce dokoła podstawki podtrzymującej latarnię i rozluźnił popręg. Wprawdzie nie zamierzał zatrzymać się tu długo, ale siedzenie na wózku krępowałoby go w rozmowie, jaka go oczekiwano. Nie bez trudności przeskoczył przez rów, ponieważ przeszkadzał mu długi płaszcz. Leśniczy szedł już naprzeciw niego wielkimi żołnierskimi krokami, to nurzając zabłocone buty w rozbryzgujących się kałużach, to przeciskając się obok wysokich stert zeschniętych liści, które sypały się tumanem na ziemię.

— To ty, Jakubie? Zapewne przybywasz z leśniczówki?

— Tak jest... Cóż słysząc, Wilhelmie?

— Wszystko dobrze... Dziękuję ci, że podjechałeś po mnie, niedługo będę gotów.

— Nie, nie mogę pozostać u was, muszę wracać do domu.

— Aha! Więc to takie odwiedziny? Umyślnie o tej porze, kiedy brat przebywa w lesie?

I w drodze do leśniczówki cichutko się przemknąłeś? Ej, ej, Jakubie!

— Jechałem przez Kirkeby... właśnie dążyłem do miasta.

Leśniczy roześmiał się głośno i poklepał go po ramieniu.

— Więc w takim razie muszę stwierdzić... że wabik był mocny, nie jest to bowiem najbliższa droga do miasta.

Młynarz uśmiechnął się z przymusem. Doznawał bardzo niemiłego uczucia, ale jednocześnie słowa leśniczego wydały mu się celową zachętą do słów, jakie sam zamierzał powiedzieć. Chłopiec oddalił się właśnie w tej chwili.

— Słuchaj, Wilhelmie... chciałem ci powiedzieć...

— Mów!... Janku! Nie chodź tam, pozostań przy nas!... Nie mogę pozwolić, by się kręcił wśród robotników, bo nietrudno o wypadek.

— Oczywiście, bardzo słusznie.

— A więc? Cóż to chciałeś powiedzieć?

Teraz jednak chłopiec stał obok niego i nastawiał uszy. Niemożliwe!

— Tak! Cóż to ja chciałem?... Ach prawda, ten malec prosi, by mógł pozostać tutaj. Otóż powiedz mi całkiem szczerze, czy nie sprawia wam to kłopotu... twojej siostrze nie dowierzam pod tym względem.

— Eh, nie warto mówić o tym! Kłopot? To przyjemność dla nas. A oprócz tego — ściszył głos i mądrym spojrzeniem pedagoga ostrzegł Janka, że nie należy teraz nasłuchiwać — a prócz tego wydaje mi się to bardzo korzystne, że oboje przyzwyczajają się do siebie.

— Co przez to rozumiesz, wujku Wilhelmie? — zapytał Janek.

Leśniczy ze zdumieniem spojrzał na niego.

— Ależ ten mały łobuz ma długie uszy!... Mój Boże, gdy byłem w jego wieku, nie podsłuchiwałem.

Młynarz uśmiechnął się, chociaż niezbyt radośnie było mu na duszy.

— No, stój tu grzecznie przy ojcu — odezwał się leśniczy, pozostawiając roztropnie bez odpowiedzi niedogodne zapytanie. Ciągłe podczas tej rozmowy zerkał lewym okiem przez ramię ku chyłacemu się bukowi. — Przepraszam cię na chwilę Jakubie, teraz zaraz runie.

I oddalił się, brnąc przez liście i błoto.

Młynarz usiadł na pieńku. Wyjął z kieszeni fajkę i kabzę z tytoniem, nabił fajkę, zapalił i wydmuchiwał ostrożnie wielkie chmury dymu, które zimny wiatr natychmiast odrywał od jego warg i rozwiewał bez śladu. Do leśnej atmosfery, uwitej z zapachów wilgotnej ziemi, zwiędłego listowia, gnijących roślin i świeżo porżniętych desek, przymieszała się woń narkotycznego ziela, oddziałując uspokajająco, pobudzając myśli. Młynarz przypomniał sobie liczne poufne gawędy, które prowadził z przyjacielem w lesie, paląc fajkę, a wspomnienie to kładło się coraz większym ciężarem na jego sercu. Brzmiało mu jeszcze w uszach to powiedzenie leśniczego, które wzbudziło ciekawość Janka; pojmował coraz jaśniej, że musi wytłumaczyć przyjacielowi istotny bieg wypadków, a jednocześnie to wytłumaczenie stawało się coraz trudniejsze.

Janek bawił się z Hektorem, każąc mu aportować suche gałęzie.

— Widzisz, tatku, jaki to mądry pies? Wyszuka zawsze gałązkę wśród wszystkich innych, chociaż rzucam ją daleko.

— Tak, tak, Janeczku! Obyś tylko ty był tak mądrym chłopcem, jak mądrym psem jest Hektor — żartował młynarz.

— Ach, tatku! Pobaw się z nami! Ty potrafisz rzucać bardzo daleko. Tutaj jest doskonała gałąź.

— Dobrze. Rzucę jeden raz. Ale kiedy człowiek pali fajkę, nie może się bawić.

— Nie może? — W dzieciennym głosie brzmiał zawód i powątpiewanie.

Ojciec wstał, podsunął gałąź pod nos Hektora i udał, że ją rzuca. Pies skoczył naprzód, ale natychmiast zawrócił, szczekając zawzięcie ku ogromnej ucieście Janka. Kiedy wreszcie pies już dość się zdenerwował, młynarz rzucił gałąź szerokim łukiem.

Janek zakrzyknął z radości i pobiegł za Hektorem, który zniknął w tumanie zeschniętych liści...

Jakub nieruchomo wpatrywał się przed siebie, pogrążony w zadumie.

Ponad falującymi w podmuchach wiatru wierzchołkami buków — podobnych do wielkich pęków chrustu — przeciągały szybko chmury, nie oderwane, skłębione obłoki, lecz niskie, zlewające się z sobą płaty mgły, tu i ówdzie tylko nieco ciemniejsze. Smutnie

przepływały ponad leśną polaną, która otwierała się w odległości mniej więcej pięćdziesięciu kroków — zgnilozielona, zamknięta z przeciwległej strony ścianą lasu. Las ten piętrzył się niby liliowy mur mgieł, a poszczególne kępy brzoź wyglądały na tle polany jak żółtawe, prześwietlające sieci.

Wierzchołek podcinanego drzewa pochylał się ciężko w dół. Coraz głośniejsze i szybciej rozlegały się uderzenia siekier. Robotnicy nawoływali się, ale głos ich przygłuszał wrzask i krakanie wron, które brały bardzo żywy udział w tej leśnej przygodzie i czarnymi rojami krążyły naokół.

Wszystko było bardzo ponure, jesienne. I młynarz także nie był bynajmniej usposobiony wesoło, wiosennie. Był to szmat życia dobiegającego kresu.

— O hoi! O hoi!

Trach!

Wśród trzasku i hałasu, bijąc wszystkimi konarami dokoła siebie, buk legł na ziemi u stóp obu zwycięskich dębów.

Leśniczy powrócił do młynarza, a Janek, któremu teraz nie groziło już niebezpieczeństwo, biegł tu i tam w towarzystwie Hektora, aby obejrzeć dokładnie powalone drzewo. Chwila ta niezwykle sprzyjała rozpoczęciu poufnej rozmowy.

— Dobrze się stało, że przyjechałeś dzisiaj — odezwał się leśniczy, siadając naprzeciwko niego na innym pieńku i przygotowując sobie fajkę. — Mam nadzieję, że twoje odwiedziny rozweseliły nieco moją siostrę, była bowiem trochę smętna... z powodu Jenny...

— Tak, wspominała o tym. Kiedy przyjechałem, stała właśnie przed domem i nawoływała. No, sarna wróci chyba do leśniczówki.

— Być może, być może!... W każdym razie strzelano dzisiaj o świcie w odległości niespełna dziesięciu minut drogi od domu... i to był ten Peer Vibe...

Poprosił przyjaciela, by mu wsypał trochę żaru ze swojej fajki; rozżarzył tytoń, przykrył wieczko z troskliwością pedanta i puszczał kłęby dymu z widocznym zadowoleniem.

Stanowczość, z jaką leśniczy wypowiedział to oskarżenie, zaniepokoiła bardzo Jakuba. Kto wie, może kłusownik posiada nie tylko jedną strzelbę.

— Skąd wiesz, że był to właśnie Peer Vibe?

— Och! Znam chyba dobrze odgłos tej strzelby. Rodzony brat tej — uderzył pieszczotliwie ręką po własnej broni — prawdziwy „Green”. To doprawdy wstyd, aby tak świetna strzelba znajdowała się w takich rękach... chociaż... jeśli chodzi o dobry strzał... ręce te są bardzo dzielne...

Młynarz zastanowił się. Jeżeli byłoby to prawdą, w takim razie Liza okłamała go. W takim razie brat dał jej strzelbę do przechowania *dzisiaj rano*.

— Czy nie mylisz się, Wilhelmie?

Leśniczy roześmiał się pogardliwie.

— Rozpoznam chyba odgłos mojej własnej broni. Powiadam ci, tylko trzy takie strzelby znajdują się w całym Falsterze. Jedna jest własnością hrabiego ze Skjöringe... No, ten nie urządza chyba kłusowniczych wypraw na nasze tereny. Moją strzelbę otrzymałem pewnego razu w podarunku od szambelana, kiedy chciał okazać szczególne zadowolenie z moich usług. Z trzeciej ciągnie korzyści Vibe. Łajdak zdobył ją dzięki rabunkowej strzelaninie i dzięki kradzieżom.

Liza *skłamała*. Ale dlaczego? Aby ukryć winę brata? Tylko jego winę? A może i swoją własną? Z powodu zastrzelenia Jenny? Czy nie tak było? Cały związek przyczynowy rozblysnął przed oczyma młynarza w tej jakby chwili jasnowidzenia i obudził dziwne przeczucia.

Przypomniał sobie żywo to wrześniowe popołudnie, kiedy stał na leśnej polanie obok Hanny, a ona przywoływała z lasu swoją Jenny. Teraz zaś stanął obok Lizy, która wysłała swego brata do lasu, by zamordował Jenny. Albowiem było to morderstwo, chociaż tylko zwierzę padło jego ofiarą. Zwierzę było uświęcone ludzką miłością. Mordująca je kula ugodziła również w dobrą, pobożną Hanę, która nie zapomni nigdy o swojej ulubienicy. A on stał po stronie tych dwojga, którzy ją tak boleśnie zranili.

— Boże mój! Czy to naprawdę tak było?

— Drżysz z zimna — rzekł leśniczy, powstając. — Przejdźmy się lepiej trochę.

Młynarz podniósł się także.

— No tak, w jego rękach strzelba zamortyzuje się niebawem — odezwał się jedynie w tym celu, aby ukryć swoje myśli, które, obciążone poczuciem winy, krążyły obok Lizy i Jenny.

— Istotnie — odpowiedział leśniczy, śmiejąc się zgryźliwie — ta strzelba niemal zapewniła mu już doskonale stanowisko. Mniej więcej przed godziną przejeżdżał tędy szambelan. Opowiadam mu, że dzisiejszej nocy Peer Vibe znowu tu straszył. Szambelan przybiera sprytną minę i oświadcza, że już coś wymyślił, aby zaradzić złu.

— Więc istotnie chce przyjąć Peera Vibe do służby?

— Ach, już wiesz o tym?

Jakub zagryzł wargi. Był przekonany, że się wygadał. Albowiem w tej chwili zapomniał, że tę wiadomość usłyszał nie tylko z ust swojej Lizy, lecz i z innych. Ale następne słowa przyjaciela uspokoiły go natychmiast.

— Ach, prawda! Teraz przypominam sobie! Byliśmy przecież obaj razem tam u staro Ole, kiedy o tym mówił... Pocziwy stary zuch! Wolałby raczej, mimo reumatyzmu, który go dręczy, wytrwać na pozycji, aniżeli ustąpić miejsca kłusownikowi... Było to we wrześniu... piękny był dzień!

— Cudowny dzień! — przytwardził młynarz z głębokim westchnieniem.

— A oto i on sam. Przypuszczałem, że przyjdzie, skoro cię zobaczy. Służy teraz u szambelana, pracuje w ogrodzie. Ale las ciągnie ku sobie. Kiedy zabraliśmy się do ścięcia drzew, nasz Ole nie usiadł w ogrodzie, musiał wziąć w tym udział... oczywiście tylko jako ochotnik.

Z dobroduszną powolnością człowieka, który jest uprzywilejowany i służy tylko *con amore*³⁰, zbliżył się ku nim, starzec olbrzym uściśnął rękę młynarza.

— Witamy w lesie, panie Clausen!

— Zawsze, jak widzę, pozostaje pan wierny swojemu zawodowi, panie Ole! Mówiliśmy właśnie o tym, jak to odwiedziliśmy pana we wrześniu, a pan opowiadał nam o szambelanie i o Peerze Vibe... Leśniczy wspominał także, że szambelan teraz właśnie...

Ole roześmiał się, otwierając szeroko usta, mrugnął figlarnie oczyma, machnął lewą ręką w powietrze, jak gdyby spędzał z ucha i ze skroni rój komarów, i zatrzęsł się cały z radości.

— Wesoła historia! No, dogodził mu, jak się należało!

— Więc cóż odpowiedziałeś mu, Wilhelmie?

— Zapytałem go, czy naprawdę przypuszcza, że zgodzę się pracować wspólnie z notorycznym kłusownikiem, i to jeszcze z takim, o którym mówią, że był obecny przy zamordowaniu mojego poprzednika! Zapytałem, czy to jest sprawiedliwe dawać chleb złoczyńcy, a odbierać go uczciwym ludziom, którzy go szukają! Zapytałem, czy ze związku ze złym człowiekiem może wyniknąć coś dobrego! „Uczyń pan, jak uważasz za stosowne — powiedziałem — ale nie mieszaj pan w to Wilhelma Christensena”.

Ole mrugnął oczyma, parsknął, gryzł wąsy, wydymał policzki, a wszystkie te grymasy jego twarzy, zwrócone do młynarza, przemawiały dobitniej niż słowa:

— O, ten dosilił już szambelanowi, jak należało... nie krępując się bynajmniej dyscypliną!

— A cóż szambelan? Cóż powiedział?

— Cóż mógł powiedzieć? Wykręcał się głupim konceptem.

— On zawsze tak czyni — objaśniał Ole. — Żołnierski humor... tam pod Düppel, gdy Prusacy najostrej strzelali, dowcipkował bez przerwy, a cały szaniec ryczał śmiechem... Co prawda, niewiele to pomogło.

— Pomogło? — burknął gniewnie leśniczy. — I tym razem nic mu nie pomogło. Wstydział się, zrozumiał, że źle postępuje. Dowcipkował... aby wyjść z honorem.

— Artyleryjski ogień celem pokrycia odwrotu piechoty — potakiwał Ole, żując grudek tytoniu — ...kawalerii, chciałem powiedzieć, bowiem szambelan przyjechał konno... ha, ha, ha!

Powodując się grzecznością, młynarz udał, że zachwyca się dowcipem, chociaż kosztowało go to немало trudu. Nie miał wcale ochoty do śmiechu. Z coraz większą przykrością pojmował swoją fałszywą, niemal oszukańczą sytuację — wszak pragnął z całego serca, by

³⁰*con amore* (wł.) — z miłością; z zamilowania. [przypis edytorski]

brat Lizy zajął uczciwe stanowisko; przed niewielu godzinami bardzo pobłażliwie wyrażał się o kłusowniczym zawodzie Peera w rozmowie ze swoją narzeczoną!

I jak gdyby pragnąc wysadzić go całkiem z siodła, Wilhelm, zachowujący kamienną powagę, dodał:

— Nie, nie, Jakubie! Nikt nie zyska na tym, jeżeli się zwiąże ze złym!

— Święta prawda, panie leśniczy! — wykrzyknął Ole. — Sprawdzało się to na tych zaczarowanych, diabelskich kulach, jakich używali myśliwi w dawnych czasach. Odlewano je w nocy, wymawiając zaklęcia i trafiały zawsze do celu, ale ostatnia godziła nieuchronnie w serce samego strzelca... To fakt, wyczytałem to w starej księdze, przetłumaczonej z języka niemieckiego... A Niemcy najlepiej się na tym znają, bo zawsze wchodzili z diabłem w konszachty. Był tam u nich ten Marcin Luter, który wojował z czartem i cisnął mu coś na głowę... pan chyba wie, panie leśniczy.

— Kałamarz — przytwierdził Wilhelm. — Działo się to w Wartburgu. Dotąd jeszcze widnieje plama na ścianie.

— Oczywiście. Jak mówię: zawsze wchodzili z diabłem w konszachty. Najmędrszy spośród nich wyrznął go kałamarzem w łeb, jak gdyby diabeł nie był i tak już dosyć czarny... ha, ha, ha!... Diabelskie nasienie!... Ach, na ten temat powiedział szambelan doskonały dowcip... był wówczas pułkownikiem... Tylko najmędrsze głowy zrozumiały, o co chodzi... Jakże to było?... Nie!... Zapomniałem... człowiek starzeje się i głupieje... tak, tak, Clausenie!... Nie ma na to rady.

Zestawiwszy tak sumę swoich życiowych doświadczeń, Ole wyraził cyniczną pogardę tej niedającej się odmienić rzeczywistości, splunął poprzez czarne, spróchniałe zęby i przesunął językiem grudkę tytoniu na przeciwną stronę jamy ustnej, po czym począł się przygotowywać do powrotu, podciągając w górę spodnie.

— Ano, trzeba puścić w ruch nogi. Szambelan wspomniał, że byłoby dobrze, abym powrócił do domu zaraz po ścięciu buka. Chce, abym wykonał jeszcze jakąś drobną robotę.

— Tak, tak, idź, Ole, do zobaczenia! Dziękuję bardzo, że nas odwiedziłeś.

— O, stary Ole nie zapomina. Dobranoc, panie leśniczy!

Kiedy Wilhelm uściskał jego dłoń, oddalił się o kilkadziesiąt kroków, by wydać jakieś polecenie. Ole przybrał najfiglarniejszy wyraz twarzy, wskazał palcem poza siebie i szepnął:

— Nie bardzo mu się podobało, że kpię z Lutra... he, he, za bardzo przestrzega świątobliwości, ale mimo wszystko sprawiedliwie gada: nie należy wiązać się ze złem: to zasada. Dzielný człowiek! I... bardzo pana ceni! Tak, tak, panie Clausen, miej się pan na bacności! Chce pana nawrócić na swoją wiarę... „wewnętrzne posłannictwo”... he, he, kobiece posłannictwo? Hm, co się tyczy tego, to nie najgorsza myśl. Niedobrze żyć w samotnym stanie... gdybym miał pańskie lata!... Myślałem i ja o tym, kiedy moja stara umarła... ale nie wymyśliłem! Inaczej się żyje w chałupie gajowego, a inaczej w młynie... No, nie gniewaj się pan, gadam szczerze jak stary żołnierz, wszystko, co mi leży na wątrobie... Dobranoc, panie Clausen!

„I on wie o tym, wszyscy już wiedzą!” — myśli młynarz, spoglądając za Olem, który oddalał się, pochylając swą długą postać i kulejąc nieco. Te serdeczne słowa starego dziwaka przekonały go dobitniej niż cokolwiek innego, że nieodwołalnie oddala się od swego wypróbowanego przyjaciela i zrywa z całym dotychczasowym życiem: zrozumiał, jakie perspektywy zamykają się przed nim raz na zawsze. Nie odczuwał tego tak silnie nawet wtedy, gdy siedział w leśniczówce naprzeciw Hanny. Tak, gdyby można cofnąć się jeszcze?! Ale nie. Należało położyć kres wahaniom, dał już słowo dziewczynie. A poza tym — pożądał jej. Nawet tutaj, wśród wrogięgo dla niej otoczenia, gdy stał między leśniczym i długim Olem, nawet tutaj żar przenikał jego żyły, kiedy przypomniał sobie, jak trzymał w swych ramionach jej ciało wstrząsane szlochem... I jeżeli nawet naprawdę tak się stało, jak w tej chwili przypuszczał, że wysłała brata do lasu, by zastrzelił ukochaną sarenkę Hanny, to czyż nie uczyniła tego zaślepiona zazdrością, z miłości ku niemu?

Leśniczy powracał. Teraz nadeszła chwila sposobna do poufnych zwierzeń. Ale młynarz stracił odwagę. Czyż mógł teraz powiedzieć przyjacielowi, że zamiast zostać jego szwagrem zamierza wejść w związku pokrewieństwa z Peerem Vibe? Rozumiał doskonale, że gdyby raz zaczął się zwierzać, nie potrafiłby się zatrzymać w połowie drogi... Czyż miał

wyznać Wilhelmowi, że zamierza wyrzec się dobrego ducha, a związać się ze złym — bo tak przecież określiliby to przyjaciel.

Młynarz otrząsnął się z paraliżującego go niezdecydowania i postąpił naprzeciwko idącemu.

— No, trzeba pomyśleć o powrocie.

— Czyż to konieczne? Co prawda, już późno.

Leśniczy odprowadził go do wózka i naciągnął popręg.

— Zgrabny, mały wózek i dobry konik. Już dawniej kiedyś przyjechałeś do nas tym zaprzęgiem okólną drogą. Było to dokładnie przed rokiem. Chrystyna towarzyszyła ci.

— Tak, przypomniałem sobie to — bąknął Jakub.

— Widzę wyraźnie scenę waszego odjazdu. Hanna zapina fartuch wózka w tym samym miejscu, gdzie ja teraz, a Chrystyna, siedząca obok, pochyla się i całuje ją. Ach, pocziwa dusza! No, teraz zażywa już błogosławionej szczęśliwości i mam nadzieję, że na pewno będzie się radować postępowaniem Hanny.

Młynarz przechylił się w przeciwną stronę, aby i tam zapiąć skórzany fartuch. Wiodocześnie nie było to łatwe zadanie, był bowiem bardzo czerwony, kiedy się wyprostował i ujął lejce w rękę.

— Przyjeżdż znowu do nas niezadługo, Jakubie — rzekł leśniczy, ściskając mu serdecznie rękę — do nas, mówię, to znaczy i do mnie także.

— Tak, tak, przyjadę. Do zobaczenia, Wilhelmie!

Jakub zapomniał zupełnie o chłopcu, który teraz przybiegł zadyszany na wyścigi z Hektorem, aby się pożegnać.

Ojciec skinął mu głową na pożegnanie, udzielił mu paru napomnień, aby zachowywał się grzecznie i nie narażał przyjaciół na kłopoty. Wagę tych napomnień umniejszył nieco leśniczy, klepiąc Janka po ramieniu, uśmiechając się dobrodusznie i dając niejako do zrozumienia, że ze strony chłopca nie grozi mieszkańcom leśniczówki żadne niebezpieczeństwo.

Jakub uderzył lejcami w grzbiet konia, wózek potoczył się z miejsca.

— Pozdrów Lizę... i Jörgena! — wołał Janek za odjeżdżającym.

Wymienił wprawdzie Jörgena tylko jako „pierwszego wśród równych”, ale to połączenie imion razem było tak przykre dla młynarza, że dreszcz go przeniknął.

Leśniczy zauważył ten dreszcz i pokiwał głową: Jakub nie miał dzisiaj humoru. Byleby tylko nie były to objawy przeziębienia...

Powoli jechał młynarz przez las.

Drzewa przesuwały się kolejno przed jego oczyma — niemal każde z nich znał z dawna i dobrze, tylekroć przebywał tę drogę. O tam, ten wielki buk, którego ogromna korona górowała wysoko i szeroko ponad innymi, teraz te dwa drzewa zrosnięte z sobą, tam znów inne drzewo, spowite bluszczem aż do wierzchołka, które teraz w tej smutnej szarzyźnie błyszczało soczystą barwą malachitu i wyróżniało się tym wśród sąsiadów znacznie bardziej niż w letniej porze; w ogóle każde drzewo, odarte z liści, miało teraz szczególniejszy indywidualny wyraz. Każde z nich spoglądało na niego na swój sposób z wyrzutem: jedno surowo, drugie smętnie — to niby cofało się przed nim, tamto wyciągało ku niemu groźnie grube konary — delikatna brzoza wywijala żółtym sztandarem liści, tak jak poprzednio Hanna chusteczką; wszystkie zaś jednoczyły się w tym nieskończonym, melancholijnym szumie, który doprowadzał go niemal do rozpacz.

Teraz las rzedniał — wydawało się, że powietrze przenika swobodniej i weselej między pniami aniżeli poprzednio tego samego dnia. Przesunęła się przed oczyma strażnica leśna, ukryta poza ciernistym płotem — drzewa zniknęły, naokół po obu stronach rozciągały się uprawne pola, szeroki horyzont, a na najwyższym jego punkcie, wprost naprzeciw, wznosił się młyn na wzgórzu.

Młynarzowi wydało się, że opadła zasłona spowijająca jego duszę. A i w przyrodzie także coś się wynurzyło z mroków: światło, barwy. Obniżony dotychczas, płaski i szary strop nieba rozjaśnił się bladoniebieskim blaskiem ponad coraz krwawiej błyszczącymi chmurami, z których spływał na olbrzymią równinę purpurowy zalew.

Młynarz popędził konia, który i z własnej ochoty przyspieszał kroku. Ostрым, dudniącym kłusem, rozbryzgując wodę kołami zdążali do młyna. Zalecenia, dane przez Lizę

na odjeźdźnym, poskutkowały widocznie: szwed dokładał wysiłku, by możliwie najszybciej przywieźć jej z powrotem kochanego młynarza.

Wszystkie myśli o Hannie pozostały teraz poza Jakubem w cieniach lasu. Widział przed sobą tylko Lizę, która w postaci ukochanego młyna witała go niecierpliwie z oddali — wywijając w powietrzu czterema żaglami zamiast chusteczki. I tak jak cztery potężne żagle śmig wiatraka usunęły w cień małą chusteczkę do nosa, tak potęga Lizy usunęła w cień Hannę.

Zresztą Liza nie przeczuwała zapewne, że teraz nadjeżdża! Jak radośnie się zadziwi! Z jaką uciechą go powita! W serdecznym nastroju spędzą oboje razem ten wieczór, chociaż sądzili, że spędzą go z dala od siebie, nudząc się samotnie!...

Słońce zachodziło z prawej strony. Wprost przed młynarzem, poniżej purpurowej chmury, rozciągała się długa metalicznie błyszcząca smuga, na tle której odcinała się czarna sylwetka młyna. Wyżłobione kołami koleiny na prostej jak sznur, twardej drodze były jeszcze pełne wody; wydawało się, że ziemia jest tylko cienką skorupą, przetartą w tym miejscu, i że niebo prześwieca z jej wnętrza.

Radosny, pełen nadziei, wjechał młynarz w tę sferę blasków.

Młyn jednak był czarny.

X

Jakub wjechał przez bramę wiodącą na podwórze młyna.

Wyprzągnął konia, napił go i nakarmił. Dziwił się nieco, czemu Liza nie wybiegła na spotkanie. Ale zapewne siedziała po przeciwnej stronie domu w swym pokoiku, nie usłyszała więc turkotu wózka.

Ale nie znalazł jej w całym domu, nie dojrzał również w ogrodzie. Doznał poniekąd zawodu, ale pocieszał się tym, że niebawem ją ujrzy. Może wyszła na przechadzkę, korzystając z tego, że po tylu szarych godzinach rozjaśniło się i wypogodziło nareszcie. Oczywiście, Liza nie interesowała się tym nigdy, ale młynarz przypuszczał naiwnie, że to, co jego raduje, musi radować także innych ludzi — a zwłaszcza ją, jego ukochaną.

Jednocześnie postanowił zobaczyć, co też robi Jörgen — nie bez pewnej nadziei, że może znajdzie Lizę w izbie czeladnej. Otworzył cichutko drzwi i zajrzał do wnętrza — izba była pusta. Wówczas poszedł do młyna.

Szalejący hałas pouczył go niebawem, że praca wre, czego zresztą w tym wspaniałym, pełnym wiatru dniu należało oczekiwać. Na najniższym piętrze — tak jak przewidywał — nie zastał nikogo.

Teraz stał na piętrze żarnowym: trzy złożenia kamienne i łuszczarka pracowały — Jörgen sprawiał się dzielnie, a przecież nie miał pomocnika, bo Lars był nieobecny. Ale gdzie on się ukrywa, ten Jörgen? Było już dosyć ciemno, piętro żarnowe ginęło w mroku, a nawoływanie niewiele by pomogło w tym hałasie.

Młynarz podszedł więc kolejno do każdego ze złożów kamiennych, zajrzał poza worki, wyszedł na galerijkę — nie było nikogo.

Kiedy z powrotem wszedł w ogłuszający hałas, zwrócił uwagę na coś, czego nie dośłyszałoby żadne inne ucho prócz młynarskiego; doznawał wrażenia pustki i wnioskował stąd, że kamienie nie mają co mleć. Wstąpił na rusztowanie najbliższego złożenia kamiennego i sięgnął ręką do zbiornika: istotnie był całkiem pusty. I tak samo puste były inne zbiorniki. W tych warunkach praca trzech złożów kamiennych nie na wiele, oczywiście, się zdała!

Chciał właśnie z przekleństwem na ustach, skierowanym przeciwko temu leniwemu osłowi, zeskoczyć z trzeciego złożenia, gdy nagle dostrzegł na podłodze jakieś gwałtowne poruszenia, kryjące się w cieniu. Pochylił się; były to koty toczące wściekły bój. Jednym z nich był oczywiście Kizia, drugi był prawdopodobnie obcym kotem, który zakradł się tutaj, był bardzo podobny do Pilatusa. Teraz wytoczyły się oba w świetlną smugę koło drzwi i czały się, leżąc na brzuchach i parszcząc na siebie. Czyż to możliwe?! Młynarz zeskoczył na podłogę i zbliżył się tuż do nich. Tak, to był Pilatus!

Ale skądże wziął się Pilatus tutaj? Powszechnie było wiadomo, że nigdy nie zachodził do młyna — nigdy, w żadnych okolicznościach! To był artykuł wiary, tak samo zasadniczy jak to, że Bóg stworzył świat. W to nie można było powątpiewać! A jednak Pilatus

był tutaj, na piętrze żarnowym, w centrum młyna. Skoro działy się takie cuda na przekór ogólnemu doświadczeniu, to musiało to posiadać jakieś znaczenie. Więc cóż to oznaczało, że Pilatus był na piętrze żarnowym? I czemu twarz młynarza, dotychczas zaczerwieniona gniewem, zbieła nagle, jak gdyby bijący gniewnie w podłogę ogon koci obsypał ją wszystkim pyłem mącznym, pokrywającym piętro żarnowe? Czy taka, czy inna była tego przyczyna, bądź co bądź młynarz zaniechał dalszego przyglądania się walce kotów i zniknął z widowni boju, zdążając w ciemny kąt, gdzie znajdowały się schody, po których zaczął powoli wstępować na górę.

Walka trwała jednak dalej z niebywałą zaciętością, albowiem szlachetni przeciwnicy podjęli bój bynajmniej nie dla zdobycia chwały w ludzkich oczach. Tak bohatercko i tak zacięcie nie walczą nawet dwa królewskie tygrysy w dżungli, którą każdy z nich uważa za swoje wyłączne królestwo. Trudno było przewidzieć, komu bóg wojny odda zwycięstwo. Kizia i Pilatus pozostawali do siebie w takim stosunku jak opancerzony rycerz krzyżowy, siedzący na duńskim rumaku, do Saracena na arabskiej klaczy. Pilatus był przede wszystkim tęższy i lepiej opancerzony grubym futrem niż jego przeciwnik, natomiast tamten był nieporównanie zwinniejszy i ruchliwszy; posiadał też bez wątpienia większą wytrzymałość i jemu przypadłaby palma zwycięstwa, gdyby walka potrwała dłużej; był jeszcze ciągle rześki jak na początku, podczas gdy Pilatus już zaczynał dyszeć wskutek zmęczenia. Ale Kizia nie wyzyskał tej szansy powodzenia, bo chociaż posiadał zalety dzikiego wojownika, a między innymi także szybką orientację, znajomość podstępów i forteli, to jednak brakowało mu zmysłu objęcia całokształtu sytuacji. Pilatus górował nad nim spokojem i opanowaniem, których nabywają bohaterowie dzięki wykształceniu i obcowaniu z wyższymi istotami, z bogami... Wreszcie niełatwo było rozstrzygnąć, którego z obu przeciwników umacniało w boju poczucie prawa i sprawiedliwości. Wiadomo, że nieraz mały piesek może podjąć na własnym podwórku walkę z olbrzymim brytanem. Do kogo jednak przynależało piętro żarnowe? Kizia nie żywił najmniejszej wątpliwości, że było ono jego posiadłością — trudno też zaprzeczyć, że sam Pilatus od dawna, bo już prawie od roku, uznawał faktycznie i szanował prawa Kizi, skutkiem czego jego własne uroszczenia uległy poniekąd przedawnieniu. W tej chwili jednak, bez względu na swoją rezygnację, Pilatus uważał tego tak zwanego Kizię za bezczelnego natręta, który obrabował go i przeciwko któremu burzyło się jego poczucie sprawiedliwości.

Walka szalała w dalszym ciągu, obraz jej zmieniał się jak w kalejdoskopie — to toczyła się na górzystych wyżynach worów, gdzie Kizia się schronił i przeciw którym Pilatus przedsięwziął podstępny, ale nieudany atak — to znowu w kącie pomiędzy złożeniem kamiennym a sąsiakiem, gdzie cofnął się tymczasem Pilatus, odparty ze stratą połowy ucha — to wreszcie na płaszczyźnie podłogi, gdy w szczęśliwej chwili bok przeciwnika uległ dotkliwemu nadszarpięciu.

Koty czołgały się na brzuchach dokoła siebie, czyhając na chwilę, kiedy przeciwnik się odsłoni; zderzały się w powietrzu podczas skoku, przetoczyły się przez siebie, wpijały się w siebie wzajemnie zębami i pazurami; nie było wprost takiej okropności walki, jakiej by nie zobaczyło piętro żarnowe. Jednakże ściemniało się szybko. Skrzydła nocy pochylały się nad polem walki, nakazując uspokojenie temperamentów. Ale już żelazne kostki rozstrzygnięcia padły na korzyść białej armii.

Kizia wycofał się ostrożnie ku schodom, by zapewnić sobie drogę odwrotu. Pilatus jednak, godny swego rzymskiego imiennika, świadom, że jego konnica jest dosyć silna, by nacierać, lecz zbyt ociężała, by ścigać, nie chciał dopuścić do odwrotu przeciwnika i skoncentrował wszystkie swoje siły do ostatniego ciosu, by całkowicie rozgromić wroga. Dopadł go u stóp schodów. Nagle jednak ciężki but, schodzący z góry, rozdzielił niespodzianie obu walczących. I podobnie jak zaćmienie słońca podczas bitwy odbierało starożytnym chęć do dalszej walki, tak i tu nadprzyrodzona zaporą położyła kres morderczym zapasom; każdy z przeciwników — zwycięzca i zwyciężony — poszedł chyłkiem swoją własną drogą.

Ale wyższe istoty, które dążąc ku własnym celom, wkraczają decydująco w przyziemne stosunki, nie baczą na nie wcale. Tak i młynarz nie zauważył nawet, że potknął się o koty. Przeszedł przez piętro żarnowe, zatoczył się i pospieszył na galeryjkę... Chciał odetchnąć świeżym powietrzem.

I znalazł tutaj świeży dech morski.

Wicher powitał go gwałtownym podmuchem i zdarł mu kapelusz z głowy. I na to też młynarz nie zwrócił uwagi. A jednak był to najlepszy jego kapelusz, nowiuteńki, który wdział, jadąc do miasta i który zapomniał zdjąć, idąc do zapyłonego młyna. Teraz kapelusz przeleciał wielkim łukiem ponad balustradą galeryjki na pola i tam potoczył się jak koło; nikt nie zatroszczył się o niego.

Nie troszczył się także i sam właściciel. Radował się tylko, że rześki wicher hula dookoła jego głowy i targa jego włosy. Otarł krople potu ze skroni, dygocącymi kolanami, na których ledwie stał, oparł się o *steert*. Potem wściekłym szarpnięciem rozdarł kamizelkę i koszulę i wystawił gołą pierś na atak wichru. „Tak, tak, wiej, jesienny wicherze... ochłódź moją pierś, potrzebującą ochłody... na głowę, bo ta jest przytomna i świadoma wszystkiego. Ale ochłódź moją pierś, w której serce chce pęknąć, w której płonie piekielny żar!”

Niepotrzebne były te zaklęcia. Wicher, dyszący już zimą, jeszcze mroźniejszy wobec zapadającej nocy, bił w pierś młynarza wilgotnymi ciosami, pachnącymi świeżą, słoną pianą morza.

— Jakże to ten wiatr wieje? Gdzie ja stoję teraz? Przecież to jest kierownica! — I kopnął ją nogą, jak gdyby chciał się przekonać, że nie jest ofiarą złudzenia. — A tutaj opieram się o *steert*. Więc czemu wicher wieje mi prosto w twarz i prosto w piersi, skoro stoję oparty bokiem? Tak być nie powinno! No, oczywiście, dzisiaj wieczorem zajmowano się w młynie czym innym, a nie nastawianiem skrzydeł! Skrzydła są zwrócone ku północy, a wiatr wieje z północnego wschodu... gdyby jeszcze odrobinę bardziej zboczył ku wschodowi, mógłby z tyłu uderzyć w śmigły i zedrzyć cały kaptur. Och! To byłoby nieźle. Dwoje ludzi pozostałoby bez dachu nad głową... cudzołożyłoby dalej pod otwartym niebem, ha, ha!

Ale młynarz czuwa... młynarz przekręci kaptur jeszcze na czas.

Młynarz nie śmiał się już. Zacinawszy zęby, wpatrywał się przed siebie.

Cała okolica jest podobna do ciemnego morza; na skraju horyzontu, wzdłuż olbrzymiego łuku, migoce jeszcze słaby odbłask dnia. W górze pędzą chmury, a między nimi, tuż przed oczyma młynarza, przegląda kiedy niekiedy błady księżyc. Ale osłupiałe oczy młynarza, wyłażące z orbit, nie widzą tego wszystkiego, silnym jego ciałem wstrząsa dreszcz, zęby szcękają o siebie.

Czemu nie obraca kaptura?

Kierownica jest przygotowana do działania.

Zazwyczaj, gdy jej nie używano, umacniano ją drewnianą belką zasuniętą pod koło. Ten kawał drewna nie przeszkadza obecnie obrotowi, leży obok balustrady, jak gdyby wypchnięty tam silnym kopnięciem nogi. Młynarz dziwuje się temu. Czy to może on sam kopnąć ten kłoc? Mniejsza o to. Kierownica jest przygotowana do działania, a kierunek wichru przesuwają się powoli jeszcze bardziej ku wschodowi.

Młynarz ujmując ręką żelazną sztabę, ale wzdryga się, jak gdyby dotknął rozpalonego żelaza. Obiema rękami ujmując się za głowę, jak gdyby szukał tam pomocy.

Ale głowa jeszcze bardziej parzy aniżeli żelazo. Czy może ta żelazna sztaba posiada jakąś magnetyczną siłę? Bo oto nieodparcie przyciąga do siebie ręce — teraz obie ręce.

Ręce spoczywają na sztabie — niewątpliwie tylko dlatego, by tym dotknięciem zaspokoić jakiś wewnętrzny popęd, nie zaś w tym celu, by wykonać zwykłą pracę. Albowiem nie wydaje się, jakoby młynarz chciał obrócić kaptur młyna.

Ale cóż to? Czy koło nie obraca się pomimo to? Młynarz doznaje wrażenia, że istotnie się obraca. Nie naciskał sztaby, z całą pewnością nie naciskał sztaby, z całą pewnością nie uczynił tego — a jednak ona obróciła się sama, pociągnęła ręce za sobą; młynarz czuje, jak sztaba ciągnie jego ręce, ciągnie z nieprzepartą siłą...

I z okrzykiem niemal lubieżnej wściekłości młynarz naciska sztabę całym wysiłkiem.

I teraz, istotnie, skrzypiąc i warcząc, maszyna rusza z miejsca; koło posuwa się ociężale naprzód, *steert* porusza się jak wahadło, w górze kołyszą się krzyżowe belki. Śmigły zwracają się ku wiatrowi z radosnym łopotaniem żagli, świszcząc i kręcąc się coraz prędzej. Zwracają się ku wiatrowi, którego tak długo nadaremnie pożyły: „No, nareszcie będzie można pracować!... Ten pocziwy majster da nam pod dostatkiem wiatru... Ale czemu działa teraz tak opieszale? Cóż to znaczy? Prędzej! Prędzej! Giniemy z niecierpliwości! Teraz dopiero

rozumiemy, jak sprytny jest ten wiatr. Urósł potężnie w siłę, odkąd nam uciekł. Stałyśmy bezradnie, ponieważ nikt nie pomógł nam schwytać go z powrotem... Dalejże!... Jak to? Czemuż zatrzymywać się tutaj na północy? Wiatr wieje przecież całą siłą z północnego wschodu! Jakież to niedołęga stoi tam przy kierownicy?”

Ale zatrzymały się, musiały się zatrzymać, albowiem żadna ludzka siła, nawet siła szaleńca, nie potrafiłaby przesunąć dalej kierownicy. Zresztą młynarz nie jest szaleńcem, chociaż był nim może przez parę chwil. Albowiem doznaje wrażenia, że to jednak on sam obracał koło.

Jak dawno to było? Nie zdaje sobie z tego sprawy. Chyba niezbyt dawno. A jednak otaczająca go przestrzeń, podobna do ciemnego zwierciadła morza, pociemniała jeszcze bardziej, księżyc zaś, płynący w czarnym przestworzu wśród obramowanych srebrem chmurek, błyszczy teraz nieporównanie jaśniej i rysuje sylwetę balustrady na podłodze galeryjki.

Cóż to uczynił? Obrócił kaptur młyna. No więc cóż? Czemu dygoce dreszczem, kiedy pomyśli o tym? A może drży wskutek zimna? Bo północny wicher przewiewał go długo, a i teraz jeszcze muska go z boku — teraz lekkim dotknięciem, ponieważ kierownica i *steert* nie znajdują się już w poprzedniej pozycji: drewniany kłoc leży w odległości paru kroków z tyłu, można wyraźnie dojrzeć jego cień. Kaptur młyna obrócił się. Dobrze — właśnie to należało uczynić. Ale tych dwoje było tam na górze! *Było?* Gdzie są teraz?!

Niewątpliwie każde z nich jest już w swej własnej izbie.

Istotnie, kiedy pod wpływem szaleńczej wściekłości kręcił kierownicą — i to tak gwałtownie jak nigdy przedtem — był przekonany, że rozgniecie ich oboje ściskadłem przy ścianie. Gdy jednak teraz zastanawiał się nad tym, doszedł do wniosku, że starczyło im czasu, by się wymknąć. Mimo wszystko przesunięcie nie może odbyć się tak szybko. Oczywiście, przestrzeń była ciasna, a ich było dwoje, ale nawet gdyby pozostali w kapturze — widział to wyraźnie, jak gdyby przez cały czas oglądał wszystko własnymi oczyma — to i w takim razie mogliby się ocalić. Najedliby się tylko porządnie strachu, a tego życzył im z całego serca.

I uśmiechnął się. Ani złośliwie, ani radując się z cudzego nieszczęścia. Był to chorobliwy, niewiarygodny uśmiech, uśmiech wynikający z gorącego pragnienia jakiegokolwiek pociechy.

Potem wzdrygnął się znowu — bo wicher przewiał go dotkliwie. Otóż to! Młyn nie był nastawiony właściwie. Ale dlaczego? Dlaczego kierownica obracała się tak powoli i z trudem, czemu nagle oparła się naciskowi rąk? Zapomniał o tym szczególe, a kiedy teraz odnowił go sobie w pamięci, uczył jakby dławienie w krtani, uprzytomniwszy sobie zagadkowość tego zjawiska.

Opanował się i wszedł na piętro żarnowe. Bynajmniej nie w tym celu, aby dokończyć swego młynarskiego dzieła i zaopatrzyć złożenia kamienne w ziarno do mielenia, skoro już młyn był nastawiony, jak należy. Nie zaświecił nawet światła. Poszedł w kąt po lewej stronie, gdzie nie było powały, i wpatrzył się w ten otwór, chociaż nie można było nic dojrzeć. Tylko chaotyczny zgrzyt licznych kółek rozlegał się wśród ciemności panującej na górnym piętrze.

Potem uczył lekkie uderzenie w czoło i jeszcze jedno, które ugodziło go niemal w oko. Odruchowo przetarł ręką czoło i uczył, że jest wilgotne. Szybko zaświecił zapalną: ręka była czerwona. A gdy zapalną wypadła z tej drżącej ręki i płonęła dalej na podłodze, dostrzegł naokół na rozsypanej mące duże czerwone plamy; wśród pluskającego odgłosu utworzyły się dwie nowe, zanim zapalną zgasła!

Z kaptura padał deszcz krwi.

XI

Las szumiał tak samo monotonnie i smutnie jak podczas dnia, ale wygląd jego się zmienił. Ponad kołyszącymi się wierzchołkami drzew płynęły błyszczące, srebrne chmury, księżyc przeświecał przez nagie gałęzie i kreślił ich drgające sylwety na nieruchomej twarzy młynarza, który leżał wyciągnięty u stóp wielkiego buka.

Jakim sposobem dostał się do lasu? Zaledwie zdawał sobie z tego sprawę. Wypadł z młyna, pognał przez pola i zatrzymał się nagle dopiero wśród drzew. Był to klin leśny,

który wcinął się w uprawne role i dzięki temu znajdował się bliżej młyna aniżeli ta część lasu, którędy biegł gościniec; tu nie było ani drogi, ani ścieżki.

Być może, że las przyciągnął go ku sobie, żył przecież podzielony między dwa światy: młyn Lizy i las Hanny. Wypędzony z jednego, schronił się w drugim. Oczywiście, czegoż by tu mógł szukać? Nie było już nadziei. Wszystko się dla niego skończyło!

To uczucie opanowywało go całkowicie. W ogóle nie myślał o niczym. Czuł, że stało się coś strasznego. Właściwie ani tak bardzo brzydził się popełnionym czynem, ani nie współczuł nazbyt z ofiarami; ubolewał jedynie nad swoim własnym losem — wielkie nieszczęście wdarło się w jego życie i spustoszyło je raz na zawsze. Uświadomił sobie, że byłoby najlepiej, gdyby ugodził w niego piorun z jasnych chmur płynących w górze lub gdyby wyrwane wichrem drzewo przywaliło go swym ciężarem.

Cichy trzask gałęzi obudził go z głuchej zadumy. Zwierzę czy człowiek?... Człowiek... wróg?... Z zarośli, odległych zaledwie o pięćdziesiąt kroków, wyszedł jakiś mężczyzna. Młynarz nie ruszał się, nie śmiał prawie oddychać — byleby tylko nie wykrył go ten człowiek! Nie zastanawiał się wprawdzie, czy i jakie niebezpieczeństwo mu zagraża, gdyby ktoś zobaczył go leżącego tutaj. Niebezpieczny był każdy ludzki wzrok — każdy człowiek stawał się świadkiem, mogącym mówić przeciwko niemu.

A tamten rozglądał się bystro dokoła — w prawo i w lewo — po czym ostrożnie się schylając, wyszedł z leśnego poszycia między wysokie pnie. Teraz przemknął przez smugę księżycowego blasku. Widać było, że jest to lichy ubrany człowiek w futrzanej czapce, z szalem na szyi. W jego ręku błyskał metalowy pręt.

Peer Vibe! Jakub poznał go. Jej brat tutaj — w odległości kilkudziesięciu kroków! Ale — Bogu dzięki! — nie zauważył go. Kłusownik zniknął bezgłośnie w gęstwinie lasu.

Jego pojawienie się wytrąciło młynarza z martwoty zadumy i wepchnęło w prawdziwy wir uczuć. Teraz dopiero pojął, co uczynił. Jej brat! Liza nie była kimś, kto istniał tylko w stosunku do niego. Miała brata, miała matkę, która ją kochała — całą rodzinę, której była dumą i nadzieją — była? Była! Teraz wszyscy znienawidzą go! Teraz będą pragnąć zemsty!

Ale to, co wreszcie wynurzyło się z tego chaosu uczuć i myśli i utrwaliło się w mózgu, nie było bynajmniej skruchą. Była to obawa o własne bezpieczeństwo, instynktownie rozbudzona widokiem ludzkiej postaci. Młynarz z radością powitałby piorun godzący w niego, chciał umrzeć — ale nie na szafocie! Za żadną cenę nie chciał wpaść w ręce sądu!

Należało zatroszczyć się o sposób obrony — należało przemyśleć wszystko i przewidzieć z góry, jak odpowiadać na wszelkie możliwe zapytania, by nie zawikłać się niebacznie w sprzecznościach.

Zaczął zastanawiać się nad wszystkim, co zaszło, rozważał szczegół po szczególe i jednocześnie uspokajał się coraz bardziej. Czyż można by udowodnić jego winę? Po prostu przestawił młyn, nie przeczuwając, że tam na górze są ludzie. Jak się to dziwnie złożyło, że nie zastał proboszcza i zapłacił tylko dziesięć, nie wspominając wcale o zamiarze rozmowy z pastorem! Gdyby był powiedział proboszczowi, że chce poślubić Lizę, byłby teraz zgubiony bez ratunku. A również gdyby mówił z Wilhelmem, jak zamierzał... Co więcej, gdyby tylko wspomniał, że nie może poślubić Hanny — już samo to byłoby podejrzané!

Wydawało się niemal, jakoby ktoś troszczył się w jego zastępstwie, by się przypadkiem nie zdradził; sprzyjało mu dziwne, ślepe szczęście. I kiedy uświadomił sobie i dziwił się temu, doznał uczucia, które było nieomal równe radości, chociaż rzucało niesamowity cień na wszystkie wypadki. Doznał wrażenia, że to chyba diabeł był jego pomocnikiem.

Tak, rozmowa w lesie nie tylko nie nasuwała najmniejszych podejrzeń, ale przeciwnie, broniła go całkowicie przed oskarżeniem. Przecież wynikało z niej, że jego małżeństwo z Hanną brano już w rachubę. A gdyby przesłuchiowano Hannę, to z jej opisu sceny w leśniczówce sędzia musiałby wywnioskować, że młynarz ją kocha. O tym, co zaszło między nim a Lizą, wiedział może jeden jedyny Jörgen, lecz ten już świadczyć nie będzie. Niebezpieczeństwo groziło tylko ze strony Chrystiana (Lars nie wchodził w rachubę), jeśli oczywiście, ten coś wiedział. Gdyby zeznał, że wedle jego mniemania młynarz kochał się w Lizie i że czeladnicy rozmawiali o tym pomiędzy sobą, byłoby to już źle, bardzo źle. Ale im bardziej zastanawiał się nad tępyim umysłem Chrystiana, tym mniej prawdopodobne mu się wydawało, by parobek zaobserwował dużo swymi nieruchliwymi oczami dorsza.

Pozostawała jeszcze teściowa, która dla przyzwoitości zezna, że nie dostrzegła nigdy nie podejzranego, i Henryk, który będzie gotów dać na piśmie sądowi to samo zapewnienie.

Kiedy wyobraził sobie Smoka, stojącego przed sędzią śledczym, uśmiechnął się — i skonstatował to sam, że może się śmiać!

Znowu drgnął, dosłyszawszy jakiś szelest. Było to prawdopodobnie tylko leśne zwierzę, ale przypomniało mu Peera Vibe. Ta myśl nie budziła śmiechu! W swoich rachubach zapomniał o Peerze Vibe!

Ten mógł wiedzieć wszystko! Liza zwierzyła się zapewne bratu, co zaszło pomiędzy nimi, opowiedziała o nadziejach, które na tym opiera; Peer wspominał już także o swoich przypuszczalnych szansach otrzymania posady gajowego. Tak! Jeżeli Liza widziała się z Peerem w ciągu ostatnich dni, to może wiedział on nawet o scenie, jaka rozegrała się w nocy... Jeżeli się z nim widziała? Ależ widziała się z nim! Przed paroma dniami... nie... jeszcze dzisiaj rano ją odwiedził! Peer wiedział o jego zamiarach względem siostry. Niewątpliwie, Peer był niebezpiecznym świadkiem — jego zeznanie mogło mu skrócić kark.

Mogło — ale bynajmniej nie musiało. Byle nie tracić otuchy! Więc przypuściwszy, że zarzut morderstwa, który na pewno mu uczynią, nie będzie poparty wystarczającymi dowodami, czyż za lekkomyślne zabójstwo nie będzie również grozić kara ciężkiego więzienia?

Młynarz uznał niebawem, że i ten zarzut się nie ostoi. Rzeczoznawcy — inni właściciele młynów — zeznają, że parobkowi młynarskiemu, doświadczonemu w pracy nie grozi niebezpieczeństwo, nawet gdyby niespodziewanie przekreślono kaptur podczas jego obecności w tym miejscu. Innymi słowy, młynarz nie był bynajmniej obowiązany najpierw wchodzić na górę i badać, zanim dokonał obrotu wskazanego kierunkiem wiatru.

Chciał jeszcze raz dokładnie przebiec wszystko w myślach.

A więc obrócił kaptur młyna, nie przeczuwając, że jest ktoś na górze i nie biorąc tego całkiem w rachubę. Zauważył, że mechanizm porusza się z trudnością, i to go zdziwiło. Poszedł wtedy na piętro żarnowe, zapalił lampkę, spostrzegł krew i przerażony uciekł, nie wiedząc, dokąd biegnie — byleby tylko daleko od młyna!

Zaraz! Czy nie wyda się to podejrzone, że uciekł zamiast zbadać, co się stało? A jeżeli pozostawił jakiś ślad, gdy wchodził po schodach na górę? Zbadał zawartość wszystkich kieszeni, aby sprawdzić, czy nic nie brakuje — ale nie, nie zgubił nic... Mogły jednak pozostać w grubej warstwie pyłu odciski jego podeszew — czytał kiedyś o podobnym wypadku... W takim razie wpadłby w pułapkę. Gdyby jednak zeznał, że wszedł na górę, zanim uciekł z młyna, łatwo udowodniono by, że nie wie dokładnie, co zobaczył.

A jednocześnie zbudziła się straszliwa myśl! A jeżeli nie zginęli od razu, jeżeli jeszcze żyli i można było ich uratować?! To trzeba było zbadać za wszelką cenę. Chociaż włosy jeżyły mu się na głowie, gdy pomyślał, że trzeba tam pójść i oglądać zmiażdżone trupy — bo to na pewno były trupy, nie mogły to być, o zgrozo, dwa żyjące, straszliwie pokaleczone ciała — to jednak musiał tak postąpić, inaczej nie potrafiłby się obronić.

Młynarz zerwał się, powziąwszy postanowienie. Do młyna z powrotem!

Strzał — drugi strzał — a może tylko echo rozlegające się w lesie... niewątpliwie Peer Vibe strzelił... w niezbyt wielkiej odległości.

Czyżby to żywe przypomnienie brata Lizy — jedyne niebezpieczeństwa, jakie mu groziło — przejęło go takim dreszczem, że musiał oprzeć się ręką o pień drzewa i stać nieruchomo, nie mogąc utrzymać się na nogach? Czy też ten podwójny strzał zbudził jakieś niejasne, straszne przypuszczenie, które sparaliżowało serce i członki? Jak szybko... prawie równocześnie z pierwszym rozległ się drugi strzał... czyż mogło to być echo?... A więc cóż to było?

Dość długo trwało, zanim przewyciężył to nagłe obezwładnienie i odważył się cofnąć podpierającą go rękę od pnia, aby postąpić parę kroków naprzód. Ale potem zaczął iść coraz szybciej ku skrajowi lasu. Oberwane gałęzie i zmurszałe konary trzaskały pod nogami; niekiedy potykał się o korzenie drzew.

— Stać! Kto tam?!

Okrzyk ten zabrzmiał jakby głos z chmur.

Ale na kilkadziesiąt kroków przed sobą ujrzał ludzką postać, na wpół ukrytą poza drzewem, i koniec lufy rozbłyskującej w promieniach księżyca.

— Stać! Kto tam?

Młynarz cofnął się gwałtownie, usłyszawszy to nagle wezwanie; rozdrażnione nerwy nie wytrzymały napięcia. Stał teraz w jasnym blasku księżyca, który oświetlał jego twarz.

— Jakubie! Na Boga! To ty?!

Rozpoznał głos leśniczego, który zarzuciwszy szybko strzelbę na ramię, podchodził ku niemu.

Jakub zauważył, że leśniczy dźwiga dwie strzelby, dwie dubeltówki.

— Ty tutaj? Chciałem właśnie pójść do ciebie.

— Do mnie?... tak późno?

— Tak, Jakubie... muszę pomówić z kimś... z jakimś mężczyzną... więc do kogoż innego pójść?

Położył rękę na ramieniu młynarza serdecznie, ale nieco przyciężko... niemal tak, jak gdyby szukał oparcia.

— Bywają chwile, kiedy człowiek potrzebuje pomocy przyjaciela, dobrego człowieka. Taka chwila dla mnie nadeszła. Jakubie! Czy słyszałeś dwa strzały?

— Dwa? A więc jednak...

— Jakubie! Zastrzeliłem Peera Vibe.

— Peer Vibe... nie żyje?!

Jedynego świadka, jakiego się obawiał, usunęła z drogi kula przyjaciela!

Ogarnęła go radość! Ogromna radość — ale jeszcze bardziej zgroza. Niesamowite uczucie, jakiego doznał poprzednio, odżyło, stało się pewnością: wydało mu się, że widzi diabelskie pazury, które wyrównują mu drogę, by cało wyszedł z opresji.

Leśniczy źle wytłumaczył sobie przestרח, jaki błyszczał w jego oczach.

— Nie było wyboru... on albo ja... i byłem na służbie.

Jakub skinął głową.

Wilhelm wytarł rękawem krople potu spływające z czoła.

— Bogu wiadomo, że chętnie byłbym go tylko zranił... ale w tym mdłym świetle trudno celować... Wolalbym był uniknąć tego... moja kula trafiła go widocznie w serce. Leżał martwy jak kamień, gdy się przybliżyłem.

Jakub znowu skinął głową, wpatrując się tępo przed siebie. Diabelskie pazury! Powalają kłusownika na ziemię, że leży martwy jak kamień! O, ten już się nie wygada! Nie złoży obciążającego świadectwa przeciw mordercy swojej siostry.

— Jakubie! — odezwał się leśniczy niemal błagalnie. — Czemu nic nie mówisz?... Na Boga! Tak bardzo chciałbym usłyszeć przyjacielskie słowo!... O, to straszne zastrzelić człowieka... chociażby był występny... Pomyśleć, że stanie przed Wiecznym Sędzią... obciążony grzechem... albowiem byłby mnie zastrzelił... Och, on umie mierzyć... ale jego strzał poszedł w powietrze... natomiast mój... ach, Boże!

— Jesteś bez winy, Wilhelmie, bez zarzutu!

— Ach, nie mów tego! Kto wie, czy trafiłem go śmiertelnie tylko z powodu mdłego światła... może byłem podniecony złością... a to byłby grzech... może powodowała mną obawa śmierci... co byłoby jeszcze większym grzechem...

— Nie, nie, Wilhelmie... jesteś niewinny... przysięgam na Boga!... A chociaż jego krew splamiła twoją rękę, możesz ją spokojnie podnieść ku niebu... jest bowiem czysta jak dłoń anioła!

Leśniczy, który sam podlegał podnieconemu i uroczystemu nastrojowi, nie zwrócił szczególnej uwagi na niezwykle uroczysty ton młynarza. Usłyszał tylko szczerze, pełne poręczenie swojej niewinności, czego tak bardzo łaknął.

Milcząc, uściśnął dłoń przyjaciela. Milcząc, stali obaj przez chwilę, każdy pogrążony w świecie własnych myśli. Ale myśl leśniczego weszła niebawem na spokojniejsze i jaśniejsze tory. Uświadomił sobie, że nie był nazbyt podniecony, że celował spokojnie, licząc głośno do trzech. Potem zapytał:

— Ale skąd ty się tu wziąłeś... w nocy w tej gęstwinie, gdzie nie ma drogi ni ścieżki?... I jak ty wyglądasz, Jakubie?... Gdzie twój kapelusz?

— Mój kapelusz?... Nie wiem doprawdy, czy miałem go na głowie.

— Jakubie... co to znaczy? Czyżby się coś wydarzyło?

— Tak, Wilhelmie wydarzyło się nieszczęście... w młynie.

— Na Boga! Czy może któryś z parobków poszwankowany³¹?

— Nie wiem sam dokładnie, co się stało, ale niewątpliwie stała się straszna rzecz.

I opowiedział przyjacielowi, co się wydarzyło, nie wspomniał tylko, że chodził przedtem na górne piętro i widział tych dwoje. Bardzo obszernie opowiadał wszystko i wyjaśniał wiele szczegółów, leśniczy bowiem nie był zbyt obznajomiony z urządzeniami młyna.

— I nie zbadaleś wcale?

— Nie, nazbyt się przeraziłem.

— To niedobrze.

— Oczywiście, bardzo niedobrze... sam pojąłem to teraz i właśnie wracałem do młyna... Wilhelmie, chodź ze mną!

— Dobrze, pójdę.

— Dziękuję ci. Jakie to szczęście, że cię spotkałem!

— Było to zrządzenie przeznaczenia jak wszystko inne.

— Tak... ale czyż i to było zrządzeniem przeznaczenia, że...

Przerwał przerażony. Omal nie powiedział: „to, że oni oboje tam byli”. — Zapomniał, że nie wolno mu wiedzieć, kto padł ofiarą.

Leśniczy przytwierdził.

— Oczywiście. I to, że zastrzeliłem Peera Vibe... i to również, co się wydarzyło w twoim młynie. Bez woli bożej ani jeden wróbel nie spadnie na ziemię.

Szli szybko ku skrajowi lasu.

— Kiedy to się stało?

— Było prawdopodobnie wpół do szóstej... a może szósta, która godzina teraz?

Leśniczy spojrział na zegarek.

— Dochodzi ósma.

Krańcowe drzewa lasu okalał płot upleciony z suchych gałęzi i chrustu. Nie brak go nigdy w lasach Falsteru. Przedostali się przez płot, przeskoczyli dosyć szeroki rów i poszli przez rżyska wprost ku młynowi, ponuremu celowi drogi, widocznego już w oddali.

— I nie przypuszczasz, kto padł ofiarą?

Młynarz zawahał się nieco, zanim odpowiedział na to pytanie, którego już dawno oczekiwał.

— Nie... nie mam pojęcia.

— Czy nie widziałeś w młynie nikogo?

— Nie. Jak sądzę, dziewczyna poszła na przechadzkę.

— A parobcy?

— Chrystian o tej porze rozwozi mąkę, chłopiec bawi w tych dniach u rodziców.

— A więc jest jeszcze jeden tylko parobek, który zapewne pilnuje młyna?

— Tak. I tego właśnie nie widziałem.

— Hm.

— Ale gdyby to on był tam na górze... nie mogę tego wprost pojąć... on zna dokładnie mechanizm, codziennie sam puszcza go w ruch.... wystarczyłoby przecie, aby cofnął się o krok, jak ci już tłumaczyłem.

— Ano, okaże się niebawem.

Młynarz westchnął głęboko. Rozmowa się urwała.

XII

Istotnie, niebawem miało się okazać.

Przedostali się przez ostatni płot; łąka, po której szli teraz, należała już do młynarza. Przed nimi w cieniu kryły się budynki, a młyn wznosił się na tle perłowoszarych chmur. Słychać było już szum śmig, a niebawem lotne ich cienie poczęły skakać obok nóg wędrowców. Błyszczące krople rosy mrugały naokół wśród trawy jak maleńkie oczy, gdy cień się przesuwiał, odsłaniając blask księżyca. W podwórzu zawył Karo.

Podczas tej wędrówki przez pola w umyśle młynarza wytworzyło się dziwne wyobrażenie. Najpierw przemknęło tylko przez mózg niby błysk nadziei, potem powracało raz po

³¹poszwankowany — dziś: poszkodowany. [przypis edytorski]

raz, rysując się w coraz wyraźniejszych liniach i wzbogacone coraz nowymi szczegółami, wreszcie zaś, gdy wchodzili od tyłu na podwórze, utrwaliło się jako mocne oczekiwanie.

Młynarz wyobrażał sobie, co następuje:

Wchodzimy teraz na podwórze. Z tyłu w kuchennych oknach błyszczy światło; drzwi otwierają się i wychodzi Liza, aby zobaczyć, kto się zbliża i dlaczego Karo tak głośno ujada. W młynie błyszczy także światło, mianowicie na dolnym piętrze, którego okna są w tej chwili przysłonięte dachem stajni — Jörgen tam pracuje. Nie wydarzyło się nic złego. To znaczy: oni byli oczywiście tam na górze — to nie było złudzenie wzroku. Ale uratowali się, może nawet zeszli wcześniej, zanim obróciłem kaptur. Krople na piętrze żarnowym, krew na czole i na ręku były tylko wytworem mojej podnieconej wyobraźni.

Kiedy biegł przez pola do lasu, przewrócił się; na zabłoconej wilgotną ziemią ręce nie dostrzegł teraz krwi — więc równie dobrze mogło to być tylko złudzenie.

A gdyby naprawdę tak było — gdyby zajaśniało światło w kuchni i w młynie — gdyby Liza i Jörgen ukazali się? Ach, w takim razie najgłębszy smutek przemieniłby się nagle w największą radość i uczucie swobody! Przyszłość uśmiechałaby się rozkosznie do niego — do niego, który jeszcze przed niewielu minutami, pogrążał się całkowicie w rozpacz. A imię tej przyszłości brzmiało: Hanna! Z Lizą skończyło się już wszystko; wspomnienie jej niewierności niemal nie sprawiło mu już bólu. Zabił ją w swoim sercu — nie istniała już dla niego — był wolny...

Gdyby naprawdę tak było!

O, jakże gorąco dziękowałby za to Bogu. Dziękowałby Mu za dwojakie ocalenie: za to, że wyzwolił go spod władzy owej czarownicy, i za to, że nie stał się zbrodniarzem. Nie wiedział, za co dziękowałby goręcej. Najpewniej za jedno i za drugie, a także za udzieloną mu wskazówkę na przyszłość: bo oto ujrzał piekło, a potem niebo otwarło się przed nim.

Ach, gdyby naprawdę tak było!

Teraz dotarli już do celu. Między szczytową ścianą stajni i piekarnią wchodzili na podwórze.

Młynarz zatrzymał się przy stajni, otworzył główną połowę drzwi i zajrzał do wnętrza. Tylko w najbliższej przegrodzie coś się poruszyło. Był to mały szwed, którym jeździł. Młynarskie konie jeszcze nie powróciły, więc i Chrystian nie był obecny w domu.

Właśnie o tym pragnął się przekonać. Gdyby bowiem konie stały w stajni i gdyby wchodząc na podwórze, zobaczyli w kuchni światło — to nie byłoby wykluczone, że to Chrystian przygotowuje sobie w kuchni wieszak. W innym przypadku byłaby to jedynie Liza.

Czujny Karo krążył dokoła nich, naszczekując z wściekłością. Głos młynarza uspokoił go natychmiast, pies, piszcząc radośnie, lasił się do niego. Biedne zwierzę nigdy nie odczuwało tak bardzo osamotnienia jak dzisiejszego wieczora w młynie.

Albowiem młyn wyglądał jak wymarły. Z bijącym sercem młynarz stał przy węgle, odważywszy się wreszcie postąpić naprzód. Nigdzie ani śladu światła. Widząc ten smutny obraz, zrozumiał nagle, jak obłąkańcze były wszystkie jego nadzieje.

Światło księżycy oświetlało jasno tylko smugę żwiru, muskając jednocześnie bok studni. Dom mieszkalny po lewej stronie błyszczał trójkątem pobielanej ściany na samym narożniku, w górze jaśniał komin niby samotny posterunek, a w środku między tymi dwoma bielami wapna szarzała omszała strzecha, podobna do grzyba nasyconego księżycowymi blaskami. Wszystko inne zaciemniał młyn, wznoszący się potężnie na tle blasków, z wirującymi śmigami, czarny jak noc od podstawy do kaptura. Poza szeroko otwartą bramą przejazdu ukazywał się mały obrazek ze srebrzystymi chmurkami i oddzielonymi drzewami.

Ten obracający się młyn, w którego sylwecie nie błyszczało ani jedno najmniejsze światełko, sprawiał dziwnie upiorne wrażenie. W wyobraźni naszej obraz pracującego podczas nocy młyna wiąże się zawsze z wyobrażeniem światła — małe, jasne okienka zerkają na wszystkie cztery strony świata, w ciemny widnokrąg — jest to niejako skromna, lokalna latarnia morska, która gościnnie oznajmia samotnemu wędrowcowi, gdzie znajdzie jeszcze wśród otaczających go ciemności nocy żywych, czuwających ludzi. Na podstawie tego właśnie skojarzenia powstało zapewne przysłowiowe powiedzenie: „światło w młynie”, wyrażając przeciwieństwo zionącego ciemnością pustkowie.

Ale tutaj nie było „światła w młynie”.

Aczkolwiek był to drobny szczegół, nabierał on w tej chwili symbolicznego znaczenia i oddziaływał niesamowicie na obu przyjaciół. Zatrzymali się w narożniku między stajnią a piekarnią, jak gdyby zakłęci i unieruchomieni widokiem młyńskiego olbrzyma, ślepego, pracującego nieznużenie, wprost dziko.

Potem leśniczy ocknął się i poszedł przez podwórze, wiodąc młynarza za sobą. Karo skakał dokoła nich, naszczekując głośno i wesoło, ucichł jednak w pobliżu przejazdu. Gdy zaś skręcili do młyna, pozwolił zamknąć sobie drzwi przed nosem, wiedział bowiem, że wewnątrz gospodaruje dzikie kocisko, którego lęka się nawet potężny Pilatus. Skomlał smutnie z powodu samotności, drżał z zimna, narażając się na ostry przeciąg w bramie, ale bał się odejść, ponieważ pozostając tutaj, czuł najbliższą ludzką obecność.

Wszedłszy do wnętrza, leśniczy zdjął z ramienia obie strzelby i oparł je o ścianę, młynarz zaś zaświecił zapalkę, której mdły blask, zabezpieczony dłonią przed przeciągiem, ułatwił im wchodzenie po schodach.

— Uważaj, tutaj jest belka — ostrzegął młynarz idący przodem.

Zapalka zgasała właśnie, gdy stanęli na najniższym piętrze. Młynarz potarł drugą zapalkę, za jej pomocą przeszedł między górami worów i zaświecił lampką wiszącą obok wielkiego pszenicznego pyta. Była to śmiesznie mała lampeczka blaszana bez szkła, rzucająca bardzo mdłe światło tylko na najbliższą przestrzeń, a natomiast potęgująca naokół cienie. Uzbrowiwszy się w ten sposób nieco lepiej przeciw otaczającej ich ciemności, szli dalej w górę wśród wzmagającego się coraz bardziej hałasu młyna.

— Pst! Czy słyszysz? — zapytał młynarz, zatrzymując się na środku schodów i nasłuchując. Dosięgał już głową poziomu żarnowego piętra, a lampka, którą trzymał w lewej drżącej ręce, osłaniając ją prawą przed przeciągiem, rzucała upiorne, skaczące cienie naokół.

— Co? — zawołał leśniczy, nie zrozumiawszy.

— Czy słyszysz?

— Słyszę hałas, jakiego nie słyszałem jeszcze nigdy w życiu...

— Ach, nie! Nie to!

Usłyszał — a przynajmniej wydało mu się, że słyszy — delikatny, cichy odgłos, który mimo to brzmiał wyraźnie wśród ogłuszającego hałasu młyna: odgłos spadającej kropli! I teraz znowu zabrzmiał mu w uszach.

Chciał iść dalej, ale noga jak gdyby wrosła w ziemię, a ręce drżały jeszcze silniej. Tuż przed sobą, w miejscu, gdzie zaczynały się schody na wyższe piętra, zauważył nowy szczegół. Nie było to nic nadzwyczajnego, nic przerażającego, coś, co zwracało jeszcze mniej uwagi niż odgłos padających kropli: był to tylko kot. Kizia leżał zwinięty w kłębek pod najniższym schodkiem i przymrużając oczy, oślepiiony światłem, wylizywał swoje rany, widome dowody heroicznych czynów. Był to więc raczej rodzajowy obrazek, nie budzący bynajmniej grozy. Ale widok kota przypomniał młynarzowi ostatnią chwilę przed popełnieniem zbrodni.

Wszedł szybko po ostatnich schodach i zwrócił się do leśniczego:

— Wilhelmie! Wyświadc mi wielką łaskę. Idź tam sam, ja... ja nie mogę.

— Ano, dobrze... pójde sam — odpowiedział leśniczy, biorąc lampkę z jego rąk.

— Zaczekaj, zapalę i tutaj światło i zatrzymam młyn; tak nie możesz pójść na górę.

Odnalazł drugą małą, podobną lampkę i zaświecił ją. Potem chciał wyjść na galerijkę.

Leśniczy powstrzymał go.

— Słuchaj. Jakubie! — wołał, natężając głos, by przekrzyczeć hałas. — Czyż nie mówiłeś poprzednio, że do zatrzymania młyna służy ściskadło?

— Tak jest... użyj go teraz właśnie.

— Nie, nie! Daj spokój. Lepiej pozostawić wszystko tak, jak jest... tam na górze, rozumiesz?

— W takim razie musisz się mieć na baczności.

— Oczywiście.

— Uważaj zwłaszcza na głowę. Powala bardzo niska, a schody wiszą tuż nad głową.

— Dobrze, poradzę sobie jakoś.

Oddalił się i zniknął w ciemnościach zalegających całą przestrzeń poza małym kręgiem światła. Błysk lampki, którą trzymał, migotał jeszcze w dali, oświetlił poprzeczną belkę, zwisającą linę, parę schodów — uniósł się w górę i zagasł.

Młynarz pozostał sam.

Siedział na worku. Poza jego plecami, na skrzyni osłaniającej mechanizm, stała mała lampka.

Ileż razy siadywał Jörgen w tym samym miejscu, przy tym samym świetle, trzymając w ręku swój ulubiony kalendarz, poddając się ponuremu, fantastycznemu wrażeniu, że znajduje się w wieży tortur i że niebawem rozpocznie się egzekucja, a on sam — alias Hjalmar — będzie rozciągnięty na męczeńskiej ławie! A jednakże Jörgen nigdy nie odczuwał takiej grozy jak teraz młynarz.

Jakub podniósł głowę; czyż nie dręczył go znowu ten straszny, cichy i głęboki dźwięk, wyróżniający się wśród całego hałasu, odgłos kropli spadających jedna po drugiej? A czym była ta biała plama z lewej strony, gdzie wprost nie odważył się spojrzeć, plama obracająca się wkoło jakimś dziwnie czujnym ruchem? Czyż to możliwe, że Pilatus?...

Wziął lampę, wstał i postąpił parę kroków naprzód: tak, to był Pilatus. Kręcił się w kółko, kiedy niekiedy wyciągał łeb, spoglądał ku górze i poruszał pyskiem.

Na podłodze leżało drewno, o które młynarz zaczepił nogą. Podniósł je i cisnął w kota, ale chybił. A zwierzę — jeżeli w ogóle było to zwierzę, a nie upiór w zwierzęcej postaci — Pilatus nie zwrócił uwagi na pocisk, lecz dalej chodził czającym się krokiem po obwodzie tego samego koła.

Co było środkiem... wielkim, ciemnym środkiem tego koła?... Teraz znowu zabrzmiał ów dręczący odgłos — a równocześnie coś drgnęło w ciemnym środku, rozbłysnęło niby mrugnienie oka.

Lampka wypadła z drżącej dłoni młynarza i zgasła.

Trwało to już całą wieczność — jak mu się wydawało — a leśniczy nie powracał jeszcze. Nie, to nie było bynajmniej niecierpliwe wyczekiwanie na wieści — młynarz był pewny, że oboje nie żyją. Ale to było straszne, to było już jakby zaczynającą się karą piekielną, że musiał stać w tej huczącej, trzaskającej i jęczącej ciemności — że musiał liczyć każde spadnięcie kropli, zanim jeszcze skapnęła: jeszcze raz... i jeszcze raz...

Na górze pojawił się brzask światła i powoli przybierał na sile.

Młynarz uświadomił sobie szybko, że musi udąć zdziwienie i przerażenie, gdy się dowie, że dwoje ludzi padło ofiarą katastrofy. Inaczej wydałoby się to podejrzan.

Oto leśniczy zbliżał się ku niemu.

Młynarz nie śmiał spojrzeć mu w oczy. Utkwił bezmyślnie spojrzenie w przedmiocie, który przyjaciel niósł w prawej ręce, a który błyszczał wyraźniej w blasku lampy. Doznawał tępego, niejasnego uczucia, że zna ten przedmiot, usiłował uświadomić sobie, co to jest.

Leśniczy postawił lampę przed sobą. Stał teraz obok niego. Lewą rękę położył na ramieniu Jakuba, w prawej trzymał swobodnie ów błyszczący przedmiot. Teraz młynarz rozpoznał go: obróżka Jenny!

— Jakubie! — zabrzmiał głos leśniczego — dwoje ludzi padło ofiarą wypadku... oboje są zmiażdżeni... Jörgen i Liza.

— Wielkie nieba! — krzyknął młynarz.

Wydało mu się, że może jego zdziwienie nie brzmi dość szczerze. Ale stojący obok człowiek nie był bynajmniej byстрыm obserwatorem.

— Zginęli obciążeni grzechem — rzekł leśniczy.

KSIĘGA V

I

W małej mieszkalnej izbie młynarza, dokąd z ogrodu wdzierало się radośnie wiosenne słońce, siedzieli Jakub i leśniczy. Ten ostatni zajmował honorowe miejsce na sztywnej kanapie. Młynarz siedział naprzeciwko, po drugiej stronie okrągłego stołu.

Leśniczy przyjechał umyślnie w tym celu, aby ofiarować przyjacielowi wykończone nareszcie dzieło pracy swych rąk, gotową już półkę na kwiaty. Wspaniały ten sprzęt stał przy oknie i miał także wiosenny wygląd; wprawdzie brakowało mu jeszcze liści i kwiecica, ale dzięki świeżości lakieru szklili się niby pęk kasztana, mający rozwinąć się lada chwila. Obdarowany wyraził swą gorącą radość i podziw.

Obaj mężczyźni palili, czekając na kawę.

— Rok już upływa, odkąd Chrystyna nie żyje — zauważył leśniczy.

— Tak, właśnie dzisiaj przypada rocznica jej śmierci — odparł młynarz z westchnieniem.

Leśniczy strzepał ostrożnie popiół z cygara do popielniczki, a młynarz pociągnął dym z fajki.

— Hm... chciałem tylko zauważyć, że jak się zdaje, pomyślisz zapewne niebawem o odmianie wdowiego stanu.

Zerknął w stronę przyjaciela, ale nie mógł dostrzec wyrazu jego twarzy, ponieważ młynarz siedział odwrócony od światła. Prócz tego chmura dymu przysłaniała jego głowę, którą w dodatku pochylał głęboko naprzód. Jakub zwykle zwieszał nieco głowę; w ostatnim jednak czasie mogło się wydawać, że na równi z usposobieniem także i mózg jego znacznie ociężał. No, nie można było dziwić się temu, należało jednakże dopomóc mu, by znowu podniósł głowę do góry i swobodnie spoglądał w jasne, boskie niebo.

Odpowiedź zabrzmiała dopiero po chwili.

— Ach tak... o ile chodzi o termin... to istotnie można by o tym pomyśleć.

Leśniczy, objawiający zazwyczaj taką swobodę i pewność siebie, zakłopotał się. Gryzł cygaro, potarł zapalną, by je na nowo zapalić, i zastanawiał się, jak by najlepiej ugodzić w sedno, by rozproszyć wątpliwości i wahanie przyjaciela. Właśnie chciał przemówić, gdy nagle wzdrygnął się, usłyszawszy denerwujący dźwięk elektrycznego dzwonka.

Młynarz powstał i poszedł w kąt między oknem a drzwiami wiodącymi do sieni, gdzie leśniczy dopiero teraz dostrzegł telefon.

— Halo!... Tak jest... kto mówi?

Postać młynarza wstrząsnęła się nagłym dreszczem, a ręka trzymająca słuchawkę zadrziała. A jednak nie było powodu do niezwykłego podniecenia umysłu: rozmowa dotyczyła sprzedaży zboża, która, jak można było wywnioskować, dokonywała się dość szybko na korzyść młynarza. Leśniczy zauważył, że młynarz kołysze się w biodrach, kiedy sam mówi, a natomiast stoi spokojnie, kiedy słucha, lecz wtedy ręka drży mu gwałtownie; z tego drżenia można było odgadnąć, w jakiej chwili nadchodzi odpowiedź. Układy trwały przez parę minut, po czym rozmawiający pożegnali się i sygnałem dzwonka zakończyli rozmowę.

Młynarz usiadł znowu naprzeciwko gościa i zapalił fajkę. Był bardzo błady.

— A to nowość... telefon w młynie na wzgórzu — zauważył leśniczy, pragnąc sprowadzić rozmowę na zwyczajne, codzienne tory. Miał nadzieję, że może uda mu się nakierować rozmowę na ten temat, który go tu sprowadził, a przed którym młynarz najwidoczniej się wzdragał! Zresztą i jemu samemu byłoby nieprzyjemnie po raz drugi zapytać wprost. Jest to bowiem dość drażliwe namawiać przyjaciela do małżeństwa ze swoją siostrą. Ale musiał to uczynić — ze względu na samego Jakuba.

Młynarz odpowiedział ociężale, jak zwykle mówił w ostatnim czasie — nawet z przyjacielem. Wydawało się, jak gdyby skoncentrowanie myśli męczyło go.

— Tak jest — oświadczył — należy iść z postępem czasu. Zresztą jest to nader użyteczny wynalazek. — Dlatego obecnie zdecydował się wprowadzić go u siebie.

Leśniczy wyraził mniemanie, że zapewne kosztowało to sporo pieniędzy.

— Oczywiście... ale sądzę, że mi się to opłaci... bo jak wiesz, Wilhelmie, można dzięki temu oszczędzić wiele czasu... a także wiele wydatków... Ot, na przykład... człowiek, z którym rozmawiałem teraz, jest to handlarz zboża ze Stubbenkjöbing. Wybierałem się do niego właśnie owego dnia, kiedy tutaj w młynie wydarzyło się to nieszczęście... ale zawróciłem, dowiedziawszy się po drodze, że pojechał do Bogö... I teraz właśnie, gdy rozmawiałem z nim, pomyślałem, że gdybym wówczas posiadał telefon, nie byłbym wcale pojechał... i to wszystko nie byłoby się stało.

Młynarz nie palił już. Siedział pochylony, a fajka wahadłowym ruchem kiwała się między jego nogami. I nie wiadomo po raz który zastanawiał się nad tym, jak nieprzeliczone drobne i niezależne od siebie okoliczności muszą się jednocześnie skojarzyć, by, po pierwsze, w ogóle coś się stało, a po wtóre, by nic nie przyczyniło się do wykrycia czynu. Bo ten czyn nie utailby się, gdyby na przykład owego dnia zastał proboszcza i doniósł mu o swym zamiarze posłużenia Lizy. I czuł, jak zawsze podczas podobnych rozważań, że kierowała nim w tajemniczy sposób jakaś demoniczna siła, że opiekowała się nim jakaś zła opatrność, która dokładnie wyliczała wszystko i układała jak należało nawet najmniej znaczące drobnostki.

Przypomnił sobie teraz całkiem dokładnie, że już we wrześniu poprzedniego roku omal nie zainstalował sobie telefonu. Gdyby posiadał wówczas w kasie o pięćdziesiąt koron więcej, uczyniłby to na pewno. A to, że ich brakowało, wynikało wyłącznie z powodu niskich cen zboża, które znowu były zależne od pogody, jak to było także na rok przed śmiercią Chrystyny! Albo też były zależne od tego, że gdzieś tam w południowej Rosji ukończono budowę linii kolejowej. (Przypomnił sobie nagle, że czytał o tym artykuł w gazecie...) Gdyby więc budowa owej kolei była się opóźniła... a jakież znowu okoliczności tam wchodziły w grę? Chwyił się ręką za głowę, doznał zawrotu wskutek natłoku myśli... Gdyby więc... tak! Cóż wtedy? W takim razie nieszczęście nie wydarzyłoby się, zaślubiłby Lizę, która by go zdradzała i która była złą istotą. I to również byłoby nieszczęściem. Ale przynajmniej nie dręczyłyby go wyrzuty sumienia, podszeptujące mu od świtu do nocy, że jest zbrodniarzem, który wedle wszelkich praw winien dać głowę pod topór kata lub też gnść w więzieniu.

— Jakie to dziwne się wydaje, Wilhelmie, kiedy się myśli o tym! — odezwał się. — Gdybym był miał wówczas telefon, nieszczęście nie byłoby się wydarzyło: oboje żyliby po dziś dzień... To jednak ciekawe, jak wiele znaczy przypadek.

— Przypadki nie istnieją, Jakubie.

— Tak sądzisz? Więc w takim razie opatrność układa nasze życie, a kiedy niekiedy także diabeł się w nie wtrąca.

— Nie. Szatan rozporządza, oczywiście, wielką mocą i krąży dokoła szukając, kogo by pożarł, nie zaprzeczy temu nikt, kto wyznaje Chrystusową wiarę... Ale szatan musi być także posłuszny Bogu i nie może nic zdziałać na własną rękę. Czytamy o tym przecie w Piśmie Świętym, gdy nam opowiada o Hiobie. I szatan musi mieć pozwolenie Boga, aby kusić człowieka, a Pan kieruje go tam, gdzie chce, zgodnie ze swymi zamierzeniami.

— A jednak nie mogę zgodzić się z tobą całkowicie, Wilhelmie, by wszystko działo się wedle bożej woli... Jak to, na przykład, co mnie się wydarzyło z tymi nieszczęśnikami.

— Tak jest na pewno i nie wolno nam w to wątpić. Nasz rozum nie wystarcza, by rozstrzygnąć Jego zamiary. Inaczej należałoby przypuścić, że tych dwoje, gdyby nie umarło, mogłoby zdziałać bardzo wiele złego, a ich potomkowie jeszcze więcej.

— No tak, można by tak przypuścić... w tym wypadku... Ale gdyby się to naprawdę tak wydarzyło, jak podejrzewał sędzia śledczy, że popełniłem ten czyn rozmyślnie, aby się na nich zemścić... a podobne wypadki trafiają się i czytujemy o nich w gazetach... to jednak taka zbrodnia nie mogłaby być chyba dokonana za wolą bożą.

— A jednak tak; nie wolno nam wątpić.

— Nie, nie, Wilhelmie! To nie mieści się w mojej głowie. Jakże Bóg mógłby pozwalać na zbrodnię?

— Może stałoby się to wówczas dla twojego dobra.

— Dla mojego dobra?

— Tak jest... Zbrodnia może wyjść na dobre przestępcy. Nie powinniśmy zapominać, że nie jest nam przeznaczony przeżyć niewinnie życie, tak jak nie przeżywamy go

w szczęśliwości... przeciwnie, taka niewinność groziłaby nawet największym niebezpieczeństwem, bo wiodłaby nas ku zbyt łatwemu zadowoleniu z siebie, ku zbytnej ufności w dobre uczynki. Nie, ja sędzę, że musimy poznać grzechy świata, a przede wszystkim naszą własną grzeszną naturę, tak aby przejmowała nas lękiem i troską i aby to skłaniało nas ku nawróceniu się. Nasza ludzka natura musi się przełamać, aby dzięki temu dusza zdobyła zbawienie wieczne... Wszystko inne nie ma znaczenia. A jeżeli człowiek tak mocno tkwi w światowym usposobieniu, że umysł jego musi być wstrząśnięty aż przez zbrodnię (bo inaczej nie dojrzałby w sobie diabelskich pokus i nie zaufałby z całą pokorą łasce bożej i odkupieniu przez śmierć Chrystusową), to czyż w takim wypadku popełniona zbrodnia nie byłaby jedną z dróg, którymi opatrność wiedzie człowieka?

Młynarz nie odpowiedział i nie podniósł oczu. Rozmyślał o tym nowym i zgoła nieprzeczuwalnym poglądzie na wypadki, który nagle otwarł się przed nim i przeraził go. Zęby jego zacisnęły się, mięśnie, poruszające usta, pracowały energicznie, a żyły na czole nabrzmiały. Gdyby w tej chwili sędzia śledczy siedział naprzeciwko niego, to wyznanie z pewnością bardzo prędko przeszłoby przez jego wargi. Ale leśniczy upatrywał w tym wyrazie twarzy przyjaciela i przyszłego szwagra tylko spotęgowanie tego przygnębienia, jakie dręczyło go przez cały czas po katastrofie — przygnębienia, które wynikło logicznie z tematu rozmowy.

— Tak, drogi Jakubie, pojmuję, że gniecie cię ten ciężar... a również podejrzenie, o którym wspomniałeś...

Młynarz jęknął i poruszył przecząco ręką.

Leśniczy pochylił się ku niemu, opierając łokcie na stole.

— Pojmuję to bardzo dobrze... chociaż, co się tyczy owego podejrzenia, nie powinienś przywiązywać do tego wagi, albowiem nikt w to nie wierzy, z wyjątkiem jednego jedyne go sędziego śledczego... No tak, prawnicy wszędzie wietrzą zbrodnię, bo specjalnie kształcą się w tym kierunku, on sam zaś jest człowiekiem młodym, który chciałby się odznaczyć. Zresztą zapewne i on także odmienił teraz zdanie, albowiem przesłuchanie wykazało dowodnie, że nie może być o tym mowy. Pojmuję doskonale, że gnębi cię wielki ciężar, ale nie powinienś pod nim upadać. Musisz uświadomić sobie, że taka była wola boża, musisz znowu odzyskać chęć do życia, otrząsnąć się z tego przygnębienia... nie rozmyślać ustawicznie nad tą sprawą, albowiem nie prowadzi to do żadnego celu i nie warto łamać sobie nad tym głowy. Dlatego też sędzę, że byłoby najrozsądniejsze, gdybyś się wziął w kupę i poważnie zastanowił nad ożenieniem się.

Leśniczy oparł się na kanapie i odetchnął z głęboką ulgą jak człowiek, który pozbył się ciężkiego zadania.

— Dziękuję ci, Wilhelmie — rzekł młynarz — mówisz uczciwie, a wiem, że mi dobrze życzysz.

— Tak jest, Jakubie, i dlatego nie weźmiesz mi za złe, że jestem tak natarczywy. Wiem jednak, że brak ci właśnie odwagi do życia. Toteż powtarzam: musisz zacząć żyć na nowo, bowiem twoje obecne życie nie jest życiem!

— Tak, to prawda, nie jest życiem... przez całą zimę włóczyłem się tutaj z kąta w kąt... a teraz nadeszła wiosna... Ach, mój Boże! Boję się, że nie potrafię już żyć inaczej, Wilhelmie!

— O, to się wszystko odmieni.

Młynarz potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Poza tym, widzisz, jest to przecież wielka odpowiedzialność przywiązać do siebie młodą dziewczynę w takiej sytuacji... żal mi Hanny, doprawdy.

— Nie, Jakubie! Niepotrzebnie dręczysz się takimi urojeniami! Hanna nie jest bynajmniej podobna do większości dziewcząt, które marzą o rozkoszach... Nie, nie! Pojmuję ona dobrze, jakie czeka ją tutaj zadanie. Zaufaj jej tylko, a z pewnością nie przeliczysz się, ręczę ci za to.

— Czy nie sądzisz jednak, że to jeszcze trochę za wcześnie, by się żenić powtórnie? — spytał młynarz, usiłując wedle przyzwyczajenia wygrać na czasie.

— Tego nikt z pewnością nie powie... Jest to całkiem szczególna sytuacja. Nie zapomnij, że dzięki przesłuchaniom w sądzie twój stosunek do Hanny stał się powszechną tajemnicą; wszyscy wiedzą też, że twoja nieboszczka żona życzyła sobie tego małżeństwa. Twoja teściowa wygadała to sama... więc któż by uważał to małżeństwo za niestosowne?

A niedawno twoja teściowa oświadczyła także, że byłoby najlepiej, gdyby małżeństwo jak najrychlej doszło do skutku, albowiem błąkasz się tutaj i stajesz się wprost dziwakiem, jak powiedziała.

— Tak? Powiedziała tak?... Tak, tak...

II

Drzwi izby otwarły się, dziewczyna wniosła tacę z kawą.

Młynarz odetchnął z ulgą — było to bądź co bądź małe wytchnienie — a może teraz rozmowa skieruje się na mniej drażliwe tory? I twarz leśniczego zajaśniała pogodniejszym nastrojem. Nie dlatego, by specjalnie cieszył się widokiem kawy, ale w podaniu jej upatrywał obiecującą zapowiedź — przyjaciel powracał do dawnych dobrych przyzwyczajeń. Albowiem młynarz istotnie wyrzekł się całkiem przedpołudniowej kawy. Nie mógł jej pić, nie myśląc jednocześnie o owym przedpołudniu listopadowym, kiedy w rozmowie z Lizą wyrzekł rozstrzygające słowo. Dzisiaj pił znów po raz pierwszy kawę, głównie dlatego, aby jako uprzejmy gospodarz sprawić leśniczemu przyjemność.

Wypił lyk kawy i skrzywił się mimo woli. Nie była to kawa Lizy! Chrystyna także nie gotowała dobrej kawy — dziwne: jedna tylko Liza umiała mu utrafić do smaku. Czy też Hanna potrafiłaby przyrządzić filiżankę dobrej kawy? Z gorzkim uśmiechem spojrzął na leśniczego przekonany, że i przyjaciel zauważy nędzną jakość napoju w porównaniu z dawnym ulubionym trunkiem. Ale leśniczy nie znał się na jakości kawy, więc pił nieudaną ciecz, nie przeczuwał nic złego i uśmiechał się dobrodusznie, widząc, że i młynarz się uśmiecha. A potem napełniwszy filiżankę po raz drugi, podjął na nowo rozmowę:

— Nie. Jakubie, co się tego tyczy, to niepotrzebnie żywisz wątpliwości.

— Hm... Należałoby jednakże jeszcze się nad tym zastanowić, że tutaj w młynie... nie jest zbyt przytulnie... A więc może nie byłoby wskazane wprowadzenie tutaj młodej dziewczyny jako pani tego domu. Gdyby udało mi się sprzedać młyn... a potem kupić nowy... byłoby to może lepiej.

— Tak, ale zanim to nastąpi, przeminie rok albo i więcej... a tymczasem właśnie w tych ciężkich chwilach znalazłbyś w Hannie podporę.

— Nie, nie! Ty nie wiesz, co się tutaj dzieje. Nie. Gdybym mógł wprowadzić ją do innego młyna, gdzie nie byłoby tego wszystkiego... Wilhelmie!... Czy ty wierzysz w strachy?

Leśniczy wzdygnął się mimo woli, usłyszawszy nagle to zapytanie.

— Nie widziałem ich nigdy w życiu, ale zapewne istnieją rozmaite strachy.

Młynarz pochylił się nad stołem i szepnął:

— Tutaj w młynie straszy!

— Naprawdę?

— Tak jest, i nie dziwię się temu. Nie mogło być inaczej. Już dawno oczekiwałem tego.

— Kiedy się to zaczęło?

— O... właściwie od razu. Najpierw kot...

— Pilatus?

— Tak. Jak ci wiadomo. Pilatus nie chodził dawniej nigdy do młyna... ale *owego* wieczoru był tam... widziałeś go przecie na własne oczy. Czy sądzisz, że od tej chwili opuścił młyn? Może raz, czy dwa razy zapędził się do kuchni lub na podwórze... ale od owego dnia zamieszkał na stałe w młynie, wypędziwszy stamtąd Kizię.

— Ano, Pilatus nie godził się zapewne z nową służącą, a młyn znał na wylot z dawniejszych czasów, kiedy jeszcze łowił tam myszy.

Młynarz uśmiechnął się szyderczo.

— Właśnie tak można by to wytłumaczyć, i to samo mówiłem Chrystianowi, który twierdzi, że w tym zwierzęciu siedzi jakaś diabelska siła. Wieczorem Pilatus przebywa zawsze na piętrze żarnowym. Kręci się w kółko... z prawej strony schodów... jak to tam wówczas widziałeś... kiedy niekiedy spogląda na górę i miauczy. I nie można go stamtąd wypędzić.

— Hm... to szczególne... Może po prostu kot oszalał, co się zdarza i innym zwierzętom... W każdym razie obserwowałem coś podobnego u jeleni... a psy także się wściekają.

Młynarz znowu się uśmiechnął z pewną wyrozumiałością, po czym przesunął swoje krzesło, usiadł tuż obok leśniczego i dotknął lekko jego łokcia.

— Krople kapią — szepnął.

— Co takiego?

— Krople kapią... na piętrze żarnowym.

— Czy to słyszałeś, Jakubie?

— Ja sam nie słyszałem. Ale dzisiaj rano przyszedł Chrystian i powiedział mi o tym. Był na wpół przytomny ze strachu, nie chce tu pozostać dłużej. Oświadczył, że i tak dosyć dokucza mu już to zwierzę nawiedzone przez diabła, ale nie potrafi siedzieć tam wieczorem i słuchać, jak kapią te krople... których całkiem nie widać. Więc przyobiecałem mu, że dzisiaj będę tam z nim razem o tej porze... chociaż bardzo niechętnie chodzę do młyna, gdy mrok zapadnie. Muszę jednak zapanować nad sobą.

— Hm... nie jest to, oczywiście, mile. Ale duchy nie ukazywały się dotąd. Nie widziałeś jeszcze żadnego?

— Nie, Bogu dzięki! Nie widziałem... ale i to jeszcze nastąpi... Tak, teraz pojmujesz, że młyn na wzgórzu nie jest odpowiednim miejscem, do którego ty mógłbyś bezpiecznie wysłać swoją siostrę.

Leśniczy powstał, a młynarz poszedł za jego przykładem.

— A więc posłuchaj, Jakubie! Bardzo źle znasz Hannę, jeżeli sądzisz, że zejdzie ona z drogi jakimś diabelskim sztuczkom czy strachom, gdy wyniknie potrzeba, aby była pociechą i podporą dla mężczyzny, którego wybrała. Hanna idzie w imię Boże zawsze i wszędzie, dlatego idzie pewnym krokiem. A wydaje mi się, że potrzebujesz jej tutaj. Więc z powodu *niej* nie odwlekaj małżeństwa aż do chwili, kiedy sprzedasz młyn. Pomyśl nad tym, Jakubie.

Wyciągnął rękę na pożegnanie.

Młynarz uchwycił ją i mocno uściśnął.

— Dziękuję ci, Wilhelmie! To prawdziwa pociecha usłyszeć takie słowa. I kto wie... zastanowię się nad tym.

Poszedł z przyjacielem do stajni i pomógł mu zaprzęgnąć kuce. A jednocześnie wspominał ustawicznie Hannę, przypominał sobie, jak dzielnie wówczas zmagala się w stajni z konikami, a niedźwiadek porwał jej czapkę. Jak wesoło śmiali się wówczas! Nigdy już nie potrafi się tak śmiać — a może i ona także. Tutaj, w młynie, oduczy się śmiać.

— Bądź zdrow, Wilhelmie! Dziękuję ci raz jeszcze za piękną półkę na kwiaty i za wszystko. Pozdrów serdecznie Hannę ode mnie.

Wyszedł na drogę i długo jeszcze spoglądał za wózkiem, który toczył się w stronę lasu, niecząc za sobą wesołą, jasną chmurę pyłu. Ciepły, ale orzeźwiający wiaterek przewiewał mu czuprynę, topole szumiały, niewidzialny słowik siał w przestwór swoje trele, a niskie oziminy, bardziej zielone aniżeli trawa, błyszczały w słońcu, to rozjaśniając się, to ciemniejąc długimi smugami, zależnie od łagodnych podmuchów wiatru, które pochylały je ku ziemi.

Młynarz przycienił oczy ręką. Teraz wózek wydawał się tylko drobnym punkcikiem, który niebawem zginie w jasnozielonej liściastej ścianie — tam gdzie cień ją rozdzielał... A tam dalej, niby w bezpiecznej twierdzy przebywała Hanna, której już od dawna nie widział.

Czy istotnie może ją stamtąd przywołać do siebie? Czy ma po temu prawo?

Słowiczy śpiew cichł coraz bardziej, jak gdyby rozplywał się w jasności. A równocześnie, niemal tuż nad głową młynarza, zaszumiały skrzydła młyna, który po przerwie rozpoczął na nowo swoją pracę. Skrzydła były całkowicie pokryte żaglami, a poruszane lekkim wiosennym wiatrem kręciły się poniekąd wesoło i swobodnie, bez pośpiechu lub wysiłku. I zewnętrzny ich wygląd był wiosenny i uroczysty: jaśniały w słonecznym blasku dzięki temu, że pokryto je nowymi żaglami. Nie były to owe czarne, zetlałe płachty, które szarpał jesienny orkan i które trzepotały się nieporadnie, gdy śmigi nastawiono pod wiatr. Ale drewniana konstrukcja, na której były rozpięte, pozostała ta sama i pamiętała tę chwilę, kiedy kaptur zatrzymał się w połowie obrotu, kiedy śmigi nie chwytaly wiatru z północnego wschodu, lecz utkwily jak przybite gwoździemi w linii nieco odchylonej od północy.

W tej chwili skrzywienie ich sprawiało wrażenie rozmowy; szeptem swego szumu zadawały pytania:

„Cóż, panie majstrze! Czy pan nie wie, jak się to wydarzyło? Co właściwie stanęło na przeszkodzie? Galeryjka opowiada nam, że to ty sam stałeś wówczas przy kierownicy, a galeryjka wie... Więc to nazywasz mistrzowskim obrotem? A może usprawiedliwiasz się inaczej, dlaczego to wówczas dałeś nam tak nikczemnie mało wiatru?...”

Młynarz potarł rękę czoło i powrócił do domu, wlokąc nogi, zwiesiwszy głowę.

III

Obie lampy stały niedogodnie: jedna na złożeniu kamiennym, druga w górze na sortowniccy. Obie czyniły wszystko, co było w ich mocy, by rzucić naokół trochę światła. Płomyki wydobywały się z trudem z brudnych blaszanych zbiorników, wydłużały się rozpaczliwie jak czerwone języki i smugą kopcju wiązały się z ciemnością, która czaiła się ze wszystkich stron. Biedne płomyki nie były osłonięte szklanymi cylindrami, a wiał silny wiatr. Był on nader pożądany, bo w tym okresie nie brakowało roboty, a obaj czeladnicy pracowali zazwyczaj do dziesiątej lub do wpół do jedenastej. Oprócz łuszczarki i sortowniccy było w ruchu jedno złożenie kamienne, panował więc tak straszny hałas, że młynarz musiał krzyczeć, jeżeli przemawiał do oddalonego o kilka kroków Chrystiana. Stojąc przy sortowniccy i trzymając w lewej ręce płaskie, żelazne korytko z długą rękojeścią, sięgnął prawą ręką po zegarek do kieszeni i podnosząc go ku światłu, krzyknął na całe gardło:

— Kiedy zauważyłeś to, Chrystianie? Czy mniej więcej o tej porze?

W górze nad złożeniem kamiennym — tam gdzie płonęła jedna z lamp — wynurzyła się głowa; ruda czupryna błysnęła w białej mącznej chmurze, wznoszącej się nad zbiornikiem, do którego parobek wsypał właśnie zawartość worka.

— O, nie, panie majstrze! Dopiero o wpół do dziesiątej lub koło tej godziny!

Młynarz postąpił parę kroków naprzód i umieścił korytko w otworze łuszczarki. Potem usiadł na worku i podparł głowę rękami.

I znowu z bezpłodną gorliwością przechodził myślą cały dzień, godzinę po godzinie; jeszcze raz przeżywał wszystko, co się wydarzyło dokładnie rok temu. Po zachodzie słońca — przypomniał sobie — stał wówczas przy wózku doktora i zapinając drżącymi rękoma skórzany fartuch, zapytywał z rozpaczą, czy naprawdę grozi niebezpieczeństwo i czy doktor nie potrafiłby ocalić jego żony... Potem nastąpiła ta chwila, kiedy zaprowadził proboszcza do pokoju Chrystyny, a sam chodził tu i tam po ogródku przed domem: z okna przysłoniętego roletą padał wąski promień światła i niby czujne oko tej izby, gdzie leżała chora, śledził każde jego poruszenie... O tej porze właśnie błąkał się koło przejazdu, dręcząc się myślą, że Liza i Jörgen są zapewne razem w czeladnej izbie. Węszył mdły zapach chłopskiego tytoniu, wpatrywał się w blask światła płynący z bramy młyna i zmacony wirującym dymem tytoniowym; potem wszedł do wnętrza. Jörgen stał w nogach łóżka i palił fajkę, Liza rozpościerała prześcieradło na materacu — są tam oboje — a teraz ona odwraca głowę i spogląda obojętnie na niego...

Nagle głośny krzyk.

Młynarz spogląda w blade, wystraszone oblicze pokryte piegami, uwieńczone płomienistoczerwonymi kędziorami włosów, widzi dwie ręce zanurzające się w tej czuprynie chyba po to, aby jeszcze bardziej ją skudlić. Nie siedzi już na worku, stoi wyprostowany, wpatruje się w to oblicze i pojmuje powoli, że jest to twarz Chrystiana.

— Jezusie!

— Co się stało? — spytał młynarz.

— Czy pan słyszał, panie majstrze?!

— Słyszałem czyjś krzyk.

— Tak, to ja krzyknąłem. Ale czy nie słyszał pan kapania kropel?

— Nie... a ty?

— I ja nie słyszałem. Ale gdy pan zerwał się tak nagle, z tak dziwnym wyrazem twarzy, sądziłem, że pan może...

— Głupstwo!

Młynarz pochylił się, wyjął korytko z otworu i zbliżył ku lampie, aby obejrzeć ziarno. Ręce drżały mu tak silnie, że wiele ziaren wypadło i rozsypało się po podłodze. Postawił korytko na skrzyni kamiennego złożenia.

— Czemu stoisz tu i gapisz się? Czemu targasz rękami włosy? Wyglądasz, jak gdybyś zwariował. Ale to wszystko tylko udawanie!... Wymyśliłeś tę całą historię tylko dlatego, aby zażądać wyższej płacy!

— Nie chcę wyższej płacy, bo nie chcę w ogóle służyć dłużej w tym krwawym młynie!

— Jak ci się podoba! Znajdą się inni, którzy chętnie zajmą twoje miejsce.

— Czemuż by nie? Gdybym był tym innym, sam chętnie bym tu służył. Gdybym nie był znał tych dwojga, to niechajby sobie krople kapąły ile wlezie... I gdyby to tylko sam Jørgen padł ofiarą, nic by mnie to nie obchodziło. Ale lubiłem Lizę, a ona lubiła mnie także, na Boga, *lubiła* mnie!

Ogarnęło go nagle wzruszenie. Zaczął wycierać oczy rękami. Młynarz twardym chwytem cofnął jego rękę, a Chrystian, na pół oślepiiony łzami, spojrział w oczy młynarza błyszczące niezrozumiałą wściekłością.

— Czy i ty byłeś jej kochankiem?

Zanim wystraszony czeladnik odpowiedział, młynarz zwolnił jego rękę z żelaznego uścisku, siadł z powrotem na worku, odwrócił się i ukrył twarz w dłoniach.

Chrystian, całkowicie wyleczony z sentymentalnego nastroju, obejrzał zaczerwieniony przegub swojej ręki, zerknął na młynarza i potrząsnął głową: „On nie jest jednak przy zdrowych zmysłach!”. Potem zabrał się pilnie do roboty — musiał sam wszystko wypełnić. Kiedy niekiedy skradał się ku schodom, przystawał i nasłuchiwał, a wreszcie gniewnie kiwnął głową. Równocześnie oglądał się z trwogą na młynarza, aby się przekonać, czy zwrócił uwagę na tę jego, oczywiście daremną, wyprawę.

Młynarz jednak siedział nieruchomo.

Nie przestawał rozmyślać nad rozmową z leśniczym. Rozmowa ta postawiła przed nim z natarczywą koniecznością dwie możliwości: albo oddać się dobrowolnie w ręce sądu, albo ożenić się. Możliwości te nie były bynajmniej nowe, właściwie w ciągu całego tego czasu ustawicznie widział je przed sobą — ale daleko i mglisto. Teraz przybliżyły się bezpośrednio ku niemu.

Przeciwko pierwszej z tych możliwości buntował się jego instynkt samozachowawczy, który wyprowadził go już cało z przesłuchania u sędziego śledczego. Przesłuchanie to odbyło się mniej więcej dokładnie tak, jak je sobie wyobrażał wówczas, leżąc w lesie i badając szczegółowo myślą wszystko, co groziło niebezpieczeństwem, i wszystko co przemawiało na jego korzyść. Co więcej, wyszły na jaw szczegóły nieznanе nawet jemu, które w znacznym stopniu odsuwały od niego jakiegokolwiek podejrzenia. Tak na przykład Lars zeznał, że już w dzień pogrzebu czeladź szeptała sobie na ucho o małżeństwie młynarza z panną Christensen. Był to doniosły moment w życiu Larsa, więc nie zaniedbał niczego, aby wyzyskać go odpowiednio i w jak najlepszym świetle pokazać swój zmysł obserwacyjny. Bo on przecież zauważył, że młynarz „tak” spoglądał na pannę z leśniczówki w bramie cmentarza. I zarówno ona, jak Chrystian opowiedzieli, że nieboszczyk Peer Vibe, kłusownik, śledził z bliska w księżycową noc młynarza i pannę Hannę i nabrał przekonania, że wie już, kto będzie panią w młynie.

Tak więc Jakub Clausen wyszedł wolny z pokoju sędziego śledczego, nie ciążyło na nim żadne podejrzenie. I teraz miałby dobrowolnie się przyznać? Z powodu słabości wyłącznie — ponieważ niełatwo mógł odzyskać równowagę po takim wstrząśnieniu?

A może pod wpływem skruchy? Ale czyż on w ogóle odczuwał skruchę i czy wina jego była naprawdę tak wielka, że należało się kajać? Kiedy przeżywał myślą wszystkie momenty owego wieczoru — poczynając od chwili, gdy stanął na skrzyni okrywającej złożenie kamienne, z której właśnie Chrystian zeskoczył, i gdy ujrzał koty walczące na podłodze, aż do chwili, gdy stał w odległości czterech, pięciu kroków dalej na prawo i poczuł, że krople spadają mu na czoło — nie doznawał bynajmniej wrażenia, by on sam popełnił coś strasznego. Groza czaiła się raczej poza nim, w młynie, w kierownicy, w krzyżowych belkach, w śmidze, w ściskadle. Ale w nim samym? Czy właściwie w nim samym była jakaś złość piekielna? Wszak był i wtedy taki jak zawsze. Katastrofa wydarzyła się konsekwentnie sama przez się, jak gdyby w ogóle nie mogło się stać inaczej... Niewątpliwie zasługiwał na potępienie i potępiał się także sam — ale bynajmniej nie za

to, co się wydarzyło owego wieczoru — zrzędzeniem losu (jak mu się wydawało) — a raczej za to, że w ogóle kochał Lizę i pozwolił jej usidlić się. Ponośli winę wspólnie z nią — najpierw w stosunku do żony, potem w stosunku do Hanny. Niebo przeznaczało mu tę pobożną dziewczynę na towarzyszkę życia jako anioła stróża — a on mimo to zawarł z diabłem pakt. To, jak sądził, mogło być i powinno było przyjąć inny obrót — pod tym względem ponosił całkowitą odpowiedzialność, której nie chciał zrzucić z siebie; za tę winę pokutował niesłabnąc ani na chwilę udręką duszy. Ale czyż z tego powodu miał się przyznać do morderstwa? Oddać się w ręce sądu?... Cóż go obchodzili ci krętacze sądowi?...

Natomiast nowością było to, co powiedział dzisiaj leśniczy, a z czego tylko bardzo niejasno zdawał sobie sprawę.

Jeżeliby popełnił zbrodnię — oświadczył przyjaciel — to i to byłoby zgodne z wolą Boga, który może chciał go tą drogą doprowadzić do skruchy i do zbawienia. Ale gdyby naprawdę tak było i gdyby uporczywie przeciwstawiał się tej bożej woli, nie pozwalając zaprowadzić się do celu — to czyż jego postępowanie nie byłoby grzechem, może jeszcze straszniejszym aniżeli popełnione morderstwo?

Ścisnął mocno obiema dłońmi czoło, wstrząsany tajemną grozą.

Ale czy nie były to tylko fanatyczne urojenia tych pobożnisiów? Słowa te brzmiały inaczej, aniżeli zwykły był je słyszeć w kościele! Teraz wiedział już, co uczynić! Uda się do proboszcza pod jakimkolwiek pozorem i w toku rozmowy zada mu pytanie, czy słuszne są wywody leśniczego. Oczywiście nie wspomni, że to dotyczy jego samego. A więc, czy naprawdę lepiej być wielkim zbrodniarzem, który pełen skruchy błaga Boga o łaskę zmiłowania — aniżeli nie popełniać występków, żyć, jak żyją inni chrześcijanie, odmawiać wieczorem modlitwę, w niedzielę chodzić do kościoła, a raz do roku przystępować do komunii świętej? Albowiem, wedle opinii leśniczego, wszystko to nie wystarcza jeszcze do zbawienia.

Jego zdaniem człowiek musi się nawrócić, musi wykorzenić z siebie zło i szatana i odrodzić się. Dla młynarza były to słowa z obcego języka, którego dawniej nie rozumiał wcale. Teraz jednak wydawało mu się, że owa zgroza jest tłumaczem, podpowiadającym mu znaczenie tych słów — co prawda, jak dotąd niezbyt jasno. Stary, dobry proboszcz nie był tak surowy: posługiwał się zawsze łagodnymi, pełnymi przebaczenia słowami! Wprawdzie leśniczy nazywał go światowym — ale nie było wykluczone, że to właśnie proboszcz miał słuszność. Był przecie uczonym, poza nim stała cała potęga Kościoła. Tak, z nim należało pomówić!

Zaraz! A to ci pomysł! Ładnie by wpadł w pułapkę! Proboszcz podczas najbliższej partii wista opowiedziałby sędziemu śledczemu, że młynarz był u niego i że zadawał mu takie pytania, no, a wówczas... pogratulować! Cały sąd począłby mu deptać po piętach. Nie, należało baczyć na każde słowo, na każdy gest!

A jakże to dopiero co zachował się względem Chrystiana? Bóg wie, co ten chłopak pomyśli. Spoglądał na niego z takim zdumieniem. Właśnie podobne drobiazgi wiodą do wykrycia winnych. Należy panować nad sobą i czuwać bez przerwy!

Co prawda, życie, jakie wiódł w ciągu tej zimy, nie było wcale życiem. Mógłby równie dobrze siedzieć w więzieniu.

Więc: jeżeli chce żyć, musi się zdobyć na odwagę i poślubić Hannę. To była druga ewentualność, ale i ta także przejmowała go lękiem.

Ciężka była droga do więzienia, ale do ołtarza również nie szło się lekką stopą. Poślubienie Hanny wydawało mu się zuchwałstwem, grzechem przeciw życiu. A jednak można było tylko odroczyć to małżeństwo, nie można było przed nim umknąć — chyba gdyby coś zgoła nieprzewidzianego stało na przeszkodzie. Podczas sądowego śledztwa młynarz, chcąc się oczyścić z ciężkiego zarzutu, rozumiał doniosłość wysuwania na jaw tego wszystkiego, co przemawiało przeciwko przypuszczeniu, jakoby kochał Lizę. Najlepszą drogą do tego celu było udowodnienie, że kochał i chciał zaślubić inną. Z tego powodu przesłuchiowano także Hannę. Zeznała ona, że żywi serdeczne uczucia dla młynarza. Nie powiedziała wprawdzie, że wyraźnie mówili z sobą o miłości, ale szczere jej wyznanie, nieukrywające niczego, bez fałszywego wstydu, wystarczyło, by zamiar mał-

żeństwa wydał się niewątpliwy, zwłaszcza gdy potwierdziły go również zeznania innych świadków.

Nie można było utrzymać tego w tajemnicy, chociaż nie doszło do sądowej rozprawy. Wahający się i niemogący powziąć decyzji młynarz przebrnął dzięki temu z łatwością przez dużą trudność życiową. Nie musiał ubiegać się o rękę panny, był z nią publicznie zaręczony, zanim w ogóle o tym pomyślał. Czy mógł się cofnąć wobec takich okoliczności? Po dzisiejszej rozmowie nie mógł już nawet zwlekać dłużej z małżeństwem. Należało zapanować nad sobą, otrząsnąć krew z sumienia, odrzucić przeszłość i rozpocząć nowe życie z Hanną.

Pod stopami młynarza rozległ się szum niby wodospadu: to Chrystian otworzył zastawę przewodu łuszczarki. Młynarz zadziwił się nagle, czemu tak późno przebywa tutaj na piętrze żarnowym. Ach tak! Z powodu kapania kropli — czekał na te strachy. No, co prawda, długo musiał czekać — i może nadaremnie.

„Jeżeli krople zaczną kapać — pomyślał — w takim razie odwlokę jeszcze decyzję, jakiś pretekst zawsze się znajdzie. Ale jeżeli nie będą kapać, ożenię się. Z końcem tygodnia zaproszę Hannę i teściową, i wówczas oznaczmy dzień ślubu”.

Wstał. Chrystian, który właśnie nasłuchiwał przy schodach, wzdrygnął się i odwrócił z widocznym zakłopotaniem.

— No cóż, Chrystianie? — zapytał młynarz, uśmiechając się szyderczo. — Jak się zdaje, dzisiaj nic już nie usłyszymy.

— Ach, jak na złość wicher tak strasznie huczy. Czyż można usłyszeć coś w takim hałasie?

— Nazywasz to hałasem?! A ja słyszałem kapanie tych kropli, chociaż hałas był nieporównanie większy.

Chrystian rozwarł szeroko swoje oczy dorsza.

— A więc i pan już słyszał, panie majstrze?

— Tak jest, wtedy... Ale wtedy była to prawdziwa krew.

— Ach, wtedy!

— A gdyby tu straszyle, to jak sądzę, słyszelibyśmy te odgłosy nawet wśród największego hałasu młyna. No, ale strach musi się pospieszyć, bo nie zamierzam siedzieć tu zbyt długo.

— Zapewne znacznie straszyle dopiero wtedy, kiedy pan odejdzie.

— W takim razie zawołasz mnie.

Młynarz dosypał zboża, chcąc skrócić sobie czas pracą; nie mógł dłużej siedzieć bezczynnie i zadręczać się myślami.

— A gdzie się podział Pilatus dzisiaj? — zapytał, zeskakując ze skrzyni.

— Nie wiem i bardzo mnie to dziwi... zazwyczaj kręci się tutaj zawsze wieczorem, jak gdyby sam czart go popędział.

— Nie ma nawet kota! — mruknął młynarz niemal gniewnym tonem. Właśnie dzisiaj, kiedy chciał okazać swą odwagę, nic absolutnie nie straszyle na piętrze żarnowym.

Minął jeszcze kwadrans. Młynarz kiedy niekiedy przykładął rękę do pracy, to znów wychodził na galeryjkę, chociaż musiał się poniekąd przewyciężyć, by o tej porze wstępować na nią.

Chrystian stał znowu obok schodów i nasłuchiwał. Ogarniała go już rozpacz. Właśnie gdy się odwrócił, młynarz wszedł z powrotem, zbliżył się ku lampie i spojrzął na zegarek.

— No tak, teraz pójdę, minęła już dziesiąta.

Wziął lampę i ruszył ku schodom.

— Gdyby strachy bardzo ci dokuczały, zawołaj mnie, a jeśli nie, to daj mi spać spokojnie.

Chrystian, który przysunął się do sortownicy, wysłuchał w milczeniu tego szyderstwa. Przekonał się, że strach zawiódł jego oczekiwania, przynajmniej tego wieczora.

Ale czemu majster nie odchodził? Stał przy schodach, postawiwszy nogę na najwyższym stopniu i patrzył w dół.

Chrystian podbiegł ku niemu.

Pilatus drapał się po schodach.

Zatrzymał się o kilka stopni poniżej i wpatrywał się w młynarza bursztynowożółtymi ślepiami, których źrenice zwężyły się w dwie poprzeczne kreski. Potem zaczął pięć się w górę. Młynarz ustąpił mu z drogi.

Pilatus poszedł prosto w prawą stronę, skąd wiodły schody na górne piętro. Przez krótką chwilę skradał się tu i ówdzie pomiędzy workami i zwiniętymi linami, potem zaczął kręcić się w kółko, spoglądając raz po raz w górę i poruszając pyszczkiem — miauczenie głuszył hałas młyna.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Mimo to młynarz i Chrystian stali nieruchomo, nie mogąc oderwać spojrzenia od tego widoku. Nagle Pilatus drgnął niby rażony elektrycznym prądem.

Zatrzymał się, podniósł przednią łapę, odwrócił łeb na bok i wpatrzył się przed siebie. Zdawało się, że ślepie wyskoczą mu z orbit. I tak z podniesioną przednią łapą stał może z pół minuty, zanim zdecydował się rozpocząć na nowo swoją bezcelową wędrówkę w kółko.

Powtórzyło się to parokrotnie: kot zatrzymywał się nagle i wpatrywał się w środek koła, trwając w nieruchomej pozycji jak zaczarowany.

— On już słyszy, panie majstrze! — szepnął Chrystian.

— Niedorzeczność! — burknął młynarz. Ale wyciągnął szyję i przechylił na bok głowę jak człowiek, który nasłuchuje z wytężeniem.

Upłynęło jeszcze kilka minut — jeszcze raz kot przybrał tę dziwną pozycję — i teraz znowu...

Chrystian krzyknął — doznał wrażenia, że obcęgi ścisnęły jego ramię.

— Czy to już?

Młynarz nie odpowiedział. Ale odpowiedź odmalowała się wyraźnie w jego zaciśniętych, bezkrwistych wargach, w szeroko rozwartych oczach, na całej poszarzałej i wykrzywionej twarzy, w konwulsyjnym zaciśnięciu palców prawej ręki, w których trzymał lampę.

Rozpoznał ten cichy, ale głęboki odgłos, który górował nad całym hałasem młyna — tak jak owego wieczora.

Odzywał się znowu — i znowu — a za każdym razem Pilatus wzdrygał się i zatrzymywał, za każdym razem Chrystian odczuwał uścisk wpijający się w jego ramię.

Teraz i Chrystian także dosłyszał odgłos.

— Słuchaj pan, słuchaj pan! — szeptał, jak gdyby młynarz nie wsłuchiwał się już całym napięciem nerwów.

Stali nieruchomo.

Odgłos powtarzał się w krótkich przerwach. Powoli zmieniła się barwa dźwięku — brzmiał teraz znacznie silniej — nie było to już krótkie, twarde, suche stukanie — brzmiało coraz bardziej miękko, pluskająco jak odgłos wody spływającej z rynny do kałuży.

— Weź lampę! — rzekł młynarz.

Wyrzekł te słowa raczej ruchem i spojrzeniem niż niedosłyszalnym prawie głosem.

Macając, zeszedł po schodach w ciemność. Kiedy już stał na dole i szukał ręką klamki, jeszcze wydawało mu się, że słyszy kapanie tych strasznych kropli.

A gdy już wchodził do domu, odwrócił się na progu i spojrzął w stronę młyna. W górze poprzez drzwi galerijki płynęło z piętra żarnowego czerwone światło lampy.

Młynarz podniósł zaciśniętą pięść i mruknął przez zęby:

— A jednak uczynię to... ożenię się z nią, właśnie teraz... Muszę tak postąpić, bo inaczej oszaleję!

IV

— Phh! — jęknął Smok, rozpiął parę guzików kamizelki i przesunął wskazujący palec między szyją i kołnierzem, który okazywał niemilą skłonność przylepiania się do ciała mokrymi fałdami. Rozpierając się na ławie, spojrzął w niebo, które było dziwnie bezbarwne, chociaż słońce skłaniało się już ku zachodowi.

— Phh! — powtórzył Smok raz jeszcze, modulując głosem cicho, ale wymownie. Małe jego oczka, pływające w tłuszczu niby knot nocnej lampki, błędziły po otaczającym

go towarzystwie: zerknęły ku matce, która siedziała na ławce naprzeciwko, obok Hanny, usztywniona swymi odziedziczonymi po przodkach jedwabiami, spojrzały pytająco na leśniczego i z wyrzutem na szwagra.

Ten stał w drzwiach, tamten siedział na krześle, trzymając w palcach cygaro i wdmuchując pięknie ukształtowane kółka dymu w cichą przestrzeń. Smok zagarnął całą ławkę dla swojej wygody.

Była to jedna z owych chwil, kiedy przysłowiowy anioł — można powiedzieć — „przelatuje przez pokój”, mimo że towarzystwo siedziało w ogrodzie. Poczciwy Smok mniemał skromnie, że jego bądź co bądź względnie wymowny udział w rozmowie, dwukrotnie powtórzony, powinien być znaleźć nieco gorętsze uznanie i oddźwięk, aniżeli wywołał.

— Istotnie, bardzo gorąco dzisiaj — przytwardziła Hanna, współczując bezradnemu Smokowi.

Dzięki temu rozwiązały się wszystkie języki.

Zgodzili się wszyscy, że jest parno, duszno, brak powietrza.

Zachęcony tym powszechnym uznaniem, Smok ryknął:

— Tak, Bogu wiadomo, duszno! Tak, Bogu wiadomo, parno! — Wytarł twarz chusteczką z czerwonymi szlaczkami. — Taki upał! Po prostu krew tryska z głowy!

Istotnie, głowa jego wyglądała tak, jak gdyby za chwilę miała z niej wytrysnąć krew... Ale przyczyną tego był nie tyle upał, ile raczej nadmierna ilość portweinu, który sam zakupił z okazji pogrzebu i który najgoręcej zachwalał. Wypijanie go Smok poczytywał sobie za święty obowiązek.

— Młyn miele — zauważyła pani Andersen, spojrzawszy ponad dach.

— Leniwie — odpowiedział młynarz. — Ale w tym okresie trzeba się i tym zadowolić.

— Nie dziwiłbym się wcale, gdyby dzisiaj wieczorem była burza — odezwał się leśniczy.

— Tak, niech będzie burza! — przerwał Smok. — Nuże³²! Niech niebo grzmi! Niech runie ulewa! Tego nam potrzeba! Niech diabli porwą, ziemia jest tak wysuszona, że należałoby...

Świat nie dowiedział się, co należałoby uczynić w takich okolicznościach, ponieważ słowa uwięzły Smokowi w krtani. Wstrząsnął nim atak kaszlu, który sprawiał wrażenie apoplektycznego ataku. Już kiedy Smok zaczął kłąć, pani Andersen zmarszczyła czoło z niezadowoleniem, a kiedy wezwał diabła, by go porwał, wstrząsnęła tak energicznie głową, że syn zgubił wątek. Podczas krótkiej drogi z dworu do młyna matka przykazywała mu stanowczo, by uważał na swoje zachowanie, by wyrażał się, jak przystoi, by przede wszystkim nie kłął w obecności tych obojga „świętych”, z którymi wchodzili teraz w związku powinowactwa. Stracił zupełnie humor, kiedy pomyślał o kazaniu, jakie go z pewnością nie ominie. Oczywiście, wypił trochę za dużo! Matka parokrotnie spoglądała na niego z wyrzutem, gdy widziała, że nalewa sobie kieliszek — dlatego zapewne stał się tak rozmowny. Ach, na Boga! Trzeba przecie wypić nareszcie ten portwein! Źle się już stało, że wino kupione na pogrzeb podano przy zaręczynowej uczcie. Smok musiał się troszczyć o to, aby nie podano go również w dzień ślubu — należało zapobiec takiemu rodzinnemu skandalowi.

Ale jeżeli w zapale wypełniania obowiązku wypił nawet trochę za wiele — to wolno mu było palić. Bogu dzięki, ile tylko zechciał.

— Jakubie! Ach, daj mi cygaro!

Młynarz wzdrygnął się i przez chwilę spoglądał na szwagra na wpół przytomnym wzrokiem, zanim pojął, czego żąda od niego. Był całkowicie zaabsorbowany widokiem Hanny i Janka. Chłopiec stał obok niej, wsparł głowę na jej łonie i wpatrywał się w jej oczy.

Jak już dawniej młynarz zauważył, Janek smucił się bardzo z tego powodu, że podczas zimowych miesięcy zaprzestał odwiedzać leśniczówkę. W ciągu lata i jesieni przyzwyczał się do lasu; trzytygodniowy pobyt tamże w listopadzie wytworzył wzajemną serdeczną zażyłość. Kiedy wówczas powrócił do młyna, znalazł tu ogromne zmiany; powszechne

³²nuże — okrzyk znaczący tyle co: „dalej!”, „szybko!”. [przypis edytorski]

uczucie grozy podziało i na niego także. Ustawicznie myślał o Jörgenie, a zwłaszcza o poczciwej Lizie i o tej strasznej śmierci obojga. Niekiedy — jak na przykład w tygodniu Bożego Narodzenia — odwiedził wprawdzie wuja Wilhelma i ciotkę Hannę, ale wtedy smuciła go nieobecność ojca. A gdy młynarz otrząsnął się wreszcie z melancholii i parokrotnie udał się wraz z synkiem do przyjaciół w lesie, zachowanie jego było inne aniżeli dawniej i chłopiec odczuwał tę zmianę.

Dzisiaj Janek dowiedział się, że ciotka Hanna nie będzie już nazywać się ciotką, lecz mamą. Pani Andersen podjęła się zakomunikować mu tę wiadomość i nie omieszkła dodać, że jego nieboszczka matka kochała bardzo Hannę i że będzie się gorąco radować w niebie, jeżeli pokocha nową mateczkę i będzie dobry dla niej.

Młynarz niepokoił się bardzo, myśląc o tym, jakie wrażenie wywrze ta wieść na Janku. Toteż kamień spadł mu z serca, gdy chłopiec przybiegł szybko ku niemu i nie mówiąc nic, tulił się do niego oraz patrzył mu w oczy poprzez łzy radości. Gdy więc teraz widział synka i narzeczoną siedzących razem, ogarnęła go cicha radość, z wielką ulgą powtarzał sobie, że postąpił słusznie — choćby ze względu na chłopca. Albowiem dziecko podczas tej zimy nie miało ani matki, ani ojca — tak dłużej trwać nie mogło. On sam wskutek zbłąkania się i wskutek zbrodni przegrał wszelkie prawo do rodzinnego szczęścia, ale biedne, niewinne dziecko nie powinno za to pokutować. Jeżeli teraz da matkę temu dziecku — o co przede wszystkim chodziło, a nie o to, by sam miał żonę — to może i w jego duszę spłynie blask pokoju, może Bóg nie odmówi mu tego ze względu na dziecko.

Gdy Jakub powrócił ze świetlicy, niosąc pudełko cygar i zaspokoił żądanie szwagra, rozmowa zesłała na inne tory: od pogody przeskoczono nagle do tajemniczych znaków. Ten przeskok z tematu na temat spowodowało niewinne zapytanie pani Andersen, która zagadnęła Hannę, kto ją i Jakuba połączy stułą, skoro dobry stary proboszcz, pastor Schmidt, właśnie zmarł.

— Zapewne religijny „grosista” da im ślub — zauważył Smok, obracając troskliwie cygaro w ustach, aby przykleić mocno zewnętrzny liść. Procedurę tę uważał za niezbędną drugi etap przygotowań po obcięciu koniuszka cygara.

— Masz na myśli zastępcę — poprawiła matka, spoglądając surowo na niego, jak gdyby sama nie posługiwała się nigdy takim wyrażeniem.

— No tak, nazywamy go przecież w ten sposób — dowodził dobrodusznie Smok, przystępując z nabożeństwem do trzeciego etapu, do zapalenia cygara.

— Nie rozumiem, dlaczego mówisz: „my” — skarciła go matka tak niełaskawym spojrzaniem, że uznał za konieczne usprawiedliwić się.

— No, no... nie gniewaj się. Powiedziałem bez złej myśli, jest on przecie osławionym człowiekiem, ale właśnie w tym wypadku będzie najbardziej powołanym, bo zalicza się do *wszystch* zwolenników, Christensenie... dzięki temu, że bierze udział w misjach... to się dobrze składa. He, he, nasz stary Schmidt... niech mu Bóg da zbawienie wieczne!... Ten był mniejszym rygorantem. Lubił on, Bogu wiadomo, swego *l'hombre'a*... to jest wista, chciałem powiedzieć... wist był jego ulubioną grą, a niekiedy hazardował wysoko. Pewnej nocy w Nykjöbing przegrał wózek i konie... przegrał je nieboszczyk jak bułkę za grosz.

Leśniczy Christensen potrząsnął złośliwie głową, jak gdyby wątpił w zbawienie tego „pastora od *l'hombre'a*”.

— Tak, słyszałem i ja o tej historii...

— Fakt! Przegrał parę pięknych koni. Wózek był już trochę zniszczony, ale konie śliczne... I przegrał je jakby nigdy nic!

— Ach, ludzie przesadzają zawsze, opowiadając o takich rzeczach — oświadczyła matka ostrym tonem, albowiem szanowała bardzo Kościół w ogóle, a jego miejscowego przedstawiciela w szczególności.

Smok doznał niemiłego, niewyraźnego wrażenia, że nie umie dzisiaj utrafić w ton. Ale do diabła! Czyż można było utrzymać miarę? Ze złością pociągnął dym z cygara. Diabli nadali to gadanie! Phh! To zapewne skutek upału... albo wina, które muszą wypijać. A niech diabli porwą! Milczec i palic cygaro... to najlepiej.

Właśnie powziął to chwalebne postanowienie, gdy nagle ledwie odzyskana równowaga zachwiała się znowu wskutek pozornie niewinnej uwagi leśniczego, że pastor Schmidt umarł nagle. Pani Andersen wstrząsnęła parokrotnie smutnie głową i otworzyła usta, chcąc opowiedzieć, jak niespodziewanie zaskoczyła ją ta żalobna wieść. Tymczasem Smok

trzasnął ręką w kolano — tak mocno, że Karo przebudził się ze snu — i zwracając się do leśniczego, mówił:

— Aha!... Nagła śmierć? Otóż przypominam sobie... aniby pan zgadł, panie leśniczy! Przed rokiem... tutaj... w dzień pogrzebu... kieliszek prysnął mu w rękę, gdy się trącał... ach, nie, pan nie był przy tym... ale tyś widziała, mateczko... czy pamiętasz? Przeraziłaś się bardzo... i my wszyscy także... mój Boże! Dreszcz mnie przeniknął, a pastor Schmidt zbladł jak ściana, tak, tak! Przejął się do głębi tym znakiem... biedak, i on w to wierzył!... Dziwne to było zaiste. Bogu wiadomo!

Wobec tego, że jego wielebność zbliżał się szybko do biblijnego wieku — że otyła postać o krótkiej szyi i zaczerwienionej twarzy miała apoplektyczny wygląd, że stały partner pastora przy wiście, lekarz okręgowy, przepowiadał mu od dawna nagłą śmierć, jeżeli nie będzie przestrzegał pewnych dietetycznych zasad, czemu bogobojny mąż pod wpływem swej luteranńskiej antypatii do ascezy bardzo zasadniczo się opierał, dalej zaś wobec tego, że pastor Schmidt pozostawał jeszcze na stanowisku i nie był zabezpieczony przed atakami śmierci tytułem *emeritus* (stan spoczynku oddziałuje, jak się zdaje, niezwykle konserwująco) — wobec tego wszystkiego i innych okoliczności śmierć pastora nie była może czymś tak bardzo niezwykłym, wymagającym nadnaturalnego wyjaśnienia. Mimo to wszyscy obecni zgodzili się ze Smokiem, że wypadek ten był niezwykły i tajemniczy.

Zwłaszcza dziedziczka okazywała duże podniecenie.

— Ach, mój Boże, kiedy pomyślę, jak starał się mnie pocieszać: „Pójdź pani, moja droga pani Andersen!”, powiedział pocziwy pastor, „kropelka wina pokrzepi panią”.

— Święta prawda! — zamruczał Smok. — Własne, autentyczne słowa pastora.

— A ty trąciłeś się z nim, Henryku — mówiła dalej matka coraz bardziej podnieconym głosem. — Trąciłeś się tak mocno... wtedy właśnie stało się to... zawsze jesteś tak niezręczny...

Niezupełnie jasno wynikało z tych słów, w jakiej mierze pocziwa kobieta obwinia siebie i syna o udział w zamordowaniu pastora. Smok cierpiał widocznie skutek tej niejasności. Podrapał się po karku i burknął:

— Wiadomo, wiadomo... trąciłem trochę za mocno... w podnieceniu... Ale niech będę potępiony, jeżeli zdołam pojąć, dlaczego człowiek nie może spokojnie żyć dalej, skoro pękł jego kieliszek.

Leśniczy poruszył się niecierpliwie na krześle. Gniewało go, że Smok w swej naiwności ośmiesza sprawę poważną, posiadającą głębsze znaczenie.

— Nie należy rozumieć tego w taki sposób, Andersenie. To są właśnie znaki, które ostrzegają człowieka, by przygotował się na śmierć i nie umierał obciążony grzechami.

— O nieba!... Wolę nie otrzymywać takich znaków!... Jeszcze by tego brakowało, aby nie móc przeżyć spokojnie tych kilku lat, jakie człowiek ma przed sobą! Do licha! Więc każecie mi przez długie miesiące obnosić śmierć w kościach i zatruwać sobie tą myślą jedzenie i picie? Nie, dziękuję bardzo! Nie pragnę wcale takich ostrzegawczych znaków! — I z dobroduszną ufnością zerknął ku matce, szukając u niej poparcia wygłoszonych opinii. — Prawda, mateczko? My oboje aż do samej śmierci wolimy spokojnie pojeść i popić!

Ale dziedziczka nie odpowiedziała mu spojrzeniem; z kwaśnym wyrazem twarzy wyparła się swego przywiązanego do świeckich radości dziecka, co więcej, przelicytowała nawet zdradziecko „świętego” swoją pobożną uwagą.

— Tak jest, panie leśniczy! Takie znaki i przeczucia zsyła nam Bóg dla naszego dobra.

Jeszcze raz doznał Smok niewyraźnego wrażenia, że gdzieś jakoś nie utrafił we właściwy ton. I jeszcze raz powtórzył sobie swoją zgryźliwą towarzyską maksymę: „Milczeć i palić cygaro”.

Dziedziczka zauważyła, że czoło młynarza zachmurzyło się, aczkolwiek jeszcze niedawno z widocznym zadowoleniem obserwował Hannę i Janka. Postanowiła naprowadzić jego myśli na weselsze i bardziej odpowiadające dzisiejszej uroczystości tory. I napomknęła dyskretnie, że zna również *inne* znaki, które, dzięki Bogu, zwiastują nie śmierć, lecz nowe życie, i o których właśnie dzisiaj nie należałoby wspominać.

— Tak, tak! Nie należałoby wspominać. I ja chciałem to powiedzieć — przerwał Smok, kiwając filozoficznie głową.

Zapominając o powziętym postanowieniu milczenia, przemówił, uniesiony szlachetnym, zwyczajnym mu popędem popierania słów matki. Dzisiaj czynił to tym chętniej, ponieważ uświadamiał sobie, że parokrotnie naraził się jej w jakiś sposób i wywołał jej niezadowolenie. Ale dopiero, gdy zabrzmiało już głośno to jego potwierdzenie, zastanowił się, że właściwie nie ma pojęcia o tym, co stara pragnęła wyrazić swymi tajemniczymi, zagadkowymi słowami. A ponieważ — skutkiem niezwykłego podniecenia umysłu — nie potrafił poskromić swej ciekawości, zadał matce odpowiednie pytanie, zapominając, że wygłoszone dopiero co potwierdzenie słów matki traci w ten sposób częściowo wartość.

Matka odpowiedziała opryskliwie:

— No, chyba wiesz o tym dobrze, Henryku.

Istotnie, jeszcze niedawno, gdy zamierzone małżeństwo Jakuba z Hanną doszło do wiadomości członków rodziny, dziedziczka — w przystępie rodzicielskiej poufałości — opowiedziała synowi o owym tajemniczym stukaniu w okno. Jakże żałowała teraz tej niebacznej szczerości, gdy zauważyła, że błysk rodzącego się zrozumienia rozjaśnia twarz syna niepojętą, lecz groźną w skutkach wesołością.

— Już wiem! Już wiem!... Oczywiście! Mówisz o tym stukaniu w okno leśniczówki... prawda? Ej, ej! Że też pocziwa Chrystyna zadawała sobie tyle trudu, i to leżąc już na śmiertelnym łożu? Mój Boże! Naprawdę, zgoła niepotrzebnie. To małżeństwo i bez stukania doszłoby do skutku... prawda, Jakubie?

I znowu młynarz wzdrygnął się, gdy szwagier niespodziewanie wymówił jego imię. Słowa leśniczego o nagłym zgonie proboszcza zbudziły w jego wyobraźni straszliwy obraz tych dwojga, których nagle, obciążonych grzechem — jak powiedział leśniczy — bez żadnego ostrzeżenia wysłał na tamten świat. Zapomniał o otoczeniu. Gdy teraz szwagier przemówił do niego, chwycił mechanicznie pudełko z cygarami stojące na krześle i podał je Smokowi.

Ten wybuchnął głośnym śmiechem i pokazał mu cygaro, wypalone zaledwie do połowy.

— Nie, dziękuję ci, nie mogę ćmić cygara z taką piekielną szybkością... doskonaly towar... Jestem pełen szacunku! Tak, tak, ty rozumiesz się na tym, co dobre... Ale... co chciałem powiedzieć... że i tak doszłoby do skutku!

— Co doszłoby do skutku? — pytał Jakub.

Tym razem Smok wprost ryknął śmiechem, zakolysał się na swej ławce, twarz jego stała się karmazynowa, można było przypuszczać, że naprawdę grozi mu apopleksja.

— Ha! Ha! Ten utonął w myślach o małżeństwie! — zawołał, zwracając się do obecnych i nie dostrzegając, że inni bynajmniej się nie śmieją, a raczej przeciwnie, roztargnienie młynarza przygnębia ich i że przyczyny tego roztargnienia nie doszukują się wcale w myślach o małżeństwie.

— Otóż to, sami widzicie teraz — ciągnął dalej Smok — małżeństwo doszłoby do skutku, gdyby nawet Chrystyna oszczędziła sobie tego trudu! Ale, jak powiadam. Chrystyna nie pozwalała nigdy, by sprawy szły swoją koleją, zawsze musiała wsadzić swoje dwa grosze... tak, tak, nie potrząsaj przecząco głową, mateczko!...

Matka kiwała głową z coraz większym zniecierpliwieniem. Ale Smok nie pozwolił się powstrzymać.

— Nie, nie, to nic nie pomoże, cokolwiek byś powiedziała, mateczko... Chrystynka od wczesnego dzieciństwa miała to przyzwyczajenie, by wszędzie wsadzać swoje dwa grosze. Tak, tak! Więc też nawet w ostatniej chwili życia musiała jeszcze stukać w okna... ha, ha! Nikt inny nie wpadłby na taki pomysł!

Hanna powstała i oddaliła się powoli, idąc ogrodową ścieżką między starymi jabłoniami okrytymi białym, różowo nakrapianym kwieciem. Doznawała niewymownej przykrości, że brutalne chłopczysko profanowało kiepskimi konceptami małe misterium jej życia, tajemnicę, która uświęciła jej miłość i zmieniła ją w nieziemski płomień. Pragnęła pozostać sam na sam ze swymi myślami, toteż niezbyt radował ją odgłos drobnych kroczków, drepcących szybko z tyłu.

Ale babka przywołała Janka z powrotem i poczęła wypytywać go o postępy w nauce.

Młynarz śledził spojrzeniem dziewczęcą postać, której jasnoczerwona suknia coraz bardziej zlewała się z barwą kwiecia i rozslonecznioną atmosferą. Tęsknił za tym, by być z nią sam na sam.

Wpadł na dobry pomysł i przebąknął o szklaneczce *toddy*³³ — nie bez pewnego zakłopotania, które na szczęście okazało się zgoła bezpodstawne.

— Nie odmówię, Jakubie. Jeżeli mnie ktoś częstuje szklanką *toddy*, nie odmawiam nigdy, Bogu wiadomo! — przyświadczył Smok głośno i gorliwie, jak gdyby obawiając się, że ktoś posądzi go o taką nieprzyzwoitość.

Młynarz poszedł do kuchni i dał dziewczynie odpowiednie polecenie. Potem pospieszył przez ogród warzywny i przez sad, usiłując ukryć się przed wzrokiem osób siedzących przed domem. I tą drogą można dotrzeć do stawu.

V

Tak jak przypuszczał, Hanna poszła nad staw.

Usiadła na kamieniu — w tym samym miejscu, gdzie w dzień pogrzebu stała wraz z bratem i z młynarzem. Woda, ocieniona krzakami bzu, miała tę samą czarnozieloną barwę jak wówczas, obie białe kaczki pływały znowu po powierzchni stawu, niecąc świetliste kręgi, tu i tam kołysało się żeglujące piórko. Najdrobniejszy szczegół nie uległ zmianie. A jednak ową chwilę dzieliło od obecnej wszystko, co przeżyła w ciągu tego czasu. A co będzie teraz? Niebawem dom ten stanie się jej rodzinnym domem. Niechaj Bóg ma ją w swej opiece, by nie musiała siedzieć tu i płakać, jeżeli nie uda się jej za pomocą miłości rozproszyc ciężkich chmur spowijających umysł jej męża, jeżeli nie uda się jej wnieść pokoju w ten dom!

Pogrążona w poważnym rozmyśleniu, nie zauważyła, że ktoś nadchodzi, póki młynarz nie stanął tuż obok.

— Byłem przekonany, że zastanę cię tutaj — rzekł.

— Tak jest, tęskniłam za tym cichym zakątkiem. Jesteś bardzo dobry, że przyszedłeś.

Młynarz siadł na trawie.

— I ja polubiłem ten staw... od owego dnia. Ileż to razy stałem tutaj i myślałem o tobie.

— Czy to prawda, Jakubie? Myślałeś o mnie?

Ujęła jego rękę, którą oparła na jej kolanie; spojrzeli sobie w oczy z tkliwością, jeszcze nieco trwożną i skrępowaną.

— Czy wiesz, Jakubie... zdaje mi się, że owego dnia już cię kochałam.

— Czyż to możliwe, moja kochana, kochana Hanno?! — zawołał młynarz i ucałował jej rękę.

— Nie było to ładnie i nie wolno było wówczas przyznawać się do tego... nie zastanawiałam się nad tym wcale, ale zdaje mi się, że kochałam cię w najtajniejszej głębi serca... A teraz wolno mi już kochać cię całym sercem.

Podniosła głowę, w oczach jej błysnęła radość.

To szczerze i pewne siebie spojrzenie, ten pełny, czysty dźwięk niezmaconego niczym uczucia zakłopotaly i zawstydziły młynarza. Z niesamowitą jasnością uświadomił sobie obłudę swej własnej sytuacji — a to wrażenie odzwierciedliło się widocznie na jego twarzy. Hanna zauważywszy to, pochyliła się jeszcze bliżej i pogłaskała go ręką po głowie.

— Tak, Jakubie! Wiem także, że Bóg nazaczył mi tutaj zadanie do wypełnienia, i z Jego pomocą wypełnię je.

— Ach, Hanno! Byłaś zawsze moim aniołem stróżem! — zawołał.

— Nie, nie, Jakubie! Nie należy tak mówić.

— Nie mogę powiedzieć nic innego... bo zawsze doznawałem tego uczucia. Ty jesteś tą, która mogłaby zaprowadzić mnie do Boga... Ale jeżeli mimo wszystko nie zdołam zejść do Niego? Ach, ty nie wiesz, jaki ja jestem, nie pojmiesz tego nigdy!

— Potrafię pojąć, mój przyjacielu. Przekonasz się o tym wówczas, gdy będziemy już szczerze rozmawiać o wszystkim jak para dobrych małżonków, którzy wszystko z sobą dzielą...

— Nie, nie! Dzielić?... Ach, ty nie wiesz, co się we mnie kryje... to zgoła coś innego!... Nie potrafię ci nigdy wytłumaczyć tego... ty jesteś... jesteś właśnie aniołem... czuję to.

³³*toddy* — tu: grog; napój przyrządzany z ginu, wody, cukru, cytryny i przypraw: cynamonu, goździków i gałki muszkatołowej, podawany na zimno lub na gorąco. [przypis edytorski]

Kiedy spoglądam na ciebie, wydaje mi się, że powinienem złożyć ręce i modlić się do ciebie!...

Pod wpływem podniecenia uniósł się; klęczał teraz obok niej.

— Jakubie! Nie wolno ci mówić do mnie w ten sposób! Powinieneś więcej myśleć o Bogu i modlić się także za mnie, a wówczas nie zapomnisz, że i ja jestem biednym, grzesznym człowiekiem, tak samo jak ty... i wówczas będziesz mnie naprawdę kochał... bo trochę to już teraz mnie kochasz, Jakubie.

Oblała się rumieńcem, kiedy wypowiedziała lękliwie te ostatnie słowa, albowiem wydało się jej, że zawierają nieco kobiecej kokieterii; zawstydziła się swej zalotności, zwłaszcza wobec rozmowy, jaką prowadzili. Natomiast nie zwróciła wcale uwagi, że słowa jej wypłynęły raczej z innego, głębszego źródła. W jego stosunku do niej przejawiało się ciągle nazbyt wiele szacunku, a za mało ziemskiej miłości, której domagała się jej ludzka, słaba natura, a za którą nieświadomie tęskniła jej dziewiczność.

Chociaż ona sama nie dosłyszała istotnej treści słów, to jednak młynarz zrozumiał dobrze ten słodki wyrzut, kryjący się w jej słowach, i uznał jego słusność — gdy uprzytomnił sobie uczucie, jakie jej dawniej okazywał. Ale dzisiaj, kiedy stała naprzeciw niego w jasnym letnim stroju, dzisiaj podobała mu się całkiem inaczej: mimo woli ścigał ją kryjomym spojrzeniem, gdy z niezwykłym wdziękiem przesuwiała się po pokoju lub pomiędzy drzewami. Wydawało się, że nastrój narzeczeństwa rozjaśnił jej istotę erotycznym blaskiem; młynarz tęsknił za tym, by pozostać z nią sam na sam. Toteż ujawszy jej rękę, mógł wypowiedzieć prawdę i najszczerze przekonanie — po raz pierwszy — że kocha ją nad życie, że ona jest tą jedyną wybraną, dla której bije jego serce każdym swym drgnięciem. Albowiem wydawało mu się zbezczeszczeniem świętego imienia miłości określić w ten sposób gorączkowy szal, który pchał go ku Lizie.

— Czemu tak mówisz? — odezwała się Hanna z wyrzutem. — To nieładnie ze względu na Chrystynę.

— Ach tak, Chrystynę kochałem także, oczywiście... bardzo... ale to była jednak inna miłość. Wyrosliśmy obok siebie, wychowaliśmy się razem, przyzwyczailiśmy się do siebie i stąd już wynikło, że pobraliśmy się... Ale nie kochałem jej tak jak ciebie.

Nie było to bynajmniej nieprzyjemnie słuchać takich zapewnień, mimo to Hanna potrząsnęła przecząco głową, jak gdyby wyrażając mniemanie, że on wmawia to tylko w siebie.

— Czy nie wierzysz, że Chrystyna znajduje się już w takim miejscu, gdzie ziemską miłość nie gra żadnej roli?... Więc czyż to grzech, że tak mówię? Doznaję wrażenia, że Chrystyna patrzy teraz na nas z nieba; jestem przekonany, że raduje się naszą miłością i błogosławi nam.

Hanna spojrzała na niego z radosnym uśmiechem; te słowa były niby wyjęte z jej własnych ust. Dzięki temu nieco drażliwy dylemat został rozwiązany w najbardziej zadowolający i najpobożniejszy sposób.

— I ja tak sądzę — powiedziała. — A w takim razie Chrystyna widzi również, jak serdecznie ją kochamy. Jakże jej jestem wdzięczna za to, że przeznaczyła nas dla siebie, że... że sama myślała o tym, kiedy jeszcze żyła. Gdyby było inaczej, nie byłabym taka szczęśliwa jak w tej chwili.

Istotnie, wyglądała jak szczęśliwa. Radość, że wolno jej kochać, niewinne przebudzenie się miłości, świadomość nienaruszalności swych świętych praw barwiły młodą krew policzków gorętszą czerwienią, ożywiały uśmiech, nadawały oczom blask, jakim nie błyszczała dawniej ich spokojna jasność, przesyciły wszelkie ruchy ciała — przechylającego się teraz ku przodowi — niezwykłym wdziękiem.

Szereg porównań między nią i Lizą przesunął się w umyśle młynarza z błyskawiczną szybkością — same przeciwieństwa, które jednak wiązał pierwiastek pożądania, pokusy, czaru: podobieństwo jak między białą i czarną magią. Młynarz wzdrygnął się przy tym.

Kiedy jednak Hanna, która dostrzegła natychmiast cień w jego spojrzeniu, pochyliła się nad nim troskliwie z czułą pieśczołą, jak gdyby chcąc spędzić z jego czoła złe troski, młynarz otrząsnął gniewnym wytężeniem woli dręczącą go słabość. Nie! Nie stanie się ofiarą swej przeszłości, nie odda się bezbronny na pastwę jej upiórów! Nie, nie zrezygnuje! Tutaj siedzi młoda, piękna i dobra niewiasta, którą Bóg przeznaczył mu na towarzyszkę życia jako rękojmię, że nad głową jego nie wisi przekleństwo. Tutaj czekało przebaczenie

win: ramiona tej pobożnej dziewczyny ochronią go przed mściwymi cieniami, dadzą mu czystość i szczęście życia, jeżeli tylko odważnie po nie sięgnie.

I z gwałtowną niemal tkliwością chwycił młynarz Hannę w swe ramiona, całował jej usta, policzki i czoło, szeptał pieśczętliwie imiona, miłosne słowa i czule zapytania, rozdające się chaotycznie w wyobraźni — zapytania, przeważnie pozbawione treści, to znowu niemal niezrozumiałe dla każdego, kto chciałby wytłumaczyć je inaczej aniżeli tym, że młynarz ze wzgórza zakochał się śmiertelnie w swej małej narzeczonej. Tak też tłumaczyła je Hanna, płacąc mu pieśczętą za pieśczętę i współzawodnicząc z nim w wymowności — dopóki nie przeraziła się nagle i nie krzyknęła.

Ciemne zwierciadło wody, nad którą siedzieli, rozbłysnęło, jak gdyby staw był demonicznym okiem, które cisnęło im spojrzenie — błyskawicę. Teraz też zahuczał grzmot nad ich głowami przytłumioną, uroczystą groźbą. Krzaki bzów, których gałęzie wznosiły się poprzednio kopulasto na tle wieczornego nieba, zmieniły się teraz w ciemną, prawie niewidoczną plamę. Poza nimi czerniła się granatowym odcieniem olbrzymia chmura, której górne, spiętrzone jak kłęby pary warstwy posiadały cieplejsze, brunatne zabarwienie, a sam szczyt, delikatnie zaróżowiony, sięgał ku zenitowi.

Hanna wyswobodziła się z uścisku i zerwała się. Młynarz powstał także. Błyskawica rozdarła gwałtownie jego radosny, pełen nadziei nastrój; usłyszawszy pierwszy odgłos grzmotu, pobladł. Ale było nazbyt ciemno, by można to było dostrzec — zresztą Hanna nie patrzyła na niego. Odwróciła się nieco zakłopotana i wygładziła swój koronkowy kołnierzyk.

Wielka chmura przed nimi — na północnym wschodzie — nie była jedyną zmianą w obrazie nieba: z prawej strony na polach stanęła fioletowa ściana mgły, dopiero wysoko w górze, ponad zaczerwienionym rąbkiem widniał czysty lazur. Kiedy spojrzeli w tamtą stronę, wewnątrz ściany rozpalilo się bladą błyskawicą. Ale idąc powolnym krokiem, doszli niemal do domu, zanim posłyszeli daleki, przeciągły grzmot.

— Mój brat miał słuszność — rzekła Hanna. — A życzenie twego szwagra wypełni się.

W pokoju od strony ogrodu zapalono lampę, drzwi stały otworem.

Kilka drzew owocowych osłaniało ich jeszcze przed blaskiem światła płynącym z wnętrza domu. Młynarz przystanął i objął ramieniem kibić Hanny.

— Było nam tak dobrze, Hanno! I zostaliśmy wypędzeni.

Ona nie odpowiedziała, skinęła głową i postąpiła parę kroków.

Potem odwróciła się nagle, ujęła go za ramiona i spojrzała mu w oczy. Słaba błyskawica rozświetliła przestrzeń popod listowiem drzew. W oczach jej błyszczały łzy. Przytuliła się do niego, pocałowała go gwałtownie i szepnęła:

— Masz słuszność, Jakubie!... Nie zapomnę nigdy tej chwili. Może już nigdy więcej nie przeżyjemy podobnej!

— Co mówisz... czemuż by nie? — zawołał młynarz z przerażeniem, albowiem wydało mu się, że i on doznaje tego samego wrażenia.

— Nie wiem... oładnęła mną ta myśl. Nie przejmuj się tym... To oczywiście głupstwo.

Szybko wytarła łzy z oczu i weszła do domu.

Małe towarzystwo zgrupowało się około stołu przy kanapie. Służąca stawiała właśnie na stole dymiący parą dzbanek. Trzymała jeszcze w ręku ucho i odpowiadała pokornym tonem dziedzicze, która zapytywała ją, czy daje sobie radę w piekarni, i o to, „co tam słycać u was w domu, mała Ano?” — albowiem nie był to nikt inny tylko Zajęcza Ana, która teraz nareszcie otrzymała upragnioną służbę w młynie. Ale Smok utracił już cierpliwość, podniósł się z kanapy całym ciężarem ciała, odebrał łagodnym, ale stanowczym ruchem dzbanek z rąk Any i zaczął mieszać swoje *toddy* z miną profesora, który przygotowuje chemiczną mieszaninę do niezmiernie ważnego, ale bynajmniej nie niebezpiecznego eksperymentu...

Dopiero wówczas, gdy napój dostatecznie stężał — co posiadało dla Smoka nie tylko zewnętrzne gastronomiczne znaczenie, gdyż był przekonany, że *toddy*, które nie jest trzy razy mocniejsze, niż używają zwykli śmiertelnicy, rujnuje mu na parę dni żołądek — dopiero wówczas napełniwszy szklankę dostatecznie ciemnym płynem i odzyskawszy spokojne panowanie nad umysłem, zauważył, że młynarz wszedł do pokoju. A dźwięczny

i równocześnie piskliwy głos Zajęcej Any wytworzył jedną z tych niezwykłych asocjacji myślowych, które Smok sam u siebie podziwiał. Wskutek tego odstawił szybko szklankę, którą podnosił już do ust, opadł ciężko na kanapę, klepnął się głośno dłonią w udo i wybuchnął wrzaskliwym śmiechem, który wprawdzie brzmiał nieco sztucznie, ale tym niemniej osiągnął w zupełności swój cel, mianowicie zwrócił na niego uwagę wszystkich — nie wyłączając Zajęcej Any. Co prawda, dziedziczka pozwoliła jej łaskawie oddalić się, ale Zajęcza Ana nie wiedziała dobrze, co uczynić, odejść czy zostać, a filuterny błysk małych oczek Smoka przykuwał ją do miejsca.

— Czy pamiętasz, Jakubie — grzmiał Smok — czy pamiętasz jeszcze ów wieczór w sierpniu ubiegłego roku, kiedy byliście u nas, ty i Zajęcza Wdowa? Mówiono wówczas, Ano, o twojej służbie w młynie. Ale nie chciałeś jej przyjąć, Jakubie... nie chciał cię przyjąć, Ano, nie chciał... nie mógł tego uczynić *ze względu na Lizę*, nie mógł.

I w naiwności swego opancerzonego tłuszczem serca śmiał się za całe towarzystwo, nie zwracając uwagi, jakie wrażenie wywierają jego słowa na innych, nie przeczuwając, jak bliski jest prawdy. Wiedziała to, oprócz młynarza, tylko dziedziczka, która też łamała ręce pod stołem, że aż palce trzeszczały, rozpaczła bowiem nad towarzyskimi talentami swego syna. Także na innych wspomnienie Lizy wywarło niesamowite wrażenie. Janek, jeżdżąc na kolanie leśniczego, rozplakał się; nadaremnie Smok usiłował go uspokoić, częstując go łykiem swej nadzwyczajnej mieszanki.

Matka, troszcząc się o skierowanie rozmowy na właściwszą tory, zauważyła teraz żartobliwie, że po raz ostatni odgrywa tu rolę gospodyni domu, i poleciła przynieść jeszcze jeden dzbanek gorącej wody. Teraz już wchodzi do domu niewiasta, która naprawdę będzie panią, i tak być powinno. Hanna odpowiadając na to, wyraziła życzenie, by pani Andersen czuła się w starym gnieździe Chrystyny jak we własnym domu. Ona sama obejmie teraz tylko częściowo obowiązki gospodyni i przyrządzi *toddy* swemu Jakubowi. Jakoż uczyniła to bardzo troskliwie ku największemu przerażeniu Smoka. Jak to? Czy chce wlać w Jakuba taką lurę? Na Boga! Po prostu otruje go! I chwycił fiaskę z rumem, aby ochrzcić napój jak należy dla chrześcijańskiego podniebienia. Ale Hanna, śmiejąc się, nie pozwoliła na to, a Jakub oświadczył również, że jest zupełnie zadowolony i że tak przyrządzony napój bardzo mu smakuje.

Widok Hanny, gospodarującej wesoło dzbankiem, szklanką, łyżeczką i cukrem, spowitej obłokiem pary i dymu, które unosiły się pogodną atmosferą ku światłu lampy — widok tej prawdziwej, kochanej gospodyni domu rozproszył szybko niemiłą nastrój, w jaki wprawił go humor Smoka. Objął Hannę ramieniem i wypił z zadowoleniem parę dużych łyków przyrządzonego przez nią napoju, chociaż, co prawda, trunek ten przypominał ludową duńską receptę: „w razie ciepłej pogody wystaw język przez okno”.

W tej chwili jedno skrzydło drzwi od strony ogrodu zatrzasnęło się, tak że szyby lekko zabrzęczały; z zewnątrz z ogrodu dochodził odgłos, jak gdyby jakieś olbrzymie zwierzę otrząsało się tam gwałtownie. Przez drzwi z sieni weszła Zajęcza Ana.

— Panie majstrze — rzekła — czy to dobrze, że młyn idzie?

— Co takiego?

— Idzie pełnymi żaglami, a nadciąga straszna burza!

Młynarz postawił twardo szklankę na stole.

— A niech go tam...

Hanna i pani Andersen krzyknęły, gdyż w tej chwili jaskrawa błyskawica rozświetliła ogród. Ana zamknęła czym prędzej oba skrzydła drzwi. Młynarz pospieszył do sieni i niecierpliwie otworzył drzwi wiodące na podwórze.

Istotnie, skrzydła młyna obracały się, lecz tak powolnie, że zaledwie można było dostrzec ich poruszenia. Były nastawione ku północnemu zachodowi, gdzie jeszcze niebo jaśniało dość pogodnie. Wydawało się, że młyn nie dostrzega czarnych chmur, które pokryły całą resztę firmamentu, że trwa w jakiejś tępej beztrosce, chociaż grzmoty huczały coraz wyraźniej. Nikt z czeladników nie pojawił się w drzwiach galerijki, aby zobaczyć, co się właściwie dzieje — nic nie świadczyło, nawet najmniejszy promyczek światła, by ktoś czuł wewnątrz młyna.

Właściciel młyna zaklął przez zaciśnięte zęby i otworzył drzwi do pokoju.

— Przepraszam was na chwilę — zawołał do wewnątrz — muszę pójść do młyna.

VI

Drzwi do czeladnej izby obok przejazdu stały otworem. Wewnątrz świeciło się. Chrystian siedział na łóżku, podparłszy głowę rękami.

Przestraszył się, gdy wszedł młynarz i spojrzał na wchodzącego niezwykle, dzikim spojrzeniem.

— Co to znaczy, że siedzisz tutaj, a młyn się jeszcze obraca? — krzyknął młynarz. — Czy nie słyszysz, że grzmi?!

— Słyszę! — odpowiedział Chrystian jeszcze bardziej mrukliwie niż zazwyczaj. Rozczochnął rękami rude włosy, które sterczały niby kępki błyskawic, jak gdyby burza już rozszalała.

— A więc!... Chodź!

Chrystian nie ruszył się.

Młynarz podszedł szybko ku niemu i chciał go skarcić policzkiem, ale zapanował nad sobą i zadowolił się tym, że wstrząsnął nim, ująwszy go za ramiona.

— Czy oszalałeś, Chrystianie?

— Nie byłoby to dziwnie... na Boga! — burknął czeladnik.

Młynarz zawahał się nieco. Chrystian jeszcze nigdy nie zachowywał się tak niezwykle. Przemówił teraz do niego spokojniejszym tonem:

— Nie ma ani chwili czasu do stracenia. Burza łada moment znajdzie się nad naszymi głowami.

— Tak, w takim razie musi się pan pośpieszyć, panie majstrze... Ja dziś wieczorem nie pójde już do młyna.

— Co to znaczy?

— Co to znaczy, dowie się pan sam, kiedy pan pójdzie tam na górę. I może zejdzie pan na dół tak samo prędko jak ja. Spadłem ze schodów i potłukłem kolano tak mocno, że ledwie stoję na nogach.

— Ach, niedorzeczność! Pójdź teraz ze mną! — I młynarz jeszcze raz wstrząsnął go za ramiona.

— Niech pan robi, co pan chce... ja nie pójde...

— Słuchajże, Chrystianie! — mówił młynarz niemal błagalnym tonem. — Bądźże rozsądny. Trzeba młyn przesunąć o pół obrotu, trzeba zwinąć żagle. Wszak wiesz, że to kosztuje dużo pracy, jeżeli robi to jeden człowiek, nawet w czasie pogody, a cóż dopiero podczas burzy...

— Nic mnie to nie obchodzi! Nie chcę mieć nic wspólnego z tym diabelstwem tam na górze... czemu miałbym narażać życie? To nie ja ich zmiażdżyłem! Nie zamordowałem nikogo!... Niech pan sam!...

Umilkł nagle i ukrył głowę w ramionach, albowiem dziko wykrzywiona twarz młynarza przeraziła go śmiertelnie. „Teraz mnie zabije” — pomyślał. I otwierał już usta, by zawołać: „Już idę z panem!” Ale młynarz odwrócił się, wziął lampkę ze stolika i zapytał spokojnym tonem, jak gdyby nic się nie wydarzyło:

— Czy Anders nie wrócił jeszcze?

— Nie, panie majstrze! — odpowiedział Chrystian i zauważył, uspokajając się, że młynarz wychodzi, zamyka drzwi za sobą i pozostawia go w ciemnościach, rozdzieranych coraz częściej błyskawicami.

Chrystian usiadł z powrotem i pogrążył się w myślach:

„Jak majster spojrzał na mnie?... A niedawno tam, na piętrze żarnowym!... Ale teraz był bardziej zły... gdyby miał coś w ręku, byłby mnie z pewnością zabił... na Boga, z całą pewnością! Prawdopodobnie i tamtych zamordował świadomie! I ja miałbym pójść z nim razem?! Nie poszedłbym nawet z kimś innym... za żadną cenę... a cóż dopiero z nim! Jeżeli naprawdę on to uczynił, to teraz ukręca mu tam kark na górze. Mój Boże! Taka burza!... W taki czas i upiory szaleją!”

W bramie przejazdu, zazwyczaj przewiewnej, było teraz tak spokojnie, że światło płonęło zupełnie równo jak w izbie, podczas gdy młynarz z pewnym wahaniem otwierał drzwi do młyna. Wydawało się, że natura powstrzymała swój oddech i nasłuchuje, wyczekując czegoś w nerwowym napięciu. Z podwórza odzywało się naszczekiwanie Kara; młynarz

przypomniał sobie ową noc, kiedy obaj z leśniczym szli przez pola ku młynowi: od tego czasu nie słyszał tak smutnego skomlenia.

Krótką rozmową z Chrystianem wprowadziła młynarza w stan strasznego podniecenia. Ostatnie słowa parobka dowodziły, że podejrzenia jeszcze ciągle czają się dokoła niego. Ale nie to najbardziej go niepokoiło w tej chwili, gdy zamknął drzwi za sobą i stał u stóp schodów wiodących na piętra młyna.

Co się działo tam na górze?

Chrystian nie powiedział nic stanowczego, ale właśnie ta niepewność potęgowała grozę. Jakże głupio postąpił, że nie wypytał go dokładnie!

Jakub był niemal gotów postawić światło na schodach i powrócić do mieszkania. Ale natychmiast opanował się: czy mógł okazać trwogę, a tym bardziej tracić cenne chwile!? Prawdopodobnie, pomyślał, kąpią krople jak zwykle, może nieco silniej, a może Pilatus pokazuje nowe sztuki?

I energicznymi krokami wstępował po schodkach — nie tyle z nadmiaru odwagi, jak raczej dlatego, aby nie słyszeć zbyt wyraźnie. Było niezwykle cicho; mechanizm młyna terkotał niezbyt głośno. Gdy stanął na najniższym piętrze, usłyszał odgłos, którego się obawiał. Otarł rękawem zimny pot z czoła. No, nie było to jeszcze najgorzej! Gdyby na piętrze żarnowym kapąły krople, to budziłoby to większy niepokój.

„Przejdę prędko przez piętro i nie będę się oglądał” — pomyślał, idąc dalej. Mimo to zatrzymał się w środku schodów i oczyścił knot lampki. Głowa jego znajdowała się właśnie na poziomie piętra żarnowego, słyszał spadanie kropli bardzo wyraźnie — odgłos był ohydny, silniejszy, niż sobie wyobrażał.

Teraz stał już na górze. Była to ta sama, dobrze znana przestrzeń ze złożeniami kamieni, z sześcioma wałami, z niskim pułapem, z którego zwisały liny, zapchana stosami worków i kopcami zboża. Dokoła snuły się blade, upiorne odbłaski światła i nieprzeniknione, demoniczne ciemności. Jakub doznawał wrażenia, że przestrzeń ta jest mniejsza niż zazwyczaj. Niewiele kroków dzieliło go od otwartych drzwi!

Tylko najbliższy wał obracał się nierównym ruchem, jak gdyby lada chwila chciał się zatrzymać nieruchomo.

Zaledwie młynarz to dostrzegł, światło zgasło, chociaż powietrze było zupełnie spokojne. Nie odczuwał na twarzy najłżejszego powiewu, natomiast z tyłu zimny prąd zjeżył jego włosy. Nogi zatrzęsły się pod nim. Postąpił szybko parę kroków naprzód, potknął się o zwiniętą linę i upadł na stos worków.

Potem usłyszał tuż obok niby cichy szept i przytłumione śmiechy. Doznał wrażenia, że serce zamiera mu w piersi: rozpoznał głos Lizy! Ten drugi głos był zapewne głosem Jörgena — w każdym razie *jej* głos rozpoznawał wyraźnie.

Błyskawica rozdzierająca niebo rozproszyła ciemności na piętrze żarnowym i roztoczyła naokół siarczanosiny blask. Gdyby nawet musiał życiem za to zapłacić, młynarz nie zdołał się powstrzymać, by nie spojrzeć w prawą stronę, skąd dźwięk dochodził.

Najpierw nie dojrzał nic innego prócz kamiennego złożenia do mielenia żyta, potem zobaczył poniżej — Pilatusa.

Błyskawica zgasła; piętro żarnowe pogrążyło się w spotęgowanej ciemności — ale Pilatus nie zniknął sprzed jego oczu. Wydawało się, że kot wchłonął przelotne światło w siebie i teraz wypromieniowuje je z powrotem. Fosforyczny blask palił się w każdym włosku jego grubego futra — blask ten oświetlał niewyraźnie złożenie kamienne z przeciwnej drzwiom strony, przez drzwi bowiem wkradały się do wnętrza jeszcze skąpe resztki zmierzchu. Nie tylko to wydawało się dziwne: zachowanie się kota było także całkiem nową sztuką. Wyginał grzbiet, przystawał i poruszał się tak, jak gdyby się o coś ocierał. Młynarz chwycił się liny i przechylił się w przód, aby lepiej widzieć: istotnie, Pilatus ocierał się o coś! Nie mógłby trwać w tej pozycji, przewróciłby się, gdyby nie miał jakiejś podpory. A jednak tam nie było nic. I znowu posłyszał taki sam szept jak poprzednio. Prawdopodobnie samo kocisko wydawało te dźwięki, a tylko w jego uszach zmieniały się one w głos Lizy; Chrystian uległ zapewne podobnemu złudzeniu! Teraz Pilatus wyprężył grzbiet, podnosi przednią łapę, wyciąga szyję i kręci szerokim łbem. W ten sposób pieścił się zawsze z Lizą, ocierając się o jej nogi — ale tam nie ma nic prócz powietrza... I istotnie — cóż by tam mogło być?

Poza nim słycać kapanie, plusk niby deszczu spływającego z rynny w kałuże; młynarz rozróżnia każdą ciężko spadającą kroplę. Nawet silny trzask gromu nie może przygłuszyć tego odgłosu.

Ale grom budzi młynarza z odrętwienia i daje mu tyle przynajmniej siły, że może się wyrwać z tego obłądnego koła.

I teraz stoi na zewnątrz, na galeryjce.

Stoi obok kierownicy tak jak owego wieczora i tak jak wtedy powinien ją przekręcić. Ponieważ wiatr wieje mu prosto w twarz — dokładnie jak wówczas — wieje tam, gdzie wiać nie powinien. Kiedy młynarz wyszedł, chwiejąc się na nogach, była jeszcze cisza, a teraz, po upływie paru chwil, szaleje już wiatr. Niesie na swych skrzydłach ryk oddali i bliski szum ogrodu, pędzi przed sobą chmurę białych kwiatowych płatków, które czepiają się brody młynarza lub przylepiają się do pomalowanej smołą drewnianej ściany żarnowego piętra.

Młynarz obraca kierownicę jak szaleniec — obraca tak jak wówczas. Nie uwierzyłby, że potrafi to uczynić — ale namysł nie trwa ani pół sekundy; wprawia w ruch kierownicę, zanim jeszcze dokładnie zdał sobie sprawę z tego, co robi. Jest to jakby piekielna kara, przekleństwo: stać tutaj, obracać kierownicę i mordować po wszystkie czasy! Tak, tak samo wesoło klaskały wówczas żagle, gdy przybliżały się do kierunku wiatru, z takim samym świstem śmigie przecinały powietrze, obracając się coraz gwałtowniej i szybciej. Teraz młynarz jest już częściowo zabezpieczony przed wichrem. Ruch kierownicy utyka — jak wówczas — w połowie drogi, zanim skrzydła zostały należycie nastawione. Wystarczy jednak, by wichur nie mógł w nie z tyłu uderzyć, okoliczności nie sprzyjają temu, by się zajmować zbędną pracą.

Młynarz rozluźnia łańcuch ściskadła, przez chwilę trzyma go w ręku, badając doświadczonym spojrzeniem obrót skrzydeł, potem puszcza łańcuch, biegnie ku śmidze i dociera do niej w chwili, gdy dolna część zatrzymuje się obok galeryjki. Rozwiązuje sznury i zwija dolny szmat żaglowego płótna. Wiatr uspokaja się nieco. Gdy jednak młynarz wdrapuje się teraz na wiązanie śmigie, poczyną dąć z nową siłą, jak gdyby chciał strząsnąć go na ziemię. Na dole błyskawica oświetla dom mieszkalny, za szybami okna ukazują się twarze, spoglądające z przerażeniem na młynarza. Nareszcie i górna część żagla jest już zwinięta i przymocowana. Młynarz schodzi z rusztowania i zdejmuje deski wietrzne.

Teraz musi powrócić na galeryjkę i naciągnąć łańcuch, by skrzydła dokonały pół obrotu.

Poruszają się one teraz znacznie szybciej. Młynarz przeliczył się, zatrzymał skrzydło zbyt wysoko nad galeryjką, musi jeszcze raz wykonać tę pracę. Teraz jednak wichur ma siłę huraganu. Nie tka już śnieżnobiałej szaty z delikatnych płatków kwiatowych, lecz ciska o ścianę piętra żarnowego i o słomiany płaszcz młyna wir liści, słomy i pyłu. Żagiel miota się wściekle i tylko z wielkim trudem udaje się zwinąć go i przywiązać. Wichur wyrwa z rąk młynarza jedną z desek i rzuca ją poza balustradę.

Coraz szybciej huczy grzmot śladem błyskawicy, jak gdyby chciał dogonić swego ognistego zwiastuna. I wydaje się, że niekiedy wychodzi zwycięzcą z tego pościgu — jest to jednak nowa błyskawica, towarzysząca poprzedniemu grzmotowi, albowiem błyska się i grzmi ze wszystkich stron.

Młynarz patrzy w błyskawice, biegnąc bez tchu po galeryjce między łańcuchem a skrzydłami, rozwiązując liny, zbierając deski lub zawisając na wiązaniu. Czasem płomień razi go wprost w oczy, czasem rozświetla swym blaskiem daleki widnokrąg. To ogniste zygzaki biją w las, to szabliste promienie wystrzelują w górę z horyzontu, to znów przebiegają między chmurami, których kontury, podobne górskim szczytom, na przemian ukazują się i znikają.

Nareszcie pozostał już tylko ostatni żagiel.

Młynarz wisi wysoko na wiązaniu. Burza przewiewa go i wygrywa na drewnianej sieci obnażonego wiązania niby na harfie obłąkańczą, jękliwą melodię, monotonnie brzmiającą to wyższymi, to niższymi tonami. Nagle sypie się z góry grad, chłosta go w twarz, oślepia, palce szarpiące twardego węzła kostnieją, ramię z trudem utrzymuje go na chwiejnym drewnianym rusztowaniu. Podwórże jest bez przerwy rozświetlane błyskawicami, zaledwie jedna pograży się w mroku, już świeci druga i nieci jaskrawe luno. A jednocześnie bliskie i dalekie fale grzmotów zlewają się z sobą, mieszając swe rozmaite odgłosy — to

dudnią niby ciężko załadowany wóz, przejeżdżający po kamiennym moście, to huczą jak dalekie armatnie strzały, to trzaskają jak karabinowa salwa, to dźwięczą jak żelazne płyty przetaczane po sobie.

W białej ulewie gradu jaśnieje oślepiające światło, jak gdyby tysiące fioletowych iskier przebiegało pomiędzy gradowymi ziarnkami; ledwie przygaśnie ten blask, huczy grom, jak gdyby niebo było olbrzymią tkaniną, którą z hałasem rozszarpują demony. Masy spadającego gradu są coraz większe. Teraz już nie wyrządzą szkody! Zawiązany ostatni węzeł, przytwierdzony ostatni żagiel, a młynarz schodzi szybko z wiązania skrzydła.

Jedno jeszcze go czeka: musi przejść przez piętro żarnowe.

Podczas ciężkiej pracy, w tej zdrowej walce z żywiołami, kiedy zabezpieczał swój młyn i wypełniał swoje młynarskie obowiązki, zapominał o strachu i o upiorach. Ale teraz budzą się znowu — czekały na niego przyczajone.

Staje nogami na galeryjce, ziarna gradu trzeszczą pod podeszwami, rozsypują się białymi kupkami na boki. Korpus młyna sterczy potężny i ponury. Po prawej stronie błyska okienko w odbłasku dalekiej błyskawicy; wydaje się, że piętro żarnowe spogląda na młynarza upiornym spojrzeniem.

Na dole pod nim dom, wyraźnie się rysujący w oświetleniu długiej, migotliwej błyskawicy. Dom patrzy na młynarza ludzkimi oczyma: w oknach widać twarze, w drzwiach sieni stoi jego narzeczona. Czemuż by nie zakrzyknąć na nich, aby podali drabinę? Tak, ale cóż im później powiedzieć? Jak wy tłumaczyć, czemu zwyczajnie nie schodzi po schodach?

Nie, nie, podda się! Dokonał już wszystkiego, teraz stawia czoło tej ostatniej grozie!

Dom zniknął sprzed oczu. Tylko światło lampy posyła mu przez szyby okien krzepiące pozdrowienie właśnie w chwili, gdy zawraca ku wyjściu.

W parę sekund później przestępuje szybko próg żarnowego piętra — i staje jak skamieniały.

Są tam — w odległości paru kroków — na środku jego drogi!...

Jörgen i Liza stoją tam. Ani groźnie, ani uroczyście. Stoją tam w zwykłej pozycji, jak stali zapewne nieraz na tym miejscu. Wydaje się, że nie dostrzegają go nawet. Ona jest ubrana w starą, szarą sukienkę, jaką zazwyczaj nosiła po domu, a młynarz wie, że tak była ubrana, kiedy zginęła. Jörgen krzyczy jej coś do ucha — świadczą o tym tylko poruszenia jego warg — bo żadnego dźwięku nie słyhać. Liza przechyla w przód głowę, nasłuchując, a jednocześnie patrzy na Pilatusa, który ociera się o jej nogę.

Kocur błyszczy fosforycznie jak poprzednio, oni oboje błyszczą także — a może to tylko błyskawice?

Teraz Liza podnosi powoli głowę.

W uśmiechu wypuklają się wyraźnie dołki na brodzie i na policzkach. Usta śmieją się, a czerwona górna warga odsłania wielkie przednie zęby. Powoli odsłania się powieka i na młynarza pada spojrzenie...

Młynarz odskakuje w tył.

W tej samej chwili znika wszystko — nie w mrokach lecz w jasności — w huczącej, gromowej fali światła. Młynarz odczuwa cios w piersi — potem wszystko, nawet światło, ginie gdzieś, rozplywa się.

VII

Hanna stała w drzwiach sieni.

Widziała, że narzeczony zeszedł szczęśliwie ze śmigi. Postać jego zniknęła jej sprzed oczu, gdy skręcił na galeryjkę biegnącą wokół młyna. Jeszcze tylko jedna lub dwie minuty, a uchwyci go w ramiona. Jakaż trwoga miotła ją, gdy widziała go wśród błyskawic i piorunów, uwieszonego na śmidze kołysanej burzą. Za ledwie można było go rozeznać. Gdyby obsunęła mu się noga?! Albo gdyby nagle coś się zepsuło, a śmiga poczęła się obracać i porwała go w powietrze swym zawrotnym pędem?!

Ale, dzięki Bogu, był uratowany!

Nagle błysk tak jasny, jak gdyby wszystko światło świata skoncentrowało się w *jednym* płomieniu, a jednocześnie krótki, ogłuszający huk niby wystrzał olbrzymiego działa, tak że wszystkie szyby zabrzęczały...

Hanna skoczyła w środek szalejącej nawałnicy gradowej. Dokoła niej przebiegały jakieś postacie, rozlegały się pomieszane z sobą okrzyki:

— Piorun uderzył w młyn! Gdzie młynarz? Pali się! Czy Jakub zeszedł na dół? Młyn się pali!

— Jakubie!

Aczkolwiek ten okrzyk wydarł się z jej krtani pod wpływem znieruchomiającego przeżycia, to jednak nie utraciła przytomności. Przeciwnie, raczej uświadomiła sobie nagle zupełnie jasno wszystko, co się dzieje. I podczas gdy jej brat i Smok pospieszyli ku młynowi, chcąc wdrzeć się do wnętrza, ona — jak gdyby pod wpływem natchnienia — pobiegła w przeciwną stronę, ku drodze.

Z kaptura młyna buchnęły już płomienie.

— Prędko! Drabinę! Jakub jest tutaj... na galerii!

Leżał on przed drzwiami piętra żarnowego, rzucony na poręcz zamykającą ukośnie galerię. Jedno ramię zwisało w dół.

Chrystian i Zajęcza Ana pobiegli po drabinę. Leśniczy i Smok, którzy posłyszeli jej okrzyk w pobliżu młyna, zbliżyli się szybko.

— Może lepiej byłoby wejść na górę i znieść go przez młyn? — zapytał leśniczy.

— Spójrzcie! Już i wewnątrz się pali! — zawołała Hanna.

Istotnie, na piętrze żarnowym błysnęły również płomienie.

— Lepiej wejść po drabinie — rozstrzygnął Smok.

Teraz młynarz podniósł się. Tylko przez krótką chwilę był nieprzytomny albo raczej na wpół oguszony.

— Schody się palą — zawołał — nie mogę się tędy wydostać!

To, co powiedział, nie zgadzało się z prawdą. Płonęła tylko podłoga, i to z jednej strony. Ponieważ wszystkie szyby wyleciały, silny ciąg powietrza pędził gęsty dym ku drzwiom. Odważny człowiek przedostałby się szczęśliwie na schody albo przynajmniej podjąłby tę próbę bez narażenia się na niebezpieczeństwo. Ale on nie wszedłby na piętro żarnowe — za żadną cenę.

Stojący na dole zapytywali chaotycznie, czy nie poniósł szwanku. Uspokoił ich: prąd powietrza opalił go tylko. Trzymał się poręczy, ponieważ ledwie stał na nogach, doznawał wrażenia, że wszystkie jego członki są połamane, ale nie został porażony piorunem.

Aby zaś uspokoić ich ostatecznie, zawołał, że skoro tylko podadzą drabinę, zejdzie bez pomocy na dół.

Na górnych piętrach młyna rozlegał się coraz głośniejszy trzask, a pożar zakrwawił luną nocne mroki.

Młynarz spojrział ku górze i zawołał:

— Spieszcie się, kaptur niedługo runie!

Wszyscy wołali niecierpliwie, by podawano drabinę. Leśniczy pobiegł.

Jakub uświadomił sobie, że wprawdzie w obszyciu młyna powiązano słomę żelaznym drutem, jednak przy pokrywaniu kaptura zaniechano tego środka zabezpieczającego. Mimo to nie doznawał obawy — nie dlatego piorun oszczędził go, by jednocześnie skazać na pogrzebanie w spadającej lawinie płonącej słomy.

A oto nadbiegali leśniczy i Zajęcza Ana, dźwigając drabinę. Smok, który stał możliwie najdalej, ryczał z całej piersi poprzez tubę złożonych dłoni:

— Bądź mężny, Jakubie! Oto i drabina! Nie trać nadziei!

Pociecha ta nie była zbyt potrzebna.

Przystawiono drabinę. Ale młynarz nie ruszył się z miejsca, nie schodził. Utkwił spojrzenie w dziwnym przedmiocie, leżącym w odległości mniej więcej paru kroków przy samych drzwiach — pochylił się, aby dokładniej zobaczyć, co to jest. Była to kudłata bryła, tak opalona i zwęglona, że nie dałoby się może rozpoznać tej istoty, gdyby nie to, że w blasku sterczał nieuszkodzony koci łeb, wlepiając martwe żółte ślepie w młynarza i zaświadczać, że są to czcigodne szczątki nieboszczyka Pilatusa.

— Drabina przystawiona, Jakubie! — wołano z dołu.

On jednak nie mógł oderwać spojrzenia od tych szczątków. Żółtawe, ożywione blaskiem płomieni ślepie zerkąło ku niemu, tak jak dopiero co zerkąło ku niej; te prawie

doszczętnie spalone kudły przypominały długi włos, falujący jeszcze niedawno przy ocieraniu się o fałdy jej sukni. Piorun ugodził więc wprost w Pilatusa — tak blisko obok niego samego!

I Jakub wysnuł mimo woli następujący wniosek: wprawdzie ujrzał zjawę bardzo dokładnie i rozróżnił nawet drobne szczegóły, jak na przykład mączną plamę kształtu dłoni na jej łonie, to jednak okazało się, że okres od chwili, kiedy przystanął, aż do chwili, kiedy Liza spojrzała na niego i kiedy w następstwie tego cofnął się w tył — trwał znikomo krótko. Gdyby więc Jörgen i Liza nie stali tam i gdyby bez zawahania się wszedł na piętro żarnowe, w takim razie los, którego ofiarą padł Pilatus, byłby ugodził w niego samego.

To stwierdzenie, że zjawa ocalała go od nagłej śmierci, tak zaabsorbowało jego myśli, że nie słyszał nawoływań, nie słyszał nawet nieludzkiego ryku Smoka, który bezwarunkowo uznał, że szwagier niezbyt się przejął jego wezwaniem: „Bądź mężny!”.

Ale zamiast nawoływań rozległ się już rozpaczliwy krzyk. Z lewej strony młyna buchnęła błyskawica płomieni, a paląca się słoma zerwała się z kaptura i spadła na galeryjkę — była to pierwsza zapowiedź.

Teraz młynarz ocucił się z zamyślenia. Z większą łatwością, aniżeli przypuszczał, przerzucił nogi przez poręcz i zeszedł na dół po drabinie. Z okrzykiem: „Bogu dzięki!” rzuciła się Hanna na jego piersi, a serdeczny dźwięk jej głosu wypowiedział mu wyraźniej aniżeli słowa, co wycierpiała, drżąc z obawy o jego życie. Ale nie przycisnął jej mocniej do siebie, nie wyrzekł ani słowa; głębokie, bolesne westchnienie wydobyło się z jego piersi, gdy go bezwolnego prowadzono do domu.

Na podwórzu zebrało się już kilkoro obcych. Anders przyjechał właśnie wozem.

Gdy młynarz, na wpół przytomny, podtrzymywany przez Hannę i leśniczego, doszedł do drzwi, zabrzmiał jednogłośny okrzyk. Wszyscy troje odwrócili się.

Niemal cały kaptur osunął się równocześnie na dół. Wielkie snopy płonącej słomy, uniesione wicherą na pola, spalały tam młode zasiewy — niby ognista miotła. Główny ciężar, który osunął się prostopadle, runął na galerię i przygnieciony do ściany piętra żarnowego wydał się ku górze zionącymi żarem, płomiennymi językami, które poczęły lizać wystające brzegi słomianej osłony młyna. Jak iskra, pelzająca wzdłuż lontu, przebiegały po omszałej powierzchni tysiącem płomyczków — ciemna ściana zaskrzyła się złotem podobna bagnisku, na którym tańczy las błędnych ogników. Wydawało się, jak gdyby ta płomienna lawina, strącona nagle ze swego wysokiego poziomu, usiłowała skutkiem żywiołowego pędu odzyskać utraconą placówkę i na razie wysyłała gromadę lekkich harcowników, by wy badać, czy uda się wejść z powrotem w górę po stromej ścianie. I okazało się to możliwe. Najodważniejsze przednie straże zatknęły już swoje płomienne chorągiewki na dawnej pozycji, za nimi ruszyły w bój główne siły; trzeszcząc i pryskając skrami, toczyło się wojsko płomieni ku górze, idąc naprzód niezwalczonymi kolumnami bojowymi, aż wreszcie ogarnęło cały młyn.

Potem także galeryjka ze skośnie stojącą szeroką balustradą stała się zdobyczą pożaru i niebawem wyglądała niby ogromny, płaski koszyk, upleciony z płomieni i kryjący w swym wnętrzu olbrzymi ognisty owoc.

Wielki pożar wypełnił blaskiem całą okolicę. Ponad nim wisiła krwawa chmura dymów, a również chmury pokrywające niebo żarzyły się łuną. Błyskawice migotały niepozornie jak wśród jasnego dnia; łoskot piorunów ginął niemal całkowicie w syczącym, trzaskającym, rozszalałym łoskocie pożogi. Zresztą burza rozprasała się. Grad przestał padać.

W części podwórza najbliższej mieszkalnego domu tłoczyła się cizba ludzi. Zebrali się nie wiadomo skąd — jak gdyby wyrosli spod ziemi. Widać było ognistoczerwone twarze, zwracające się ku górze, palce wskazujące drogi płomienia, karki okolone złocistą glorią włosów, czerniejące plecy i jeszcze czarniejsze nogi; widać było wydłużone, chwiewające się, powykrzywane sylwetki i cienie, zlewające się z sobą na błyszczącej, wysypanej białymi ziarnkami gradu powierzchni ziemi, to znowu rozplatające się, wtulone w siebie lub rozłączone.

Najgęstszy tłum otaczał studnię, której korba nieustannie skrzypiała i chrobotowała. Stąd rozciągał się podwójny łańcuch ludzi aż do narożnika domu naprzeciwko młyna. Wiadra biegły z ręki do ręki, póki nie dostały się do rąk człowieka, który stał na dachu na drabinie i wylewał je na strzechę, tak że woda spływała z dachu jak złocisty deszcz.

Dziedziczka była praktycznym duchem, który zorganizował w ten sposób akcję ratowniczą. Zrozumiała ona, że tu właśnie jest punkt najbardziej zagrożony. Wprawdzie płonąca słoma nie dolatywała tutaj jeszcze, ale wobec burzy nie było wykluczone, że kierunek wiatru się odmieni. Zresztą i odległość była tak nieznaczna, że sam żar już wystarczył, by zapalić strzechę. Dzielną kobietą przedsięwzięła i inne, jeszcze bardziej niezwykle zarządzenia... Przypomniała sobie, że stare płótna, zdjęte dopiero w ciągu tej wiosny ze śmig, są gdzieś złożone, a Zajęcza Ana powiedziała jej, że leżą w piwnicy. (Ta Zajęcza Ana była prawdziwym błogosławieństwem dla młyna — pani Andersen stwierdzała to zawsze!) Hanna, oderwana nielitościwie od boku młynarza, musiała wyruszyć na poszukiwanie. Przy pomocy kilku dziewczek i parobków ze Smoczego Dworu przeniesiono płótna z piwnicy przez ogród do stawu — aby nie przerywać ani na chwilę pracy studni.

W takich to warunkach ujrzała Hanna znowu miłą, zaciszny kącik, gdzie przed godziną niespełna siedziała wraz z Jakubem. Zniknął bez śladu tajemniczy urok, zniknęła pogoda i spokój. Krzaki bzu nurzały się w czerwonym żarze, a woda zafalowała i plusnęła niby jakaś piekielna kałuża, kiedy wrzucono w nią stare, brudne i stężale płótno. Obie bieluskie kaczki (czerwone teraz tak jak wszystko, co nie kryło się w cieniu) poderwały się strwożone i zapadły w krzaki.

Widok mokrych płócien wywołał na podwórzu tak głośną radość, że przygłuszyła ona na chwilę nawet hałas pożogi. Płachty, złożone podwójnie, pokryły najbardziej zagrożoną część dachu. Bitwę na tym miejscu uważano za wygraną. A szanse były bardzo niepewne, ponieważ skraj strzechy poczynął już dymić.

Troskliwa zapobiegliwość dziedziczki rozszerzyła się i na inne tereny. Kiedy jeszcze młynarz stał na galerijce, dziedziczka wysłała już pierwszych parobków, którzy nadbiegli ze Smoczego Dworu, do izby czeladnej, by wynieść stamtąd łóżka, szafy i przyodziewek. Jednocześnie Chrystian i Anders, skoro tylko powrócili, otrzymali polecenie, by wyrzucić z magazynu na dole młyna worki z mąką, ile się tylko da. Znalazły się wnet pomocne ręce do tej pracy, włączono wory na przeciwległą stronę podwórza, gdzie złożono również rzeczy ocalone z czeladnej izby i spiętrzone jakby w dniu licytacji.

Zachęceni tą akcją ratunkową inni nieproszeni opiekunowie pobiegli z własnej inicjatywy do pokoi mieszkalnych i poczęli wynosić sprzęty do ogrodu, narażając je na zupełne zniszczenie, gdyby spadł nawalny deszcz, czego oczekiwano lada chwila i co ze względu na pożar byłoby bardzo pożądane. Drobniejsze przedmioty wydobywano krótszą drogą przez okna, przy czym przeważnie łamały się. Słowem, wszyscy starali się być użyteczni i wykonać, co było w ich mocy.

Nikt jednak nie pracował tak jak Smok.

Co prawda, czcigodny dziedzic nie narażał się na zbyt fizyczny wysiłek — ale przecież ręk do pracy nie brakowało! Za to można go było zobaczyć wszędzie, a tam gdzie niknął wśród tłumu, rozlegał się jeszcze jego głos... To nieznużone nawoływanie było niemalą podniętą dla wszystkich innych, niezających sobie sprawy z sytuacji. Wpajało w nich uspokajającą pewność, że jest ktoś, kto wszystkim kieruje, kto ogarnia wszystko swym spojrzeniem i w czym ręką wiążą się wszystkie nici. Prócz tego z okrzyków dowiadywali się, co się dzieje gdzie indziej.

— Hej! Hej! — krzyczał Smok. — Prędko wiadro na górę!... Nieście tu szafę, tu najlepsze dla niej miejsce!... Halo! Musimy przesunąć worki na suchą ziemię, to szczerze złoto!... Doskonale, mateczko! W sam czas przynosicie te płachty!... Wszystkie sprzęty walić do ogrodu, tam będą zabezpieczone.

Kiedy zaś nadjechały wozy z ratownikami z sąsiednich osad, otwarł się przed nim nowy krąg akcji. Głos jego brzmiał teraz także z gościńca.

— Słuchajcie, dzieci, trzeba konie odsunąć od ognia! Oho! Oho!... Stój no spokojnie, stare konisko!... Tak, jedźcie do stawu w Smoczym Dworze... tam jest wody aż do zbytku!

Kiedy wreszcie zajechała na podwórze sikawka i skierowano ją do walki z ogniem grożącym piekarni, wtedy Smok znalazł się naprawdę w swoim żywiole — wśród syku wodnego strumienia, wśród trzaskania ognia rozlegał się ciągle jego dobroduszny, tubalny głos:

— Ostro, chłopcy! Niech stara maszyna nie próżnuje! Witaj nam, Hoyerze! — Przerwał teraz na chwilę swoją komendę, aby przywitać sąsiada, który siedział obok niego podczas stypy, starego chłopca o czworokątnej twarzy. Przyjechał on właśnie, przywożąc

parę beczek wody i swoje szerokie oblicze, podobne do dzbana z wodą. — Świetnie, Hoyerze! Zastęp dzielnych ludzi powiększa się o jeszcze jednego dzielnego męża!

Dzban szczęknął cichutko na powitanie:

— No, panie Andersen! Jakże się odbyły ostatnie zawody strażackie? Jakaż była stawka nagrody?

— Moje ostatnie zawody strażackie?... Nie najgorzej, ha, ha! Ale zdaje mi się, że szkoda mówić o tym, w porównaniu z dzisiejszym dniem!... Ostro, chłopcy! Plunąć w garść i pompować co siłą, niech trzeszczy!... Dalej, chłopcy, ostro!... Co, Hoyerze? Ładna gra strażacka... stawką jest cały młyn, dam ci to na piśmie!

— Nie trzeba, panie Andersen, wierzę panu i bez tego... Młyn bardzo zagrożony — zgrzytnął dzban stojący teraz tuż poza plecami Smoka. Nagle zaś upodobnił się do wielkiej glinianki na oszczędności, wyrażając jednocześnie głośno przypuszczenie, że młyn jest wysoko ubezpieczony.

— O tak! Bardzo wysoko ubezpieczony! Wiesz pan... jeżeli o to chodzi, stare pudło niech się spali do gołej ziemi... tak, i daję temu moje błogosławieństwo! Bo powiadam wam, Hoyerze, ten młyn był niesamowity. Tak, Hoyerze, święcie w to wierzę... ha, ha! Hoyerze... wierze... co?... rym jak w kantyczkach.

Ten nieoczekiwany rym wywołał gwałtowny wybuch śmiechu zachwyconego Smoka i przeciągłe trzeszczenie dzbana.

— Ale żart na stronę, Hoyerze, jakaś zmara, otóż to właśnie, kryła się w tym starym pudle, niech go wszyscy... hej! Halo! Nuże! — przerwał Smok, nagle przykładając dłoń do ust i rycząc tak głośno, że można by go usłyszeć aż w Smoczym Dworze. — Nuże, dzieci! Dawać tu płachty!

I znowu poświęcił się służbie publicznej.

VIII

Wobec tego iż Smok tak świetnie dowodził całą akcją, nie zwracało niczyjej uwagi, że sam młynarz nic nie widział ani nie słyszał. Wiedzieli też prawie wszyscy, że piorun uderzył tuż obok niego i cudem go nie zabił.

Hanna pozostawiła go przy drzwiach do sieni, kiedy dziedziczka zabrała ją z sobą na wyprawę po żaglowe płachty. Była przekonana, że posłuszny jej radzie udał się do domu, aby wypocząć nieco, czego najwidoczniej bardzo potrzebował. Kiedy jednak mały oddziałek, dźwigając zmoczone płachty, wkroczył na dziedziniec przez furtkę ogrodową między stajnią i domem mieszkalnym, Hanna ujrzała, ku niesłychanemu zdumieniu, młynarza stojącego w tym samym kącie, opartego o ścianę domu i wpatrującego się z uporem w płonący młyn. Zaledwie na chwilę odwrócił głowę, gdy niespodzianie pojawili się na dróżce ludzie.

— Jesteś tutaj? Idź lepiej do domu i wypocznij! — rzekła Hanna.

— Doprawdy, powinienes to uczynić, Jakubie! — doradzała dziedziczka. — Z ogniem damy sobie sami radę.

Młynarz nie odpowiedział nic, potrząsnął tylko głową i znowu wpatrzył się w płomienie.

— Nie może oderwać się od młyna — dowodziła dziedziczka, idąc dalej z innymi. — Zrósł się z nim już od dzieciństwa... to całkiem zrozumiałe.

Dzielna kobieta obawiała się jednak w skrytości ducha, czy piorun, który oszczędził jego życie, nie wyrządził szkody jego rozumowi. Słyszała już dawniej o podobnych wypadkach, a twarz zięcia, jaskrawo oświetlona luną pożaru, miała tak obcy wyraz, że nie mogła spisać tego jedynie na rachunek przywiązania do ojcowskiego młyna na wzgórzu.

— Jakub był zawsze nieco melancholijny — mówiła dalej — wszystko odczuwał bardzo głęboko.

Hanna odpowiedziała, że całkiem dobrze to pojmuje. Ale wyraz twarzy młynarza zwrócił i jej uwagę! Był on dziwnie uroczy, jakby nie z tego świata. Obejrzała się szybko w tył przez ramię.

Jakub stał jeszcze ciągle w narożniku. Czerwony blask ognia oświetlał jego skierowane w górę oblicze.

Pożar przygasał. Z przodu, od wietrznej strony, osłona ściany przepaliła się prawie doszczętnie. Ale ponieważ była związana drutem, nie obsunęła się tak jak strzecha kaptura. Jednak drobne garstki na wpeł spalonej słomy spadały raz po raz w szeroki, płomienny kosz galerii. Gdy wiatr rozpędzał w górze dym i płomień, ukazywał się kaptur doszczętnie odarty z przykrycia. Młynarz dostrzegał tam ogromną oś koła obracającego kaptur, dostrzegał grube, ciężkie ściskadło, szkielet dachowego wiązania, a poprzez otwór w górnej części płaszcza widział też schody wiodące na niższe piętro.

Od widoku tego nie mógł się oderwać. Nie oglądał młyna od owego wieczora, a teraz wszystko widniało czarne jak noc na czerwonym tle dymów lub na błyszczącym, złowieszczym tle iskier. Tam było miejsce, gdzie siedziały ofiary; gdyby siedziały tam jeszcze teraz dojrzałby ich głowy i ramiona. Kiedy niekiedy wydawało mu się, że je widzi; skoro ukazały się na piętrze żarnowym, mogły przecież i tam się pojawić. Narzędzie mordu — grube, nieforemne ściskadło — sterczało ponuro i groźnie...

Potem wzrok jego skierował się na inny punkt. Zaledwie dostrzegalne przesunięcie kąta patrzenia, a jakże daleką odbył podróż: zamiast groźnego dramatu — idylla, zamiast zbrodni — niewinność.

Tam, na lewo od koła poruszającego kaptur stał kiedyś jako chłopiec z malutką Chrystyną i przyglądał się wraz z nią obrotowi kaptura. Mała Chrystyna przestraszyła się i zawołała: „Gdybyśmy stali po przeciwnej stronie, ściskadło przygniotłoby nas do ściany!”.

I znowu inna zjawia. Pewnej nocy żona leżąca w malignie zerwała się nagle i zaczęła krzyczeć: „Zatrzymaj obrót! Ściskadło zmiążdży ich!”. Wówczas dopatrywał się w tym krzyku echa dziecięcych wspomnień powracających w malignie; teraz pojął nagle, że było to, przeciwnie, spojrzenie w przyszłość. Dziwne, że nigdy wcześniej nie pomyślał o tym! Nie ulegało to jednak wątpliwości. Dzięki owym tajemniczym zdolnościom, jakie rozwinęła w niej choroba, Chrystyna *przewidziała morderstwo*.

Wśród wszystkich strasznych chwil, jakie przeżył, ta była może najstraszniejsza. Doznawał wrażenia, że uchyliła się zasłona tajemniczej świątyni i ukazał się cień zagadek, jakie Bóg ukrył przed wzrokiem ludzi.

Chrystyna przewidziała morderstwo! Ale w takim razie to morderstwo istniało właściwie już wówczas, było wprawdzie dalekie, lecz rzeczywiste, czekało na swą kolej. I czyż nie było istotną prawdą, że on sam, kiedy siedział wówczas przy chorej, był już skuty łańcuchem grzechu i od dawna już szedł po tej drodze, która krok za krokiem wiodła aż do zbrodni? Albowiem gdyby nawet nie doszedł aż do tej ostateczności — gdyby na przykład Liza umarła wcześniej — czy zmieniłoby się cokolwiek? Wprawdzie w takim razie nie potrzebowałby się ukrywać, sumienie nie wyrzucałoby mu strasznego przestępstwa, byłby szczęśliwym człowiekiem, ożeniłby się z Hanną i wszystko układałoby się pomyślnie. Ale on sam? Czy on sam byłby choć odrobinę lepszy? Czy nie byłby w głębi duszy takim samym zbrodniarzem, dwukrotnym mordercą? W oczach ludzi uchodziłby za innego, ale nie przed sądem Boga.

Złożył pobożnie ręce i błagał Boga, aby wyzwolił go z jego własnej grzesznej natury, modlił się, aby umarł w nim szatan i wszelkie zło i aby odrodził się jako nowy człowiek, odkupiony łaską Zbawiciela. Nie patrzył już na płonący młyn, wznosił wzrok wyżej w górę, gdzie rozproszyły się czerwone huny chmury i zabłysła jasna gwiazda na niebie.

Stał tak tylko przez parę sekund — ale dla niego czas zatrzymał się, a wszystko, co go otaczało, znikło. Uczuwał niesłychaną jasność umysłu i bezgraniczny pokój ducha. Jakże chętnie umarłby w tej chwili — wiedział jednak, że nie śmierć jest mu przeznaczona. Życie stawiało mu jeszcze swoje wymagania: sprawca musiał zebrać gorzkie, z ziemi zrodzone owoce swego czynu.

Niejasne wrażenie, że ktoś go obserwuje, przywróciło go do rzeczywistości. Mimo woli obejrzał się w bok. Oczy jego spotkały się z kochającym spojrzeniem Hanny; skinął jej głową i uśmiechnął się — chociaż uśmiech ten był blady i smutny.

Hanna przystanęła w odległości paru kroków, zauważyła bowiem, że się modli. Chętnie modliłaby się z nim razem. Jednocześnie prąd niebieskiej i ziemskiej miłości opanował jej myśli, gdy ujrzała, że oblicze ukochanego mężczyzny promieniuje tak głębokim i oderwanym od wszystkich światowych rzeczy nabożeństwem. Pragnęła, aby jej brat był tu obecny w tej chwili. Twierdził on bowiem niejednokrotnie, że Jakub skłania się nieco ku

światowemu pogładowi i nie odnalazł jeszcze drogi do Boga, i że ona właśnie jest powołana, by obudzić jego ducha. A teraz okazało się, że Jakub był silniejszy duchem aniżeli ona. Znalazł swoją drogę, chociaż nie rozczytywał się w umoralniających broszurach ani nie odwiedzał zebrań misyjnych.

Zbliżyła się wzruszona do głębi i uchwyciła jego rękę.

— Podziękujmy Bogu, że cię ocalił.

— Tak jest, Hanno! Bóg mnie ocalił!

Słowa młynarza były właściwie tylko potwierdzeniem tego, co powiedziała, a czemu — jak dobrodusznie mniemała — nikt by chyba nie zaprzeczał. Młynarz wypowiedział jednak te słowa z tak szczególnym naciskiem, głos jego brzmiał tak uroczyście, że Hanna spojrziała na niego, zapytując wzrokiem, jak należy to rozumieć.

Młynarz bądź nie zauważył tego niemego zapytania, bądź nie chciał na nie odpowiedzieć.

— Najdroższa Hanno — odezwał się — czy nie zechciałabyś przyprowadzić swego brata? Pragnąłbym pomówić z wami.

Hanna wolałaby wprawdzie pozostać przy nim. Zdziwiło ją nieco to żądanie, ale posłusznie odeszła, aby je wypełnić.

Nie było łatwo odnaleźć brata, albowiem zamieszanie zwiększyło się jeszcze bardziej, a w oślepiającym blasku pożaru trudno było rozpoznać kogokolwiek już na odległość kilku kroków. Właśnie z wielkim hałasem wjechała na podwórze sikawka i ustawiła się między studnią a stajnią, skąd usuwano szybko na bok zrzucone tu sprzęty z izby czeladnej i wory, aby zrobić jej miejsce. Od studni wzdłuż łańcucha rąk wędrowały jeszcze ciągle wiadra ku narożnikowi domu, gdzie zlewano na nowo płachty ochraniające dach.

Hanna postąpiła zaledwie parę kroków naprzód, gdy runęła przednia część galeryjki. Stos płonących głowni, okryty gęstymi dymami legł przed bramą. Nie groziło to wprawdzie niebezpieczeństwem, ale wywołało liczne okrzyki przerażenia i gwałtowną bieganinę. W nierozważnym przypuszczeniu, że wewnątrz młyna pozostali jeszcze ludzie, domagali się niektórzy z obecnych, by przede wszystkim im spieszyć na ratunek. Kobiety opłakiwały już nieszczęśliwych. Kilkoro ludzi nadbiegło z widłami i grabiami, aby rozrywać płonące łąty, belki i strzechę.

Hanna stała pośrodku tego zgiełku i upatrywała brata. Nagle poczuła, że ktoś ciągnie ją za spódnicę. Był to Janek. Chłopiec był oszołomiony i skłonny do płaczu, ale teraz uradował się, ponieważ znalazł ciotkę, którą zaczynał już nazywać matką.

— Mamo! Mamo! Gdzie ojciec?

Wzruszona tym słodko brzmiącym mianem, Hanna pochyliła się i ucałowała go tkliwie.

— Ojciec odpoczywa, Janeczku! Napracował się bardzo, potrzebuje teraz wypoczynku. Czy nie widziałeś wuja Wilhelma?

Chłopiec wstrząsnął przecząco głową.

Hanna rozejrzała się niezdecydowana. Co uczynić z chłopcem? Nie mogła go zabrać z sobą, idąc na poszukiwanie brata w tym tłoku. Nie mogła też pozwolić, by błąkał się samopas, a nie widziała nikogo, komu można by go oddać pod opiekę. Wreszcie zadowolona się tym, że zaprowadziła go pod ścianę stajni, gdzie nie groziło wcale niebezpieczeństwo. Chłopiec nie był tu zresztą samotny, bo i Karo schronił się również w to spokojne miejsce. Skomląc z uciechy, łasił się do chłopca, najwidoczniej uszczęśliwiony, że wśród tych niezwykłych i bynajmniej nie zachwycających go wypadków odnalazł dobrego, starego towarzysza. Janek musiał przyrzec, że będzie tu stał bardzo grzecznie, nie narażając jej na niepokój. Zresztą to, na co patrzył, zajmowało dostatecznie jego uwagę, nie mógłby znaleźć lepszego punktu obserwacyjnego. W odległości zaledwie dwudziestu kroków — jego własnych, małych kroczków — na prawo od studni pracowała sikawka regularnym uderzeniem tłoków. Z węzowatego przewodu wystrzelał strumień wody, sam błyszczący jak ogień, i trafiał sycząc chrapliwie w płomień, wydobywające się z gontowego dachu nad piekarnią, tam gdzie mała przybudówka zrastała się z kamiennym cokołem młyna. Zaufanie budził dobrze znajomy głos wuja, który wykrzykiwał:

— Dalejże, dzieci! Pompować ostro!... Już my mu damy radę!

Korba studni skrzypiała bez ustanku, wiadra ginęły w czeluści i znów pojawiały się nad otworem studni. Janek widział wyraźnie, jak wędrują następnie z ręki do ręki aż w górę

na dach ponad izbę mieszkalną. Tam zawartość ich wylewała się na mokre płachty, które dzięki temu lśniły jak złocista blacha.

Tuż na wprost niego, górując ponad wszystkim, palił się młyn, a Janek wpatrywał się rozszerzonymi zdumieniem oczyma dziecka w tego błyszczącego potwora z dymów i płomieni, w jakiego przemienił się nagle stary młyn, tak skromny dotąd w swym ciemnobrunatnym, tu i ówdzie zielonkawo omszałym, słomianym poszyciu. Był to wspaniały widok i właściwie niesłychanie ciekawy, ale mimo to lży dławiły chłopca w gardle. Nie uświadamiał sobie należycie, czy była istotnie przyczyna do płaczu.

Było to dziwne i wprost niepojęte, że stary młyn się palił, ten młyn, znajomy mu od dzieciństwa, gdzie niezliczone razy biegał z dołu na górę, gdzie bawili się także jego rodzice, kiedy byli jeszcze dziećmi, o czym mu opowiadano, młyn, gdzie sam miał się jąc pracy, najpierw jako uczeń, potem jako czeladnik, wreszcie jako majster — trudno było wyobrazić sobie, że ten młyn się pali, i nie wypłakać jednocześnie oczu. Ale właściwie nie był to już ten poczciwy, stary młyn; przecież zmiażdżył biedną Lizę i Jörgena. Teraz też nie pozwalano już chłopcu wchodzić na górę. Wobec tego może to i dobrze, że się spali i że na jego miejscu stanie nowy młyn, gdzie krew już nie będzie kapać, jak to opowiadał Chrystian.

Teraz także skrzydła chwyciły ogień. Ponieważ zwracały się one częściowo w stronę wiatru, więc prąd powietrza długo utrudniał płomieniom wgryzienie się w śmigły, ale teraz ogień ogarnął je. Dymiły się, maleńkie płomyczki przebiegały wzdłuż czarnego szkieletu i zwiniętych płaszczyzn. Jedna z tych płaszczyzn żaglowych, której sznury przepaliły się w górze, rozwinęła się teraz, a śmigły zaczęły się z wolna obracać, ponieważ pierścień przytrzymujący je pękł już wcześniej. Potem zatrzepotały równocześnie wszystkie cztery żagle niby sztandary odwinęte z masztów. Poruszały się coraz szybciej, jarzyły się coraz jaśniej — wreszcie, spowite od dołu do góry płomieniem, śmigły kręciły się z coraz większym szaleństwem, aż wszystko przemieniło się w jedno jedyne szumiące ogniste koło, które rozpryskiwało iskry na wszystkie strony.

A wewnątrz młyna, którego przednia ściana wydawała się zasloną z dymów, rozpiętą na pajęczynie zwęglonych belek, wewnątrz młyna, na tle płonącej jeszcze tylnej ściany, widać było ogromne horyzontalne koło, kręcące się również z dziką szybkością i wciągające w orbitę swego ruchu sześć małych kół, rozmieszczonych obok jak planety dokoła słońca. Wśród trzasku i syku pożogi rozlegał się głośno świst śmigł i zgiełkliwy hałas wewnętrzznego mechanizmu.

Młyn na wzgórzu mełł — mełł po raz ostatni.

Wielkie, na wpół przerażone, na wpół zdumione oczy dziecka nie były jedynym zwierciadłem, w którym odbijał się ten niezwykle obraz. Sikawka przestała pracować, zapominając o piekarni; ludzie trzymali ręce na pompach, zapatrzeni nieruchomo w to, co się działo. Zatrzymały się wiadra w studni, a wysoko na szczycie dachu siedział Chrystian z na pół wylanym wiadrem.

Wśród całego tłumu zaszumiał stłumiony szmer zdumienia i grozy.

IX

Tworząc osobną małą grupę, z dala od całego tłumu, w zakątku między ścianą stajni a domem mieszkalnym, trzy twarze zwracały się w niemym zapatrzeniu ku ognistemu młynowi, który oblewał je swoim zionącym żar blaskiem i oświeślał malujące się na nich podniecenie, nieporównanie silniejsze aniżeli na wszystkich innych twarzach, zwróconych ku pożarowi.

Młynarz opowiedział leśniczemu i Hannie o wszystkim, co zaszło, odkąd opuścił warzystwo i powrócił do młyna. Rodzeństwo słuchało jego słów z zapartym oddechem. Kiedy mówił o widmowej twarzy, oczy Hanny rozszerzyły się przerażeniem. „Tak oto patrzyłem zapewne ja sam, kiedy ich ujrzałem” — pomyślał Jakub. Ale najsilniejsze piętno grozy wyciskało na ich obliczach nie to, co usłyszeli, ale raczej to, co się jeszcze kryło poza opowiadaniem — jakaś ciemna tajemnica, której wyobraźnia nie mogła odgadnąć, chociaż przeczuwali jej istnienie z niezawodną pewnością. Opowiadanie skończyło się, doszło do momentu, odkąd sami byli naocznymi świadkami wypadków; a jednak odczu-

wali, że młynarz nie wypowiedział jeszcze tego, co najważniejsze i co było mu najciężej wypowiedzieć.

Cóż to być mogło?

Wpatrywali się uporczywie w ognisty młyn, mielący nicość, ponieważ obawiali się, że gdyby spojrzeli na Jakuba, to oczy ich stawiałyby natarczywe pytanie, którego nie mieli prawa zadać.

— To dziwne — odezwał się Jakub — że właśnie dzisiaj mówisz, Wilhelmie, o sygnałach ostrzegawczych, które człowiek otrzymuje, aby gotował się na śmierć.

— Czy sądzisz, że to jest takim sygnałem?

— Jakubie, drogi Jakubie! — zawołała Hanna i przycisnęła do piersi jego rękę.

Wydawało się jej teraz, że rozumie ten szczególnie uduchowiony wyraz twarzy Jakuba. I o tym właśnie należało pomówić. Nie szczędziła wszelkiego wysiłku, by wybić mu z głowy tę ideę oraz uczucie grozy, jakiego dopatrywała się w nim, ponieważ i ona sama także odczuwała grozę: wszak niejednokrotnie ukazywały się ludziom takie zjawy, a przecież ci ludzie bynajmniej nie umierali. Zresztą, jak się zdaje, i Chrystian widział tę zjawę.

Brat poparł jej argumenty: nie należy się tym nazbyt przejmować — aczkolwiek, oczywiście, na należy również lekceważyć pozaziemskich znaków. Trzeba śmiało patrzeć w oczy śmierci zawsze i wszędzie.

Ku wielkiej radości rodzeństwa twarz młynarza rozpogodziła się — ale bynajmniej nie dlatego, jak przypuszczali, że odjęli zjawie wróżące śmierć znaczenie. Przeciwnie, właśnie świadomość, że jego wizja może oznaczać śmierć, pocieszyła go i uradowała. Czyż pożądał czegoś goręcej aniżeli śmierci?

— Nie, nie o tym właściwie myślałem — odpowiedział. — Przypomniałem sobie, Hanno, że kiedyś... tam u was w lesie... gdy rozmawiałem z tobą o leśnych zwierzętach i twierdziłem, że szybka, niespodziewana śmierć od kuli musi być dla każdej istoty czymś upragnionym... ty odpowiedziałaś bardzo słusznie, że jest to zapewne szczęściem dla zwierzęcia, ale nie dla człowieka, który ma stanąć przed wiecznym sędzią i powinien przygotować odpowiednio swoją duszę... I skoro nawet ty tak głęboko to odczuwasz swoim pocziwym serduszkciem... to tym bardziej ja rozumiem to w tej chwili!

— Czemu bardziej aniżeli ja, Jakubie? Czyż i moja dusza nie jest grzeszna? — dowodziła Hanna z zapalem, tonem pełnym wyrzutu, ale jednocześnie oczekując z niepokojem odpowiedzi. Wyczuwała bowiem, że poza jego słowami kryje się jeszcze coś innego. Młynarz nie odpowiedział, lecz snuł dalej głośno własne myśli:

— Otóż to właśnie: gdyby oni oboje nie stanęli nagle w tym miejscu, wszystko wydarzyłoby się inaczej. Piorun strzeliłby prosto we mnie jak kula w zwierzę.

Zamilkł. Leśniczy przytaknął poważnie głową i spojrzał porozumiewawczo na Hannę. Pomyślał o Lutrze, którego przyjaciel zginął przy jego boku, rażony piorunem. I jeszcze raz przytaknął, uśmiechając się z zadowoleniem: „Rozbudził się! Teraz Jakub stanie się już jednym z naszych!” — pomyślał.

Podczas gdy młynarz rozmawiał, część galerii, wiszącej nad piekarnią, runęła na jej dach; kilka płonących desek legło na dachu, wsparłszy się o rynnę, parę belek utknęło w otworach, które ogień już przedtem wyżarł w gontowym pokryciu. I jak gdyby pożar pragnął rozpocząć atak na zagrożoną budowlę z pomocą wszelkiej broni, nagle jedno z ogarniętych ogniem skrzydeł oderwało się w pełnym biegu i z nieodpartą siłą ugodziło w dach po przeciwnej stronie. Musiano przesunąć sikawkę bardziej na prawo. Wykonano ten manewr szczęśliwie przy akompaniamencie komendy, przekleństw i okrzyków zachęty, które wydawał Smok. Wreszcie okrzyk: „Całą parą, dzieci! Teraz pokażemy, co umiemy!” — obudził wśród wszystkich zgromadzonych na podwórzu nadzieję zwycięstwa.

Leśniczy i Hanna na pozór przyglądali się tym wypadkom, ale właściwie wyczekiwali, by młynarz mówił dalej. Skoro nie obawiał się tej zjawy jako wróżby śmierci, to widocznie coś innego leżało mu kamieniem na sercu.

Ognisty młyn obracał się teraz powolniej, mając tylko trzy skrzydła, niemal całkiem obnażone, ponieważ wicher potargał kolejno ostatnie płonące strzępy żagli.

Młynarz oparł się lewą ręką na ramieniu przyjaciela.

— Może przypominasz sobie... a nawet na pewno przypominasz sobie, bo było to niespełna przed tygodniem... jak siedzieliśmy obaj razem i rozmawialiśmy o tym, że byłoby najlepiej, abym teraz poślubił Hannę? Pocieszałeś mnie i dowodziłeś, że wszystko dzieje się wedle woli i zrządzenia Boga... a więc i to, co się wydarzyło w młynie, było zgodne z wolą bożą. Mówiłeś, że gdybym był nawet uczynił to z pełną świadomością ich obecności na górze i z zamiarem zabicia ich... o co mnie zresztą podejrzewano... to i w takim razie byłoby się to stało wedle woli bożej, abym dzięki temu uświadomił sobie grzeszność swej istoty, abym się przeraził własną potwornością i nawrócił się do Boga.

Zamilkł na chwilę i zaczerpnął oddech głęboko.

— Drodzy przyjaciele, to chciałem wam powiedzieć. Tak się bowiem właśnie stało.

Hanna uchwyciła jego prawą rękę i uczuła, że ręka ta jest zimna i zroszona potem.

— Na Boga! Jakubie, jak to rozumiesz?

Brat jej jednak skinął głową uspokajającym ruchem.

— Tak, tak, Hanno! Stało się tak, jak Jakub powiada. Przecież już dawniej sami zauważyliśmy, że Jakub wszedł na drogę nawrócenia się.

— O, czuję to, że nawróciłem się. Ale niedobrze pojąłeś moje słowa. Stało się tak, jak przewidywałeś w przypuszczeniach. Albowiem... drodzy przyjaciele, nie potępicie mnie chyba, skoro Bóg jest miłosierny... ja to uczyniłem... uczyniłem świadomie... zabiłem ich... w przystępie gniewu.

Leśniczy cofnął się o krok w tył — ale bynajmniej nie pod wpływem przerażenia i wstrętu, chociaż młynarz tak to rozumiał, gdy jego ręka, spoczywająca dotąd na ramieniu przyjaciela, opadła nagle w dół bezwładnie. Nie! Leśniczy chciał tylko spojrzeć dokładnie na twarz szwagra, by się przekonać, czy nie wpadł w obłąd. Hanna nie wątpiła w tej chwili, że naprawdę oszalał. Upiorna zjawa i uderzenie pioruna pomieszały mu zmysły. Tuląc się do niego, szeptała:

— Jakubie! Nie mów tak! Oprzytomnij, najdroższy!

Ale brat jej, który w boleśnie skrzywionych rysach młynarza wyczytał jego zupełną poczytalność i który nagle wzbudził w swej wyobraźni liczne drobne wspomnienia i uszerogował je — pojął teraz, że szwagier jest winny. I po chwili milczenia rzekł, składając mimo woli ręce jak do modlitwy:

— Masz słuszność, Jakubie! Bóg jest miłosierny, a Chrystus i za twoje grzechy umarł na krzyżu.

Kiedy Hanna usłyszała te słowa brata i zobaczyła potakujące ruchy Jakuba, nie mogła dłużej przypuszczać, że jej narzeczony dostał pomieszania zmysłów. Bezlitosna prawda wyglądała ku niej z oczu młynarza, który z boleścią wpatrywał się w nią i szeptał:

— Moja droga, kochana Hanno!

Rozplotła ramiona z uścisku, obiema rękami uchwyciła się za głowę i wydała okropny krzyk, który zwróciłby na nią uwagę wszystkich, gdyby nie to, że zagłuszył go powszechny krzyk wyrywający się z ust obecnych.

Jedno z ramion śmigi runęło na dach mieszkalnego domu — niby olbrzymia pochodnia, na szczęście na wół przygaszona. Ponieważ od dawna już przewidywano ten wypadek, miejsce to było puste i nikt nie poniósł szwanku. Szybko stoczono płonąca belką przez narożnik do ogrodu przed domem, uprzątnięto również troskliwie grabiami resztki zniszczonej obsady, rozrzucone wokół na dachu. Ale słomiane poszycie już tu i ówdzie zatliło się i dymiło. Nie wystarczyło puścić znowu w ruch wiadra, trzeba było wytoczyć sikawkę do boju z tym gwałtownym niebezpieczeństwem. Dokonano tego z pomocą niesłychanych głosowych wysiłków Smoka. Ale zaniedbanie wodnego ataku na piekarnię umożliwiło pożarowi skupianie w spokoju nowych niszczących sił.

Powszechna uwaga rozdzieliła się między te dwa punkty, nikt nie zajmował się trójką osób, które stały na uboczu, obojętne zupełnie na otaczający je zgiełk, nie troszcząc się bynajmniej o to, czy dom mieszkalny lub piekarnia spała się do fundamentów — które stały samotne, uświadamiając sobie straszną tajemnicę.

Chociaż dziewczyna doznawała w tej chwili wrażenia, że wszystko dokoła niej zapada się gdzieś, nie straciła przytomności — natura jej była nazbyt silna. Oprócz tego zaś na czoło wysunęła się natychmiast jedna jedyna myśl, która stała się mocną, koncentrującą osią wszystkich rozproszonych, beładnie pomieszanych wrażeń i uczuć — myśl, że on jednak kochał *tamtą!*

I młynarz wyczytał tę myśl w jej zmartwiałych oczach, widząc ją stojącą z wyciągniętymi rękoma i dostrzegając w jej spojrzeniu wyraz, jakiego nie znał dotąd.

— Ach, Hanno, Hanno! — zawołał. — Zgrzeszyłem... sprzeniewierzyłem się tobie... och, tylko myślą... wiem o tym... przebac mi!

Spoglądała na niego tym samym tępyim spojrzeniem i szepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem:

— Jak mogłeś?

— Hanno! Jestem zły, jestem grzeszny, ale ty nie pojmiesz tego... mówiłem przecież... jakżebyś mogła pojąć? Tak jest, kochałem Lizę... taka miłość jest podobna do gorączki, która dręczy człowieka! Wiedziałem, że ona jest na wskroś zła... wiedziałem, że ty jesteś dobra... ach, rozumiałem, że ty możesz mnie ocalić... ale byłem jakby urzeczony, wpadłem w sieć grzechu. Zaczęło się to, zanim jeszcze Chrystyna umarła...

I oderwanymi, gwałtownie wyrzucanymi z gardła zdaniem opowiadał młynarz całą historię swej namiętności: jak zrazu ten popęd czaił się w ukryciu, jak obudził podejrzliwość Chrystyny i zatrul jej życie, a może nawet spowodował jej śmierć; jak on sam błąkał się między pożądaniem Lizy i miłością Hanny, między złym i dobrym aniołem, i jak Liza ciągle omotywała go na nowo. Przypomnił jej ową niedzielę w listopadzie, kiedy tak chętnie zostawił u nich w domu Janka, a sam jak dzikie zwierzę gnał przez las do młyna, ogarnięty jedynym obłądnym pragnieniem chwycenia Lizy w swe ramiona... A potem mówił o innym listopadowym dniu, kiedy przyrzekł ją poślubić i przyszedł do nich, aby się pożegnać z miejscem, gdzie doznał tyle szczęścia, z przyjaciółmi, których ponad wszystko ukochał... i kiedy się to stało wieczorem.

Hanna doznawała wrażenia, jakiego zapewne doznaje człowiek, który zauważył już dawno, że mieszka na nietrwałym gruncie i że dookoła czai się coś groźnego, a który nagle staje nad kraterem wulkanu i patrzy w ziejący żarem kocioł czarownic, gdzie warzył się ten jego niepokój.

Grzeszną namiętność znała dotychczas tylko z nazwiska, słyszała o niej w abstrakcyjnych deklamacjach kaznodziei, czytała o niej w umoralniających broszurach. Wyczuwała doskonale, że i w niej samej kryje się to zło; niekiedy odczuwała nawet niejasny błysk samouświadomienia, zacerpnętego z prawd wiary, że i na niej także ciąży ten grzech dziedziczny, że i ona sama byłaby skazana na potępienie, gdyby Chrystus nie odkupił jej swą męczeńską śmiercią. Ale myśli te błędziły dotąd w mglistej dali, dopiero teraz ucieleśniły się. Stała oko w oko z namiętnością, usłyszała głos grzechu, jakim przemawiał człowiek najdroższy dla niej na świecie. I pojęła wszystko. Niejedno, co wydawało się jej dotąd zagadkowe w jego postępowaniu, stało się nagle zrozumiałe. Pojęła, jak tęsknie wyciągał ku niej dłonie, miotany obawą i nadzieją, jak usiłował przemoc własną naturę — i jak wreszcie po błąkaniu się na bezdrożach i straszliwym upadku, stał się godny tej, którą kochał — teraz, kiedy już było za późno.

Za późno już było, aby zakwitło ziemskie szczęście. Ale nie było za późno, by jej miłość pozostała wierna, by towarzyszyła mu wszędzie i pocieszała go, gdyby potrzebował ziemskiej pociechy.

Jakub milczał. Hanna tuliła się do jego piersi, obejmując go ramieniem za szyję, leśniczy trzymał go za rękę. Młynarz płakał. Po raz pierwszy od śmierci Chrystyny ronił łzy, a łzy te niosły mu ukojenie, jakiego nie oczekiwał już nigdy. Jakże dobrze uczynił, że wypowiedział się przed nimi, że nie zamykał już w swej piersi tej tajemnicy, która dotąd gniotła go niby para wodna usiłująca rozsadzić kocioł. Po raz pierwszy stał wobec nich taki, jak był naprawdę. Przypuszczał wprawdzie, że tych dwoje nie potępi go, ale wydało mu się wprost cudem, że teraz, kiedy sam się oskarżył, kiedy nic nie przemilczał i nie ukrył, że teraz otoczyła go miłość — wyrozumiała, przebacząca miłość i przyjaźń aż do śmierci.

Tak, czułby się niemal szczęśliwy, gdyby nie to, że ta sama miłość, która dopiero co napoiła go pociechą, stawała się znowu jego oskarżycielem: unieszczęśliwił dobrą, szlachetną istotę, tulącą się teraz do niego. I z im większą cierpliwością i miłością znosiła swój straszny zawód, tym wyraźniej ujawniała właśnie przez to, ile utraciła. Albowiem cierpiała całą potęgą miłości, której wydarto szczęście życia.

Łzy potoczyły się szybciej po jego drgającej twarzy. Przytulił ją czule do siebie i zatonął w spojrzeniu jej oczu — w spojrzeniu przyćmionym boleścią męczeństwa, a jednak

błyszczącym wyzwalamą siłą. Zwłaszcza dla niego, który tak długo zasklepił się egoistycznie we własnym cierpieniu i który, zaślepiony bojaźnią, nie zwracał niemal uwagi na nic poza sobą, zwłaszcza dla niego było teraz poniekąd wyzwoleniem, że płakał nad cudzą niedolą.

— Biedny przyjacielu! Ileż ty cierpisz! — szepnęła.

— Cierpię słusznie, albowiem zasłużyłem na to! Ale ty cierpisz... z mojej winy... wyłącznie z mojej winy!

— Czy sądzisz, że wolałabym nie znać cię wcale?

— Dla ciebie byłoby to niewątpliwie najlepiej — odpowiedział Jakub, wzdychając głęboko i potrząsając smutnie głową.

— O tym, co jest dla nas najlepsze, wie tylko On jeden, którego będziemy błagać, aby nas wszystkich wprowadził do swego królestwa — oświadczył leśniczy.

X

Hałas był teraz znacznie mniejszy aniżeli w innych momentach pożaru. Zmalała też liczba ludzi na podwórzu, bo znaczna ich część pospieszyła na przeciwną stronę piekarni, by pomagać tam w akcji gaszenia ognia. Po ostatnim wybuchu płomieni, w których młyn stanął jak gorejąca żagiew i po szczęśliwym odparciu tego ataku nie groziło już niebezpieczeństwo domowi. Zniknął już olbrzymi płonący stos, którego żar mógł zapalić słomianą strzechę. W kamiennym podmurowaniu młyna płonęła jeszcze najniższa podłoga — ale wyżej sterczał tylko smutny szkielet czarnych belek, osłonięty migocącym, czerwonym płaszczem dymów. Ze słomianego pokrycia nie pozostało ani źdźbło, wszystkie piętra były odarte ze ścian.

To pogorzeliśko z jedną, sterczącą pionowo, ocalałą z pożaru szprychą śmigła, z kilkoma belkami, wyobrażającymi boczną galeryjkę, sprawiało wrażenie rysunku holenderskiego młyna przedstawionego w przekroju, rysunku, jaki się widuje w podręcznikach młynarstwa. Wzbudziło ono w Jakubie smutne wspomnienie z czasów młodości. Wówczas nabył on takie właśnie dzieło i ofiarował je ojcu jako podarunek z okazji dnia ostatnich jego urodzin. Widział wyraźnie oblicze starca pochylonego nad książką, uzbrojone okularami nasadzonymi prawie na czubek nosa — piękne, krzepkie oblicze z krótką, siwą brodą. Był on dumnym człowiekiem, który brał udział w wypadkach politycznych owego czasu i zasiadał w zgromadzeniu uchwalającym konstytucję... A teraz syna jego czekało więzienie!

Myśl ta tylko przelotnie rzuciła cień na nastrój jego ducha. Co za różnica, czy się siedzi w zgromadzeniu konstytuującym, czy w więzieniu? Jedyne ważne jest to, by ostatecznie dostać się do Ojca w niebiesiach!

Z prawej strony młyna kłębiły się ciągle jeszcze gęste dymy wydobywające się z piekarni. Ale ponieważ zgromadzono tu wszystkie siły ratunkowe, nie ulegało wątpliwości, że uda się ocalić ten budynek. Było to bardzo ważne. Gdyby bowiem piekarnia stała się pastwą ognia, płomień przerzuciłby się łatwo na stajnię i tą boczną drogą zagroziłby raz jeszcze mieszkalnemu domowi.

Z nieznużoną monotonią syczał strumień wody wytryskujący z sikawki. Natomiast trzask i szum pożogi wydawały się tylko dalekim echem niedawnego hałasu. Ucichł też szmer głosów, poszczególne nawoływania brzmiały niemal pokornie. Ludzie wyhałasowali się aż do zmęczenia, pochrypli z krzyku — nawet głos Smoka już dawno umilkł... Teraz jednak rozległ się znowu, głośno jak zawsze, brzmiał jowialnym tonem natrętniej dobroduszości. Powodując się jakimś fantastycznym zamiarem — a może całkiem bez celu — Smok wdrapał się z tyłu na sikawkę. Zarówno niezwykły ten postępek, jak i niezwykłą wesołość głosu tłumaczyła może częściowo pusta faszka od piwa, którą energicznym łukiem cisnął w kąt poza stajnię. Nie była to już pierwsza faszka. Praca, jaką Smok wykonywał, budziła pragnienie, a wodę ze studni należało oszczędzać do celów ratunkowych.

— Dobry wieczór, panie sędzio śledczy! — zawołał, kłaniając się z pewną przesadą, tak że omal nie utracił równowagi na swej wąskiej podstawie. — Dobry wieczór!... Bardzo to pięknie, że pan tu przybywa... zastęp dzielnych ludzi powiększa się o jeszcze jednego dzielnego męża... he, he! Prosimy bliżej! Zróbcie miejsce panu sędziemu, który zaszczyca

nas swą obecnością; nuże, zróbcie miejsce, chłopcy, aby pan w wyłacanej czapce przeszedł wygodnie! Spójrzyj pan, panie sędzio, praca wre, tęga praca. Towarzystwo ubezpieczeń nie ośmieli się powiedzieć, że nie uczyniliśmy wszystkiego, co było w ludzkiej mocy.

Młynarz ocknął się z zamyślenia i spojrzał w bok. W grupie ludzi na prawo od studni, gdzie po przemowie Smoka powstało żywe poruszenie, zauważył czapkę, której lśniący daszek i złote naszywki jaśniały i skrzyły się w blasku ognia. Teraz, gdy stojący na przedzie rozstąpili się nieco, dojrzał pod tą czapką dobrze znajomą twarz z jasną brodą i złotymi okularami — twarz, która przypomniła mu chwile największego udręczenia.

W tej samej chwili zbliżyła się dziedziczka, prowadząc Janka za rękę. Karo biegł za nimi, naszczekując.

— Aha, jesteście tutaj?... Urządzimy zapewne naradę familijną? No, niebezpieczeństwo już minęło, a odbudowa młyna nie potrwa długo.

— Gdzie byłeś do tej pory, Janku? — zapytał młynarz, podnosząc chłopca i tuląc go tak serdecznie, że aż zwróciło to uwagę teściowej.

— Stałem obok stajni, mama mnie tam postawiła. Ale babcia zabrała mnie z sobą, a z nią przecie mogłem przyjść?

— Oczywiście — wtrąciła Hanna i pogłaskała go po rękę, usiłując jednocześnie uśmiechnąć się do dziedziczki.

— Przyjechał sędzia śledczy — zauważył młynarz.

— No tak — odpowiedziała dziedziczka. — Bawił tu w pobliżu z powodu wykrycia kradzieży, jak powiada... co prawda Kirkeby jest oddalone o dobre pół mili. Niepotrzebnie nakładał drogi, szkoda koni. I nie wiadomo, czego tutaj szuka! Nie podejrzewa chyba, że ty sam podłożyłeś ogień?

— Czy powiedział, że ojciec podłożył ogień? — zapytał Janek i rozplakał się ze złości.

Młynarz próbował go uspokoić.

— Nie, nie... babka żartuje tylko.

— Oczywiście, to tylko żart, Janku! Mój Boże, jak to dziecko odczuwa instynktem nieprzyjaciół!... Niechby tylko spróbował powiedzieć coś takiego, jak bym mu wygarbowała skórę!

Otarła oczy chłopcu, który natychmiast zaśmiał się głośno, wyobraziwszy sobie babkę garbującą skórę sędziemu śledczemu.

— Zresztą powiedziałam mu od razu, co się stało — mówiła dalej dziedziczka, zwracając się do Jakuba. — Powiedziałam mu, że potrzebujesz wypoczynku. Jak mi się zdaje, nagadaliście się ze sobą dosyć.

— Bynajmniej. Zawiadom go, że chciałbym z nim pomówić.

— No tak... jeżeli ty chcesz z nim mówić, to co innego... W takim razie przyślę ci go tutaj.

Dziedziczka odwróciła się powoli i poszła naprzód wahającym krokiem. W głębi serca żywiła przypuszczenie, że jej zięć z całą świadomością i wolą zmiażdżył tę parę tam na górze — inaczej byłby to piekielnie sprzyjający przypadek! Toteż nie podobało się jej wcale, że Jakub chce rozmawiać z tym niegodziwym sędzią śledczym, z tym wstrętnym okularnikiem, który tak troskliwie węszył na wszystkie strony, byleby pochwycić Jakuba. Oczywiście, chciał się odznaczyć swoją przenikliwością, chciał może, by go opisywano w gazetach! No, niewiele zyskał... Ale cóż to znaczy, że Jakub chce z nim mówić? Dlaczego wszyscy wyglądają tak uroczyście?

Dziedziczka potrzęsła głową, coś jej się tu nie podobało. Więc nie spieszyła się bardzo. Tu uściśnęła komuś rękę, tam zamieniła z kimś innym parę słów i tak powoli zdążyła ku grupie przy studni.

Smok ekwilibrystycznym ruchem zsunął się szczęśliwie z sikawki na ziemię, pochwycił swą ofiarę, sędzię śledczego, za guzik i z bezpośredniego sąsiedztwa wylewał na niego potok wymowy. Dookoła stali ciżbą inni. W pierwszym szeregu zwracała uwagę mała postać Hoyera. Na czarnej, czworobocznej podstawie barków umieścił najdłuższą z swych twarzowych urn żałobnych, jak gdyby gotowy pomieścić w niej cały popiół nieboszczyka młyna. Ostatnie blaski płonącego stosu migotały na tej ziemistej twarzy-urnie, w której znieruchomiałych rysach można było niemal dojrzeć uroczysty napis: „Stań, przechodniu...”. Sędzia doznawał złudzenia, że widzi przed sobą nagrobek, nie zaś człowieka, i nie mógł oderwać uzbrojonych okularami oczu od tego dziwnego żałobnocmentarnego

fenomenowi. A jednocześnie, na wpeł przytomny, tonął w zalewie słów Smoka, który rozwodził się: jak to szwagier, narażając życie, czynił największe wysiłki, by uratować młyn; jak to potem on sam objął kierownictwo i położył kres pożarowi; a przede wszystkim, jakich to cudów dokazała matka.

— Ach, otóż i ona! Pójdź tu, mateczko! Opowiadam właśnie temu panu od karnych... dochodzeń — wykrztusił to słowo po pewnym wahaniu, z eksplozywną siłą rozpacz, jak gdyby w niejasnym przeczuciu, że otaczają je dokoła pułapki — opowiadam, że po prostu uratowałaś dwór...

Kiedy młynarz poprosił teściową, aby sprowadziła sędziego śledczego, leśniczy i Hanna przerazili się. Nie wątpili oni, że Jakub odda się w ręce sądu — to rozumiało się samo przez się. Ale spokój i równowaga umysłu, jakie objawiał, przestraszały ich, bezpośredniość zaś tego, co nastąpi, przejmowała ich grozą.

Młynarz uściśnął Janka, którego jeszcze ciągle trzymał w ramionach i pocałował go tak gwałtownie, że chłopiec aż zaniepokoił się.

— Jesteś teraz zmęczony, Janku, trzeba położyć się do łóżka, aby jutro wstać rześkim... Mama pójdzie już z tobą.

Postawił chłopca na ziemi i dał Hannie znak skinieniem głowy.

Zrozumiała, że chce oszczędzić jej widoku tego, co nastąpi. Otoczyła go ramionami, ucałowała gorąco i szepnęła:

— Niechaj Bóg błogosławi cię, Jakubie... teraz i zawsze!

Potem ujęła rękę chłopca i odeszła z nim przez furtkę wiodącą do ogrodu.

Młynarz szedł za nią spojrzeniem, dopóki nie zniknęła mu sprzed oczu, a potem zwrócił się do leśniczego.

— Wszak prawda, Wilhelmie... że Janek...

— Zaufaj nam... zajmiemy się... Hanna jak matka...

Wzruszenie nie pozwalało mu mówić. Przetarł ręką oczy; chwila nie była odpowiednia, by poddawać się rozczuleniu.

Młynarz skinął porozumiewawczo głową i obejrzał się na grupę przy studni.

Teraz teściowa rozmawiała z sędzią śledczym. Okulary i czapka skrzyły się, gdy odwracał głowę. Potem postać jego, otulona długim płaszczem, oderwała się od grupy i poczęła zbliżać się ku nim.

Młynarz, widząc to, stracił panowanie nad sobą. Do głowy napłynęła mu fala goryczy i nienawiści, której nie mógł w sobie zdławić. To był jego wróg: jakże musiał baczyć, jak musiał z nim walczyć, jak napinać wszystkie nerwy, by nie wpaść w zastawiane przezeń pułapki! Teraz nadchodził, teraz będzie tryumfował!

Uświadomił sobie, że jest to grzeszne uczucie, i uchwycił leśniczego za ramię, szukając u przyjaciela podpory.

Sędzia śledczy zdjął czapkę. Łysina zajaśniała w blaskach dogasającego pożaru.

W tej chwili zatrzymał się nagle i odwrócił się, jak gdyby skręcony straszliwym łoskotem, który wszystkich obecnych przeniknął grozą i wszystkie spojrzenia skierował w stronę młyna.

Ciężkie belki żarnowego piętra przepaliły się, wszystkie kamienie młyńskie runęły jednocześnie w dół i przebiły dolne sufity, na wpeł już przeżarte ogniem. Niektóre kamienie rozsypały się w proch na twardym, brukowanym gościńcu. Błyszcząca, złocista chmura iskier prysnęła ku niebu. Z czarnego szkieletu młyna posypały się dymiące belki w głąb kamiennego podmurowania, płomienie buchnęły wysoko w górę.

Młynarz leżał w ramionach przyjaciela. Odetchnął swobodniej, jak gdyby z jego serca spadł ciężar cięższy niż wszystkie kamienie młyńskie. Spojrzał w górę na iskry straszliwej, mszczącej pożogi, lecące ku wiecznym gwiazdom, gdzie panowała cisza i ukojenie.

Mniej więcej w rok później kapelan więzienia w Horsen zawiadomił listownie leśniczego i Hannę, że młynarz Jakub Clausen zmarł, kajając się z grzechów i ufając w zbawienie wieczne... i że umierając, przesłał im i swemu synowi ostatnie pozdrowienie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mlyn-na-wzgorzu>

Tekst opracowany na podstawie: Karl Gjellerup, *Młyn na wzgórzu*, tłum. Stanisław Sierosławski, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2002

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0221-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).